

# RICHARD MORGAN

ZDOBYWCA NAGRODY ARTHURA C. CLARKA 2008



TRZYNASTKA

# TRZYNASTKA

Richard Morgan

ISA  
GTW

Tytuł oryginału: BLACK MAN  
Copyright © 2007 Richard Morgan.  
First published by Gollancz, Great Britain.  
Prawa do wydania polskiego należą do ISA Sp. z o.o., Warszawa 2008.  
Ilustracja na okładce: Marcin Nowakowski  
Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek  
podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie  
przypadkowe.

Wydanie I

Wydawca: ISA Sp. z o.o.  
Tłumaczenie: Marek Pawelec  
Redakcja: Krzysztof Wójcikiewicz  
Korekta: Magdalena Górnicka  
Skład: KOMPEJ

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

ISA Sp. z o.o.  
Al. Krakowska 110/114  
02-256 Warszawa  
tel./fax (0-22) 846 27 59  
e-mail: isa@isa.pl

ISBN: 978-83-7418-205-8

Książkę tę dedykuję pamięci mojej mamy,  
Margaret Ann Morgan,

która nauczyła mnie nieustającej nienawiści do bigoterii,  
okrucieństwa i niesprawiedliwości oraz pogardy dla  
hipokryzji, odwracającej oczy lub podsuwającej wymówki,  
gdy te same występki kwitną bliżej domu, niż mielibyśmy  
ochotę.

Brakuje mi ciebie.

## PODZIĘKOWANIA

Ta książka była trudna i wielu osobom jestem winien mnóstwo podziękowań. Aby napisać „Trzynastkę”, zebrałem, pożyczałem i kradłem praktycznie zewsząd.

Ponieważ jest to powieść fantastycznonaukowa, zaczniemy od nauki:

Pierwotny pomysł na wariant trzynaście został zainspirowany przez teorie Richarda Wranghama na temat zaniku ludzkiej agresji, opisane przez Marta Ridleya w jego doskonałej książce „Naturę via Nurture”. Pozwoliłem sobie na bardzo dużą swobodę w interpretacji tych pomysłów i wariant trzynaście opisany w tej książce nawet w najmniejszym stopniu nie ma odpowiadać ideom panów Wranghama czy Ridleya. Panowie ci po prostu dostarczyli mi trampoliny - dość paskudne chlupnięcie pod nią to wyłącznie moje dzieło.

Pomysł platform ze sztucznych chromosomów również jest pożyczony, w tym przypadku z fascynującej i trochę strasznej książki Gregory’ego Stocka „Redesigning Humans”, a błyskotliwe dzieła Stevena Pinkera „Tabula rasa. Spory o naturę ludzką” i „Jak działa umysł” były główną inspiracją dla większości futurystycznej genetyki, którą tu sobie wymyśliłem. I znów - wszystko, co zmieniłem i czego użyłem niezgodnie z zamierzeniami autorów, jest wyłącznie moją winą.

Funkcja intuicyjna Yaroshanko, choć to mój pomysł, w dużym stopniu zainspirowana została jak najbardziej rzeczywistymi badaniami sieci społecznych opisanymi w książce Marka Buchanana „Small World”. Jestem też dłużnikiem Hannu Rajaniemiemu z uniwersytetu w Edynburgu za poświęcenie czasu na próbę wyjaśnienia mi kwantowej teorii gier i jej potencjalnych zastosowań, dając mi tym samym podstawy dla Nowej Matematyki i jej subtelnego, ale powszechnego wpływu na społeczeństwo. Muszę również podziękować redaktorowi Simonowi Spantonowi za cierpliwą pomoc w uporaniu się z technicznymi i logistycznymi aspektami kapsuł zamrażających w drodze z Marsa na Ziemię.

W dziedzinie polityki mocno wpłynęły na mnie dwie bardzo wnikliwe i dość depresyjne książki o Stanach Zjednoczonych: „The Right Nation” Johna Micklethwaita i Adriana Woolridge’a oraz „Whafs the Matter with America” Thomasa Franka, a także błyskotliwa i nieco mniej depresyjna „Stiffed” autorstwa Susan Faludi. Choć wszystkie te książki złożyły się na koncepcję Secesji i kwestii płciowych opisanych w „Trzynastce”, sama Skonfederowana Republika (zwana również Jezusowem) została zainspirowana przez sławny już mem mapy Jezusowa (*Jesusland*),

stworzonej - jak podaje Wikipedia - przez niejakiego G. Webba w biuletynie yakyak.org. Dobra robota, G.! Szczególne, osobiste podziękowania należą się Alanowi Beattsowi z Borderlands Books w San Francisco za wysłuchiwanie moich wynurzeń przy whiskey i szalarmie oraz podzielenie się ze mną przemyśleniami dobrze zorientowanego Amerykanina, które nieco wygładziły moje koncepcje.

Za uwagi dotyczące możliwej przyszłości (oraz mocno niezrozumianej przeszłości) islamu jestem również wdzięczny Tariqowi Aliemu za „The Clash of Fundamentalisms”, Karen Armstrong za „Krótką historię islamu” i bardzo odważnej Irshad Manji za „Kłopoty z islamem”. Tu także sporo namieszałem i to, co zaprezentowałem w „Trzynastce”, niekoniecznie związane jest z tym, co stworzyli wymienieni autorzy.

Ostatecznie jestem winien dozą wdzięczności wszystkim tym, którzy tak cierpliwie czekali i wciąż powtarzali, żebym się nie spieszył: Simonowi Spantonowi - znów! - i Jo Fletcher z wydawnictwa Gollancz, Chrisowi Schluepowi i Betsy Mitchell z Del Rey, mojej agentce Carolyn Whitaker oraz wszystkim tym, którzy ślali do mnie maile w 2006 roku z kondolencjami, wyrazami otuchy i wsparcia.

Bez was ta książka by nie powstała.

Niewykluczone, że w nowym stuleciu natura ludzka zostanie naukowo przemodelowana. Jeśli tak, będzie to przypadkowy rezultat starć w świecie, w którym wielkie firmy, zorganizowana przestępczość i ukryte, rządowe frakcje walczą o kontrolę.

John Gray  
„Słomiane psy”

Dla niespójnego umysłu człowiek jest koncepcją absolutystyczną. Nie może być półśrodków. I z tego wynika mnóstwo zła.

Richard Dawkins  
„A Devil's Chaplain”

## PROLOG: W STRONĘ DOMU

Lśniaca stal, lśniaca stal...

Larsen mruga i porusza się słabo na automatycznym wózku szpitalnym, sunącym pod kolejnymi panelami świetlnymi i poprzecznymi belkami sufitu. Razem z obrazem powoli pojawia się niepewne rozpoznanie: jedzie grzbietowym korytarzem. W górze światło odbija się pod kątem od każdego metalowego wspornika, przechodząc od błysku do pełnego blasku i z powrotem, gdy Larsen je mija. Przypuszcza, że obudziły ją właśnie te powtarzające się błyski. Albo kolano, które potwornie boli, nawet przez znajome opary środków wybudzających. Jedna ręka spoczywa na piersi, wciskając się w cienką tkaninę kriogenicznego trykotu. Chłodny dotyk powietrza na skórze zdradza, że nie ma na sobie nic więcej. Ogarnia ją upiorne uczucie *déjà vu*. Kaszle słabo, podrażniona resztkami wypompowanego z jej płuc żelu ze zbiornika. Znow się porusza i mamrocze coś pod nosem.

*... znowu...?*

- Tak, znowu. Tak, ponownie dziedzictwo kormorana.

To dziwne. Nie spodziewała się obcego głosu, zwłaszcza mówiącego zagadkami. Wybudzanie było zazwyczaj całkowicie mechanicznym procesem, z komputerem zaprogramowanym na obudzenie ich przed przylotem, i o ile coś się nie zepsuło...

*Czyli jesteś teraz superekspertką od kapsuł kriogenicznych, co?*

Nie jest - całe jej wcześniejsze doświadczenie sprowadza się do trzech wybudzeń testowych i jednego prawdziwego, na końcu podróży w tamtą stronę. Przypuszcza też, że stąd właśnie uczucie *déjà vu*. Mimo wszystko...

*... więcej niż trzy... to nie jest więcej, to nie...*

Gwałtowność odpowiedzi ma w sobie zadrę, która wcale jej się nie podoba. Gdyby usłyszała ją w głosie kogoś innego, na przykład badanego pacjenta, pomyślałaby o środkach uspokajających, może nawet o wezwaniu ochrony. Jednak we własnych myślach było to nieoczekiwane i mrożące krew w żyłach, jak nagłe uświadomienie sobie, że w domu jest ktoś jeszcze, jakiś nieproszony gość. Jak pojawiająca się znikąd myśl, że może nie jest się do końca przy zdrowych zmysłach.

*To prochy, Ellie. Daj spokój, przeczekaj to.*

Lśniaca sta...

Wózek podskakuje lekko skręcając w prawo. Z jakiegoś powodu



wzbudza to w niej gwałtowne przyspieszenie pulsu, reakcję, w której, w obecnym stanie, otumaniona prochami, prawie nieświadomie rozpoznaje panikę. Niczym strużka wody przebiega przez nią dreszcz nadchodzącej zagłady. Rozbijają się, uderzą w coś lub coś walnie w nich, coś potężnego, starożytnego i poza ludzkim zrozumieniem, wirującego odwiecznie w nieskończonej nocy na zewnątrz statku. Podróże kosmiczne nie są bezpieczne, była szalona myśląc inaczej, zgadzając się na kontrakt i sądząc, że ujdzie jej to płazem, tam i z powrotem do domu w jednym kawałku, jakby nie różniło się to niczym od lotu suborbitalnego nad Pacyfikiem, po prostu *nie dało się...*

*Daj spokój, Ellie. To przez prochy.*

Wtedy zdaje sobie sprawę, gdzie jest. W polu jej widzenia pojawiają się złożone, pajęczne ramiona automatycznego chirurga, a wózek wjeżdża na stanowisko diagnostyczne. Ogarniają fala ulgi. Coś jest nie tak, ale znalazła się we właściwym miejscu. „Horkan’s Pride” wyposażono w najlepsze automatyczne systemy medyczne, jakie potrafi zbudować INKOL - przeczytała to w „Wiadomościach Kolonii”, a kilka tygodni przed wylotem cała SI statku przeszła gruntowną aktualizację. *Zresztą, są pewne granice tego, co może się stać z zamrożonym ciałem, prawda, Ellie?* Funkcje organiczne spowolnione do niemożliwości, podobnie jak wszelkie paskudztwa, które mogłaby w sobie chować.

Jednak nie chce jej opuścić panika, poczucie nieuchronności straszego losu. Czuje się otępiała i uparta, jak pies niepotrafiący przestać przejmować się znieczuloną nogą.

Obraca głowę w bok i widzi go.

Niczym prąd uderza w nią kolejna fala rozpoznania, tym razem ostrzejsza.

Kiedyś, będąc w Europie, odwiedziła Museo della Sindone w Turynie i obejrzała trzymaną tam tkaninę z obrazem torturowanego człowieka. Stała w mroku po drugiej stronie kuloodpornej szyby, otoczona nabożnymi szeptami wiernych. Choć sama nigdy nie była wierząca, dziwnie poruszyły ją ostre i puste linie twarzy patrzącej na nią z hermetycznej komory próżniowej. Twarz zdawała się być świadectwem ludzkiego cierpienia, które całkowicie porzuciło swoje boskie pretensje, przez co poświęcone mu modlitwy stawały się zupełnie niedorzeczne. Gdy Larsen patrzyła na nią, uderzyła ją uparta chęć przetrwania organicznego życia, dziedzictwo wbudowanego, ukrytego oporu, będącego darem długiego marszu ewolucji.

To mógł być ten sam człowiek. Tu i teraz.

Opiera się o wysoką szafkę w rogu i patrzy na nią, z żyłastymi ramionami złożonymi na wychudłej klatce piersiowej, a jego żebra widać nawet przez koszulkę. Długie proste włosy wiszą po obu stronach wąskiej twarzy o rysach zaostzonych jeszcze przez ból i pragnienie. Usta zaciska w wąską kreskę zarysowaną między ostrym podbródkiem i wąskim nosem. Policzki ma zapadnięte.

Spogląda mu w oczy i jej serce opornie zrywa się do gwałtowniejszej pracy.

- Czy to... - Wraz ze słowami budzi się w niej teraz okropne zrozumienie, potworne rozpoznanie, którego jej świadomość wciąż stara się umknąć. - Czy to moje kolano? Moja noga?

Nagle znajduje w sobie siłę, podpira się na łokciach i zmusza się do spojrzenia.

Widok zderza się ze wspomnieniami.

Budzi się w niej wrzask, momentalnie rozdzierając otulające jej świadomość zasłony prochów. Nie zdaje sobie sprawy, jak słabo to brzmi w zimnym pomieszczeniu sali operacyjnej, ale w jej wnętrzu krzyk wydaje się rozrywać bębniaki uszu, a wiedza przychodząca wraz z nim zakrywa jej oczy mrokiem groźącym wessaniem w pustkę. Zdaje sobie sprawę, że nie krzyczy z powodu tego, co widzi.

Nie z powodu równo zabandażowanego kikuta kończącego prawą nogę dwadzieścia centymetrów poniżej biodra. To nie to.

Nie przez zrozumienie, że ból w kolanie to złudny ból w kończynie, której już nie ma. To nie to.

Wrzeszczy z powodu wspomnienia.

Wspomnienia jazdy wózkiem przez cichy korytarz, lekkiego podskoku i skrętu do sali operacyjnej, a potem otępienia lekami, narastającego jęku piły tarczowej, paskudnego dźwięku cięcia i cichego trzasku podążającego za ostrzem kauteryzującego lasera. Wspomnienia poprzedniego razu i obrzydliwego, wykręcającego wnętrzości zrozumienia, że wszystko to się powtórzy.

- Nie - szepcze. - Proszę.

Ciepła dłoń o długich palcach dotyka jej czoła. Pochyla się nad nią oblicze z Całunu Turyńskiego.

- Ciiii... kormoran wie, czemu...

Za jego twarzą dostrzega ruch. Dzięki wspomnieniom wie, czym jest.

Ciche, mechaniczne ruchy pajęczych nóg budzącego się do życia autochirurga.

Lśniąca stal...

# CZEŚĆ I

## GŁOŚNY UPADEK

Ponad wszystko ciężkie lekcje tego stulecia nauczyły nas, że konieczne jest wprowadzenie stałego nadzoru i skutecznych ograniczeń oraz że wymagane w związku z tym systemy porządkowe muszą działać na najwyższym poziomie integralności i wsparcia.

RAPORT JACOBSENA  
*Sierpień 2091*

# ROZDZIAŁ 1

Znalazł w końcu Graya w marsjańskim obozie przygotowawczym w Peru, tuż za granicą Boliwii, pod nazwiskiem Rodriguez ukrywającego się za tanią chirurgią plastyczną. Samo w sobie nie było to złym sposobem na zniknięcie i prawdopodobnie wystarczyłoby dla standardowych kontroli. Weryfikacje tożsamości w obozach przygotowawczych nie były zbyt gruntowne, bo tak naprawdę nikogo nie obchodziło, kim człowiek był, zanim się zgłosił. Mimo wszystko zostawił po sobie kilka dość ewidentnych śladów, których można było poszukać, jeśli wiedziało się jak, a Carl z metodycznym uporem bliskim już desperacji szukał go od wielu tygodni. Wiedział, że Gray jest gdzieś na Altiplano, ponieważ tam prowadził jego ślad z Bogoty oraz dlatego, że wariant trzynasty nie miał właściwie innego miejsca, gdzie mógłby uciekać. Wiedział i zdawał sobie sprawę, że odnalezienie śladów i zgarnięcie go jest tylko kwestią czasu. Z drugiej strony wiedział też, że dzięki coraz bardziej pobieżnym programom wstępnym, mierzącym w zaspokojenie rosnącego zapotrzebowania, czas był po stronie tamtego. Musiał jak najszybciej coś znaleźć, bo Gray przypadnie, a Carl nie dostanie swojej nagrody.

Kiedy więc doszło do przełomu, gdy z sieci kontaktów, którymi posługiwał się przez wszystkie te tygodnie, dostał wreszcie drobny strzępek informacji, trudno było nie zareagować gwałtownie. Trudno było nie spalić swojej uciążliwie konstruowanej tożsamości, użyć blachy i linii kredytowej Agencji i wynająć zestawu najszybszych pojazdów terenowych dostępnych w Copacabanie. Trudno było nie przekroczyć granicy z prędkością Agencji, wzbudzając kurz i plotki przez całą drogę do obozu, w którym Graya oczywiście już by nie było.

Carl tego nie zrobił.

Zamiast tego poprosił parę osób o spłatę długów i zdołał załatwić sobie przelot przez granicę z wojskową jednostką łączności - jakimś starszawym transportowcem z logo korporacji Kolonii na pancerzu prawie całkiem wyblakłym od słońca. Żołnierze należeli do regularnej armii peruwiańskiej, powołani z biednych rodzin nadbrzeżnych prowincji, przeniesieni następnie do zadań ochrony korporacji. Dostawali za to odrobinę więcej niż standardowy żołd poborowego, ale wewnątrz transportowca było stosunkowo

wygodne jak na wojskowe standardy, nawet z klimatyzacją. W każdym razie byli młodzi i twardzi, z rodzaju, jakiego nie widywało się już często na Zachodzie, niewinnie dumni ze swojej ciężko zdobytej sprawności fizycznej i taniego prestiżu khaki. Wszyscy szeroko się do niego uśmiechali, odsłaniając zepsute zęby, i żaden nie przekroczył dwudziestki. Carl uznał, że ich dobry humor wynika z ignorancji. Mógł się założyć, że dzieciaki nie wiedziały, ile dowództwo bierze za ich usługi od korporacyjnych klientów.

Zamknięty we wnętrzu szarpiącego, śmierdzącego potem pojazdu i rozpamiętujący swoje szanse przeciw Grayowi, Carl naprawdę wolałby w ogóle się nie odzywać. Nigdy nie był zbyt rozmowny. Zdecydowanie uważał, że to zbyt przereklamowany sposób na spędzanie czasu. Z drugiej strony, gdy korzystało się z darmowej przejażdżki, istniały pewne granice małomówności, więc zdobył się na trochę niezobowiązującej rozmowy na temat przyszlotygodniowych rozgrywek Argentyny z Brazylią i dorzucał do konwersacji tylko tyle, ile uznał za absolutnie konieczne. Jakieś komentarze na temat Patricii Mocatty i sensu kobiety kapitana w drużynie, która wciąż w większości składała się z mężczyzn. Listy nazwisk graczy. Porównania taktyki. Wszystko wydawało się iść w miarę gładko.

- *Eres Marciano?* - padło w końcu nieuniknione pytanie.

Potrząsnął głową. Tak naprawdę był kiedyś na Marsie, ale to była długa i skomplikowana historia i nie miał ochoty jej opowiadać.

- *Soy contable* - odpowiedział im, ponieważ czasami tak właśnie się czuł.

- *Contable de biotecnologia*.

Wszyscy się wyszczerzyli. Nie był pewien, czy dlatego, że wcale nie wyglądał jak księgowy od biotechnologii, czy po prostu mu nie uwierzyli. W każdym razie nie naciskali. Przywykli już do mężczyzn, których twarze nie pasowały do opowiadanych historii.

- *Habla bien el español* - pochwalił jeden z nich.

Faktycznie dobrze mówił po hiszpańsku, choć przez ostatnie dwa tygodnie używał głównie *quechua* - z marsjańskim akcentem, ale wciąż bliskim swoich peruwiańskich korzeni. Tego właśnie języka używała większość mieszkańców Altiplano, a oni właśnie stanowili podstawę siły roboczej w obozach przygotowawczych, podobnie jak na Marsie. Co nie zmieniało faktu, że językiem przedstawicieli prawa wciąż był tu hiszpański. Poza powierzchowną znajomością używanego w sieci amangielskiego faceci z wybrzeża nie znali niczego innego. Nie był to idealny układ z punktu widzenia korporacji, ale przy podpisywaniu kontraktów INKOL rząd w

Limie był nieugięty. Oddanie kontroli korporacjom gringo to jedno, właściwie był to już historyczny precedens. Jednak pozwolenie mieszkańcom Altiplano na kulturalne uwolnienie się od władzy wybrzeża - cóż, na to już nie można było pozwolić. Na szali leżał zbyt duży balast historii. Oryginalni Inkowie sześćset lat temu i ich uparta, trzydziestoletnia odmowa zachowywania się jak przystało na podbity lud, krwawy odwet Tupac Amaru w 1780 r. , maoiści z Sendero Luminoso raptem sto lat temu i jeszcze całkiem niedawne wrzenie *familias andinas*. Lekcja została opanowana, słowo wyrzeczone. Nigdy więcej. Pilnowali tego mówiący po hiszpańsku mundurowi i urzędnicy.

Transportowiec zatrzymał się z szarpnięciem i tylne drzwi ciężko otworzyły się na zewnątrz. Do środka wdarło się ostre światło wyżyn, a wraz z nim dźwięki i zapachy obozu. Teraz usłyszał znajome, nie po hiszpańsku przedstawione tonacje quechua wykrzykiwane ponad odgłosami pracującej maszynerii. Stłumił je importowany głos robota, ryczący w amangielskim: „Pojazd cofa, pojazd cofa!”. Skądś dobiegała muzyka, wokół *huayno* zremiksowany do jakiegoś tanecznego rytmu. Przez wonie oleju silnikowego i plastików przebijał się wszechobecny, ciężki zapach *antecuchos* pieczonych nad ogniem z węgla drzewnego. Carl pomyślał, że słyszy wirniki startującego gdzieś w oddali śmigłowca.

Żołnierze wybiegli ze środka, ciągnąc za sobą plecaki i broń. Carl pozwolił im ruszyć przodem, wyszedł jako ostatni i rozejrzał się wokół, używając ich rozkrzyczanego tłumku, jako osłony. Transportowiec zatrzymał się na wiecznobetonowym pasie naprzeciw kilku zakurzonych autobusów kursujących do Cuzco i Arequipy. Za nimi wznosiła się dźwigarowa konstrukcja budynku terminalu, a jeszcze dalej na wzgórzu rozciągał się obóz Garrod Horkan 9, zbudowany z parterowych domków na sterylnym planie kratownicy. Co kilka ulic nad skrzyżowaniami powiewały białą flagi korporacji z przeplecionymi literami G i H w pierścieniu gwiazd. Przez pozbawione szyb okna terminalu Carl zauważył ludzi w kombinezonach ozdobionych tym samym logo na piersiach i plecach.

*Cholerne korporacyjne miasta.*

Złożył swój plecak w schowku na dworcu, zapytał sprzątacza w kombinezonie o kierunek i wyszedł z powrotem na słońce wznoszącej się ulicy. Z drugiej strony błyszczało boleśnie jasne i błękitne jezioro Titicaca. Zsunął na oczy inteligentne szkła Cebe, na głowę wcisnął wymiętego peruwiańskiego stetsona ze skóry i ruszył w górę pochyłości, podążając za

muzyką. Ubranie było bardziej sposobem na wtopienie się w mieszkańców niż koniecznością - skórę miał ciemną i dostatecznie stwardniałą, by nie martwić się o słońce, ale szkła i kapelusz umożliwiały ukrycie twarzy. Czarni nie byli tacy znów powszechni w obozach na Altiplano i, choć było to mało prawdopodobne, Gray mógł polecić komuś obserwację terminalu. Im mniej Carl się wyróżniał, tym lepiej.

Kilka przecznic w górę ulicy Carl znalazł to, czego szukał. Budynek z prefabrykatów dwukrotnie większy od pozostałych, emanujący z zasłoniętych okien i podwójnych drzwi pulsującym rytmem remiksu *huayno*. Ściany oblepiono plakatami lokalnych kapel, a otwarte do wnętrza drzwi były obstawione dwoma panelami przedstawiającymi karaibskie życie nocne według jakiejś agencji reklamowej z Limy. Biały piasek i palmy, imprezo we światła. Dziewczyny *criolla* w bikini, dwuznacznie trzymające butelki z piwem i ruszające biodrami w rytm niesłyszalnej muzyki w towarzystwie facetów o europejskim wyglądem. Oprócz orkiestry - idealnie umięśnionej i brykającej radośnie w tle, z daleka od kobiet - nikt nie miał skóry ciemniejszej niż szklaneczka szkockiej z wodą.

Carl z rozbawieniem potrząsnął głową i wszedł do środka.

W środku rytm był głośniejszy, ale wciąż znośny. Dach wznosił się skosem na wysokości pierwszego piętra, a pod nim znajdowała się tylko pusta przestrzeń, więc muzyka uciekała tamtędy. Przy stoliku w rogu trzech mężczyzn i kobieta grali w karty w coś wymagającego licytacji i wyraźnie nie mieli problemów ze zrozumieniem swoich głosów. Przy innych stołach toczyły się rozmowy tworzące rozmazany szmer. Przez drzwi i okiennice wpadało światło słońca, tworząc na podłodze lśniące krechy, ale nie sięgało daleko i jeśli popatrzyło się wprost na nie, a potem w głąb, reszta sali w porównaniu wydawała się być pogrążona w półmroku.

W przeciwnym rogu sali zakrzywiony bar wykonany z nitowanych kawałów blachy mieścił pół tuzina pijących. Stał dostatecznie daleko od okien, by pipy beczek z piwem na ścianie z tyłu lśniły łagodnie w półmroku. W ścianie umieszczono drzwi otwarte na równie słabo oświetloną kuchnię, najwyraźniej pustą i nieużywaną. Jedyne widoczne obsługa miała postać przysadzistej kelnerki *indigena*, snującej się między stołami i zbierającej na tacę butelki i szklanki. Carl przyglądał się jej przez chwilę z uwagą, po czym ruszył za nią, gdy skierowała się do baru.

Dogonił ją w chwili, gdy odstawiała tacę na blat.

- Butelkę Red Stripe - odezwał się w quechua. - Bez szklanki.



Zanurkowała pod unoszonym na zawiasach fragmentem blatu i bez słowa otworzyła stojącą na podłodze lodówkę. Wyjęła z niej butelkę i wyprostowała się, trzymając ją prawie jak *criollas* z paneli na zewnątrz. Potem sprawnie otworzyła ją nieco zardzewiałym otwieraczem wiszącym u pasa i postawiła ją na barze.

- Pięć soli.

Jedyna gotówka, jaką miał przy sobie, pochodziła z Boliwii. Wyciągnął wafel INKOL i wysunął go, trzymając dwoma palcami.

- Może być?

Posłała mu cierpiące spojrzenie i poszła po terminal. Sprawdził godzinę wyświetlaną w lewym górnym rogu szkieł Cebe, po czym je zdjął. Wprawdzie przestawiły się już na słabe oświetlenie, ale do tego, co planował, wolał mieć wyraźny kontakt wzrokowy. Położył kapelusz na barze i oparł się obok niego, twarzą w stronę sali, starając się przybrać wygląd kogoś, kto niczego nie chce i świetnie tu pasuje.

W teorii powinien po przybyciu zgłosić się do zarządcy osiedla z ramienia GH. Taka była procedura zapisana w Karcie, jednak bolesne doświadczenia z przeszłości, częściowo opłacone własną krwią, nauczyły go, by darować sobie ten etap. Wszędzie tu panowało pełne spektrum niechęci do tego, czym był Carl Marsalis - niechęci mającej swe źródła na każdym poziomie ludzkiej egzystencji. Od strony wysublimowanego poznania politycy potępiali jego egzystencję, jako niemoralną. Na poziomie bardziej emocjonalnym dotykała go ogólnoludzka odraza wiążąca się z etykietką *zdrajca*. Jeszcze głębiej, na fali suchej terminologii raportu Jacobsena, ale zahaczając o hormonalne podstawy instynktów, krył się przyprawiający o zawrót głowy strach, że pomimo wszystko wciąż *był jednym z nich*.

Ale najgorszy z tego wszystkiego był fakt, że w oczach korporacji Kolonii Carl był chodzącą złą prasą oraz gwarantowaną dziurą w budżecie. Do czasu, gdy ktoś taki jak Gray był gotów do wysłania, Garrod Horkan mógł już wpakować w niego kilkadziesiąt tysięcy dolarów w formie różnego rodzaju szkoleń i siatki biotechnu. Nie była to inwestycja, którą chciało się zobaczyć wykrwawiającą się w pyle Altiplano i opatrzoną prasowymi nagłówkami o niedostatecznych zabezpieczeniach w obozie INKOL.

Cztery lata temu zgłosił się do zarządcy obozu na południe od La Paz, a jego cel tajemniczo wyparował, gdy Carl wciąż wypełniał formularze w budynku administracji. Kiedy wszedł do jego domku, w kuchni na stole wciąż dymił talerz zupy. Tylne drzwi były otwarte, podobnie jak pusta

skrzynia w nogach łóżka w pokoju obok. Tamten człowiek nigdy więcej się już nie pojawił i Carl musiał przyznać przed sobą i Agencją, że najprawdopodobniej przebywa już na Marsie. Nikt w INKOL nie potwierdziłby tej informacji, więc nie zwracał sobie głowy pytaniem.

Sześć miesięcy później Carl zgłosił się późnym wieczorem do innego zarządcy obozu, odmówił chwilowo wypełniania formularzy i chwilę po wyjściu z budynku administracyjnego został zaatakowany przez pięciu mężczyzn z kijami bejsbolowymi. Na szczęście nie byli zawodowcami i w ciemnej alejce wchodzili sobie nawzajem w drogę. Jednak do czasu, gdy udało mu się wyrwać jeden z kijów bejsbolowych i przegonić napastników, cały obóz był już na nogach. Ulicę rozświetlały latarki i szybko przekazywano sobie wiadomość: przy budynku administracji pojawił się nowy czarnoskóry i sprawia kłopoty. Carl nie zwracał sobie nawet głowy przebijaniem się przez ulice pełne wrogich spojrzeń, by sprawdzić obozowy adres swojego celu. Wiedział już, co zastanie.

Zostały jeszcze skutki walki, równie przewidywalne. Pomimo obecności licznych przechodniów, a nawet jednego czy dwóch bezczelnych gapiów, nagle okazało się, że nie ma żadnych świadków. Mężczyzna, którego Carl obił dostatecznie mocno, by nie mógł uciec, nie puścił pary z gęby na temat powodu ataku. Zarządczyni nie pozwoliła Carlowi na przepytanie go w cztery oczy i nawet nadzorowane przesłuchanie ograniczyła, tłumacząc się względami medycznymi. *Więzień ma pewne prawa* - oświadczyła powoli, jakby Carl był ograniczony umysłowo. - *Dość go już pan skrzywdził.*

Carl, wciąż krwawiący z rozbitego policzka i ze złamanym przynajmniej jednym palcem, tylko na nią popatrzył.

W tych czasach informował zarząd obozu, gdy było już po wszystkim.

- Szukam starego kumpla - powiedział kelnerce, gdy wróciła z urzędzeniem. Dał jej wafel INKOL i odczekał, aż go przesunęła. - Nazywa się Rodriguez. To bardzo ważne, żeby go znalazł.

Jej palce zawisły nad klawiaturą. Wzruszyła ramionami.

- Rodriguez to popularne nazwisko.

Carl wyciągnął wydruk jednego z plików ściągniętych z kliniki w Bogocie i pchnął go w jej stronę po barze. Wygenerowany komputerowo obraz miał zaprezentować klientowi, jak będzie wyglądał, gdy zejdzie już opuchlizna. W czasie rzeczywistym, tak szybko po tak taniej operacji, nowa twarz Graya pasowałaby pewnie do ofiary linczu z Jezusowa, ale mężczyzna uśmiechający się na klinicznym obrazie wyglądał zdrowo i zdumiewająco

przeciętnie. Szerokie kości policzkowe i usta, standardowe rysy amerindiańskie. Carl, który miał prawie paranoję w tych sprawach, kazał Matthew wrócić tej nocy do strumieni danych kliniki, by upewnić się, że nie próbowali oszukać go jakimś standardowym obrazkiem. Matthew narzekał, ale zrobił to, prawdopodobnie żeby dowieść, że potrafi. Nie było wątpliwości. Gray właśnie tak teraz wyglądał.

Kelnerka przez chwilę bez zainteresowania przyglądała się wydrukowi, po czym wystukała dla wafla kwotę zdecydowanie wyższą od pięciu sole. Kiwnęła głową w stronę siedzącego przy drugim końcu baru masywnego, jasnowłosego faceta, patrzącego w szklaneczkę takim wzrokiem, jakby była jego osobistym wrogiem.

- Jego zapytaj.

Ręka Carla wystrzeliła z prędkością siatki. Tego ranka się podładował. Wygiął jej palec wskazujący, zanim uderzyła w klawisz zatwierdzenia transakcji, i wykręcił go lekko, tylko tyle, by zablokować stawy kostek. Poczul, jak jej kości zaczepiają o siebie.

- Ciebie pytam - powiedział spokojnie.

- A ja odpowiadam. - Jeśli się bała, nie pokazywała tego po sobie. - Znam tę twarz. Przychodzi tu i pije z Rubio dwa albo trzy razy w tygodniu. To wszystko, co wiem. Puścisz mój palec czy mam ściągnąć na ciebie uwagę? Może wezwać ochronę obozu?

- Nie. Ale musisz mnie przedstawić temu Rubio.

- Cóż. - Posłała mu miażdżące spojrzenie. - Wystarczyło tylko poprosić.

Puścił ją i odczekał, aż zakończy transakcję. Oddała mu wafel, kiwnęła i ruszyła niespiesznie wzdłuż baru, aż stanęła naprzeciw blondyna i jego szklaneczki. Mężczyzna zerknął na nią, potem na podchodzącego Carla i z powrotem na nią. Odezwał się po angielsku.

- Cześć, Gaby.

- Cześć, Rubio. Widzisz tego gościa? - Ona też przeszła na angielski, z silnym akcentem, ale płynny. - Szuka Rodrigueza. Mówi, że jest jego kumplem.

- Doprawdy? - Rubio przesunął się trochę i spojrzał wprost na Carla. - Jesteś kumplem Rodrigueza?

- Tak, by...

Wtedy pojawił się nóż.

Później, gdy miał czas, Carl rozpracował tę sztuczkę. Broń wyposażono w samolep na rękojeści i blondyn przypuszczalnie przykleił ją do baru w

zasięgu ręki, gdy tylko zobaczył, że kelnerka rozmawia z obcym. Beztroskie podejście Carla - przyjaciel Rodrigueza, jasne - przesądziło sprawę. Oboje byli przyjaciółmi Graya. Wiedzieli, że nie ma innych.

Tak więc Rubio oderwał nóż i tym samym płynnym ruchem dźgnął Carla. Ostrze mignęło niewyraźnie w słabym świetle, opuszczając głębszy cień baru, rozcięło bluzę murzyna i gwałtownie wyhamowało na weblarze pod spodem. Kolczuga z modyfikowanej genetycznie pajęczej nici, droga rzecz. Jednak pchnięcie napędzane było zbyt dużą dawką nienawiści i furii, by łatwo dało się zatrzymać, zresztą pewnie pomogło monomolekularne ostrze. Carl poczuł, jak czubek przebija się i wchodzi w jego ciało.

Ponieważ tak naprawdę liczył się z czymś takim, był już w ruchu, a weblar pozwolił mu na luksus rezygnacji z uników. Uderzył Rubio ciosem tanindo - podstawą dłoni, dwa krótkie ciosy, łamiąc nos i miażdżąc skroń mężczyzny oraz posyłając go gwałtownie na podłogę baru. Nóż wyszedł z rany - paskudna, bolesna intymność metalu w ciele - a on stęknął, uwalniając się od ostrza. Rubio drgnął i przetoczył się na podłodze, prawdopodobnie w agonii. Carl dla pewności kopnął go w głowę.

Wszystko znieruchomiało.

Ludzie gapili się na niego.

Pod osłoną weblaru poczuł krew, spływającą w dół brzucha z rany po nożu.

Za jego plecami Gaby wybiegła przez drzwi do kuchni. Tego również w zasadzie się spodziewał: według jego źródła była blisko z Grayem. Carl niezgrabnie przeskoczył bar - dziki błysk bólu z nowej rany - i ruszył za nią.

Przez kuchnię - ciasne, usmolone pomieszczenie, z włączonymi palnikami gazowymi i drzwiami wciąż odbijającymi się po przejściu Gaby. W biegu Carl zahaczył o parę rondli, zostawiając za sobą brzęk metalu. Wypadł przez drzwi w alejkę na tyłach budynku. W oczy uderzył go nagły blask słońca. Po prawej dostrzegł kelnerkę biegnącą sprintem w górę wzgórza. Miała około trzydziestu metrów przewagi.

*W sam raz.*

Pobiegł za nią.

Wraz z walką w pełni uaktywniła się siatka. Wypełniła go teraz, ciepła jak słońce, a ból w boku ograniczył się do wspomnienia i luźnej świadomości, że krwawi. Jego wzrok wyostrzył się na uciekającej przed nim kobiecie, rozmazując w jasną plamę skraje pola widzenia. Kiedy skręciła w lewo i znikła, zmniejszył dzielącą ich przestrzeń o około jedną trzecią. Dotarł

do skrzyżowania i wyjrzał w kolejną mroczną alejkę, tym razem ledwie szerokości jego ramion. Niepomalowane ściany prefabrykowanych budynków z małymi, wysoko umieszczonymi okienkami, oparte o ściany sterty plastikowych płyt budowlanych i ram konstrukcyjnych, na ziemi mnóstwo pustych puszek. Stopą zaczepił o kawałek folii jednej z ram. W głębi Gaby skręcała właśnie w prawo. Nie sądził, żeby się oglądała.

Dobiegł do nowego rogu i zatrzymał się, walcząc z chęcią wystawienia głowy. Tym razem Gaby wybiegła na główną ulicę, wyłożoną wiecznobetonem i luźno zapelnioną ludźmi. Przykucnął, wyciągnął okulary Cebe i wyjrzał za róg na wysokości kolan. Ponieważ tym razem nie musiał mrużyć oczu przed ostrym słońcem, niemal natychmiast wypatrzył uciekającą dziewczynę. Oglądała się przez ramię, ale zdecydowanie go nie zobaczyła. Nie gnała już panicznie, tylko ciężko dyszała, a po chwili pobiegła dalej ulicą. Carl przyglądał jej się przez kilka sekund, pozwalając zwiększyć odległość między nimi do dobrych pięćdziesięciu metrów, po czym wyszedł na ulicę i ruszył jej śladem na ugiętych kolanach, by nie wystawać ponad przechodniów. Zebrał parę zdziwionych spojrzeń, ale nikt się do niego nie odezwał i co ważniejsze, nikt nie skomentował na głos.

Z jasnością zapewnianą przez siatkę zdał sobie sprawę, że ma około dziesięciu minut. Tyle potrwa, zanim wiadomość o walce w barze dotrze do władz, a te wyślą w powietrze nad ulicami Garrod Horkan 9 śmigłowiec patrolujący. Jeśli do tego czasu nie znajdzie Graya - gra skończona.

Trzy przecznice dalej Gaby nieoczekiwanie przebiegła na drugą stronę ulicy i weszła do parterowego domku z prefabrykatów. Carl zauważył, jak wyciąga z kieszeni jeansów szary prostokąt karty kodowej i przesuwając go przez zamek. Drzwi otworzyły się, a ona zniknęła w środku. Zbyt daleko, by odczytać numer na tabliczce, ale z przodu domku zawieszono koszyki z kwitnącymi na żółto kaktusami. Carl dotarł do bliższego końca budynku, wślizgnął się w alejkę między nim a sąsiednim i przeszedł na tyły. Okno łazienki było otwarte; ostrożnie podciągnął się do parapetu. Niewyraźny ból rany po nożu, mięśnie ocierające się o siebie w nietypowy sposób. Ledwie uniknął wdepnięcia w klozet - uskoczył w bok i krzywiąc się, przykucnął przy drzwiach.

Przez ściany grubości palca przenikały głosy, nieco basowe od rezonansu, ale wyraźne. W tych czasach zewnętrzne wyciszenie prefabrykowanych domków było dość przyzwoite, ale za to samo we wnętrzu należało już zapłacić ekstra. Nie było to coś, co GH sfinansowałyby w bazie - trzeba było

zakupić opcję, a właściciel domku, Gaby czy Gray, wyraźnie tego nie zrobił. Carl znów usłyszał mocno akcentowaną angielszczyznę kobiety, a potem inny głos, znany mu z nagrań.

- Ty cholerna głupia suko, czemu tu przyszłaś?

- Ja... ty... - Nie tego się spodziewała. - Żeby cię ostrzec.

- Jasne, a on przyjdzie tu zaraz za tobą!

Trzaśnięcie, otwarta dłoń na jej twarzy Carl usłyszał przez ścianę, jak tylko gwałtownie wciągnęła powietrze. Była twarda, przywykła do tego, albo jedno i drugie. Nacisnął klamkę, uchylił drzwi i wyrzwał. Przez wąską szparę dostrzegł masywną postać. Wyrzucona w górę, gestykulująca ręka mignęła jednak zbyt szybko, by stwierdzić, czy tamten trzyma w niej broń. Carl sięgnął pod kurtkę po pistolet Haag. W pokoju obok coś masywnego wylądowało na podłodze.

- On pewnie właśnie cię śledzi, puścił cię, żeby mógł to zrobić. Ty durna cipo, ty...

*Teraz.*

Carl pchnął drzwi i stanął twarzą do dwojga ludzi znieruchomiałych po drugiej stronie maleńkiego, wyłożonego jaskrawymi dywanami salonu. Gray był na wpół obrócony i górował nad krzywiącą się Gabą, która wycofując się, wyróciła wysoki kwiatek doniczkowy przy drzwiach. Na jej twarzy w miejscu uderzenia rysował się zaczerwieniony odcisk dłoni. W pokoju stało więcej kwiatków, półki zastawione były taną ceramiką oraz ikonami Pachamama i jakiegoś hiszpańskiego świętego, a na ścianie wisiał tekst hiszpańskiej modlitwy. Byli w domu Gaby.

Nadał głosowi brzmienie twarde i spokojne.

- To koniec, Frank. Gra skończona.

Gray odwrócił się powoli, z rozmysłem i, cholera, tak, miał broń, potężną armatę, która zdawała się być przyspawana do jego dłoni. Drobną część umysłu Carla, odporna na siatkę i betamielinę wypełniającą resztę systemu, zidentyfikowała ją jako zabójczą broń, bezłuskowego smitha 61. Miała ponad czterdzieści lat, ale mówili, że można ją wyrzucić na orbicie, zabrać po pełnym okrążeniu, a ona wciąż zabijałaby, jakby wyszła prosto z fabryki. Pierwszy raz od dawna ucieszył się z chłodnej masy haaga we własnej dłoni.

To nie pomogło, gdy Gray uśmiechnął się do niego.

- Cześć, oenzetowcu.

Carl kiwnął głową.

- Odłóż broń, Frank. To koniec.

Gray zmarszczył brwi, jakby naprawdę się nad tym zastanawiał.

- Kto cię przysłał? Jezusowo?

- Bruksela. *Odlóż broń, Frank.*

Jednak tamten nawet nie drgnął. Mógłby być zatrzymanym hologramem. Nawet zmarszczka na czole nie zmieniła położenia. Może trochę się pogłębiła, jakby Gray próbował zrozumieć, jak do tego doszło. - Znam cię, prawda? - odezwał się nagle. - Marceau, tak? Facet z loterii?

*Niech mówi.*

- Blisko. Marsalis. Podoba mi się twoja nowa twarz.

- Doprawdy? - Smith wciąż zwisał luźno w jego opuszczonej przy boku ręce. Carl zastanawiał się, czy Gray został już osiatkowany. Jeśli tak, miałyby to wpływ na jego szybkość, ale nie w tym tkwił prawdziwy problem. Miałyby to istotny wpływ na nastawienie Graya. - Wiesz, próbuję się dopasować. *Deru kui wa utareru.*

- Nie sędzę.

- Nie? - I powolny, groźny uśmieszek, którego Carl miał nadzieję nie zobaczyć.

- Nigdy nie miałeś zamiaru dać się wtłoczyć, Frank. Żaden z nas nie chce, na tym polega nasz problem. I masz paskudny akcent w japońskim. Chcesz mojej rady? Lepiej wypowiadaj swoje mądrości ludowe po angielsku.

- Nie chcę. - Uśmiech Graya przerodził się w szerokie wyszczerzenie zębów. Poddawał się prochom. - To znaczy, nie chcę twojej rady.

- Czemu nie odłożysz broni, Frank?

- Chcesz cholernej listy?

- Frank. - Carl stał w absolutnym bezruchu. - Spójrz na moją dłoń. Ta broń to haag. Nawet, jeśli mnie dostaniesz, wystarczy, że cię drasnę. I po wszystkim. Może spróbujesz coś uratować?

- Tak jak ty? - Gray potrząsnął głową. - Nie będę niczym psem, oenzetowcu.

- Och, dorośnij, Frank. - Zaskoczył go nagły gniew we własnym głosie. - Wszyscy jesteśmy czyimiś psami. Chcesz zginąć, proszę bardzo, zmusz mnie do tego. Zapłacą mi tyle samo.

Gray wyraźnie się sprężył.

- Tak, założę się, że owszem.

Carl opanował własne uczucia. Wolną ręką wykonał powolny, uspokajający ruch.

- Słuchaj...

- Niczego nie będę słuchać. - Bezlitosny uśmiech. - Znam swoje szanse. Trzech eurogliniarzy, paru stanowych żołnierzy Jezusowa. Myślisz, że nie wiem, co to znaczy?

- Człowieku, to Bruksela. Mają tu jurysdykcję. Nie musisz ginąć. Zamkną cię, ale...

- Właśnie, zamkną mnie. Siedziałeś kiedyś w obozie?

- Nie. Ale to nie może być wiele gorsze od Marsa, a tam właśnie się wybierałeś.

Gray potrząsnął głową.

- Błąd. Na Marsie będę wolny.

- To wcale nie tak, Frank.

Gaby rzuciła się na niego z krzykiem.

Nie miała do przebycia dużej odległości i zanim ją zastrzelił, pokonała już połowę, z uniesionymi rękami i palcami ustawionymi jak szpony. Haag kaszlnął głęboko, a pocisk trafił ją gdzieś w okolicy prawego obojczyka. Uderzenie wykręciło Gaby i rzuciło ją na Graya, który unosił już swojego smitha. Udało mu się wystrzelić z ogłuszającym w tak małym pomieszczeniu hukiem i wybić potężną dziurę w ścianie obok lewego ucha Carla. Ogłuszony i trafiony w twarz odłamkami Carl rzucił się niezgrabnie w bok i posłał w przeciwnika cztery pociski. Gray zatoczył się do tyłu jak bokser pod silnymi ciosami, uderzył w ścianę, po czym zsunął się na podłogę do pozycji siedzącej. Pistolet wciąż zaciskał w dłoni. Patrzył przez chwilę na Carla, a ten, podchodząc ostrożnie, strzelił mu jeszcze dwukrotnie w pierś. Potem przyglądał się uważnie, z wciąż wycelowaną bronią, aż z oczu Graya uleciało życie.

Konto biotechnu - zamknięte.

Na podłodze Gaby próbowała się podnieść i poślizgnęła się na własnej krwi. Rana na jej ramieniu broczyła obficie, krwią spływającą po ręce na barwny dywan. Pociski haaga zaprojektowano tak, by zostawały w ciele - ściana za Grayem była nietknięta - ale wchodząc, robiły straszny bałagan. Popatrzyła na niego, gulgocząc coś ze strachem.

Potrząsnął głową.

- Pójdę po jakąś pomoc - powiedział w quechua.

Ominął ją, podszedł do frontowych drzwi i je otworzył.

Potem, w promieniach słońca dochodzących z zewnątrz, obrócił się cicho i strzelił do niej jeszcze raz, w tył głowy.



## ROZDZIAŁ 2

Oczywiście aresztowali go.

Przyciągnięty odgłosami strzelaniny, przybiegł oddział opancerzonych ochroniarzy obozu, kryjąc się za rogami budynków i stojącymi pojazdami niczym grupa żuków wielkości człowieka. Słońce lśniło na ich matowych niebieskich pancerzach i hełmach, błyskało na krótkich lufach karabinków szturmowych. Byli też cisi jak żuki - najprawdopodobniej ich wyposażenie obejmowało nie tylko broń i pancerze, ale również mikrofony indukcyjne oraz sprzęt łączności. Carl wyobraził sobie, jak to wygląda z ich strony. Przyciszone, pełne szoku głosy w słuchawkach. Obraz zza gogli.

Zastali Carla siedzącego ze skrzyżowanymi nogami we frontowych drzwiach domku, z pustymi dłońmi wystawionymi na zewnątrz. Była to pozycja medytacyjna tanindo, której nauczył się od Sutherlanda, jednak daleko mu było do medytacji. Mijały właśnie skutki działania siatki i zaczynał z powrotem czuć ból w zranionym boku. Kontrolował go oddechem i utrzymywał ciało w bezruchu. Uważnie przyglądał się, jak oddział ochrony posuwa się ulicą w jego stronę. Swojego haaga i licencję Agencji położył na ulicy dobre cztery czy pięć metrów od miejsca, w którym usiadł, i gdy tylko pierwsza z opancerzonych postaci podeszła bliżej z karabinem zwieszonym na ramieniu, powoli unióśł ręce nad głowę. Chłopak w pancerzu ochronnym oddychał gwałtownie, a młoda twarz widoczna zza gogli i hełmu zdradzała stres.

- Jestem agentem licencjonowania genetycznego - Carl głośno wyrecytował po hiszpańsku - zatrudnionym na kontrakcie przez ONZALG. Tam na ulicy, obok broni, leżą moje dokumenty. Jestem nieuzbrojony.

Podeszła reszta drużyny, wciąż z trzymaną czujnie bronią. Wszyscy mieli po dwadzieścia parę lat. Nieco starszy dowódca oddziału zbliżył się i wziął papiery, ale jego spocona twarz wcale nie zdradzała pewności siebie. Carl siedział nieruchomo i wciąż powtarzał swoje słowa. Musiał się do nich przebić, zanim zajrzą do środka domku. Musiał zyskać jakiś autorytet, choćby pożyczony. Za nowoczesnym sprzętem do tłumienia zamieszek kryli się poborowi, tacy sami jak ci, którzy go tu przywieźli. Większość z nich skończyła szkołę w wieku czternastu lat, część pewnie jeszcze wcześniej. Są europejski mógł nic dla nich nie znaczyć, a ich stosunek do ONZ mógł być w

najlepszym razie ambiwalentny, jednak licencja Agencji stanowiła imponujący kawał plastiku i holoprojekcji. Jeśli będzie miał szczęście, to może przeważyć, gdy znajdą ciała.

Dowódca grupy opuścił karabin, klęknął obok licencji i ją podniósł. Przechylił holozdjęcie, porównując je z twarzą Carla. Wstał i ostrożnie szturchnął pistolet Haag czubkiem buta.

- Słyszeliśmy strzały - powiedział.

- Zgadza się. Usiłowałem aresztować dwoje podejrzanych w sprawie ONZALG, ale mnie zaatakowali. Oboje nie żyją.

Wymiana spojrzeń między młodzieńcami w hełmach. Kapitan kiwnął na dwójkę z oddziału, chłopaka i dziewczynę, a ci podeszli do drzwi budynek. Dziewczyna wykrzyknęła ostrzeżenie do wnętrza.

- Nie ma tam nikogo żywego - zapewnił ich Carl. - Naprawdę.

Dwójka policjantów pokonała drzwi w podręcznikowy sposób, wpadając do środka i zwiedzając pokoje, przed każdym wyrzaskując niepotrzebne wezwania do poddania się. Reszta czekała, z bronią wciąż wycelowaną w Carla. W końcu kobieta wyszła z domu z karabinem szturmowym przewieszonym przez ramię, podeszła do kapitana i zaczęła mówić mu coś szeptem. Carl widział, jak twarz mężczyzny ciemnieje z wściekłości. Gdy dziewczyna skończyła raport, kiwnął głową i ściągnął okulary przeciwsłoneczne. Carl westchnął i przyjął zwyczajowe spojrzenie. Ta sama mieszanka strachu i obrzydzenia. I młody człowiek odpinał już od pasa niebieskie, plastikowe kajdanki. Wskazał na Carla jak na coś brudnego.

- Wstawaj - powiedział zimno. - I dawaj cholerne ręce za plecy.

\* \* \*

Zanim znów go rozciąli, stracił czucie w palcach, a stawy barkowe bolały go od prób mocniejszego ściśnięcia nadgarstków. Pętlę zadzierzgnęli z dziką siłą - nawet zaciśnięcie przy tym pięści nie zapewniło mu odrobiny luzu, a naturalne napięcie ramion rozsuwało mu nadgarstki, więc jak by się nie ustawił, plastik wrzynał się w ciało. Biorąc pod uwagę ranę w boku, tylko tego mu brakowało.

Znaleźli ranę, gdy go przeszukiwali, ale bardziej byli zainteresowani opróżnieniem mu kieszeni niż leczeniem jego obrażeń. Nie ściągnęli kajdanek. Przypuszczał, że nie obchodziło ich, w jakim jest stanie, jeśli tylko nie umrze w areszcie. W centrum ochrony obozu rozciąli mu ubranie. Obojętny medyk obmacał jego ranę, uznał, że jest powierzchowna, natryśnął na nią antybiotyk, skleił i przyłożył plaster. Żadnych środków

przeciwbólowych. Potem wsadzili go do plastikowej, lekko śmierdzącej szczynami celi, a dyrektor GH przez dwie godziny udawał, że ma na głowie ważniejsze sprawy niż dwa zabójstwa w swoim obozie.

Carl spędził ten czas, odtwarzając swoją konfrontację z Grayem i szukając sposobu na takie jej rozegranie, w którym Gaby nie musiała zginąć. Oceniał podejścia, użyte słowa, sposób, w jaki potoczyła się rozmowa. Tuzin razy dochodził do tego samego wniosku. Był tylko jeden sposób na ocalenie życia Gaby, a mianowicie zastrzelenie Graya w chwili, gdy tylko wyszedł z łazienki.

Wiedział, że Sutherland by się wkurzył.

*Nie ma czegoś takiego jak podróże w czasie, burknął kiedyś cierpliwie. Żyjesz po prostu z tym, co zrobiłeś, i w przyszłości próbujesz robić tylko to, z czym jest ci dobrze. Na tym to wszystko polega. Wchłaniaj, to wszystko.*

Niesione wspomnieniami wróciły do Carla jego własne myśli.

*Nie chcę już tego więcej robić.*

W końcu przyszło po niego dwóch ochroniarzy, mężczyźni bez pancerzy. Zabrali go z celi, nie zdejmując kajdanek, po czym wzięli go do małego biura na drugim końcu budynku. Dyrektor obozu siedział za biurkiem w rogu i machając nogą przyglądał się, jak bezceremonialnie uwalniają Carla. Wyciśnięty z tubki rozpuszczalnik kapnął mu na skórę, przypalając ją. Miał wrażenie, że to nie był przypadek.

- Bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego - dyrektor odezwał się po angielsku bez śladu żalu. Był dość typowym, wysokim białym facetem po czterdziestce, w swobodnym stroju dobrej firmy. Z wcześniejszego wywiadu Carl wiedział, że nazywa się Axel Bailey, ale nie przedstawił się, tak samo jak nie wyciągnął ręki.

- Mnie też.

- Tak, najwyraźniej niepotrzebnie pana aresztowano. Gdyby jednak zgłosił się pan do nas, zanim zaczął pan się bawić w detektywa w moim obozie, moglibyśmy uniknąć wielu nieprzyjemności.

Carl nie odpowiedział, po prostu rozcierał dłonie i czekał na ból, gdy ręce odnowią znajomość z krążeniem krwi.

Bailey odchrząknął.

- Cóż, więc potwierdziliśmy, że Rodriguez faktycznie był osobą, o której pan mówi. Wygląda na to, że udało mu się oszukać nasze procedury. W każdym razie pańskie biuro chce, żeby skontaktował się pan z nimi w celu zdania wstępnego raportu dotyczącego strzelaniny, ale ponieważ nie

zamierzamy kwestionować jurysdykcji, oczywiście na tym etapie nie ma potrzeby dalszych działań. Chciałbym jednak uzyskać pańskie zapewnienie, że złoży pan pełny raport w INKOL informujący o naszej współpracy, gdy tylko wróci pan do Londynu. Jeśli to wszystko, jest pan wolny. Właściwie to nawet możemy panu pomóc w znalezieniu transportu.

Carl kiwnął głową. W palcach uaktywniły się pierwsze igły bólu.

- Rozumiem. Chce pan, żebym zniknął, zanim pojawią się tu dziennikarze.

Bailey zacisnął usta w wąską kreskę.

- Zostanie pan przewieziony helikopterem wprost do Arequipy - oświadczył z naciskiem - gdzie będzie pan mógł złapać połączenie do domu. Proszę uznać to za gest dobrej woli. Na miejscu zostaną panu zwrócone licencja i pistolet.

- Nie. - Carl potrząsnął głową. Zgodnie z mandatem ONZALG teoretycznie i tak mógł zażądać wywiezienia helikopterem. Teoretycznie. - Sam mi pan odda moją licencję i pistolet, i to teraz.

- Przepr...

- Pistolet Haag jest własnością ONZALG. Nie wolno go posiadać żadnej nieupoważnionej osobie. Proszę mi go przynieść.

Bailey przestał machać nogą. Przez chwilę patrzył Carlowi w oczy, prawdopodobnie zobaczył w nich to, co się tam kryło, po czym odchrząknął. Kiwnął głową w stronę jednego z ochroniarzy, wyraźnie odczytując jego nazwisko z plakietki na kieszeni munduru.

- Ach, Sanchez. Idź i przynieś rzeczy pana Marsalisa.

Strażnik odwrócił się w stronę wyjścia.

- Nie. - Carl zerknął na Sancheza, który znieruchomiał z ręką na klamce. Wiedział, że zachowuje się dziecinnie, ale nie potrafił się powstrzymać. Spojrzał z powrotem na dyrektora. - Powiedziałem, że *pan* ma mi go przynieść.

Bailey się zaczerwienił. Zerwał się z miejsca, opierając się o brzeg biurka.

- Słuchaj no, Marsalis, nie moż...

Carl objął boleśnie zdrętwiałą pięść drugą dłonią. Skrzywił się. Głos dyrektora ucichł.

- Idź i przynieś mi go - cicho powtórzył Carl.

Chwila zawisła i pękła. Wciąż zaczerwieniony po czubek starannie uczesanej głowy Bailey przepchnął się obok i otworzył drzwi.

- Pilnujcie go - warknął na strażników i wyszedł. Carl zauważył wymianę uśmieszek między mężczyznami. Przez chwilę rozcierał pięść, potem zamienił dłonie.

- To, który z was tak humanitarnie poczęstował mnie rozpuszczalnikiem?

Uśmiechy zmieniły się we wrogą czujność i sztywną ciszę trwającą do czasu, aż Bailey wrócił z jego rzeczami i dokumentami do podpisania.

- Będzie pan musiał to pokwitować - rzucił chmurnie.

Ochrona obozu zapakowała wszystko w czterdziestocentymetrowej szerokości taśmę izolacyjną, z każdym przedmiotem szczelnie zamkniętym próżniowo w plastiku. Carl wziął taśmę, rozwinął ją na biurku i sprawdził, czy niczego nie brakuje. Wskazał na klucz do szafki.

- To do szafki na dworcu autobusowym - wyjaśnił. - W środku jest moja torba.

- Może ją pan zabrać w drodze do helikoptera - odpowiedział Bailey i niecierpliwie przesunął w jego stronę dokumenty. - Moi ludzie pana odprowadzą.

Carl wziął formularz, położył go na biurku, oderwał osłonkę aktywacyjną z naklejki holorejestratora w rogu i nachylił się nad nim.

- Carl Marsalis, SIN s810dr576 - wyrecytował z wieloletnią wprawą kod autoryzacyjny ONZALG 31 nefryt. Niniejszym oświadczam, że przedmioty na liście w pełni odpowiadają stanowi posiadania zabranemu mi przez ochronę obozu GH 18 czerwca 2107 i zwróconymi mi tego samego dnia.

Kciukiem zapieczętował dysk i odepchnął go od siebie po powierzchni biurka. W chwili, gdy recytował poświadczenie, opanowało go dziwne, duszące uczucie, jakby to on został zapakowany próżniowo w plastik, a nie jego rzeczy.

*Nie chcę już tego więcej robić.*

Nie, to nie to. Spojrzał w górę i zauważył sposób, w jaki patrzyli na niego Bailey i dwaj strażnicy.

*Nie chcę już więcej tym być.*

\* \* \*

I tak.

Helikopter wywiózł go z obozu, skręcając nad lśniącym błękitem jeziora, a potem przelatując nad ciemnymi, pięknymi górami w drodze z Altiplano do Arequipy. Helikoptery takie jak ten wyposażono w inteligentne systemy nawigacyjne działające na bazie aktualizowanego w czasie rzeczywistym satelitarnego modelu terenu i pogody, co oznaczało, że leciały praktycznie

same. Mimo wszystko pilot uparcie ignorował go przez cały lot. Carl siedział samotnie w przedziale pasażerskim i wyglądał przez okno na krajobraz w dole, luźno dopasowując go do wspomnień z Marsa. Podobieństwa były oczywiste - INKOL symulował tu nie tylko rozrzedzone powietrze - ale mimo wszystko to wciąż był dom, z błękitnym niebem w górze i szerokim horyzontem dużej planety oraz działającym na kości solidnym ciężeniem jednego g.

*Nie akceptujcie namiastek, przemknęły mu przez głowę slogany z nadajników politycznych partii Najpierw Ziemia. Nie słuchajcie korporacyjnych reklam. Stąpajcie twardo po ziemi. Walczcie o lepsze życie tutaj i lepszy świat teraz.*

Na lotnisku w Arequipie użył swoich papierów ONZALG do zdobycia miejsca sypialnego na pokładzie pierwszego bezpośredniego poziomego lotu do Miami, liniami Deltę. Wolałby lot suborbitalny, ale w tym celu nadal trzeba było pojechać do Limy, co prawdopodobnie nie było warte dodatkowego czasu i zachodu. W ten sposób przynajmniej będzie mógł odpocząć. Zostało mu około godziny do odlotu, kupił, więc kodeinę spod lady, wziął podwójną zalecaną dawkę i docisnął ją byle czym z baru Korporacji Wołowej Buenos Aires. Jadł niespiesznie na tarasie obserwacyjnym, nie czując smaku, oglądając ośnieżony, wulkaniczny stożek El Misti i zastanawiając się, czy naprawdę gdzieś tam nie było czegoś, czym mógłby zarabiać na życie.

*Jasne. Po powrocie idź pogadaj z Zooley może będzie miała wolne stanowisko bramkarza.*

Kwaśny uśmiech. Zaczęli zwoływać pasażerów na jego lot. Dokończył zimne pozostałości pampaburgera *ole*, wytarł palce i poszedł.

Podczas lotu źle spał - męczyły go sny z cichymi korytarzami „Felipe Souzy” i ślad przerażenia, że w ciszy niskiego ciężenia sunie za nim duch Gaby o twarzy spokojnej i w cudowny sposób niezniekształconej przez śmiertelny strzał, z mózgiem wyciekającym przez otwór z tyłu jej czaszki. Wariacje na temat, ale nic nowego - po prostu zazwyczaj w opuszczonym statku kosmicznym unosiła się za nim inna kobieta, nigdy go nie dotykając, szepcząc sycząco do ucha tuż powyżej progu słyszalności.

Ze snu wyrwał go komunikat pilota informujący, że schodzą do lądowania, ale port został zamknięty ze względów bezpieczeństwa, więc w najbliższym czasie nie wystartują żadne samoloty. Informacje o lokalnych hotelach dostępne są za pośrednictwem...

*Szlag.*

Prom suborbitalny Virgin zawiózłby go nad Londyn czterdzieści pięć minut po starcie z Miami. Mógłby wrócić do domu na kolację w Banners i wylądować we własnym łóżku pod osłoniętym drzewami okapem mieszkania na Crouch End. Mógłby obudzić się następnego ranka przy śpiewie ptaków i promieniach słońca przebijających się przez chmury i liście. Wreszcie trochę urlopu na Wyspach - przy jego ranie Agencja nie miałaby wyboru - i cały Atlantyk między nim a emocjonalną topografią marsjańskich obozów przygotowawczych.

Zamiast tego poniósł swoją walizkę wzdłuż szerokich, jasno oświetlonych hal pełnych olbrzymich ekranów holograficznych doradzających **MYŚLISZ, ŻE TO TYLKO CZERWONE SKAŁY I ŚLUZY? ZASTANÓW SIĘ** oraz **NA MARSA WYSYŁAMY TYLKO NAJLEPSZYCH**. Miami było punktem przesiadkowym Ameryk, a to oznaczało, że każda firma biorąca udział w Inicjatywie Kolonizacyjnej Państw Zachodu miała tu swoje centrum. Kilka lat temu przeczytał oszacowania jakiejś dziennikarki, której udało się dostać więcej mocy obliczeniowej, niż na to zasługiwała. Według niej *obecnie co siódma osoba przechodząca przez lotnisko międzynarodowe Miami przylatuje tu w sprawie związanej bezpośrednio lub pośrednio z Marsem i programem INKOL. Ta ilość musi wzrosnąć*. Dziś była to pewnie jedna osoba na cztery.

Jechał ruchomymi chodnikami i schodami przez to wszystko, wciąż czując się trochę otępiały po kodeinie. Po drugiej stronie kompleksu terminalu wszedł do nowego Marriotta, wziął pokój z widokiem na lotnisko i z menu usług zamówił wizytę lekarską. Wszystko to na koszt Agencji. Jako pracownik kontraktowy miał dość ograniczone konto kredytowe - jego praca i tak w większości wymagała płacenia gotówką lub waflami, które później odbierał sobie w ramach honorarium - ale biorąc pod uwagę, że nawet w najgorszym wypadku do zamknięcia sprawy Graya zostało kilka dni, wciąż miał na koncie sporo środków.

Czas z nich skorzystać.

W pokoju ściągnął z siebie kurtkę i weblarową kolczugę, rzucił przepocone ubrania na stertę na podłodze i przez piętnaście minut moczył się pod prysznicem. Siatka schowała się z powrotem do swojego legowiska w kręgosłupie, a Carl stanowił jedną wielką listę siniaków odczuwanych przez coraz cieńszą warstwę kodeinowej osłony. Sklejona rana w boku rwała go przy każdym ruchu.

Osuszył się wielkim, puszystym ręcznikiem Marriotta i zakładał właśnie najczystsze ze swoich znoszonych spodni, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Złapał T-shirta, spojrział w dół na ranę i wzruszył ramionami. Ubieranie się nie miało sensu. Ponownie rzucił koszulkę i podszedł do drzwi nagi do pasa.

Hotelowym lekarzem okazała się być bardzo ładna Latynoska, która zapewne zaliczyła praktykę w jakimś republikańskim szpitalu w centrum, bo na widok rany ledwie uniosła jedną ze starannie wypielegnowanych brwi.

- Pan od dawna w Miami? - zapytała.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- To się nie stało tutaj. Właśnie przyleciałem.

- Rozumiem - odparła, ale nie odpowiedziała uśmiechem. Stanęła za nim i długimi, chłodnymi palcami zaczęła obmacywać ciało wokół rany, sprawdzając klej. Nie była przy tym zbyt delikatna. - A więc jest pan jednym z naszych wspaniałych doradców wojskowych?

Przeszedł na angielski.

- Co, z takim akcentem?

Lekkie skrzywienie ust, gdy obeszła go i stanęła z przodu.

- Pan jest Anglikiem? Przepraszam, myślałam...

- Nic nie szkodzi. Też nie lubię sukinsynów. - Wolał nie wspominać, że zabił jednego w zeszłym roku w barze w Caracas. Przynajmniej na razie. Przeszedł z powrotem na hiszpański. - Ma pani rodzinę w Wenezueli?

- W Kolumbii. Ale to ta sama historia, tylko z koką, a nie ropą. I dłużej. Toczy się, od kiedy moi dziadkowie wyjechali, i nigdy się nie zmieni. - Podeszła do zostawionej na stoliku torby i wyciągnęła ręczny sonograf. - Nie uwierzyłby pan w niektóre rzeczy, jakie opowiadają mi kuzyni.

Carl pomyślał o mundurach widzianych na ulicach Bogoty parę tygodni temu. I o doraźnej egzekucji, której był świadkiem.

- Przeciwnie, uwierzyłbym - zapewnił.

Uklękła przed nim i znów dotknęła rany, tym razem delikatniej. Co dziwne, jej palce wydawały się cieplejsze. Przesunęła sonograf kilka razy po ciele, po czym wstała. Złapał przy tym zapach jej ciała, a ona równocześnie spojrzała mu w oczy i zauważyła, co robi. Przez chwilę rozbrzmiało między nimi napięcie, po czym dziewczyna wycofała się do swojej torby. Wyciągnęła z niej opatrunki i odchrząknęła, unosząc brwi i uciekając spojrzeniem przed tym, co się właśnie stało.

- Nie mogę dla pana zrobić wiele więcej ponad to, co już zrobiono - stwierdziła trochę pospiesznie. - Ktokolwiek to lepił, znał się na rzeczy. To



dobra robota, rana powinna szybko się zagoić. Opryskali ją?

- Owszem.

- Chce pan coś przeciwbólowego?

- Panuję nad bólem.

- Cóż, jeśli pan woli, założę panu nowy opatrunek, chyba, że chce pan iść pod prysznic.

- Zrobiłem to przed chwilą.

- Dobrze, w takim razie mogę zostawić...

- Zjadłaby pani ze mną kolację?

Uśmiechnęła się elegancko.

- Jestem mężatką - oświadczyła, wyciągając dłoń z prostą złotą obrączką.

- Nie robię takich rzeczy.

- Och, przepraszam. Nie zauważyłem - skłamał.

- Żaden problem. - Znów się uśmiechnęła, ale ze śladem niedowierzania, a ton jej głosu zdradzał, że nie dała się oszukać. - Jest pan pewien, że nie chce żadnych środków przeciwbólowych? Zamierzam obciążyć pana minimalną stawką, i tak wchodzi w zakres usługi.

- Dziękuję, nie trzeba - zapewnił.

Spakowała swoją torbę, posłała mu jeszcze jeden uśmiech i zostawiła go, żeby sam sobie założył opatrunek.

\* \* \*

Wyszedł.

Zapewne nie było to zbyt mądre, ale pchało go zmysłowe wspomnienie nieosiągalnej pani doktor. Jej palce na nim, jej zapach, głos. Sposób, w jaki przed nim klęczała.

Automatyczna taksówka zabrała go na wschód od lotniska, sunąc szerokimi, wielopasmowymi ulicami. Większość lokali wciąż była otwarta - blask paneli LCSL od frontów zapraszał, ale wciąż wydawał się dziwnie odległy, jak światła nadbrzeżnego miasta widziane z morza. Przypuszczał, że to kodeina, może w połączeniu z czymś z siatki. Przez chwilę z satysfakcją przyglądał się, jak wszystko przemija. Potem, gdy ruch zaczął gęstnieć, wysiadł w przypadkowym miejscu, gdzie światła wydawały się najjaskrawsze. Aleja nazwana ku czci jakiegoś bohatera z czasów Odzyskania Kuby, z przymocowaną do cegieł na rogu brązową tabliczką z przycółkiem i bagnetami. Z szeroko otwartych drzwi wylewał się remiks klasyka Zequiny i Reyesa, wewnątrz i na ulicy wokół Carla prężyły się opalone ciała. Było ciepło i parno, a ubrania skurczyły się do strojów

kąpielowych z powiewających pasków jedwabiu u kobiet i lnianych lub skórzanych spodni oraz szerokich, nagich klat u mężczyzn. Kolorem skóry Carl mógł się świetnie wtopić - była to jedna z niewielu rzeczy, które podobały mu się w Miami - ale wszystko psuł jego strój. Płócienne spodnie, najłżejsze buty do wędrówki i T-shirt z czasów gorączki Bradbury'ego w 97. Wyglądał jak cholerny turysta.

W końcu, zmęczony wrogimi spojrzeniami lokalnych uczestników ulicznego życia mówiącymi *nie pasujesz tu*, zszedł z głównej ulicy i zanurzył się w półmroku klubu o nazwie Picante. Miejsce było obskurne i prawie puste, równie odległe od jego marzeń o zwieńczeniu wieczoru jak reklama przed barem w Garrod Horkan 9 od rzeczywistości Karaibów. W głębi umysłu kłębiły się obrazy jak z kreskówki, w których spotyka latynoamerykańską lekarzkę - cóż, przynajmniej jej bliski odpowiednik - w jakimś eleganckim barze salsa pełnym światła z dyskotekowych reflektorów, odbijającego się na koktajlowych szklankach i perfekcyjnych zębach. Przejście do spokojnego, pogrążonego w łagodnym półmroku miejsca zapewniającego większą intymność, równie wysokiej klasy, a potem już prosto do jej domu, gdziekolwiek by nie był. Świeża pościel na wielkim łóżku i okrzyk kobiety w szczycie orgazmu. Cichnący, potem odległy, chwilowy komfort nocy w domu nieznannej kobiety.

*Cóż, masz przynajmniej cienie*, przyznał z kwaśnym uśmiechem. W Picante zainstalowano kilka tanecznych paneli LCLS, niewiele większych niż jego hotelowa łazienka, tradycyjny prosty bar i oświetlenie ścienne, które sprawiało wrażenie zaprojektowanego z myślą o garści dość oczywistych prostytutek, siedzących przy stołach przy papierosach i drinkach w oczekiwaniu na zaproszenie do tańca. Carl zamówił sobie drinka - nie mieli Red Stripe'a, więc zdecydował się na coś, co nazywało się Torero, i już po chwili tego żałował - i usadowił się przy barze koło drzwi. Mogła to być zawodowa ostrożność albo po prostu dziwny komfort zapewniany przez możliwość obserwacji ulicy - poczucie, że nie musi tu zostać, jeśli nie będzie miał ochoty.

Jednak wciąż tam był prawie godzinę później, gdy weszła i usiadła obok niego przy barze. Barman zbliżył się, polerując szklankę.

- Cześć. Daj mi whiskey z colą. I dużo lodu. Cześć.

Carl zdał sobie sprawę, że to ostatnie skierowano do niego. Podniósł wzrok znad resztek kolejnego piwa i kiwnął głową, próbując w słabym świetle dokonać kalibracji. Próbując zdecydować, czy dziewczyna pracuje.

- Nie wyglądasz, jakbyś się świetnie bawił - zauważyła.
- Nie wyglądam?
- Nie.

Nie była to *doctor a* z Marriotta - miała ostrzejszą i bledszą twarz, mniej obfite krągłości, a metyskie włosy nie były tak zadbane. Nie miała też ślubnej obrączki, po prostu kilka tanich i ozdobnych srebrnych pierścionków na palcach obu dłoni. Obcisły gorset wyglądał, jakby zrobiono go z rzeźbionego metalu, kończył się tuż pod pachami i ostro kontrastował z ciemną, niezbyt obcisłą spódnicą. Do tego obowiązkowe wysokie obcasy. Pokazywała całkiem sporo jędrnego ciała w kolorze kawy - uda poniżej spódnicy, ramiona i krzywiznę podniesionych piersi nad gorsetem oraz pasek brzucha między dwoma elementami garderoby, jednak nie więcej niż przeciętnie jak na ten upał, więc nie musiało to nic znaczyć. Makijażu trochę za dużo, poza tym niezbyt dobrze ukrywał pory z boku jej nosa. Tak, pracowała. Przestał próbować się oszukiwać, przez chwilę wahał się przed podjęciem decyzji jak skoczek w drzwiach samolotu, a potem puścił.

- Właśnie przyleciałem - powiedział. - Podróż służbowa. Wciąż jeszcze nie doszedłem do siebie.

- Tak? - Przechyliła głowę na bok i założyła nogę na nogę. Spódnica podjechała do góry. - Może ci w tym pomóc?

\* \* \*

Później, gdzie indziej i uwolniony z napięcia, jakby to była para ciasnych skórzanych spodni, których nie potrafił zdjąć sam, leżał oparty o zagłówek i przyglądał się dziewczynie, jak chodzi po białym sześcianie pokoju. Od brzegu łóżka do drzwi łazienki nie było wiele więcej niż metr, ale miał wrażenie, jakby wkroczyła do innego wszechświata. Wszystko, co robiła, zdawało się odbywać w olbrzymiej odległości, nawet odgłosy z łazienki: plusk wody, stuki przyborów kosmetycznych, były jakoś przyciszone, jakby dobiegały przez grubą szklaną szybę w jakimś ciasnym wiwarium obcoplanetarnego zoo.

*Przyjdźcie obejrzyć ludzi.*

*Zobaczcie, jak uprawiają gody w naturalnym otoczeniu.*

Przebiegł przez niego grymas, ukryty zbyt głęboko, by odbić się w mięśniach twarzy.

*Zobaczcie rytuał irygacyjny samicy po stosunku.*

Kolejny dreszcz powiedział mu, żeby wstać z łóżka, ubrać się i wynosić w cholerę. Naprawdę nie miał tu już nic do roboty. Skasowała jego wafel,

gdy tylko przeszli przez drzwi - przeciągnęła go przez szczelinę czytnika z tą samą cyniczną wprawą, jakiej użyła później przy natryśnięciu prezerwatywą jego nabrzmiałego penisa i wsunięciu go w siebie. Potem dostał trochę podstawowych sztuczek z płatnych kanałów - ssanie własnych palców, gdy wbijał się w nią, ściskanie piersi - kilka dobrze odmierzonych zmian pozycji i serię gardłowych jęków tuż przed jego orgazmem. Teraz, gdy pocięte liśćmi drzew światła ulicy przesuwają żółtawe cienie po ścianach i suficie ciemnego pokoju, a alkaliczny zapach świeżo odbytego stosunku wypełzał z pościeli splątanej przy jego pasie, nagle poczuł się stary, zmęczony i chory. Znów zaczęła boleć rana w boku i odniósł wrażenie, że opatrunek zaczyna się odrywać.

Zamiar dotarł wreszcie do jego systemu ruchowego. Carl usiadł i spuścił nogi z brzegu łóżka. Z wszechświata łazienki dobiegł odgłos spuszczenia wody w toalecie. Z jakiegoś powodu dźwięk go pogonił i zanim wyszła ze środka, znalazł swoje spodnie i zaczął je zakładać.

- Idziesz? - zapytała tępo.

- Tak, chyba już na mnie pora. - Zdjął swoją koszulkę z oparcia sofy i naciągnął ją na siebie. - Jestem zmęczony, a ty, cóż, pewnie musisz jeszcze gdzieś iść, prawda?

Cisza. Stała tam, patrząc na niego. Usłyszał cichy odgłos jakby kliknięcia, potem głośniejsze przełknięcie śliny. Nagle zdał sobie sprawę, że kobieta w mroku płacze. Znieruchomiał, zaskoczony, z na wpół wciągniętą koszulką, patrząc na nią. Dobiegło go łkanie. Odwróciła się od niego, obejmując się ramionami.

- Słuchaj - odezwał się.

- Nie, idź. - Głos był twardy i prawie niezniekształcony łzami, zapewne wyszkolony przez uprawiany zawód. Nie usiłowała go doić, chyba, że znacznie lepiej szło jej udawanie żalu niż seksualnej ekstazy. Stał za nią i popatrzył na niezgrabnie splątane strąki wilgotnych włosów.

Obrazy rozlatującego się tyłu głowy Gaby.

Skrzywił się i położył dłoń na jej ramieniu z wahaniem, które powinno być farsą po taniej intymności kupionej u niej dwadzieścia minut temu. Wzdrygnęła się lekko pod jego dotykiem.

- Jestem w ciąży - powiedziała.

Słowa odbiły się rykoszetem od skraju jego umysłu i przez chwilę sądził, że źle usłyszał. Potem, gdy tego nie powtórzyła, zdjął rękę z jej ramienia. Puskę sprayu Trojana wyciągnęła wcześniej z torebki z cyrkową

sprawnością i użyła jej na nim w taki sam sposób. Przyglądanie się temu było chłodno uspokajające, wrażenie, że - głupi uśmiezek - trafił w dobre ręce. Teraz ta sama durna część jego osobowości czuła się zdradzona tym przyznaniem do wcześniejszego błędu, prawie jakby oskarżała go, że ma z tym coś wspólnego.

- Cóż - zaryzykował. - To znaczy, nie możesz? No wiesz.

Jej ramiona zadygotały.

- Jesteśmy na Florydzie. To jest tutaj nielegalne już od dziesięcioleci. Trzeba pojechać do Unii albo na Wybrzeże, a ja nie mam takiej drogiej polisy. Nie wystarczyłoby mi, nawet gdybym sprzedała wszystko, co mam.

- I nie ma tu nikogo, kto...

- Nie słyszałeś? To cholernie *nielegalne*.

Obudziła się w nim odrobina profesjonalnej pewności siebie, wrażenie znalezienia się na własnym podwórku.

- Jasne, prawo nie ma z tym nic wspólnego. Nie o to pytałem. Zawsze są miejsca, gdzie możesz pójść.

Odwróciła się do niego, dłonią ścierając łzy z policzka. Powstałe przy tym smugi lśniły w świetle z ulicy wpadającym przez okna. Prychnęła.

- Jasne, miejsca, gdzie może *ty* możesz iść. Miejsca, gdzie może iść córka gubernatora. Myślisz, że mam takie pieniądze? A może myślisz, że chcę ryzykować czarnorynkową skrobankę, po której wrócę do domu, żeby umrzeć od krwotoku wewnętrznego albo zejść na zapaść enzymatyczną, bo nie chciało im się właściwie wykonać profilowania? Człowieku, skądś ty się urwał? Chorowanie kosztuje tutaj mnóstwo pieniędzy.

Miał już na końcu języka słowa odsyłające ją w diabły. To nie był jego problem, nie pisał się na to łajno. Zamiast tego znów zobaczył rozpadającą się głowę Gaby i jakby z dystansu usłyszał siebie pytającego cicho:

- Ile potrzebujesz?

*Pieprzyć to.*

Skierował rosnącą irytację na dziewczynę i na siebie, wycelował ją na północny wschód. *Niech cholerna ONZALG zapłaci dla odmiany za coś sensownego. Stać ich, do cholery. Niech ten gnojek di Palma spróbuje to kwestionować, jeśli się odważy.*

Gdy już ją uspokoił, uciszył jej płacz i uciął deklaracje wdzięczności, zanim zaczęły brzmieć pusto, wyjaśnił, że potrzebuje punktu dostępowego do ściągnięcia wafli kredytowych, których mogłaby użyć. A to mogło wymagać powrotu do hotelu. Słyszając to, dziewczyna zacisnęła dłoń na jego ramieniu i

domyślił się, że kieruje nią strach, że jeśli go straci z oczu, a przynajmniej wypuści z okolicy, Carl zmieni zdanie. Znała bezpieczny punkt dostępowy parę przecznic dalej, korzystali z niego czasami jej klienci z centrum. Mogła mu pokazać, gdzie to jest, choćby zaraz, tylko się ubierze, to zajmie moment.

Ulice były praktycznie opuszczone, okolica należała do tańszej wersji osiedli domków i o tej porze jej mieszkańcy albo siedzieli w domach, albo balowali w centrum. Wszystkie fronty sklepów były osłonięte przez metalowe rolety z jaskrawożółtymi nalepkami informującymi o ukrytych wewnątrz ładunkach przeciwwłamaniowych. Kilka barów wciąż było otwartych, wyblakłe neony świeciły nad ich wejściami niczym słabe miejskie latarnie. Przed jednym z nich zebrała się banda młodocianych zbirów opartych o ściany i zaparkowane samochody, groźnie przyglądając się nielicznym przechodniom. Carl poczuł, jak powoli i sugestywnie budzi się jego siatka. Zignorował ją i starał się unikać patrzenia w oczy. Objął dziewczynę ramieniem i odrobinę przyspieszył kroku. Oddalając się, usłyszał jak chłopcy rozmawiają o nim w ciężkim hiszpańskim dialekcie. Nie potrzebował przesadnej wyobraźni do rozpracowania tematu. *Pieprzeni turyści, cholerni obcokrajowcy, pieprzą nasze kobiety.* Odwieczny rant. Właściwie nie potrafił mieć do nich pretensji. Potem zniknęli za rogiem, a ich głosy zostały zastąpione muzyką z otwartego okna, ciężkim kubańskim jazzem brzmiącym, jakby ktoś grał na pianinie, używając tylko pięści.

Punkt dostępowy mieścił się w betonowej narośli dwa metry na dwa, przyklepionej do ściany sklepu niczym jakiś architektoniczny rak. Wyposażono go w solidne drzwi ze stopu tantalu, a wejście oświetlały mocno zakratowane panele LCLS u góry. Carl wszedł w ich światło i nieoczekiwanie poczuł się niczym jakiś artysta estradowy. Wystukał na klawiaturze swój ogólny kod dostępowy i drzwi się otworzyły. Stare wspomnienia i blizna z Caracas kazały mu wepchnąć dziewczynę do środka i aktywować zamknięcie, gdy tylko znaleźli się w środku. Drzwi się zatrzasnęły.

Wnętrze wyglądało praktycznie tak samo jak bezpieczne moduły, z których korzystał na całym świecie: czytnik siatkówki na elastycznym statywie, szeroki ekran z głośnikiem z boku i podajnikiem wafli powyżej, do tego podwójnej szerokości krzesło wyrastające z podłogi, raczej dla otyłych klientów, nie dla szukających intymności par. W każdym razie dziewczyna nie usiadła i ostentacyjnie nie patrzyła na ekran. Naprawdę była tu już z klientami.

- Dzień dobry panu - nieco skrzekliwie odezwał się punkt dostępowy. - Chciałby pan usłyszeć listę opcji dostępnych dla kii...

- Nie. - Carl założył sobie czytnik siatkówki, mrugnął kilka razy w soczewki i odczekał na dźwięk potwierdzenia skanu. Naszła go luźna myśl, co by się stało, gdyby kiedyś musiał zrobić to z podbitym okiem.

- Dziękuję panu. Ma pan teraz dostęp do swoich kont.

Wziął kredyt w dziesięciu waflach o ograniczonej pojemności, gdyż stwierdził, że dziewczyna nie będzie chciała zaufać nielegalnej klinice, płacąc jednorazowo całość z góry. Kiedy podawał jej wafle w ciasnej przestrzeni, zdał sobie sprawę, że nie zna nawet jej imienia. Kilka sekund później dotarło do niego, że właściwie wcale nie chce znać. W ciszy przyjęła wafle, patrząc na niego w taki sposób, iż pomyślał, że może zechcieć z wdzięczności zrobić mu tutaj loda. Jednak potem wyszeptała podziękowania głosem tak cichym, że prawie ich nie dosłyszał i zaczął się zastanawiać, czy nie jest po prostu kolejnym zboczonym draniem z przesadną wyobraźnią. Nacisnął blokadę zamka i drzwi otworzyły się z cichym sykiem. Wyszedł za nią na zewnątrz.

*- Dobra, stary! Rączki do góry, tak żebym je widział!*

Krzyk dobiegł go z lewej, a postacie, które na niego skoczyły, wyłoniły się z obu stron. Siatka momentalnie obudziła się do życia. Chwycił rękę, zablokował ją i rzucił właścicielem w stronę milknącego echa głosu. Przekleństwa i odgłosy upadku. Druga postać próbowała go unieruchomić, był w tym ślad jakiejś techniki, ale... szarpnął mocno, ściągnął osłaniające ramię w dół i wbił łokieć w twarz. Poczłł ustępujący nos. Napastnik krzyknął z bólu. Przewstał nogę, podsunął stopę i pchnął. Ten ze złamanym nosem poleciał na ziemię. Pojawił się kolejny, znów z lewej strony. Wykręcił się z drapieżnym uśmiechem i zgiętymi rękami i zobaczył swój cel. Masywny, ze skośnymi ramionami, typ podstarzałego zapaśnika. Carl zamarkował cios, po czym kopnął przeciwnika w brzuch. Płaczliwe stęknienie i wrażenie solidnego trafienia, ale impet męczyzny poniósł go do przodu i Carl musiał ostro uskoczyć w bok, by uniknąć powalenia.

Wtedy ktoś walnął go w głowę zza pleców.

Usłyszał nadchodzący cios, poczuł ruch powietrza przy uchu, zaczął się obracać w stronę ataku, ale było zbyt późno. Ekspłodowała w nim czerń pełna drobniutkich iskier. Wykręcił się i padł na ziemię w krystalicznym świetle punktu dostępowego. Przez chwilę nic nie widział, potem odzyskał wzrok. Nad nim pojawiła się kolejna masywna postać. Przez tęczę barw

zniekształcającą obraz zobaczył lufę broni i przestał się spinać.

- Policja obyczajowa Miami, dupku. Zostań na ziemi, bo wybiję ci dziurę w głowie.

Oczywiście, aresztowali go.



## ROZDZIAŁ 3

6:13

Pasma niskich chmur na splukanym niebie przedświt. Ostatnia nocna mżawka wciąż błyszczy na czarnych metalowych pancierzach promów, lśni na wiecznobetonowym lądowisku, a woda miejscami wciąż unosi się w powietrzu. Joey Driscoll wyszedł z kantyny, trzymając w dłoniach wysokie pojemniki samogrzejącej się kawy, szeroko rozstawiając ręce, jakby dla zachowania równowagi, z oczami przymkniętymi sennością końca zmiany. Jego usta rozdarło potężne ziewnięcie.

Syrena zawyła wznoszącą nutą, niczym groźba olbrzymiej wiertarki dentystycznej.

- Och, na litość...

Przez chwilę stał pełen zmęczonego niedowierzania - potem kubki z kawą upadły na wiecznobeton, a on biegł z rezygnacją do zbrojowni. Syreny w górze dotarły do końca swej nuty i po chwili przerwy na nowo podjęły śpiew. Duże panele LCLS w nadprożach hangaru rozjarzyły się błyskającą czerwienią. Po lewej przez ryk syren usłyszał głęboki hurgot uruchamianych turbin promów szybkiego reagowania. Nie więcej niż półtorej minuty do chwili osiągnięcia pełnych obrotów. Kolejne dwie na załadowanie załogi, a potem wystartują, podskakując na lądowisku jak psy próbujące urwać się z przykrótkiej smyczy. Każdy, kto spóźni się na pokład, ryzykuje utratą jaj.

Dotarł do drzwi zbrojowni w chwili, gdy ze środka wypadła Zdena w niedopiętej kamizelce taktycznej, przekrzywionym hełmie i z bronią wciąż niezaladowaną po zdjęciu ze stojaka. Gdy go zobaczyła, na jej słowiańskiej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Gdzie moja cholerna kawa, Joe? - Musiała przekrzyczeć syreny.

- Pływa po betonie. Chcesz ją, to idź wylizać. - Ze złością machnął w stronę syren. - No wiesz, cholera. Czterdzieści minut do końca zmiany i trafia się nam takie łajno.

- Za to nam płacą, kowboju.

Wsadziła magazynek do karabinu i go zabezpieczyła, po czym przycisnęła broń do długiej łaty samolepu na biodrze i skupiła się na zaciąganiu sprzączek kamizelki taktycznej. Joe precyzyjnie przycisnął się obok niej.

- To oni nam płacą?

W zbrojowni panował zgiełk alarmu. Tuzin ludzi krzyczących, przeklinających przestarzały sprzęt, śmiechem zwalniających napięcie. Joe chwycił kamizelkę i hełm ze sterty na blacie, ale nie zawracał sobie głowy ich zakładaniem. Doświadczenie nauczyło go robić to we wnętrzościach pojazdu szybkiego reagowania, gdy wznosił się nad wodami Pacyfiku. Chwycił lufę swojego karabinu stojącego w statywie, siłował się przez chwilę z zatraskiem, w końcu uwolnił broń szturmową i ruszył z powrotem do drzwi.

*Cholerne czterdzieści minut.*

Zdena siedziała już na opuszczonej rampie Niebieskiego Jeden z luźno założonym hełmem, bez maski, szczerząc się do niego, gdy z wysiłkiem podbiegł i niezgrabnie wciągnął się na pokład. Nachyliła się, żeby przekrzyczeć wycie turbin.

- Cześć, kowboju. Gotów na ostry taniec?

Nigdy nie potrafił dojść, czy udawała rosyjski akcent, czy nie. Nie pracowali jeszcze tak długo, przyszła z nowo zatrudnionymi w końcu maja. Przypuszczał - a etykieta kategorycznie zabraniała o to pytać - że należała do licencjonowanej zagranicznej siły roboczej, w każdym razie na tyle legalnej, na ile on był. Choć wątpił, żeby jak on skakała przez płot. Bardziej prawdopodobne, że pochodziła z syberyjskiego wybrzeża albo z którejś z tych tratw fabrycznych dalej na południe - element tej pieprzonej płynności siły roboczej Wybrzeża Pacyfiku, o której tyle się mówiło. Oczywiście, z tego, co wiedział, mogła być równie dobrze urodzona i wychowana na Zachodnim Wybrzeżu. W takich miejscach zniekształcony angielski nie musiał niczego znaczyć. Tu nie było tak jak w Republice, gdzie ściśle wymuszali angielski, karząc dzieciaki w szkołach za używanie czegokolwiek innego. W Państwach Wybrzeża angielski był wyłącznie językiem handlowym - człowiek uczył się go na tyle, na ile był mu potrzebny, co w zależności od barrio, w którym się dorastało, nie musiało oznaczać wiele.

- Musisz przestać... - wciąż dyszał po sprincie, brakło mu powietrza - oglądać te wszystkie stare filmy, Zed. To będzie pieprzony patrol do boi na głębokie wody. Wystraszymy jakiegoś durnego farmera planktonu, który zapomniał zaktualizować swoje przepustki na ten miesiąc. Cholerna strata czasu.

- Nie sędzę, Joe. - Zdena kiwnęła głową w stronę pozostałych promów. - Podrywają cztery jednostki. Cholernie duża siła ognia jak na farmera planktonu.

- Dobra, dobra. Zobaczysz.

Start przebiegł dość gładko, przynajmniej dla ich statku. Wyglądało na to, że pomimo wcześniejszych jęków opłaciły się nieustanne ćwiczenia z ostatniego miesiąca. Ośmiu żołnierzy na pokładzie, standardowa siła grupy uderzeniowej, wszyscy przypięci do foteli przeciwprzeciążeniowych wzdłuż wewnętrznych ścian brzucha promu i uśmiechający się z napięciem. Joe zdążył już pozapinać swoją kamizelkę taktyczną i podpiąć czujniki monitorów funkcji życiowych, choć zastanawiał się, czy ktokolwiek zawracał sobie głowę ich monitorowaniem, od kiedy zmniejszyli załogę dowodzenia w kokpicie z trzech do dwóch osób. Ale przynajmniej automatyczny medyk będzie uważał na niego w strzelaninie, a ponadto kamizelka była dobrym miejscem na upchnięcie wszystkich zapasowych magazynków i narzędzi do abordażu.

W słuchawce w uchu zabrzmiała odprawa, powtarzana echem przez głośniki w dachu promu.

*Doszło do wtargnięcia powietrznego klasy drugiej, powtarzam, wtargnięcia powietrznego klasy drugiej, nie spodziewamy się walki...*

Wychylił się i z triumfem kiwnął głową Zdenie: - *Cholera, mówiłem ci.*

*...mimo wszystko należy zachować gotowość bojową. Podczas całej misji obowiązkowe są maski i rękawice, należy zastosować żel przeciwskażeniowy jak w przypadku operacji z zagrożeniem biologicznym. Zwracam uwagę, że nie ma powodu spodziewać się sytuacji zagrożenia biologicznego, to tylko środki ostrożności. Mamy tu do czynienia ze zwodowanym statkiem kosmicznym INKOL, powtarzam, zwodowany statek kosmiczny INKOL wewnątrz strefy brzegowej...*

Zdena posłała mu ostre spojrzenie.

- Pieprzony statek kosmiczny? - z niedowierzaniem krzyknął ktoś z siedzenia pod drugą ścianą.

*...grupy medyczne pozostaną w gotowości do czasu, aż Drużyna Niebieska zakończy rekonesans. Bądźcie przygotowani na ofiary rozbicia. Drużyna wejdzie do akcji w następujących grupach: zespół alfa, Driscoll na przedzie, za nim Hernandez i Zhou. Zespół beta...*

Dał sobie spokój, nic nowego. Aktualna rotacja przydziałów ustawiła go na przedzie na następne trzy tygodnie. Teraz nie potrafił się zdecydować, czy wciąż był zły, czy zadowolony. To będzie cholerny odlot. Poza TV i paroma wirtualnymi wycieczkami w muzeum INKOL w Santa Cruz nigdy nie widział prawdziwego statku kosmicznego, ale wiedział jedno - nie sadzali

tych mamutów na Ziemi. Nie robili tego od czasu, gdy wszędzie powstały wieże z nanokratownic, niknące w chmurach niczym stalowoczarne łądygi fasoli z tej cholernie głupiej historii, którą dziadek opowiadał mu w dzieciństwie. Jedyne statki kosmiczne, jakie Joe znał poza historycznymi zdjęciami, to były te pojawiające się czasem pod koniec wiadomości, dokujące dostojnie do kapeluszy tych bajecznych tyczek wycelowanych w niebo, ich jedyne ekonomiczne znaczenia. *Ładunek holownika „Tkacz”, który właśnie wrócił z Habitatu 9, prawdopodobnie spowoduje w tym kwartale spore zamieszanie na rynku metali szlachetnych. Ustawodawstwo zaproponowane przez Stowarzyszenie Afrykańskich Państw-Producentów Metali w celu ochrony ziemskiego przemysłu wydobywczego wciąż tkwi w komisjach Światowej Organizacji Handlu, gdzie przedstawiciele Konsorcjum Habitatu 9 argumentują, że tego rodzaju ograniczenie handlu...*

I tak dalej. W tych czasach statki kosmiczne zostawały tam, gdzie ich miejsce, i wszystko, co przewoziły, docierało na Ziemię za pomocą wind kratownic. Doskonała kwarantanna, usłyszał kiedyś późno w nocy gadającą głowę, na dodatek wyjątkowo wydajna energetycznie. Lądujący statek kosmiczny był scenariuszem z taniego filmu katastroficznego albo jeszcze tańszego paranoidalnego serialu o inwazji obcych w jezusowskich kanałach wideo. Ponieważ jeśli faktycznie do tego doszło, mogło to znaczyć tylko jedno - gdzieś coś poszło bardzo nie tak.

*Stary... muszę to zobaczyć...*

Wciąż nakładał na twarz żel biouszczelniający, gdy prom wykręcił i otworzyła się rampa z tyłu. Wraz z rykiem turbin do środka wdarły się zimne pacyficzne powietrze i szare światło świtu. Odpiął się i przesunął wzdłuż liny do windy linowej. Puls przyspieszył w skroniach, a we krwi krążyło coś zbyt fajnego, żeby być strachem. Założył maskę na twarz, ściągnął filtr oddechowy i docisnął wszystko do biouszczelniacza. Wiatr od oceanu na zewnątrz chłodził wciąż odsłonięte skrawki skóry po obu stronach maski. Krzywizna przepuszczalnego tylko w jedną stronę, odpornego na uderzenia szkła i ciepłe, bursztynowe linie wyświetlacza dawały iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa, jakby za osłoną ukrywało się całe ciało, a nie tylko fragment twarzy. Cały czas ich przed tym ostrzegali. Robił to jakiś kiepsko renderowany wirtualny sierżant musztry w tanim teksańskim oprogramowaniu stanowiącym wszystko, na co pozwalał budżet Ochrony Filigree Steel. Z niewiadomych powodów fatalnie zsynchronizowana postać miała brytyjski akcent. *Świadomość całego ciała, durniu!* - ryczał program za

każdym razem, gdy uruchomił jeden z aktywatorów. *Nogi masz wynajęte? Czy twoja klata to tymczasowy dodatek? Świadomość całego ciała to jedyna rzecz, która utrzyma całe twoje ciało przy życiu.*

*Dobra, dobra. Niech będzie.*

Zatrzasnął karabinek na kamizelce, odwrócił się twarzą do wnętrza promu i kamery obserwacyjnej zamocowanej w suficie. Palcem wskazującym i kciukiem wykonał znak OK. Zakaszłał do mikrofonu indukcyjnego na krtani.

- Szpica, gotów do misji.

*Potwierdzam, szpica. Na mój znak. Trzy, dwa, jeden... skok.*

Lina ożyła z szarpnięciem, a on niezdarnie odbezpieczył trzymany w obu dłoniach karabin szturmowy, wychylając się tak, by widzieć, co znajduje się pod nim. Z początku były to tylko nieustannie przetaczające się fale Pacyfiku, uciekające we wszystkie strony. Potem zauważył statek. Nie tego się spodziewał: wyglądał jak ledwie unoszące się na powierzchni, olbrzymie plastikowe opakowanie omywane wodą. Kadłub był prawie całkiem spalony na czarno, ale dostrzegł ślady białych pozostałości po nanotechnicznie wytrawionych literach, jakiś rodzaj korporacyjnego logo, które zapewne spłonęło podczas wejścia w atmosferę. Opadł niżej i zobaczył coś, co wyglądało jak otwarty właz w części wciąż wystającej nad wodą.

- Uch, dowództwo, jesteście pewni, że to coś nie utonie?

- *Potwierdzam, szpica. Zgodnie z parametrami INKOL to nie ma prawa utonąć.*

- Tylko, że mam tu otwarty właz, a przy tym wietrze i falach przypuszczam, że do środka musi dostawać się woda.

*Powtarzam, szpica. Pojazd nie ma prawa utonąć. Sprawdź ten właz.*

Jego buty uderzyły w kadłub z głośnym brzękiem jakiś tuzin metrów od włazu, trochę poniżej. Wokół jego nóg zawirowała sięgająca kostek woda, potem się cofnęła. Westchnął i odpiął się od linki.

- Zrozumiano, dowództwo. Skończyłem zejście.

*Utrzymamy pozycję.*

Przykucnął częściowo i wspiał się po niewielkiej pochyłości do włazu, a potem do niego zajrzał. Woda zdecydowanie dostała się do środka - zobaczył, jak pobłyskuje mokro na szczeblach drabiny prowadzącej do drugiego, wewnętrznego włazu, który zapewne stanowił wewnętrzną część śluzy powietrznej. Kiedy zaglądał, przez kadłub przeciągnęła kolejna fala, zalewając właz, spływając do środka i rozpryskując się na dnie śluzy. Zajrzał głębiej, po czym wzruszył ramionami i zszedł po drabinie, aż zostało mu

kilka dolnych szczelbi tuż nad wewnętrznym włazem. Woda miała tu jakieś pięć palców głębokości, falowała leniwie wraz z kołysaniem statku na falach. Profil włazu pod powierzchnią wyglądał nienaturalnie czysto, jak coś widzianego na dnie górskiego stawu. Plakietka ostrzegawcza zwracała uwagę na konieczność wyrównania ciśnień, zanim możliwe będzie otwarcie włazu.

Joe domyślił się, że jakiegokolwiek ciśnienie by nie panowało w środku, do tej pory musiało być dość bliskie standardowemu ziemskiemu, bo coś (lub ktoś) otworzyło już wewnętrzny właz. Został otwarty na tyle, by woda powoli spływała do wnętrza. Joe prychnął.

*Gdyby nie to, cholerna śluza byłaby już w połowie zalana przez fale.*

Stuknął w mikrofon.

- Dowództwo? Mam tu otwarty wewnętrzny właz. Nie wiem, czy to systemy, czy, uch, działalność człowieka.

- *Zrozumiano. Zachowaj ostrożność.*

Skrzywił się. Miał nadzieję, że każą mu się wycofać.

*Jasne, ale chociaż podeślijcie cholerne wsparcie. To maleństwo przyleciało z kosmosu, najpewniej z Marsa. Cholera wie, co za robole mogą tam szaleć. Do tego właśnie służy nanokratownicowa kwarantanna, nie?*

Przez chwilę myślał, żeby mimo wszystko się wycofać.

Ale...

*Masz wyposażenie, prawie słyszał cierpliwy głos tłumaczący mu wszystko. Masz maskę i żel ochronny, zresztą nie spodziewamy się żadnych zagrożeń. Nie masz żadnego powodu, by kwestionować rozkazy.*

I głos Zdeny: *Za to właśnie nam płacą, kowboju.*

I drwiny pozostałych.

Odepchnął od siebie lekki dreszcz, zszedł jeszcze niżej i włożył nogę do wody, naciskając mocno na właz. Ten częściowo ustąpił.

- Świetnie.

- *Szpica?*

- Nic - odpowiedział kwaśno. - Po prostu zachowuję najwyższą cholerną ostrożność.

Zaparł się ręką o ścianę śluzy, jeszcze mocniej nadepnął na właz i...

... ten ustąpił pod jego nogą.

Właz odchylił się ciężko w dół na zawiasach, zrzucając wodę do mrocznego wnętrza z głośnym, długim chluśnięciem. Joe nie był przygotowany na nagłą utratę podparcia i stracił chwyt na szczelbi. Poleciał, niezdarnie próbował złapać dłonią w rękawicy kolejny szczelbel, nie trafił i

zahaczył głową o drabinę. Przeleciał wprost przez otwarty dolny właz, mając czas na stłumiony okrzyk...

- Kurwaaaaa...

... i wylądował na czymś, co musiało być boczną ścianą korytarza poniżej.

Wstrząs uderzenia, zęby zaciśnięte na końcu języka. Ostre walnięcie w ramię i dźgnięcie w żebra lufą karabinka. Zasyczał z bólu przez zaciśnięte zęby.

Mimo wszystko wyglądało na to, że wylądował na czymś miękkim. Przez chwilę leżał nieruchomo, wysłuchując raportów o uszkodzeniach składanych przez splątane kończyny.

*Świadomość całego ciała, panie sierżancie.*

Przywołał uśmiech. Chyba niczego sobie nie złamał. Patrząc do góry, stwierdził, że nie przeleciał więcej niż trzy metry.

Odetchnął głęboko z ulgą w filtr maski. Cicho dokończył swoje przekleństwo.

- Mać.

- *Szpica?* - odezwało się dowództwo, wreszcie z przejęciem w głosie. - *Podaj swój status. Jesteś ranny?*

- Nic mi nie jest. - Podniósł się na ramieniu, rozejrzał się w mroku i włączył latarkę na hełmie. - Po prostu spadłem. Nic powa...

Skraj wiązki światła złapał coś, co nie miało sensu. Wykręcił głowę i wiązka oświetliła niewyraźny obiekt...

- Kurwa, człowieku, to...

I nagle, z falą pełnego niedowierzania zrozumienia, zadławił się wymiocinami wylewającymi się do maski, palącymi mu nos i gardło, ponieważ zobaczył wreszcie wyraźnie, czym była ta miękka rzecz, która zatrzymała jego upadek.

## ROZDZIAŁ 4

Sevgi Ertekin obudziła się z dziwnym przekonaniem, że całe miasto pokrywa gęsta zasłona deszczu.

*W czerwcu?*

Zamrugła. Gdzieś na zewnątrz otwartego okna apartamentu usłyszała przyzywający głos syreny. Intymny i nostalgiczny niczym dźwięk ezanu, którego wciąż brakowało jej ze starej okolicy, ale też napakowany adrenaliną, jakiej nie mogło dostarczyć wezwanie do modlitwy. Obudziły się w niej przygaszone instynkty zawodowe, po czym obróciły się na drugi bok z nadejściem wspomnień. To już nie jej sprawa. Zresztą i tak ryk syreny policyjnego radiowozu dobiegał z daleka i prawie tonął w odgłosach handlu toczącego się sześć pięter niżej. Słyszać było krzyki, przeważnie przyjazne, i muzykę z zamontowanych w budkach kolumn, szaleńcze neoarabskie nuty, na które aktualnie nie miała nastroju. Dzień zaczął się bez niej.

Wbrew rozsądkowi obróciła się w stronę okna. Blask słońca uderzył ją w twarz, zmuszając do zmrużenia oczu. Zmiennopolaryzacyjne zasłony wydymane podmuchami z zewnątrz skrzyły się porannym światłem. Wyglądało na to, że znów zapomniała przestawić je na nieprzezroczyste. Spod jednej z zasłon wystawała pusta butelka Jamesona, ktoś - *ktoś, jasne, Sev, kto to mógł być?* - poturlał ją po wypolerowanych klepkach podłogi, gdy nie zostało jej już nic do zaoferowania. Salon, w którym najwyraźniej usnęła w ubraniu na kanapie. Chwila namysłu pozwoliła przywołać mętne potwierdzenie. Usiadła na niej po zakończeniu imprezy i dopiła resztę butelki. Niejasne wspomnienia przemawiania do siebie między łykami dymnego ciepła whisky. Cały czas myślała, że po prostu wypije jeszcze jednego, tylko jeszcze jednego, potem wstanie i...

Nie wstała. Usnęła.

*To coś nowego, Sev. Zazwyczaj udaje ci się dojść do łóżka.*

Zebrała się w sobie i usiadła zrywem, po czym pożałowała, że zrobiła to tak gwałtownie. Poczula się, jakby zawartość jej głowy przesunęła się jak trawa na wietrze. Przetoczyła się przez nią fala mdłości i Sev poczuła się skrępowana odzieżą. Gdzieś wczoraj pozbyła się butów - leżały pod przeciwległymi ścianami pokoju, tak daleko, jak to było możliwe - ale wciąż miała na sobie bluzkę i spodnie. Niejasno przypomniało się jej coś o leżeniu



na plecach po czyimś wyjściu i szarpaniu się z butami i skarpetkami. Najwyraźniej udało się jej ich pozbyć, ale reszty już nie zmogła.

Teraz koszulę miała zmiętą i pomarszczoną pod pachami, a miseczki profilujące odkleiły się od piersi i uciekły podczas wygibasów z butami. Jedna wylądowała pod pachą, druga przepadła. Spodnie zdołały się jej wykręcić tak, że przestały być luźne, miała też pełne wnętrzości. Nieprzyjemnie cisnął ją pęcherz, a w głowie rozpoczęło się tępe łomotanie.

*Do tego pada.*

Podniosła wzrok i opanowała ją nagle dzika wściekłość, gdy udało się jej prześledzić cichy szum do prawdziwego źródła. W rogu pokoju wciąż pracował stary zestaw rozrywkowy. Odtwarzany w nim czip doszedł do końca, a system nie przełączył się na ekran powitalny, wyświetlając zamiast tego śnieżny taniec przy akompaniamencie prawie niesłyszalnego szumu, tworzącego tło dla dźwięków miasta z zewnątrz. Wypełniał wszystko jak...

Zacisnęła usta. Wiedziała, jaki oglądała czip. Nie pamiętała tego, ale wiedziała.

*Do jasnej cholery, tam nie pada.*

Zerwała się na nogi i dźgnęła wyłącznik zestawu. Przez chwilę stała potem w swoim mieszkaniu, jakby wcale nie należało do niej, jakby włamała się, żeby coś ukraść. Poczula, jak ścisła jej się gardło i zrozumiała, że będzie płakać.

Zamiast tego gwałtownie potrząsnęła głową, zamieniając łzy na potężny impuls bólu. Niezgrabnie ruszyła przez sypialnię do łazienki, przyciskając dłonie do głowy. Na półce przy łóżku stała fiolka tabletek na ból głowy oraz listek syndu. A dokładniej kapsułek synadyny k37, uniwersalnych tabletek klasy wojskowej - jej udział w czarnorynkowych dostawach dla nowojorskiej policji w czasach, gdy jeszcze tam pracowała, o sile kilkakrotnie przewyższającej wszystko, co na ulicy nazywano syndem. Używała ich kilka razy wcześniej i przekonała się o ich przerażającej skuteczności - stymulowały reakcje synaptyczne i koordynację fizyczną, odsuwając w cień praktycznie wszystko inne, a przy tym robiły to szybko. Sevgi zawahała się chwilę, ale zdała sobie sprawę, że ma dzisiaj coś do zrobienia, choć nie bardzo pamiętała, co takiego.

*Sev, w tych czasach prochami napycha się całe to cholerne miasto. Pogódź się z tym.*

Wycisnęła z folii kilka wojskowych kapsułek i właśnie miała je przełknąć, gdy dotarł do niej obraz widziany kątem oka.

Weszła z powrotem do sypialni.

- Hej.

Dziewczyna w łóżku nie mogła mieć więcej niż osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Mrugając po obudzeniu, wydawała się jeszcze młodsza, ale ciało pod prześcieradłem było zbyt pełne jak na spojrzenie dziecka. Usiadła i tkanina zsunęła się z niemożliwie sterczących piersi. Sądząc po tym, jak się ruszały, efekt zapewniała podskórna siatka mięśniowa, a nie implanty. Kosztowna robota jak na kogoś tak młodego. Sevgi uznała, że to czyjaś zdobycz randkowa, z tych fałszywych bonobo, ale miała zbyt silnego kaca, by przypisać jej twarz do kogoś na imprezie. Może ten, kto ją przyprowadził, zbyt się upił, by przy wyjściu zabrać ze sobą wszystkie zabawki.

- Kto ci powiedział, że możesz tu spać?

Dziewczyna znów zamrugowała.

- Ty.

- Ach. - Gniew Sevgi wyparował. Stłumiła kolejną falę mdłości i przełknęła. - No dobra, zbieraj swoje rzeczy i wracaj do domu. Koniec imprezy.

Wróciła do łazienki, starannie zamknęła drzwi, a potem, jakby dla podkreślenia własnych słów, schyliła się i zwymiotowała do ubikacji.

\* \* \*

Kiedy już była pewna, że ich nie zwróci, połknęła tabletki k37, popijając je szklanką wody, po czym stanęła oparta o ścianę pod ciepłym prysznicem, czekając, aż poczuje skutki. Nie trwało to długo. Podrasowane chemikalia leku przygotowano nie tylko pod kątem jasnego myślenia, ale i szybkiego działania, a pustka w żołądku jeszcze to przyspieszyła. Łupanie w głowie zaczęło przygasać. Odkleiła się od wykafelkowanej ściany, sięgnęła po żel i zaczęła się szorować. Nasiąknięta masa jej włosów gładko poddała się i ustąpiła, a piana spłynęła po jej ciele w gęstych kłębach. Przypominało to zdzieranie z siebie noszonych kilka dni ubrań. Poczła w sobie nową siłę i skupienie. Gdy dziesięć minut później wyszła spod prysznica, ociekając wodą, jej ból siedział ukryty za warstwą chemicznego bandażu, a jego miejsce zajęła przenikliwa błyskotliwość.

Co niekoniecznie było błogosławieństwem. Susząc się przed lustrem, zauważyła ciało zbierające się na jej pośladkach i się skrzywiła. Od miesięcy nie odwiedzała siłowni, a jej domowy Cassie Rogers Astro-Tone - *używany przez prawdziwy personel Mars-Trip!* - porastał kurzem niczym sflaczały

cyrkowy namiot. Obciążające dowody zaniedbań miała wprost przed sobą i nie można było się ich pozbyć, biorąc wojskowe tabletki, jak w przypadku bólu. Przez jej umysł przebił się obraz niedorzecznie idealnych krągłości dziewczyny w jej łóżku, sprężystego biustu z salonu mody. Spojrzała na wypukłości własnych piersi, zaczepionych dość nisko na klatce i odchylających się na boki.

*Pieprzyć to, Sevgi, masz za sobą trzydziestkę. Przecież nie próbujesz już imponować chłopakom przy Moście Bosforskim, prawda? Daj spokój. Zresztą zaraz masz okres, to pogarsza sprawę.*

Jej schnące włosy zaczynały już nabierać zwyczajowego kształtu niechlujnej czarnej szopy. Przeczesła je kilka razy szczotką, po czym z niechęcią dała spokój. Z lustra spojrzało na nią jej głównie arabskie dziedzictwo: szeroko rozstawione, wysokie kości policzkowe, jastrzębi nos, pełne wargi i brązowe oczy o ciężkich powiekach. Ethan powiedział kiedyś, że miała w twarzy coś z tygrysa, ale Sevgi o zmysłach wyostrzonych syndem i bez makijażu podejrzewała, że dzisiaj wyglądała raczej jak niezadowolona wrona. Obraz wymusił uśmiech na twarzy i zakrakała do siebie w lustrze. Rzuciła ręcznik i poszła się ubrać. Odkryła pragnienie kawy.

Jak można było się spodziewać, kuchnia wyglądała niczym pole bitwy. Każda dostępna powierzchnia została zastawiona stertami naczyń. Sevgi wypatrzyła w szczątkach talerze z imprezy - przypominające szmatki, ciemnozielone ślady po miejscach, gdzie na talerzach leżały faszerowane liście winogron, kruche fragmenty ciasta *sigara borek*, zimny bakłazan z pomidorem w oliwie, pół wywróconego do góry nogami *lahmacun*, wyglądającego jak sztywne, wyschnięta ścierka. W zlewie piętrzyła się krzywa wieżyczka foremek niczym jakiś automatyczny pajacyk na sprężynie. Na podłodze pod jedną ze ścian w równych rzędach ustawiono butelki eksportowego Efesa, wypełniające kuchnię kwaśnawym zapaszkiem.

*Dobra impreza.*

Pochwałę wybełkotało kilku z wychodzących gości. Potwierdziła je nagła lawina wspomnień, grupy znajomych wypełniających mieszkanie, rozciągniętych na sofach i poduszkach, jedzących, pijących i gestykulujących z pełnymi ustami, pełnych miłego rozbawienia. To naprawdę była dobra impreza.

*Jasne - szkoda tylko, że musiałaś później wykończyć tę flaszkę irlandzkiej. Czemu to zrobiłaś, Sev?*

Poczuła, drgnięcie mięśni twarzy i wiedziała, że jej spojrzenie

stwardniało od wypełniającego ją uczucia.

*Wiesz, czemu.*

Za myślą nadszedł synd, jaskrawy i ostry. Nagle zrozumiała, jak łatwo byłoby w takim stanie umysłu kogoś zabić.

Odezwał się telefon, cicho i rozsądnie, jak wgrzanie się w wełnę.

- Mam na linii zarejestrowany kontakt, Toma Nortona. Przyjmiesz połączenie?

Niczym cegła walnęło ją przypomnienie, co miała dziś do zrobienia.

Jęknęła i poszła po resztę środków przeciwbólowych.

\* \* \*

Pierwsze, co się nie zgadzało, to samochód.

Norton zazwyczaj jeździł absurdalnie wielkim, antycznym cadillakiem z miękkim dachem, na którym można było się opalać, i olbrzymim grillem chłodnicy. Był przy tym cholernie dumny ze swojego wozu, co było dziwne, biorąc pod uwagę jego historię. Zbudowany w jakimś warsztacie w Alabamie lata przed urodzeniem Nortona, był to pojazd, za jazdę, którym zostały w Nowym Jorku natychmiast aresztowany, gdyby nie zapłacił prawie dwukrotnej jego wartości za wymianę oryginalnego silnika na napęd magnetyczny z nieprodukowanych już japońskich motorówek. Wywalił potem jeszcze miesięczną pensję na gruntowne pokrycie go polimerami, uwieczniając kolekcję zadrapań i wgnieceń zebranych we wcześniejszym życiu w Jezusowie. Sevgi nie potrafiła go przekonać, że była to w zasadzie metafora głupot przeszłości, z której pochodził.

Dzisiaj w ostrym blasku syndu zrozumiała, że był to rodzaj samochodu, jaki bardzo chciałby mieć Ethan, i właśnie, dlatego to odstępstwo Nortona od poza tym nieskazitelnej męskości Manhattanu czasami budziło w niej cichą złość.

Dzisiaj nim nie przyjechał.

Zamiast tego, gdy wyszła na ulicę - wciąż naciągając na ramiona wybrany losowo żakiet - podniósł się z tylnego siedzenia ciemnoniebieskiej kropli autojazdu, ewidentnie ze stajni INKOL. Stojąc tam, wyglądał gładko i w sposób pełen opanowania jak pojazd, z którego wysiadł - poezja eleganckiej kompetencji. Krótko przycięte włosy pobłyskiwały na słońcu srebrnymi nitkami, lekko niebieskie oczy mrużyły się na pięknie opalonej twarzy przyszłego kandydata do prezydentury.

Posłał jej swój klasyczny półuśmiezek.

- Cześć, Sev. Radosna i kwitnąca?

- Jasne.

- O której się to w sumie skończyło? - Wrócił do domu dobrze przed północą, na ile pamiętała, i nie korzystał z chemikaliów.

- Nie pamiętam. Późno.

Przepchnęła się obok niego i wsiadła do samochodu, przesuając się w głąb, by zrobić mu miejsce. Drzwi opadły i kropla ruszyła gładko, skręcając na Zachodnią 118. Otoczył ich ruch miejski. Przejechali cztery przecznice, zanim Sevgi skojarzyła kierunek i doznała drugiego dziś dysonansu wobec spodziewanego przebiegu dnia.

- Co jest, zostawiłeś coś w biurze?

- Nie jedziemy do biura, Sev.

- Tak, wydawało mi się, że tak właśnie ustaliliśmy wczoraj. Więc czemu jedziemy na wschód?

Norton znów się uśmiechnął.

- Nie jedziemy też do Kaku. Zmiana planów. Dzisiaj nie zaznasz nieważkości.

Ulga, jaką poczuła na tę wieść, zadziałała niczym słońce na skórze, rozgrzewając ją i ustępując miejsca wszelkiej ciekawości. Naprawdę nie miała ochoty na wykręcającą wnętrzności jazdę windą w górę nanokratownicy Kaku ani poruszanie się nieważkości na górze. W ośrodku przy kratownicy mieli leki łagodzące objawy obu doświadczeń, ale nie była pewna, czy można było je mieszać z krążącym w jej żyłach syndem. A myśl o rozpoczynaniu śledztwa w tym stanie - ze zmaltretowanym mózgiem i żołądkiem buntującym się z powodu braku ciężenia i Ziemi obracającej się gdzieś tam cholernie daleko - wystarczyła, by zaczęły jej się pocić dłonie.

- Dobra. To może zechcesz łaskawie mi powiedzieć, gdzie jedziemy?

- Jasne. Terminal suborbitalny JFK. O jedenastej mamy prom do SFO.

Sevgi wyprostowała się na siedzeniu.

- Co się stało, „Horkan’s Pride” nie trafił w do gniazda w doku?

- Można to i tak ująć. - W głosie Nortona nie było śladu rozbawienia. - Nie trafił w Kaku, nie trafił w Sagana, wodował jakieś sto kilometrów od brzegu Kalifornii.

- Wodował? Przecież one nie powinny lądować na Ziemi.

- Mów mi jeszcze. Z tego, co słyszałem, tylko główna sekcja załogowa dotarła na dół w jednym kawałku. Reszta pospadała gdzieś po drodze, od Utah do wybrzeża, albo spaliła się przy wejściu w atmosferę. Władze Wybrzeża holują pozostałości w stronę zatoki, gdzie je sobie utworzymy i

wstrząśniemy ich naszą błyskotliwą analizą tego, co u diabła poszło nie tak. Swoją drogą, to słowa Nicholsona, nie moje.

- Tak, domyśliłam się. - Norton wypowiadał przekleństwa tak, jak żebrak wydaje wafle - gdy absolutnie i nieodwołalnie został do tego zmuszony lub gdy należały do kogoś innego.

Wyglądało na to, że jego problem z nimi ma naturę lingwistyczną, nie moralną, ponieważ nie widać było po nim żadnego niesmaku czy zakłopotania w przypadku cytowania wypowiedzi innych lub gdy klęła Sevgi, co ostatnio zdarzało się bardzo często.

- W takim razie, czemu wcześniej z tym do mnie nie zadzwoniłeś?

- Wierz mi, próbowałem. Nie odbierałaś.

- Och.

- Tak, więc kryłem cię przed Nicholsonem, jeśli się zaczęłaś nad tym zastanawiać. Powiedziałem, że jesteś gdzieś na mieście w sprawie tego numeru ze Spring Street i że mieliśmy się spotkać przy terminalu.

Sevgi kiwnęła głową.

- Dzięki, Tom. Jestem twoją dłużniczką.

Nie był to pierwszy raz - w ciągu ostatnich dwóch lat zebrało się więcej, ale żadne z nich nie chciało się do tego przyznać. Dług narastał między nimi bez słów, jak współudział albo rodzina. Zresztą oboje zgadzali się, że Nicholson to dupek.

- Myślisz, że ktoś tam jeszcze żyje? - zapytał Norton.

Sevgi wyrzała na ruch za oknem, przypominając sobie dane statku.

- „Horkan’s Pride” to seria pięć. Zbudowali je z myślą o przetrwaniu rozbicia na Marsie, a tam nie ma oceanów.

- Prawda, ale też w drodze ciągnie ich znacznie słabsza grawitacja.

Obok nich pojawiła się kropla NYPD z oknami nieprzejrzystymi oprócz tego po stronie kierowcy. Młoda policjantka przestawiła system na ręczny i prowadziła swobodnie jedną ręką, drugą wystawiając przez okno. Rozmawiała z kimś, ale Sevgi nie potrafiła stwierdzić, czy z drugą osobą w pojeździe, czy przez system audio wozu. Pod noszonym na głowie weblarowym kaskiem wyglądała na swobodną i kompetentną. Obudziły się wspomnienia i Sevgi stwierdziła, że zastanawia się, co porabia Hulya. Naprawdę powinna czasem się z nimi spotykać, zobaczyć, co Hulya porabia, czy spróbowała drugiego podejścia do egzaminu na sierżanta i czy wciąż obnosi się w każdą sobotę ze swoim fantastycznym tyłeczkiem po Moście Bosforskim. Usiąść gdzieś na solidną sesję wspominkową, może osuszyć

skrzynkę Efesa.

Na myśl o piwie i zapachu, który pozostawiło w jej kuchni, żołądek Sevgi gwałtownie się zbuntował. Pospiesznie odegnała ogarniającą ją nostalgię. Radiowóz zmienił pas i zniknął pośród ruchu. Sevgi spróbowała obudzić własne kompetencje.

- Płyn kapsuły zamrażającej powinien zaabsorbować solidną porcję wstrząsu uderzenia - powiedziała powoli. - A fakt, że w ogóle spadł w jednym kawałku, oznacza, że to było jednak, choć częściowo kontrolowane wejście, prawda?

- Coś w tym rodzaju.

- Dostaliśmy coś więcej z komputerów, zanim do tego doszło?

Norton potrząsnął głową.

- Tylko to żądanie zatrzymania przy Kaku, ten sam przekaz wewnętrzny.

Nic nowego.

- Świetnie. Do ostatniej chwili pieprzony Latający Holender.

Norton uniósł ręce z płasko rozłożonymi palcami i wydał z siebie potępińczy jęk. Sevgi posłała mu kontrolowany uśmiech.

- To cholernie mało śmieszne, Tom. Nie mam pojęcia, czemu gliny Wybrzeża nie rozwały go, jak tylko przeciął ich granicę. Nie byłby to pierwszy przypadek przerobienia przez tych durniów zabłąkanego statku na konfetti, gdy nie odpowiedział ładnie na ich wywołanie.

- Może martwili się potencjalnymi ofiarami? - zasugerował Norton z poważnym wyrazem twarzy.

- Jasne.

- No dobrze, jednak mam nadzieję, że nie zamierzasz prezentować podobnego podejścia, młoda damo. Miejscowi zapewne i tak nie będą przesadnie mili. To nasza puszka spadła im z nieba.

Wzruszyła ramionami.

- Płacą podatki INKOL tak samo, jak cała reszta. To również ich puszka.

- Jasne, ale to my mamy pilnować, żeby takie rzeczy się nie zdarzały. To dlatego odpalają nam swoje podatki.

- Rozmawiałeś już z kimś z ich strony?

Norton potrząsnął głową.

- Z żadnym człowiekiem. Tuż przed wyjściem próbowałem złapać osobę, która prowadzi sprawę, ale trafiłem tylko na maszynę, standardowy interfejs telefoniczny. Powiedziała, że policja odbierze nas na lotnisku. Dwoje agentów, Rovayo i Coyle.

- Masz ich papiery?

Norton klepnął kieszeń marynarki.

- Ściągnąłem kopię. Chcesz zobaczyć?

- Czemu nie.

Gliniarze z Wybrzeża stanowili parę o zrównoważonej płci i pochodzeniu etnicznym. Z fotografii podpisanej „det. A. Rovayo” patrzyła ciemna, afrolatynoska kobieta z wystawioną szczęką i zaciśniętymi ustami, ewidentnie i bez powodzenia próbując swą miną ukryć urodę pełnych ust i orzechowych oczu. Kłam wyrazowi jej twarzy zadawały gęste loki, dłuższe niż dozwolone u pracowników nowojorskiej policji. Poniżej na tym samym wydruku patrzył przed siebie detektyw R. Coyle, biały, o twardych rysach i w średnim wieku. Włosy miał poprzetykane siwizną i przycięte krótko, prawie po wojskowemu. Na obrazie mieściły się tylko głowa i ramiona, ale sprawiał wrażenie masywnego i silnego.

Sevgi wzruszyła ramionami.

- Zobaczymy - rzuciła.

\* \* \*

Zobaczyli.

Coyle i Rovayo przywitali ich na lądowisku San Fran zdawkowymi uprzejmościami i skanem siatkówki zaraz po wyjściu z promu suborbitalnego. Powiedziano im, że to standardowa procedura. Norton posłał ostrzegawcze spojrzenie Sevgi, która w widoczny sposób się obruszyła. W Nowym Jorku nie tak witało się przylatujących z wizytą gliniarzy. Tutaj trudno było stwierdzić, czy próbują ich obrazić, czy nie. Coyle, dokładnie tak wielki i lakoniczny, jak sugerowało holozdjęcie, wręczył im identyfikatory i dokonał przedstawienia. Później sprawę przejęła Rovayo. Nachyliła się i rozsunęła im powieki ciepłymi palcami o nieco stwardniałej skórze, przystawiła skaner, po czym się cofnęła. Wszystko zostało wykonane z płynnością świadczącą o dużej wprawie, a pośród strumieni przybywających podróżnych miało intymny posmak europejskiego pocałunku w policzek. Przynajmniej Norton sprawiał wrażenie, jakby dobrze się bawił. Rovayo zignorowała jego uśmiech, zerknęła na zieloną kontrolkę urządzenia i schowała skaner do naramiennej torby. Coyle kiwnął głową w stronę rzędu wind na końcu hali przylotów.

- Tędy - rzucił lakonicznie. - Mamy helikopter.

W milczeniu wjechali na górę, przeszli korytarzem przez osłonięte szklanymi kopułami górne piętro budynku, potem kolejna winda, która



wypluła ich na betonową płytę z czekającym zgrabnym, czerwono-białym autokopterem. Na wschodzie zatoka połyskiwała w popołudniowym słońcu metalicznym srebrem. Lekki wiatr łagodził żar dnia.

- To wy zajmujecie się sprawą? - spróbował Norton, gdy weszli już na pokład.

Coyle posłał mu lodowate spojrzenie.

- Cała cholerna policja zajmuje się tą sprawą - warknął i zatrzasnął właz. - Odznaka numer 2347. Lot zgodnie z planem. Startujemy.

- Dziękuję. Proszę zająć miejsca.

Autokopter mówił głosem Asii Badawi, niskim i nasączonym miodem, nie do pomylenia nawet przy tych kilku wymówionych sylabach. Sevgi pamiętała niejasno, że w jakimś magazynie czytany podczas oczekiwania na wizytę u prawnika trafiła na artykuł o kontrakcie na głos do oprogramowania, który Badawi podpisała z Lockheedem. Szerokie uśmiechy pod publikę i uściski dłoni, protesty oburzonych fanów. Ziewnięcie, przymknięcie oczu. *Zechciałaby pani wejść, pani Ertekin?* Wirniki obudziły się do życia, po drugiej stronie okna pomruk silników nabrał wyciszonej mocy i oderwali się od betonu. Wcisnęło ich w fotele. Automatyczny helikopter wznosił się, przechylił i poniósł ich nad zatoką.

Sevgi spróbowała nawiązać rozmowę.

- Macie już coś z powłoki?

- Ekipa skanująca bada cały kadłub. - Fotele w kabinie ustawiono naprzeciw siebie i przed nią siedział Coyle, ale gdy mówił, wyglądał przez okno. - Do wieczora postawimy i uruchomimy pełny wirtual.

- Szybko - pochwalił Norton, choć wcale tak nie uważał.

Rovayo spojrzała na niego.

- Byli zajęci w środku, to jakby miało pierwszeństwo.

Chwila zaskoczonych ciszy.

- W środku? - zapytała z groźną uprzejmością. - Otworzyliście już włazy?

Para gliniarzy z Wybrzeża wymieniła porozumiewawczy uśmieszek. Sevgi, mająca już dość bycia przez cały dzień ostatnią osobą, do której docierały informacje, poczuła, że zaczyna tracić cierpliwość.

- „Horkan's Pride” to własność INKOL - powiedziała sztywno. - Jeśli grzebaliście przy...

- Niech pani schowa te kajdanki, agencie Ertekin - wtrącił się Coyle. - Zanim straż przybrzeżna dotarła do pani własności, ktoś zdążył już wysadzić włazy. Od środka. Może pani zapomnieć o kwarantannie.

*To niemożliwe.* Z trudem zdołała się powstrzymać od powiedzenia tych słów. Zamiast tego zapytała:

- Czy naruszono kapsuły zamrażające?

Coyle spojrział na nią z namysłem.

- Naprawdę będzie lepiej, jeśli pani poczeka i sama zobaczy.

Autokopter wykręcił, a Sevgi nachyliła się, żeby wyrzeć przez okno. Pod nimi, pośród wód zatoki, z wyspy wyrastała stacja Alcatraz należąca do Ochrony Wybrzeża, pełna białoszarych platform i pomostów. Na południowym brzegu niczym schemat rozciągał się pływający suchy dok pełen prostych linii i odstępów, z ludźmi zredukowanymi do kropek i pojazdami jak zabawki. Na środku wyraźnie widać było masyw sekcji załogowej „Horkan’s Pride”. Nawet po oderwaniu zewnętrznych struktur, przypalony i pobliźniony przez upadek, wyskoczył na nią niczym znajoma twarz na grupowej fotografii. Widziała czasami jego bliźniacze statki w stoczniach orbitalnych nad nanokratownicą Kaku i miała w laptopie archiwalne nagrania „Horkan’s Pride”, zebrane odkąd statek utracił łączność z bazą INKOL. Podczas częstego przesiadywania w poczekalniach prawników, w bezsenne noce, kiedy nie piła, wpatrywała się w szczegóły, aż zaczynały ją boleć oczy. *Dobry detektyw je, śpi i oddycha szczegółami*, powiedział jej kiedyś Lany Kasabian. *Tak właśnie łapie się tych złych gości.* Przyzwyczajenie pozostało. Tak dobrze знаła wewnętrzną budowę statku, że mogłaby z zamkniętymi oczami przejść z jednego końca na drugi. Nauczyła się na pamięć specyfikacji sprzętu i oprogramowania. Nazwiska zamrożonych członków załogi były jej równie bliskie jak marki produktów kupowanych co rano, a szczegóły ich biografii same pojawiały się w głowie, gdy przywoływała obraz którejś twarzy.

*Naprawdę będzie lepiej, jeśli pani poczeka i sama zobaczy.*

A teraz przypuszczalnie wszyscy byli martwi.

Automatyczny helikopter wylądował z maszynową precyzją na wzniesionej platformie przy jednym z końców kompleksu doków. Silniki ucichły i właz znów się otworzył. Coyle ponownie uczynił honory, opuszczając właz i wyskakując, jako pierwszy. Druga wyszła Sevgi.

Podążył za nią miodowy głos Badawi.

- Proszę uważać na stopnie i zamknąć za sobą właz.

Coyle poprowadził ich schodami wiodącymi z platformy. Na dole czekał komitet powitalny. Trzy mundury Ochrony Wybrzeża, jako wsparcie ubranego po cywilnemu oficera, którego twarz Sevgi rozpoznała z kilku

wirtualnych seminariów z zeszłego roku na temat podrabiania śladów genetycznych. Gładkie azjatyckie rysy, nadające jego twarzy wygląd młodszego, niż prawdopodobnie był, gęste siwe włosy i wymięte ubranie, niepasujące do analitycznego spojrzenia. Sądząc po jego wzroku i paru innych aspektach wyglądu, przypuszczała, że ma wspomaganie - co było ostatnio dość powszechne wśród urzędników Wybrzeża - ale nie miała na to żadnych konkretnych dowodów. Podczas późniejszych nieoficjalnych spotkań mówił z cichą rezerwą, głównie o swojej rodzinie, a jego wzrok prawie w ogóle nie opadał na piersi Sevgi, za co była mu wdzięczna. Teraz usiłowała przypomnieć sobie jego nazwisko, które usłużnie podsunął synd.

- Porucznik Tsai. Jak się pan miewa?

- Kapitan - poprawił sucho. - Awansowałem w styczniu. A miewam się tak, jak można się spodziewać, biorąc pod uwagę okoliczności. Przypuszczam, że zechcecie natychmiast zobaczyć swój statek. A raczej to, co z niego zostało.

Ponuro kiwnęła głową.

- Byłoby miło.

- Powiedziano mi... - Tsai machnął w stronę mundurowych, którzy wypełniali cały dok - że około siódmej będziemy mieć działający wirtual. Załogi kończą właśnie kadłub, ale Rovayo pewnie mówiła wam o włazach.

- Tak, że zostały wywalone od środka.

- Kapitanie - wtrącił się Norton - chcielibyśmy się dowiedzieć, w jakim stanie jest załoga „Horkan’s Pride”. A w szczególności, czy zostały naruszone systemy kriogeniczne.

Tsai zatrzymał się w pół obrotu, a jego spojrzenie nagle przeniosło się gdzieś w dal, najpierw w głąb doku, później nad zatokę, jakby odtwarzając w pamięci coś, czego wolałby nie widzieć. Do Sevgi nagle dotarło, że za profesjonalną dumą przebywających na własnym podwórku Coyla i Rovayo kryło się to samo poruszenie i że tak naprawdę wcale nie chodziło tu o problemy jurysdykcji.

*Oni się boją, zrozumiała nagle. A my jesteśmy ich jedynym rozwiązaniem.*

Sevgi doznała już kiedyś takiego objawienia, gdy jeszcze była żółtodziobem w nowojorskiej policji i zajmowała się przypadkiem przemocy domowej na tle narkotykowym. Podczas rozmowy z poobijaną i wciąż puchnącą matką sprawcy z bolesną ostrością zdała sobie nagle sprawę, że kobieta patrzyła na nią, jako na rozwiązanie jej problemu, że spodziewała się od policjantki Ertekin, lat dwadzieścia trzy, że zrobi coś z gównianym stanem

jej życia oraz rodziny.

*Tak miło czuć się potrzebnym.*

- Naruszone - wolno powiedział Tsai. - Tak, chyba można to tak określić.

\* \* \*

Zewnętrzne włazy przepadły, odstrzelone gładko przez ładunki awaryjne - leżały teraz gdzieś na dnie Pacyfiku. Poczerniały kadłub „Horkan’s Pride” został ułożony w suchym doku, na tyle zbliżając się do poziomej stępki, na ile pozwalała na to jego konstrukcja. I tak musieli zejść do śluzy numer cztery, jakby była studnią wyciętą w górnej powierzchni kadłuba sekcji załogowej. Drabina pomocnicza stanu nieważkości zaprowadziła ich na dno znajdującej się wewnątrz śluzy powietrznej, a z niej spadli ciężko przez wewnętrzny właz na równą powierzchnię głównego korytarza grzbietowego. Wzdłuż przejścia łagodnie jarzyły się na niebiesko panele techniczne LCLS, ale mundurowi Tsaia ustawili przy śluzie i dalej bardzo jasne lampy jarzeniowe. Biały blask odbijał się od paskudnie kremowych ścian i zębów.

Wzrok Sevgi dostrzegł je, gdy tylko zeszła z ostatniego szczebla drabiny i natychmiast znieruchomiała. Rozdarty do dziąseł uśmiech okaleczonej ludzkiej głowy, leżącej na podłodze luzem obok pozbawionego kończyn torsu.

- Rozumie pani, o co mi chodziło? - Tsai zszedł obok niej.

Sevgi stała, walcząc z żołądkiem. Nie licząc kaca, minęło już sporo czasu. Nawet jej ostatni rok na ulicach, w policji, był litościwie pozbawiony podobnych widoków, a przeniesienie z wydziału zabójstw do INKOL, choć nie przysporzyło jej popularności w policji, zdecydowanie ograniczyło ilość zniekształconych ludzkich szczątków, jakie musiała oglądać. Teraz luźno zdawała sobie sprawę, że bez syndu zwróciłaby już zawartość żołądka, rozbryzgując ją Tsaiowi po całym miejscu zbrodni.

*Raczej po twoim miejscu zbrodni.*

*To twoje, Sev.*

Nachyliła się nieco i spojrzała na trupa. Przejęła go.

- Alberto Toledo - cicho podpowiedział Tsai. - Inżynier z banki Stanleya, nanotech atmosferyczny. Pięćdziesiąt sześć lat. Powrót do domu po zakończeniu kontraktu.

- Tak, wiem. - Ze zrujnowanej, wyszczerzonej twarzy popłynęły do niej szczegóły biografii, szepecząc jak duch. Dane pracy, życiorys, informacje o rodzinie. Ten miał gdzieś córkę. Ciało na policzkach zdarto do kości, przy której wciąż trzymały się pojedyncze kawałki tkanki. Szczękę obdarto.

Oczy...

Przełknęła. Wciąż trochę ją mdliło. Dołączył do niej Norton, kładąc rękę na jej ramieniu.

- Dobrze się czujesz, Sev?

- Tak, nic mi nie jest. - Zebrała fakty. „Horkan’s Pride” nie rozmawiał z nimi przez prawie siedem i pół miesiąca swojej długiej drogi z powrotem na Ziemię. - Kapitanie, to... wygląda na świeże.

Tsai wzruszył ramionami.

- Powiedzieli mi, że to zasługa środków bakteriobójczych w systemie powietrznym statku. Ale tak, przypuszczamy, że ten Alberto był prawdopodobnie jednym z ostatnich.

- Ostatnich?

Sevgi zerknęła na Nortona, gdy to mówił, i z satysfakcją zauważyła, że wyglądał równie niepewnie, jak ona się czuła. Dotarł do niej kwaśny odór świadczący, że w zamkniętej przestrzeni ktoś inny zwymiotował. Świadomość, że inni przed nią to widzieli i zareagowali tak jak ona, była dziwnie uspokajająca. Dzięki temu łatwiej było jej się opanować.

- Co się stało z kończynami? - zdołała zapytać prawie swobodnie.

- Usunięto je chirurgicznie. - Tsai wskazał w głąb korytarza. - Wciąż pobierają zapisy automatycznego chirurga, więc nie jesteśmy jeszcze pewni, jak to zrobiono, ale to oczywiste wyjaśnienie.

- W takim razie jak trafił tutaj?

Kapitan kiwnął głową.

- Tak, to trochę trudniejsze. Może uderzenie trochę porzrzuciło ciała. Większość kapsuł kriogenicznych ma otwarte pokrywy, ze środkami odżywczymi rozlanymi po podłodze i ścianach. Wygląda na to, że ktokolwiek to zrobił, nie był aż tak skrupulatny w sprzątanu, przynajmniej pod koniec.

- Kiedy statek spadał, powinny były zadziałać grodzie na korytarzach - zauważył Norton. - Te statki w sytuacjach zagrożenia dzielone są na przedziały. Nie ma mowy, żeby coś mogło przelecieć w taki sposób z jednego końca kadłuba na drugi. Wykluczone.

- Cóż, to tylko teoria. - Tsai znów machnął rękaw głąb korytarza. - Ale sami widzicie. Nie ma tu za wiele przedziałów. Chcecie obejrzeć sekcję kriogeniczną?

Sevgi spojrzała w głąb korytarza, gdzie zamontowane przez policję oświetlenie rozjarzało okolice sypialni. Dostrzegła poruszające się w głębi

postacie, usłyszała jakieś głosy. Krótki śmiech. Dźwięk niemal z fizyczną siłą pchnął ją w przeszłość, do czasów miejsc zbrodni z wydziału zabójstw. Czarny humor pomagał zacieśniać więzy, łącząc ich z siłą niedostępną dla nikogo, kto nie pracował w tych sprawach, dokładając się do oderwania przychodzącego z doświadczeniem. *Strasznie dziwne miewasz nostalgie, dziewczyno.* Trochę ją to zaniepokoiło, gdyż uświadomiło się, z jaką - pomimo buntu żołądka - zapragnęła nagle wrócić do tego świata i jego mrocznych procedur.

- Pozostałe ciała - odezwała się, gdy synd rozjaśnił jej w głowie. - Wszystkie zostały okaleczone tak jak to, prawda?

Twarz Tsai zmieniła się w maskę.

- Albo gorzej.

- Znaleźliście kończyny?

- Nie, jako takie.

Sevgi kiwnęła głową.

- Tylko kości, prawda?

*Och, Ethan, powinieneś tu być i to zobaczyć. Tym razem to się naprawdę stało, tak jak zawsze opowiadałeś, że kiedyś będzie.*

- Zgadza się. - Tsai patrzył na nią jak nauczyciel na bystrego ucznia.

- Ty chyba żartujesz - cicho odezwał się Norton.

Sevgi obróciła się w jego stronę. To było odruchowe odrzucenie, szok, nie protest.

- Zgadza się.

- Ktoś pociął tych ludzi używając autochirurga...

Kiwnęła głową, w ostrym wspomaganiu syndu i szoku zrozumienia wciąż niepewna, jak się czuje, jak *powinna* się czuć.

- Tak. I zjadł ich.

## ROZDZIAŁ 5

Przypominało to krajobraz z obrazów Dalego.

Wirtualne biura śledczego były standardem dochodzeniowym, który Sevgi pamiętała ze swojej pracy w nowojorskiej policji - jak okiem sięgnąć, dziewicza pustynia Arizony i błękitne niebo pozbawione czegokolwiek poza sierpem księżyca, ze znakiem wodnym w postaci logo projektanta. Każdą sekcję śledztwa przedstawiono w postaci trzypiętrowego budynku, które rozrzucono po okolicy w nadnaturalnie eleganckim półkolu. Budynki pozbawiono bocznych ścian, tworząc wrażenie przekroju w modelu architektonicznym, i wyposażono je w schody umożliwiające pokonywanie poziomów. Obok każdej struktury unosiły się etykiety z eleganckimi literami informującymi o anomaliach danych, laboratorium, odzyskanych danych kontrolnych i wcześniejszych informacjach. Spora część przestrzeni wciąż była pusta, dane miały dopiero nadejść, ale na odsłoniętych korytarzach głównego laboratorium leżały okaleczone ciała z „Horkan’s Pride”, przypominając zniszczone muzealne rzeźby. Nawet w ich przypadku wciąż brakowało pełnych danych organicznych, ale ciała dość wcześnie przeskanowano do systemu. Teraz leżały upozowane perfekcyjnie jak na wybiegu, zabarwione i dostatecznie realne, by mogło się zrobić niedobrze na sam ich widok. Sevgi widziała już ich zbliżenia, teraz z mroczną fascynacją skupiła się na gładko ściętej kości w gęsto upakowanym mięsie ramienia odciętego centymetr od barku, po czym głęboko tego pożałowała. Synd zaczynał się zużywać, zostawiając po sobie śliskie resztki ukrywanego dotąd kaca.

Interfejs n-dżinna laboratorium patologicznego, idealna piękność o euroazjatyckich rysach, w doskonale uszytym fartuchu, z maszynowym spokojem relacjonowała koszmar.

- Sprawca wybrał kończyny, ponieważ ich wykorzystanie wiązało się z najprostszą modyfikacją programów automatycznego chirurga z funkcji chirurgicznych na rzeźnicze. - Elegancki gest. - Amputacja jest procedurą obecną w protokołach autochirurga i nie stanowi zagrożenia dla życia. Po każdej procedurze chirurgicznej pacjent, wciąż żywy, przenoszony był do jednostki kriogenicznej, zapewniając pewną i stałą dostawę świeżego mięsa.

- I automecyk tak po prostu pozwolił na to wszystko? - Coyle rozglądał

się wokół, stanowiąc ucieleśnienie męskiej furii pozbawionej obiektu ataku. - Co to, do cholery, ma być?

- To - zmęczonym głosem wyjaśniła Sevgi - jest selektywna ingerencja w system. Ktoś dostał się na poziom ogólnych protokołów i wyłączył dzina statku. Dla dobrego danołamacza nie byłoby to takie trudne. Wszystkie te statki i tak mają opcję ludzkiej blokady, a n-dżinn ma wbudowane zabezpieczenie w postaci protokołu samobójstwa. Wystarczyło po prostu przekonać go, że uległ uszkodzeniu, i sam się wyłączył. Istnieją całe serie wtórnych zabezpieczeń przeciwko dostaniu się takich uszkodzeń do systemów autonomicznych, ale z tego, co słyhać, nie musieliśmy się tym martwić. Nie kazał systemom medycznym robić niczego, do czego już nie były przygotowane.

- On? - zapytała Rovayo.

Sevgi zdążyła już ją zaklasyfikować, jako zawodnika wsparcia, a to wyglądało na konfrontację - dotkniętą potencjalnym feminazistowskim szowinizmem.

- Czemu to musi być *on*?

Sevgi wzruszyła ramionami. Nie powiedziała: *bo statystycznie rzecz biorąc, tak to do cholery jest.*

- Przepraszam. Figura stylistyczna.

- Jasne. Do czasu, aż nie wrócą z laboratorium wyniki badań śladów i dowiemy się, że to faktycznie mężczyzna - skomentował Norton.

Zignorował buńczuczne spojrzenie Rovayo i podszedł bliżej do budynku laboratorium patologicznego i jego wystawy. Mechaniczna rzeczniczka laboratorium ustąpiła i stała w pełnej poważania ciszy, czekając na skierowane do siebie pytania. Najwyraźniej nie uaktywniono jej wyższych funkcji interakcyjnych. Norton dźgnął wyeksponowany uśmiech kobiecego trupa, a ten wyskoczył na nich. Odległości w konstrukcje były zwodnicze - przestrzeń mogła się tu wyginać i nabrzmiewać jak w soczewce, w zależności od uwagi użytkownika. - Jedno, czego nie rozumiem, to ten bałagan. Rozumiem, czemu ich pozabijał - nie chce się w takiej sytuacji zostawić świadków, niezależnie od tego, czy mają kończyny, czy nie. Ale czemu krew na ścianach? Czemu tak kaleczyć twarze?

- Bo był cholernym psychopatą - warknął Coyle. - Te rzeczy pewnie też zjadł, prawda?

- Trudno powiedzieć. - Kobięcy konstrukt laboratorium znów ożył, wywołując z jednego z plików bańkę wyświetlacza danych. - Dane zebrane z



jednostki kuchennej sugerują, że mięso zdrapane z czaszek mogło zostać ugotowane i strawione. Nie dotyczy to oczu, które zostały wydłubane, a następnie porzucone.

Sevgi ledwie zerknęła na powiększony obraz. I tak zresztą był trochę zbyt abstrakcyjny, by go łatwo zrozumieć - szkice śladów molekularnych i boczny pasek z podsumowaniem informacji o działaniu mikrofal. Później przejrzy budynek z plikami i zapozna się z tym we właściwym dla siebie tempie. W tej chwili wciąż wpatrywała się w zniszczoną twarz Heleny Larsen. Specjalistka z dziedziny demodynamiki, rzeczoznawca psychiatryczny. Rozwiedziona, niedługo potem podpisała kontrakt marsjański. INKOL dostawał sporo takich ludzi. Człowiek odrywa się od wszystkiego, co znane - czemu nie. Dotychczasowe podstawy życia sypią ci się pod nogami i pewnie potrzebujesz pieniędzy. Trzy lata, minimalny kontrakt dla wykwalifikowanego personelu, nagle wcale nie są takie straszne. Na Marsie zarabia się duże pieniądze, a przez jakiś czas przynajmniej nie ma ich, na co wydawać. Wracałaś do domu, jako bogata kobieta, Heleno Larsen. Wracałaś z historiami o obcym niebie do opowiadania dzieciom, które kiedyś zapewne byś urodziła. Miałaś w życiorysie podróż wraz z reprezentowanym przez nią potencjałem. Zostawiłaś przeszłość za sobą. To musiało być lepsze od grzebania się w pozostałościach dawnego życia, prawda? Lepsze od trzymania się tych resztek, które mogły ci...

- Śledcza Ertekin?

Zamrugła. Nie usłyszała tego, co powiedział do niej Coyle.

- Przepraszam, zamyśliłam się - przyznała zgodnie z prawdą. - Co...?

- Pytałem - wyjaśnił gliniarz, mocno akcentując czas przeszły - czy uważa pani za prawdopodobne, że ten, kto to zrobił, wciąż żyje Temperatura w wirtualu, pomimo pustynnego krajobrazu wcale niezbyt wysoka, nagle spadła o kilka stopni.

Norton popatrzył na Sevgi, która poczuła zrodzone z głębin intuicji delikatne, prawie niezauważalne potwierdzenie.

- Ktoś wysadził włązy - zauważyła Rovayo.

- To mogły zrobić automaty. - Colin posłał pomocne spojrzenie w stronę pary przedstawicieli INKOL. - Prawda?

- Istnieje taka możliwość - przyznała Sevgi. - Dopóki nie zbadamy uszkodzeń systemów automatycznych i n-dżina, trudno stwierdzić, jak statek mógł się zachować.

Jednak z tyłu głowy czuła narastające buczenie, jak silniki pod pokładem,

jak pomruk głosu Ethana czytającego jej wtedy, gdy złapała tę paskudną gripę, fragmenty z Pynchona, przychodzące i odchodzące w niebyt, gdy traciła skupienie wraz z gorączką. Odrzuciła to wspomnienie. Nachyliła się w chłodny blask syndu, jakby zanurzała twarz w fontannie.

- Słuchajcie, dowiemy się, czy ktoś wyszedł z tego z życiem, gdy...

- ... przyjdą wyniki analiz - zakończyła za nią Rovayo. - Zgadza się. Ale na razie, co *ty* o tym myślisz? Podziel się z nami swoim specjalistycznym spojrzeniem INKOL. Czy ktoś mógł dotrzeć na dół w jednym kawałku?

- Poza krio-kapsułami to mało prawdopodobne - oświadczył Norton. Zwyczajowa ostrożność publicznej wypowiedzi, typowa dla INKOL uwaga w doborze słów. - A nawet gdyby ktoś przeżył, wciąż zostaje mu do pokonania sto kilometrów do brzegu. A to bardzo daleko.

- Może ktoś ich odebrał. - Rovayo wskazała na puste poziomy budynku nadzoru. - Nie mamy jeszcze strumieni danych satelitarnych, żadnych przypadkowych rejestracji. Nie wiadomo, czy ktoś nie dotarł tam przed ekipą straży.

Coyle potrząsnął głową.

- Alicia, to nie ma sensu. Straż przybrzeżna wystartowała, gdy tylko dostała współrzędne.

- Kogo teraz używają? - zapytała Sevgi, próbując zachować neutralny ton głosu.

Nowojorska policja od dawna miała kompleks wyższości w zakresie stosowanych na Wybrzeżu procedur kontraktowania usług alarmowych, podejście zrodzone i podtrzymywane przez katastrofalne w skutkach próby stosowania tego schematu w Nowym Jorku.

Rovayo zerknęła na Coyle'a.

- Filigree Steel, prawda? Albo czekaj - strzeliła palcami. - Czy nie przegrali przetargu na rzecz ExOp?

- Nie, to było w Seattle. Tutaj to wciąż załoga Filigree. - Coyle obejrzał się na Sevgi i Nortona. - To Filigree jest nawet całkiem dobre. Wykonali zadanie zgodnie ze specyfikacją. Osłona powietrzna w ciągu dwudziestu minut, wysłane ekipy szturmowe. Nie ma mowy, żeby ktoś miał czas na dostanie się tam przed nimi. Albo facet jest martwy razem z resztą, albo wyskoczył zaraz po wywaleniu włazów i odpłynął w stronę zachodzącego słońca.

- W takim razie pomylił kierunki - cierpko zauważył Norton.

Coyle posłał mu krótkie spojrzenie.

- To była taka metafora.  
- Czasem robi takie rzeczy - poważnie potwierdziła Rovayo.  
- Nie sądzę, żeby wskoczył do wody - zauważyła Sevgi. - Trzeba byłoby mieć skłonności samobójcze albo chorobę psychiczną, żeby popełnić taki błąd.

Coyle popatrzył na nią.

- Była tam pani dzisiaj, pani Ertekin? Widziała pani menu pokładowe? Chce mi pani powiedzieć, że ten skurwysyn może *nie* być szalony?

Sevgi się skrzywiła.

- Ten skurwysyn, jak to pan ujął, spędził ostatnie kilka miesięcy kompletnie sam w głębokim kosmosie. Samotnie, to znaczy oprócz okazjonalnego towarzystwa członków załogi ożywianych na dość długo, by odciąć im jadalne mięso. Musi być przynajmniej niezrównoważony umysłowo, ale...

Rovayo prychnęła.

- Bez jaj, niezrównoważony. Trzeba być cholernym świrem, żeby...

- Nie. - Siła pojedynczej sylaby zamknęła usta kobiecie. Z ust Sevgi wymaszerowały słowa zapamiętane u Ethana, prawie dosłowny cytat. Narastało w niej zimne przekonanie. - Nie trzeba być szalonym, żeby zrobić coś takiego. Po prostu trzeba mieć cel i być zdeterminowanym, żeby go osiągnąć. Wyjaśnijmy to sobie już na początku. To, co widzieliśmy na pokładzie „Horkan’s Pride”, to nie są objawy szaleństwa, to tylko dowody potężnej siły woli. Dowody planowania i wykonania pozbawionego wszelkich społecznych ograniczeń. Wszelkie problemy umysłowe odczuwane przez tą osobę na koniec podróży będą skutkiem tego wykonania, nie przyczyną.

- Skoro mowa o planowaniu - skomentował Coyle. - Chcecie mi wmówić, że nie ładujecie na te statki kolonijne zapasów na nieprzewidziane sytuacje? No wiecie, jedzenia? Na wypadek, gdy ktoś za wcześnie się obudzi?

- Nikt nie budzi się za wcześnie - oświadczył Norton.

- Cholernie przepraszam - potężny gliniarz starannie rozejrzał się wokoło - ale powiedziałbym, że podczas tej podróży to właśnie się stało. Obudził się za wcześnie, i to cholernie głodny.

- Albo się gdzieś schowali - zasugerowała Rovayo. - To mogło się udać?

- Praktycznie niemożliwe - zapewniła Sevgi. - W protokoły startowe wpisano mnóstwo zabezpieczeń. Trzeba by je przełamać w czasie między włączeniem systemów statku a samym startem.

Rovayo kiwnęła głową.

- A ile to trwa?

- Jakies czterdzieści pięć minut. Te starsze statki potrzebują więcej czasu na załadowanie systemu.

- Słuchaj, z tym jedzeniem. - Coyle nie zamierzał zrezygnować. - Wszyscy wiemy, że Inicjatywa Kolonijna nie lubi wydawać żadnych pieniędzy z naszych podatków na nic, co ma ręce i nogi, ale czy wy naprawdę jesteście aż takimi kutwami, że pożałowaliście na pudło suchych racji? Co będzie, jeśli coś się stanie w środku lotu?

Norton westchnął.

- Tak. Racja. Wszystkie statki INKOL mają na pokładzie racje awaryjne. Ale tu nie o to chodzi. Podczas każdego lotu masz dwóch wykwalifikowanych oficerów lotu, zamrożonych osobno od lu... pasażerów.

- Lu - co? - chciała wiedzieć Rovayo.

*Ludzkiego ładunku, Sevgi cicho dokończyła za Nortona. Tak, mamy w INKOL trochę uroczej terminologii. Ograniczenia kontraktowe. Miękkie straty. Ciche fakty. Kotwica budżetowa. Zarządzanie obrazem publicznym.*

Zważyła wszystko. Przykazania policji. *Pieprzyć uczucia i okoliczności, zawsze wspierasz partnera.* Rzuciła opryskliwe:

- Próbowemy wam wyjaśnić, że istnieją dwa systemy. Kapsuły kriogeniczne pasażerów domyślnie ustawione są na pozostanie w zamrożeniu. Nie ma sensu budzić ich w przypadku zagrożenia. To cywile. Co mogą zrobić, biegać i krzyczeć: *Och, wszyscy zginiemy?* Pokładowe powietrze jest za drogie na takie bzdury. W tego rodzaju sytuacji nie mogą w niczym pomóc, więc jeśli coś pójdzie nie tak, cały system zostaje zablokowany. Nie można go otworzyć do czasu zadokowania statku.

Coyle potrząsnął głową.

- Jasne, a co będzie, jeśli awaria polega właśnie na rozmrożeniu?

- Jak? - Sevgi poczęstowała go swoim najlepszym spojrzeniem w stylu „tylko kretyn”. - Mówimy o głębokim kosmosie. Wiesz, jak tam jest cholernie zimno? W całym statku nie ma dość ciepła, żeby podgrzać ten system, chociaż o jeden stopień. Jedyne, co mogłoby tego dokonać, to reaktor, a ten zaprogramowany jest na odstrzelenie w przypadku awarii.

- No dobra. - Rovayo też postanowiła wspomóc partnera. Sevgi zauważyła u siebie nagłą falę sympatii, jakby nieoczekiwanie stanęła przed lustrem. - A co z innymi systemami? Ci goście od lotu kosmicznego. Oni są zaprogramowani na obudzenie się, prawda?

- *Mogą się obudzić* - znowu podjął Norton. - W pewnych okolicznościach. Jeśli dojdzie do nieoczekiwanej sytuacji nawigacyjnej. Jeśli trajektoria pójdzie w diabły lub na przykład nieoczekiwanie uaktywni się silnik. Wtedy statek uaktywnia te dwie kapsuły. Goście od lotu kosmicznego rozwiązują problem albo wzywają pomoc, jeśli sami nie potrafią.

*To gość od lotu kosmicznego, liczba pojedyncza. Cierpki głos w jej głowie nie chciał odpuścić. Ponieważ - wy, podatnicy, oczywiście nie musicie o tym wiedzieć - już od około dziesięciolecia oszczędzamy około pięćdziesięciu procent na personelu awaryjnym. Rozumiecie, takie marnowanie dobrej kapsuły kriogenicznej jest po prostu tak cholernie kosztowne, a przecież te rzeczy prawie nigdy się nie psują, nie? A nawet, jeśli coś się stanie, komu potrzeba dwóch pilotów, gdy poradzi sobie jeden? To przecież niepotrzebne mnożenie personelu, nie?*

- Jasne - stwierdził Coyle. - I ci faceci muszą jeść i pić, prawda?

- Oczywiście. - Norton machnął ręką, a Sevgi pozwoliła mu kontynuować. Zaczynała ją boleć głowa, może od długiego pozostawania w wirtualu. - I tak w zbiornikach jest woda w charakterze masy do reaktora, osłony przed promieniowaniem i systemów chłodzenia. Nawet w zbiornikach zapasowych jest więcej wody, niż dwóch ludzi mogłoby wypić przez kilka lat. Oczywiście jest też jedzenie. Jednak zasoby przygotowano przy założeniu, że tych dwóch nie będzie aktywnych przez dłuższy czas. Jeśli to prosty problem, naprawiają go i wracają spać. Jeśli coś złożonego, wysyłają SOS i wracają spać do czasu przybycia statku ratowniczego.

- A co się stanie, jeśli system nie pozwoli im ponownie zamarznąć? - Coyle wyraźnie nie zamierzał odpuścić swojego endemicznego braku wiary w technikę.

Sevgi pomyślała cierpko, że może po prostu dorastał w Jezusowie i wyemigrował na Wybrzeże.

Norton się zawahał.

- Statystycznie to na tyle bliskie niemożliwości, że...

- Wcale nie jest niemożliwe - leniwie zauważyła Rovayo. - Ponieważ, jeśli dobrze pamiętam, to przytrafiło się już jakiemuś biednemu sukinsynowi jakieś siedem czy osiem lat temu. Dokładnie to. Obudził się i nie mógł ponownie zamarznąć, musiał przesiedzieć całą drogę.

- Tak, też to pamiętam - zgodził się Norton. - Kapsuła kriogeniczna wypłuła go i nie chciała dać się zresetować, jakiś błąd systemu. Facet musiał przesiedzieć całą trajektorię, aż dostała się do niego ekipa ratunkowa.

Widzisz, jeśli transportowiec jest dostatecznie blisko punktu startowego, systemy awaryjne zawracają go i wysyłają na spotkanie statku ratowniczego, co znacząco skraca czas odzysku. Jeśli są bliżej do drugiego końca podróży, spalają zapasowe paliwo, żeby przyspieszyć: Jak by na to nie patrzeć, nie potrzeba wiele jedzenia, żeby utrzymać kogoś przy życiu do czasu uratowania.

*Cóż, dodała po cichu Sevgi, ale nie w sytuacji, gdy masz pecha i trafi ci się gorsza orbita. Ale nie lubimy o tym mówić. To jedna z tych rzeczy, które nazywamy cichymi faktami. Coś, o czym raczej nie wspomnieliby nawet stały personel INKOL. Jedna z tych rzeczy, za którymi trochę trzeba pogrzebać.*

Jednak w miarę jak „Horkan’s Pride” w ciszy nieuchronnie zbliżał się do domu, Sevgi poświęciła trochę czasu na grzebanie.

*Detektyw Ertekin ma zdrowe, analityczne podejście do pracy, przeczytała kiedyś raport na swój temat po pierwszym roku pracy w wydziale zabójstw, i wykazuje energię i entuzjizm w absorbowaniu świeżych szczegółów. Ma talent do szybkiego dostosowywania się do nowych okoliczności.* Próbowali napisać, że odrobiła swoje zadanie, i tutaj, prawie dekadę później, w sercu INKOL, zrobiła to ponownie. Odrobiła swoje zadanie i odkryła, że odległość między Ziemią i Marsem mogła różnić się nawet sześciokrotnie. Wyglądało na to, że Mars krąży po orbicie eliptycznej, a dodanie do tego różnych prędkości orbitalnych obu planet oznaczało, że mogło je oddzielać od około sześćdziesięciu do czterystu milionów kilometrów, w zależności od tego, kiedy postanowiło się przekroczyć ten dystans. Nawet opozycje - gdy Mars i Ziemia zbliżały się do siebie, lecąc przez chwilę łeb w łeb - mogły się różnić o parę milionów kilometrów. Starty tranzytowe INKOL brały do pewnego stopnia pod uwagę te różnice, ale ponieważ cykl zmieniał się, co kilka lat, nie można było po prostu czekać i wysłać całego ruchu tylko podczas zbliżeń. Ten słynny facet, który obudził się wcześniej jakiegoś osiem lat temu, miał szczęście - trafił gdzieś w okolice opozycji, co skróciło trajektorię dobrze poniżej stu milionów kilometrów.

Tym razem wracający do domu facet nie miał tyle szczęścia. „Horkan’s Pride” wystartował przy drugim końcu cyklu i leciał na Ziemię przez ponad trzysta milionów kilometrów zimnej, pustej przestrzeni.

*Bez przerw na posiłki.*

- Dobra - zgodziła się Rovayo. - Nie ma SOS, bo n-dżin został wyłączony. Ale muszą być jakieś procedury na ręczne przywrócenie kopii zapasowej, prawda?

- Tak. - Norton kiwnął głową. - To nie jest skomplikowane. W centralce łączności do ściany przybite są szczegółowe instrukcje.

- Ale nasz facet postanowił je zignorować.

- Tak, na to wygląda. Leciał po cichu całą drogę do domu, i to prawdopodobnie gdzieś prawie od strony Marsa. Na pokładzie nie ma na to dość żywności, nawet dla jednej osoby. Jeśli chce się siedzieć po cichu i przeczekać cały lot, trzeba sobie znaleźć coś jeszcze do jedzenia.

- Czyli facet jednak jest pieprzonym świrem. - W głosie Rovayo słychać było tony „a nie mówiłam?”. Powrót do początkowych założeń. Dobra, zgodziła się, że to mógł być facet, ale nie zamierzała uwierzyć, że mógł nie być wariatem. - Musi być. Nie musiał..

- Owszem, musiał - rzuciła w przestrzeń Sevgi. Czas, żeby wszyscy na tym skorzystali. - Musiał lecieć po cichu. Nie mógł wezwać statku ratunkowego i nie mógł wrócić do kriokapsuły, zakładając, że ta by zadziałała, ponieważ te opcje uniemożliwiłyby mu realizację celu.

Chwila ciszy. Dostrzegła pełne rezygnacji spojrzenie, które Rovayo posłała Coylowi. Wielki gliniarz rozłożył ręce.

- A ten cel to...?

- Wrócić do domu wolnym.

- Wydaje się, że to działania trochę na wyrost - sardonicznie rzuciła Rovayo. - Nie sądzisz?

- Wcale nie na wyrost. - Sevgi słyszała swój głos, choć nagle słowa stały się ciężkie i trudno było je wydusić. Opuszczał ją synd, wycofując się z ośrodków mowy, pozostawiając ją w gasnącym świetle natchnienia bez dobrego sposobu na przekazanie go. Z wysiłkiem poszukała jasnych sformułowań. - Słuchajcie, lot kosmiczny to układ zamknięty. Dokujesz na orbicie, a to gwarantowana kontrola, testy medyczne po rozmrożeniu, pobranie identyfikacji. Zazwyczaj koło tygodnia, zanim pozwolą ci zjechać windą na dół nanokracy i wypuszczą. Kimkolwiek był ten gość, nie chciał przez to wszystko przechodzić. Nie mógł sobie pozwolić na przylot w stanie zamrożenia wraz z innymi i z pewnością nie mógł zostać uratowany. Obie te opcje kończą się na nanokracie. Potrzebował odejść niezauważony, niezarejestrowany. I to był dla niego jedyny sposób.

- Tak, ale czemu? - chciał wiedzieć Coyle. - Sześć czy siedem miesięcy kanibalizmu, izolacji, możliwego szaleństwa. Ryzykując rozbicie na końcu drogi. Plus przeróbka kriokapsuły, a to musi się wiązać z jakimś ryzykiem, prawda? No, sama rozumiesz. Jak bardzo ktoś musiałby chcieć dotrzeć do

domu wolny?

Na twarzy Nortona pojawił się cierpki uśmieszek, ale nic nie powiedział. Nie publicznie. Sevgi dała sobie spokój z dyplomacją.

- Nie rozumiesz. Nie jest tajemnicą, że na Marsie są ludzie, którzy żałują, że zgodzili się tam polecieć, tacy, co chcieliby wrócić do domu. Ale to trepy, tania siła robocza wysiłku kolonizacyjnego. Ten człowiek jest kimś więcej. Mówimy o kimś, kto z łatwością manipuluje kapsułą kriogeniczną i systemami medycznymi, kto potrafi obsługiwać pokładowe procedury lądowania awaryjnego...

- Tak, to kolejna sprawa, której nie rozumiem - wtrąciła skrzywiona Rovayo. - Przez całą podróż facet wyciąga pasażerów z kapsuł kriogenicznych i chowa ich tam z powrotem. Czemu nie zabić po prostu jednego z nich i zająć miejsce opróżnionej chłodziarki?

- Trochę trudno byłoby to wyjaśnić, gdy już cię wyciągną na drugim końcu - cierpko zauważył Coyle.

Jego partnerka wzruszyła ramionami.

- No dobrze, to ustawić kriokapsułę tak, żeby obudziła cię tydzień przed domem. Potem...

Norton potrząsnął głową.

- Nie da się. Kriokapsuły są indywidualnie kodowane dla każdego pasażera na poziomie nano i mają bardzo sztywne parametry programu. Natychmiast odrzuciłyby inne ciało. Żeby to obejść, trzeba być specjalistą od biotechnu kriogenicznego, a nawet wtedy nie dałoby się chyba tego zrobić w locie. Tego rodzaju kodowanie odbywa się, gdy statek przebywa w doku, i wyłączają do tego cały system. Nie potrafiłabyś też zakodować wcześniejszego obudzenia, z tego samego powodu. Wszystko to, co się tam zdarzyło, mieściło się w istniejących parametrach automatycznych systemów. Istnieją zaprogramowane warunki umożliwiające tymczasowe wyciągnięcie pasażera z kriogeniki w celu poddania go procedurom medycznym. Nie ma możliwości wymiany pasażerów lub pozwolenia im na wcześniejsze obudzenie.

- A on był dość bystry lub dostatecznie przeszkolony, żeby o tym wiedzieć - podkreśliła Sevgi. - Zastanówcie się. Wiedział dokładnie, które systemy mógł bezpiecznie przerobić, i dokonał tego, nie wywołując przy tym ani jednego alarmu.

- Tak, tak, i jeszcze ma talent do alternatywnej kuchni - warknął Coyle. - Co chcesz nam powiedzieć?



- To, że osoba posiadająca umiejętności i siłę, jakimi wykazał się ten człowiek, poleciałaby na kontrakt terminowy, co oznacza trzy do pięciu lat bez konieczności przedłużenia. Mógł poczekać i wrócić do domu w kriokapsule, do tego całkiem bogaty. - Sevgi przeciągnęła wzrokiem po rozmówcach. - Czemu tego nie zrobił?

Rovayo wzruszyła ramionami.

- Może wtedy nie mógł. Trzy lata to kupa czasu, gdy patrzy się na to z niewłaściwego końca. Zapytaj nowego narybku w Folsom albo Quentin Dwa, a to przecież tylko więzienie tu, na Ziemi. Może facet wysiadł z promu w Bradburym, rozejrzał się wokół po tych wszystkich czerwonych skałach, zrozumiał, że popełnił błąd i po prostu nie umiał sobie z tym poradzić.

- To nie pasuje do siły woli, której potrzebował, by wcielić to w życie - rozsądnie zauważył Norton.

- Właśnie - potwierdziła Sevgi. - Zresztą mógł wezwać statek ratunkowy, gdy tylko znalazł się poza granicą wsparcia z Marsa. Nie zrobił tego...

- Granica wsparcia? - Rovayo skierowała pytanie do Nortona. - Co to?

Norton kiwnął głową.

- Działa w ten sposób: jeśli wyślesz transportowiec INKOL z Marsa na Ziemię i coś pójdzie nie tak, coś wymagającego misji ratunkowej, to wysłanie tej pomocy z Marsa ma sens tylko do pewnej odległości. Po jej przekroczeniu transportowiec jest już tak daleko na trasie, że więcej sensu ma wysłanie pomocy z Ziemi. Ktokolwiek chciałby dostać się do domu, musiałby poczekać przynajmniej do tego punktu granicznego, w innym wypadku nic by nie zyskał. Ekipa ratunkowa z Marsa sprowadza cię z powrotem i wciąż siedzisz na miejscu, z dodatkowymi karami, które INKOL nałoży ci w nagrodę. Chcesz uzyskać pomoc z Ziemi, bo w ten sposób, cokolwiek jeszcze z tobą zrobią, przynajmniej dotrzesz do domu. Nie będą przecież marnować kosztu przelotu, żeby wysłać cię powrotem z czystej złościwości.

- Tak z ciekawości - wtrącił Coyle. - O jakich dodatkowych karach mówisz? Co INKOL może zrobić, jeśli wychylnisz się na Marsie?

Norton posłał kolejne spojrzenie Sevgi. Wzruszyła ramionami.

- Działa tak samo, jak wszędzie indziej - odpowiedział Norton z profesjonalnym opanowaniem. Wszyscy zostali przeszkoleni w akceptowalnym przedstawianiu tego zagadnienia. - Istnieje grupa sankcji nazywanych Ograniczeniami Kontraktowymi, ale nie ma tam nic szczególnego. Kary finansowe w stosunku do kontraktu, ograniczenie

wolności, to, co zwykle. Dla pracowników na kontraktach krótkoterminowych czas w więzieniu dodawany jest do kontraktu bez rekompensaty finansowej, więc jeśli chcesz szybciej wrócić do domu, nie opłaca się sprawiać kłopotów.

- Jasne. - Rovayo uniosła brew. - A jeśli dotrzesz z powrotem na Ziemię? To znaczy, bez zgody.

Norton się zawahał. Zastąpiła go Sevgi.

- Coś takiego nigdy jeszcze nie miało miejsca.

Luźno zastanowiła się, czemu uśmiechała się przy tych słowach. Zimny, lekki uśmiezek. W jej wspomnieniach pojawił się Ethan, odpowiadając uśmiechem.

- Oho - rzucił Coyle.

- Co, *nigdy*? - Znów Rovayo. - W ciągu trzydziestu lat jeszcze nigdy się to nie zdarzyło?

- Trzydziestu dwóch lat - poprawił Norton. - Ponad dwa razy tyle, jeśli uwzględnisz załogi pierwszych baniek, zanim naprawdę zaczęła się nanoformacja. Jak powiedziała Sevgi, to układ zamknięty. Bardzo trudno go złamać.

Coyle potrząsnął głową.

- Wciąż tego nie rozumiem. Mógł wezwać pomoc z Ziemi. Dobra, może dostałby trochę pierdła, ale do jasnej cholery, przecież i tak siedział *tam*. O ile przyzwoite więzienie mogło być gorsze od tego?

- Ale jego nie czekał tylko wyrok więzienia - cicho zauważyła Sevgi.

- Słuchaj. - Coyle nie zwracał na nią uwagi. Wciąż szukał czegoś, na czym mógłby wyładować swój gniew. - Wciąż nie rozumiem jednego: czemu nie wysłaliście statku ratunkowego, jak tylko n-dżin przestał odpowiadać?

- Bo za bardzo oszczędzają - mruknęła Rovayo.

- Bo nie było sensu - bezbarwnie odpowiedziała Sevgi. - „Horkan’s Pride” wciąż leciał do domu. Z tego, co wiedzieliśmy, załodze nic się nie działo.

- Nic się, kurwa, nie działo? - Znowu Coyle, z niedowierzaniem.

Norton wkroczył do wyłomu.

- Tak, wiem, jak to brzmi. Ale musisz zrozumieć, jak to działa. Tylko n-dżinn przestał z nami rozmawiać. To już się na tej trasie zdarzało, po prostu nie lubimy o tym rozmawiać. Mieliśmy przypadki, gdy n-dżinn się wyłączał czasowo, po czym ożywał z powrotem kilka dni później. Czasami po prostu umierają. Tak naprawdę nie wiemy, czemu.

Rozłożył ręce, machnął nimi w dół. Sevgi odwróciła wzrok, starannie kontrolując wyraz twarzy.

- Chodzi o to, że to wcale nie ma wielkiego znaczenia. Statek będzie całkiem dobrze leciał na automatycznych systemach modułowych. Pomyśl o n-dżinnie jak o kapitanie statku. Jeśli zginie kapitan którejś z tych pacyficznych tratw fabrycznych, nie musisz przecież wysłać statku ratunkowego, żeby ściągnął tratwę do portu, prawda? - Autoironiczny uśmiezek przy pytaniu retorycznym. - To samo dotyczy „Horkan’s Pride”. Utrata n-dżinna nie miała wpływu na protokoły zabezpieczające statku. Kontrola lotu z Ziemi i Marsa wciąż odbierała z „Horkan’s Pride” standardowe dane kontrolne. Stała atmosfera statku i ciężenie obrotowe, żadnych przebieć kadłuba, wszystkie systemy kriokapsuł działają, trajektoria nie uległa zmianie, systemy pilotażu aktywne. Wszystkie podstawowe urządzenia wciąż działały, po prostu sam statek przestał z nami rozmawiać.

Rovayo potrząsnęła głową.

- A fakt, że ten *hijo de puta* wyciągał ludzi z kriokapsuł i ciął ich na kawałki, nigdzie nie został zarejestrowany?

- Nie - zmęczonym głosem przyznał Norton. - Nie został.

- Bez n-dżinna nie było jak się dowiedzieć o tym, co się tam działo. - Sevgi w zasadzie miała już dość i częściowo próbowała ukryć własne przekonanie, że Rovayo miała rację odnośnie prawdziwych motywów INKOL. Akcja ratunkowa w środku lotu wciąż była szalenie kosztowna i żaden kierownik projektu nie zechciałby podjąć takiej decyzji. - Systemy podstawowe są dokładnie tym, czym się wydają. Mówią nam, jeśli coś się zepsuje. Nie było żadnych widocznych awarii, a ponieważ cała załoga powinna być w kriokapsułach, to - logicznie - oznaczało, że nic nie mogło im się stać. Nie mieliśmy możliwości dowiedzieć się, że faktycznie jest inaczej. A statek trzymał się kursu. W takiej sytuacji po prostu się czeka. Tak działają loty kosmiczne.

Rovayo gładko zrezygnowała z jadu zawartego w ostatnim komentarzu.

- Tak? No dobrze, ale skoro statek z wami nie rozmawiał, to jak miał zadokować do nanokratownicy?

Norton rozłożył ręce.

- Ta sama odpowiedź. Automatyczna procedura. Kontrola lotów przejmuje sterowanie systemami statku na podejściu. Nie mieliśmy powodu podejrzewać, że do tego nie dojdzie.

- Wydaje mi się - skomentował Coyle - że ktokolwiek to zrobił, znał

wasze systemy na wylot.

- Tak, dokładnie. - *Oraz nasze żalodne, skąpe dusze.* Sevgi odrzuciła od siebie tę myśl. Czas wracać do tematu. - Znali nasze systemy, ponieważ je przestudiowali, a na dodatek mieli duże umiejętności w zakresie planowania penetracji tych systemów, co oznacza wysoką inteligencję i przeszkolenie partyzanckie. Byli też całkowicie poświęceni swojemu przeżyciu, ponad wszelkie kwestie moralne, co wymaga olbrzymiej siły i dyscypliny duchowej. A jednak ta sama osoba na tyle obawiała się rejestracji po przylocie, że zrobiła *to*, by jej uniknąć.

Sevgi przeciągnęła ręką po wirtualu, przywołując poszczególne dowody zbrodni, ponieważ system odczytał jej gest, jako *skupienie*. Fragmenty danych, wycinki ran w sztucznych kolorach, znieruchomiłe nagrania płynu kriogenicznego rozlanego po nienaganych podłogach, plamy krwi na ścianach i upiorne uśmiechy czaszek.

Głęboko wciągnęła powietrze.

- Ktoś zechce mi teraz wyjaśnić, jaki obraz tworzą te piksele?

Nie była aż tak daleko przed nimi. Spojrzenie Coyle'a zmieniło się wraz ze zrozumieniem, gniew w końcu zgaszony, stłumiony w coś innego. Rovayo znieruchomiła. Norton - Sevgi obróciła się, by spojrzeć mu w oczy - po prostu wyglądał na zamyślnego. Jednak nikt się nie odezwał. Co dziwne, wyzwanie podjęła twarz laboratorium. Wyraźnie uznała, że zadano jej pytanie.

- Opisywane przez panią cechy - spokojnym głosem odezwała się sztuczna kobieta - odpowiadają tezie, że sprawca był zmodyfikowanym genetycznie męczyzną wariant trzynaście.

Sevgi ukłoniła się w podzięcie.

- Tak. Wszystko pasuje, nieprawdaż?

Przez chwilę wszyscy to przyswajali.

- Bosko - rzucił w końcu Coyle. - Tego właśnie było nam trzeba, cholernego świra w roli sprawcy.

## ROZDZIAŁ 6

Później domyślili się, że obwody kontroli wilgotności na rzędzie siedemnastym wysiadły gdzieś w piątek w nocy i że znowu nie włączyły się zapasowe osłony. W sobotę rano dzień zaczął się mgliście, więc początkowo nikt nie zauważył, gdy pokrywy talerza zostały ustawione na pełną przezroczystość. Jednak, kiedy letnie słońce Kalifornii przepaliło się w końcu po południu przez mgłę i trafiło w szkło, kultury w inkubatorach dostały jego pełną moc. Na pomoście rozryczały się syreny. Scott i Ren wypadli Zodiakiem z paniczną prędkością, ale zanim założyli kombinezony i zeszli do wody, stracili praktycznie wszystko w tym rzędzie. Powiosłowali jeszcze trochę, żeby się upewnić, odłączyli system i zadzwonili z raportem do Nocery. Potem w ponurej ciszy popłynęli z powrotem do pomostu. Scott nie musiał mówić na głos tego, co oboje wiedzieli. Siedemnastka była naładowana po brzegi - miała w sobie około ćwierci miesięcznych zbiorów. Gdy Ulisses Ward wróci z kontroli kratownic głębinowych i się o tym dowie, będzie piekło. To był już trzeci taki przypadek tego lata.

- Takie są skutki kupowania softu od pieprzonych Teksaszczyków - wyszczerzył się Nocera z nogami na konsoli, gdy razem ze Scottem siedzieli, czekając aż jakaś wynajęta firma konsultingowa zdalnie zdiagnozuje usterkę.  
- Ward nigdy się nie nauczy. Chcesz jakoś Wybrzeża, musisz zapłacić tutejszą cenę.

- To nie oprogramowanie - rzucił Scott, głównie, dlatego, że dobrze o tym wiedział, ale także zaczynał mieć dość nieustannego svirowania Nocery. - To uszczelki.

- To pieprzony soft. Ward kupił tanio i byle jak od bandy świrów z Jezusowa, co pewnie myślą, że modyfikowany węgiel kupuje się na grille w ogródku. Ci faceci są, co najmniej pięć lat do tyłu za tym, co tera wychodzi z doliny.

- Oprogramowaniu nic nie dolega - warknął Scott. - To samo działo się w maju, jeszcze przed tą cholerną aktualizacją. - *Zanim zaczęłeś tu pracować*, ale tego już nie dodał. Potem dotarł do niego język, jakim się posłużył, i zaczerwienił się ze wstydu. Nigdy tak nie przeklinał, zanim nie podjął tu pracy.

- Jasne. To samo łajno, to samo gówniane oprogramowanie. - Nocera nie

zamierzał się zamknąć, nakręcił się. Machnął ręką wokół siebie. - Ward kupuje swoje aktualizacje w tym samym miejscu, gdzie oryginalny system. Krowia Technika, Kansas. Wydłubane wprost z krowiej dupy.

- Przed chwilą powiedziałeś, że Teksas.

- Teksas, Kansas... - Nocera lekceważąco machnął ręką. - W gruncie rzeczy, co za różnica? To wszystko...

- Zostaw go w spokoju, Emil. Wszyscy musieliśmy się gdzieś urodzić.

W drzwiach sterowni stanęła Carmen Ren, z niezapalonym skrętem w kąciku ust i rękami w kieszeniach stroju roboczego. Oddaliła się, gdy tylko zdarła z siebie kombinezon, nie rzucając ani słowa. Do tej pory Scott wiedział już, że nie należy za nią chodzić, gdy jest w takim nastroju. Przynajmniej do czasu, aż trochę się wypali.

Nocera westchnął ciężko.

- Słuchaj, Carm, to wcale nie tak. Nie mam nic do Osborne'a dlatego, że jest płotoskoczkiem. Wielu ludzi tutaj mogłoby mieć, ale nie ja. Pewnie każdy jakoś musi zarobić na życie, nawet, jeśli musi do tego jakoś przeniknąć przez płot. Ale nie będzie przecież siedział tu i mówił mi, że to tanie badziewie, które składają w Jezusowie, działa równie dobrze jak technika z Wybrzeża. Bo, do cholery, to nieprawda.

Ren posłała Scottowi znużony uśmiech.

- Olej go - stwierdziła. - Skoro nie ma tu Warda, nie wiadomo ile sztucznego paskudztwa Emil wciągnął dziś przez nos.

Nocera ostrzegawczo skierował na nią palec.

- Ty dobierasz sobie własne środki, ja dobieram swoje.

- To? - Ren wyciągnęła skręta z ust i wysunęła go przed siebie. - Emil, to jest taniocha. Nie będę tu chodzić i błagać o pożyczkę na tydzień przed wypłatą.

- Hej, pieprz się.

Wsadziła marihuanowego skręta z powrotem do ust, zmiądzzyła palcami jego koniec, pobudzając żar, i mocno się zaciągnęła. Zioło rozjarzyło się ze słyszalnym trzaskiem. Wydmuchnęła chmurę dymu i przez chwilę przyglądała się przez nią Nocerze.

- Dzięki - rzuciła w końcu. - Miałam w tym tygodniu ciekawsze oferty.

- Co, od tego ministranta tutaj?

Scott znów poczuł, że się czerwieni. Carmen Ren była najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział na żywo, a ponieważ razem zajmowali się konserwacją sprzętu w wodzie, widywał całkiem sporo jej ciała. W

przebieralni ściągała z siebie ubranie z całkowitym brakiem skromności, który pastor William nazwałby pysznym i niekobiecym. Scott grzecznie odwracał się od niej, gdy rozebrała się do naga, ale i tak dostrzegał kątem oka różne rzeczy, gdy zapinała kombinezon lub nieoczekiwanie ściągała go do pasa w pontonie, gdy zrobiło się zbyt gorąco. Miała skórę koloru jasnego miodu, a krągłości jej ciała były subtelne, ale wyraźne nawet w workowatym stroju roboczym Ward Bio-Supply, które wszyscy nosili na brzegu. Przede wszystkim jednak Carmen Ren miała długie, proste włosy, rozlewające się jej na plecy niczym woda za każdym razem, gdy zwalniała je ze statycznego klipsa trzymającego je w górze, oraz ciekawy, nonszalancki sposób przechylania głowy na bok, gdy to robiła. Jej oczy były ciemne i pełne ironii, uniesione lekko w kącikach, a kości policzkowe przypominały występy skalne jakiegoś himalajskiego szczytu. Gdy się na czymś skupiała, cała jej twarz nabierała porcelanowego bezruchu, rozrywającego mu serce niczym trzask ziela pękającego w skrócie.

W ciągu ostatnich kilku tygodni Scott coraz częściej przyłapywał się na myśleniu o Ren po wieczornym powrocie do domu, w sposób, który musiał być grzeszny. Robił, co mógł, by oprzeć się pokusie, ale mu się nie udawało. Pojawiała się w jego snach bez ubrania, w pozycjach i sytuacjach wywołujących rumieniec na jego twarzy, gdy przypominał sobie o nich w ciągu dnia. Nieraz budził się ostatnio napięty i sztywny, z dłońmi na sobie i smakiem imienia Ren na ustach. Co gorsza, miał wrażenie, że kiedy Ren na niego patrzy, widzi to, co w sobie ukrywał, i gardzi nim z tego powodu.

Palila teraz, patrząc na Nocerę tak, jakby był czymś, co wyciekło ze zbiornika z mulchem.

- Naprawdę zachowujesz się dzisiaj jak narowisty sukinsyn, wiesz? - Obróciła się do Scotta. - Napijesz się na brzegu kawy?

- Uch, to znaczy razem z tobą? - Scott zerwał się na nogi, gdy potwierdziła skinieniem. - Jasne. Oczywiście. Świetnie.

- Uch, och, razem z, uch, tobą? - prychnął Nocera, potem zamachał rękami, naśladując drgawki ginącego owada. Podciągnął swój pseudojezusowski akcent z kanałów komediowych. - Ach, kochanie, jakże mógłbym odmówić takiej damie. Uch, chwała, no, uch, miłosiernemu Panu.

Scott zacisnął pięści. Miał za sobą dość poszturchiwanek w domu, by wiedzieć, że nie jest w tym dobry, a z wyglądu Nocery emanowało, że on właśnie był. Widział blizny starszego mężczyzny, gdy ten przebierał się w kombinezon do nurkowania, odczytał to z jego postawy i wyzwania we

wrogim spojrzeniu. Przypominało to patrzeć na późniejszą wersję starszego brata Jacka Mackenziego, tego, który w dniu szesnastych urodzin zgłosił się do wojska i wrócił rok później, opalony i pełen opowieści z miejsc, o których nikt z nich wcześniej nie słyszał.

Mimo wszystko miał już na tyle dosyć poczucia wyższości Nocery, że...

Ren wsunęła się w oddzielającą ich przestrzeń tuż przed tym, jak Scott zdał sobie sprawę, że odwraca się w stronę starszego mężczyzny.

- Powiedziałaś „kawa”, Scott. Nie złamany nos. - Kiwnęła w stronę drzwi. - Chodź. Zostaw tego palanta, niech się bawi sam ze sobą.

- Będzie o wiele przyjemniej niż zabawa z tobą, Ren. - Nocera wychylił się zza biodra Ren, wciąż w fotelu, wciąż wyszczerzony. - Mówię ci, młody, znam ją na wylot. Byłem tam, lizałem ją. Naprawdę lepiej się zabawisz, waląc konia.

Scott szarpnął się do przodu z uniesionymi pięściami. Znów się czerwienił aż po czubki włosów, policzki mu płonęły. Dostrzegł, jak uśmiech znika z twarzy Nocery, zastąpiony nagłym, skalkulowanym zainteresowaniem. Buty mężczyzny niespiesznie opadły z konsoli na podłogę. Scott zrozumiał, że zostanie skopany, ale pieprzyć to...

I nagle został przyciśnięty do Ren. Ostry zapach jej włosów, wciąż wilgotnych, ciepło jej skóry i łagodne krągłości tuż poniżej jego oczu. A potem pchnęła go stanowczo w stronę drzwi. Wyraz jej twarzy nie był przyjazny.

- Wyjdź - poleciała równie stanowczo, jak pchnęła go w pierś. - Poczekaj na mnie na górze.

Wyszedł, chwając się nieco, wypełniony w równym stopniu wstydem i ulgą. Drzwi zamknęły się za nim, tłumiąc słowa Nocery do ledwie słyszalnego pomruku. Wplątały się gniewne tony Ren. Chciał zostać i posłuchać, ale...

Ruszył cicho oświetlonym metalowym korytarzem, w górę trzeszczących metalowych stopni do górnego biura, a potem na zewnątrz, na późnopołudniowe słońce, wciąż ciężko dysząc. Podszedł do relingu przy jednym z trapów na pomost i obie dłonie zacisnął na splocie włókien węglowych, jakby mógł je zmiążdżyć. Wbił wzrok w zbiegające kłykie.

- ...*pieprzony Nocera, pieprzone dupki z Wybrzeża, pieprzone miejsce...*

Ale *wiedział*, przypomniawszy mu małą, spokojną część jego istoty. Zawsze *wiedział*, że tak będzie. *Wiedział*, bo opowiedział mu wszystko wuj Leland, który był na Wybrzeżu jeszcze zanim Scott się urodził. Mówił mu też pastor



William, okraszając przemowę groźbami ognia piekielnego. Powtarzała mu matka, nieustannie przy tym płacząc. Mówili mu przyjaciele, naśmiewając się.

Wszyscy mu mówili, bo wszyscy wiedzieli, co na bezbożnym Wybrzeżu sądzą o Republikanach. Ciężka praca i nienawiść to wszystko, co mu zaoferują. Wykorzystają go, plując przy tym na niego; jeśli nie dopadną go bandyci z biura imigracyjnego, zrobią to lichwiarze i gangsterzy. Nie będzie tam miał żadnych praw, nikogo do pomocy. Będzie nikim, nawet gorzej, jednym z członków milczącej klasy robotniczej, tańszej od maszyn i równie cichej, nienarzekającej i wydajnej, bo inaczej bach, przeciętny, zaawansowany technicznie obywatel Wybrzeża po prostu wymieni ich na coś, co wykona pracę szybciej, taniej i lepiej.

*Mimo wszystko nie powiem ci, żebyś nie jechał.* Leland tydzień przed skokiem Scotta zaparkował obok chłopaka przy płocie, przyglądając się, jak zachód zabarwia niebo nad górami. Nie wiedział o tym, ale Scott zapłacił już zaliczkę facetowi w Bozeman. Miał pojechać ciężarówką w następny wtorek. *Nie powiem ci, żebyś nie jechał, bo nie ma tu dla ciebie nic lepszego. Ludzie nienawidzą Wybrzeża i mają do tego mnóstwo powodów, ale tam będziesz miał okazje, na które nie będzie szansy tutaj, jeśli nigdy sienie ruszysz. Pieniądze nie osiadły, tak jak tutaj. Wciąż płyną, nie wszystko jest podzielone i skostniałe. Możesz je tam znaleźć, pójść za nimi. Jeśli będziesz miał szczęście, może coś dla siebie wyskrobiesz. A jeśli zostaniesz, zalegalizujesz się i założysz rodzinę, to może twoje dzieci będą miały jeszcze więcej. Wiesz, na Wybrzeżu szkoły są darmowe. No, naprawdę darmowe, i to prawdziwe szkoły, a nie te bzdury, jakie pakują nam tutaj.*

Siedzieli przez chwilę, a wieczór pogłębiał barwy zachodu. Powietrze zaczęło się ochładzać.

*W takim razie, czemu tam nie wrócisz, Wallace?* - zapytał w końcu.

Wallace uśmiechnął się i spojrzał na swoje spracowane dłonie. *Zawsze zadajesz dobre pytania, Scotty. Czemu wróciłem? Nie wiem, może po prostu nie byłem dość silny, żeby tam zostać. Wiesz, bardzo tęskniłem za tym miejscem. Obaj tęskniliśmy, ja i twój tata. Zawsze rozmawialiśmy o powrocie i chyba to właśnie pomagało nam tam zostać. Potem, kiedy Daniel miał ten wypadek i nie było już rozmów, nie było z kim rozmawiać i tęsknota naprawdę zaczęła mi doskwierać.*

Scott doskonale znał tę tęsknotę. Czasami potrafił ją przegonić na całe dnie, zwłaszcza na początku, podczas pierwszych koszmarnych prac, gdy po

całym dniu nie miał już siły ani czasu na nic poza snem. Ale tęsknota zawsze wracała, a teraz, gdy miał już czas i pieniądze do odłożenia, czuł to samo potężne ssanie, które musiało dorwać Wallace'a. Modlił się, co wieczór, tak jak obiecał mamie, odwiedzał chrześcijańskie kościoły, gdy tylko je widział, ale ostatnio nie bardzo wiedział, o co tak właściwie się modli.

- Już w porządku?

Podskoczył. Nie słyszał, jak Ren podchodzi do niego.

- Tam, skąd pochodzę - powiedział napiętym głosem, prostując się - nie mówi się tak przy kobiecie.

Przechyliła głowę, uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Cóż, tam, skąd ja pochodzę, nie segregujemy naszych wypowiedzi. Ale i tak dziękuję. To miła myśl. Zwłaszcza, że Nocera by cię zdeptał. Wiesz, Scott, to dupek, ale to nie znaczy, że nie umie sobie radzić.

- Wiem. Widziałem już takich.

- Doprawdy? - Przez chwilę uważnie mu się przyglądała. Uniosła brew. - Tak, pewnie widziałeś. Cóż, w takim razie wykazałeś się naprawdę dużą odwagą.

Poczuł, że coś w nim rozkwita. Po czym natychmiast opada, gdy Ren potrząsnęła głową.

- Cholernie głupi, ale odważny. To, co, idziemy na tę kawę?

\* \* \*

BioSupply Warda rozpoczęła życie, jako jedna z kilku początkujących firm z dziedziny biotechniki w kompleksie komercyjnych nabrzeży Kwok, ale z czasem wchłonęła większość sąsiadującej konkurencji i rozciągała się teraz na północnym końcu kompleksu w formie porzrzucanych biur, doków łodzi podwodnych i nowo zbudowanych magazynów. Żeby znaleźć cokolwiek, co nie należy do Ulyssesa Warda, należało przejść jednym z wąskich pomostów na południową stronę, gdzie grupa jadłodajni z widokiem na morze oferowała wyżywienie robotnikom nabrzeży.

Weszli do miejsca o nazwie Chung's, powszechnie uznawanego za najlepszy punkt z kofeiną i ozdobionego wyświetlaczami prezentującymi sekwencje z singapurskich scen bloodbeatu.

- Dobrze to - rzuciła Ren, wskazując na ekrany kubkiem z kawą. - o wiele lepsze od tej słodkiej pulpy, którą pokazują na miejscu.

- Tak. - odpowiedział szorstko. Wciąż trochę czuł się urażony faktem, że nazwała go głupim. Poza tym całkiem lubił lokalną muzykę. I tak naprawdę wcale nie akceptował masy ocierających się o siebie, praktycznie nagich ciał.

Napiła się i z satysfakcją pokiwała głową.

- Tak, dobrze będzie przy okazji naładować się trochę kofeiną. Jeśli Ward ma się na nas wydierać, wolę być wtedy przytomna. Jestem na nogach od czwartej rano.

- Co robiłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Takie tam. Wiesz, jak jest.

Co znaczyło, że ma jeszcze jedną pracę. W związku z czym była tu nielegalnie, jak on, ponieważ jeśli ktoś tu mieszkał legalnie, mógł całkiem nieźle wyżyć z jednej pensji. To była jedna z podstawowych różnic między Wybrzeżem a Republiką.

Poczucie solidarności złagodziło nieco jego nastrój.

- Sytuacja uspokaja się trochę po jakimś czasie - zaoferował pocieszenie.

- Zanim się tu załapałem, pracowałem w trzech różnych miejscach od rana do nocy. Ward lubi powrzeszczać, gdy coś się zepsuje, ale mimo tego jest całkiem niezłym szefem.

Kiwnęła głową.

- Pewnie tam, skąd jesteś, sytuacja nie wygląda zbyt wesoło, co? - zapytała tramię. - Gdzie to jest dokładnie? Jakaś Nebraska czy inna Dakota?

- Montana.

Znów uniosła brew.

- Kraj wojny o wodę. Człowieku, dorastanie musiało być ciężkie.

- W innych miejscach jest gorzej - rzucił defensywnie, choć nie potrafiłby wymienić żadnej nazwy. - Po prostu, cóż. Trudno dostać pracę za pieniądze, jeśli nie znasz właściwych ludzi.

Pokiwała głową.

- *Plus ça change.*

- Proszę?

- Nic takiego. - Wbiła wzrok w ekrany. - Ward mówił ci coś na temat tego, kiedy wróci?

- Właściwie nie. Mówił, że może go nie być przez większą część dnia. Pewnie szykuje się do jakiegoś poważniejszego remontu. Zazwyczaj przy takiej trasie kontrolnej do kratownic wróciłby po ledwie paru godzinach. - Zawahał się. - Carmen, mógłbym cię o coś zapytać?

- Jasne. - Nieobecna odpowiedź; tak naprawdę nie zwracała na niego uwagi.

- Skąd *ty* jesteś?

Nagle spojrzenie z ukosa. Teraz się na nim skupiła.

- To długa historia, Scott. - Pociągnęła łyk kawy. - Jesteś pewien, że chcesz się aż tak zanudzić?

- Nie zanudzę się. Lubię słuchać o miejscach, w których nigdy nie byłem.

- Czemu myślisz, że nie jestem stąd?

Jednak mówiąc to, uśmiechała się w sposób sugerujący, że miał się przyłączyć. Wyszczrzył się w odpowiedzi, tylko trochę zaczerwieniony.

- Daj spokój, Carmen. Nie pracowałabyś dla Warda, gdybyś urodziła się na Wybrzeżu. Nikt z nas by nie pracował. - Kiwnął głową w stronę klientów wypełniających kawiarnię i odrobinę przyciszył głos. - Wszyscy tutaj pochodzą z innych miejsc. Nie sądzę, żebyś ty się wyróżniała.

Uniosła brwi.

- Detektyw, co?

- Po prostu jestem uważny.

- Tak, pewnie faktycznie jesteś.

- No, nie bądź taka, powiedz. Skąd tu trafiłaś?

Na dłuższą chwilę zamilkła. Scott czekał. Doświadczył już podobnych chwil z innymi nielegalnymi imigrantami, ta przerwa przed decyzją o zaufaniu, zanim obie strony pozbędą się podejrzeń i porozmawiają, jak kiedyś mogliby rozmawiać dwaj Amerykanie, dawno temu, w czasach zanim internacjonalistyczne świny i Chińczycy - *polityczni* Chińczycy, poprawił się, *nie jesteś rasistą*, Scott - rozerwali na części największy naród na Ziemi i rozrzucili pozostałe kawałki jak Mojżesz rozbijający tablice.

- Tajwan - powiedziała w końcu a jego serce napełniło się wiedzą, że tak, naprawdę mu ufa. - Słyszałeś o Tajwanie?

- Jasne. To znaczy, oczywiście. - Nie radził sobie z własnym zapalem. - To w Chinach, prawda? To znaczy, jakby chińska prowincja.

Ren prychnęła.

- Chcieliby. To wyspa koło wybrzeża Chin, tu masz rację. Ale jesteśmy niezależnym państwem. Mamy to wpisane w każdej umowie handlowej Wybrzeża Pacyfiku i w każdym układzie dotyczącym nierozprzestrzeniania w ciągu ostatnich stu lat. Takie coś nazywa się gospodarką cieplarnianą, status taki sam jak Angeline Freeport - potężna produkcja, z którą nikt nie chce zadzierać, żeby czegoś nie popsuć, bo skutki odczułoby całe Wybrzeże. Tam właśnie dorastałam.

- A czemu wyjechałaś?

Spojrzała na niego ostro, choć było to bardzo niewinne pytanie. Scott za

nic na świecie nie rozumiał, jak można było opuścić miejsce, które tak dobrze sobie radziło. Zwłaszcza, jeśli ktoś tam właśnie się urodził i dorastał.

- No wiesz - spróbował wyjaśnić. - Pewnie nie byłaś tam szczęśliwa, tak? Ale wiesz, Tajwan wygląda na miejsce, gdzie każdy może być szczęśliwy.

Uśmiechnęła się lekko.

- No cóż, ma swoje dobre strony. Ale nawet w takich gospodarkach cieplarnianych masz też przegrywających. Sam rozumiesz, nie wszyscy we Freeport są gwiazdami filmowymi albo mają licencje nanotechu, prawda?

- Zgadza się. - Zdarzało mu się pracować we Freeport i z własnej woli raczej by tam nie wrócił.

- No dobrze, więc jak mówiłam, są wygrani i przegrani; jeśli jesteś przegranym, to...

- Nie mów w ten sposób, Carmen. - Scott z przejęciem nachylił się nad stołem. - Nie jesteś przegrana tylko dlatego, że musisz wyjechać gdzieś indziej, żeby urządzić sobie lepsze życie. Nikt z nas tutaj nie jest przegrany, po prostu szukamy dobrej okazji, żeby wrócić na właściwą drogę.

Przez chwilę wpatrywała się w niego pusto. Potem z jej porcelanowej twarzy znikło niezrozumienie.

- Ach, rozumiem. Różnice kulturowe. Nie, nie chodzi mi o przegranych tak jak wy to rozumiecie. Po prostu przegrani w handlu. Niektórzy wygrywają, inni przegrywają, koło się kręci. Tego rodzaju rzeczy.

- Wy? - Próbował ukryć zranienie. - Co masz na myśli, mówiąc „wy”?

- No wiesz, faceci jak ty. - Niecierpliwie machnęła ręką. - Starzy Amerykanie, ci z głębi lądu. Z Republiki.

- Och, rozumiem. Ale Carmen, posłuchaj. - Pozwolił sobie na odrobinę wyższości. - Nie jesteśmy *starymi* Amerykanami, tym jest Unia, sprzedawczyki ze wschodu z ich kochającymi ONZ kumplami. Skonfederowana Republika jest *nową* Ameryką. Jesteśmy feniksem z popiołów, Carm.

- Jasne.

- No wiesz, uch... - Znow zabrakło mu słów, które by jej nie dotknęły. - Słuchaj, wiem, że pewnie nie chodziłaś do kościoła, tak jak ja to zawsze robiłem, pewnie dla ciebie była to jakaś świątynia czy coś, ale w sumie wszystko to sprowadza się do jednego, prawda? - Był bardzo zadowolony ze sposobu, w jaki udało mu się wyślizgnąć z nieustannego ognia piekielnego pastora Williama i nauczania o Jedynym Prawdziwym Chrystusie w stronę nauki bardziej umiarkowanych kościołów, z jakimi stykał się przez ostatnie

kilka lat. - To znaczy, cokolwiek nazywasz Bogiem, jeśli przyjmujesz Boga, jako sposób na życie, tak jak robimy to w Republice, wtedy każdy naród, który to robi, musi odnieść sukces, prawda? Musi w końcu się wybić, niezależnie od kłód, jakie rzuca nam pod nogi Szatan.

Ren popatrzyła na niego z namysłem.

- Naprawdę jesteś, uch, chrześcijaninem?

- Tak, jestem.

- Czyli wierzysz...

Zapisał jej telefon. Wyciągnęła go i przystawiła do ucha.

- Tak? - Rysy jej twarzy spięły się tak samo jak tego ranka, gdy dotarła do nich wiadomość o pętli wilgotności. - Dobra. Zaraz tam będziemy.

Zamknęła telefon.

- Ward. Wrócił i jest cholernie wkurzony.

\* \* \*

„Cholernie wkurzony” dobrze oddawało sytuację. Scott słyszał wrzaski Warda dobiegające przez metalowe ściany sterowni, gdy wciąż byli jeszcze na drugim końcu korytarza. Szedł za Ren wąskim przejściem, starając się nadażyć za jej dziwnie długimi, szybkimi krokami. Próbowałby wybić się przed nią, żeby wejść jako pierwszy, na wypadek gdyby Nocera wciąż zachowywał się jak dupek, ale nie było na to miejsca, a zresztą...

Drzwi rozsunęły się, żeby ich wpuścić. Nagle wylała się na nich pełna moc furii Warda. Scott był przyzwyczajony do krzyku, ale miał wrażenie, że tym razem w jego głosie usłyszał coś, z czym się jeszcze nie spotkał, coś wychodzącego poza gniew.

- ... cholerny sens całego tego planowania, jeśli nie...

Zamknął się na ich widok. Ulysses Ward był dużym, niedźwiedziowatym mężczyzną, bardzo umiejętnym od nieustannego nurkowania i pływania po powierzchni, którego wymagało jego przedsiębiorstwo, łysiejącym w sposób, którego nie widziało się często po tej stronie płotu. Kiedy się złościł, czerwienił się, tak jak teraz, i podkreślał słowa agresywnymi ruchami rąk i głowy. Scott nigdy nie widział, żeby naprawdę kogoś uderzył, ale mężczyzna często sprawiał wrażenie, że nie jest to wykluczone. Nocera całkiem słusznie ustąpił mu miejsca w sterowni i stał z zaciśniętymi pięściami pod ścianą.

- Wróciliśmy - niepotrzebnie oznajmiła Ren.

- Noż, kurwa, widzę. - Ward wyglądał, jakby dopiero teraz zauważył Scotta. - Ty, złaż do doku łodzi podwodnych i zajrzyj do płuczek powietrza na „Lastmanie”. Przez ostatnią godzinę miałem wrażenie, jakbym oddychał

pierdami i dymem, było tak fatalnie, że prawie musiałem wypłynąć na powierzchnię.

Przez jakieś pół sekundy, zanim dotarł do niego bezsens sytuacji, Scott myślał o odmowie pozostawienia Ren do czasu, aż Ward się uspokoi. Zamiast tego przełknął ślinę.

- Może to problem kompatybilności z całym tym softem, który wzięliśmy z „Feli 8”...

Ward wbił w niego ciężkie spojrzenie.

- A jeśli tak, możesz to dla mnie naprawić?

- No... nie, ale...

- Właśnie, nie. Ponieważ, do cholery, nie zatrudniłem cię jako specja od softu. Więc weź może dupę w troki, złaż tam, jak ci kazałem, i zobacz, czy możesz mi to cholerstwo naprawić. Dobra? Proste?

Scott popatrzył na niego świadomy, że cały się zaczerwienił. Nabrał powietrza i kiwnął głową, zaciskając przy tym pięści i zęby.

- Dobra, to czemu tu jeszcze stoisz?

Scott wykręcił w miejscu i wyszedł z powrotem na korytarz, czując wypełniającą go furję. *Jeszcze tylko miesiąc*, obiecał sobie cicho. *Jeden pieprzony miesiąc i wynoszę się stąd*. Aż do dzisiaj uważał, że Ward jest w porządku, sądził, że to Amerykanin. Facet czasem tracił panowanie nad sobą, ale to się zdarzało każdemu mężczyźnie. Przynajmniej znał granice. Jednak teraz, mówiąc w taki sposób, traktując Scotta, jakby był świeżym płotoskoczkiem, który nawalił, podczas gdy przez cały czas to właśnie Scott ostrzegał Warda, że przenoszenie wtyczek z jednej łodzi do drugiej, musiało doprowadzić do jakichś problemów, jeśli nie załata systemów całą serią aktualizacji zgodności.

Był na schodach prowadzących do doku, gdy uświadomił sobie, że coś nieznacznie zmieniło się w świetle dochodzącym z korytarza za plecami.

Zatrzymał się na pierwszym stopniu i obejrzał za siebie.

Zobaczył wysoką postać idącą korytarzem od drugiego końca, zmniejszając ilość światła w wąskiej przestrzeni w miarę mijania kolejnych kul oświetleniowych pod sufitem. Facet był naprawdę wysoki i potężny, sunął spokojnie jak czołg. Ktoś nieprzyzwyczajony do bycia zatrzymywanym, ktoś, komu nie spodobały się tabliczki we wszystkich biurach na górze sugerujące, by zadzwonić po personel i poczekać, ktoś zaraz do państwa podejdzie. Wyraźnie zamiast tego zdecydował się zejść na dół i znaleźć to, czego szukał.

Scott uniósł rękę i zamachał.

- Cześć - zawołał.

Mężczyzna w żaden sposób nie zdradził, że go zauważył albo usłyszał. Szedł równo korytarzem w stronę drzwi sterowni. Miał na sobie długi płaszcz i jedną rękę trzymał sztywno wewnątrz fałd stroju...

I nagle w umyśle Scotta przeskoczyła zapadka. Coś tu nie grało. Poczul kłopoty.

Cofnął się ze schodów i pobiegł z powrotem korytarzem w stronę przybysza. Nie zawołał ponownie, nie było sensu. Z doświadczenia wiedział, jak w metalowej ciasnocie korytarza odbijał się i grzmiał ludzki głos - facet musiał go usłyszeć. I owszem, zdecydowanie trzymał coś w osłoniętej płaszczem ręce - Scott dostrzegł, jak materiał sztywno owija się wokół tego. Dał spokój z truchtem, przyspieszył do sprintu.

Spotkali się w drzwiach. Scott przestał biec, stracił wszystkie siły. Słowa zamarły mu na ustach. Zagapił się.

Ta twarz. Jego umysł zdawał się bełkotać te słowa. To ta twarz, *ta* twarz.

Wprost z komiksów „Czasy Ostateczne”, które rozdawano co czwartą niedzielę w kościele, tych, po których małe dzieci miały koszmary, a starsze musiały na nie zasłużyć czerwonymi plusami w Księdze Uczynków pastora Williama. To były te same zapadnięte z ubóstwa policzki, zaciśnięte usta, długie, pozlepiane włosy zwisające za prostymi liniami kości policzkowych i szczęki, te same płonące oczy...

Spojrzenie Sądu. Prosto z tomu II, zeszyt 63.

Ugięły mu się kolana. Otworzył usta. Nie mógł...

Drzwi zabrzęczały - do tej pory nigdy nie zauważył tego dźwięku - i się rozsunęły. Ze środka dobiegły wciąż gniewne głosy.

Płaszcz zawirował odsłaniając wznoszoną do góry rękę obcego. Coś uderzyło Scotta w bok głowy i ten zatoczył się, padając w nieporadną stertę. Przez głowę przemknęły mu błyskawice, zostawiając iskry przed oczami i pogłos grzmotu w uszach. Spojrzenie opadło na niego na chwilę, po czym opuściło go, odwracając się i wkraczając do otwartej sterowni. Obcy wszedł do środka.

Wybuchły wrzaski. Nocera i Ward, prawie jednym głosem.

- To teren prywatny, dupku, co ty tu, kurwa...

Nagła cisza, która dotarła do niego przez otępienie w uderzonej głowie. Potem znów Ward, pełen niedowierzania.

- Ty? Co ty tu do cholery robisz? Co...



Głębokie, łagodne kaszlnięcie - dźwięk, który już kiedyś słyszał.

I znów wrzaski.

Scott poczuł, jak dźwięk wyciska pot z jego skóry, nadając jej blady połysk przerażenia. Jak wtedy, gdy ramię Aarona ugrzęzło w urządzeniu do miażdżenia kamieni Douga Strakera, dokładnie to samo uczucie - dźwięk agonii, zniszczeń tak potężnych, że pozbawiały głos wszelkiej rozpoznawalności, zostawiając tylko odarty skowyt zaprzeczenia, który mógł należeć do kogokolwiek, a nawet do czegokolwiek.

*Carmen!*

Scott zebrał się w sobie. Panika zerwała go na kolana, umożliwiła mu wstanie. Poczul, jak z włosów cieknie mu krew. Zatoczył się i prawie upadł, ale złapał się brzegu drzwi, które właśnie zaczynały się zamykać. Mechanizm zadygotał przez chwilę, czując jego uścisk, po czym ustąpił i ponownie się otworzył. Scott podciągnął się do pionu i zatoczył do środka.

Miał czas na jedno szybkie spojrzenie.

Wszędzie krew, jej szokujący kolor na konsolach i ścianach, a po ekranach zsuwało się w dół kilka garści czegoś, co wyglądało na podroby z tańszego końca lady u rzeźnika. Nocera leżał na podłodze z twarzą wykręconą pod dziwnym kątem, z otwartymi oczami i policzkiem przyciśniętym do brudnej podłogi, jakby nasłuchiwał, czy pod nianie biegają szczury. Wokół jego przepony krew, kałuża w kolorze ciemnego wina ze strumyczkami wijącymi się w kurzu. Nad jego ciałem Ren zmagala się z obcym w walce o broń z grubą lufą - Scott skojarzył usłyszany wcześniej dźwięk, to była jedna ze strzelb Cressi na rekiny z szafki na górze. Powinna być zamknięta, zawsze mówił o tym Wardowi, ale...

Ward leżał na plecach trochę dalej.

Znowu jeszcze więcej krwi, potężny mężczyzna rzucał się i dygotał, a Scott z przerażeniem dostrzegł, że Ward zaciska dłoń na potężnej poszarpanej dziurze w miejscu, gdzie powinien mieć brzuch. Zwisaly z niego strzępy porwanej tkanki, lepiąc się do podłogi i rozmazując na jego palcach niczym jakieś czerwone ciasto, do którego wsadził ręce. Jego usta wyglądały jak otwarty różowy tunel - sięgał wzrokiem aż do migdałków i drżącego, białozółtego języka - a ze środka w obrzydliwych falach wydostawały się wrzaski. Wbił spojrzenie w stojącego w drzwiach Scotta, unieruchamiając go. Rozszerzone i błagające, szalone z bólu - chłopak nie wiedział, czy szef w ogóle go rozpoznał. Spiał się, by rzucić się w zmagania, zamiast tego zwymiotował z olbrzymią siłą. Wymiociny rozprysły się w kałuży krwi

Nocery.

Carmen krzyknęła z desperacją.

Kaszlnięcie strzelby na rekiny.

Kolejne uderzenie, tym razem w szyję za uchem. Próbował się czegoś złapać, czegokolwiek. Uderzyła go podłoga. Krew i wymiociny, ciepłe i mokre na jego twarzy. Próbował zamknąć usta lub je odsunąć, nie udało mu się. Ostry, kwaśny smród i zapach - żołądek znów się zbuntował, ale słabo. Jego nogi zgięły się jak u okaleczonego owada. Obraz przysłoniła chmura czerwieni z białozłotymi plamami. Spróbował odmówić modlitwę, ale nie umiał zmusić ust do pracy, wymówił kilka niezdarnych słów w myślach...

*Ojcze... nie opuszczaj mnie...*

I ciemność.

## ROZDZIAŁ 7

Do wieczora dostali same złe wieści.

Ślady genetyczne ujawniły na pokładzie „Horkan’s Pride” obecność osoby, która nie była żadnym z porzrzucanych trupów. Nietrudno było je oddzielić: charakteryzowały się pełnym wachlarzem modyfikacji, objętych razem luźną etykietką „wariant trzynaście”. Lub, jak ujął to Coyle, „pieprzony świr”.

Czekało ich polowanie na człowieka.

Odczytane zapisy pozostały uparcie najmniej wypełnioną sekcją modelu śledczego. Zebrali skromne zdjęcia satelitarne z platform zajmujących się innymi sprawami, z których żadna nie była blisko. Satelita pogodowy na orbicie geosynchronicznej nad Hawajami wykazał śladowe zainteresowanie, gdy „Horkan’s Pride” spadł do Pacyfiku, a systemy wojskowe Wybrzeża zarejestrowały wtargnięcie, gdy statek wciąż znajdował się w górnych warstwach atmosfery, ale straciły zainteresowanie, gdy bazy danych INKOL przesłały im wszystko, co wiedziały. W ramach protokołów awaryjnego lądowania „Horkan’s Pride” odstrzelił swój reaktor, nie przenosił broni i miał wylądować bezpiecznie w oceanie. Jeden z satelitów wojskowych śledził służbiście cały lot pojazdu, po czym pospiesznie wrócił do pilnowania ruchów wojsk w Nevadzie.

Żadne z zebranych zdjęć nie wykazywało jakichkolwiek śladów próby przejścia pasażera przed przybyciem załóg ochrony wybrzeża. Nie było też żadnych zdjęć samotnej postaci rzucającej się w fale. Żadne nie było rozstrzygające, nawet po maksymalnym wzmocnieniu, na jakie pozwalała zaawansowana optyka, ale też żadne nie zaoferowało rozsądnego tropu.

Czekało ich polowanie na człowieka i nie wiedzieli, od czego zacząć.

\* \* \*

Sevgi jadła w hotelu z Nortonem, choć wcale nie miała ochoty na jedzenie ani na rozmowę. Romantyczne, przytłumione oświetlenie restauracji sprawiało wrażenie ciemności czającej się na skraju pola widzenia. Zdecydowanie skończyło się działanie syndu.

- Jak ci się to wszystko podoba? - zapytał Norton, gdy bez zainteresowania dłużyła w sałatce z ośmiornicy.

- A jak myślisz?

To było odbicie, coś - *jasne, właściwie jedyna cholerna rzecz* - czego nauczyła się na opłacanych przez wydział sesjach terapeutycznych po tym, jak wyszła sprawa z Ethanem. Specjalista siedział po drugiej stronie pokoju, uśmiechając się do niej łagodnie, i odbijał każde zadane mu pytanie, stosując te same wkurzające techniki uniku. Po jakimś czasie zaczęła odpowiadać mu tym samym. Zapewne nie było to zbyt pomocne, ale szybko doprowadziło do zakończenia sesji, a o to właśnie jej chodziło. *Nie mogę ci pomóc, jeśli ty nie chcesz pomóc mnie*, powiedział na koniec, wreszcie ze śladem złości w usypiającym, cierpliwym głosie. Jednego nie rozumiał. Ona nie chciała, żeby jej pomagano. Chciała spowodować zniszczenie, szarpiące, krwawiące rany i zniszczenie pustych faset ograniczeń społecznych, które więziły ją niczym pajęczyna.

- Nicholson pewnie będzie się rzucał - cicho odezwał się Norton. - Powie, że ryzykujesz konfliktem interesów.

- Jasne.

- Nie smakuje ci ta ośmiornica?

- Nie jestem głodna.

Norton westchnął.

- Sev, wiesz, że możemy to odpuścić, jeśli tylko chcesz. Ludzie Tsaia i tak nas tu nie chcą, a Ochrona Wybrzeża z przyjemnością napręży swoje secesyjne mięśnie. Jeśli facet nie utonął w Pacyfiku, jest teraz na ich terenie. Jeśli dodasz do tego fakt, że jest trzynastką, to praktycznie robi się z tego sprawa dla ONZALG. Może po prostu damy spokój i pozwolimy ONZ i Wybrzeżu powalczyć o jurysdykcję.

- Nie ma mowy. - Sevgi rzuciła pałeczki na talerz i wyprostowała się na krześle. - Nie wstąpiłam do INKOL, żeby było mi łatwo, Tom. Po prostu potrzebowałam pieniędzy, to wszystko. A to równie dobry sposób na zarobienie ich, co śledzenie czarnorynkowego marstechu albo odganianie kultystów od kratownic. Czy ty do cholery widziałeś, co on zrobił z tymi ciałami? Helena Larsen miała przed sobą życie, wystarczyło tylko wrócić do domu. To pierwsza naprawdę sensowna rzecz, jaką robię od ponad dwóch lat. To jest nasze.

Norton przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Kiwnął głową.

- Dobra. Poproszę Tsaia, żeby przesłał pliki biura śledczego do INKOL Nowy Jork. To powinno pozbawić sytuację dwuznaczności. Co chcesz zrobić z Coyle i Rovayo?

- Zachować ich. Wspólny zespół, nieocenione wsparcie ze strony

lokalnych stróżów prawa. - Znalazła w sobie energię na uśmiech. - Powinno się spodobać mediom Wybrzeża. INKOL daje ciała i topi jeden ze swoich transportowców w Pacyfiku, gliniarze z Zachodniego Wybrzeża ruszają na pomoc. Powinno nam to otworzyć trochę drzwi.

- I oszczędzić nieco chodzenia.

- Cóż, to prawda. Dobrze znasz te okolice, prawda? Masz tu siostrę?

Norton pociągnął łyk wina.

- Szwagierkę. Brat przeprowadził się tu jakieś piętnaście lat temu, jest koordynatorem azylu prowadzonego przez fundację Koszt Ludzki. Wiesz, selekcja, socjalny program integracyjny. Ale pewnie słyszałaś, jak właśnie o niej mówię. Megan. My dobrze się dogadujemy.

- Zamierzasz ich odwiedzić, skoro tu jesteśmy?

- Może. - Norton zmarszczył brwi nad swoim drinkiem. - Ile z tego wypuścimy do mediów?

Sevgi ziewnęła.

- Nie wiem. Zobaczymy, jak pójdzie. Jeśli mówisz o tej sprawie z wariantem trzynastym, głosuję za nieujawnianiem.

- *Jeśli* mówię o sprawie z wariantem trzynastym? Rety, no nie wiem, myślisz, że mógłbym? Sev, to ja. Może mogłabyś na chwilę dać spokój z tym odgrywaniem luzaka?

Wbiła spojrzenie w mrok za oknem restauracji. W oko wpadła jej niedoświetlona ruchoma reklama z lat pięćdziesiątych - jakieś nanotechnologiczne marzenie o zmianie, fala zieleni i błękitu sunąca przez czerwony marsjański horyzont przy wschodzie nowego świtu.

- Wystarczy zrobić z niego przestępcę i pasażera na gapę - odpowiedziała ostrożnie. - Powiemy, że wymordował członków załogi: bez ujawniania szczegółów do czasu, aż ucichną wszystkie telefony od świrów, które się posypią. Wystarczy, że wrócił z Marsa. Powiedzenie im, że to trzynastka, byłoby proszeniem się o kłopoty. Widziałeś, jak zareagował Coyle. Pamiętasz Sundersena w zeszłym roku? Nie potrzebujemy tu kolejnej paniki pod tytułem „między nami stąpa Obrzydlistwo”.

- Myślisz, że znów zareagowaliby tak samo? Po tym laniu, które dostali od komisji etyki dziennikarskiej?

- Media lubią panikę. - Sevgi wzruszyła ramionami. - Zwiększa oglądalność.

- Podamy im rasę?

- Jeśli i kiedy dostaniemy ją ze śladów organicznych. Czemu?

- Zastanawiam się - cicho wyjaśnił Norton - czy to nie Chińczyk.  
Sevgi zamyśliła się na chwilę.

- Tak. Trzeba o tym pamiętać. Nie chcemy powtórki gorączki Zhang. To cholera było okropne. Przynajmniej przy Sundersenie nikt nie zginął.

- Oprócz samego Sundersena.

- Wiesz, o czym mówię. Widziałeś kiedyś nagrania z linczu? Zmusili nas do obejrzenia tego w szkole. - Sevgi potarła skronie końcami palców. - Wciąż pamiętam, jakbym widziała to wczoraj.

- Złe czasy.

- Tak. - Odsunęła od siebie talerz i złożyła ręce na uzyskanym w ten sposób miejscu. - Słuchaj, Tom, może powinniśmy całą tę sprawę poprowadzić po cichu. Przynajmniej na razie. Mediom powiedzieć po prostu, że wszyscy zginęli w katastrofie, włącznie z tym facetem. W końcu nie ma problemu z wiarygodnością tej tezy. Cholera, my wciąż nie wiemy, jak on przeżył.

- Z drugiej strony, jeśli dostaniemy ze śladów identyfikację fotograficzną...

- Duże „jeśli”.

- ... wtedy jej opublikowanie byłoby największą szansą na złapanie gościa.

- Tom, on może zmienić twarz. Za kilkaset dolarów zrobi to dowolny czarnorynkowy salon w L. A. Zanim dostarczymy jego twarz mediom, zdąży ją ściągnąć i się ukryć. Jedyne, co się tu sprawdzi, to ślady genetyczne.

- Jeśli kod genetyczny będzie należał do Chińczyka i to wypłynie, będziemy mieć ten sam problem.

- Tak, ale będziemy szukać bardzo określonego kodu.

- Ze Zhangiem szukali bardzo określonej twarzy. Nie pamiętam, żeby zrobiło to jakąś różnicę. Cholera, Sevgi - nieoczekiwanie Norton sparodiował Nicholsona. - Sama dobrze wiesz, jak wyglądają wszyscy ci ludzie.

Sevgi się uśmiechnęła.

- Nie sądzę, żeby tak to tu wyglądało. To nie Jezusowo.

- Głupota jest wszędzie, Sev. Republika nie ma na nią monopolu. Popatrz na Nicholsona - urodzony nowojorczyk. Skąd się wzięła u niego?

- Nie wiem. Religijny kanał satelitarny?

- Alleluja! Chwała Panu, Jezus przyjdzie i obetnie mi podatki.

Oboje zaczęli się podśmiewać, ale prawdziwy śmiech nie chciał przyjść. W mroku między nimi wciąż wisiały ciała z wirtuala. Po chwili podszedł

kelner z pytaniem, czy może sprzątnąć ze stołu. Sevgi potwierdziła, a Norton poprosił o listę deserów. Kelner zebrał talerze i się oddalił. Do Sevgi dotarło, że chłopak był zadziwiająco wyniszczony jak na swój wiek i mówił w dziwny sposób, jakby go to bolało. Rysy miał północno-chińskie, ale skórę bardzo ciemną. Nagle jej żołądek wykręciło zrozumienie. Wbiła wzrok w oddalającą się postać.

- Myślisz, że to jeden z udanych obiektów starań twojego brata? - zapytała.

- Hmm. - Norton spojrzał za jej wzrokiem. - Och. Wątpię. To znaczy statystycznie. Jeff mówił, że co roku trafia do nich przynajmniej kilka tysięcy uciekinierów z czarnych laboratoriów. A on i tak zajmuje się głównie zarządzaniem, próbując utrzymać to wszystko w kupie. Zatrudniają tam prawie setkę opiekunów i wciąż jest ich za mało.

- Koszt Ludzki to organizacja charytatywna, prawda?

- Tak. Pieniądze dostają od Wybrzeża, ale nie uznalibyś ich za zbyt hojnych. - Twarz jej partnera nieoczekiwanie się ożywiła. - Z drugiej strony, wiesz, to ciężka praca. Coś, co mocno człowieka zużywa. Niektóre historie, jakie opowiadał mi o tym, co wychodzi z czarnorynkowych laboratoriów... chyba nie mógłbym się tym zajmować. Tak właściwie to nie rozumiem, jak Jeff to potrafi. To dziwne. Kiedy byliśmy młodszy, zawsze wyglądało, jakbym to ja miał zostać tym z powołaniem do prawa. To on miał pociąg do siły i wpływów, nie ja. A potem... - Norton wykonał gest kieliszkiem z winem - jakoś tak się stało, że on pracuje charytatywnie, a ja dla INKOL.

- Ludzie się zmieniają.

- Jasne.

- Może to Megan.

Spojrzał na nią ostro.

- Co jest?

- Może to właśnie go zmieniło. Gdy poznał Megan.

Norton prychnął. Przyszedł kelner z menu deserów, ale nie było tam nic ciekawego. Zdecydowali się na wzbogaconą genetycznie kawę, z której podobno słynęła restauracja, oraz rachunek. Wzrok Sevgi nieustannie wracał do antycznej reklamy Marsa.

- Wiesz - powiedziała powoli, bo oboje przez cały wieczór krążyli wokół tematu - prawdziwy problem nie polega na tym, kim jest ten facet. Prawdziwe pytanie brzmi: kto mu pomógł wrócić do domu?

- Ach. To.

- Przechytrzyć cholernego dżinna statku? Jeśli siedział w kapsule, która go wypłuła, sam ten fakt powinien wywołać jakiś alarm. Jeszcze zanim się obudził, a co dopiero miał czas dobrać się do systemów. A jeśli nie był zamrożony, jeśli jakoś się schował, to n-dżinn w ogóle nie powinien być pozwolić na start.

- Myślisz, że Coyle i Rovayo to zauważyli? Próbowałem to obejść w rozmowie.

- Tak. *Takie rzeczy już się zdarzały podczas lotów marsjańskich, po prostu nie lubimy o tym rozmawiać. Czasami po prostu umierają.* To było niezłe.

Norton się wyszczerzył.

- I przy tym całkiem prawdziwe, Sev.

- Jasne. Może tuzin razy podczas ponad sześćdziesięciu lat lotów. I gdyby mnie ktoś pytał, za każdym razem były to awarie sprzętowe.

- Nie sądzisz, że pójdą tym tropem?

- Jakim? Tajemnicze usterki SI n-dżinnów? - Sevgi się skrzywiła. - No nie wiem, ma to swój urok. Maszyny nie dorównują ludziom i tak dalej. I wszyscy lubią być dopuszczani do tajemnic. Sprzedaj ludziom spisek, a jeśli będziesz miał szczęście, kompletnie przestaną myśleć. Czarne helikoptery, latające jajka, takie bzdury świetnie się sprzedają. Zdrowy rozsądek leci za okno.

- A w międzyczasie...

- A w międzyczasie - Sevgi nachyliła się nad stołem ze śmiertelnie poważną miną - oboje wiemy, że na Marsie jest jeszcze ktoś o doskonałych umiejętnościach penetracji systemów, kto maczał w tym palce. Nasz tajemniczy kanibal został zamrożony z pozostałymi, co oznacza bardzo gruntowne podrobienie tożsamości, a potem został zaprogramowany na wcześniejsze obudzenie, co...

Norton potrząsnął głową.

- Tego nie łapię. Czemu budzić go tak wcześnie, żeby gość zabrał się do jedzenia pozostałych, by przeżyć? Czemu nie ustawić kapsuły po prostu na parę tygodni od Ziemi?

Sevgi znowu wzruszyła ramionami.

- Chcesz mojej opinii? Jakiś błąd. Ktokolwiek załatwił n-dżinna, nie był taki dokładny przy parametrach kriokapsułu. Facet obudził się dwa tygodnie od złej planety, na początku podróży, nie na końcu. Może to spięło kriokapsułę tak, że nie mógł wrócić i się zamrozić, może nie, ale i tak został



na zewnątrz, bo nie mógł sobie pozwolić na przylot w zamrożeniu i przejście przez kwarantannę. Jednak jak by na to nie patrzeć, błąd czy nie, facetowi ktoś bardzo pomagał. Tom, nie mówimy tu o ucieczce z więzienia. Ten facet został wysłany. A to oznacza, że ktokolwiek to zrobił, miał na myśli określony cel.

Norton się skrzywił.

- Cóż, lista powodów wynajęcia wariantu trzynaście jest dość krótka.

- Właśnie.

Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu. W końcu Sevgi popatrzyła na partnera i się uśmiechnęła.

- Lepiej szybko znajdziemy tego gościa, Tom.

## ROZDZIAŁ 8

Złapał ostatni prom przez zatokę do Tiburon, na drugim końcu przesiadł siew autotaksówkę i pojechał do Mili Valley z opuszczonymi oknami. Do środka wlało się ciepłe, pachnące zielenią powietrze, przynosząc ze sobą wyraźne wspomnienia spacerów pod baldachimem sekwoi w lasach Muir. Starannie odsunął je od siebie, chwytając za brzegi obrazu i traktując go jak antyczną fotografię, którą mógłby zabrudzić, lub kawałek stłuczonego lustra. Przyglądał się łagodnemu blaskowi mijanych latarni ulicznych i lampom w drewnianych domach wzniesionych z dala od drogi i osłoniętych roślinnością. Było to równie odległe od „Horkan’s Pride” i jej makabrycznego ładunku, jak on od domu. Człowiek patrzył na starannie utrzymane, eleganckie drogi oraz całą otaczającą domy roślinność i nie chciał wierzyć, że gdzieś pod tym samym nocnym niebem może przebywać osoba, która tego ranka wylądowała w oceanie, mając do towarzystwa jedynie okaleczone trupy.

Przypomniały mu się słowa Sevgi Ertekin. Gdy je wymawiała, na jej twarzy było widać przekonanie.

*Lepiej szybko znajdziemy tego gościa, Tom.*

Taksówka znalazła adres i łagodnie zatrzymała się pod najbliższą latarnią uliczną. Stojąc tam, hałasowała nie bardziej niż lekki wiaterek w koronach drzew, ale i tak zobaczył, jak w domu zapalają się światła i ktoś otworzył frontowe drzwi. Stanął w nich Jeff, obramowany światłem, machając niepewnie. Musiał czekać przy oknie. Żadnego śladu Megan u jego boku.

Norton ruszył stromą pochyłością podjazdu, czując nagle godziny i odległość z Nowego Jorku. W drzewach i krzakach po obu stronach hałasowały cykady, a w kamiennej misie fontanny pluskała woda. Dom rozsiadł się na zboczu, prezentując gościom werandę. Jego brat na powitanie zszedł po schodach i klepnął go niezręcznie w ramię.

- Nie miałeś problemu, żeby do nas trafić?

- Wziąłem taksówkę.

- No tak. Jasne.

Razem weszli do środka.

- Megan nie ma? - zapytał luźno.

- Nie, jest z dziećmiakami u Hilary.

- Hilary?

- A, racja. Nie widzieliśmy się od dawna. Hilary to nasz nowy radca prawny w Fundacji. Ma bliźniaki w wieku Jacka. Robią tam dzisiaj imprezę z noclegiem.

- Jeff - Norton gestem wskazał bawialnię.

- Chodź i usiądź. Napijesz się?

Pokój wyglądał praktycznie tak samo, jak Norton go zapamiętał - spracowane, obite tkaniną fotele ustawione przed udającym płomień ekranem w oprawie z surowych cegieł, na ścianach mnóstwo sztuki rdzennych Amerykanów i zdjęć rodzinnych. Podłogi z wypolerowanego drewna i dywany z Bliskiego Wschodu. Jeff nalał im markowego indonezyjskiego araku, wyjętego z barku wykonanego z belki wyrzuconej przez morze. Oświetlało go przy tym słabe światło płomieni z ekranu i kinkietów ściennych w japońskim stylu. Norton przyglądał się bratu.

- Pewnie widziałeś, że trafiłem do wiadomości?

Jeff kiwnął głową, nalewając alkohol.

- Tak, właśnie na to patrzyłem. Tajemniczy upadek statku śmierci INKOL. To dlatego tu przyszedłeś?

- Owszem. To naprawdę horror pierwszej klasy.

- Cóż, pewnie prędzej czy później musiała przyjść pora, żebyś zapracował na tę swoją pensję. - Krótki uśmiezek, by pokazać, że to miał być żart. *Jasne, ale jakoś, Jeff, nigdy ci nie wychodzi, prawda?* - Jak tam sprawy w parku Jeffersona? Dobrze cię traktują?

Norton wzruszył ramionami.

- Tak samo jak zawsze. Nie narzekam. Mam nową partnerkę, zatrudnioną z wydziału zabójstw nowojorskiej policji. Jest kilka lat młodsza ode mnie i pilnuje, żebym nie zdiadział.

- Atrakcyjna?

- Nie żeby miało to jakieś znaczenie, ale owszem.

Jeff podszedł z dwiema szklaneczkami i podał mu jedną.

- To zawsze robi różnicę, braciszku. Myślisz, że się do niej dobierzesz?

- Jeff, na miłość boską. - odpowiedział bez złości, był tylko potwornie zmęczony podróżą. - Naprawdę musisz przez cały czas zachowywać się jak debil?

- No co? Dziewczyna jest atrakcyjna, nie liczysz swoich szans? - Wciąż stojąc, jego brat łyknął haust araku i wyszczerzył się do niego. - Daj spokój, widzę to po twoich oczach. Chcesz jej.

Norton przycisnął powieki kciukiem i palcem wskazującym.

- Wiesz co, Jeff? Może tak, może nie. Ale w tej chwili naprawdę mam na głowie poważniejsze problemy. Myślisz, że moglibyśmy dla odmiany porozmawiać o czymś ważniejszym?

Nie widział, jak zmienił się wyraz twarzy jego brata, jak zniknął uśmiech, zastąpiony przez czujne napięcie. Jeff cofnął się i opadł na drugi fotel, wysuwając przed siebie nogi. Gdy Norton na niego popatrzył, brat spojrzał mu w oczy i machnął ręką.

- Dobra, Tom, oczywiście. Jeśli mogę cokolwiek zrobić, jasne. Ale upłynęło mnóstwo czasu, od kiedy miałem jakieś wpływy w Nowym Jorku. To znaczy, mogę zadzwonić do paru osób, jeśli dobrali ci się do tyłka, ale...

- Nie chodzi o nic takiego.

- Nie?

- Nie, w tym przypadku mamy praktycznie wolne ręce. Z samej góry przyszło info, że możemy robić, co chcemy, byle tylko posprzątać bajzel.

- A na czym dokładnie polega ten bajzel? Według wiadomości wszyscy na pokładzie zginęli.

- Jasne. Od kiedy wierzysz w to, co mówią w wiadomościach? Prawda jest taka, że jeden przeżył i zdołał wydostać się ze statku. Jeff, to poufna informacja. Nie może opuścić tego pokoju, wyjść poza tę rozmowę. Nawet do Megan.

Jeff rozłożył ręce. Uśmiechnął się.

- Hej, od kiedy to mówię Megan o wszystkim? Przecież mnie znasz, Tom.

- No tak. - Stłumił złość, starą i znajomą jak kop, którego dostawał w cadillacu, gdy redukował bieg bez hamulca.

- No, dawaj. Na czym polega ta wielka tajemnica?

- Wielką tajemnicą jest fakt, że facet to wariant trzynasty.

Poczuł satysfakcję na widok reakcji Jeffa. Szeroko otwarte oczy, szczęka opuszczona, by sformułować odpowiedź, której mu zabrakło. Norton pomyślał, że wyszło trochę przesadnie, ale właściwie przyzwyczał się już do tego aspektu zachowania Jeffa, jego aktorskiego, zawsze nieco nadmiarowego sposobu zachowania z myślą o publiczności. Wyrozumiałe próbował uznawać to za cenę dopuszczenia do kręgów władzy, do których jego brat wtargnął z taką bezczelnością, gdy obaj byli młodszy - ale teraz, gdy jego brat najwyraźniej sam stał się wyrozumiały bez utraty ogłady, Norton musiał zacząć brać pod uwagę, że może Jeff zawsze taki był, zawsze

odgrywał siebie pod publikę.

- Ty na co dzień stykasz się z tego rodzaju sprawami, Jeff - powiedział wprost. - Potrzebuję porady.

- Dzwoniłeś do ONZALG?

- Jeszcze nie. Przy tym, jak to wszystko wygląda, chyba tego nie zrobimy.

- Chcesz mojej rady? Wezwij ich.

- Jeff, daj spokój. INKOL nie podpisał nawet Porozumień Monachijskich. Myślisz, że będą chcieli, żeby ONZ zaczął im deptać ogródek w butach traktatów międzynarodowych?

Jeff Norton odstawił swojego drinka na wysoki, drewniany stół z drewna wyrzuconego przez morze. Potarł twarz dłońmi.

- Tom, co wiesz na temat wariantu trzynastego?

Norton wzruszył ramionami.

- To, co wszyscy.

- To, co wiedzą wszyscy, to bzdury, wyolbrzymienia i moralna panika dla mediów. Co naprawdę wiesz?

- Uch, to socjopaci. Jakiś rodzaj cofnięcia do czasów, gdy wszyscy wciąż byliśmy jeszcze na etapie zbieracko-łowieckim, prawda?

- Tak, coś w tym rodzaju. Prawda jest taka, Tom, że to jak bonobo, hibemoidzi i wszelkie pozostałe niewydarzone i przedwczesne próby grzebania w inżynierii genetycznej, jakimi obdarzyli nas optymistyczni durnie, będący w ubiegłym wieku pionierami tych technik. Zgadywanie i złe zamiary. Nikt nigdy nie stworzył wariantu ludzkiego z myślą o zapewnieniu mu lepszego życia, wolności i szansy na osiągnięcie pieprzonego szczęścia. Wszystkie były produktami mającymi określony cel. Programy lotów kosmicznych chciały hibernoidów, bonobo były spełnieniem mokrych snów o kobietach dla patriarchalnej władzy...

- Twoich też, co?

Jeff posłał mu krzywy uśmiech.

- Zamierzasz mi to kiedyś odpuścić?

- A Megan odpuściła?

- Ona o niczym nie wie. To mój problem, nie jej.

- Miło z twojej strony.

- Nie, to przejaw mojej męskości i słabości. Wiem. Pewnie po prostu brak mi twojej cholernej prawości moralnej, braciszku. Ale powiedzenie Megan nic nie da oprócz zranienia jej i dzieciaków. A tego nie zrobię.

Ponownie wziął do ręki swoją szklaneczkę i uniósł ją w stronę Nortona.

- Za życie z naszymi błędami, braciszku. Chyba że wolisz wypieprzyć się na pysk.

Norton wzruszył ramionami i uniósł własne szkło.

- Za życie z błędami.

A w jego myślach pojawiła się Megan, z oświetlonymi słońcem włosami i śmiechem wśród pni sekwoi, a później z nagim, opalonym ciałem, wygiętym by przycisnąć się do niego na mokrej od potu pościeli motelowego łóżka.

- No dobrze - powiedział, by odsunąć od siebie ten obraz - jeśli bonobo to mokry sen patriarchalnej władzy, to czym jest wariant trzynasty?

- Wariant trzynasty? - Jeff znowu posłał mu krzywy uśmiezek. - Wariant trzynasty zwrócił nam naszą męskość.

- Och, daj spokój.

- Hej, nie było cię tam, braciszku.

- Jesteś ode mnie starszy raptem sześć lat, Jeff. Ciebie też przy tym nie było.

- Jeśli nie chcesz wierzyć w to, co mówi ci starszy brat, to idź poczytaj książki historyczne. Mówię o czasach sprzed Secesji. Przed atmosferą na Marsie. Masz pierwszy świat, w którym męskość wychodzi z mody. Postępująca fala feminizacji społeczeństwa, samce alfa załatwiają się samobójstwami i prochami superpopędu, których nie mogą wytrzymać ich serca, co w sumie też jest samobójstwem, tylko wolniejszym i trochę bardziej przyjemnym.

- Myślałem, że zabronili takich rzeczy.

Jeff wykrzywił się ironicznie.

- Jasne, i to wystarczyło. No wiesz, nikt nie bierze prochów, skoro tylko stają się nielegalne, prawda? Zwłaszcza takich, po których masz penisa sztywnego jak policyjna pała i możesz walić przez całą noc.

- Wciąż nie wierzę, że takie rzeczy mogły zniszczyć jakąś równowagę. To genetyka na poziomie telewizyjnego talk show, Jeff.

- Jak chcesz. O tyle masz rację, że naukowcy wciąż spierają się o te środki na męskość. Jednak nie znam ani jednego biologa społecznego, który nie uznawałby autodestrukcji samców alfa za jeden z kluczowych czynników wpływających na scenę polityczną ostatniego stulecia. Kurczenie się męskości - znów uśmiech. - I równocześnie z tym słabnie zainteresowanie sprawnością wojskową jako funkcją życia. Nagle nikt oprócz biedaków z

Kansas nie chce być żołnierzem, bo przecież od tego można zginąć, a przecież muszą być jakieś lepsze i lepiej płatne sposoby na życie. Masz więc tych paru biednych jak myszy kościelne durniów, żeby walczyli na śmierć i życie o sprawy - głos Jeffa zmienił się nagle w parodię jezusowskiego akcentu - *których za dobrze nie rozumieją*, ale ogólnie rzecz biorąc, reszta wrzeszczy o naruszeniu praw człowieka i *wypuście mnie stąd, gdzie moje papiery na studia*. I przegrywamy, braciszku, na całej linii. Ponieważ walczymy z wrogiem, który je, śpi i oddycha nienawiścią do wszystkiego, co reprezentujemy, którego nie martwi, czy zginie w męczarniach, byle tylko zabrać ze sobą kilku z nas. Widzisz, sfeminizowane, otwarte społeczeństwo może zrobić mnóstwo rzeczy, Tom, ale to, czego za cholere nie potrafi, to prowadzenie wojen w cudzych krajach.

- Nie prosiłem o wykład z secesji, Jeff. Pytałem o wariant trzynasty.

- Tak, dochodzę do tego. - Jeff wchłonął kolejną porcję swojego araku. - Widzisz, kiedyś dawno temu wszyscy myśleliśmy, że będziemy na wojny wysyłać roboty. Ale zbudowanie robota kosztuje mnóstwo forsy, a w naprawdę liczących się sprawach nikt im nie ufa. Wsiadają, gdy robi się za gorąco albo za zimno, albo zbyt piaszczyście. Pieprzą robotę w terenie miejskim, zabijają mnóstwo niewłaściwych ludzi, niszczą infrastrukturę, choć wolelibyśmy ją pozostawić nienaruszoną. Można je przejąć, włamać się do nich i wyłączyć, mając do dyspozycji wcale nie najwyższej klasy czarnorynkowy pulpit bojowy, obsługiwany przez jakiegoś bystrego danołamacza, którego jeszcze pewnie sami wyszkoliliśmy w ramach jakiegoś pieprzonego programu rozwojowego na MIT. Roboty można ukraść, przerobić i wysłać z powrotem przeciw nam tak, że sami się nie zorientujemy. Pamiętasz ten obelisk pamiątkowy, pokazany nam przez tatę podczas wycieczki do Nowego Meksyku? Tę cholernie wielką skałę pośrodku Oklahomy?

- Mniej więcej. - Przed oczami pojawił mu się obraz dużego, granitowego głazu, szorstkiego z jednej strony i wypolerowanego z drugiej, tak że lśniący kawałek kontrastował z matową powierzchnią reszty kamienia. Czarne litery, których nie potrafił jeszcze przeczytać. Suchy, nieprzyjemny krajobraz, kilka sklepów przy skąpanej w słońcu, prostej jak drut drodze. Stara kobieta za ladą w miejscu, w którym kupili słodycze, z włosami szarymi jak kamień na zewnątrz. Pamiętał, że cały czas wyglądała na smutną. - Ile wtedy miałem, pięć, sześć lat?

- Albo nawet mniej. Pewnie się tym w ogóle nie przejąłeś, ale ja jeszcze

przez kilka tygodni miałem paskudne koszmary. Ten Trupex AS81, prosto z mojego starego zestawu zabawek, ale pełnowymiarowy, rozwała nam dom, miażdżył mamę i tatę, potem stał koło mojego łóżka, wyciąga mnie i wrywa ręce i nogi. Wiesz, że tamte pieprzone maszyny stały w magazynie przez dziewięć tygodni, zanim zaskoczył je wirus Allah Akbar?

- Tak, czytałem o tym w szkole. Jak mówiłem, Jeff, nie przyszedłem tu po wykład z historii.

- Zmasakrowały całe cholerne miasteczko, Tom. Rozerwały je na strzępy. Nie zostało nic poza tą pieprzoną skałą.

- Wiem.

- Hardesty, Fort Stewart, Bloomsdale. Baza morska w San Diego. Wszystko w niecałe trzy lata. Dziwisz się, że wojsko zaczęło szukać lepszego rozwiązania?

- Wariant trzynasty.

- Zgadza się, trzynastka. Ludzie z czasów przed cywilizacji. Wszystko, czym byliśmy, wszystko, od czego odchodzimy od czasu, gdy posialiśmy pierwsze uprawy, ustanowiliśmy pierwsze prawa i zbudowaliśmy pierwsze miasta. Mówię ci, Tom, na twoim miejscu po prostu zadzwoniłbym do ONZALG i się odsunął. Nie chcesz wchodzić w drogę trzynastkom.

- Teraz to ty mówisz jak w wiadomościach.

Jeff z zaangażowaniem nachylił się do przodu.

- Tom, trzynastka to jedyny wariant genetyczny, jaki Jacobsen uznał za dostatecznie groźny, by uchylić mu podstawowe prawa ludzkie. Są powody, dla których ci faceci siedzą zamknięci albo wygnani na Marsa. Są powody, dla których zabroniono im się rozmnażać. Mówimy o rodzaju człowieka, jakiego ta planeta nie widziała od ponad dwudziestu tysięcy lat. Ich psychika jest zbudowana na psychotycznej paranoi posklejanej wpajaniem w nich od dziecka wojskowym warunkowaniem i niczym więcej. Bardzo inteligentni, bardzo twardzi i niezainteresowani niczym poza braniem tego, na co mają ochotę, niezależnie od zniszczeń i kosztów.

- Jakoś nie dostrzegam - cierpko wtrącił się Norton - jak niby ma to nam przywrócić naszą męskość.

- To dlatego, że mieszkasz w Nowym Jorku.

Norton prychnął i wypił swój arak.

Brat przyglądał mu się przez chwilę z krzywym uśmiechem.

- Mówię poważnie, Tom. Myślisz, że w Secesji chodziło o interesy Wybrzeża Pacyfiku i ochronę środowiska? Albo o paru zlinczowanych



Azjatów i nieudane rozróby na Bliskim Wschodzie?

- Między innymi, owszem.

Jeff potrząsnął głową.

- Wcale nie, Tom. Nic z tych rzeczy nie było powodem. Ameryka podzieliła się z powodu wizji tego, czym jest potęga. Męska siła przeciw kobiecym pertraktacjom. Siła kontra wiedza, dominacja kontra tolerancja, proste czy złożone. Wiara, Sztandar i Hymn razem przeciw nowej matematyce - której, bądźmy szczerzy, nie rozumie tak naprawdę nikt poza fizykami kwantowymi - teorii korporacji i nowemu porządkowi międzynarodowemu. I do czasu, aż pojawił się projekt Stróż Prawa, każdy element na stole wskazywał na przyszłość tak sfeminizowaną, że absolutnie nieamerykańską.

Norton roześmiał się wbrew sobie.

- Powinieneś pisać przemowy, Jeff.

- Zapominasz - poważnie odpowiedział jego brat - że kiedyś to robiłem. Pomyśl teraz o sytuacji, jaka wtedy panowała, o tonącym okręcie kontynentalnej męskości pogrążonym w złożoności sytuacji, której nie potrafi zrozumieć, zawiedzionym przez swoją technikę wojskową i młodych mężczyzn. A potem ubierasz tych nowych, wielkich sukinsynów w amerykańskie mundury, nazywasz ich Stróżami Prawa i nagle wygrywają. Nikt właściwie nie wie, skąd oni się tak nagle wzięli, nikt się do niczego nie przyznaje, ale czy ktoś się tym kiedykolwiek przejmował? Liczy się to, że ci faceci są amerykańskimi żołnierzami, walczą dla nas i choć raz to oni wygrywają. Posiedź sobie chwilę, Tom, i pomyśl, jakie były tego efekty we wszystkich tych małych miasteczkach, nad którymi przeleciałeś w drodze tutaj.

Jeff opuścił wycelowany w brata palec, zajrzał do swojej szklaneczki i uniósł brwi, jakby zdziwił się własnym wybuchem emocji.

- Przynajmniej tak to ujęto w moich lekturach.

Pokój jakby się trochę skurczył. Siedzieli w ciszy. Po chwili Jeff wstał i ponownie skierował się w stronę barku.

- Jeszcze jednego?

Norton potrząsnął głową.

- Muszę już wracać, czeka mnie wczesna pobudka.

- Nie zamierzasz zostać na noc?

- Cóż...

- Jezu, Tom. Czy naprawdę aż tak się pogryźliśmy? - Jeff odstawił

nalewanego właśnie drinka i wbił w niego spojrzenie. - Daj spokój, przecież za cholere nie przepłyniesz o tej porze promem na drugą stronę. Naprawdę zamierzasz jechać taksówką całą drogę dookoła zatoki tylko po to, żeby nie musieć spać pod moim dachem?

- Jeff, to nie...

- Tom, wiem, że czasem bywam dupkiem, zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, że pewne rzeczy ci się we mnie nie podobają, rzeczy, które twoim zdaniem nie spodobałyby się tacie i mamie, ale rety, naprawdę myślisz, że staruszek przez całe swoje cholerne życie był świętym?

- Nie wiem - cicho odpowiedział Norton. - Ale jeśli nie był, nikt z nas go nigdy nie złapał.

- Ty mnie też nie złapałeś. Sam ci o tym powiedziałem, do cholery.

- Jasne, i bardzo ci dziękuję.

- Tom, na miłość boską, jestem twoim bratem. Kto ci w ogóle załatwił tę cholerną robotę w INKOL?

Norton zerwał się z fotela.

- W to nie uwierzę. Przekaż pozdrowienia Megan i dzieciakom. Przepraszam, że nie miałem czasu, żeby im coś kupić.

- Tom, poczekaj chwilę. - Ręce wyciągnięte prosząco, zapominając o drinku. - Przepraszam, to było paskudne zagranie. No dobra, słuchaj, nie załatwiłem ci pracy, i tak byłeś wysoko na liście. Ale dobrze o tobie mówiłem wielu osobom tamtego lata. I zrobię to ponownie. Jesteś moim bratem - nie wydaje ci się, że to coś dla mnie znaczy?

- Megan jest twoją żoną. Czy to coś dla ciebie znaczy?

- Chryste, to nie to samo. Ona jest kobietą, nie... - Urwał, bezradnie machnął dłońmi. - To życie w małżeństwie, Tom. Tak to działa. Rodzą ci się dzieci, robisz się zmęczony, dopada cię proza życia. Zaczynasz szukać... czegoś. Nie wiem, czegoś świeżego, co przypomniałoby ci, że jeszcze żyjesz. Że nie zmieniasz się w parę nieszkodliwych, zasuszonych staruszków w kompleksie emerytalnym na Kostaryce.

- Tak właśnie widzisz mamę i tatę?

- Tym właśnie są, Tom. Powinieneś ich częściej odwiedzać, sam byś zobaczył. Może wtedy zacząłbyś coś rozumieć.

- Jasne. Pieprzyłeś się z jedną ze swoich klientek bonobo z ośrodka dla uchodźców, bo mama i tata są starzy. To ma głęboki sens.

- Tom, nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz. Masz trzydzieści siedem lat, nigdy nie byłeś żonaty, nie masz rodziny. To znaczy... - Jeff

wyglądał, jakby próbował sięgnąć do czegoś w głębi siebie. - Słuchaj, naprawdę myślisz, że Megan tak bardzo by się przejęła, gdyby wiedziała? To znaczy, jasne, przeszłaby przez wszystkie etapy, emocje, może wyrzuciłaby mnie na jakiś czas, byłoby mnóstwo łez. Ale w sumie, Tom, zrobiłaby to, co najlepsze dla dzieci. Teraz to one są całym jej światem, nie ja. Nie mógłbym już złamać jej serca, nawet gdybym chciał, nawet gdybym próbował. To genetyka, Tom, pieprzona genetyka. Dla Megan jestem na drugim miejscu w stosunku do dzieci, ponieważ tak właśnie jest zbudowana.

- I pieprzyłeś Nuying, ponieważ ty tak właśnie jesteś zbudowany, co?

Jeff westchnął, spuścił wzrok, po czym rozłożył ręce na boki.

- W zasadzie tak, owszem. Mówię tu o działaniu moim i Nu. Jestem w fundacji samcem alfa, patriarchą i najdroższym garniakiem w polu widzenia. Dla bonobo to cel większy niż fiut Larry'ego Lasmana.

- I tak po prostu posłusznie dałeś się upolować, co? Po prostu nie mogłeś znieść rozczarowania dziewczyny.

Kolejne westchnięcie. Tym razem Norton usłyszał w nim, że brat stracił ochotę do walki. Jeff opadł z powrotem na fotel. Spojrzał do góry.

- Dobra, Tom - powiedział cicho. - Niech będzie, jak chcesz. Pewnie sam nigdy w życiu nie pieprzyłeś bonobo, więc nie wiesz, jakie to uczucie, całe to oddanie, cały kwiat kobiecości w twoich rękach, jak...

Potrząsnął głową.

- Zapomnij. Zadzwoń ci po taksówkę.

- Nie. - Norton poczuł dziwne uczucie w klatce piersiowej. - Zostanę, Jeff. Przepraszam, ja po prostu... to był długi dzień.

- Na pewno?

- Tak, na pewno. Słuchaj, Jeff, nie chcę cię osądzać. Masz rację, nikt z nas nie jest święty. Wszyscy robiliśmy rzeczy - *Megan, siedząca na nim w motelu, podsuwająca mu piersi z oczami skupionymi gdzieś w dali, jakby było to zwykłe gospodarstwo zajęcia. Pod koniec całkiem zamknęła oczy i wbijała się na jego erekcję wprost w orgazm, stękając przez zaciśnięte zęby: „ Ty sukinsynu, och, ty pieprzony sukinsynu „. Jeszcze przez całe tygodnie dostawał potężnej erekcji na samo wspomnienie, choć był prawie pewien, że to nie do niego mówiła, a gdy ją później spytał, twierdziła, że nie pamięta, by cokolwiek mówiła* - rzeczy, których żałujemy i takie, które chętnie byśmy cofnęli, gdyby tylko było to możliwe. Myślisz, że jestem inny?

Jeff przyjrzał mu się badawczo.

- Tom, pomijasz jedną cholernie istotną sprawę. - Uniósł ręce z otwartymi

dłońmi. Na jego twarzy rysowało się coś prawie błagalnego. - Nie żałuję Nuying. Ani pozostałych, bo Bóg wie, że Nu nie była jedyną. Po prostu nigdy nie mówiłem ci o innych po tym, jak zareagowałaś na nią. Tak, za każdym razem jest to komplikacja emocjonalna, Tom, stres, którego wolałbym uniknąć. Ale nie mogę się zmusić do wyrzutów sumienia z tego powodu i nie mogę chcieć, żeby to się nie zdarzyło. Rozumiesz to? Możesz znieść taką wiedzę o swoim bracie?

*Nie mogę chcieć, by to się nie zdarzyło.*

Norton usiadł z powrotem w drugim fotelu, ostrożnie, na samym brzegu. Słowa Jeffa były jak skoble zdjęte wprost z jego serca, nagła ulga w bólu, z którego nie do końca zdawał sobie sprawę. Odsłonięte przestrzenie wypełniła jasna prawda o jego uczuciach do Megan. Siedział przez chwilę, próbując zrównoważyć to wszystko, po czym kiwnął głową.

- Jasne - odpowiedział. - Pewnie mogę to znieść. Chyba muszę. - Wzruszył ramionami, uśmiechnął się lekko. - Bracia, co?

Jeff zareagował energicznym machnięciem głową.

- Bracia.

- To nalej mi jeszcze jednego, starszy bracie. I przygotuj wolny pokój. O której wraca Megan?

## ROZDZIAŁ 9

Spali w mocno zużytych śpiworach nanotkaninowych - „takich jak te używane przez prawdziwych osadników marsjańskich!”, jak zapewniała wystrzępiona naszywka na śpiworze Scotta - ale zawsze pod dachem. *Za dużo oczu w górze*, pośępnie powiedziała Ren, gdy stali w drzwiach hangaru wieczorem drugiego dnia i przyglądali się, jak na wschodzie zaczynają mrugać gwiazdy. *Lepiej będzie, jeśli nie pozwolimy im zauważyć niczego niezwykłego*. Budynki opuszczonego lotniska zapewniały schronienie przed skanem satelitarnym i pustynnym słońcem, w ciągu dnia w środku stopniowo narastała temperatura, ale okna od dawna pozbawione szyb i w większości powybijane drzwi zapewniały chłodzenie dzięki przeciągom. Ściany w wykorzystywanych przez nich pomieszczeniach były praktycznie całkowicie obdarte z farby, pozostawiając białe, beżowy gips, a oświetlenie w ogóle nie działało. Co dziwne, wciąż funkcjonowały ubikacje i prysznice, choć pozbawione drzwi i tylko z zimną wodą. Winda prowadząca na wieżę kontrolną nie miała zasilania, ale schody wydawały się wystarczająco bezpieczne, a po wejściu tam miało się doskonały widok na płataninę starych betonowych pasów startowych i płaski teren poza nimi.

Ren spędzała mnóstwo czasu na górze, na wieży, zapewne wypatrując śladów ewentualnych gości i rozmawiając cicho z obcym, z Nim. A to martwiło Scotta z powodów, które nie do końca potrafił zrozumieć.

W końcu uznał, że chodziło o brak wiary. Pastor William zawsze mówił, że najpierw i przede wszystkim dopadał on tak zwanych wolnomyślicieli, a Bóg wiedział, że Scott przebywał poza domem dość długo, by się zarazić, ocierając się o wszystkie te świństwa i zwątpienie życia Zachodniego Wybrzeża. Myśl ta wzbudziła w nim luźny i niekontrolowany wybuch złości, jasne światła LCLS, nieustanny żrący wir tak zwanego nowoczesnego życia i brak jakiegokolwiek ucieczki, nawet w kościele, bo Bóg wiedział, że Scott tam był i próbował. Wszystkie te letnie, pełne gładkich słówek kazania, trzymanie się za rączki w kółkach i obrzydliwe, wyciskające łzy z oczu psychobelkoty mające tylko usprawiedliwić słabość i porażki moralne, na które pozwolili sobie mówcy. Ponad trzy lata czegoś takiego rozmyły jasność jego wizji, rozmazując prostą arytmetykę dobra i zła choć jak cholernie dobrze wiedział, była ona jedynie słuszną, ponieważ z nią właśnie cholernie dobrze się czuł.

Bolała go głowa.

Zdarzało mu się to dość często, od kiedy obudził się z tyłu podskakującej ciężarówki i dotknął prowizorycznego opatrunku tuż nad oczami. Lekarz, do którego Ren zabrała go tej nocy w okolicach Fresno, powiedział mu, że to normalny objaw w przypadku doznanych przez niego urazów głowy i przy odrobinie szczęścia powinno mu przejść po kilku dniach.

Urazach głowy, które Scott zarobił od obcego. I jak to miało być słuszne? Początkowo nie mógł nic z tego zrozumieć.

*On wróci...* Mocny głos pastora Williama grzmiący z ambony niczym odległa burza, burza pędząca wprost na ciebie na skrzydłach wiatru. Mówiono, że zanim został pastorem, szkolił się w jednym z megakościołów w Południowej Karolinie, a sądząc po sile głosu, można było w to uwierzyć. *On wróci i zadajecie sobie pytanie, jak to będzie wyglądać. Cóż, powiem wam, przyjaciele, powiem wam, podnosił głos do krzyku, nie będzie to szczęśliwy dzień przytulania i klaskania, o którym ciągle śpiewają czarnuchy. O nie, dzień Jego powrotu nie będzie zabawą, nie będzie piknikiem i przejściem wprost do raju dla wszystkich. Kiedy Jezus powróci, przyjdzie sądzić, a Jego sąd będzie surowy, surowy dla mężczyzn, kobiet i dzieci, surowy dla wszystkich, bo wszyscy jesteśmy grzesznikami i za ten grzech, za ten wredny czarny grzech przyjdzie zapłacić, na dobre. Zajrzyjcie w swoje serca, przyjaciele, spojrzycie w swoje serca, zobaczcie ukryte w nich grzechy i módlcie się, byście mogli wyciąć go z siebie przed sądem, ponieważ jeśli tego nie zrobicie, zrobi to Pan, a Pan nie używa znieczulenia, gdy operuje na duszy.*

Była taka historia, którą Scott pamiętał z komiksu „Czasy Ostateczne”, tom III, zeszyt 137: „Zwycięstwo w Babilonie”. Ubrany w płaszcz Zbawca sunie lustrzanymi wawozami Nowego Jorku z długim coltem Navy na biodrze i trzymaną w dłoni maczugą wykonaną z nasączonego potem i krwią drewna krzyża swój ej męki. Kopniakiem otwiera szklane drzwi kawiarni na Wall Street i tłucze na miazgę zebranych tam lichwiarzy. Umalowana brokerka giełdowa w czarnych pończochach wije się ze strachem u jego stóp, umalowane na czerwono usta otwarte w przerażeniu i trwodze, uda odsłonięte przez krótką, kurwią sukienkę. Tłusci, wielkonosi mężczyźni w garniturach ryczą i panikują, próbując uciec przed ciosami maczugi. Tryska krew i kawa, krzyki. Wypisane wielkimi literami trzaski łamanych kości.

*Sąd!*

Scott znów dotknął bandaża na głowie i pomyślał, że może mimo

wszystko zapłacił małą cenę.

W ciężarówce, patrząc na wymizerowaną, śpiącą twarz, obrócił się do Ren i zapytał szeptem:

- Czy to naprawdę On?

Spojrzała na niego dziwnie.

- Kim on według ciebie jest?

- On. Jezus. Pan przybył powtórnie. - Przełknął, oblizał wargi. - Czy to... czy my żyjemy w, no wiesz, Czasach Ostatecznych?

Żadnej odpowiedzi. Patrzyła tylko na niego z zaciekawieniem i kazała mu odpocząć, bo będzie potrzebował sił. Kiedy teraz się nad tym zastanawiał, domyślił się, że jego słowa musiały wygłądać na majaczenie po wstrząsie.

A potem lekarz i inni pomocnicy po drodze. Ludzie, których Ren zdawała się dobrze znać. Zmiana samochodów, dom i wygodne łóżko na przedmieściach jakiegoś miasta, którego nazwy nie poznał. Kolejna długa, męcząca noc w terenowym pojeździe i wysiadka o świcie na opuszczonym lotnisku.

A potem czekanie.

Próbował być przydatny. Sprzątał po Ren i obcym, każdego ranka zwijał ich śpiwory i materace - i co dziwne, zauważył w bagażu Ren Biblię i zwinięty wydruk z republikańskich stron kościelnych, których część sam dobrze znał. Starannie zamknął torbę i nie zaglądał do niej więcej - nie był wścibski z natury - ale bardzo go to zdziwiło. Starał się o tym nie myśleć. Zamiast tego zmontował stół i wyszukał w śmieciach walających się wokół budynków trzy komplety zastawy. W rogu jednego z hangarów znalazł zniszczoną i pozbawioną skrzydeł Cessnę, niezbyt starannie osłoniętą grubym plastikiem, który pociął i zrobił z niego zasłonki dla kilku ubikacji i pryszniców. Zajął się jedzeniem. Zapasy zostawione im przez kierowcę pojazdu terenowego w większości składały się z samogrzejących pojemników, ale starał się ze wszystkich sił zrobić z tego prawdziwe posiłki, zanosząc je tamtym dwojgu na górze, jeśli nic nie wskazywało, by mieli zejść na dół i zjeść. Próbował się nie gapić na obcego. Oszczędnie łykał zapisane mu przez lekarza środki przeciwbólowe i modlił się żarliwie przed każdym posiłkiem i snem. Co dziwne, takie życie było lepsze niż wiedzione wcześniej.

- Teraz to już nie potrwa długo.

Podskoczył. Po zapadnięciu nocy cisza w opuszczonym budynku zdawała się w jakiś sposób pogłębiać i głos Ren zabrzmiał prawie jak wystrzał.

Spojrzał wyżej i zobaczył, że stoi w drzwiach prowadzących do schodów na wieżę. Światło z ostatnich złotych pozostałości zachodu słońca na zewnątrz mieszało się z niebieskawym poblaskiem zapalonych przez niego lamp kempingowych, odbijając się w jej oczach i zębach zamka błyskawicznego noszonej przez nią starej skórzanej kurtki.

- Co robisz?

- Modłę się. - odparła na wpół wyzywająco, ponieważ zdecydowanie nie zauważył, żeby robiła to w ciągu ostatnich kilku dni.

Kiwnęła głową. Weszła do pokoju i z wdziękiem usiadła na swoim śpiworze.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła głosem, w którym brzmiało zmęczenie. - Chodź tu bliżej.

Znów prawie podskoczył.

- Po co?

- Scott, nie ugryzę cię.

- Wiem o tym. Ale słyszę cię stąd.

- Może tak. Ale wolałabym nie musieć krzyczeć. No, chodź tu obok.

Zacisnął usta, podniósł się ze swojego śpiwora i podszedł do niej. Kiwnęła głową w lewo i przysiadł niezgrabnie obok, nie do końca siadając. Owiał go jej zapach, lekko przybrudzony pustynnym potem - pomyślał, że ostatni raz myła się chyba wczoraj. Spojrzała mu w twarz i znów poczuł, jak coś zamiera w jego piersiach. Kiwnęła głową w górę, w stronę sufitu i wieży.

- Wiesz, kto tam jest - powiedziała cicho. - Prawda?

Wypełniła go radosna euforia, docierając po chwili do uczucia, które wzbudzała w nim Ren. Zdołał sztywno kiwnąć głową.

- To on, tak?

- Tak, on. - Westchnęła. - Scott, to dla mnie trudne. Dorastałam w dużej rodzinie, było w niej trochę chrześcijan, ale nie byłam jedną z nich. Moje doświadczenia religijne są... bardzo różne od twoich. Tam, skąd pochodzę, akceptowaliśmy, że możliwe są inne wierzenia, ale zawsze sądziliśmy, że stanowią po prostu inny sposób spojrzenia na te same prawdy, w które wierzyliśmy. Mniej dokładne, mniej oświecone ścieżki. Nigdy nie sądziłam, że może to nasza prawda okaże się tą mniej oświeconą, że to chrześcijanie mają rację. To... - Potrząsnęła głową. - Nigdy tego nie brałam pod uwagę.

Poczuł, jak narastające w nim ciepło i chęć ochrony dziewczyny grzeją go jak płomienie. Sięgnął i ujął jej rękę leżącą na udzie, ściskając ją delikatnie.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Byłaś szczerą w swojej wierze. To



się liczy.

- No wiesz, musisz uwierzyć w to, co widzisz na własne oczy, Scott. Prawda? - Spojrzała mu w oczy. - Musisz wierzyć w to, co ci mówią, skoro nic innego nie ma sensu, prawda?

Głęboko wciągnął powietrze.

- Carmen, dla mnie to ma mnóstwo sensu.

- Tak, no cóż, widzisz, wygląda to tak, i nie wiem, czy w twojej Biblii jest coś na ten temat, bo z pewnością nie zgadza się to z niczym, czego mnie uczono o ostatecznym cyklu. On mówi - kolejne spojrzenie w górę - że przybył za wcześnie, że jeszcze nie nadszedł czas i musi zebrać siły. Ma tu do wykonania zadanie, ale świat pełen jest jego wrogów, którzy wciąż są silni. A to oznacza, że musimy go chronić, aż przyjdzie czas. Wybrał nas, Scott. Oddzielił nas od, no...

- Plew?

- Tak, plew. Widziałeś, co zrobił z Nocerą i Wardem? Scott, oni byli sługami ciemności. Teraz to widzę. To znaczy, nigdy nie lubiłam Nocery, a Ward, cóż, myślałam, że jest w porządku, ale...

- Szatan zastawia tysiące sideł - odpowiedział Scott. - I ukrywa się pod tysiącem masek.

- Racja.

Zawahał się, patrząc na nią.

- Czy jesteś Jego... - Posmakował słowo, niezgrabne w jego ustach. - Jego służebnicą?

- Tak. To właśnie mi powiedział. Do chwili, aż, uch, anioły będą mogły przejąć to zadanie. Wyjaśnił, że do tego czasu będzie przemawiał przeze mnie.

Do tej pory wciąż trzymał jej dłoń. Teraz puścił ją i cofnął rękę, jakby parzyła. Próbował nie gapić się na jej urodę.

- Jesteś. Tak godna tego - oświadczył chrapliwie. - Zostaniesz wypełniona światłem.

Nagle jej dłonie wylądowały na nim, na sprzączce jego pasa, ciągnąc go do niej. Nachyliła się i przejechała rozchyłonymi wargami po jego ustach. Odchyliła się.

Otworzył usta. Jego serce waliło jak szalone. Pod sprzączką pasa poczuł się nagle uwięziony i nabrzmiały.

- Co robisz? - wysyczał.

Wskazała na sufit.

- On jest tam, Scott. Zostaje tam, trzyma dla nas straż. Wszystko w porządku.

- Nie, to... - Tępo potrząsał głową. Próbował wyjaśnić. - ... Carmen, to grzech.

Chciał się od niej odsunąć, ale stracił równowagę i wylądował oparty plecami o ścianę, wciąż na jej materacu. Nie udało mu się zwiększyć odległości między nimi. A może - zastanawiał się nad tym później - może wcale jednak nie chciał się od niej odsuwać.

- Carmen - błagał. - Nie możemy być grzesznikami. Nie teraz. Nie tutaj. To jest złe.

Ale Carmen Ren wsunęła tylko kciuk za dekolt swojej koszulki, spojrzała w dół na swoją dłoń i pociągnęła. Szew statyczny ustąpił z cichym trzaskiem i przesunęła kciuk w dół, otwierając koszulkę między wypukłościami piersi opierających się na profilujących miseczkach. Widział przez warstwę plastiku sutki przyciśnięte do wewnętrznych powierzchni miseczek. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego.

- Jak niby miałyby to być złe? - zapytała tylko. - Scott, nie rozumiesz? Nie czujesz tego? Tak to powinno być. To sakrament, oczyszczenie dla nas obojga. Dar jego miłości. Sięgnij w głąb siebie. Nie czujesz tego?

I poczuł.

\* \* \*

Minęło mnóstwo czasu.

Nie był prawiczkim już od jedenastej klasy i Janey Wilkins, która z kolei też nie była jego jedyną, zanim wyjechał na Wybrzeże, choć próbował nie widzieć w tym powodu do dumy, bo wiedział, że było to grzeszne. Jednak dziewczyny zawsze do niego przychodziły, nie mógł się tego wyprzeć. Scott miał urodę po matce, był wysoki i długonogi, a jako nastolatek nabrał mięśni, pracując w wolnych chwilach przy rozciąganiu płotów i ochronie rzeki dla dużych właścicieli ziemskich z Bitterroot, żeby zarobić na opłacenie szkoły od dziesiątej do dwunastej klasy i nie być obciążeniem dla rodziny lub z musu zaciągać się do marines. Z drugiej strony pomimo mięśni i długich kończyn wciąż był łagodny i umiał się wysławiać, a z tego, co mówiła Janey, wynikało, że to też nie przeszkadzało dziewczynom.

Jednak na Wybrzeżu coś się z nim stało.

Może to fakt, że nagle wszędzie było pełno seksu - idealne, modyfikowane ciała, przy których nie dało się zgadnąć, czy były prawdziwe, czy też należały do wygenerowanych interfejsów wirtualnych - ale były tam,

wijąc się wokół siebie na dużych billboardach LCLS, na ekranach wystaw sklepowych, na torbach z droższych sklepów, tych z wyświetlaczami, które kobiety nosiły garściami niczym zbiory dużych, kolorowych owoców trzymany za szypułki. Nagie ciała i głębokie jęki dobiegały z każdego - poza religijnymi - kanału, jaki mógł oglądać, były w każdym oznaczonym reklamami liście, jaki stworzył, na miłość boską, również na koszach na śmieci, a nawet raz, gdy pojechał do Freeport, narysowane holograficznie na niebie i grzmiące z potężnych głośników rozmieszczonych wzdłuż Venice Beach. Może to przez tę nieustanną nawałę, przeładowanie tym wszystkim, a może po prostu tęsknił za tym, co zostawił za sobą. Jakiegokolwiek były powody, spokojna pewność siebie, której doświadczał w domu, zniknęła, uchodząc z niego niczym para z porannej kawy zostawionej na ganku. Zrobił się przez to samotny i oziębły.

Carmen Ren przepaliła się przez jego samotność jak spadająca gwiazda. Gotowały się w nim miesiące fantazji, do których sam przed sobą nie chciał się przyznać. Jej ciało w dotykanych przez niego miejscach, gdzie prowadziła jego dłonie, było ciepłe i gładkie, a jej język w jego ustach smakował jakąś ciemną, nieznaną przyprawą. Odlepiła dla niego jedną z miseczek profilujących, opuściła elastyczny ciężar piersi w jego dłoń. Zdawała się tam pasować, jakby specjalnie dla niego została stworzona, jakby właśnie on miał ją trzymać. Dłonie Carmen wróciły do jego paska, poluzowały go i wsunęły się do środka. Zesztywniał, gdy objęła palcami jego sztywnego penisa, i odruchowo ścisnął jej pierś. Jęknęła wprost w jego usta.

Rozebrali się wzajemnie po kawałku, przerywając na pocałunki i dotyk, aż w końcu położyła się na materacu naga, ułożyła ręce wzdłuż ciała i rozsunęła dla niego uda. Przesunął się na kolanach i dłoniach, trochę niezdarnie z braku wprawy, a potem jęknęła, gdy wsunął się w nią. Wieczorne powietrze na skórze było chłodne i suche, a Carmen Ren była w środku gorąca i wilgotna. Uśmiechnęła się, przesunęła leniwie w bok i zrobiła coś z mięśniami. Poczł się chwycony na całej długości penisa w śliskiej, pociągającej intymności, a potem pociągnęła go w dół na siebie, uniosła uda i przycisnęła do jego boków - w chłodnym powietrzu paliły jak żelazo do znakowania - i doszedł, nagle i niepowstrzymanie, trzęsąc się, jakby poraził go prąd z jakiegoś niez izolowanego przewodu.

Zwiesił głowę, pozostał oparty na łokciach.

- Przepraszam.

Uśmiechnęła się do niego, poruszyła lekko i zacisnęła mięśnie wokół jego

wiotczej mężczyźni.

- Nie przepraszaj. Wiesz, jaką sprawia mi przyjemność, że tak tracisz kontrolę z mojego powodu?

- Po prostu... - Czuł, że się czerwieni. - Wiesz, upłynęło sporo czasu.

- Tak, domyślałam się. Scott, to nie ma znaczenia. Mamy czas. Dobrze mi z tobą we mnie. Zrobimy to ponownie, gdy będziesz gotowy. - Kolejne drgnięcie tego zwiniętego mięśnia i nagle poszerzenie jej oczu. - Och. Właściwie.

Nie wiedział, czy to sposób, w jaki mówiła, swobodnie leżąc pod nim, jakby siedzieli razem przy śniadaniu, a może po prostu fakt, że miał ją tutaj, spełnienie tylu wilgotnych, beznadziejnych marzeń, gdy wracał samotnie z pracy w Ward Bio-Supply. A może to słowo „służebnica”, grzmiące mu w głowie, wciąż na jego ustach jak przyprawowy smak jej języka. Nie wiedział, ale prawdę mówiąc, nie dbał o to. Wiedział za to, bo Janey mu kiedyś powiedziała, że był niezwykle szybki w powrocie na siodło, ale nawet dla niego to było coś innego. Poczul, jak twardnieje wewnątrz niej, nabrzmiewając wbrew temu, co robiła ze swoimi mięśniami, i wiedział, że tym razem wszystko będzie w porządku, że czeka go długa i słodka jazda.

\* \* \*

Po wszystkim leżeli w płataninie kończyn na materacu, plecami do obdartej ściany, częściowo owinięci śpiworem i kurtką Ren, patrząc na skrawek nocnego nieba widocznego przez puste drzwi prowadzące na zewnątrz. Scott pomyślał, że gwiazdy nigdy jeszcze nie lśniły tak jasno i pięknie jak tej nocy, nawet w domu. Wydawały się być strażnikami wibrującymi delikatnie w czerni, pełnymi życzliwości. Powiedział jej to, a ona zaśmiała się gardłowo.

- Astronomia miłosa - skomentowała.

- Nie - zaprotestował stanowczo, choć pozwolił jej się śmiać. - To coś szczególnego, Carmen. Tej nocy jesteśmy błogosławieni.

Wydała z siebie cichy, niezobowiązujący dźwięk i lekko się przeciągnęła.

- Wiesz - odezwała się trochę później. - To nasze ukrycie może potrwać naprawdę długo. Będzie ciężko.

- Nie szkodzi.

- Tak. - Potarła dłonią zarost na jego policzku. - Pewnie jesteś przyzwyczajony do niewygód, co?

- Będzie nas szukać Ochrona Wybrzeża?

- Nie wiem. - Ton głosu zdradzał namysł. - Zadzwoiłam do pewnych

ludzi, żeby posprząтали po nas na wybrzeżu. Ukryją nasze ślady, to będzie jakiś początek. Mamy przyjaciół, Scott. Więcej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

- I wrogów - zauważył.

- Tak. Wrogów też.

Wykręcił głowę, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Powiedz mi prawdę, Carmen. Czy to Czasy Ostateczne? Gdy świat upada w płomieniach, a bestia wyłania się z oceanu z błuźnierczymi imionami na skórze? Czy przeciwko temu właśnie walczymy? Przeciw bestii?

Zawahała się.

- Nie sędzę. Nie mówił o takich rzeczach. Ale wiem tyle: gdzieś tam jest czarny człowiek, który szuka jego i nas. Ten człowiek jest sługą ciemności i to przed nim musimy się chronić. Oboje, cokolwiek się stanie, jesteśmy sługami światła i musimy stać na straży. Nadchodzi czarny lud. A kiedy nadejdzie, musimy być gotowi do walki, jeśli będzie trzeba, na śmierć. Jesteś na to gotów?

- Oczywiście, że tak. Zrobię wszystko. Ale...

Przesunęła się, opierając się o ścianę, by móc zajrzeć mu w oczy.

- Ale co?

Scott popatrzył w górę, na sufit.

- Czy On nie może zrobić czegoś z tym czarnym człowiekiem?

- Jeszcze nie - wyjaśniła łagodnie. - Przynajmniej tak mi powiedział. Jeszcze nie czas. Scott, on ma na głowie inne troski, inne zadania. To skomplikowane, wiem, nie będę udawać, że sama wszystko rozumiem, ale wiem, co mi objawiono, i mogę tylko ci to przekazać. Musimy mieć wiarę, Scott, tak mówił. Na tym polega siła chrześcijan, prawda? Wiara bez kwestionowania objawienia?

- Uch, tak...

- I owszem, może to w tej chwili nie wydaje się zbyt sensowne, ale jeśli będziemy wierzyć, to chyba tak się stanie. Mamy w tym wszystkim do odegrania własne role, Scott. Ty masz rolę. Nadchodzi sąd i, uch, nadejdzie zniszczenie. Ci, którzy staną mu na drodze, upadną, a wierni w wierze zostaną wyniesieni.

- Czyli to oznacza... - Ścisnął jej rękę. W głowie zapulsowała krew i poczuł w kroczu ożywienie. - On naprawdę przyszedł sądzić. Nadszedł czas.

A potem nagle przypomniał sobie wymizerowane spojrzenie pustych

oczu obcego, przypomniał sobie, jakie to uczucie być obiektem skupienia jego uwagi z małej odległości, i spoglądając ponownie na sufit, nie czuł już ciepłego pulsu upragnionego oczyszczenia, potwierdzenia wszystkiego, w co tak bardzo chciał wierzyć i co chciał szanować. Zamiast tego przypomniał sobie nagle te oczy i wychudzoną do kości twarz i jedyne, co poczuł, to chłód i strach.

*Nadciąga sąd.*

## ROZDZIAŁ 10

Pięćdziesiąt kilometrów za Van Horn autostrada międzystanowa numer 10 rozłożyła w mroku blady, luminescencyjny pas szarości w pustynnej nocy, ciągnąc się w stronę niskich, przycupniętych na horyzoncie grzbietów gór, których nazw Eddie Tanaka nigdy nie próbował zapamiętać. Gwiazdy przebijały granatowoczarny aksamit w górze jak czubki noży, stanowiąc ostry, biały kontrast do przygaszonej czerwieni świateł automatycznych ciężarówek, pędzących przez noc w obu kierunkach, sunących autostradą z owadziomechanicznym skupieniem. Narastający warkot, uderzenie fali czarnego powietrza, hałasu i wiatru, warkot cichnący w oddali. Mijał krzykliwe światła LCLS Tabithy z obojętnością, na jaką nie zdobyłby się żaden ludzki kierowca.

*No, może pedały, uzupełnił kwaśno. Nie są zbyt zainteresowani tym rodzajem towaru.*

Zerknął na potężną reklamę burdelu - nazwę wypisano wampiryczno-pajęczymi czerwonymi literami, na które oryginalna Tabitha nigdy by się nie zgodziła, gdyby nie sprzedała przybytku i nie wyprowadziła się na Wybrzeże natychmiast po odebraniu pieniędzy. Za cienkimi literami, jakby przez nie uwięzione, poruszały się kobiece postacie w kolorach ciała, wyświetlane prawie - niestety, nie do końca: wymagania prawne i tak dalej - ideały kobiecości.

*Pedałów i tak nie byłoby tu na drodze. Oni nie jeżdżą.*

*Przynajmniej ty nic o tym nie wiesz.*

*Znałeś tego Kenana, i on, do cholery, był jednym z nich, mądralo.*

*Mądralo? Tak, jesteś cholernie inteligentny, Max, na parkingu przed burdelem Tabithy, ze smarkami kurwy na kurtce i bez choćby loda dla wyrównania. Wszystkie twoje plany i projekty, twoje bzdury o urządzeniu sobie nowego życia - a zobacz, gdzie wylądowałeś. Smarki na ubraniu i żadnego loda. Taki jesteś cholernie sprytny, mądralo.*

*- Mądralo...*

Usłyszał własny pomruk, końcowe echo nagłej, choć niezbyt intensywnej dyskusji, którą przeprowadził właśnie w głowie. Wiedział, że znów subwokalizuje, i dobrze wiedział dlaczego. Zdawał sobie też sprawę, czemu nie zawracał sobie głowy, czemu nie chciało mu się wysilać, żeby zmusić

Chrissie do obsłużenia go.

*Nigdy, do cholery, nie możesz załatwić sprawy za jednym razem, co?*

Kilka godzin wcześniej wkropił sobie synadynę i rzecz w tym, że użył produktu wysokiej jakości, prosto z własnych zapasów, nie tego rozcieńczonego gówna, które sprzedawał w sobotnie wieczory dzieciakom w Van Horn i Kent. Cholernie dobrze wiedział, że potrzebuje tylko tego jednego zakropienia - i początkowo na to właśnie się zdecydował, tylko jedna porcja spuszczone na drżącą powierzchnię lewego oka, co dzieciaki nazywały pirackim strzałem. Ale piracki strzał zawsze, cholera, *zawsze* zostawiał go w stanie dziwnego niezrównoważenia, i to w dobrą noc - a ta nie była dobra - więc w miarę jak zaskakiwała synadyna, wrażenie spieprzonej symetrii narastało i narastało, aż zdawało się, że cała prawa strona jego ciała jest zbyt powolna i śpiąca, by ją wytrzymać, przed wyjazdem ustąpił więc i odchylił głowę jeszcze raz, a ciecz spłynęła do jego prawego oka jak łzy.

*Był czas, przypomniał sobie, gdy miałeś dyscyplinę. Dyscyplinę albo szacunek dla samego siebie, w każdym razie coś, co nie pozwoliłoby ci zrobić sobie czegoś takiego.*

Ostatnio często wspominał tamte czasy, wpatrując się w lustra w pokojach, w których nagle dopadało go niedowierzanie, że w nich wylądował, zastanawiając się, jak to się stało, że znalazł się tu i teraz, gdzie to wszystko uciekło. Czasy, gdy synd był narzędziem jak każde inne, przydatnym i używanym z pewnością siebie, która mogłaby być arogancją, gdyby nie była tak cholernie czysta i słuszna. Zanim to wszystko zmieniło się w łajno i czarny dym na wieczornym niebie Wyoming.

*To były czasy...*

*Jasne. I były, do cholery, inne czasy, gdy lato nigdy się nie kończyło i za nic nie musiałeś płacić. Pamiętasz jeszcze? Czas mija, Max przyjmij to do wiadomości. Daj spokój pieprzonej nostalgii i wróć do rzeczywistości.*

I proszę, oto jest. Smarki i żadnego lodu, sam pośrodku nocy.

Przetarł kurtkę dłonią, nie zwracając sobie głowy patrzeniem. Synadyna wpięła się w pamięć wizualną i odpaliła łącze do neuromotorycznej precyzji, umieszczając gest dokładnie na celu, a jego palce zrobiły się lepkie od smarka. Wytarł je o siebie, krzywiąc się. Nie potrzebował teraz tego gówna, nie w obecnej sytuacji. I tak miał już dość stresu. Mówił jej, do cholery, mówił jej przeciw, że szykuje coś innego, rzeczy wymagające zarządzania, przeciw to alfonsowanie nie jest jego głównym nu...

*Jasssne, rzeczowo skomentował synd. Ile właściwie lat już to*



*powtarzasz? Mądralo?*

*Tym razem jest inaczej. Jeśli zarobię na tym tyle, ile powinienem, za rok o tej porze już nas tu nie będzie. Na dobre.*

*A jeśli nie?*

*Jeśli nie, to już przygotowaliśmy sobie kryjówkę. Przestań się martwić.*

*Przygotowałeś kryjówkę, tak. I do końca życia zostaniesz alfonse. I co wtedy zamierzasz zrobić z Chrissie?*

Ponuro doszedł do wniosku, że to, co wtedy zrobi z Chrissie, co będzie musiał z nią zrobić, będzie wymagało użycia przemocy. Powinien to zrozumieć od samego początku - cholerna suka zawsze wymagała dużych nakładów, nawet jeszcze w Houston, gdy wciąż pracowała na rogach ulic. Puszysta grzywa blond włosów i wypiełgnowany akcent z Teksasu - powinien cholernie dobrze wiedzieć, że zacznie stroić fochy, gdy tylko wyląduje u Tabithy. Zachowywała się, jakby naprawdę była czystej krwi bonobo, za którą ją podawali. Dzwoniła do niego o każdej porze lub zmuszała do tego szefostwo Tabithy, narzekała, że nie może pracować z powodu jakiegoś bólu głowy lub brzucha, albo po prostu nie podobał się jej jakiś tłusty skurwiol, który zapłacił sporo forsy, żeby dostać się między jej nogi, i siedziała na cholernym łóżku z wielkimi oczkami, jęcząc *Eddie to, Eddie tamto, Eddie cholerne co innego*, zmuszając go do angażowania całego arsenału próśb i gróźb, jakby to była jakaś ulubiona scenka komiczna, którą lubiła oglądać w jego wykonaniu.

*Więc czemu, do cholery, nie wzięłeś zamiast niej do tej roboty Sereny lub Maggie? Żadna z nich nie sprawiłaby nawet połowy tych problemów.*

W kolejnym superklarownym przeblysku synadyny zrozumiał, czemu. Jednak obrócił się plecami i odłożył tę wiedzę do kąta wraz z mrugającym zaproszeniem billboardu Tabithy. Względny mrok słabo oświetlonego parkingu osłabił jego wzrok. Zamrugał, żeby dostosować się do ciemności.

- Cześć, Max.

Głos wstrząsnął nim, gdy mrugał, rzucił go z powrotem do wspomnień Skorpiona, do czasów i miejsc tak żywych, że otwierając oczy, prawie oczekiwał znalezienia się tam z powrotem, przed Wyoming, w tamtych lepszych, jaśniejszych czasach.

Ale nie wrócił.

Wciąż był tu, na opuszczonym parkingu teksańskiego burdelu drugiej klasy, ze smarkami kurwy z pretensjami na palcach i zbyt dużą ilością syndu skrzącą w mózgu.

Postać wyłoniła się z cieni otaczających samochód i stanęła przed nim. Słabe fioletowe światło ze znaczników parkingu obrysowało jego sylwetkę i uniemożliwiło rozpoznanie twarzy. Jednak coś w jego postaci przywołało wspomnienia obudzone jego głosem. Synd podsunął mu nazwisko i rysy uzupełniające czarny obrys. Gapił się, próbując coś z tego zrozumieć.

- To ty?

Postać poruszyła się, machnęła lekko dłonią.

- Ale... - Potrząsnął głową. - Ty... przecież ty jesteś na cholernym Marsie, stary.

Postać nie odezwała się, czekała. Eddie podszedł bliżej, unosząc ręce do powitalnego uścisku.

- Kiedy wróciłeś? To znaczy, co ty robisz z powrotem tutaj?

- Nie wiesz?

Skonsternowany uśmiech, całkiem szczery.

- Nie, stary, nie mam cholernego...

... i uśmiech zniknął, starty nagłym zrozumieniem.

Przez krótką chwilę w powietrzu zawisła cisza pustyni i oddalający się warkot ciężarówki na autostradzie.

Sięgnął przez brzuch pod kurtkę. Zacisnął palce na kolbie kompaktowego colta Citizen, zamocowanego przylepcem do pasa...

Podszedł za blisko.

Świadomość wypełniła go powoli i była to wiedza Skorpiona z tamtych czasów, w jakiś sposób smutna i powolna pomimo szybkości, z jaką dostrzegł rozpadanie się wszystkiego. Postać wystrzeliła do przodu, zaciskając dłoń na jego nadgarstku, i unieruchomiła jego rękę z bronią. Wyrzucił do góry lewą dłoń uderzając drugiego mężczyznę w twarz lub gardło - *za blisko, cholera, za blisko* - i natknął się na blok. Nie osiągnął niczego, nic nie mógł zrobić. Niskie kopnięcie pozbawiło go oparcia, pchnięcie rzuciło na ziemię. Przetoczył się desperacko, żeby sukinsyn nie dobrał się do niego butami, próbując wylądować na plecach z pistoletem, pieprzonym pistoletem...

Przylepiec wytrzymał. Ponownie chwycił kolbę colta, oderwał go i rzucił się do tyłu z prychnięciem ulgi, unosząc broń, Citizen nie miał bezpiecznika, wystarczy nacisnąć i...

Postać stała nad nim, czarna na tle nieba. Ramię w dół, skierowane...

I coś ponownie rozciągnęło go na ziemi, coś o niewyobrażalnej sile.

Słumiony trzask. Uszy go zarejestrowały, ale potrzebował chwili, żeby

przypisać mu jakieś znaczenie. Gwiazdy świeciły wprost nad jego głową. Przyjrzał się im z nagłą fascynacją. Wydawały się o wiele bliższe, niż się spodziewał, wisząc nisko, jakby nagle się nim zainteresowały.

Zacharczał, poczuł, jak coś gwałtownie cieknie po jego klatce piersiowej niczym zimna woda. Wiedział, co to. Synd wymusił bezlitosne zrozumienie.

Uniósł głowę i była to najcięższa praca, jaką kiedykolwiek wykonał, jakby jego czaszka zrobiona była z litej skały. Dostrzegł postać drugiego mężczyzny, z ręką wciąż skierowaną na niego niczym w jakimś sądzie.

- Spodziewałem się, że będziesz walczył - powiedział głos. - Ale dla ciebie minęło mnóstwo czasu, co? Za dużo. Może właśnie dlatego.

*Co „dlatego”?* - zaciekawiał się, lekko oteściały. Zakaszłał, poczuł smak krwi w gardle. Pomyślał, co teraz zrobi Chrissie, głupia suka.

- Chyba już po tobie - zabrzmiał głos.

Próbował kiwnąć głową, ale ta opadła tylko na brudną powierzchnię parkingu i tym razem już tam została. Zauważył, że gwiazdy jakby przygasły, a niebo wyglądało zimniej niż poprzednio, nie tak aksamitne, bardziej jak otchłań, którą naprawdę było.

*Na miłość boską, zginąłem na parkingu burdelu.*

Usłyszał ryk kolejnej automatycznej ciężarówki na autostradzie, oczyma duszy zobaczył przytulny, ciepły blask czerwonych świateł oddalających się w mrok.

Pogonił za nimi.

# CZEŚĆ II

## ZWOLNIENIE

Ograniczenie wolności jest potężnym narzędziem społecznym i jako takie musi być stosowane z mądrością i umiarkowaniem. Dlatego kluczowe jest rozróżnienie między prawdziwymi i dość złożonymi parametrami tego, co jest koniecznością społeczną, a prostymi i emocjonalnymi żądaniami rosnącej hysterii społeczeństwa. Niedostrzeżenie tej różnicy najprawdopodobniej będzie miało nieprzyjemne konsekwencje.

RAPORT JACOBSENA  
*Sierpień 2091*

## ROZDZIAŁ 11

W końcu miało się to rozegrać w kaplicy, tak jak się spodziewał. Więzienia takie jak to nie miały wielu miejsc pozbawionych nadzoru, jednak stosowane na Florydzie podejście do resocjalizacji na bazie wiary oznaczało, że człowiek miał zagwarantowane statutowe prawo do prywatności modlitwy o dowolnej porze poza ciszą nocną. Żadnych kamer, żadnego nadzoru. Teoretycznie w Domu Pana oficerowie wychowawczy prawdopodobnie nie musieli człowieka nadzorować, bo robił to już Bóg. Jakoś nikt nie zauważył, że Bóg nie wywiązywał się z zadania. W ciągu trzech miesięcy, od kiedy Carla przeniesiono tu z Miami, na słabo oświetlonej arenie kaplicy doszło do przynajmniej pół tuzina krwawych walk. Dwie skończyły się śmiertelnymi obrażeniami.

Carl nie był pewien, czy na jakimś poziomie personel więzienia pozwalał na walki, czy też sprawa pozostawała nietknięta z powodu silnych nacisków z góry. W sumie na jedno wychodziło. Nikt nie chciał zmieniać systemu, nikt nie chciał o niczym słyszeć. Korporacja Sigma, przywdziewając swoje funkcjonowanie w szaty religijne, praktycznie omijała większość słabego administracyjnego nadzoru, który mogła zaoferować Skonfederowana Republika, a entuzjastyczne referencje na poziomie kongresu załatwiały resztę. Ciała wynoszono w czarnych workach.

*Widzisz, czarnuchu, musisz zawierzyć Panu, wyszczerzył się Gwatemalczyk, sprzedając mu kosę. Kiwnął głową w stronę małego ołtarzyka z lampą olejną, który urządził na półce w rogu, choć za migającym płomieniem stała czarnoskóra Dziewica z Guadalupe. Jak gubernator mawia zawsze na sesjach, Pan chroni twe plecy. Ale nigdy nie zaszkodzi ich wzmocnić, nie?*

Sama kosa stanowiła przykład brzmiącego w pragmatyzmie słów Gwatemalczyka czysto praktycznego podejścia do tematu. Ktoś wyciągnął monomolekularne ostrze z warsztatowej wyrzynarki i stopił wokół dolnej połowy plastikowe koraliki, tworząc jaskrawą, nierówną rękojeść. Całość miała niecałe dwadzieścia centymetrów długości, a koraliki starannie dobrano, by uzyskać powierzchnię niepozwalającą na zebranie odcisków palców. Oczywiście zostawiało to jeszcze ślad genetyczny, ale Gwatemalczyk był dokładny i starannie namaścił dłonie klienta płynem z

małej buteleczki trzymanej na półce z Dziewicą. Przez śmierdzące pierdami i przetrawionym jedzeniem ciepło celi na chwilę przedarł się ostry odór zmodyfikowanych cząsteczek atakujących ręce Carla, ulatniając się po chwili i ziębiąc mu dłonie. Od tej chwili przez dobre trzy do czterech godzin wszelkie komórki naskórka, które oderwą się od jego dłoni, będą bezużyteczne dla niuchacza genów. Zaawansowana technologicznie mieszanka wywołała w nim lekki dreszcz wspomnień. Nocny wymarsz z ekwipunkiem wśród slumsów Caracas. W dole rozciąga się centrum miasta niczym misa gwiazd, bliskie ciepło słabo oświetlonych ulic, którymi przemykał. Pewność dobrze dobranego uzbrojenia i tego, co robi.

Oczywiście po jakimś czasie ostrze monomolekularne przetnie plastik dostatecznie głęboko, by poluzować się w rękojeści i w końcu klinga wypadnie, ale do tego czasu cała broń prawdopodobnie zostanie wyrzucona przez kratkę wentylacyjną jakiegoś kanału na dolnym poziomie. Jak większość tego, co trafiało do środka Partnerskiej Placówki Więziennej (Sigma Holdings) Stanu Południowej Florydy, narzędzie nie miało służyć zbyt długo.

Było też kosztowne.

Gwatemalczyk chciał siedemnastu. Lubił Carla dostatecznie, by dodać wyjaśnienie. *Mój Danny podjął bardzo duże ryzyko, składając coś takiego w warsztacie. Potem musiałem to dla ciebie przechować. Wyczyścić ci ręce. Znaleźć czas na transakcję. Taki pełny serwis nie może być tani.* Carl popatrzył na rysy mężczyzny wyszlifowane w węglu, wzruszył ramionami, kiwnął głową. W więzieniu stanowym Południowej Florydy mógł liczyć na pewien stopień solidarności rasowej, ale nie należało za bardzo na niej polegać. Miał te siedemnaście. Prawdę mówiąc, miał prawie dwa tuziny dwudziestomililitrowych kapsulek endorfiny, służących w więzieniu za walutę o wysokim nominale. Nieważne, że będzie ich potrzebował za kilka tygodni, żeby zapłacić za zubożoną formę *griego*, które Chemik Loui sprowadzi dla niego tym razem. Nieważne, że może potrzebować tej endorfiny już za kilka godzin na własne rany. Skupienie na terażniejszości. Teraz potrzebował kosy. O resztę będzie się martwił później, jeśli w ogóle coś takiego będzie.

*Skupienie na terażniejszości.*

Była to w najwyższym stopniu depresyjna cecha życia w więzieniu - coraz częściej łapał się na tym, że myśli jak pozostali więźniowie. Sutherland nazwałby to zachowaniem adaptacyjnym. Jak masturbacja do tanich

pornosów, co też zaczął robić, od kiedy wziął go w swoje objęcia system więzienny Florydy. Przekonał się, że najlepiej było po prostu w ogóle o tym nie myśleć.

Wyszedł więc z celi Gwatemalczyka i poszedł niespiesznie z powrotem korytarzem skrzydła B, trzymając prawą rękę lekko zgiętą. W rękawie chłodne ostrze monomolekulame powoli rozgrzewało się od jego ciała. Po obu stronach wznosiły się szare nanowęglowe rusztowania podtrzymujące trzy poziomy galerii i szyny dużych kamer nadzoru. Skrzydło wyposażono w półokrągły, przejrzysty dach, a ciszę w budynku wypełniało popołudniowe światło słońca. Większość mieszkańców była na zewnątrz i pracowała w ramach projektów partnerskich, spłacając dług wobec społeczeństwa do korporacyjnych kufrów Sigmy. Nieliczni pozostali w skrzydle B wychylali się z galerii pojedynczo lub parami albo zbierali się w małych grupkach w holu. Gdy się zbliżał, rozmowy cichły i śledziły go spojrzenia. Na dolnej galerii po prawej siwowłosy długoterminowiec o nazwisku Andrews popatrzył na niego i kiwnął głową w minimalnym ukłonie. Pomimo słońca Carl poczuł nagle zimno.

Nie chodziło o nadchodzącą walkę. Mając broń, Carl był prawie pewien, że bez wielkich problemów pokona Dudecka. Aryjczycy nie mieli dojść poza więzieniem albo nie zawracali sobie głowy pytaniami - wiedzieli tylko, że Carl Marsalis mówi śmiesznie jak na czarnucha, został tu przysłany z Miami dzięki jakiemś kruczkowi prawnemu dotyczącemu obcokrajowców i miał czterdzieści jeden lat, czyli był stary. Pewnie myśleli, że jest jakimś terrorystą, a to oznaczało obcokrajowca i tchórza, któremu się należało. Niewątpliwie uważali, że umięśniony i wytatuowany dwudziestoparoletni Jack Dudeck rozerwie go na strzępy, niezależnie od tego, kim sukinsyn jest. Czarnuch musi się nauczyć szacunku.

Nie chodziło o walkę. Raczej o ogarniające go z coraz większą siłą poczucie uwięzienia.

Trzy miesiące w tym nowiutkim korporacyjnym szambie, wcześniej pięć tygodni w jednostce o zastrzonym rygorze w Miami. Żadnego procesu, żadnego wyroku. Data zwolnienia co chwila odsuwana w czasie, odmowa kontaktu z prawnikiem. Odwołania i naciski dyplomatyczne ze strony ONZALG natychmiast odrzucane, żadnych perspektyw na koniec. Czuł, jak czas ucieka niczym wypływająca z rany krew. Trwało dochodzenie, o którym nikt nie chciał rozmawiać, ale Carl wiedział, że musiało mieć związek z Caracas i śmiercią Richarda Willbrinka. Musiało. Stosunki między Republiką

a ONZ nigdy nie były najlepsze, ale nie było mowy, by ustawodawstwo lokalne nie ugięło się pod groźbą poważnego incydentu dyplomatycznego z powodu jednego aresztowania za przestępstwo względem moralności, w dodatku na kilometr śmierdzącego wrobiem. Nie, gdzieś po drodze, gdy aresztowała go ekipa od zabójstw nienarodzonych, jego dokumentacja włączyła jakiś alarm. Dokonano powiązań, w Langley, Waszyngtonie czy jakiejś innej bazie tajnych operacji dalej na południu, i obudziła się bestia bezpieczeństwa narodowego. Tajne agencje szukały okazji do rewanżu, zimnej zemsty za jednego ze swoich ludzi. Zamierzały przykładowo ukarać Carla Marsalisa i podczas gdy zbierały konieczne do tego zabawki prawne, Carl będzie siedział zamknięty w republikańskim więzieniu. A jeśli potnie dzisiaj Jacka Dudecka, tak jak zamierzał, to nawet jeśli nie uda im się mu tego udowodnić, i tak wsadzą go pod ścisły nadzór, co dostarczy świetnego pretekstu do kolejnego wydłużenia aresztu, może nawet wyroku uzupełniającego. Nieraz już w ciągu ostatnich paru miesięcy budził się z paniczną dusznością i pozostałym po śnie przekonaniem, że nigdy nie opuści tego miejsca. Zaczynało to wyglądać na prorocstwo.

Stłumił strach, starannie kanalizując go w gniew i podkrecając. Zatrzymał się przy bramie do skrzydła B i uniósł twarz do skanera laserowego. Niebieskie światło omyło jego rysy, maszyna skonsultowała swoje zapisy i brama się otworzyła. Przeszedł przez nią. Kaplica znajdowała się po lewej stronie, w połowie pięćdziesięciometrowego korytarza prowadzącego do magazynu kuchennego. Nadzór będzie go kontrolował przez dwadzieścia pięć metrów wzdłuż korytarza, potem ujrzy, jak skręca do rzeźbionych, podwójnych drzwi z genotekowca, i to wszystko, co zobaczą. Carl poczuł, jak budzi się do życia jego siatka, zgrzytając i trzeszcząc od niskiej klasy chloranów *griego* od Louiego.

*No dobra, Jacky. Zrobmy to, do cholery.*

Drzwi kaplicy gładko ustąpiły pod pchnięciem, rozchylając się do tyłu na hydraulicznych zawiasach, i odsłoniły przed nim dwa rzędy ławek, również z genotekowca. Meble przycupnęły niczym wyspy na lśniącej gładzi podłogi z topionego szkła. Wystrój wnętrza stanowił skromne odbicie nowoczesnego kościoła. Łagodne kąty nadawały blasku ołtarzowi i pulpitowi. W przestrzeni między balaskami i pierwszym rzędem ławek stał Jack Dudeck z kolejnym masywnym arianinem u boku. Obaj mieli na sobie niebieskie korporacyjne kombinezony więzienne zwinięte do pasa i zawiązane rękawami. Torsy osłaniały im szare koszulki bez rękawów. Trzeci, podobnie ubrany mięśniak



z ogoloną głową podniósł się z ławki w połowie rzędu po prawej. Żuł gumę.

- Cześć, czarnuchu - głośno rzucił Dudeck.

Marsalis kiwnął głową.

- Potrzebujesz pomocy, co?

- Nie trzeba mi pieprzonej pomocy, żeby odciąć ci kawał dupy, chłopcze.

Marty i Roy chcieli się po prostu upewnić, że nikt nie będzie nam przeszkadzał.

- Zgadza się, czarnuchu. - Żując gumę przecisnął się między ławkami, oczy mocno akcentowały obelgę, usta wykrzywione w ponurym uśmiechu. Carl stłumił wybuch furii i pomyślał o wydłubaniu tych oczu kciukami.

*Zablokuj to. Wchłaniaj.*

To było dołujące - to samo poczucie bezsensu wszystkich jego działań. Potrafił prześledzić zachodzące w ciągu ostatnich kilku miesięcy zmiany w podejściu do antycznych epitetów rasowych, wciąż powszechnie używanych w Republice. Czarnuch. Przez pierwszych kilka razy było to obojętne i prawie staroświeckie, jak uderzenie w twarz rękawiczką w charakterze wyzwania do pojedynku. Z czasem coraz bardziej stało się słownym splunięciem, jakim miało być. Fakt, że używali go wobec siebie jego czarnoskórzy pobratymcy, w żaden sposób nie tłumił rosnącego gniewu. Był to przejaw lokalnie zrodzonej obrony, a on nie był stąd. Pieprzyć tych republikanów i ich społeczeństwo na poziomie bonobo.

*Zablokuj to.*

Ten z gumą ruszył w jego stronę przejściem między rzędami ławek. Carl przesunął się do rzędu po prawej i czekał, patrząc w oczy zbliżającemu się arianinowi, szukając w nich ostrzeżenia przed atakiem. Zdecydował, że jeśli będzie musiał, kopnie w piszczel i walnie łokciem w szczękę z lewej strony. Nie chciał przed czasem pokazywać Dudeckowi kosy.

Jednak tamten trzymał się słów Dudecka. Przeszedł obok z pogardliwym parsknięciem i ustawił się przy drzwiach. Carl ruszył dalej przejściem, czując siatkę jak pobudzenie, jak trzepanie kiepskich hamulców. Nie była doskonała, ale jej moc musiała wystarczyć. Wyszedł spomiędzy dwóch ostatnich ławek i stanął oddzielony od Dudecka pięcioma metrami stopionego szkła. Uniósł lewą rękę w luźnym geście mającym odwrócić uwagę arianina od prawej i uradował się potajemnie, gdy wzrok przeciwnika podążył za jego gestem.

- To co, ty ptasie gówno? Chcesz mnie teraz przelecieć? - Carl sparodiował komediowy akcent z Jezusowa. - Południe znów powstanie.

- Południe już powstało, czarnuchu - warknął duży arianin obok Dudecka.
- Skonfederowana Republika jest Ameryką białych ludzi.

Carl przeniósł na chwilę spojrzenie na mówiącego.

- Tak, wygląda na to, że nieźle wam to wyszło.

Duży arianin zjeżył się i spiął do skoku. Dudeck uniósł rękę i zatrzymał go, nie spuszczając wzroku z Carla.

- Nie ma powodu się wściekać, Lee - powiedział cicho. - Ten tu...

- Jack! - Napięty więzienny szept od strony drzwi. Czujka, gestykulująca energicznie. - Jack! Strażnicy idą.

Zmiana była odrealniona, prawie komiczna. W ciągu sekundy dwóch arian przed Carlem uklękło w pierwszej ławce, pochylając głowy w udawanej modlitwie. Stojący na warcie przy drzwiach przebiegł dwa rzędy do przodu i zrobił to samo. Carl stłumił prychnięcie i znalazł sobie miejsce po drugiej stronie przejścia względem Dudecka i Roya. Siatka pulsowała, szukając ujścia. Kątem oka spoglądał na białych mężczyzn i czekał z opuszczoną głową, kontrolując oddech. Jeśli personel więzienny przejdzie bez zatrzymywania się, walka zostanie podjęta od miejsca, w którym ją przerwano, tylko że Roy zdąży się uspokoić i przypadnie szansa na doprowadzenie go do stanu, w którym nie będzie nad sobą panował. Carl planował namieszać dużemu arianinowi w głowie na tyle, by wszedł w drogę Dudeckowi, i wykorzystać zamieszanie, by pociąć obu. Teraz...

Kroki z tyłu kaplicy.

- Marsalis.

*Kurwa.*

Obejrzał się. Trzech strażników, dwóch z dziennego personelu skrzydła B, Foltz i Garcia, obaj z karabinami obozwładniającymi w dłoniach, pewni siebie. Trzeci facet był obcy, bez broni, a słuchawka telefoniczna na uchu i przy szczęce wyglądała na nowiusienką i nieużywaną. Biały mężczyzna powyżej czterdziestki. Carl uznał, że to ktoś ze strony zarządu, pewnie wyższego. W jego włosach widać było pasma siwizny, a na twarzy ślady zmęczenia pracą, ale w oczach brakowało lakonicznej czujności ludzi spacerujących galeriami. Fakt, że Carl go nie znał, nie miał wielkiego znaczenia - Południowa Floryda to było duże więzienie - ale próby apelacji i odwołań blisko tuzin razy umożliwiły mu kontakt z administracją, a miał dobrą pamięć do twarzy. Gdziekolwiek ten facet pracował, Carl się tam nie zbliżył.

- Co tu robisz, Marsalis? - Foltz miarowo pracował szczęką, przeżuując

gumę. - Ty nie jesteś wierzący.

To nie wymagało odpowiedzi. Garcia i Foltz pracowali tu nie od dziś i doskonale wiedzieli, co się dzieje w kaplicy. Foltz przeniósł spojrzenie na Dudecka i Lee. Kiwnął głową.

- Szukamy rasowej harmonii w Panu, co, chłopaki?

Żaden z arian w pierwszym rzędzie nie odpowiedział. A trzeci zwolennik wyższości rasowej, przy drzwiach, miał ucho prawie przy kolbie karabinu Garcii.

- Dość tego - warknął nieznajomy. - Marsalis, masz się zgłosić w administracji.

Iskierka nadziei. Spotkania z Andritzky, przedstawicielem ONZALG, odbywały się w co drugi wtorek, późnym rankiem. Skoro ktoś pojawił się tak późno w tygodniu, i to bez ostrzeżenia, musiał nastąpić jakiś postęp. Musiał. Ktoś gdzieś przebił się przez republikańską zasłonę ksenofobii i moralnego zakłamania. Po zastosowaniu odpowiedniego nacisku blokada musiała ustąpić i naprostować ścieżki procesów prawnych i dyplomatycznych. Kluczowa linijka kodu, która wyrwie Carla Marsalisa z tego cholernego więzienia i wyśle go do domu.

*Jasne, kultywuj nadzieję.* Pozwolił kosie wysunąć się z rękawa i wylądować cicho na ławce obok. Przysunął ją do oparcia palcami i wstał, zostawiając ją tam niewidoczną również dla arian, niedostrzegających wyraźnie miejsca, w którym siedział. *Siedemnaście*, przypomniał sobie i poczuł lekki dreszcz. Nie miał dość środków i wpływów, by zapłacić ponownie za coś takiego, jeśli to się nie uda i odeślą go z powrotem do skrzydła B i rasistowskich pretensji Dudecka. Bo niezależnie od siatki, bez jakiejś broni prawdopodobnie oberwie.

Nieoczekiwanie iskra nadziei przeobraziła się w desperację i bezsensowną, wściekłą złość.

*Reggie Barnesie, mam nadzieję, że zgnijesz pod tym respiratorem.*

Ruszył przejściem w stronę strażników. Dudeck obrócił się, śledząc go wzrokiem. Carl zauważył to kątem oka i wykręcił głowę, by spojrzeć mu w oczy. Zobaczył w nich głód, niezaspokojoną żądzę krwi i przywołał na jej spotkanie kamienny chłód. Jednak pod tą maską poczuł się nagle śmiertelnie zmęczony młodością i ogniem tamtego. Nienawiścią, która zdawała się emanować nie tylko z Dudecka i jemu podobnych, ale wprost z otaczających go ścian więzienia, jakby placówki w rodzaju stanowego więzienia Południowej Florydy stanowiły po prostu naturalne gruczoły, gromadząc

nienawiść i pompując ją z powrotem w układ krążenia narodu, trując i szukając czegoś, na czym mogłaby się skupić.

- Patrz przed siebie, Dudeck. - Foltz zauważył spojrzenia. Jego głos był pełen ironii. - Nie tak się modli, synu.

Carl nie obejrzał się, by sprawdzić, czy Dudeck posłuchał. Nie musiał. Nie miało znaczenia, w którą stronę patrzy teraz jego przeciwnik. Carl czuł nienawiść arianina na swoich plecach, pchającą go niczym olbrzymi, miękki balon, nabrzmiewający, by wypełnić całą kaplicę. Statut więzienia w oparciu o wiarę. Każdy człowiek tutaj miał własnego boga, a ten Dudecka był biały jak styropian do pakowania.

Głos Sutherlanda, głęboki i pełen rozbawienia, jak miód lejący się na tył jego głowy.

*W nienawiści nie ma nic nowego. Wchłaniaj ją. Potrzebują jej jak powietrza. Bez niej się rozpadną. Trzynastka to po prostu ostatni hak do jej powieszenia.*

*I mam się od tego czuć lepiej?*

Sutherland wzruszył ramionami.

*Ma cię to po prostu przygotować. Czego jeszcze szukasz?*

\* \* \*

Przez całą drogę ze skrzydła B i podczas przejścia przez spacerniak do budynku administracyjnego wnętrzości wykreślały mu na zmianę rozpacz i nadzieja. Wilgotny upał Florydy oblepiał go niczym ciepły, mokry ręcznik. W oczy raził go blask bijący z pozbawionego chmur nieba. Zmrużył oczy i zaczął szukać znaków. Na dachu budynku nie było helikoptera, co znaczyło, że nie przyleciał żaden wysokiej rangi gość z Tallhassee lub Waszyngtonu. Nie było też nic na niebie, tak samo jak nie dochodził żaden dźwięk ani ślady aktywności z parkingu po drugiej stronie wysokiego, podwójnego płotu. Żadnej gorączkowej aktywności dziennikarzy z wozami transmisyjnymi. Kilka miesięcy temu, niedługo po tym, jak został przeniesiony do więzienia stanowego Florydy, Andritzky puścił do prasy przeciek ze szczegółami próby skompromitowania rządu na tyle, by zmusić ich do zwolnienia go. Próba spaliła na panewce, ponieważ media Republiki skupiły się prawie wyłącznie na jego statusie tajnego agenta ONZALG i śmierci Gabrielli w obozie Garrod Horkan. Powiązania z ONZ, przydatne w każdym innym zakątku Ziemi, tutaj podbijały tylko dawną paranoję, którą Waszyngton kultywował starannie od czasów Secesji albo i dłużej. Nie pomogło też, że Carl miał kolor skóry najgłębszych atawistycznych lęków Republiki. Podawany w telewizyjnym

technikolorze w dzienniku, który robił tu za narodowe wiadomości, stanowią po prostu kolejną dawkę w trwającej od 150 lat kuracji.

Czarny mężczyzna, w więzieniu, niebezpieczny.

Chwilowo to zdecydowanie wystarczało republikanom. Ani Sigma, ani legislatura stanu Floryda jak dotąd nie uznały za stosowne ujawnić jego statusu genetycznego - za co był im szczerze wdzięczny: w więzieniu, w którym przebywał, byłoby to równoznaczne z wyrokiem śmierci. Przed drzwiami jego celi ustawiałaby się cała kolejka młodych ludzi w rodzaju Dudecka, wszystkich ras i wyznań, przepelnionych ogólną nienawiścią i pragnących sprawdzić się w starciu z potworem. Nie był pewien, czemu to zatajali - do tej pory musieli mieć dane. Jego tożsamość nie była tajemnicą, powinna wypłynąć po sprawdzeniu w obozie Garrod Horkan, ogólnych bazach ONZALG czy nawet po sięgnięciu parę lat wstecz do wiadomości o „Felipe Souzie”. Zakładał, że jezusowskie media odstąpiły i dały spokój, posłuszne autorytetowi władzy, ale wciąż nie rozumiał powodów. Możliwe, że trzymali to jako broń ostatniej szansy przeciwko ONZ lub bali się paniki, która mogłaby wybuchnąć, gdyby wiadomość się rozniosła. A może po prostu wciąż trwało jakieś powolne postępowanie międzyagencyjne i jak tylko się rozwiąże, dostaną swoją zemstę za Willbrinka za pośrednictwem tej długiej kolejki gniewnych młodzieńców z kosami.

Jeśli wciąż tu wtedy jeszcze będzie.

Nadzieja. Rozpacz. Wahadło w jego wnętrzościach nie chciało dać spokoju. Przeszli przez stalowe, utrudniające zabezpieczenia budynku administracyjnego, gdzie Carla obmacano, przeskanowano i uważnie obejrzano. Ostre, rozkazujące głosy, szorstkie, sprawne dłonie. Foltz zmył się, zostawiając Garcie i obcego, by poprowadzili go dwoma seriami brzęczących, metalowych schodów, przez ciężkie drzwi i do nagłej ciszy grubych dywanów więziennych biur. Nagły chłód suszący pot na jego skórze. Wytapetowane ściany, dyskretne logo korporacji SIGMA i SFSP w stonowanych kolorach, głęboki błękit i jaskrawy pomarańcz więziennych uniformów ułagodzone do pastelowych odcieni. Ciche, okazjonalne brzęki dobiegające od strony biurek, sygnalizujące wykonanie zadań przez komputery. Carl poczuł, jak jego zmysły jeżą się od zmian. Koło niego przeszła kobieta w sukience, prawdziwa kobieta, nie obraz z holoporno, miała może koło pięćdziesiątki, ale ładna i naprawdę poruszająca się pod ubraniem. Poczuł jej zapach, woń ciała i jakieś ciężkie perfumy, które luźno skądś kojarzył. Nieoczekiwanie dotarło do niego życie zza więziennych

murów, dźgając go w kręgosłup.

- Tędy - wskazał nieznany mu strażnik. - Pokój spotkań numer cztery.

Serce mu zamarło. To Andritzky. Pokój numer cztery był maleńkim pomieszczeniem z jednym oknem mieszczącym nie więcej niż trzy osoby siedzące przy podłużnym stole, zdecydowanie niepasującym do delegacji zgromadzenia ustawodawczego albo ONZ. W pokoju spotkań numer cztery nie mogło się wydarzyć nic ważnego. Spędzi godzinę z Andritzky, może dowie się czegoś nowego o swojej apelacji, a potem wróci z powrotem do bloku i będzie musiał uważać na Dudecka. Miał przesrane.

*Zablokuj. To w sobie.*

Odetchnął głęboko, wciągnął nową wiedzę i zaczął ją mapować. Sytuacyjne zen Sutherlanda. Nie narzekaj, nie jęcz, patrz tylko na to, co jest, i się przygotuj. Oto zbliżają się drzwi, zbliża się Andritzky i jego próby zapewnienia wsparcia, z których żadna nawet w części nie maskowała jego oczywistej ulgi, że nie znajduje się na miejscu Carla. Oto kolejna godzina bezużytecznej biurokratycznej gadaniny, przerywanej niezgrabną ciszą i tłumioną furią na pieprzoną całkowitą nieporadność ONZALG w tej jezusowskiej kloace. Oto...

To nie był Andritzky.

Carl zatrzymał się w otwartych drzwiach. Opuściło go sytuacyjne zen Sutherlanda, odlatując niczym plik kartek spuszczonej z okna, jak mewy lecące na wietrze. Wraz z nim zniknął gniew.

- Dzień dobry, panie Marsalis - odezwał się do niego biały mężczyzna, wysoki, gładko zaczesany i elegancki w szaroniebieskim mikroporowym garniturze leżącym idealnie na jego sylwetce, gdy obchodził stół z wyciągniętą ręką. - Jestem Tom Norton. Dziękuję, panowie, to na razie wszystko. Zadzwoń, gdy będziemy gotowi do wyjścia.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Carl poczuł wymianę spojrzeń za swoimi plecami. Garcia odchrząknął.

- Sir, to więzień z bloku pod zwiększonym nadzorem. Procedura nie dopuszcza pozostawienia pana z nim sam na sam.

- Cóż, to ciekawe. - Norton mówił uprzejmym głosem, ale nagle zabrzmiały w nim ostre tony. - Z moich akt wynika, że pan Marsalis jest przetrzymywany z oskarżenia obyczajówki hrabstwa Datę. I nie został jeszcze formalnie oskarżony.

- To wbrew procedurze - upierał się Garcia.

- Niech pan usiądzie, panie Marsalis. - Norton patrzył za niego, na Garcia

i drugiego strażnika. Przybrał lodowaty wyraz twarzy. Po chwili wyciągnął z kieszeni telefon, wybrał jakiś numer i przystawił go do ucha. - Halo. Tak, mówi Tom Norton, czy może mnie pani połączyć z naczelnikiem? Dziękuję.

Krótką przerwę. Carl usiadł. Na stole leżał elegancki czytnik danych, otwarty tak, że nic nie widział. Brak logo, co stanowiło najwyższy stopień oznaczeń marek. Marstech. Obok leżały wydruki z nieznanymi mu formularzami. Carl przeskanował tekst do góry nogami - wyskoczyło na niego słowo „zwolnienie”, kopiąc prosto w serce. Norton posłał mu lekki uśmiech.

- Dzień dobry, naczelniku Parris. Tak, potrzebuję pańskiej pomocy. Nie, nic poważnego. Po prostu mam drobny problem z jednym z pańskich ludzi w kwestii procedury. Czy mógłby pan... ach, dziękuję, tak będzie najlepiej. - Wyciągnął telefon do Garcii. - Naczelnik chciałby z panem porozmawiać.

Garcia wziął telefon, jakby ten miał go ugryźć, i przystawił do ucha. Nie było słychać, co Parris mu powiedział - to był dobry telefon, z wąskim stożkiem emisji - ale jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona. Spoglądał to na Carla, to na Nortona, jakby stanowili dwa niepasujące do siebie elementy układanki. Kilka razy próbował powiedzieć: „Tak, ale... „, za każdym razem się blokując. Było jasne, że Parris nie ma nastroju na rozmowę. Gdy Garcia w końcu się odezwał, było to wymuszone „Tak jest”, po którym natychmiast opuścił telefon. Norton wyciągnął po niego rękę, a Garcia, wciąż zaczerwieniony, rzucił go ku niemu na stół. Urządzenie wylądowało bezgłośnie i przesunęło się ledwie pięć centymetrów od miejsca upadku. Czyli naprawdę bardzo dobry telefon. Garcia spiorunował go wzrokiem, być może oburzony, że nie udało mu się zrzucić przedmiotu na podłogę. Norton podniósł niewielkie urządzenie i schował je do kieszeni.

- Dziękuję.

Garcia stał jeszcze przez chwilę bez słów, wpatrując się w Nortona. Drugi strażnik wyszeptał mu coś do ucha, położył rękę na ramieniu i zaczął ciągnąć go do wyjścia, gdy Garcia strząsnął jego dłoń i wycelował palcem w Carla.

- Ten człowiek jest niebezpieczny - powiedział z przejęciem. - Jeśli pan tego nie widzi, zasługuje pan na to, co pana spotka.

Drugi strażnik zgarnął go i zamknął drzwi.

Norton odczekał chwilę, po czym usiadł obok Carla. Spojrzał na niego bladobłękitnymi oczami. Uśmiech zniknął.

- No dobrze - odezwał się. - Jest pan niebezpieczny, panie Marsalis?

- Kto pyta?

Wzruszenie ramion.

- Prawdę mówiąc, nikt. To było pytanie retoryczne. Czytaliśmy pańskie akta. Jest pan, można by rzec, stosownie niebezpieczny do naszych potrzeb. Chciałbym jednak wiedzieć, jakie jest pańskie zdanie na ten temat.

Carl popatrzył na niego.

- Siedział pan kiedyś?

- Na szczęście nie. Ale nawet gdybym siedział, wątpię, bym doświadczył tego, co pan tutaj. Nie jestem obywatelem Skonfederowanej Republiki.

Lekki ślad pogardy w ostatnich słowach. Carl zaryzykował domysł.

- Kanadyjczyk?

Lekkie drgnięcie kącika ust.

- Unia Północnoatlantycka. Panie Marsalis, jestem tu w imieniu Inicjatywy Kolonizacyjnej Krajów Zachodu. Chcielibyśmy zaproponować panu pracę.



## ROZDZIAŁ 12

Gdy tylko przeszedł przez drzwi, Sevgi zrozumiała, że ma problem.

To siedziało w swobodzie jego ruchów, w zrównoważonej postawie, gdy zatrzymał się za krzesłem, w sposobie, w jaki je pociągnął i usiadł. Emanowało z ciała ukrytego w bezkształtnym niebieskim więziennym kombinezonie, jak muzyka przebijająca się przez interferencje. Patrzyło na nią z jego oczu, gdy usiadł na krześle, i sączyło się w potężną ciszę, którą przyniósł ze sobą do pokoju. To nie był Ethan - Marsalis miał od niego znacznie ciemniejszą skórę i bardzo odmienne rysy. Ethan był też masywniejszy, bardziej umięśniony.

Ethan zginął w młodszy wieku.

To nie miało znaczenia. I tak to było w nim.

*Trzynastka.*

- Pan Marsalis?

Kiwnął głową. Czekał.

- Jestem Sevgi Ertekin, ochrona INKOL. Poznał pan już mojego partnera, Toma Nortona. Jest kilka rzeczy, które musimy wyjaśnić, zanim...

- Zrobię to. - Głos miał głęboki i modulowany. Poruszył ją brytyjski akcent.

- Przepraszam?

- Cokolwiek ode mnie chcecie. Zrobię to. Nie za darmo. Powiedziałem to już pani partnerowi. Przyjmę pracę w zamian za bezwarunkowe oczyszczenie z wszelkich złożonych przeciwko mnie zarzutów, natychmiastowe zwolnienie z republikańskiego więzienia i pokrycie wszelkich wydatków w trakcie wykonywania dla was brudnej roboty.

Zmrużyła oczy.

- Robi pan bardzo duże założenia, panie Marsalis.

- Doprawdy? - Uniósł brew. - Nie jestem znany z układania kwiatów. Ale zobaczymy, czy moje założenia są błędne, dobrze? Przypuszczam, że chcecie kogoś wysledzić. Kogoś takiego jak ja. W porządku, tym właśnie się zajmuję. Jedyne, co nie jest dla mnie jasne, to czy mam go dostarczyć żywego, czy martwego.

- Nie jesteśmy zabójcami, panie Marsalis.

- Niech pani mówi za siebie.

Poczuła wybuch starego gniewu.

- Jest pan z tego dumny, co?

- Denerwuje to panią?

Spuściła wzrok na rozwinięty czytnik i zamieszczony na nim tekst.

- W Peru zabił pan strzałem w tył głowy ranną i nieuzbrojoną kobietę.

Dokonał pan egzekucji. Z tego też jest pan dumny?

Długa chwila ciszy. Spojrzała mu w oczy i wytrzymała spojrzenie. Przez chwilę sądziła, że wstanie i wyjdzie. Zdała sobie sprawę, że prawie miała na to nadzieję.

Zamiast tego nagle przeniósł spojrzenie na jedno z umieszczonych wysoko okien. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Zniknął. Carl odchrząknął.

- Pani Ertekin, czy wie pani, czym jest pistolet Haag?

- Czytałam o nich. - W komunikatach nowojorskiej policji z żądaniem wydania bardziej restrykcyjnych przepisów kontroli broni, zanim nowe zagrożenie trafi na ulice. Dostatecznie groźne, by przepisy przeszły prawie bez dyskusji. - To broń z pociskami biologicznymi.

- Prawdę mówiąc, to coś więcej. - Otworzył prawą dłoń i przechylił głowę, jakby patrzył na trzymaną w niej broń. - To system transportu dla sztucznie stworzonego zespołu niedoboru odporności nazywanego Falwell Siedem. Są też inne pociski, ale nie mają wielkiego zastosowania. Falwell jest zjadliwy i bardzo nieprzyjemny. Nie ma na niego lekarstwa. Przyglądała się pani kiedyś, jak ktoś umiera z powodu niedziałającego układu odpornościowego, pani Ertekin?

Prawdę mówiąc, owszem. Nalan, kuzynka z Hakkari, dziewczyna na imprezy w nadgranicznych bazach, w których Turcja odpracowywała swój chlubny europejski obowiązek buforowania tego, co działo się dalej na wschodzie. Złapała coś od żołnierza ONZ. Rodzina Nalan, dumna ze swojej prawowiernej praworządności, wyrzuciła ją. Ojciec Sevgi znalazł sposób, żeby sprowadzić ją do Nowego Jorku, gdzie miał przebicie w jednej z nowych klinik badawczych Midtown. Spowodowało to całkowite zerwanie i tak napiętych stosunków z resztą rodziny w Turcji. Nigdy więcej nie odezwał się do swojego brata. Sevgi, która miała wtedy tylko czternaście lat, wyszła z nim na lotnisko na spotkanie bladej, wielkookiej dziewczyny, starszej od niej o całe wieki, a przy tym kompletnie nieznającej miejskich manier. Wciąż pamiętała wyraz twarzy Nalan, gdy wszyscy weszli do meczetu na Skillman Avenue przez jedne drzwi.

Murat Ertekin zrobił wszystko, co mógł. Zapisał Nalan w szpitalu na listy eksperymentalnych terapii, karmił ją witaminami i środkami antywirusowymi. Pomalował dla niej wolny pokój w kolory słońca i zieleni, jak park. Modlił się pięć razy dziennie, po raz pierwszy od lat. W końcu płakał.

Nalan i tak umarła.

Sevgi zamrugła na jej wspomnienie. Twarz wyniszczona gorączką i proszące, puste oczy.

- Twierdzi pan, że zrobił tej kobiecie przysługę?

- Twierdę, że szybko i bezboleśnie zabrałem tę kobietę tam, gdzie i tak się wybierała.

- Nie sądzi pan, że powinien był jej zostawić wybór?

Wzruszył ramionami.

- Dokonała wyboru, gdy próbowała mnie zaatakować.

Jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości, czym był, teraz je straciła. To był ten sam niewzruszony spokój, który widziała u Ethana, ta sama odporność psychiczna. Siedział na krześle jak coś wyrzeźbionego z czarnej skały i przyglądał się jej. Poczwała, jak coś porusza się w jej piersi.

Stuknęła klawisz w czytniku. Na wyświetlaczu pojawiła się nowa strona.

- Ostatnio był pan zamieszany w przemoc więzienną. Bijatyka pod prysznicami w bloku F. Czterech ludzi trafiło do szpitala. Trzech wysłanych tam przez pana.

Cisza.

- Zechce mi pan przedstawić swoją wersję?

Poruszył się.

- Wydaje mi się, że szczegóły mówią same za siebie. Trzech białych, jeden czarny. To było bicie komanda Aryjczyków, za karę.

- Któremu nie zapobiegł w żaden sposób personel więzienia?

- Nadzór pod prysznicami może zostać zakłócony przez dużą ilość pary. Cytat, koniec cytatu. - Wykrzywił wargi. - Albo mydło wciśnięte w soczewki. Reakcja może zostać opóźniona. Przez czynniki zewnętrzne. Cytat, koniec cytatu.

- Czyli uznał pan, że musi interweniować. - Usiłowała doszukać się motywów, które pasowałyby do Ethana. - Ten Reginald Barends to jakiś pański przyjaciel?

- Nie. To świrnięty skurwiol, należało mu się. Ale wtedy tego nie wiedziałem.

- Był modyfikowany genetycznie?

Marsalis prychnął.

- Nie, chyba że gdzieś prowadzą jakiś tajny projekt polegający na tworzeniu uzależnionych szmat.

- To znaczy, że poczuł pan solidarność rasową?

Na jego twarzy pojawiły się zmarszczki.

- Poczuję, że nie chcę widzieć, jak walą go w zadek młotem udarowym. Nie sądzi pani, że to nie ma nic wspólnego z kolorem skóry?

Sevgi opanowała wybuch gniewu. Nie szło jej za dobrze. Była drażliwa z powodu odstawienia syndu - w Jezusowie nie zezwalano na modyfikatory synaptyczne, zabrali je im na lotnisku - i wciąż poirytowana z powodu kłótni, którą przegrała z Nortonem w Nowym Jorku.

*Mówię poważnie, Sev. Zajmuje się tym teraz cała rada polityczna. Mamy Ortiza i Roth dwa-trzy razy na tydzień przychodzących do sekcji drugiej...*

*Osobiście? Co za zaszczyt.*

*Pytają o raporty z postępów, Sev. Co oznacza raporty o postępach, a w tej chwili niczego takiego nie mamy. Jeśli nie zrobimy czegoś, co będzie wyglądało na nowe podejście, Nicholson naskoczy na nas obiema nogami. Ja to przeżyję, a ty?*

Wiedziała, że nie.

Październik. W Nowym Jorku drzewa w Central Parku zaczynały rdzewieć i pokrywać się żółtymi plamami. Gdy rano szykowała się do pracy, handlarze pod jej oknem owijali się ciepło dla ochrony przed porannym chłodem. Lato odchodziło, wykręciło niczym odrzutowy liniowiec na czystym niebie nad miastem, świecąc w okna coraz zimniejszymi promieniami słońca. Ciepło jeszcze nie odeszło, ale było na dobrej drodze. Południowa Floryda przypominała łaźnię.

- Ile powiedział panu Norton?

- Niewiele. Że macie problem, przy którym nie pomoże wam ONZALG. Nie powiedział czemu, ale przypuszczam, że to ma związek z Monachium. - Nagły, nieoczekiwany uśmiech, który odjął mu dziesięć lat. - Naprawdę powinniście podpisać Porozumienie jak wszyscy inni.

- INKOL w zasadzie zatwierdził wstępną wersję - rzuciła Sevgi, nie wiedząc czemu przechodząc do obrony.

- Jasne. Wszystko sprowadza się do jednej zasady, prawda? Zasada brzmi: nie będziecie nam mówić, co mamy robić, wy globalistyczne, biurokratyczne świnię.

Ponieważ nie pomylił się zbyt, nie zamierzała protestować.

- Czy to będzie problemem?

- Nie. Jestem niezależny. Moja wierność jest na sprzedaż. Jak już mówiłem, powiedzcie mi po prostu, czego ode mnie chcecie.

Zawahała się. Czytnik danych miał wbudowane urządzenie do zagłuszania zgodne z parametrami INKOL, czyli znacznie lepsze niż cokolwiek, co mógł do tego więzienia wnieść jakiś prawnik. A Marsalis ewidentnie chciał się desperacko stąd wydostać. Mimo wszystko głęboko zakorzeniły się w niej przyzwyczajenia ostatnich czterech miesięcy.

- Mamy do czynienia - wyznała w końcu - z renegatem trzynastką. Jest na wolności od czerwca. I zabija.

Prychnął. Nie wyglądał na zaskoczonego.

- Skąd się urwał? Cimarron? Tanana?

- Nie. Wydostał się z Marsa.

Tym razem go miała. Wyprostował się.

- Panie Marsalis, to ściśle tajne, musi pan to zrozumieć, zanim zaczniemy. Morderstw dokonano na bardzo dużym obszarze i w różny sposób. Jak dotąd oficjalnie nie są w żaden sposób powiązane i chcemy, żeby tak zostało.

- Jasne, założę się, że tak. Jak udało mu się pokonać ochronę nanokratownicy?

- Nie próbował. Spiał obwody dokowania i rozbił statek na Pacyfiku. Zanim tam dotarliśmy, już go nie było.

Marsalis wyduł wargi w bezdźwięcznym gwizdzie.

- No proszę, niezły pomysł.

Pozwoliła sobie na sprzedanie reszty. Zrobiłaby wszystko, żeby zedrzeć z jego twarzy ten wyraz kompetentnego samozadowolenia.

- Wcześniej systematycznie okaleczał pozostałych jedenastu zamrożonych członków załogi, żeby się nimi żywić. Amputował im kończyny i utrzymywał ich przy życiu w zamrożeniu, a potem w końcu zaczął ich zabijać i odzierać ciała z mięsa.

Kiwnięcie głową.

- Ile trwał przelot?

- Trzydzieści trzy tygodnie. Nie wygląda pan na zaskoczonego przez te informacje.

- Ponieważ nie jestem. Jeśli się tam utknęło, trzeba coś jeść.

- Myślał pan o tym?

Przez jego oczy przemknęło coś w rodzaju cienia. Głos nie zabrzmiał idealnie spokojnie.

- W ten sposób mnie znaleźliście? Przez wyszukiwanie odnośników?

- Coś w tym stylu. - Wolała nie wspominać o nagłym entuzjazmie Nortona do nowej taktyki. - Nasz n-dżin profilujący podał pana jako jedyny inny numer trzynasty, o którym wiadomo, że doświadczył podobnych warunków.

Marsalis posłał jej wąski uśmiezek.

- Nigdy nikogo nie zjadłem.

- Nie. Ale myślał pan o tym?

Przez chwilę milczał. Była już gotowa ponownie zadać pytanie, gdy wstał z miejsca i podszedł do umieszczonego wysoko na ścianie okna. Popatrzył na niebo.

- Parę razy o tym pomyślałem - przyznał cicho. - Wiedziałem, że leci statek ratunkowy, ale miałem prawie dwa miesiące na martwienie się tym. Nie da się nie wyobrazić sobie możliwych scenariuszy. A co, jeśli nie dolecą, co będzie, jeśli stanie się coś szalonego? Co, jeśli...

Urwał. Przestał patrzeć na niebo i wrócił spojrzeniem do pokoju, do jej twarzy.

- Czy on tam siedział przez całe trzydzieści trzy tygodnie?

- Większość. Na ile udało nam się to odtworzyć, kriokapsuła wypuła go po jakichś dwóch tygodniach od startu.

- I kontrola lotów z Marsa nie ściągnęła go z powrotem?

- Kontrola lotów o niczym nie wiedziała. - Sevgi machnęła ręką. - N-dżinn się wyłączył, prawdopodobnie został oszukany. Statek przełączył się na automatyczne systemy. Cichy lot. Obudził się zaraz po tym.

- Całkiem niezły zbieg okoliczności.

- Nieprawdaż?

- Ale niezbyt wygodny od strony kulinarnej.

- Owszem. Zakładamy, że dobór czasu kriokapsuły był wynikiem błędu. Ktokolwiek spał n-dżina, prawdopodobnie planował, że system obudzi go kilka tygodni przed Ziemią. Coś w programie penetracyjnym zadziało nie tak, jak powinno, i zamiast tego obudził się dwa tygodnie od Marsa. Nasz przyjaciel przyleciał wygłodzony, wkurzony i pewnie niezbyt zdrowy psychicznie.

- Wiecie, kto to?

Sevgi kiwnęła głową. Ponownie dotknęła klawiatury i obróciła

wyświetlacz tak, by oboje widzieli ekran i zamieszczoną na nim twarz. Marsalis zostawił okno i oparł się niedbale o brzeg stołu. Światło załśniło na boku jego czaszki.

- Allen Merrin. Zebraliśmy śladowy materiał genetyczny z „Horkan’s Pride”, statku, który rozbił, i sprawdziliśmy w bazie trzynastek INKOL. To właśnie znaleźliśmy.

Sposób w jaki się skupiał, był niemal niezauważalny, swobodna poza napinająca się w coś innego. Przyglądała się, jak jego oczy przemykają przez tekst obok fotografii bladej głowy i ramion. Mogła mu go wyrecytować z pamięci.

\* \* \*

Merrin, Allen (sin 48523dx3814)

Urodzony (c/s) 26 kwietnia 2064, Taos, Nowy Meksyk (projekt Stróż Prawa). Nosicielka Bilikisu Sankare, źródło materiału genetycznego: Isaac Hubscher, Isabela Gayoso (dane w załączeniu). Wszystkie warianty kodu genetycznego stanowią własność Elleniss Hall Inc. gwarantowaną patentami (we współpracy Elleniss Hall z armią Stanów Zjednoczonych, 2029).

Początkowe warunkowanie i szkolenie Taos, Nowy Meksyk, rozwój specjalistycznych umiejętności Fort Benning, Georgia (tajne operacje, działania antypartyzanckie). Akcje bojowe: Indonezja 2083, Półwysep Arabski 2084-5, Tadżykistan 2085-7 i 2089, Argentyna, Boliwia 2088, Władze Wybrzeża (program kontroli miejskiej) 2090-1.

Wycofany 2092 (w ramach Drugiego Porozumienia ONZALG, protokół Jacobsena). Przyjęty do przesiedlenia na Marsa w 2094 (załączony zapis obywatelstwa INKOL).

\* \* \*

- Bardzo Chrystusowa.

Zamrugła.

- Przepraszam?

- Twarz. - Stuknął paznokciem w ekran. Blask panelu zafalował w miejscu dotknięcia, zniekształcając podobiznę Merrina. - Wprost z satelitarnego kanału Kościoła. Wygląda jak z tej kreskówki „Człowiek z Imionami”, którą zrobili dla upamiętnienia Cash.

Zanim się opanowała, na jej usta wymknął się uśmiech. Usta Carla drgnęły w odpowiedzi. Przesunął krzesło i usiadł.

- Widziała to pani, prawda? Tutaj puszczają nam to na okrągło. Wie pani, resocjalizacja na bazie wiary.

*Przestań się do niego szczerzyć jak gęba z wiadomości, Sev. Opanuj się.*

- Czyli go pan nie rozpoznaje?

Zdziwione spojrzenie.

- Czemu miałbym?

- Był pan w Iranie.

- Jak wszyscy. - Gdy czekała dalej, westchnął. - Tak, słyszeliśmy o Stróżach Prawa. Kilka razy widziałem ich z daleka w Iranie, w okolicach Ahvaz. Ale z tego, co pani tu ma, nie wygląda, żeby ten Merrin kiedyś trafił dalej na północ.

- Mógł. - Sevgi kiwnęła głową w stronę ekranu. - Będę z panem szczerą, to dość luźne podsumowanie. Gdy zacznie się grzebać w raportach, robi się cholernie mało konkretnie. Tajne misje, tak zwana utrata dokumentacji, plotki i domysły, „obiekt prawdopodobnie przebywał”, tego rodzaju bzdury. Praktycznie same zaprzeczenia i wyparcia. Dodatkowo facet otoczony jest mitem cholernego bohatera. Widziałam dane, według których ten Merrin walczył tego samego dnia w miejscach odległych o setki kilometrów, zeznania naocznych świadków o ranach, których nie widać w żadnych rejestrach medycznych, na dodatek części z nich nie miał prawa przeżyć. Nawet ta misja w Ameryce Południowej za bardzo nakłada się z innymi, żeby być w pełni prawdziwa. Był w Tadżykistanie, nie, nie było go tam, wciąż był w Boliwii. Walczył solo, nie, dowodził plutonem Stróżów Prawa w Kuwejcie. - Zdegustowane prychnięcie. - Mówię panu, ten facet to cholerny duch.

Uśmiechnął się, trochę smutno.

- Cóż, wtedy wszyscy nimi byliśmy. To znaczy duchami. Mieliśmy własną, brytyjską wersję projektu Stróż Prawa, oczywiście nie nazywała się tak ładnie. Nazwaliśmy go Osprey, Francuzi woleli Departament Ósmy. Ale żaden z nas oficjalnie nigdy nie istniał. Musi pani pamiętać, pani Ertekin, że w latach osiemdziesiątych trzynastki były kompletną nowością. Wszyscy wiedzieli, że istnieje taka technologia, i wszyscy pracownicy zaprzeczali, że mieli z nią cokolwiek wspólnego. ONZALG jeszcze wtedy nie istniała, przynajmniej nie jako niezależna agencja. Wciąż stanowiła element Komisji Praw Człowieka. I nikt nie był zbyt chętny, by pozwolić komuś przyjrzeć się swoim genetycznym wojownikom. Cały Bliski Wschód stanowił poligon doświadczalny dla wszelkiego rodzaju najnowocześniejszych paskudztw i wszystko to działo się przy pełnym zaprzeczeniu. Wie pani, jak działa to łajno, prawda?



Zamrugła.

- Jakie łajno?

- Zaprzeczanie. Pracuje pani dla INKOL, prawda?

- Pracuję w INKOL od dwóch i pół roku - odpowiedziała sztywno. -  
Wcześniej byłam detektywem w nowojorskiej policji.

Znów się uśmiechnął, tym razem naprawdę z humorem.

- Ale zaczyna się pani orientować, prawda? „To ściśle tajne i  
chcielibyśmy, żeby tak zostało”. Bardzo w stylu INKOL.

- Nie o to chodzi. - Bez szczególnego powodzenia próbowała  
wylimitować z głosu sztywność. - Nie chcemy, żeby doszło do wybuchu  
paniki.

- Ile osób zabił? To znaczy tu, po lądowaniu.

- Sądzymy, że około dwudziestu. Część z nich jest niepotwierdzona, ale  
poszlaki wskazują na powiązania. W siedemnastu przypadkach zebraliśmy  
śladowy materiał genetyczny, który tego dowodzi.

Marsalis się skrzywił.

- Pracowity gnojek. Wszystko w Stanach Wybrzeża?

- Nie. Początkowe zabójstwa miały miejsce w rejonie zatoki San  
Francisco, ale późniejszych dokonano na terenie całego kontynentu Ameryki  
Północnej.

- Czyli się przemieszcza.

- Tak. Przemieszczają się i najwyraźniej jest bardzo kompetentnym  
specjalistą od penetracji systemów. Zamordował dwóch ludzi w jednym  
miejscu w okolicach San Francisco w nocy trzynastego czerwca i mężczyznę  
w południowowschodnim Teksasie niecały tydzień później. W żadnych  
rejestrach nie ma śladów lotów z tego okresu i nic z kontroli granicznej  
Wybrzeża. Nasz n-dżin puścił rozpoznawanie twarzy na każdym locie i  
przejściu granicznym do Republiki z tego tygodnia i nic nie znaleźliśmy.

- Mógł zmienić sobie twarz.

- W niecały tydzień? Wraz ze stosowną dokumentacją? Płot Stanów  
Wybrzeża to najsztynniejsza granica na świecie. W każdym razie ten sam n-  
dżin co przy rozpoznawaniu twarzy miał też wyłowić wszystkich z  
bandażami lub innymi śladami niedawnych procedur chirurgicznych na  
twarzy. Wszystko, co znalazł, to stadko bogatych gówniarzy wracających do  
domu z terapii kosmetycznych na zachodnim wybrzeżu i parę  
przetęniętych gwiazdek erotycznych.

Zauważyła, że stłumił wszystko oprócz uśmiechu kątem ust. Był

irracjonalnie zaraźliwy. Skupiła się na czytniku.

- Jedyna opcja, którą poważnie bierzemy pod uwagę, to fakt, że albo był w stanie w ciągu kilku dni po dotarciu na brzeg skontaktować się z profesjonalnymi przemytnikami, albo opuścił Wybrzeże, udając się w innym kierunku i dopiero stamtąd poleciał do Republiki. W ten sposób miałby mało czasu, ale to jest do zrobienia. Oczywiście gdy weźmie się pod uwagę taką możliwość, nie ma mowy o puszczeniu poważnego programu rozpoznawania twarzy. Zbyt wiele jest miejsc, które nie wpuszczają do swoich baz naszych n-dżinnów.

- Zakładam, że oba te zabójstwa są potwierdzone?

- Tak. W obu miejscach znaleźliśmy śladowy materiał genetyczny.

Jego wzrok wrócił do wyświetlacza czytnika.

- Co ma w tej sprawie do powiedzenia Fort Benning?

- Że Merrin nigdy nie przeszedł poważniejszego szkolenia w zakresie penetracji systemów bazodanowych. Mógł obsługiwać panel bojowy - to potrafi każdy w tajnych operacjach. Ale to by było na tyle. Zakładamy, że przeszkolił się na Marsie.

- Jasne. Albo ktoś to robi za niego.

- Jest taka możliwość.

Popatrzył na nią.

- Jeśli otrzymał pomoc w systemach przy dostaniu się na pokład „Horkan’s Pride” i dostaje ją nadal tutaj, to sprawa jest poważniejsza niż ucieczka jakiejś trzynastki z Marsa, bo nie podobają mu się te wszystkie czerwone skały.

- Owszem.

- A wam skończyły się pomysły.

To nie było pytanie.

Wyprostowała się na krześle i rozłożyła ręce.

- Bez dostępu do baz danych ONZALG siedzimy w dołku. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, ale to za mało. Wciąż zabija kolejne osoby, równomiernie, choć w nieprzewidywalny sposób. Nie ma efektu narastania...

- Nie, nie powinno być.

- ... ale nie ustaje. Nie popełnia żadnych błędów dostatecznie poważnych, żeby go namierzyć lub zostawić jakiś ślad. Nasze zapytania na Marsie trafiają w ścianę - wyraźnie ukrył tam swoje ślady lub, jak pan zauważył, zrobił to za niego ktoś inny.

- A tutaj?

Kiwnęła głową.

- Tutaj również, jak pan to elegancko ujął, nie jesteśmy w najlepszych stosunkach z ONZALG, albo ogólnie z ONZ.

- Cóż, chyba trudno ich za to winić. - Szerzej otworzył oczy, uśmiechnął się. - Od dekady nie bardzo macie ochotę z nimi współpracować.

- Niech pan słucha, Monachium nie było...

Uśmiech przekształcił się w grymas.

- Wcale nie mówiłem o Porozumieniach. Myślałem raczej o tym, jak jesteśmy witani w obozach za każdym razem, gdy musimy w nich działać. Wie pani, że jesteśmy tam widziani równie chętnie jak ewolucjonizm w Teksasie.

Poczuła, że się lekko czerwieni.

- Poszczególni partnerzy korporacyjni w Wysiłku Kolonizacyjnym niekoniecznie...

- Jasne, proszę sobie odpuścić. - Zmarszczone czoło. - Mimo wszystko ONZALG ma w takich sytuacjach uprawnienia do działania. Jeśli zgłaszacie zgubioną trzynastkę, to praktycznie rzecz biorąc muszą się pojawić.

- Tak naprawdę nie chcemy, żeby się tu pojawili, panie Marsalis.

- Ach.

- Potrzeba nam dostępu do ich baz danych, albo przynajmniej by ktoś taki jak pan porozmawiał z naszymi n-dżinnami profilującymi. Ale to wszystko. W sumie to sprawa INKOL, a my sami sprzątamy nasze śmieci.

*Posłuchaj swoich słów, Sevgi. Przejście od gliniarzy do korporacyjnej szczekaczki w jednym gładkim ruchu.*

Marsalis przyglądał się jej przez kilka chwil. Zmienił nieznacznie pozycję na krześle i zdawał się nad czymś zastanawiać.

- Kierujecie tym śledztwem z Nowego Jorku?

- Tak. Mamy wynajętą przestrzeń w kompleksie Alcatraz policji Wybrzeża, współpracujemy z ich detektywami. Ale od kiedy sprawa rozniosła się na cały kontynent, wróciliśmy do biur w Nowym Jorku. Czemu pan pyta?

Wzruszenie ramion.

- Nic szczególnego. Wsiadając do suborbitalnego, lubię wiedzieć, gdzie znajdzie się po wylądowaniu.

- Jasne. - Zerknęła na zegarek. - No dobrze, jeśli mamy zdążyć na ten prom, pewnie powinniśmy się ruszać. Przypuszczam, że moi koledzy do tej pory załatwili już wszystko z naczelnikiem. Wie pan, papierkowa robota.

- Tak. - Zawahał się przez chwilę. - Wie pani co? Jest tu parę osób, z którymi chciałbym się pożegnać. Jestem im coś winien. Da się to zrobić?

- Jasne. - Sevgi wzruszyła ramionami. Składała już czytnik. - Żaden problem. To miła strona INKOL. Możemy robić prawie wszystko, na co mamy ochotę.

\* \* \*

Gwatemalczyk wciąż leżał w celi płasko na pryczy i sądząc po wyglądzie, zażył część nowo nabytej endorfiny. Między palcami jego lewej dłoni dymiło na wpół wypalone kubańskie cygaro, a oczy miał prawie zamknięte. Gdy Carl zastukał w pręty na wpół otwartych drzwi, popatrzył na niego w sennym zaskoczeniu.

- Cześć, eurośmieciu. Co tu robisz?

- Wychodzę - rześko rzucił Carl. - Ale potrzebuję przysługi.

Gwatemalczyk z trudem wyprostował się na pryczy. Zerknął w soczewkę monitora celi i tani zagłuszacz przymocowany do ściany tuż obok. Zagłuszacza w żaden sposób nie próbowano ukryć, a urządzenie było tam za każdym razem, gdy Carl wchodził do celi. Nie chciał myśleć, ile musiało Gwatemalczyka kosztować trwałe przeoczenie czegoś takiego.

- Wychodzisz? - Naćpany uśmiech. - Nie widzę, żebyś miał w rękę kielnię.

Carl podsunął do pryczy wyrzeźbiony w afrykańskie wzory drewniany stołek i usiadł.

- Nie w taki sposób. To oficjalne. Przez frontową bramę. Słuchaj, muszę zadzwonić.

- Zadzwonić? - Nawet mimo endorfin Gwatemalczyk był ewidentnie zszokowany. - Wiesz, ile cię to będzie kosztować?

- Domyślam się. I nie mam zbyt wiele. Słuchaj, mam jeszcze siedem dwudziestomililitrowych kapsulek przyklejonych w plastiku za syfonem w kiblu mojej celi. Wszystkie twoje. Uznaj to...

- To nie starczy nawet na początek, czarnuchu.

- Wiem. Uznaj to za zaliczkę.

- Tak? - Jego rozmówca powoli zaczynał wychodzić z zamroczenia. Wsadził cygaro w kąt ust i wyszczerzył się. - Jak to niby ma być? Wychodzisz stąd, to jak chcesz zapłacić rachunki? Zaliczka na co? Zresztą - zmarszczenie brwi - skoro niby stąd wyłazisz, to po co ci mój telefon?

Carl niecierpliwie machnął ręką.

- Bo nie ufam ludziom, którzy mnie stąd zabierają. Słuchaj, gdy znaję

się na zewnątrz, będę miał środki...

- Jasne, właśnie na to wygląda. Środki u gości, którym nie ufasz.

- Mogę ci pomóc na zewnątrz. - Carl się nachylił. - To interes INKOL. To coś dla ciebie znaczy?

Gwatemalczyk przyglądał mu się przez chwilę. Potem potrząsnął głową i wstał z pryczy. Carl przesunął się, by go przepuścić.

- Dla mnie, czarnuchu, to wygląda na błagę. Jesteś pewien, że te kapsułki wciąż siedzą w tym kiblu, a nie w tobie? Wyciąga cię INKOL? Niby po jaką cholere?

- Chcą, żebym kogoś dla nich zabił - bezbarwnie wyjaśnił Carl.

Prychnięcie zza pleców. Bulgotanie, gdy Gwatemalczyk nalewał sobie szklanekę soku z chłodzącej butelki na półce.

- Jasne. W całej Skonfederowanej Republice nie mogą znaleźć jednego murzyna, który by odwalił za nich czarną robotę, i muszą do tego wyciągnąć jakiegoś eurośmiecia z więzienia stanowego Południowej Florydy. Zalewasz, czarnuchu.

- Przestań mnie tak nazywać, do cholery.

- Jasne. - Gwatemalczyk opróżnił szklanekę i odstawił ją z odgłosem satysfakcji. - Moja siem zapomina. Ty jedyna czarny człowiek tutaj, która nie widzieć, jakiego koloru mieć skóra.

Carl patrzył wprost przed siebie, na ścianę celi.

- Wiesz, tam, skąd pochodzę, jest mnóstwo różnych sposobów na bycie czarnym.

- Cóż, w takim razie jesteś cholernie szczęśliwym murzynem. - Gwatemalczyk stanął przed nim. Twarz miał prawie uśmiechniętą, złagodzoną endorfinami i może jeszcze czymś. - Ale widzisz, stary, chwilowo to, skąd jesteś, to nie tam, gdzie jesteś teraz. Chwilowo siedzisz w więzieniu stanowym Południowej Florydy. Jesteś w Skonfederowanej Republice, asfalcie. Tutaj mają tylko jeden sposób na bycie czarnym i prędzej czy później będziesz właśnie takim czarnuchem. Nie ma tu zróżnicowania produktu, mają dla nas tylko tę jedną szufladkę i prędzej czy później wcisną cię do niej wraz z całą resztą.

Carl jeszcze przez chwilę wpatrywał się w ścianę. Zdecydował się.

- Widzisz, i tutaj się mylisz.

- Myle się? - Mężczyzna zachichotał. - Rozejrzyj się, bracie. Jak, do cholery, mogę się mylić?

- Mylisz się - wyjaśnił Carl - bo już mnie wsadzili do zupełnie innej

szufladki. Do takiej, której nigdy nie zobaczysz od środka, i dlatego właśnie stąd wychodzę, dlatego mnie potrzebują. Nie mogą znaleźć drugiego takiego jak ja.

Gwatemalczyk oparł się o ścianę celi i popatrzył badawczo na Carla.

- Tak? Przyznaję, potrafisz się ruszać. A z tego, co słyszałem od Louiego, masz w sobie jakieś porypane okablowanie. Ale to nie robi z ciebie zabójcy. Dwie godziny temu wyszedłeś stąd, niosąc w rękawie najlepszą kosę mojego chłopaka, ale z tego, co słyszę, Dudeck wciąż żyje.

- Przerwano nam.

- Jasne. Zrobili to mili ludzie z INKOL. - Jednak w jego głosie nie słychać już było ironii. Zaciągnął się cygarem. - Szkoda, że nie wyszło z Dudeckiem, temu łajnu przydałoby się trochę czasu w szpitalu. Powiesz mi, co to znaczy, że nie mogą znaleźć drugiego takiego jak ty?

Carl spojrzał mu w oczy.

- Jestem trzynastką.

Poczuł się, jak przy zdzieraniu strupa. Przez ostatnie cztery miesiące trzymał tę informację za zębami, tajemnicę, która oznaczałaby jego śmierć. Teraz przyglądał się twarzy Gwatemalczyka i zobaczył w niej ostateczne potwierdzenie swojej paranoi, błysk strachu, nieznacznym, ale obecny, szybko zamaskowany kiwnięciem głową.

- Taaak.

- Owszem. - Poczuł dziwne rozczarowanie. Nie wiedzieć czemu miał nadzieję, że ten człowiek będzie odporny na standardowe uprzedzenia. Może coś w chłodnym, realistycznym podejściu do życia. Ale nagle mógł spojrzeć na siebie oczami tamtego i widzieć, jak zmienia się w karykaturę. Poczuł nawet, jak sobie na to pozwala, przybierając starą maskę bezlitosnej siły i groźby. - No dobra. Ten telefon. Ile mnie to będzie kosztować?

\* \* \*

Dudecka znalazł w sali rekreacyjnej skrzydła C, grał z maszyną w szachy błyskawiczne. Wokół urządzenia zebrało się trzech czy czterech skazańców: jeden wytatuowany i certyfikowany brat arianin, paru młodocianych dupowłazów i starszy białas, który wydawał się stać tam dla szachów. Nikogo z konfrontacji w kaplicy - Dudeck musiał ich odesłać po nieudanej awanturze. Zbyt wiele wiszących w powietrzu hormonów walki, za wiele gadania podczas ponownego wtapienia się w system. Nie to było potrzebne po rezygnacji.

Nikt nie zwrócił uwagi na murzyna wchodzącego do sali. Dudeck zbyt się

pograżył w grze, a przy pełnym monitorowaniu audiowizualnym wplecionym w nanowęglowe ściany pomieszczenia pozostali byli rozluźnieni i nie mieli się na baczności. Carl zbliżył się na dziesięć kroków do grupki, zanim ktokolwiek się obrócił. Jeden z młodych musiał zauważyć kątem oka czarny ruch. Wykręcił się. Zrobił krok do przodu, pewny znajomości sposobu działania systemów monitorujących, nabuzowany powiązaniem z Dudeckiem i jego bliskością.

- Czego tu, czarnuchu?

Carl zbliżył się i uderzył z pełną siłą zamachu, grzbietem dłoni. Cios zmiażdżył usta chłopaka i rzucił go na podłogę. Został tam, krwawiąc i patrząc na Carla z niedowierzaniem.

Carl był w ruchu.

Wszedł w zwarcie z wytatuowanym widzem, złamał jego nieporadną zasłonę i rzucił go na Dudecka, który wciąż próbował wstać od konsoli. Mężczyźni splątali się i polecili na ziemię. Drugi z pochlebców Dudecka został w pobliżu z rozdziawioną gębą. Nie ruszy palcem. Starszy mężczyzna już się wycofywał z rękami wysuniętymi do przodu, by podkreślić brak zaangażowania.

Dudeck z wprawą przetoczył się i zerwał na nogi. Gdzieś włączyła się syrena.

- Mamy niedokończoną sprawę - rzucił Carl.

- Jesteś pieprzonym świrem, czarnuchu. To monitorowana, niesprowokowana agre...

Pozwolił się poprowadzić siatce. Dudeck zobaczył atak, przybrał tajską pozycję obronną i kopnął. Carl odrzucił kopniak, wykonał zmyłkową zasłonę, wykorzystał wyprowadzone w odpowiedzi uderzenie i złamał Dudeckowi nos uderzeniem nasadą dłoni. Arianin znów poleciał na ziemię, tym razem odrzucony. Drugi członek rasy wyższej prawie podniósł się na nogi. Carl walnął go w krtań, by nie włączał się do walki. Padł, krztusząc się. Dudeck już był na nogach, nie starł nawet krwi z twarzy. Nie był nowicjuszem. Jego oczy płonęły furją. Uderzył jak czołg, furją ciosów, wszystkie proste, liniowe. Carl odbił większość, skrzywił się od przepuszczonego, który zadrapał mu policzek, po czym chwycił rękę przeciwnika w nadgarstku. Zablokował ją, wykręcił i walnął przedramieniem. Łokieć Dudecka złamał się z trzaskiem słyszalnym nawet przez syreny. Arianin zaskrzeczał i padł po raz ostatni. Carl z całej siły kopnął go w żebra. Poczul, jak coś ustępuje. Kopnął jeszcze dwa razy w żołądek. Przy drugim

ciosie Dudeck zwymiotował cicho, jakby coś pękło. Carl przestąpił nad drgającym ciałem arianina, by uniknąć wymiocin, przydepnął jego zakrwawioną twarz i nachylił się nad nim. Złapał Dudecka za ucho.

- Nowe zasady, białasie - wysyczał. - Teraz pracuję dla szefa. Mogę z tobą zrobić, co tylko chcę. Mógłbym cię zabić i teraz nie zrobiłoby to żadnej choleralnej różnicy.

Dudeck zabalgotał krwią i splunął. Fragmenty zęba na rozbitej dolnej wardze. Gdzieś z głębi jego gardła wydostawał się niski, charczący dźwięk.

Carl puścił go i wstał. Przez chwilę myślał, że jeszcze raz dobierze się do zwiniętej u jego stóp postaci, mocno kopnie w podstawę kręgosłupa, by wprowadzić uszkodzenia, których szpital nie naprawi zbyt łatwo, znów w twarz, by całkiem ją zniszczyć. Może jeszcze raz dobierze się do żeber, by pękły do środka i coś przebiły. Pomyślał, że mógłby przynajmniej splunąć na arianina. Jednak furia nagle go opuściła. Nie chciało mu się. Gwatemalczyk dostał, czego chciał. Dudeck został wyeliminowany, trafi do szpitala. Niech do końca załatwi go reszta żalostnego życia w Jezusowie. Marsalis nie musiał już dalej go dręczyć, wiedział już z całkiem niezłą dokładnością, jak wszystko potoczy się dalej. Każdej niedzieli w całej Republice grzebano ludzi pokroju Dudecka, w tanich trumnach w pięciu warstwach na cmentarzach koło krematoriów. Większość z nich nawet nie przekroczyła dwudziestki.

Na drugim końcu skrzydła F otworzyła się brama i przebiegł przez nią oddział interwencyjny. Panczerze, karabiny obezwładniające i krzyki. Carl westchnął, uniósł ręce nad głowę i przy akompaniamencie syren ruszył im na spotkanie nanowęglowym korytarzem.

\* \* \*

- *Cordwood Systems.*
- *Marsalis. Identyfikacja.*
- *Identyfikacja głosowa potwierdzona. Rozmawia pan z dyżurnym. Proszę podać preferencje.*
- *Nefryt, krata, mangostan, dąb.*
- *Otwieram. Czego ci potrzeba?*
- *Właśnie zostałem wyciągnięty z aresztu przez Inicjatywę Kolonizacyjną Krajów Zachodu. Chcę, żebym złapał dla nich wariant trzynaście poza terenem jurysdykcji ONZALG.*
- *To wbrew...*
- *Wiem. Za kilka dni trafię do Nowego Jorku. Powiedz ekipom*



*granicznym, żeby się mnie spodziewały. Porzucę moich nowych przyjaciół,  
jak tylko będzie to możliwe.*

## ROZDZIAŁ 13

- Musiałeś go, do cholery, wsadzić do szpitala?

Wzruszył ramionami. Wcześniej pozbył się bluzy więziennej - zdjął też buty i skarpetki - a piasek plaży pod stopami był chłodny i twardy. Nocne powietrze gładziło jego kark i nagie ramiona niczym jedwabny szal.

- Nie widziałem żadnego powodu, by tego nie zrobić.

- Nie? - Ertekin nie zdjęła butów. - No cóż, znaczyłoby to, że znaleźlibyśmy się w domu dzisiaj, zamiast zostawać na tym zadupiu. Pomyślałeś o tym?

Jej gest było widać dzięki światłom niskich budynków za nimi, wież komunikacyjnych i wystającej nad całość niczym Godzilla, rosnącej w nieskończoność nanokratownicy Perez. Struktura kratownicy była nieoświetlona, ale umieszczone na niej światła nawigacyjne mrugały w oszałamiającej harmonii, ciągnąc wzrok w górę, gdzie nikły w pokrywie chmur.

- To twoje zadupie.

- Wynajęte.

- To musi być bolesne. INKOL uzależniony od lokalnych władz państwowych. Dziwię się, że nie obaliliście rządu. Wiesz, tak jak zrobiliście to w Boliwii w latach dziewięćdziesiątych.

Posłała mu spojrzenie, które zaczynał już poznawać. Prawie złość, stłumiona przez coś innego. U innej trzynastki uznałby to za szkolenie z zachowań społecznych, ale w jej wypadku nie był pewien znaczenia. Tylko jedno było jasne. Coś drapało pod włos Sevgi Ertekin i działa się to od chwili ich pierwszego spotkania.

- Marsalis, jest późno - powiedziała. - Nie zamierzam się z tobą spierać o coś, co INKOL zrobiło lub nie dziesięć lat przed tym, zanim zaczęłam tam pracować. Powodem, dla którego siedzimy na tym zadupiu, jest fakt, że straciłeś kontrolę nad swoimi osławionymi tendencjami trzynastki, co kosztowało nas kolejne cholerne sześć godzin rozmów telefonicznych i negocjacji. Nie napieraj. I tak jestem dość bliska odesłania cię z powrotem.

Wyszczrzył zęby.

- Co do tego kłamiesz.

- Tak myślisz? Naczelnik więzienia chciał eskalować sprawę aż do

Tallhassee i odwołać się do oceny Komisji Ciężkich Przestępstw. Bardzo podobał mu się pomysł zamknięcia cię do czasu, aż przegryzie się to przez cały proces.

- Myślałem, że się ucieszy, mogąc się mnie pozbyć.

- Cóż, mylisz się. Naczelnik Parris to były marine. - Sevgi posłała mu kolejne spojrzenie. - Tak samo jak Willbrink.

- Will kto?

- Jasne. Zapomnij.

Nie wiedział, na ile mówiła prawdę. Z pewnością gdy zobaczyli, co zrobił z Dudeckiem, sytuacja zrobiła się napięta. Oddział interwencyjny nie ogłuszył go na miejscu, ale niewiele brakowało. Spędził trzy godziny w śmierdzącej lekko amoniakiem celi do przetrzymywania buntowników, został wyciągnięty, przemaszerował do budynku administracyjnego, a potem równie szybko z powrotem, prawdopodobnie na skutek sprzecznych rozkazów władz. Trwałe wyciągnięcie go z karceru wymagało kolejnych dwóch godzin, a wtedy zrobiło się już ciemno i w budynku administracyjnym pozostał już tylko podstawowy personel i ochrona.

Norton i Ertekin przychodzili i wychodzili przez drzwi do biur, których nigdy nie widział od środka. Ledwie na niego zerkali. Przyszła zmiana straży. W którymś momencie jeden ze strażników zrobił mu zdjęcie i wyszedł bez słowa komentarza. Carl nie dopuszczał tego wszystkiego do siebie. Kiedy skończyli, podpisał podsunięte mu dokumenty, przebrał się z powrotem we własne rzeczy i domyślając się, że w Nowym Jorku będzie zimno, namówił ziewającego urzędnika na wydanie mu kurtki któregoś z więźniów. Była wytarta, w kolorze grafitowym, co nie było złym wyborem, ale jeden rękaw ozdobiono rzędem pomarańczowych szewronów, a na plecach umieszczono logo Sigmy z nazwą w tym samym jaskrawym kolorze. Jak to często bywało ze starymi ciuchami, jakiś maniak przeróbek dobrał się do napisu z farbą i dodał dwie litery *t* - po *S* i na końcu - oraz przerobił i na *y*. Carl wzruszył ramionami na widok napisu i wziął kurtkę mimo tego. Po aresztowaniu policja Miami zabrała jego rzeczy z hotelu i nie sądził, żeby kiedykolwiek jeszcze je zobaczył. ONZALG ponoć wciąż jeszcze negocjowała sprawę zwrotu pistoletu Haag i nabojów do niego. Kwestia zasad i dumy. Nikt tak naprawdę nie wierzył, że wygrają. Wcisnął się w kurtkę, zwinął w rulonik listę rzeczy, w których został aresztowany, i wyszedł.

*Pieprz akcesoria, Carl. Jesteś w pół drogi do domu.*

Norton z ponurym wyrazem twarzy trzymał się jego boku przez całą

drogę do niepozornej, wynajętej kropli na parkingu, otworzył mu drzwi na tylne siedzenie i zamknął je natychmiast po tym, gdy Carl wsiadł. Ertekin wyszła z budynku administracyjnego kilka minut później, mruknęła coś do swojego partnera i siadła za kółkiem. Gdy Norton zajął miejsce obok, uruchomiła silnik i na ręcznym wyjechała poza bramy więzienia. Żaden z oficerów INKOL nie odezwał się do Carla.

Naczelnik Parris się nie pokazał, jeśli w ogóle wciąż był na miejscu.

Po kilkuset metrach od wjechania na autostradę Norton dobrał się do telefonu, sprawdzając odloty na północ z terminalu suborbitalnego Miami. Jak można było się spodziewać, o tej porze niczego już nie było.

- Hotel? - zapytał Ertekin.

Potrząsnęła głową.

- Parris jest zbyt wkurzony. Nie chcę się obudzić i zobaczyć nakazu aresztowania, bo zadzwonił w nocy do jakiegoś znajomego z Tallahassee. Musimy wrócić na własne podwórko.

Norton z powrotem zajął się telefonem. Kilka godzin później wtoczyli się przez bramę na teren placówki nanokratownicy. Pośród równin Florydy połyskiwały płoty pod napięciem, w mroku przechadzali się czujni strażnicy w kombinezonach. Noszony przez nich sprzęt do wzmacniania światła nadawał im wygląd owadzych obcych z niskobudżetowego przedstawienia. Carl zauważył insygnia INKOL na ramieniu i berecie. Bezpieczna przystań. Z pary jego wybawców w niemal widoczny sposób zeszło napięcie.

Teraz, na plaży, z piaskiem między palcami stóp i po raz pierwszy od miesięcy z własnym ubraniem, poczuł w sobie podobne odprężenie. Poruszyła go nagła fala samoświadomości, zdanie sobie sprawy, jak bardzo stał się spięty. To wszystko zaczęło z niego schodzić w małych porcjach. Zaznał już tego parę razy w przeszłości: mostek „Felipe Souzy” ożywający nagle transmisją ze statku ratunkowego; wyjście z windy u stóp nanokratownicy Hawking na ziemię przyciągającą go z siłą pełnego g. Wyjście z taksówki w Hampstead i spojrzenie na nową tabliczkę Zooly, sprawdzenie nazwy ulicy i zastanawianie się, czy to naprawdę tu, może źle zapamiętał jej instrukcje... a potem zobaczył, jak podchodzi do wielkiego okna i uśmiecha się do niego przez ocienioną drzewami szybę. Poruszenie we wnętrzościach mówiące, że już w porządku, że można odpuścić.

- Powiedz mi coś, Ertekin. - Słowa wypłynęły z jego ust jak wydmuchnięty dym, czysta, swobodna konwersacja. Nie obchodziło go zbyt wiele, co myśli albo odpowie - po prostu chciał coś powiedzieć i nie zostać

za to pocięty. - Pracujesz dla INKOL od kilku lat, prawda?

- Dwa i pół.

- Kto jest szefem, ty czy Norton?

Znów posłała mu to spojrzenie, ale bez komentarza. Może usłyszała brak napięcia w jego głosie.

- To nie działa w ten sposób.

- Nie? To jak? - Machnął ręką. - Daj spokój, Ertekin. Po prostu rozmawiamy. Do cholery, to plaża.

Śladowy uśmiech, ale odniósł wrażenie, że nie był przeznaczony dla niego. Znów machnął rękami.

- No.

- Dobra, powiem ci. - Potrząsnęła głową. - Pierwsza w nocy, a ten chce rozmawiać o polityce biurowej. Pracujemy tak: Norton jest akredytowanym śledczym INKOL, wyłapuje problemy. Pracuje ze dwanaście lat, poszedł do nich prosto po szkoleniu policyjnym na jakimś lepszym uniwersytecie. To niezły sposób na karierę: INKOL płaci sporo powyżej średniej, a praca przeważnie nie jest zbyt ryzykowna. Kontrolujesz sprawy korupcyjne, wyłapujesz oszustów w lokalnych rządach, próbujących obrobić INKOL, złamanie licencji Marstechu, tego rodzaju rzeczy.

- Czyli niezbyt wiele seryjnych zabójstw.

- Nie. Gdy robi się paskudnie, przeważnie wynajmują siłę roboczą od prywatnych kontraktorów wojskowych jak Ex-Op czy Lamberts. Gdy robi się paskudnie pod względem prawnym, biorą oficera łącznikowego z lokalnej policji. To ja. Wzięłam udział w paru sprawach dotyczących kradzieży marstechu, w których zginął personel INKOL, skierowali mnie z wydziału zabójstw nowojorskiej policji. Spodobała im się robota, jaką dla nich zrobiłam, Norton przechodził oczko wyżej i potrzebował stałego partnera z doświadczeniem w sprawach o zabójstwa, więc... - Wzruszyła ramionami. - Tak to poszło. Zaproponowali mi pracę. Sporo płacili. Zgodziłam się.

- Ale Norton stoi wyżej?

Ertekin westchnęła. Popatrzyła na morze.

- Co?

- Trzynastki. Wszyscy jesteście tak cholernie wrażliwi na punkcie hierarchii. Kto dowodzi? Kto stoi na szczycie? Kogo muszę zdominować? W przypadku każdego detektywa, z którym kiedykolwiek dzieliłam biuro, to...

Urwała.

Przez chwilę myślał, że zobaczyła Nortona nadchodzącego ku nim plażą

od strony zabudowań. Niechętnie obudziła się siatka. Sprawdził plażę spojrzeniem, niczego nie zobaczył. Wrócił do jej twarzy i przekonał się, że wciąż patrzy na ocean.

- To co?

- To nie ma znaczenia - odpowiedziała bezbarwnie. - Tak, Norton mnie przewyższa. Zna INKOL z każdej strony. Ale on nie jest gliną, a ja tak.

- Czyli zrzuca wszystko na ciebie?

- Współpracujemy. - Odwróciła się od oceanu i spojrzała mu w oczy. - Dziwna koncepcja dla kogoś takiego jak ty, wiem. Ale Norton nie musi niczego dowodzić.

- „I burza gęstych włosów”, tak?

Jego słowa wyraźnie nie zostały zrozumiane. Przypuszczał, że była zbyt młoda, by pamiętać Młodego Gniewnego i Ludzi. Carl miał ich ostatni album, bo, do diaska, kto powyżej czterdziestki go nie miał, pobieranie przekroczyło potrójną platynę, jak tylko go wypuścili. Ale Ertekin wtedy pewnie dopiero wyrastała z pieluch. Sam był ledwie dość dorosły, by załapać się na wiadomości o Młodym Gniewnym, który strzelił sobie w łeb i zapaćkał mózgiem całe studio Kilburn. „Robimy bajzel”. Jasne. Do ostatniej chwili przebiegły jak czarny bohater z komiksu i w pełni opanowany. Czasami zastanawiał się, czy Młody Gniewny wiedział, co stanie się ze sprzedażą „Robimy bajzel”, gdy wkładał do ust lufę karabinu fragmentacyjnego, uśmiechnął się - podobno - i nacisnął na spust. Czy nie zaczął się tego domyślać, gdy rok wcześniej skomponował i napisał słowa do piosenki tytułowej.

- A co mają z tym wspólnego włosy?

- No cóż, to raczej nie jest typowo męska łysina, prawda?

- Raczej... - Zrozumiała. - Cholera, nabijasz się. Nie mówisz poważnie. Marsalis, ty przecież nie łysiejesz.

- Nie. Ale ja nie jestem człowiekiem.

To zatrzymało ją jak strzał z haaga. Nawet w resztkach poświaty z lamp łukowych nad asfaltem zobaczył, jak twardnieje jej spojrzenie. Gdy w końcu się odezwała, jej głos brzmiał równie sztywno.

- Cytujesz kogoś?

- W zasadzie tak. - Roześmiał się, głównie dlatego, że świetnie czuł się na plaży z rękami w kieszeniach i stopami na piasku. - Na przykład twoich facetów.

Uniosła brwi.

- Moich facetów?

- Tak. Jesteś Turczynką, prawda, Sevgi? Czyli pewnie jesteś mużłmanką. Nie słuchałaś, co ci mówili o moim rodzaju twoi brodaci panowie?

- Tak dla wyjaśnienia - odpowiedziała sztywno. - Ostatni imam, którego słuchałam, była kobietą. Raczej nie ma brody.

Carl wzruszył ramionami.

- Też dobrze. Opieram się na obrazie z mediów. Islam, Watykan, ci baptyści z Jezusowa. Wszyscy wciąż praktycznie śpiewają na jedną nutę.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

- Och, cholernie przepraszam. - Zauważył ogarniającą go złość i się opanował. *Wyszedłeś dziś z więzienia, stary. Jutro wynosisz się z Republiki. Pojutrze będziesz w suborbitalnym do domu. Uśmiechaj się i bądź miły.* Roześmiał się. - Ertekin, naprawdę wiem, o czym mówię. Widzisz, żyję w tej skórze. Byłem tam w 93, gdy weszły w życie postanowienia Jacobsena. I na wypadek, gdybyś uznała to za uzalanie się nad sobą - nie. Nie mówimy tu po prostu o trzynastkach. W Dubaju widziałem kontraktowe bonobo, którym po tym, jak do miasta dotarły shahudy, wypruto flaki i powieszono przed burdelami, w których pracowały. Zwykle kurwy zostały po prostu zgwałcone i oznakowane.

- Shahudytonie...

- Tak, tak. Shahudy nie są reprezentatywni. Słyszałem. Tak samo jak *gladius dei* nie przemawia w imieniu wszystkich tych miłujących pokój katolików, a telewizyjne świry z Jezusowa nie mają nic wspólnego z prawdziwym chrześcijaństwem. To wszystko tylko jedno duże nieporozumienie, jasne. Wszystkie te morderstwa i ślepe uprzedzenia - tamci po prostu nie przeczytali właściwej literatury.

- Mówisz o fanatycznych mniejszo...

- Ertekin, słuchaj. - Tym razem jego śmiech był szczery. - Naprawdę mnie to nie obchodzi. Jestem dziś wolnym człowiekiem, mam stopy na piasku i w ogóle. Chcesz solidarności grupowej, spróbuj ratować coś ze swojego patriarchalnego systemu wierzeń, proszę bardzo. Sam kiedyś wierzyłem w różne cholernie głupie rzeczy. Czemu ty miałabyś być inna?

- Nie zamierzam rozmawiać z tobą na temat mojej wiary.

- Dobrze. Więc tego nie róbmy.

Stali w piasku i słuchali ciszy. Gdzieś na morzu fale rozbijały się na rafie. Bliżej mniejsze fale kremowo łamały się na piasku, z sykiem wracając do

morza.

- Skąd wiedziałaś, że jestem Turczynką? - zapytała go w końcu.

Wzruszył ramionami.

- Sporo tam bywałem. Kiedyś miałem tłumacza o nazwisku Sevgi.

- Co robiłaś w Turcji?

- A jak myślisz?

- Traktaty?

Ponuro kiwnął głową.

- Tak, standardowa reakcja Europy. Jeśli coś jest paskudne lub niewygodne, zaparkować to we wschodniej Turcji. Za daleko, żeby irytować kogoś ważnego, i trzeba długo iść na zachód, jeśli komuś uda się wydostać bez pozwolenia. Co zdarza się dostatecznie często, żeby bywać tam kilka razy w roku. Jesteś ze wschodu?

- Nie, z Nowego Jorku.

- Racja. - Kiwnął głową. - Przepraszam. Miałem na myśli...

Urwał, gdy jej spojrzenie wyminęło go i powędrowało wzdłuż plaży. Obrócił się za nim, choć wymuskany zmysł bliskości powiedział mu już, że tym razem Norton naprawdę tam był. Tam, na niskich wydmach, sunął w ich stronę przez piach, emanując złymi wieściami ze wszystkich znanych Carlowi oznak.

\* \* \*

- Toni Montes. Czterdzieści cztery lata, matka dwójki dzieci. - Obrazy przeskakiwały kolejno na ekranie sali konferencyjnej w miarę słów Nortona. Dość ładna kobieta o lekko latynoskich rysach, zdjęcie karty z danymi, mocno koścista twarz zmieniona przez czas, ufarbowane na rudo włosy ucięte krótko i elegancko, *klik*. Ciało w bezładnej plątaniu, ubrane w bluzę i spódniczkę, otoczone białą kredą sceny zbrodni na wypolerowanej drewnianej podłodze. - Zastrzelona dziś wieczór w swoim domu w Angeline Freeport. *klik*. Zbliżenie. Twarz posiniała przy ustach, rozmazany makijaż, oczy zapadnięte przez ciśnienie strzału w głowę, który ją zabił. Rana wlotowa na czole przypominała krater, *klik*. - Dzieci były z ojcem na lekcji pływania. Dom jest inteligentny, podłączony do ochronnej sieci sąsiedzkiej, z opłaconymi aktualizacjami na trzy lata. Albo Merrin włamał się dzięki jakiemuś bardzo zaawansowanemu sprzętowi penetracyjnemu, albo Toni go wpuściła. - *klik*. Szczegółowe zdjęcie ciała, pokryty plamami bok i aseksualna wypukłość piersi. - Walczyli, rzucał nią, kilka razy lądowała na podłodze. Miała kilka złamanych żeber, praktycznie cała pokryta jest



siniakami. Widzieliście twarz. Wszędzie też pełno śladów krwi, ekipa śledcza zdjęła ją z kanapy w drugim pokoju i ze ścian. - *klik*. Czerwone smugi na kremowej farbie. Większość należy do niej. Wygląda na to, że naprawdę tam pojechał.

- Zgwałcił ją? - zapytał Carl.

*klik*.

- Nie. Żadnych wykrywalnych śladów napaści seksualnej.

- Tak jak z pozostałymi - cicho zauważyła Sevgi. - Baltimore, Topeka, ta dziura w Oklahomie. Loam Springs? Za każdym razem, gdy zabija kobiety, jest tak samo. O cokolwiek tu chodzi, nie jest to seks.

*klik*.

- Siloam Springs - poprawił Norton. - Prawdę mówiąc, to mała dziura w Arkansas, Sev. Tuż za granicą stanu, pamiętasz?

- Nie, nie pamiętam. - Ertekin zdawała się żałować odpowiedzi natychmiast po jej wypowiedzeniu. Machnęła ręką i złagodziła głos. - Tom, weszliśmy tam wirtualnie. Nie było zbyt dużo czasu na poznanie okolicy.

Norton wzruszył ramionami.

- Ale wystarczyło, by uznać, że to zadupie, co?

- Och, zamknij się. To wszystko Jezusowo, nie? - Ertekin potarła oko i kiwnęła głową w stronę ekranu. - Czemu ją wyłapali?

Sekwencja obrazów znieruchomiła na kolejnym fragmencie bladokremowej ściany poplamionej krwią i tkanką. W rogu ekranu pulsował mały czerwony trójkąt.

- Tak, policja Angelinę nie mogła jednego rozpracować. - Norton dotknął czytnika na stole. Obraz na ekranie został uzupełniony mnóstwem danych. - Gdy Merrin w końcu zabił tę kobietę, stała w sąsiednim pokoju. Szybki pocisk elektromagnetyczny przeszedł wprost przez jej głowę i utknął w ścianie. Kąt sugeruje, że zabójca stał przed nią. To im nie pasowało. Umrzeć na kolanach, gdy nie ma już siły walczyć, to rozumiem. Ale wstać i po prostu czekać na pocisk po całej tej walce? To nie ma zbyt wiele sensu.

- Owszem, ma. - Carl urwał na chwilę, wsłuchując się we własną intuicję i płynąc z nią. Znał drogi, którymi płynęła, tak jak jego dłoń znała kolbę pistoletu Haaga. - Zrezygnowała, gdy jeszcze miała siły, bo zagroził jej coś gorszym.

- Gorszym niż zatłuczenie na śmierć? - W oczach Nortona błysnął lodowaty gniew. Carl nie potrafił stwierdzić, czy dotyczy tylko Merrina, czy jego też. - Może mi powiesz, czym dokładnie?

- Dzieci - cicho rzuciła Ertekin.

Kiwnął głową.

- Właśnie. Pewnie też mąż, ale to dzieci załatwiły sprawę. Rozegrał to zgodnie z warunkowaniem genetycznym. Powiedział jej, że zaczeka, aż dzieci wrócą do domu.

- Nie możesz tego wiedzieć - rzucił Norton, wciąż zły.

- Jasne, że nie. Ale to oczywiste wyjaśnienie. Przedostał się przez obronę domu. Albo Montes go znała i wpuściła, albo wypatroszył oprogramowanie, co znaczyłoby, że doskonale znał systemy domu i z pewnością orientował się, że są tam dzieci, które niedługo wrócą. To była dźwignia, skorzystał z niej.

Zauważył spojrzenie, jakie między sobą wymienili.

- To działa do pewnego poziomu - Ertekin powiedziała bardziej do siebie niż do nich. - Ale to tylko odwraca pytanie. Skoro był przygotowany, żeby uciec się do takiej groźby, czemu od tego nie zaczął? Czemu w ogóle zawracać sobie głowę takimi kombinacjami?

Carl potrząsnął głową.

- Nie wiem, ale dla mnie to wygląda na egzekucję. Walka musiała być czymś innym.

- Przesłuchaniem? Myślisz, że chodziło mu o wymuszenie zeznań?

Carl zastanowił się nad tym przez chwilę, wpatrując się w granicę blasku i cienia na krawędzi ekranu. Wspomnienia w jego głowie kłębiły się niczym węże - ta kobieta zdawała się budzić je w nim praktycznie za każdym razem, gdy otworzyła usta. Tam, w więzieniu - *myślałeś tak kiedyś?* - były to korytarze „Felipe Souzy” i zimna nieuchronność myśli w oczekiwaniu na ratunek. Teraz znów go dorwała. Gorący, maleńki pokój w bezimiennym zaułku Teheranu. Plamy słońca na podłodze, cień jedyne, zakratowanego okna. Zatechły pot i lekki smród przypalonego ciała. Przytłumione wrzaski z korytarza. Krew na kostkach palców.

- Nie sądzę. Są lepsze sposoby na zdobycie informacji.

- W takim razie co? - nie ustępował Norton. - Po prostu sadyzm? Czy to jakaś specjalność ubermenschów? Brutalność dzięki uprzywilejowaniu genetycznemu.

Carl spojrział na chwilę w oczy Nortona, żeby wiedział. Tamten wytrzymał jego wzrok. Carl wzruszył ramionami.

- Może go poniosło - stwierdził. - Z dowolnego powodu. Może ten Merrin po prostu przestał nad sobą panować.

Ertekin zmarszczyła brwi.

- No dobrze. Ale potem co? Tak po prostu się uspokoił i dokonał egzekucji?

- Może.

- To wciąż nie ma zbyt wiele sensu - rzucił Norton.

Carl znów wzruszył ramionami, tym razem lekceważąco.

- A czemu miałyby mieć?

- Co to miało znaczyć?

- To znaczy, Norton, że na podstawowym poziomie biochemicznym nie jesteś taki jak Merrin. Żadne z was nie jest. W systemie limbicznym, tam, gdzie to się naprawdę liczy, od jądra migdałowego do kory czołowej, u Merrina zachodzi jakiś tysiąc procesów biochemicznych, których ty nie masz. - Carl zamierzał to powiedzieć spokojnie i bez zaangażowania - procedury dostosowania społecznego nakazały jego ciału i mowie powstrzymanie się od konfrontacji. Jednak zaskoczyło go zmęczenie we własnym głosie. - Oczywiście, że to nie ma dla ciebie sensu. Nie masz mapy miejsca, w którym ten gość przebywa.

Cisza w słabo oświetlonej sali konferencyjnej. Czuł na sobie wzrok Ertekin jak dotyk. Spojrzał na własne dłonie.

- Mówiliście, że oprócz niej zabił jeszcze dwadzieścia osób.

Norton wyświetlił listę.

- Siedemnaście potwierdzonych przez śladowy materiał genetyczny zebrany z miejsca zabójstwa. Jest jeszcze czterech, co do których nie mamy pewności. To nie obejmuje ludzi, których zamordował i zjadł na pokładzie „Horkan’s Pride”.

- Macie to jakoś zmapowane? To, gdzie był?

Nie podniósł wzroku, ale poczuł wymianę spojrzeń między nimi.

- Jasne - rzucił Norton.

Zajął się czytaniem na stole i zdjęcie krwi Toni Montes znikło, zastąpione przez mapę kontynentu amerykańskiego, pozszywanego autostradami i pociętego czerwonymi liniami granic Stanów Wybrzeża i Unii. Na mapie umieszczono siedemnaście czarnych kwadratów i cztery szare, każdy z miniaturką fotografii ofiary. Carl wstał i podszedł do ściany, żeby się lepiej przyjrzeć. Znacznik Angeline Freeport przedstawiał uśmiechniętą Toni Montes z włosami ułożonymi na jakąś imprezę i w sukience z gołymi ramionami. Dotknął go delikatnie i pod spodem rozwinęły się szczegółowe dane. Matka, żona, gospodyni programu o nieruchomościach. Ciało.

Spojrzał na pozostałe obrazy znaczące mapę. W większości były podobne, swobodne zdjęcia, uwieczniona chwila z życia. W kilku przypadkach umieszczono holoportret identyfikacyjny, ale większość stanowiła kolekcję uśmiechów do kamery, przyciętych by wyeliminować z kadru członków rodzin lub przyjaciół. Patrzyły na niego twarze wszystkich ras i pełnego zakresu wiekowego, od późnej trzydziestki aż do jednego staruszka pod siedemdziesiątkę. Żonaci, samotni, z dziećmi lub bez. Praca od specjalizacji w systemach bazodanowy eh do prac ręcznych.

Nie mieli ze sobą nic wspólnego oprócz kontynentu, na którym mieszkali, i faktu, że zginęli.

Przeszedł bliżej zachodniego wybrzeża. Norton zrobił coś z czytnikiem i miejsce kontynentu zastąpiło zbliżenie okolic zatoki. Niedaleko wybrzeża zaznaczono nieujęte w skali miejsce wodowania „Horkan’s Pride” z zebranymi obok jedenastoma twarzami i nazwiskami. Kolejne trzy czerwone kwadraty, wszystkie zebrane wokół San Francisco i Oakland. Carl przyglądał im się przez chwilę, na jakimś poziomie świadom, że coś tu nie pasuje. Zmarszczył brwi, dotknął obrazu i odczytał rozwinięte dane.

Zobaczył daty.

- Tak, zgadza się. - Ertekin stanęła za nim. Nagle poczuł jej zapach. - Wrócił. Dwa zabójstwa w dniu, gdy „Horkan’s Pride” trafił do wody. Potem znika, przechodzi przez granicę do Republiki. Następny przystanek to Van Horn, dziewiętnasty czerwca w Teksasie. Eddie Tanaka, zastrzelony przed burdelem na międzystanowej 10. A potem z powrotem San Francisco, prawie cztery miesiące później, drugiego października zabija Jaspera Whitlocka. Co ci to sugeruje?

- Zapomniał portfela?

- No proszę. Wiedziałam, że musieliśmy mieć powód, żeby cię zatrudnić.

Carl wykręcił się i posłał jej spojrzenie pełne wyrzutu. Coś się zmieniło w linii jej ust. Lekko wciągnął powietrze, próbując znów wyczuć jej zapach. - Pracuje na niepełnych danych. Jakkolwiek opracował tę listę, na początku nie miał wszystkich nazwisk. Po co przechodzić do Jezusowa w czerwcu, skoro później musi wrócić i zabić tego gościa, Whitlocka. A teraz mamy Montes, zginęła w Angeline Freeport. To bardzo blisko L. A. i żadnych kontroli granicznych. On to tworzy na bieżąco.

- Właśnie. Sami też na to wpadliśmy. - Ertekin cofnęła się trochę, lądując tuż obok Nortona. - Gdyby Jasper Whitlock był kolejnym facetem typu Eddiego Tanaki, może przekonałbyś mnie, że Merrin nie znalazł go za

pierwszym razem i musiał wrócić. Ale Whitlock był brokerem usług medycznych. Wszystko bardzo legalnie, wzorowy obywatel, podpora lokalnej społeczności, prowadził własną firmę. To nie jest rodzaj człowieka, który trudno znaleźć. Merrin zastrzelił go na fotelu w jego własnym biurze. Czyli musiało być tak, że w czerwcu nie wiedział jeszcze, że będzie musiał go zabić. Dowiedział się później.

- Pytanie brzmi, skąd? - Carl popatrzył na ponownie wyświetloną mapę kontynentu i porozrzucane znaczniki. - Przechodzi przez granicę, by załatwić Tanakę, i to aż do Teksasu. Jakies ślady sugerują, że szukał tam informacji?

- Nie. Tanaka był śmieciem małego kalibru. Prochy, nielegalne aborcje. Od czasu do czasu szmuglowanie narządów.

Norton podniósł wzrok znad czytnika, ze śmiertelnie poważną twarzą.

- Prawdę mówiąc, jezusowska wersja brokera usług medycznych.

- Cóż...

Ertekin się skrzywiła.

- Już szliśmy tym śladem - wyjaśniła Carlowi. - Tanaka nie miał żadnego oficjalnego powiązania z medycyną ani w Republice, ani nigdzie indziej. Z zawodu był inżynierem zagrożeń biologicznych...

- Szczurołapem - uzupełnił Norton.

- I tak bez pracy przez ostatnie dwa lata, utrzymywał się głównie z kobiet, od El Paso na wschód. Wcześniej Houston, podobny profil. Najprawdopodobniej tak właśnie zajął się aborcją. Na tym można zarobić lepiej niż...

- Na łapaniu szczurów. - Carl wolno kiwnął głową. - Racja. Z tego, co widzę na tej mapie, mamy południowoschodni Teksas, północny Teksas, zachodnią Oklahomę, potem dwóch w Colorado, jednego podejrzanego w Iowa, w Kansas jeden podejrzewany i jeden pewny, Ohio, Michigan, dwa w Illinois, podejrzewany w Południowej Karolinie, podejrzewany w Maryland, Luizjana, Georgia i północna Floryda. Macie jakiegokolwiek powiązania między ofiarami? Cokolwiek, co je łączy?

Za odpowiedź wystarczył mu wyraz twarzy Ertekin. Ona też patrzyła na mapę i twarze zabitych.

- Z tego, co wiemy, równie dobrze mógłby ich wybierać z książki telefonicznej - ponuro odpowiedział Norton.

## ROZDZIAŁ 14

Obudziły ją krzyki.

Przez dłuższą chwilę sądziła, że to kradzież lub jakieś energiczne targowanie się na targu na dole. Potem przez zasłonę snu przedarł się rytmiczny element dźwięków i dotarło do niej, gdzie jest. Usiadła gwałtownie na wąskim łóżku koszar. Wnętrze jej głowy ponuro przypomniało o braku syndu. Po drugiej stronie pokoju przez brzegi wygryzionej przez mole zmienopolaryzacyjnej zasłony przesiąkał świt: perłowoszare światło kładło się w rozmytych pasach na suficie i ścianie. Spojrzała na zegarek i jęknęła. Krzyki na zewnątrz były zbyt stłumione, by je zrozumieć, ale nie musiała słyszeć słów.

Zadzwonił jej telefon leżący na stole przy łóżku.

- Tak?

W jej uchu zabrzmiał głos Nortona.

- Słyszysz fanów?

- Nie śpię, prawda?

- Słuszna decyzja, Sev. Gdybyśmy zostali w mieście, byłoby po nas. Znów uratował nas ten twój wredny umysł gliny.

- No tak. - Odsłoniła koc i spuściła nogi na podłogę. Na odsłoniętych kończynach natychmiast pojawiła się gęsia skórka. - Czyli Parris jednak ma przyjaciół w Tallahassee.

- Jeszcze lepiej. - Głos Nortona brzmiał cierpko i ponuro. - Poszedł do mediów. Jesteśmy w „Dzień dobry, Południe”.

- O cholera. - Zaczęła macać wolną ręką w poszukiwaniu ubrania. - Myślisz, że zdołamy się stąd jeszcze zabrać?

- Cóż, z pewnością nie suborbitalnym. Ktokolwiek utajnił w więzieniu genetyczne sekrety Marsalisa, dał sobie spokój. Facet jest spalony. Albo Parris puścił farbę, albo sprzedał go ktoś wyżej.

- To musiał być Parris.

- Cóż, w każdym razie teraz na zewnątrz mamy tłum Jezusowców przy obu bramach, na dodatek z każdą chwilą zbiera się ich tu coraz więcej. Prawdziwi wierni, sądząc po wyglądzie. Właśnie skończyłem rozmawiać z naszym rzecznikiem prasowym w Miami: powiedziała mi, że ewangeliści ustawiają się w kolejce do transmisji stąd aż po Alaskę. - Usłyszała, że

Norton się szczerzy w uśmiechu. - Sev, nie próbujemy już tylko uniknąć republikańskiej sprawiedliwości. Chronimy obrzydlistwo w oczach Pana.

- Świetnie. To co robimy? - Sevgi wcisnęła ramię w rękaw koszulki. - Lecimy do domu po staremu? INKOL ma tu kilka learów do płaskich lotów, prawda? Loty krótkodystansowe dla VIP-ów.

- Tak przypuszczam.

- I nie zestrzelą nas, gdy wlecimy w przestrzeń powietrzną Republiki, prawda?

Norton nie odpowiedział. W połowie zapinania bluzki Sevgi przypomniała sobie o miseczkach profilujących. Z powrotem rozpięła bluzkę i pomacała po podłodze.

- Tom, daj spokój. Chyba nie myślisz poważnie...

- No dobra, nie. Pewnie nas nie zestrzelą. Ale mogą zmusić pilota do zawrócenia na lotnisko międzynarodowe w Miami i zabrać nas tam z samolotu. Nie jesteśmy tu zbyt popularni, Sev.

- Nigdzie nie cieszymy się cholerną popularnością - mruknęła. Zauważyła oleisty błysk miseczki koło nóg łóżka. Złapała ją dwoma palcami i przycisnęła pod prawą piersią. - No dobra, Tom. Co mam zrobić?

- Pozwól mi porozmawiać z Nicholsonem. - Zignorował jej prychnięcie. - Sev, może to dupek, ale wciąż jest odpowiedzialny za nasze operacje. Dla niego nie będzie to wyglądać ani trochę lepiej niż dla nas, jeśli wylądujemy zamknięci w jakimś więzieniu w Miami.

Sevgi przeglądała zaciemniony pokój w poszukiwaniu drugiej miseczki.

- Tom, Nicholson nie wda się w walkę na poziomie kongresu stanowego, dobrze o tym wiesz. Jest za bardzo polityczny, żeby denerwować ludzi o takim przełożeniu. Jeśli Tallahassee ustawi się w jednej linii w tej sprawie, zostaniemy tu sami na wietrze.

Kolejna chwila wahania. Odgłosy tłumu na zewnątrz przybrały niczym odległy przyptyw. Sevgi znalazła miseczkę pod łóżkiem, wyłowiła ją i niezgrabnie lewą ręką umieściła pod lewą piersią. Usiadła na brzegu łóżka i zaczęła ponownie zapinać bluzkę.

- Powiedz mi, że się mylę.

- Myślę, że się mylisz, Sev. Nicholson zobaczy w tym naruszenie autorytetu ochrony INKOL i już samo to sprawi, że zaczniesz źle wyglądać. Nawet jeśli sam nie postawi się bezpośrednio Tallahassee, pošle to w górę z adnotacją o konieczności szybkich działań.

- A tymczasem co, siedzimy tu na tyłkach?

- Są bardziej nieprzyjemne miejsca, w których można utknąć, Sev. - Westchnął. - Słuchaj, w najgorszym wypadku będziesz musiała spędzić dzień na plaży ze swoim nowym kumplem.

- Moim nowym... - Sevgi odsunęła telefon od ucha i popatrzyła na niego. Ekranik był niewinnie przyciemniony. Norton nie włączył podglądu wideo. - Pieprz się, Tom.

- To był żart, Sev.

- Tak? W takim razie jak następnym razem odwiedzisz Piątą Aleję, kup sobie nowe cholerne poczucie humoru.

Rozłączyła się.

\* \* \*

Z wieży obserwacyjnej od strony lądu nie wyglądało to groźnie. Kilkaset różnorodnie ubranych kobiet i mężczyzn kręcących się przed główną bramą ośrodka, podczas gdy na lewo siwowłosa postać w garniturze perorowała z przenośnego podium ze wzmacniaczem. W powietrzu nad tłumem unosiło się kilka amatorskich, pospiesznie przygotowanych holotransparentów. Przy drodze stały zaparkowane łzy i trochę staromodnych samochodów, o które grupkami opierali się ludzie. Od szkła i lakierowanych powierzchni odbijało się wczesnoporanne słońce. Na niebie tańczyło kilka helikopterów, które sądząc po barwach, należały do stacji medialnych.

Nie wyglądało to groźnie, ale znajdowali się dobre dwieście metrów od bramy: dźwięki były przytłumione i nie widać było szczegółów. Jako oficer patrolu Sevgi kilkakrotnie miała do czynienia z kontrolą tłumów i nauczyła się nie dokonywać szybkich ocen sytuacji, w których zbierały się gęste tłumy. Wiedziała, jak szybko mógł się zmienić ich nastrój.

- ... może mieć ludzką postać, ale nie dajcie się zwieść formie. - Doleciały do niej słowa z systemu podium, wciąż stosunkowo spokojne. Kimkolwiek był kaznodzieja, powoli się rozgrzewał. - Człowiek został stworzony na obraz Boga i z Jego miłości. To... stworzenie... zostało utworzone przez aroganckich grzeszników przez rozbicie nasienia, które Bóg dał nam w swojej mądrości. Biblia mówi nam...

Przestała słuchać. Zmrużyła oczy, wpatrując się w jeden z krążących w górze helikopterów.

- Żadnej policji stanowej? - zapytała strażnika na wieży.

Potrząsnął głową.

- Pojawia się, jeśli ten tłum zacznie atakować bramę, ani chwili wcześniej. A nawet wtedy wiedzą, że siły ze skutkiem śmiertelnym wolno im



użyć tylko w przypadku przerwania zabezpieczeń.

Twarz miał bez wyrazu, ale nie dało się nie zauważyć goryczy w jego głosie. Imię na plakietce, Kim, znaczyło, że był Amerykaninem koreańskiego pochodzenia, ale Sevgi przypuszczała, że był dostatecznie podobny do Chińczyków, by mieć podstawy do goryczy. W czasach przed Secesją tłumy gorączki Zhang nie były zbyt wybiórcze w linczowaniu.

- Wątpię, żeby do tego doszło. - Udała pewność siebie. - Wyniesiemy się stąd do południa, a wtedy wrócą do domu.

- Miło słyszeć.

Zostawiła go wpatzonego w tłumy za liniami obrony INKOL i zeszła po schodach na ziemię. W placówce panowała złowieszcza cisza, kontrastując z hałasem na zewnątrz. Na czas kryzysu zawieszono działanie nanokratownicy i zamknięto wszystkie hangary magazynowe. Szerokie na dziesięć metrów ciągniki towarowe siedziały nieruchomo na wiecznobetonowych podjazdach i parkingach niczym olbrzymie oskalpowane czołgi, porzucone z końcem jakiegoś tytanicznego miejskiego starcia. Ich platformy ładunkowe były puste.

Na drugim końcu kompleksu kratownica wbijała się w pokrywę chmur niczym wyjście awaryjne w skali Boga. Przy niej wszystko na ziemi wyglądało jak zabawki. Perez została zbudowana dość wcześnie, w czasach, gdy Mars był wciąż ledwie poznaną pustynią, a Bradbury zbiorem kopuł ciśnieniowych. Teraz wyglądała na zużytą i porzuconą, same odcienie szarości i czerni z przesadnie wielką strukturą wspornika. W porównaniu z żywymi, jaskrawymi barwami minimalizmu Sagana lub Kaku Perez stanowił relik. Nawet dla Sevgi, która nie lubiła kratownic niezależnie od ich cholernego koloru, był to smętny widok.

- Byłaś kiedyś na górze?

Obejrzała się i zobaczyła, że Marsalisowi udało się zbliżyć do niej na niecałe dwa metry bez zdradzenia się żadnym dźwiękiem. Teraz stał i przyglądał jej się z namysłem w sposób, który tak bardzo przypominał Ethana, że wywołał mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

- Na tej nie. - Kiwnęła głową w stronę północy. - Szkolili mnie głównie w Nowym Jorku, kratownica Kaku. Byłam też na Saganie i Hawkingu, i na tej, którą zbudowali w Levin.

- Nie brzmi to zbyt entuzjastycznie.

- Nie.

Uśmiechnął się.

- Ale dobrze płacą, prawda?

- Dobrze płacą - zgodziła się.

Obejrzał się w stronę bramy. Uśmiech zgasł.

- Cały ten hałas z mojego powodu?

- Owszem. - Poczula się dziwnie zawstydzona, jakby Republikanie po drugiej stronie siatki byli jej znajomymi, za których złe zachowanie powinna przeprosić. - Możesz podziękować swojemu kumpłowi Parrisowi. Najwyraźniej jednak wziął do siebie twoje odejście. Sprzedał całą sprawę lokalnym mediom.

- W takim razie dobrze zrobiłaś, zabierając nas tu wieczorem.

Wzruszyła ramionami.

- Trochę zajmowałam się ochroną świadków. Człowiek uczy się niczego nie przyjmować na wiarę.

- Rozumiem. - Przez chwilę jakby się nad czymś zastanawiał. - Dacie mi broń?

- To nie wchodzi w skład umowy. Nie czytałeś drobnego druku?

- Nie.

To ją zatrzymało.

- Nie czytałeś?

- Siedziałas kiedyś w więzieniu w Jezusowie? - Uśmiechnął się łagodnie, ale oczy miał twarde od wspomnień. - Nie jest to miejsce, w którym ktoś czepia się szczegółów, jeśli dadzą mu szansę wyjścia.

- Racja. - Odchrząknęła. - Cóż, drobnym drukiem napisano, że jesteś zatrudniony przez INKOL w charakterze doradcy, niejako przedstawiciel służb siłowych. Czyli, nie potrzebujesz broni.

- Będę potrzebował, jeśli te jezusowskie świry postanowią zaatakować płoty.

- Do tego nie dojdzie.

- Porusza mnie twoja pewność siebie. Możemy stąd odlecieć?

- Raczej na to nie wygląda. Tom pracuje nad podejściem dyplomatycznym, ale chwilę potrwa, zanim będzie wiadomo, czy można zaryzykować. W tej części świata siły powietrzne mają skłonność najpierw strzelać, a potem badać wrak.

- Tak, słyszałem o tym. - Obrócił się plecami do płotu pod napięciem i bramy, patrząc na lśniącą powierzchnię Atlantyku. - A skoro o tym mowa, czemu właściwie wojsko Wybrzeża nie wysłało pocisku w tyłek „Horkan’s Pride”, gdy przekroczył ich granicę? Słyszałem, że ci goście też są szybcy, a

to musiało wyglądać na całkiem spore zagrożenie.

- Ponoć wybił im to z głowy lokalny przedstawiciel INKOL.

- Tak? - Marsalis uniósł brew.

- Owszem. Ostatnio mamy całkiem dobre stosunki z Wybrzeżem, nie tak jak tutaj. W zeszłym roku wynegocjowaliśmy bezpośredni interfejs SI, protokoły wysokiego poziomu zaufania, minimalne buforowanie. N-dżinn Sagana wyliczył trajektorię i przesłał ją wprost do dowództwa obrony powietrznej Wybrzeża. Żadnych blokad, żadnych kontroli danych poza elementarnymi. Zeszło z buforów w kilka nanosekund. - Sevgi rozłożyła ręce. - Wszyscy zadowoleni.

- Zwłaszcza Merrin.

Nie odpowiedziała. W przerwach między uderzeniami fal z drugiej strony dobiegały strzępy pieśni śpiewanych przy bramie. Po kilku sekundach Marsalis ruszył w stronę wody. Nie odezwał się ani nie obejrzał się do tyłu. Dopiero po jego trzech krokach zrozumiała, że czekał, by kontynuowała rozmowę, a skoro tego nie zrobiła, odchodził.

- Gdzie idziesz? - Zabrzmiało to znacznie mniej swobodnie, niżby chciała.

Zatrzymał się i obejrzał.

- Czemu? - zapytał poważnie. - Czyżbym miał ograniczoną swobodę? Dla własnego dobra?

*Pieprz się.*

- Nie, po prostu. - Niezgrabnie machnęła rękami. - Na wypadek, gdybym później musiała cię szybko znaleźć.

Zważył jej odpowiedź, tak samo jak wcześniejszą o pracy w ochronie świadków.

- Idę się przespacerować po plaży - wyjaśnił. - Przejdziesz się?

- Ach... nie. - Zawahała się. Czekał. - Muszę się przyjrzeć miejscu zabójstwa Montes, póki jeszcze mamy na to czas. Spróbuję wypatrzeć coś ciekawego.

- Czy to prawdopodobne?

- Nie, ale nigdy nie wiadomo. W przeciwieństwie do policji z Angelinę od kilku miesięcy oglądamy wyniki działań Merrina. Może tam coś być.

- Czyli nie macie bezpośredniego interfejsu danych?

- Nie. Technicznie rzecz biorąc, nie są elementem Ochrony Wybrzeża. To ustawodawstwo Freeport, policja Angelinę ma autonomię, pracują prawie tak jak wydziały policji tu, w Republice.

- I nie dzielcie się swoimi danymi na temat tej sprawy z tamtymi gośćmi?

- Nie. Mówiłam ci, nie chcemy wzbudzać paniki. - Machnęła z rezygnacją w stronę śpiewającego tłumu. - Posłuchaj tego. Jak twoim zdaniem ludzie zareagują na wiadomość, że w Północnej Ameryce grasuje trzynastka-kanibal, zabijająca wybranych obywateli? Pamiętasz Sandersena?

- Erica Sandersena? - Wzruszenie ramion. - Jasne. W zeszłym roku spędziłem kilka miesięcy na szukaniu go, jak wszyscy inni.

- W takim razie pamiętasz, jak to wyglądało. Siedem tygodni i w pięciu stanach Republiki prawie wprowadzono stan wojenny. Media wrzeszczące z ekranów o klonowanych potworach. Uzbrojony motłoch próbujący się dostać na teren Cimarron aby wszystkich tam wymordować. Wzdłuż całej granicy Wybrzeża stan podwyższonej gotowości. Gdyby Sandersen się w końcu nie zdradził, doszłoby do powtórki z gorączki Zhang. A on tylko uciekł. Nikogo nie zabił. Tym razem tłumy by oszalały.

- Tak, tłumy. Wy, ludzie, znowu wpadliście na ten pomysł.

Sevgi zignorowała przytyk.

- Po prostu nie chcemy kolejnej rzezi - stwierdziła, unikając tematu. - Dajemy lokalnej policji znać, że jesteśmy zainteresowani i pomagamy im, na ile możemy. Ale nie możemy nikomu pozwolić poznać całego obrazu.

Kiwnął głową. Wyglądało na to, że zapomniał o spacerze.

- W takim razie jaki obraz im przedstawicie?

- Oficjalnie w Republice mówimy, że chodzi o marstech. Gang dokonujący napadów i sieć dystrybucji, walka o strefy wpływów. - Słowa w jej ustach brzmiały pusto, równie nieprzekonująco i fałszywie jak korporacyjne hasła o misji. Stłumiła grymas i mówiła dalej. - W przypadku śmieci w rodzaju Eddiego Tanaki nie było z tym problemu. W przypadkach, gdy ofiara jest powszechnie szanowana, mówimy o zabójstwach przypadkowych świadków albo o pomyleniu tożsamości.

- Nie brzmi to zbyt solidnie. Co robicie ze śladem genetycznym?

- Zabieramy im. N-dżinny INKOL mają dostęp do policyjnych baz danych w całej Ameryce Północnej, wyłapują wszystko, co pasuje do profilu. Zazwyczaj dzieje się to na długo przed tym, zanim ekipa śledcza zabierze się do poszukiwania śladów genomowych na miejscu zbrodni, więc w większości przypadków trafiamy tam, zanim ktokolwiek się zorientuje, że maczała w tym palce trzynastka.

- W większości przypadków?

- Tak, było paru biegłych medycznych, na których musieliśmy naciskać, żeby trzymali głowę na kłódce. - Odwróciła wzrok. - Nie jest to trudne, gdy ma się za plecami INKOL.

- Tak, zapewne nie jest.

Poczuła, że się czerwieni.

- Słuchaj, muszę iść do budynku wysyłkowego. Jak chcesz na plażę, proszę bardzo.

- Nie, w porządku. Pójdę z tobą.

Posłała mu ostre spojrzenie. Odpowiedział niewinnym wyrazem twarzy.

- Równie dobrze też mogę się przyjrzeć Montes. Zacząć zarabiać na utrzymanie.

Przeszli więc razem przez plac pod wieżą obserwacyjną, kierując się w stronę głównego kompleksu. Zaczęło się robić ciepło, więc w nozdrza Sevgi zaczął uderzać jej własny, trochę nieświeży zapaszek. Zaczęła żałować, że przed wyjściem z pokoju nie wzięła prysznic.

- Czyli mówiłaś - Marsalis wrócił do tematu - że Republika nie wie, że to ma związek z „Horkan’s Pride”?

- Nie. W wiadomościach podano, że nikt nie przeżył. Pozwoliliśmy im wydłubać wątek kanibalizmu i powiedzieliśmy, że ktokolwiek, kto pozostałby przy życiu, zginąłby przy wodowaniu. Daliśmy im nawet zdjęcia.

- Ach.

- Tak. - Sevgi wyduła wargi. - Kanibalistyczny horror upiornego statku - kliknij, aby zobaczyć więcej. Sprzedało się jak świeże bułeczki, trafiło na każdą stronę w sieci. Kompletnie zapomnieli o dochodzeniu dziennikarskim.

- Wygodne.

- Standard. - Wzruszyła ramionami. - Amerykańskie media już od ponad stu lat wolą sensacje od faktów, a Secesja tylko podbiła ten trend. W każdym razie to rzeczywiście jest cud, że Merrin przeżył wodowanie. No wiesz, musiał znaleźć jakiś sposób na oszukanie systemu, by pozwolił mu wejść z powrotem do kriokapsuły, która jest na tyle niesprawna, że nie działają już protokoły kriogeniczne. Musi więc sobie jakoś z tym poradzić, przekonać kapsułę, żeby mimo wszystko wypełniła się żelazem, utonąć żywcem, zachowując przytomność...

- Z drugiej strony miał mnóstwo czasu, żeby nad tym popracować.

- Wiem. Ale to dopiero początek. Potem musi tam leżeć i pozwolić systemowi na utopienie siebie, bez uśpienia. Musi oddychać żelazem, przytomny, świadomy, z pełnymi płucami, przed dobre dwadzieścia minut,

podczas gdy „Horkan’s Pride” dokonuje końcowego podejścia, wchodzi w atmosferę, dokonuje korekt kursu i rozbija się w oceanie.

Minęli z prawej strony dinozaurowy maszyn transportera, który zasłonił wczesnoporanne słońce. Gdy weszli w jego długi cień, Sevgi zadrżała z chłodu. Prawie oskarżycielsko spojrzała na Marsalisa.

- Pomyśl sobie, jakie to musiało być uczucie - zamknięty w stojącej trumnie z tym paskudztwem wypełniającym ci nos, usta i gardło, wlewającym się i zapelniającym płuca i naciskającym na oczy, a wszędzie wokół ciebie statek trzęsie się, jakby miał się rozlecieć, a może rzeczywiście to robi. Możesz sobie wyobrazić, jak musiał się czuć?

- Staram się tego nie robić - odpowiedział łagodnie. - Wiemy, jak dostał się na brzeg?

Kiwnęła głową.

- Pierwsza ofiara w okolicach San Francisco, Ulysses Ward. Widziałeś go na mapie zeszłej nocy. Ktoś w rodzaju magnata modyfikowanej mikrofauny, miał farmy na całym wybrzeżu hrabstwa Marin i trochę zakotwiczonych tratw planktonowych jakieś sto kilometrów od brzegu. Nie mamy zdjęć satelitarnych, które by to potwierdzały, ale wygląda na to, że był przy nich z robotami konserwacyjnymi, gdy wodował „Horkan’s Pride”. Zaciekawilo go, podplynał zbyt blisko, i to go kosztowało życie.

- Albo popłynął tam specjalnie, żeby odebrać Merrina.

- Tak, też o tym pomyśleliśmy. Ochrona Wybrzeża puściła na poszukiwania n-dżina, ale nie znaleźli niczego, co łączyłoby Warda i Merrina. Cofnęliśmy się o czterdzieści lat. Jeśli nie znali się we wcześniejszym życiu, to był to po prostu pechowy przypadek.

- Jak go zabił?

- Strzelbą Cressi na rekiny. Widziałeś kiedyś kogoś zabitego czymś takim? - Sevgi obrazowo machnęła rękami. - Zaprojektowano je, żeby zatrzymać wielkiego rekina przez dziesięć metrów wody, to praktycznie ręczny dezintegrator. Rozsmarował brzuch Warda po wszystkich meblach. Plus jeszcze jednego pracownika, niejakiego Emila Nocerę, wszystko jednym strzałem.

- Dzięki za wizję.

- Proszę. Ekipa śledcza mówiła, że była tam jeszcze dwójka pracowników, ale uciekli.

- Trudno im się dziwić.

- Właśnie, poza tym pracowali nielegalnie. Najwyraźniej podobnie jak

większość tamtejszej siły roboczej. Jak widzą coś takiego, to nie zamierzają zostać w okolicy jako świadkowie. Ochrona Wybrzeża ich szuka, ale nie mają wielkich nadziei.

- Wiedzą, o co tu chodzi?

- Oni tak, ale nikt więcej. Opinia publiczna o niczym nie wie, nie możemy sobie na to pozwolić, oni zresztą też nie. I tak sytuacja między Wybrzeżem i Jezusowem jest dość napięta, nie trzeba im jeszcze mówić, że facet traktuje ich wypieszczoną granicę jak przedszkolny płótek.

- Ale gliniarze z Wybrzeża wiedzą, że gość zabija też w Republice?

- Tak, zostali wprowadzeni.

- Miło z ich strony, że trzymają dla was gęby na kłódkę.

- Cóż, jak mówiłam, między stronami płotu nie ma ciepłych uczuć. A źle by wyglądało, gdyby potężne i zaawansowane techniczne Stany Wybrzeża nie potrafiły powstrzymać jakiegoś maniackalnego zabójcy przed przejściem przez granicę i mordowaniem w Republice. Wyobraź sobie, jak by to rozegrali w dyplomacji.

- Po co komu technologia bez Boga u boku?

- Właśnie. Poza tym gdyby wypłynęło, że rzeczony maniackalny zabójca jest, uch...

- Potworem genetycznym? - zapytał łagodnie. - Świrem?

- Tego nie powiedziałam.

- Nie. Chyba nie.

- Republika już sprzedaje swoim obywatelom bzdury o tym, jak to Wybrzeże jest tylko parawanem i przykrywką dla Chińczyków. A przy historiach docierających z Chin, uciekinierach z czarnych laboratoriów... - Znów wzruszyła ramionami. - Cóż, sam chyba rozumiesz, jak mogliby to wykorzystać, nie?

- Mniej więcej. Nie ma to jak strach przed potworem.

Wyszli z cienia transportowca. Sevgi obróciła głowę przed nagłym blaskiem słońca i chyba zauważyła uśmiech na ustach murzyna. Jego wzrok przeniósł się gdzieś daleko poza budynki otaczające nanokratownicę.

- Coś cię bawi?

Wrócił myślami do chwili obecnej, ale nie spojrzał na Sevgi.

- Właściwie nie.

Zatrzymała się.

Po kilku krokach on też się zatrzymał, po czym obrócił się do niej.

- O co chodzi?

- Jeśli masz coś do powiedzenia - oświadczyła bezbarwnie - chciałabym to usłyszeć. To się nie uda, jeśli nie będziesz się do mnie odzywał.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- To naprawdę nic ważnego - rzucił swobodnie. - Pewnie można by to uznać za rezonans.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Rezonans z czym?

Westchnął.

- Rezonans z potworami. Wiesz, czym jest *pistaco*?

Przejrzała pamięć, wyciągnęła coś z odbytego dawno temu szkolenia na temat przestępstw w obozach szkoleniowych na Altiplano.

- Tak, to coś w rodzaju demona, prawda? Coś, w co wierzą Indianie. Jakiś wampir?

- Blisko. *Pistaco* to biały z długim nożem, który przychodzi w nocy i sieka Indian, żeby zabrać im tłuszcz. Najprawdopodobniej to pamięć kulturowa z czasów Konkwisty oraz inkwizycji, bo oni z pewnością nie wzbraniali się przed odrobiną ćwiartowania w imię Złota i Jezusa Chrystusa. Ale w tych czasach na Altiplano mają nowe podejście do tej historii.

- To znaczy?

Marsalis się wyszczerzył. Poruszyło ją, do jakiego stopnia przypominał jej Ethana, jak sięgał w głąb niej i dotykał tych samych miejsc, co on.

- Obecnie mieszkańcy Andów nie wierzą już, że *pistaco* jest białym jako takim. To przypadek. Wciąż ten sam potwór, wciąż wygląda tak samo, ale teraz historia jest taka, że *pistaco* to coś złego, co biały sprowadził.

Kiwnął głową w stronę pajęczej wieży nanokratownicy.

- Sprowadził z Marsa.



## ROZDZIAŁ 15

Zanurzyli się w objęcia kodów.

Sevgi poczuła się oddzielona od rzeczywistości, odsunięta od niej jak małe dziecko odciągane od ekranu telewizora przez ciepłe dłonie rodziców. Fotele w INKOL Floryda były starociami, trzydziestoletnimi egzemplarzami z magazynów wojskowych, w pełni osłoniętymi i wyciszonymi, a teraz w panującej w nich ciszy rozległ się cichy dzwonek, zdający się rezonować głęboko w jej wnętrzościach. Z przyzwyczajenia pozwoliła sobie skupić się na nim. Łagodne skierowanie na nowy punkt skupienia uwagi. *Popatrz tutaj, popatrz tutaj.* Kolory nad głową zdawały się splatać w coś znaczącego, tuż za granicą skojarzenia. Dzwonienie stało się biciem serca, drzeniem krwi w żyłach i tętnicach, komórkową świadomością. Spirale splotły się i przyczerniły, ustępując przed blaskiem jak stapiająca się antyczna taśma z celuloиду. Wokół niej zarysował się standardowy pustynny format.

Rozejrzała się. Marsalisa nie było obok.

- Dzień dobry pani.

Przywitał ją konstrukt policji z Freeport, przystojny czarny posterunkowy po dwudziestce z insygniami błyskającymi w pozbawionym żaru słońcu Arizony. Tkanina jego munduru z krótkimi rękawami miała idealną teksturę prosto z fabryki, podobnie jak jego nienaganna namalowana skóra, pod którą na rękach i karku kłębiły się powrozy mięśni. Sevgi pomyślała cierpko, że mógłby wyjść wprost z wczesnych eksperii porno, z tych części z historyjką, przed zdjęciem ubrań. Domyśliła się, że miał wywoływać zaufanie i szacunek dla przedstawicieli prawa w Angelinę, ale zamiast tego wzbudził w niej wesołość i lekkie pożądanie.

*No cóż, przynajmniej to nie jest kolejny pieprzony idealny supersamiec.*

Właściwie trochę więcej niż lekkie.

- Uch, czekam...

- Na kolebę. - Konstrukt kiwnął głową. - Wchodzi, ale powoli. Mogę zobaczyć upoważnienie?

Sevgi uniosła otwartą dłoń i przyglądała się, jak wylatują z niej motki niebieskawego kodu maszynowego. Upadły na ziemię z lekkim trzaskiem i znikły w piasku, jakby wsiąknęły. Pomimo ich koloru nieprzyjemnie przypominało to przyglądanie się krwawieniu z rozciętego nadgarstka. A

przynajmniej wyobrażała sobie, że tak by to wyglądało, gdyby...

*Dość tego.*

- Dziękuję. Może pani kontynuować. - Nagle przed nią zmaterializowały się znajome struktury budynków baz danych. Konstruktor ustąpił w bok, by podkreślić nowy status Sevgi. - Pani kolega również.

Nie zauważyła. Obok niej z powietrza wyłaniał się Marsalis. Przyglądając się jego materializacji, nagle straciła całe zainteresowanie posterunkowym. Przyciągały ją niedoskonałości, linie twarzy, delikatna i rozplaszczona blizna na lewej ręce, która wyglądała jak od oparzenia, ledwie zauważalne pasma siwizny we włosach. Sposób, w jaki jego usta skrzywiły się lekko w prawo na widok posterunkowego. Sposób, w jaki zajął miejsce, jakby blokując prowadzące gdzieś drzwi. To, jak...

Wciąż nie była pewna, czemu nagle postanowił dołączyć do niej w wirtualu.

- Nie spieszyłeś się - rzuciła trochę ostrzej, niż zamierzała.

Wzruszył ramionami.

- Wina genów. Trzynastki mają wysoki próg odporności na techniki hipnotyczne. W Ospreyu znałem paru gości, których trzeba było uśpić, zanim w ogóle mogli skorzystać z wirtualnych formatów. Pójdziemy obejrzeć Toni?

Konstruktor poprowadził ich przez piasek do najbliższego z budynków. W powietrzu przed nimi zawisł holograficznie niebieski obraz głównej sceny zbrodni. Nietypowy był fakt, że budynek wyposażono w drzwi. Posterunkowy otworzył zasuwę z kutego metalu i pchnął drewnianą powierzchnię do środka. Otworzyła się na nienagannie wystrojony hol podmiejskiego domku.

- Nazywam się Cranston - poinformował konstruktor, gdy przechodzili obok niego. - Gdyby potrzebowali państwo pomocy ze strony wydziału, proszę mnie zawołać. Ofiara znajduje się w jadalni. Drugie drzwi na lewo. Mogą państwo wszystkiego dotykać i przestawiać, ale gdyby zmiany miały zostać zapisane, należy się najpierw skonsultować ze mną.

Toni Montes znaleźli na podłodze w jadalni, blisko fragmentu ściany, na której rozprysła się jej krew i fragmenty mózgu. Padając, zwinęła się i przetoczyła na bok z obróconą głową, prezentując gąbczasty krater rany wylotowej. Jej kończyny sprawiały wrażenie pozbawionych kości, stopy miała bosc. Lekko lśniący obrys trupa zdawał się wydzielać ją z reszty domu, jakby przygotowując do wymazania z obrazu. Gdy się zbliżyli, w holograficznych polach pojawiły się dodatkowe dane. Obrażenia tkanek,

godzina śmierci. Możliwe przyczyny dodatkowych obrażeń. Wiek, płeć, rasa. Dane genetyczne.

- Nie znoszę tych bzdur - warknęła Sevgi, żeby się odezwać. - Cholerna kultura wygody, przeszkadza tylko w tym, co chce się zobaczyć.

- Pewnie można to wyłączyć.

- Jasne. - Nie zrobiła nic, by wezwać Cranstona. - Gdy dopiero zaczynałam pracę, policja robiła próby z opcją, w której można było rozmawiać z trupem.

- Jezu, kto miał tak porąbany pomysł? - rzucił Marsalis, ale bez zaangażowania. Klęknął przy ciele, marszcząc brwi.

- Nie wiem. Jakiś programista mający za dużo wolnego czasu i szukający czegoś nowego. Według uzasadnienia miało to zapobiegać zubożeniu. Przypominać o fakcie, że to kiedyś był żywy, oddychający człowiek.

- Jasne. - Ujął jedną z dłoni kobiety leżących luźno wnętrzem do góry i delikatnie ją podniósł. Wyglądał, jakby gładził jej palce.

Sevgi przykucnęła obok niego.

- No cóż, mieli już modele, w których można było cofnąć czas, ożywić ofiarę i odtworzyć prawdopodobny przebieg wypadków. Pewnie nie robiło to dużej różnicy.

Obrócił się w jej stronę z nagle napiętą twarzą.

- Możemy tu zrobić coś takiego?

- Chcesz?

Znowu wzruszenie ramion.

- Mamy trochę czasu do zabicia, prawda?

- Dobra. Cranston?

Konstrukt wyłonił się z cienia po drugiej stronie pokoju jak obraz na kliszy fotograficznej, którą Sevgi wywoływała kiedyś chemicznie na seminarium.

- Czym mogę służyć?

Sevgi wstała i machnęła ręką.

- Może nam pan uruchomić model zbrodni? Tylko ostatnie kilka minut.

- Żaden problem. Będą państwo musieli przejść do pokoju frotowego, najprawdopodobniej tam się to zaczęło. Włączam system. Chcą państwo dźwięk?

Sevgi, która widziała sporo podobnych animacji, potrząsnęła głową.

- Nie, tylko ruchy.

- W takim razie proszę za mną.

Posterunkowy przeszedł wprost przez ścianę, co było dziwnym widokiem. Zostawili ciało i wybrali bardziej konwencjonalną drogę przez drzwi do pokoju z przodu, gdzie czekał już Cranston. Gdy weszli, niebo za oknem gwałtownie pociemniało, przechodząc w noc, a zasłony częściowo się zasunęły niczym w jakimś tanim horrorze. Przed drzwiami stała nietknięta wersja Toni Montes - przywrócona do życia na środku pomieszczenia, ze stopami wciąż w kremowo-zielonych espadrylach dobranych kolorem do spódnicy i bluzki. Makijaż miała nietknięty i wyglądała niemożliwie doskonale.

System narysował sprawcę o krok od niej.

Był to czarny obrys mężczyzny, postać o gładkiej twarzy bez żadnych charakterystycznych rysów, standardowej masie i budowie ciała, wszystko gładkie i lśniące. Jednak wciągnął powietrze, zachwiał się lekko i skoczył na Toni Montes, uderzając ją brutalnie sierpowym. Obraz kobiety bezgłośnie poleciał w tył, potknął się i padł na kanapę. Zleciał jeden z espadryli, wylatując absurdalnie wysoko i lądując po drugiej stronie pokoju. Czarna postać ruszyła za Montes, chwyciła ją za gardło i uderzyła w twarz. Kobieta zwisała bezwładnie. Zleciał drugi espadryl. Odepchnęła się od sofy i wyprostowała, podczas gdy czarna postać stała i przyglądała się jej ze spokojem robota. Gdy Montes już stała, podszedł i uderzył ją wysoko w klatkę piersiową. Poleciała w stronę zasłon, przeturlała się, wyprostowała. Zamachnęła się paznokciami i dostała cios na odlew, który rzucił ją przez pokój. Dostała w plecy brzegiem drzwi prowadzących do przedpokoju. Tym razem padła na ziemię i tam już została.

Czarna postać podeszła do niej.

- Model sugeruje - odezwał się konstrukt - że wtedy zabójca zmusił Montes do przejścia do drugiego pokoju, rzucił ją na ścianę i strzelił w głowę. Wciąż rozważane są powody zmiany postępowania. Możliwe, że nie chciał, by akt zabójstwa został dostrzeżony przez okno prowadzące na ulicę.

Czarna postać nachyliła się nad Montes i ciągnąc za włosy, zmusiła ją do wstania. Zablokowała jej ramię za plecami i pomimo oporu przepchnęła przez drzwi prowadzące do jadalni. W progu postacie znieruchomiały.

- Chcą państwo zmienić miejsce, by obejrzeć końcową sekwencję? Sevgi zerknęła na Marsalisa. Potrząsnął głową.

- Nie. Wyłącz to.

Montes i czarny obrys jej zabójcy rozmyli się i znikli. Marsalis przeszedł przez zajmowane przez nich miejsce, zostawiając Sevgi w pokoju

frontowym. Gdy poszła za nim, zastała go znów klęczącego przy ciele, wyraźnie czytającego coś z holoeckranu.

- Jest tam coś, co ci się podoba? - Stary dowcip wydziału zabójstw, czarny humor miejsca zbrodni. Powiedziała to jeszcze zanim słowa dotarły do jej mózgu.

Podniósł wzrok i wydawał się skanować pokój.

- Będę musiał zobaczyć wcześniejsze akta.

Zamrugła.

- Wcześniejsze akta czego?

- Jej wcześniejsze akta. - Wskazał na trupa. - Montes.

- Marsalis, ona była cholerną gospodynią domową. - Zdała sobie sprawę z własnej złości i łatwości, z jaką z powrotem zanurzyła się w makabrę miejsca zbrodni. Opanowała się. - To mieszkająca na przedmieściach matka dwójki dzieci, w wolnych chwilach zajmowała się handlem nieruchomościami. O jakich aktach mówisz?

Zawahał się. Wstał i znów rozejrzał się po pokoju, jakby nie mógł dojść do tego, jak Montes mogła mieszkać w takim wystroju.

- Marsalis?

Obrócił się do niej.

- Jeśli ta kobieta była sprzedawczynią nieruchomości, to ja jestem pieprzonym bonobo. Wyjdziemy na powietrze?

Przechyliła głowę.

- W wirtualu?

- Figura retoryczna. Gdzieś w tym formacie musi być sala odpraw. Może się tam przeniesiemy?

\* \* \*

Poziom odpraw był niskiej klasy, coś w rodzaju płaskowyżu, na który można było dostać się z dowolnego miejsca wirtualizacji przez wyrecytowanie kodu podanego im przez Cranstona. System bez zauważalnego przejścia umieścił ich w punkcie widokowym wysoko nad pustynią i budynkami danych w dole. Wyglądało na to, że z czasem różni detektywi lokalnej policji wprowadzili tu własne poprawki i zawałono go różnymi ulubionymi fotelami, kilkoma matami tatami, jednym hamakiem wiszącym na dwóch hakach wbitych w kawałki muru unoszące się w powietrzu i drugim, zawieszonym bardziej konwencjonalnie na pniach dwóch pełnowymiarowych palm, stołem do bilarda i, z niewiadomego powodu, antycznym motocyklem z toporem wbitym w zbiornik paliwa.

Panowała tu cisza, słychać było tylko wiatr świszczący na zboczu poniżej. Dostatecznie cicho, by po wytężeniu słuchu dało się wyłapać statyczny szum pracujących systemów bazodanowych. Carl przez chwilę patrzył w dół na budynki, niczego nie słuchając i myśląc. Struktury wydawały się bardzo odległe i przypuszczał, że tak powinno być. Nie było tu niczego, czym powinien się głębiej zainteresować. Zastanawiał się, na ile warto było zawracać sobie głowę mówieniem Ertekin, ile współpracy musiał udawać, by uspić jej instynkt policjantki.

- Słuchaj - powiedział w końcu. - Ta walka, którą wymodelowali tam na dole, to bzdura. Montes nie była ofiarą, cały czas walczyła z tym gościem. Wiedziała, jak walczyć. To dlatego nie miała kapci. Nie straciła ich podczas łomotu, zrzuciła je, żeby lepiej się bić.

- I na czym opierasz to zdanie?

- Na razie na instynkcie. - Uniósł rękę, żeby zablokować protest. - Ertekin, nie mówimy tu o jakimś porąbanym seryjnym zabójcy. Merrin przebył całą drogę do Freeport po to, żeby zabić tę kobietę. To znaczy, że była kimś szczególnym.

- Może. Ale to nie czyni z niej ekspertki od walki.

- Nie. W przeciwieństwie do jej dłoni. - Uniósł teraz obie dłonie wnętrzami do siebie, z lekko zgiętymi palcami, w pół drogi do zasłony. - Ona ma na kostkach stop kostny, czuć go pod skórą. Prawdopodobnie wapnobeton. To technologia bojowa.

- Albo element wspomagania w menopauzie.

- W wieku czterdziestu czterech lat?

Ertekin uparcie potrząsnęła głową.

- Zeszłej nocy przejrzałam jej dane. Nie ma tam nic o szkoleniu bojowym. Zresztą to się nie klei ze śladowym materiałem genetycznym, który znaleźliśmy pod jej paznokciami. Naprawdę sądzisz, że profesjonalistka zawracałaby sobie głowę drapaniem napastnika?

- Nie. Myślę, że zrobiła to, gdy już zrezygnowała. Kiedy już podjęła decyzję, że pozwoli się zabić.

- Czemu miałyby...

Zobaczył, jak to do niej dociera, jak wygładza się jej czoło i szerzej otwierają się oczy z ciężkimi powiekami. W świecącym tu słońcu Arizony zdał sobie nagle sprawę, że Sevgi ma bursztynowe oczy.

- Wiedziała, że to znajdziemy.

- Właśnie. - Znów poważnie popatrzył na budynki z danymi. - Toni

zbierała dla nas dowody. Pomyśl o tym przez chwilę. To kobieta, która wie, że za chwilę zginie. Niecałą minutę przed śmiercią kombinuje, jak dorwać faceta zza grobu. A to jest albo przejaw psychotycznej siły woli, albo szkolenia. Lub obu.

Przez chwilę stali w milczeniu. Znow na nią zerknął i zobaczył, jak wiatr wykręca jej włosy wokół linii szczęki. Drobny ruch, prawie nieistniejący, ale coś w nim wywołało wewnętrzną reakcję. Musiała ją poczuć, bo obróciła się i zauważyła, że Carl na nią patrzy. Przez chwilę patrzyła na niego z pełną siłą oświetlonych słońcem tygrysyich oczu, potem szybko odwróciła wzrok.

- Analiza genowa nie wykazała żadnego wspomagania - zauważyła. - Standardowy zestaw chromosomowy, dwadzieścia trzy pary, bez anomalii.

- Nie twierdzą, że muszą być. - Westchnął. - To cały problem z obecną techniką. Jak tylko w kimś wyjdzie coś niezwykłego, wszyscy pędzimy do katalogu wspomagania, szukając korelacji. Musi być coś wciśniętego w ekstrason, coś cholernie sztucznego. Nikt nigdy się nie zastanawia, czy to nie może być staromodna dziedziczność i warunkowanie kształtujące.

- Bo obecnie zazwyczaj tak nie jest.

- Tak, cholera, nie przypominaj mi. Gdy tylko teraz ktoś coś wygra, jakieś konsorcjum genowe dobiera się do niego, kiedy tylko zejdzie z wizji. - Carl uniósł ręce w parodii mowy dziękczynnej. - *Chciałbym tylko powiedzieć, że nie dokonałbym tego bez pomocy dobrych ludzi z Amino Solutions. To oni w pełni uczynili mnie takim, jakim jestem.* Jasne. Pieprzyć to.

Dziwnie na niego patrzyła, wiedział o tym.

- Co?

- Nic. Takie podejście u ciebie wydaje mi się trochę dziwne. Po prostu.

- Och, ponieważ jestem trzynastką, musi mi się podobać ta płatna doskonałość, w której wszyscy żyjemy. Słuchaj, Ertekin, ze mną zagrali w kości, tak jak z tobą. Nikt nie dodawał mi in vitro żadnych dodatkowych chromosomów. Mam dwadzieścia trzy pary, jak ty, i to, czym jestem, jest wpisane we wszystkie. Dla takich śmieci jak ja nie ma opcji odrzucenia zmian. Żadnego sekwencera, który można mi wstrzyknąć i umożliwić bezpieczne rozmnażanie.

- W takim przypadku - zauważyła cicho - sądziłabym, że uznasz ekstrasony za krok naprzód. Przynajmniej dla następnego pokolenia.

Przez chwilę czuł przytłaczający go własny gniew, przewalający się w klatce piersiowej jak porzucony worek treningowy po ciosie. Przed oczyma

przemknęły mu obrazy ostatnich czterech zmarnowanych miesięcy.

Odepchnął to od siebie.

- Chwilowo trochę brak mi takiej perspektywy. Ale zostanemy przy Montes, dobrze? Jednego jestem pewien: miała doświadczenie w walce, przynajmniej szkolenie bojowe. Jeśli nie ma tego w jej aktach, to z jakiegoś powodu to ukryła. Nie byłaby pierwszą osobą, która pojawiła się w Angeline Freeport z nowiutką tożsamością. Nie byłaby pierwszą, która wyszła za osobę nieświadomą jej przeszłości, więc rozmowa z mężem pewnie będzie stratą czasu.

- Tak. Zazwyczaj tak jest.

- Ile lat mają dzieciaki?

- Cztery i siedem.

- Jego?

- Nie wiem. - Ertekin sięgnęła i gestem otworzyła wirtualizację. Wyciągnęła z nicości ekran w postaci lekko świecącego tekstu, zawieszzonego w powietrzu niczym jakiś list od Boga. Przewijała go delikatnymi ruchami palców, wskazującym utrzymując w miejscu sam ekran. - Tak. Pierwsze urodziło się w Republice, wygląda na to, że krótko potem przenieśli się do Freeport. Tam urodziło się drugie.

- Czyli ona też jest z Republiki.

- Tak, na to wygląda. Myślisz, że to ma znaczenie?

- Może mieć. - Carl zawahał się, próbując ubrać w słowa resztę, niejasne wrażenia odczuwane podczas odtwarzania śmierci Toni Montes. - Jest coś jeszcze. Dzieci były oczywistą przewagą, powodem, dla którego pozwoliła mu się zabić.

Ertekin wykonała gest zdegustowania.

- Tak, już mówiłeś.

- Czyli trzeba sobie zadać pytanie, czemu mu uwierzyła. Mógł zabić ją, a potem i tak poczekać i zamordować resztę rodziny. Czemu miała wierzyć, że dotrzyma słowa?

- Myślisz, że matka postawiona w takiej sytuacji ma wybór? Myślisz...

- Ertekin, ona cały czas dokonywała wyborów. Pamiętasz ślady genetyczne pod jej paznokciami? Nie mówimy tu o cywilu, to kompetentna kobieta podejmująca serię bardzo wyrachowanych, bardzo trudnych decyzji. I jedna z nich polegała na zaufaniu mężczyźnie, który strzelił jej w głowę. Co ci to mówi?

Skrzywiła się. Słowa nie przyszły jej łatwo.



- Że go znała.

Kiwnął głową.

- Tak, znała go dobrze. Dostatecznie, by wiedzieć, że może ufać jego słowu. A gdzie podmiejska gospodyni domowa, w wolnym czasie handlująca nieruchomościami nabiera takich znajomości?

Gdy nad tym myślała, podszedł i usiadł na jednym z hamaków.

## ROZDZIAŁ 16

Kiedy wyszli, czekał na nich Norton.

Sevgi przeskoczyła z powrotem do świadomości otoczenia i zobaczyła, że Norton przygląda jej się przez szklany panel pokrywy fotela. Uczucie było podobne, jakby patrzeć na kogoś spod wody. Wcisnęła przycisk otwarcia od środka i oparła się na łokciach pod uniesioną pokrywą.

- Jakież postępy? - Własny głos zabrzmiał dla niej pusto, wciąż tłumilo go wyciszenie kabiny.

Norton kiwnął głową.

- Tak, ale z tych powolnych.

- Będziemy mogli wrócić do domu?

- Może wieczorem. Nicholson wciągnął Roth i szykuje się wojna dyplomatyczna w pełnej skali. - Wyszczrzył zęby. - Roth domaga się uzbrojonej eskorty na lotnisko międzynarodowe w Miami i eskorty myśliwców do czasu opuszczenia przestrzeni powietrznej Republiki. Naprawdę chce im dokopać.

- To nasza Andrea. - Sevgi wyciągnęła się z fotela i wyprostowała, wciąż otumaniona po czasie spędzonym w wirtualu i z braku k37. Wbrew sobie poczuła iskierkę ciepła do Andrei Walker Roth i puszczonej w ruch maszyny dyplomatycznej INKOL. Tak naprawdę nie lubiła tej kobiety, podobnie jak reszty rady politycznej - wiedziała, że tak jak pozostałych, Roth przede wszystkim interesowała władza. Ale...

*Ale czasami, Sev, dobrze jest mieć za plecami jakąś armię.*

- Cóż, przypuszczam, że prawdziwe naciski idą ze strony Ortiza. - Norton machnął w stronę drugiego fotela, w którym właśnie budził się Carl Marsalis. - Szykuje mu się nominacja na sekretarza generalnego i w ogóle. W ciągu najbliższych ośmiu miesięcy będzie pełen przyjaznych gestów w stronę ONZ. Przy odrobinie szczęścia i sprzyjających wiatrach w przyszłym roku może zostać twoim szefem, Marsalis.

Murzyn się skrzywił.

- Nie moim. Pamiętasz? Jestem niezależny.

- Co nie zmienia faktu, że to dzięki niemu mamy szansę nie siedzieć tu kolejnej nocy. Ten stan dostaje sporo podleceń z INKOL. Mnóstwo ważnych przemysłowców, którzy nie będą chcieli trudności. Ortiz będzie

szedł tym tropem, a Roth podepnie się do linii z Waszyngtonem. - Norton rozłożył ręce i obrócił się bardziej w stronę Sevgi. - Przypuszczam, że zostaniemy tu do zmierzchu. Po prostu żeby się nie wychylać.

Marsalis wstał z fotela i się skrzywił. Zaczął kręcić w kółko jednym z ramion.

- Coś się stało? - zapytała Sevgi.

Patrzył na nią przez chwilę, jakby oceniał poziom szczerzej troski w jej głosie.

- Tak. Cztery miesiące bardzo kiepskiego chlorku betamieliny.

- No tak - skomentował Norton.

Marsalis ostrożnie rozciągnął prawe ramię jak alpinista, dotykając dłonią karku i podciągając łokieć do głowy. Znów się skrzywił.

- Pewnie nic takiego tu nie macie?

Norton potrząsnął głową.

- Mało prawdopodobne. Ruch ludzki przez Perez jest ostatnio minimalny, nie ma dużego zapotrzebowania na produkty związane z siatką. Wytrzymasz, aż dotrzemy do Nowego Jorku?

- Mogę wytrzymać praktycznie w nieskończoność. Po prostu wolałbym nie, jeśli nie robi wam to różnicy. To, nieprzyjemne.

- Znajdziemy ci jakieś przeciwbólówki - obiecała Sevgi. - Powinieneś był powiedzieć coś wczoraj wieczorem.

- Nie pomyślałem o tym.

- Słuchaj, zajrzę do magazynu - zaoferował Norton. - Nigdy nie wiadomo, może znajdzie się jakiś stary zapas.

- Dziękuję. - Marsalis popatrzył na dwójkę oficerów INKOL, potem kiwnął głową w stronę drzwi pomieszczenia do wirtualizacji. - Idę się przejść. Gdybyście mnie potrzebowali, będę na plaży.

Norton odczekał do jego wyjścia.

- Przepraszam? Jeśli my będziemy potrzebować jego? To tylko mnie się coś wydaje, czy to chwilowo on potrzebuje czegoś od nas?

Nieoczekiwanie Sevgi się uśmiechnęła.

- Tom, to trzynastka. I co zrobisz?

- Na przykład mogę nie szukać zbyt intensywnie tej betamieliny.

- Podziękował.

- Jasne. - Norton niechętnie kiwnął głową. - Podziękował.

Zawahał się, a Sevgi prawie usłyszała, co zamierzał powiedzieć, jeszcze zanim otworzył usta. Nagle w niewytłumaczalny sposób poczuła potrzebę

powiedzenia tego za niego.

- Ethan, co?

- Słuchaj, wiem, że nie lubisz...

Potrząsnęła głową.

- To nie ma znaczenia, Tom. Wiesz, może po prostu jestem zbyt przewrażliwiona na pewne tematy. Może już czas. Prawda? Zamierzałeś zapytać o Ethana? Czy też był taki?

Chwila ciszy.

- Był?

Westchnęła, sprawdzając szczelność własnej samokontroli. Oddech był trochę drżący, ale poza tym *Sev, do cholery, minęły cztery lata, musisz...*

*Co? Co muszę?*

*Musisz... coś, Sev. Potrzeba ci porządnego walnięcia.*

Kolejne westchnienie. Gest w stronę drzwi, przez które chwilę temu wyszedł Marsalis.

- Tom, Ethan był innym człowiekiem. Ethan nie był swoim kodem genetycznym, nie był po prostu ożywioną trzynastką i zbudowanym pod specyfikację systemem limbicznym. On...

Kolejny bezradny gest.

- Czy widzę podobieństwa? Tak. Czy Ethan miał to samo podejście w stylu „możesz mnie pociąć na cholerne kawałki, mam to w dupie”? Tak. Czy Ethan wywoływał u normalnych mężczyzn w pokoju taką samą irytację, jak Marsalis u ciebie? Tak. Czy to...

- Sev, ja się nie...

- Owszem, Tom. Drażni cię. - Rozłożyła ręce i posłała mu stłumiony wcześniej uśmiech. - Mocno. Tak ich zbudowali, po to właśnie są. A twoja reakcja... tak jesteś zbudowany. Po prostu stworzenie ciebie zabrało ewolucji sto tysięcy lat, a ludzkiej nauce niecałe stulecie, żeby stworzyć ich. Szybsze zarządzanie systemowe, to wszystko.

- Co to ma być, cytaty z broszurki projektu Stróż Prawa?

Sevgi potrząsnęła głową, zachowując uśmiech.

- Nie. Po prostu tak mawiał Ethan. Słuchaj, pytałeś mnie, czy Ethan i ten gość są do siebie podobni. A skąd mam wiedzieć? Ethan codziennie rano wstawał pół godziny wcześniej i miał dla nas świeżą kawę. Czy ten gość by to zrobił? Kto wie?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - śmiertelnie poważnie stwierdził Norton.

Sevgi przestała się uśmiechać. Wycelowwała w niego palec.

- Nawet nie próbuj tego ciągnąć.

- Przepraszam. - Jednak nie powiedział tego zbyt szczerze. W kąciu jego ust czał się uśmiech. - Muszę iść na tą Piątą Aleję, załatwić sprawę z tym poczuciem humoru.

- Owszem.

Nagle spoważniał.

- Słuchaj, jestem po prostu ciekaw, to wszystko. Ci faceci dzielą całkiem sporo sztucznie stworzonych cech genetycznych.

- Tak, i co z tego? Twoi rodzice wprowadzili sporo podobnego materiału genetycznego tobie i twojemu bratu zaraz na początku projektu Norton. Czy przez to jesteście do siebie podobni?

Skrzywił się.

- Nie bardzo.

- Czemu więc zakładasz, że z powodu posiadania pewnych wspólnych cech genetycznych Marsalis i Ethan będą podobnymi do siebie ludźmi? Nie można ich zrównać tylko dlatego, że obaj stanowią wariant trzynasty, nie bardziej z powodu, bo ja wiem, tego że obaj są czarni.

- Och, Sev, daj spokój. Bądźmy poważni. Mówimy tu o poważnych tendencjach genetycznych, a nie o kolorze skóry.

- Jestem poważna.

- Nie, wcale nie. Miotasz się i dobrze o tym wiesz. To nie jest dobra analogia.

- Może nie dla ciebie, Tom. Ale wyjdź przez tę bramę i zobacz, jakiego rodzaju myślenie tam zastaniesz. To takie same podświadome uprzedzenia, po prostu cholernie przestarzałe, jak cała reszta Jezusowa.

Norton posłał jej bolesne spojrzenie. Ton głosu zbliżył się do nagany.

- Teraz po prostu pozwalasz sobą kierować unijnej bigoterii.

- Tak myślisz? - Nie chciała się tak rozzłościć, ale uczucie narastało i nie widziała żadnego sposobu na stłumienie go. Jej głos robił się coraz ostrzejszy. - Wiesz, Ethan odszukał kiedyś swoją genetyczną matkę. Okazało się, że jest jakimś cholernie bystrym naukowcem gdzieś w Seattle, ale pochodzi stąd.

- Z Florydy?

- Nie, nie z Florydy. - Sevgi machnęła ze złością. - Z Luizjany, Missisipi, tych okolic. Jezusowo, jak by na to nie patrzeć. Dorastała w południowych Stanach przed Secesją.

Norton wzruszył ramionami.

- Z tego co słyszałem, to dość typowe. Większość dawczyń materiału wzięli wtedy z czarnego pasa biedy. Tani surowiec, świeże jajeczka za gotówkę, nie?

- Tak, tylko że ona miała więcej szczęścia. Pozwoliła jakiejś klinice z zachodniego wybrzeża pobrać od siebie jajeczka za dość gotówki, by się urządzić i studiować w Seattle. Rzecz w tym, że poleciałam tam z Ethanem, żeby ją poznać. - Sevgi zdawała sobie sprawę, że stoi nad otchłanią, ale nie potrafiła się powstrzymać. To była ich ostatnia podróż. - Nie uwierzyłybyś w niektóre z tych rzeczy, przez które przeszła tylko z powodu koloru jej cholernej skóry. A to było zaledwie jedno pokolenie do tyłu.

- Mówisz o Jezusowie, Sev.

- Och, to kto teraz jest z Unii?

- Dobra. - W głosie Nortona po raz pierwszy usłyszała złość. - Słuchaj, Sev, nie chcesz o tym rozmawiać, w porządku. Ale zdecyduj się. Ja po prostu próbuję zrozumieć naszego nowego kumpla.

Sevgi przez chwilę patrzyła mu w oczy, potem odwróciła spojrzenie. Westchnęła.

- Nie, Tom, wcale nie. Nie o to chodzi.

- Nie? Teraz jesteś telepatką?

Zmęczony uśmiech.

- Nie muszę nią być. Przywykłam do tego. Z dawnych czasów, kiedy byłam z Ethanem. Tu nie chodzi o Marsalisa. Tu chodzi o mnie.

- Nie dość, że telepatką, to jeszcze skromna. - Jednak nie powiedział tego z przekonaniem. Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz, Tom. Może nawet sam jeszcze tego nie zauważyłeś, może po prostu nie chcesz tego widzieć. Ale tak naprawdę to chcesz poznać układy między Marsalisem i mną. Jak będę na niego reagować, jak teraz reaguję.

Norton wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Dość długo, by pomyślała, że się odwróci plecami. W końcu sam wzruszył ramionami.

- Dobra - stwierdził cicho. - To jak na niego reagujesz, Sev?

\* \* \*

Norton miał rację przynajmniej odnośnie powrotu do domu. Uzyskanie zgody zajęło resztę dnia, a kiedy w końcu nadeszła, tłumy wciąż sterczały pod bramą. Ktoś ustawił wzdłuż drogi duże, przenośne panele LCLS podłączone do akumulatorów samochodowych lub z własnym zasilaniem. Z wieży wyglądało to jak dziwaczna plenerowa galeria sztuki - małe grupki

ludzi zebranych przy każdym z paneli lub wędrujące między nimi. Śpiewy ustały z nastaniem nocy i przybiciem trzech łez policji stanowej. Stały teraz zaparkowane pośród innych pojazdów, ale jeśli policjanci, którzy nimi przyjechali, zajęli się kontrolą tłumu, byli przy tym bardzo dyskretni. A media wyraźnie wróciły do domu.

- Już to widziałem - rzucił strażnik na wieży, szczupły Latynos przybyły właśnie na nocną zmianę. - Policja zazwyczaj ich przegania, żeby nie było negatywnych relacji, jeśli zrobi się nieprzyjemnie. Bo jak do tego dochodzi, wszyscy następnego ranka puszczaają te same ocenzurowane przekazy. Tallahassee ma umowy z większością sieci, uprzywilejowany dostęp do władzy, takie bzdety. Nikt się nie wyłamuje.

- Jasne - mruknął Marsalis. - Odpowiedzialne Dziennikarstwo. Będzie mi tego brakowało.

Nocna bryza od morza była chłodna i pachniała solą. Sevgi poczuła, jak kładzie na jej policzkach pasma włosów, i równocześnie obudził się w niej policyjny instynkt. Powstrzymała się od obrócenia i spojrzenia na Carla, zachowała swobodny ton.

- Będzie ci tego brakowało? Gdzie się niby wybierasz?

Obrócił się. Spojrzała na niego z ukosa. Patrzył na nią.

- Do Nowego Jorku, nie? - odpowiedział lekko. - Terytorium Unii Północnoatlantyckiej, dumna ojczyzna wolnej amerykańskiej prasy?

Spojrzała jeszcze raz, tym razem wprost w jego oczy.

- Czy ty próbujesz mnie wkurzyć, Marsalis?

- Hej, cytuję tylko przewodnik turystyczny. Unia to jedyne miejsce na ziemi, gdzie wciąż obowiązuje wyrok Lindley kontra NSA, prawda? Wciąż macie pomnik Lindley w parku Bartery z wykutym podpisem „obrońca prawdy”. W większości znanych mi miejsc w Republice już dawno obalili te pomniki.

Odpuściła, pozwoliła chwilowo odejść instynktowi policjantki, zaznaczyła sobie, by później zwrócić na to uwagę. Co do reszty, nie wiedziała, czy właściwie zinterpretowała ironię w jego głosie. Była dość poirytowana, żeby to było możliwe, może on był dostatecznie zirytowany, by chcieć to powiedzieć. Nie mogła się w żadną stronę zdecydować. Po całym dniu czekania żadne z nich nie było w najlepszym nastroju.

Przeszła na drugą stronę wieży, zmieniła widok. Na odległym krańcu kompleksu, częściowo zasłoniętym przez niebosiężną konstrukcję kratownicy, błyszczały na zielono światła lądowiska. Znajdowały się

dostatecznie daleko, by mrugać, jakby były rozżarzonymi węgielkami, na które dmuchał morski wiatr. INKOL wysyłał po nich transportowiec, samolot, więc będą musieli jeszcze poczekać, ale był już w drodze i od domu dzieliło ich już tylko kilka godzin. Prawie czuła na skórze dotyk swojej szorstkiej pościeli.

Marsalisem będzie się martwić później.

Po kilku minutach bez słowa opuścił wieżę, schodząc na ziemię po brzęczących metalowych stopniach. Przyglądała się, jak odchodzi w świetle latarni, znów w stronę brzegu. Szedł luźnym krokiem, prawie spacerowym, gdyby nie ślad ledwie zauważalnej kontroli w sposobie poruszania się. Nie obejrzał się. Pochłonął go mrok na plaży. Zmarszczyła brwi.

*Później. Później będziesz się tym martwić, Sev.*

Pozwoliła umysłowi wejść na jałowy bieg, przyglądała się światłom.

Spośród chmur wyłonił się odrzutowiec INKOL, ozdobiony oszczędnie własnymi reflektorami. Dotknął ziemi, wyciszony przez odległość, i pokołował jak ozdobiony klejnotami cień.

Ziewnęła i poszła zebrać swoje rzeczy.

Podczas lotu zdrzemnęła się i śniła o pomniku Lindley. Obok niej w zimowym słońcu stał Murat - jak wtedy gdy miała jedenaście lat, ale we śnie była dorosła - i wskazywał na tekst wykuty w cokole.

*Istnieje tylko jedna ucieczka przed niewygodą prawdy, a jest nią ignorancja. Nie potrzeba mi wygody i nie będę uciekać. Domagam się wiedzy.*

*Widzisz, mówił. Wystarczy tylko jedna taka kobieta.*

Kiedy jednak spojrzała w górę na figurę Lindley, ta przekształciła się w obrysowanego czernią podejrzanego z konstruktów śledczego Montes i zeskoczyła na nią z cokołu z uniesionymi pięściami.

Skoczyła do tyłu i stanęła do walki, pozycja z podręcznika, blok i chwyt. Ramię postaci było śliskie i kończyło się, jak zauważyła, nie pięścią, a grecką maską teatralną wyciętą z metalu. Gdy zmagala się z rysunkiem, zrozumiała z logiką snu, że przeciwnik zamierzał przycisnąć maskę do jej twarzy, a gdy tego dokona, nigdy nie uda się jej zdjąć.

Gdzieś dalej w parku matka pchała wózek z dzieckiem. Dwójka dzieci siedziała na trawie i toczyła pojedynek za pomocą latających nad ich głowami, zdalnie sterowanych modeli myśliwców, gwałtownie przechylając przy tym głowy w hełmach sterowniczych. Jej walka toczyła się wolniej, opornie, jak tonięcie w błocie. Konstruktor morderca był silniejszy od niej,



ale żywił niechęć do taktyki. Każdy jej ruch umożliwiał zyskanie na czasie, choć nie mogła go pokonać ani wyrwać się z uścisku.

Maska zaczęła zasłaniać jej słońce.

*Zrobiłem wszystko, co mogłem*, zmęczonym głosem powiedział Murat i chciało jej się płakać, ale nie mogła. Ciężko dyszała, a oddech drapał ją w gardle. Jej ojciec odchodził, oddalając się przez park w stronę płotu i wody. Musiała wykręcić szyję, by wciąż go widzieć. Zawołałaby za nim, ale zbyt bolało ją gardło, zresztą i tak wiedziała, że to nic nie pomoże. Walka zaczynała ją wyczerpywać, powoli pozbawiając ją sił. Nawet słońce robiło się zimne. Wciąż się opierała, mechanicznie i z goryczą, a maska...

Samolot skręcił i ją obudził.

Gdy spała, ktoś przyciemnił światła kabiny i wewnątrz samolotu było pogrążone w mroku. Nachyliła się na fotelu do okna i wyjrzała na zewnątrz. Za szybą przemknęły wieże krystalicznego światła ozdobione błyskami latarni nawigacyjnych. Potem długa, mroczna nieobecność East River przecinana mostami niczym pełne klejnotów pierścienie na szczupłym i lekko wygiętym palcu. Westchnęła i zatopiła się z powrotem w fotelu.

Dom. O ile mogła go tak nazwać.

Samolot wyprostował lot. Z przedniej części wyłonił się Marsalis, prawdopodobnie w drodze do toalety. Kiwnął jej głową.

- Dobrze się spało?

Wzruszyła ramionami i skłamała.

## ROZDZIAŁ 17

Zanim wyszli z samolotu i opuścili opustoszały terminal dla prywatnych samolotów na lotnisku Kennedy'ego, była już prawie trzecia w nocy. Norton zostawił ich tuż przed niekończącym się ciągiem szklanych drzwi do wyjścia i poszedł na parking po swój samochód. Cała okolica wypełniona była grzmiącą, jasno oświetloną ciszą, która zdawała się pisać tuż poniżej progu słyszalności.

- To jaki jest plan? - zapytał ją Marsalis.

- Plan polega na przespaniu się. Jutro zabiorę cię do parku Jeffersona i przedstawię szefostwu. Roth, Ortiz i Nicholson będą się chcieli z tobą spotkać. Potem przyjrzymy się Montes. Jeśli twoja teoria się sprawdzi, gdzieś w rejestrach powinny być jakieś ślady jej poprzedniej tożsamości.

- Masz nadzieję.

- Nie, ja to wiem - odpowiedziała z irytacją. - Nikt już nie znika na dobre, nawet w Angeline Freeport.

- Merrin jakoś sobie radzi.

- Merrin to zjawisko ściśle czasowe.

Wrócili do przyglądania się okolicy wokół terminalu, aż wreszcie Norton podtoczył się swoim ekstrawaganckim cadillakiem. Jeszcze parę tygodni temu wzbraniał się przed rozkładaniem dachu, ale teraz nie było mowy, by tego uniknąć. Powietrze wczesnego poranka przed terminalem kąsało obietnicą zimowego mrozu.

- Niezła bryka - skomentował Marsalis, wsiadając.

Zajął miejsce z przodu. Sevgi przewróciła oczami i wsiadła do tyłu. Norton uśmiechnął się do niej w lusterku.

- Dzięki - rzucił i wdepnął gaz silnika magnetycznego. Nie ryknął gardłowo jak pojazdy z epoki filmów drogi, na które czasem zaciągał Sevgi do artystycznych kin w Village, ale samochód dudnił dostatecznie przyjemnie i zjechali z rampy, nabierając prędkości. Norton przejechał po skosie do wjazdu na autostradę. Kompleks lotniska został za nimi jak unosząca się w powietrzu korona wróżki. Norton znów spojrzął do lustra.

- Co robimy z mieszkaniem, Sev?

- Możecie mnie wsadzić do hotelu - rzucił Marsalis i ziewnął. - Jak chcecie. Nie jestem wybredny.

Sevgi udała ziewnięcie i rozparła się na siedzeniu.

- Jutro o tym pomyślimy. W tej chwili za dużo byłoby zachodu ze skoordynowaniem wszystkiego. Dzisiaj możesz nocować u mnie. Tom, przyprowadzę go i spotkamy się w biurze na lunch. Gdzieś na antresoli. Może być dwunasta?

- Może nocować u mnie, Sev. Mam miejsce.

- Ja też. - Udało jej się powiedzieć to bez nacisku. Wciąż wpatrywała się w matową metalową wstęgę barierki przemykającej w mroku obok samochodu. Na przeciwnym pasie autostrady przemknęła kropla taksówki. - Zresztą, Tom, potrzebowalbyś godziny na zgarnięcie tych wszystkich śmieci, które trzymasz w pokoju gościnnym. A ja muszę tylko rozłożyć kanapę. Po prostu nas wysadź, będzie dobrze.

Teraz obróciła się i spojrzała w odbicie jego oczu. Odpowiedziała śmiertelną powagą na jego powagę. Wzruszył ramionami i włączył jakąś muzykę, antyczny punk z czasów Secesji, którego już nikt nie puszczał. Detroitus albo Kod Błędu, Sevgi nigdy nie potrafiła rozróżnić tych kapel pomimo wysiłków Nortona, który starał się ją instruować. Wróciła do wyglądania za okno i pozwoliła się obmyć muzyce, ukojona przez znajome tony basu i ostre szarpanie gitar. Na jej ustach pojawiły się fragmenty słów:

*Masz wreszcie, czego chcesz, masz*

*Swój mały, zamknięty świat*

*Masz swoje własne dobro i zło*

*Pod cholerną własną flagą.*

Marsalis poruszył się, nachylając, się by odczytać tekst na wyświetlaczu odtwarzacza, po czym bez komentarza wrócił do wcześniejszej pozycji. Z głośników wylewała się gitarowa furia. Samochód sunął przez noc.

Gdy zatrzymali się przed domem Sevgi, Norton wyłączył silnik i wysiadł, by odprowadzić ich do drzwi. To był miły gest, ale było w nim coś fałszywego - w Harlemie już od dekad nie popełniano ciężkich przestępstw, a zresztą między zrobionymi z włókien węglowych szkieletami stoisk poruszały się już postacie, szykując się do handlu. Za kilka godzin to miejsce będzie pełne życia. Sevgi zanotowała sobie, by przed snem upewnić się, że wszystkie okna zostały zamknięte. Posłała Nortonowi zmęczony uśmiech.

- Dzięki, Tom. Lepiej już jedź.

- Dobra.

Zawahał się.

- To do zobaczenia na antresoli - rzuciła.

- Uch, tak. Dwunasta?
- Tak, dwunasta będzie w sam raz.
- Gdzie chcesz jeść? U Henty czy...
- Jasne. U Henty. - Już się cofała. - Brzmi nieźle.

Wolno kiwnął głową i wrócił do samochodu. Uniosła rękę na pożegnanie. Odjechał, oglądając się za siebie. Przyglądali się, jak znika z pola widzenia, po czym Sevgi obróciła się do drzwi budynku i przystawiła twarz do skanera. Drzwi otworzyły się z hydraulicznym westchnięciem.

- Szóste piętro - rzuciła, poprawiając na ramieniu torbę. - Nie ma windy.
- Tak? A to czemu?
- Urok epoki. Idziesz?

Mozolnie wspięli się na schody. W miarę ich wspinaczki na kolejnych piętrach budziły się do życia panele LCLS, gasnąc po ich przejściu. Jasne, białe światło lśniło na graffiti sprzed Secesji na murach i holozdjęciach budynku na różnych etapach budowy. Sevgi przekonała się, że zauważa je po raz pierwszy od miesiąca, w miarę jak świadomość idącego za nią mężczyzny oświetlała wszystko dla niej tak samo jak panele. Stłumiła impuls zabawy w przewodniczkę.

W mieszkaniu przeszła z nim przez wszystkie pomieszczenia, pokazując mu, gdzie co jest. Gdy tylko skończyła, poszedł skorzystać z łazienki. Kiedy tam był, sprawdziła okna, włączyła blokady i się przygotowała. Wyciągnęła z komody prześcieradło i koce. Gdy wyciągała pościel, kątem oka zauważyła swoje odbicie w lustrze i nie potrafiła rozpoznać własnego wyrazu twarzy. Narastała w niej ciepła, irytująca rozterka co do tego, jak powinna to rozegrać. W salonie włączyła kanapę i rozłożyła ją za pomocą pilota. Rozkładała pościel, gdy wyszedł i się przyłączył.

- To dla ciebie - rzuciła, kończąc i odsuwając się.
- Dziękuję.

Stali i patrzyli na gładką, czystą pościel. Wydawał się na coś czekać. Może w ramach reakcji przeskoczył w niej jakiś obwód. Włożyła ręce do kieszeni kurtki i spojrzała mu w oczy.

- Drzwi są podwójnie blokowane - powiedziała. - Kodowane DNA.

Zmarszczył brwi. Ciche pytanie.

*Pieprzyć to, jedziemy.*

- Marsalis, równie dobrze mogę ci od razu powiedzieć, bo i tak prędzej czy później się tego dowiesz, więc lepiej ode mnie. Mój ostatni facet był trzynastką. Już nie żyje, ale wiem, jak to wszystko działa. - Postukała palcami

w skróć. - Wiem, jak to działa tutaj. W tej chwili pewnie planujesz sobie najkrótszą możliwą drogę przez miasto na Czterdziestą Piątą Wschodnią i Pierwszą.

Żadnej widocznej reakcji. Brnęła dalej.

- I masz rację, to niedaleko. Trzy, cztery kilometry, przejście przez granicę i jesteś w domu. Terytorium ONZ w samym sercu Nowego Jorku. Nie jestem pewna, jak by cię mieli stamtąd wywieźć, ale pewnie władze Unii nie robiłyby wielkiej awantury. Przez większość czasu lepiej im się współpracuje z ONZ niż z INKOL. Prawdę mówiąc, nie kochają nas bardziej niż Republika.

- To musi być bardzo irytujące.

- Jesteś zbyt uprzejmy. Jak mówiłam, wiem, o czym myślisz. Nawet nie mogę cię winić. Przecież nie jesteś tu całkiem ze swojej woli - zostałeś wciśnięty w coś, czego pewnie wolałbyś nie ruszać. Jesteś tu pod przymusem a ja wiem, jak źle to działa na trzynastki. Szukasz sposobu na otwarcie zamków lub rozwalenie drzwi.

Słowa Ethana. Zazwyczaj się przy nich uśmiechał w sposób sugerujący, że coś w nim płonie.

Czekała, żeby zobaczyć, co zrobi. Czy zacznie działać.

Nie zaczął. Zamiast tego uniósł brew i spojrzał na kant swojej prawej dłoni. Rozpoznała element szkolenia z przeniesienia i przebiegł ją lekki dreszcz.

Odchrząknął.

- Cóż, miło wiedzieć, że jestem rozumiany. Ale widzi pani, pani Ertekin, wydaje mi się, że pani procedury mają dużą lukę. Gdybym był żarłoczną, rozwalającą ściany wredną trzynastką, za jaką...

- Nie powiedziałam...

- ... mnie pani ma, to co miałyby mnie powstrzymać przed rozbiciem pani głowy i rozcięciem żył, żeby zebrać trochę ciepłej krwi do tych wspaniałych zamków DNA, a potem przebiec się przez nocne miasto?

- Zamki działają tylko na ślinę.

Popatrzył na nią.

- Zawsze mogę ją zeszkrobać z wnętrza martwych ust.

- Myślisz, że mnie przestraszysz, Marsalis?

- W najmniejszym stopniu nie obchodzi mnie, czy się boisz, czy nie. - Pierwszy raz, od kiedy go spotkała, w jego głosie słychać było złość. - Pieprzyłś jakiegoś wypalonego, wspomaganego genetycznie ludzika, który

powiedział, że jest trzynastką, i jeśli chcesz sobie wmawiać, że jestem nim, to twój problem. Nie wiem, co dla ciebie symbolizuję, Ertekin, co chcesz, żebym symbolizował, ale nie piszę się na to. Nie jestem cholernym numerem, nie jestem pieprzonym kodem genetycznym. Jestem Carl Marsalis, chyba już się poznaliśmy. - Wystawił rękę do powitalnego uścisku, po czym pozwolił jej opaść. - Ale na wypadek, gdyby jeszcze nie dotarło: to wszystko, czym jestem. Masz z tym problem, to odpieprz się i radź sobie z tym gdzieś, gdzie nie będę musiał cię słuchać.

Wbijali w siebie wzrok z odległości kilku metrów. Sevgi miała wrażenie, że pokój kołysze się lekko w osi ich spojrzeń.

- Jesteś w moim domu - przypomniała mu.

- To wynajmij mi pokój w pieprzonym hotelu. - Jeszcze chwilę wytrzymał jej spojrzenie, potem spojrzał na rozłożoną kanapę. - Takim z obsługą, która nie poucza swoich gości. - Kolejna przerwa. - I windą.

Wybuchła nagłym śmiechem, tłumiąc go kaszlem.

- Jasne - warknęła.

Znów na nią spojrzał. Skrzywił się.

- Jasne.

Usiadła na poręczu kanapy. Ręce wciąż trzymała w kieszeniach, ale czuła, że jej napięcie zaczyna ustępować. Marsalis wyciągnął rękę w jej stronę i pozwolił jej opaść.

- Jestem zmęczony. - Nie była pewna, czy miały to być przeprosiny, czy informacja. - Nigdzie się nie wybieram, nie zamierzam stąd uciekać. Chcę się przespać i zobaczyć, czy rano uda nam się zacząć od początku. Może być?

Sevgi kiwnęła głową.

- Może być.

- Dobra. - Rozejrzał się, znów skupił się na kanapie. - Cóż. Dzięki za przygotowanie łóżka.

Wzruszyła ramionami.

- Jesteś gościem.

- Mógłbym dostać szklankę wody?

Wstała i kiwnęła w stronę kuchni.

- Jasne. Chłodziarka jest na blacie. Szklanki w szafce nad nią. Częstuj się.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Dobranoc.

Przeszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Przez chwilę stała, słuchając, jak Carl łązi po kuchni.

Potem wyciągnęła prawą rękę z kieszeni kurtki, rozwarła dłoń i popatrzyła na trzymany w niej ogłuszacz Remingtona. Wyglądał niewinnie, krótki, gruby walec w kolorze matowej szarości. Z jednego końca mrugała zielenią lampka ładunku. Rzucony lub uderzony w cel uwalniał dość energii, by powalić na ziemię każdego człowieka i zostawić go tam na około dwadzieścia minut.

Zawahała się, potem wsunęła walec pod poduszkę i zaczęła się rozbierać.

\* \* \*

Leżał płasko na kanapie z głową podpartą na dłoniach i wpatrywał się w sufit.

*Czyli wciąż zamknięty.*

*Głupia cipa.*

*Cóż, właściwie to nie. Wyczuła cię z kilometra. A to znaczy, że jest całkiem bystra.*

Westchnął i spojrzął na okno. Szóste piętro, pewnie i tak podpięte do tego samego systemu ochrony co drzwi. Bez szans.

*Zawsze mógłbyś...*

*Odwal się. Nie słuchałeś Sutherlanda? Rób tylko to, z czym będziesz potem mógł żyć. Przecież ona ci pościeliła łóżko. Wyleciałeś z Republiki, wyszedłeś z więzienia. To wciąż złe? Przeczekaj, przyjrzyj się sprawie. Zrób jakieś sugestie, niech się do ciebie przyzwyczają. Jeśli chcą, żeby to działało, nie mogą cię trzymać na smyczy na okrągło.*

Sięgnął po szklankę i podniósł się trochę, by wypić.

*Czyli to pechowa amatorka. A nie wyglądała na taką.*

*Taką, czyli? Zooly?*

*Daj spokój, to było jednorazowe.*

*Dwukrotnie. Jak dotąd.*

*Zooly to przyjaciel.*

*Jasne, przyjaciel, który lubi czasem pieprzyć się z pechowcami.*

*Może to ja lubię się czasem pieprzyć z Zooly. Pomyślałeś kiedyś o tym? Może mój status genetyczny nie ma z tym nic wspólnego.*

*Jasne. A może ta Ertekin po prostu lubiła pieprzyć się ze swoim pechowym chłopakiem ze względu na to, kim był.*

*Ech, idź spać.*

Nie potrafił zasnąć. Siatka wysyłała niemrawe impulsy na równi z pulsem.

*Lepiej zostaw to sobie na jutro. Prawie cztery miesiące chlorku niskiej*

*jakości, będziesz miał szczęście, jeśli ci nie zrobi krzywdy.*

*Jakoś wystarczyło na Dudecka i jego kumpli.*

*Jasne, ale tym razem nie masz do czynienia z bandą świrniętych neonazistów - to inna trzynastka. I to zaadaptowana, sądząc po sytuacji. Będziesz potrzebował pełnego wspomagania, jeśli zamierzasz...*

*Hej. Co zamierzam? Kilka dni plus chwila nieuwagi i nas tu nie ma, pamiętasz?*

*Wrócił do wpatrywania się w sufit.*



## ROZDZIAŁ 18

Obudził go paskudny atak głodu chlorków: ból kości lewej ręki i zimny pot z powodu intensywności bólu. We śnie zwinął się wokół niego instynktownie i gdy się obudził, w jego gardle ugrzął cichy jęk. Cichy imperatyw, szkolenie ciotki Chitry z kontroli nad bólem. Przyjmij ból, oddychaj, opanuj go oddechem i nie waż się wydawać żadnych cholernych dźwięków. Przełknął i przeturlał się, chroniąc bolącą kończynę drugą ręką.

Przypomniał sobie, że jest w domu Sevgi Ertekin, i się odprężył. Skowyt uwolnił się w formie cichego jęku.

Pokój był pełen ledwie przefiltrowanego światła - okna osłonięte były zmiennopolaryzacyjnymi zasłonami, ale gdy szli spać zeszłej nocy, ktoś zapomniał przestawić je na nieprzezroczyste. Jego zegarek twierdził, że jest chwila po dziewiątej. Stęknął i wyprostował palce lewej dłoni, zmuszając ból do przygaśnięcia. Z powodów, których biolaboratoria Marstechu najwyraźniej wciąż nie rozumiały, siatka „pamiętała” urazy i miała skłonność do przeciążania systemu, jeśli dana część ciała doznała w przeszłości obrażeń. Nie było problemu, jeśli dostarczało się systemowi właściwego paliwa, w najgorszym razie objawiało się to lekkim ciepłem i swędzeniem w miejscu dawnych ran. Jednak przy paskudztwie, które kupował w ciągu ostatnich paru miesięcy od Louiego, interfejsy neuromięśniowe musiały być naruszone i podrażnione. A Carl zatrzymał kiedyś tą ręką saudyjskiego psa bojowego. Jakąś monstrualną, sztucznie stworzoną hybrydę, upiornie bladą i warczącą, gdy zmaterializowała się pośród pustynnej nocy i skoczyła mu do gardła. Uderzenie rzuciło go na plecy, szczęki zacisnęły się na kości i nawet gdy zabił paskudztwo, potrzebowali prawie pięciu minut na rozerwanie szczęk i ściągnięcie go z Carla.

Wsluchał się w dźwięki mieszkania, niczego nie usłyszał. Ertekin najwyraźniej jeszcze spała. Nie było mowy, żeby jeszcze usnęła, a drzwi wciąż były zamknięte. Zastanowił się przez chwilę, potem wstał, założył spodnie i poszedł do kuchni. Po chwili szukania znalazł kawę do ekspresu w rogu. „Mieszanka robusty Olympus Mons - z prawdziwych laboratoriów genowych Marstechu!”. *Jasssne*. Pozwolił sobie na kwaśny uśmiech i ustawił urządzenie na dwie duże filiżanki, po czym podszedł do lodówki w poszukiwaniu mleka.

Stały w niej dwa otwarte kartony Long-Life. Zbadał je - jeden był mniej więcej w połowie pełny, w drugim zostały resztki. Kierując się impulsem, powąchał oba. Skrzywił się i opróżnił oba do zlewu. Zawartość tego mniej pełnego wypłynęła w formie galaretowatej bryły, rozpryskując się na metalu. Potrząsnął głową i splukał wszystko wodą.

- Świetnie dogadałabyś się z Zooly - mruknął i ruszył do szafki w poszukiwaniu nietkniętego mleka.

- Z kim rozmawiasz?

Obrócił się z nowym kartonem w rękę. Kuchnię wypełniał zapach kawy i albo to on, albo odgłosy jego aktywności podczas poszukiwań obudziły Ertekin. Stała w drzwiach kuchni z przymrużonymi oczami i włosami w nieładzie, ubrana w zdecydowanie za duży na nią Tshirt z logo nowojorskiej policji i chyba nic więcej. Wyraz jej twarzy nie był zbyt przyjazny.

- Śpiewam sobie - rzucił. - Zrobiłem kawę.

- Cholera, widzę.

Uniósł brwi.

- Proszę bardzo.

Popatrzyła na niego przez chwilę beznamiętnie, potem się odwróciła. Zauważył kształt jej bioder pod koszulką i długość ud złączonych w obrocie.

- Która godzina?

- Jakies wpół do dziesiątej.

- Cholera, Marsalis. - Jej głos oddalał się w stronę sypialni. - Co jest, cierpisz na bezsenność, czy co?

Odgłosy puszczanej wody ucięte przez zamknięcie drzwi. W jego głowie pojawił się nagły, nieproszony obraz. Sevgi Ertekin ściąga swoją koszulkę i wchodzi pod prysznic, składa dłonie pod brodą w strumieniu wody, ramiona przyciśnięte do piersi i...

Uśmiechnął się krzywo i skasował wewnętrzny scenariusz eksperymentu, zanim dotarł do jego krocza. Mimo wszystko dokończył robienie kawy. Wyszła gęsta i kremowa od piany, emanując aromatem, który natychmiast rzucił go z powrotem do pokrytych pyłem plastobanek obozu Huari. Charakterystyczne swędzenie skóry wystawionej na słońce przefiltrowane przez atmosferę, która dopiero niedawno stała się dość gęsta, by oddychać, nieprzyjemne przyciąganie grawitacji Marsa, luźny uścisk planety, która nie widziała w nim swojego dziecka i nie rozumiała, czemu miała go pilnować. Kawa w aluminiowych kubkach, pył zgrzytający pod stopami i Sutherland u boku, grzmiący przemową jak kojący hurgot fabrycznej

maszynie. *Nie ma tu niczego w ludzkiej skali. Chłoń. Po prostu osłoń oczy i się rozejrzyj.* I oszałamiający widok na masyw Verne, podkreślający słowa mężczyzny.

Nalał kawy do dwóch kubków, wziął jeden dla siebie, a drugi zostawił, by stygł na blacie kuchennym. Należy jej się. Napił się z kubka i zrobił zdziwioną minę. Ten tekst o laboratoriach Marstechu był prawdą. Nie znosił, gdy rzeczywistość dorastała do głośnych przechwałek reklamy. Wrócił do salonu i wyjrzał na targ w dole. Nie znał miasta zbyt dobrze, a szczególnie tej części, ale budynek Ertekin był dość standardową konstrukcją nanotechową i Carl przypuszczał, że otwarty plac na dole stanowił element tego samego planu przebudowy. Miał w sobie lekko organiczne krzywizny wczesnych nanokonstrukcji. Znał miejsca w południowowschodnim Londynie, które wyglądały tak samo. Budynki z wiadra - wylej i patrz, jak rosną.

Usłyszał, jak wychodzi z sypialni i idzie do kuchni. Potem poczuł, że jest w pokoju z nim, za jego plecami, patrzy. Odchrząknęła. Obrócił się i zobaczył japo drugiej stronie pomieszczenia, ubraną i częściowo uczesaną, z kubkiem kawy trzymanym w obu dłoniach. Uniosła go nieco w górę.

- Dzięki. - Opuściła wzrok, znów spojrzała na niego. - Nie jestem zbyt miła zaraz po obudzeniu.

- Nie przejmuj się. - Wygrzebał coś przypadkowego, żeby wypełnić ciszę między nimi. - Możliwe, że to objaw wielkości. Z tego, co słyszałem, tak samo było z Felipe Souza.

Lekki uśmiech.

- O?

- O. Wszystkie prace z dynamiki molekularnej robił w nocy. Gdy wróciłem na Ziemię, przeczytałem jego biografię. Wiesz, wydawało się to właściwe. W każdym razie napisali tam, że kiedy zatrudnili go w UNAM, odmówił prowadzenia wykładów przed południem. Niezły gość na szefa, co?

- Nie dla ciebie.

- Cóż, zaczyna mi się kręcić w głowie, gdy tylko wyjdziemy poza podstawowe struktury fullerenów, więc...

- Nie, chodziło mi o wstawanie. - Znów uniosła kubek, tym razem jedną ręką, trochę bardziej otwarcie. - Nie byłbyś...

- A, to. - Wzruszył ramionami. - To szkolenie. Nigdy tak naprawdę nie odpuszcza.

Po jego słowach między nimi znów zapanowała cisza. Rozmowa ugrzęzła na mieliznach płytkich wód ich nieustannego zakłopotania. Sięgnął w

poszukiwaniu czegoś, co znów pchnie ją na wodę. Coś błysnęło niejasno w jego głowie wieczorem, gdy w końcu zaczął usypiać.

- Słuchaj, tak sobie myślałem: przesłuchaliście pokładowego n-dżina „Horkan’s Pride”, prawda? Wtedy, w czerwcu, gdy to wszystko się zaczęło.

- Tak. - Przeciągnęła trochę słowo, pytająco. Spodobało mu się to brzmienie. Spróbował pociągnąć swoją myśl.

- Dobra, to kogo do tego macie? Własny zespół?

Potrząsnęła głową.

- Wątpię. Dali nam kopie, pewnie zrobił to jakiś technik wynajęty przez ekipę interfejsu maszynowego MIT. To oni zajmują się większością naszej pracy z n-dżinnami. Czemu, myślisz, że coś przeoczyli?

- Zawsze jest taka możliwość.

Sceptyczny wyraz twarzy.

- Coś, co ty byś wyłapał?

- No dobrze, może nie przeoczyli tak po prostu. - Napił się kawy, machnął ręką. - Po prostu coś, czego nie szukali, bo nie było tego na miejscu. Bliskie powiązanie między nim a mną. Coś, co postawi mnie obok niego.

- Połączenie? Mówiłeś, że go nie znasz.

- Bo nie znam go bezpośrednio. Ertekin, przecież byłaś glina. Musisz wiedzieć coś na temat teorii złożoności. Sieci socjalne.

Wzruszyła ramionami.

- Jasne. Mieliliśmy podstawy na zajęciach z demodynamiki. Intuicja Yaroshanko, Chen, Douglas, Rabbani. Wszystko aż do Wattsa i Strogatza, wszystkie te bzdury o powiązaniach w mikroświecie. I co? Wiesz, jak tylko naprawdę wyjdzie się na ulice, większość tych rzeczy o demodynamice staje się równie przydatna jak poezja w burdelu.

Uśmiechnął się.

- Może i tak. Ale sieci w mikroskali działają. A klub wariantu trzynastego na Marsie to właśnie mikroświat, podobnie jak sam Mars. Mogę nie znać Merrina, ale jestem gotów się założyć, że można mnie z nim powiązać w kilku krokach albo nawet mniej. A jeśli te powiązania istnieją, to nic ich nie wyłapie lepiej od n-dżina.

- Jasne. Dowolnego n-dżina. Czemu to musi być „Horkan’s Pride”?

- Ponieważ to właśnie on jako ostatni widział żywego Merrina. Można założyć, że...

Cichy dzwonek u drzwi.

Ertekin odruchowo zerknęła na zegarek. W jej oczach pojawiły się

zmarszczki zmieszania.

- Pewnie Tom nie potrafi zostawić nas samych - z udawaną powagą rzucił Carl.

Zmieszanie ustąpiło lekceważeniu, które uznał za udawane. Podeszła do drzwi i podniosła słuchawkę domofonu.

- Tak?

Zauważył, że szerzej otworzyła oczy. Kiwnęła głową, kilka razy przytaknęła i rozłączyła się. Kiedy znów na niego spojrzała, na jej czole zobaczył głęboką zmarszczkę. Nie potrafił zdecydować, czy jest zmartwiona, zła czy obie te rzeczy na raz.

- To Ortiz - wyjaśniła. - Przyjechał tu.

Ukrył własne zaskoczenie.

- Cóż za zaszczyt. Wszystkich nowych pracowników osobiście odbiera limuzyną?

- Nie, przynajmniej od kiedy tu pracuję.

- Czyli musi chodzić o mnie.

Miało to zabrzmieć lekko i ironicznie, jednak gdzieś w ciągu ostatnich czterech miesięcy zagubił trochę lekkości. Usłyszał wagę własnych słów, podobnie jak ona.

- Tak. - Popatrzyła na niego znad kubka z kawą. - Musi chodzić o ciebie.

\* \* \*

Spotkał już Ortiza parę razy, ale wątpił, by ten go pamiętał. Do obu spotkań doszło przed laty, oba pełne były nieszczerych uprzejmości wizyt dyplomatycznych, a Carl był tylko jednym z kilku łowców wariantu trzynastego w rządzie personelu agencji ustawionego do uścisku ręki. Trwały rozmowy dotyczące Monachium II, mówiło się o powrocie INKOL do stołu i zatwierdzeniu Porozumień, tym razem pełnym, i wszyscy chodzili na palcach. W tamtych czasach - Carl przypominał sobie niejasno, nie był przesadnie zainteresowany - Ortiz był nowym doradcą politycznym przybyłym prosto z kariery politycznej w Stanach Wybrzeża i jeszcze wcale nie tak ważną postacią w hierarchii INKOL. Szczegóły się zatarły, ale Carl pamiętał siwe włosy i opaloną, szczupłą sylwetkę tancerza niepasującą do pięćdziesięciolatka. Lekki skos poważnych, brązowych oczu mógł świadczyć o filipińskim dziedzictwie lub o operacji sugerującej je wyborcom. Szczery uśmiech.

Ze swej strony Carl zajęty był wtedy korzystaniem z komfortu wiążącego się z odzyskaną anonimowością. Zainteresowanie mediów jego powrotem z

Marsa i ratunkiem na „Felipe Souzie” wygasło, ku jego uldze, kilka miesięcy wcześniej. Maszynaria medialna bez impulsów z jego strony mających na nowo pobudzić jej zainteresowanie znudziła się nim i skupiła na kimś nowym. Jasne, wrócił z Marsa, przeżywszy koszmarną awarię systemów w głębi kosmosu, ale co jeszcze robił ostatnio? ONZALG siedziało cicho, pełne biurokratycznego bezwładu, i nie współpracowało z popularnymi mediami. Głośne sprawy jeszcze nie nadeszły. A tymczasem na europejskiej scenie pojawił się młodociany syn jakiegoś afrykańskiego króla, wykorzystując swoje ekstrasztywne możliwości w Cambridge i hebanową urodę w najmodniejszych klubach zachodniego Londynu. Pomimo wrogości lokalnej społeczności rodzina Bannisterów przyjęła obywatelstwo Unii. Tajska gwiazdka eksperii wychodziła za mąż. I tak dalej. Wiecznie czujne oko mediów skierowało się gdzie indziej, a Carl poczuł jego brak jak nagły cień w marsjańskim słońcu.

Zeszli na ulicę. Przez cienki materiał wyłudzonej na Florydzie kurtki S(t)ygma(t) zaatakował chłód.

Ortiz czekał na nich po drugiej stronie ulicy, opierając się o bok limuzyny INKOL w czarnym płaszczu i popijając kawę z niedalekiej budki. Carl zauważył blade w zimowym świetle, czarno-żółte logo nad stoiskiem i to samo na styropianowym kubku w dłoni Ortiza. Z kubka unosiła się para, napotykać zmrożony oddech mężczyzny unoszącego go do ust. W pobliżu stał nierzucający się w oczy ochroniarz z lekko złożonymi rękami, skanujący okolicę oczami osłoniętymi ciemnymi szklami.

Ortiz ich zauważył i odstawił kawę obok, na dach limuzyny. Gdy Carl się zbliżył, wyszedł mu na spotkanie i wyciągnął rękę. Żadnego krzywienia się, żadnych objawów wewnętrznego spięcia, do których Carl był przyzwyczajony podczas uścisku dłoni z kimś, kto znał jego status. Zamiast tego na opalonej twarzy Ortiza pojawił się uśmiech, który odjął mu ładnych parę lat.

- Pan Marsalis, miło znów pana widzieć. Minęło trochę czasu, nie wiem, czy pamięta mnie pan z Brukseli.

- Wiosna 2103. - Carl ukrył zaskoczenie. - Owszem, pamiętam.

Ortiz się skrzywił.

- To był niezły bałagan, co? Dwa programy, odległe światy sunące w przeciwnych kierunkach. Trudno uwierzyć, że w ogóle chciało nam się rozmawiać.

Carl wzruszył ramionami.

- Rozmowa zawsze jest łatwa. Dobrze wygląda, a nic nie kosztuje.

- Tak, to prawda. - Z wprawą doświadczonego polityka Ortiz przeniósł uwagę. - Pani Ertekin, mam nadzieję, że wybaczy mi pani to najście. Tom Norton powiedział mi, że przyjdziecie, ale w obliczu możliwych nieprzyjemności uznałem, że mogę zapewnić eskortę. A ponieważ i tak byłem w drodze przez miasto...

*Pomyślałeś, że skorzystasz z okazji, żeby zarobić parę punktów w oczach ONZ. Racja. Albo może pogapić się na trzynastkę.*

Mimo wszystko Carl nie był w stanie wzbudzić w sobie niechęci do Ortiza. Może to skutek swobodnego uścisku dłoni i uśmiechu, może po prostu kontrast z tym, czego doświadczał przez ostatnie cztery miesiące w Republice. Obrócił się, żeby zobaczyć reakcję Ertekin, spróbować wyczytać coś z jej twarzy. Tygrysie oczy i...

*... coś niewidocznego przecina powietrze między nimi.*

Carl skoczył, zanim miał czas uświadomić sobie powód.

*.. mignięcie czarnego ruchu na skraju pola widzenia..*

Uderzył Ertekin skrzyżowanymi rękami, rzucił na chodnik i przycisnął. Jedną ręką sięgnął po broń, której nie miał. Powietrze nad jego głową wybuchło syczącą furią.

*Broń magnetyczna.*

Usłyszał, jak reaguje karoseria limuzyny, podziurawiona na całej długości - brzmiało to jak uderzenia nagłego, ciężkiego deszczu. Ktoś trafiony krzyknął i stęknął. Na ziemię padały niejasno wyczuwane ciała. Krzyki. Rozsmarował się na Ertekin, macając za...

Tam.

Na rynku, w krzykach i panice tłumu, trzy przykurczone, odziane na czarno sylwetki, sunące wolnym krokiem rolkarzy. Do brzuchów przyciskali masywne karabiny elektromagnetyczne, trzymane nisko w obu rękach. Brutalnie przepychali się przez tłum - Carl zauważył odepchniętych na ziemię przechodniów. Siatka nadała wszystkim złudzenie zwolnionego ruchu. Chlorkowa klarowność wystawiła mu prowadzącego rolkarza, zmieniającego pozycję, by unieść lufę broni, oczy szeroko otwarte w bladej szczelinie czarnej maski narciarskiej. Nie dalej niż sześć metrów, tym razem musi trafić.

Carl spojrział mu w oczy i warcząc, zerwał się z ziemi.

Później nie wiedział, czy życie ocaliło mu to spojrzenie, wydawany przez niego dźwięk, czy po prostu wspomagana siatką szybkość. Może dostrzegł w

twarzy mężczyzny chwilę wahania w momencie, gdy się zerwał, maska utrudniała orientację. Jednak Carl błyskawicznie dotarł do niego. *Trzy - policz je, jeden! dwa! trzy!* - błyskawiczne kroki i wir techniki tanindo. Kant lewej dłoni uderzył pod szczęką prowadzącego rolkarza, prawa dodała mocy obrotowi. Razem polecieeli na ziemię w plątaniu kończyn. Karabin upadł i odjechał. Carl znalazł się na przeciwniku i zaczął uderzać go w twarz i gardło.

Dwaj pozostali byli bystrzy. Ten z prawej przeskoczył gładko nad splątanymi ciałami, wylądował z plastikowym łomotem i jechał dalej. Carl, zbyt zajęty zabijaniem przywódcy, by zwracać większą uwagę, zauważył kątem oka lądowanie. Jednak poczuł, jak drugi skrzydłowy psuje ten sam manewr, zaczepiając w locie rolką o ramię Carla. Ubrana na czarno postać poleciała głową do przodu, prawie wdzięcznie, uderzyła i przeturlała się po chodniku. Kontrolowane lądowanie, w każdej chwili może wstać. Siatka kontrolowała ruchy niczym pętle kabli. Carl jeszcze raz brutalnie walnął łokciem, a prowadzący rolkarz nagle znieruchomiał. Gdy pechowemu skrzydłowemu już prawie udało się wstać, Carl rzucił się w bok, sięgnął po karabin dowódcy, złapał go niezgrabnie lewą ręką, przekręcił w bok, celując, i opróżnił magazynek.

Pociski opuszczały broń z dźwiękiem przypominającym kipiącą wodę. Żadnego odrzutu - Bogu dzięki - i praktycznie z przystawienia. Carl leżał niezdarnie wykrzywiony i patrzył, jak pociski rozdzierają cel. Skrzydłowy rolkarz zdawał się znowu potykać, tym razem nieporadnie, bez śladu wdzięku. Padł twarzą do przodu, wykręcił się i znieruchomiał.

Podajnik elektromagnetyczny kaszlnął i umilkł.

Dotarły do niego dźwięki: podniesione głosy i histeryczne łkania. Wciąż owinięty siatką Carl słyszał je niczym z głębi studni. Podniósł się ostrożnie, na poziomie komórkowym wciąż nieprzekonany, że trzeci napastnik nie wróci. Upuścił pustą broń, podszedł do martwego skrzydłowego. Przykucnął obok ciała i wyszarpnął jego karabin. Machinalnie, na autopilocie, sprawdził magazynek i ocenił otaczające go zniszczenia.

Limuzyna nadawała się do kasacji, z nadwoziem upstrzonym czarnymi plamami dziur po pociskach. Okna przebito w kilkudziesięciu miejscach, pozostałości zbieleły od pajęczyny pęknięć wokół każdej z dziur. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu kawa Ortiza stała nietknięta na dachu pojazdu, jednak sam Ortiz i jego ochroniarz leżeli powaleni w uścisku - wyglądało to tak, jakby ochroniarz próbował ściągnąć szefa na ziemię i go



osłonić. Kałuża krwi na chodniku sugerowała, że mu się nie udało. Dalej leżały inne ciała, sprzedawcy i kupujący trafieni ogniem z karabinu. Ertekin klęczała i rozglądała się niepewnie po zniszczeniach. Jej oliwkowa skóra nabrała ziemistej barwy szoku.

- Dostałem dwóch z nich - powiedział Carl, pomagając jej wstać z ziemi.

- Trzeci za szybko uciekał. Przepraszam.

Tylko na niego popatrzyła.

- Ertekin! - Strzelił jej palcami przed nosem. - Jesteś ranna? Trafili cię? Ertekin, odezwij się do mnie.

Otrząsnęła się. Odepchnęła jego rękę.

- W porządku. - Odchrząknęła. - Nic mi nie jest. Lepiej wezwijmy karetkę. Ci ludzie...

Znów się otrząsnęła.

- Kto? Widziałeś?

- Nie. - Carl popatrzył w kierunku, w którym zniknął ostatni rolnik. Czuł, jak krystalizuje się w nim decyzja. - Nie, nie widziałem. Ale jak tylko przyjedzie tu karetka, lepiej zabierz mnie do IKNOL, żebyśmy mogli zacząć pracę nad dowiadywaniem się.

## ROZDZIAŁ 19

Gdy pokazały się gliny, Sevgi wciąż się trzęsła. Poczowała dziwny wstyd, gdy dowodzący detektyw, szczupły, czarny mężczyzna o wystających kościach policzkowych, skończył rozmawiać z patrolem i podszedł do niej. Musiał zauważyć. Owinięta w termoizolacyjny szal siedziała w otwartych drzwiach z tyłu zniszczonej limuzyny i przyglądając się, jak ekipa śledcza zajmuje się swoją pracą, czuła się przesiąknięta swoim statusem cywila.

- Pani Ertekin?

Popatrzyła na niego.

- Tak, to ja.

- Detektyw Williamson. - Otworzył lewą dłoń. Do życia obudziło się holograficzne logo nowojorskiej policji, błyskając do niej jak utracony skarb.

- Chciałbym zadać pani kilka pytań, jeśli ma pani dość sił.

- Nic mi nie jest. - Tego ranka pod prysznicem połknęła synd, ale nawet przy pustym żołądku nie miał jeszcze prawa zadziałać. Poszukała konwencjonalnych zasobów i z dreszczem zebrała się w sobie. - Kiedyś u was pracowałam, nic mi nie będzie.

- Doprawdy? - zapytał przejmie. Williamson nie chciał zostać jej kumplem. Domyślała się powodów.

- Tak, jedenaście lat. Queens, potem śródmiejski wydział zabójstw. - Zdołała się niepewnie uśmiechnąć. - Wy jesteście z dwudziestej ósmej, co? Lany Kasabian wciąż tam pracuje?

- Tak, Kasabian chyba wciąż kręci się w okolicy. - Żadnego śladu ciepła w słowach. Kiwnął głową w stronę Marsalisa, który siedział spokojnie na schodach budynku w kurtce więźnia z Południowej Florydy, przyglądając się ekipie śledczej na miejscu przestępstwa jakby była ekipą aktorską przygotowującą przedstawienie specjalnie dla niego. - Ludzie z patrolu mówią, że ten facet to trzynastka.

- Tak. - Teraz się za to przeklinała. - Zgadza się.

- A... - Chwila wahania. - Czy to zostało zgłoszone komuś tu, w mieście? Sevgi westchnęła.

- Przylecieliśmy nad ranem. Jest konsultantem technicznym w ochronie INKOL, ale nie mieliśmy jeszcze czasu nikogo powiadomić.

- W porządku. - Choć wyraźnie nie było w porządku, Williamson

zachował spokój. - Nie zamierzam naciskać, ale musicie go zarejestrować. Dzisiaj. Czy on, hmm, zostanie z panią?

Przez słowa przedarło się prawdziwe pytanie. Odczuła je jak policzek. Odczuła je jak tyradę ojca, gdy dowiedział się o Ethanie. Poczwała, jak twardnieją rysy jej twarzy.

- Nie, on, hmm, nie zostaje ze mną - sparodiowała. - On, hmm, będzie mieszkał w apartamencie INKOL, jak tylko mu jakiś znajdziemy. Może więc da pan sobie spokój ze swoją cholerną jezusowską paranoją. I może zajmie się pan pracą? Co pan na to?

Williamson błysnął oczami.

- Jak pani sobie życzy, pani Ertekin - odpowiedział bezbarwnie. - Z mojej pracy wynika, że ten świr właśnie gołymi rękami zabił w świetle dnia dwóch uzbrojonych napastników i nie wygląda na to, żeby się przy tym chociaż zadrapał. Może to tylko objaw paranoi, może to stary dobry instynkt gliny, ale coś mi się tu nie podoba.

- Nosi wbudowany systemowy układ biowspomagania do środowiska marsjańskiego. I od siódmego roku życia był szkolony do walki.

Williamson parsknął.

- Tak, słyszałem o nich. Żli do szpiku kości, tak? I nie sądzi pani, żeby ludzie, których zabił, byli bardzo sprawni w walce.

- A pan? - Sevgi postukała palcami w podziurawioną karoserię. - Daj spokój, Williamson, przyjrzyj się temu. Sprawni w walce? Nie, po prostu mieli broń.

- Przychodzi pani na myśl jakiś powód, dla którego ktoś mógłby nasłać niskiej klasy zabójców na dyrektora INKOL?

W milczeniu potrząsnęła głową. *Wcale nie przyszli po Ortiza. On po prostu wszedł im w drogę. Przyszli tu zabić Marsalisa. Zabić go, zanim namierzy Merrina.*

Nie miała powodu, żeby dzielić się tym teraz z detektywem Williamsonem.

- Powiedziała pani policjantom, że nie widziała niczego z samej walki?

Ponownie potrząsnęła głową, tym razem bardziej stanowczo.

- Nie, powiedziałam, że nie widziałam z niej zbyt wiele. W zasadzie z czegokolwiek, leżałam na ziemi...

- Gdzie panią rzucił, tak?

- Owszem, zgadza się. - Masa jego ciała na niej. - Pewnie uratował mi życie.

- Czyli zobaczył ich atak?
- Nie wiem. Czemu pan jego nie zapyta?

Williamson kiwnął głową.

- Dojdę do tego. Na razie pytam panią.

- A ja mówię, że nie wiem.

Zapadła ciężka cisza. Williamson spróbował jeszcze raz.

- W zeznaniu powiedziała pani, że napastników było prawdopodobnie trzech. Czy po prostu powiedział to pani tamten gość?

- Nie. Widziałam, jak jeden ucieka w stronę bulwaru. - Wskazała na worki z ciałami ludzi zabitych przez Marsalisa. Przez plastik wyraźnie przeświecały czarne stroje. - I potrafię liczyć.

- Opis?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Ubrany na czarno. Z maską narciarską.

Williamson westchnął.

- Dobra. W porządku. Powie mi pani coś o tamtym facecie?

Wskazał na trzeci worek leżący na chodniku. Przez plastik widać było bladą, pobrudzoną krwią twarz ochroniarza Ortiza, patrzącego szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. Musieli przetoczyć go na plecy, żeby wyciągnąć spod niego Ortiza, i tak zapakowała go ekipa śledcza.

Sevgi wzruszyła ramionami.

- Ochrona.

- Znała go pani?

- Nie. Nie moja sekcja. - Nagle dotarło do niej, czemu Williamson był taki sztywny. Teoretycznie znajdowali się na terenie nowojorskiej policji, ale w ramach Aktu Inicjatywy Kolonijnej mogła im w każdej chwili zabrać sprawę. Ożywiło ją nagłe poczucie własnej władzy. Nie było to przyjemne.

Williamson przeszedł kilka kroków i stanął przy ochroniarzu. Popatrzył na jego twarz.

- Czyli ten facet osłonił Ortiza, tak?

- Tak, najwyraźniej.

- Właśnie, na tym polega jego praca. A nasz pokręcony przyjaciel...

- Może pan przestać używać tego cholernego słowa?

Posłał jej ciężkie spojrzenie. Detektyw podszedł z powrotem do limuzyny.

- W porządku. Ochroniarz osłania Ortiza. Pani genetycznie zmodyfikowany przyjaciel osłania panią. Ma pani jakiś pomysł, czemu

miałby to zrobić?

Sevgi ciężko potrząsnęła głową.

- Czemu pan jego nie zapyta?

- Tak, zrobię to. Ale trzynastki nie są znane ze szczerości. - Williamson zrobił znaczącą przerwę. - Ani ze skłonności do poświęceń. Musiał jakoś na tym skorzystać.

Popatrzyła na detektywa i może wreszcie zadziałał synd, ale pomyślała, że gdyby tylko miała broń w ręku, mogłaby mu odstrzelić głowę. Zamiast tego dźwignęła się na nogi i stanęła naprzeciw niego.

- Skończyłam z panem rozmawiać, detektywie.

- Nie sędzę...

- Powiedziałam, że skończyłam z panem rozmawiać. - Żadnych wątpliwości, to synd. Gniew dał jej napęd, ale to lek zapewnił paliwo. Williamson był od niej o głowę wyższy, ale stała w jego osobistej przestrzeni, jakby miała pancierz. Jakby ostatnie czterdzieści minut nigdy się nie wydarzyło. Koc termiczny leżał porzucony u jej stóp. - Chętnie będę współpracować z kimś o trochę mniej neandertalskim podejściu. Nie chcę już więcej tracić czasu na pana.

- To śledztwo w sprawie zabój...

- Tak, w tej chwili tym właśnie jest. Chce się pan przekonać, jak szybko mogę je zmienić na operację ochrony INKOL?

Zacisnął szczęki, ale nie odpowiedział.

- Niech pan odpuści, detektywie, i zostawi mnie do cholery w spokoju, a będzie mógł pan zatrzymać śledztwo. Inaczej pojedę po panu aktem INKOL i będzie pan mógł wrócić na Dwudziestą Ósmą i wyjaśnić im, że stracili jurysdykcję.

Za przesłoną syndu wzbudziło się w niej lekkie poczucie winy na widok ustępującego Williamsona, empatia z lat po drugiej stronie barykady.

Słumiała ją. Przeszła przez ulicę do Marsalisa.

\* \* \*

INKOL przybył w skromnej sile jakieś dziesięć minut później. Na targ cicho wtoczył się opancerzony land rover, rozdzielając gapiów za pomocą impulsu poddźwiękowego o niskim natężeniu do rozpraszania tłumów, który nawet z tej odległości spowodował u Sevgi swędzenie zębów. Nie dzwoniła do Nortona, więc ktoś musiał autoryzować akcję, gdy wypłynęła wiadomość o Ortizie. Już od jakiegoś czasu policja blokowała w tłumie akredytowane ekipy filmowe i pojedynczych artystów, więc do tej pory wiadomość musiała

trafić na wszystkie kanały.

Land rover zatrzymał się na skraju miejsca akcji, nie przejmując się barierkami ustawionymi przez policję. Jeden z jego opancerzonych narożników naruszył jaskrawożółte wiązki i uaktywnił alarm. Nadbiegli mundurowi.

- Subtelne - rzucił Marsalis.

Otworzyły się przednie drzwi pojazdu od strony pasażera, rozchylając się oszczędnie. Pojawił się w nich Tom Norton, skanując scenę zdarzenia. Nawet z tej odległości Sevgi dostrzegła, jak szarą ma twarz.

- Sev?

- Tutaj. - Zamachała ze schodów budynku, Norton ją zauważył. Szerzej otworzył drzwi, wyszedł z pojazdu i zamknął je za sobą. Krótka wymiana słów z policjantami i prezentacja odznak otworzyły mu przejście. Ktoś wyłączył alarm przekroczenia bariery i na ulicy ponownie zapanowała cisza. Land rover cofnął się kilka metrów i stanął, pomrukując jak elegancki czołg, którym w zasadzie był. Kierowca się nie ujawnił.

- Nie przesadzasz troszkę? - zapytała Sevgi, gdy Norton do nich doszedł. Skrzywił się.

- Powiedz to Ortizowi.

- Wszystko z nim w porządku?

- Względem czego? Nie zginął, jeśli o to pytasz. Podpięli go do połowy sprzętu podtrzymywania życia dostępnego w Weill Cornell. Poważne uszkodzenia wewnętrzne, ale pewnie ma gdzieś wyhodowany gotowy zapas. Powiadomiono rodzinę. - Norton nie zaczął wyglądać lepiej, gdy rozejrzał się po owiniętych w folię ciałach. - Co on tu do cholery w ogóle robił, Sev?

Potrząsnęła głową.

- Chyba chciał zobaczyć się ze mną - odezwał się Marsalis, wstając po raz pierwszy od chwili napadu. Ziewnął potężnie.

Norton spojrzał na niego z niechęcią.

- Wszystko z twojego powodu, co?

- Tom, policja już go opadła. - Sevgi stanęła w jego obronie. - Dowodzący detektyw prawie olał Ortiza, chciał tylko rozmawiać o tym, czemu mamy na ulicy trzynastkę bez licencji.

- Jasne. - Norton ustawił się do nowego zadania. - Jak się nazywa ten detektyw?

- Williamson. Z Dwudziestej Ósmej.

- Pogadam z nim.

- Już z nim gadałam. Nie o to mi chodziło. Myślę, że możemy to ładniej rozegrać, jeśli pozwolimy im myśleć, że to był napad na Ortiza.

- A myślisz, że nie był? - Norton zamrugał. Wskazał na jednego z martwych zabójców. - Sev, to ekipa rolnarzy. Siedzenie wozu w ruchu to standardowy sposób działania gangu. Dziesięć, dwanaście zabójstw rocznie dokładnie w taki sposób. Czego więcej się w tym dopatrujesz?

Sevgi kiwnęła w stronę Marsalisa.

- Och, daj spokój, Sev. Nie mówisz poważnie. Jesteśmy w mieście niecały dzień. Kto wie, że tu przyjechaliśmy?

- Tom, w drugą stronę to też nie ma sensu. Ci faceci byli z ulicy. Naprawdę podstawowa grupa uderzeniowa. Czemu mieliby atakować kogoś z poziomu pięćdziesiątego piętra, jak Ortiz? Facet nie poznałby ulicy, nawet gdyby ugryzła go w tyłek.

- Właśnie to zrobiła - cierpko wtrącił Marsalis.

Norton posłał mu ciężkie spojrzenie. Sevgi wkroczyła między nich.

- Słuchaj, cokolwiek się tu stało, mamy zdecydowanie nadmiarową publiczność, której nie potrzebowaliśmy już na Florydzie. Nie powtarzajmy tego ćwiczenia. Poproś gliny, żeby wyciszyli wątek trzynastki, dopilnuj, żeby nie złapały go media. Dla potrzeb widowni Marsalis może być po prostu jeszcze jednym ochroniarzem INKOL, którego tożsamość została utajniona, by mógł kontynuować swoją pracę.

- Tak - cierpko potwierdził Norton. - W przeciwieństwie do bycia niebezpiecznym socjopata, który jak dotąd niczego jeszcze dla nas nie zrobił.

- Tom...

Marsalis się wyszczerzył. Przypominało to naprężenie mięśni.

- No cóż, ocaliłem ci życie partnerki. To się liczy?

- Na ile mogę stwierdzić, po prostu ocaliłeś własną skórę, osiągając przy tym trochę dodatkowych korzyści. Sevgi, jeśli ten Williamson zamierza marudzić na naszego kumpla, lepiej będzie, jeśli oboje stąd znikniecie.

- Całkiem dobry pomysł.

Głos Marsalisa zabrzmiał życzliwie, ale coś w nim zmusiło Sevgi do spojrzenia na niego. Przypomniał jej się sposób, w jaki patrzył za uciekającym zabójcą, brzmienie jego głosu, gdy powiedział: „Ale jak tylko przyjedzie tu karetka, lepiej zabierz mnie do INKOL, żebyśmy mogli zacząć pracę nad ustalaniem faktów”. W sposobie, w jaki to ujął, zabrzmiała jakaś ostateczność, jak cisza po pojedynczym wystrzale. Teraz nagle zaczęła się bać o Toma Nortona i jego lekceważącą nonszalancję.

- Też mi się to podoba - rzuciła pospiesznie. - Tom, czy możemy w INKOL podpiąć się do n-dżina z „Horkan’s Pride”? Uruchomić bezpośredni interfejs?

Norton dziwnie na nią popatrzył, przeniósł wzrok na stojącego obok murzyna, potem znów na nią. Wzruszył ramionami.

- Tak, przypuszczam, że moglibyśmy. Ale po jaką cholere? MIT dała nam już zapisy. - Zwrócił się bezpośrednio do Marsalisa. - Są dostępne w biurze. Możesz je przejrzeć, jeśli chcesz.

- Ale nie chcę. - Marsalis uśmiechał się łagodnie w sposób, który zmroził Sevgi. - Chcę za to porozmawiać z n-dżinnem „Horkan’s Pride”, Tom.

Norton zeszywniał.

- Nagle stałeś się ekspertem od psychologii sztucznych inteligencji?

- Nie, jestem ekspertem w polowaniu na wariant trzynasty i ich zabijaniu.

Dlatego mnie zatrudniliście, pamiętasz?

- Tak, i nie wydaje ci się, że to cenne doświadczenie mogłoby...

- Tom!

- ... zostać lepiej wykorzystane przez zapoznanie się z miejscami zbrodni, z którymi chcemy skończyć?

Murzyn wciąż się uśmiechał. Wciąż stał rozluźniony w odległości, która - jak Sevgi nagle zrozumiała - mieściła się tuż za granicą łatwego sięgnięcia do Nortona.

- Nie, nie uważam.

- Tom, dość tego. Do cholery, co jest dziś z tobą nie ta...

- Nie tak jest to, Sev, że...

Głośne, ostentacyjne odchrząknięcie. Oboje urwali i przenieśli spojrzenia na Marsalisa.

- Nie rozumiecie - powiedział cicho.

Milczeli. Na końcu jego słów zawisło żądanie uwagi, jak niewypowiedziana komenda.

- Nie rozumiecie, z czym macie do czynienia. - Powrócił uśmiech, przełomie, jakby przywołany wspomnieniem. - Myślicie, że skoro Merrin zabił parę tuzinów ludzi, jest jakimś ześwirowanym seryjnym mordercą? Wcale nie o to chodzi. Seryjni mordercy to uszkodzeni ludzie. Wiesz o tym, Sevgi, nawet jeśli Tom nie wie. Zostawiają ślad, zostawiają wskazówki, dają się złapać. A dzieje się tak dlatego, że ostatecznie, świadomie lub nie, chcą zostać złapani. Wyrachowane morderstwo to działanie antyspołeczne, jest czymś trudnym dla ludzi i uaktywnienie takich możliwości wymaga



szczególnych okoliczności na poziomie osobistym lub społecznym. Ale to dotyczy was, ludzi. To nie ja, nie Merrin i nikt z wariantu trzynastego. Nie jesteśmy tacy jak wy. Jesteśmy wiedźminami. Brutalnymi wygnańcami, samotnymi wilkami, którym uniemożliwiliście rozmnażanie, gdy popularne stało się rolnictwo i mieszkanie w jednym miejscu. Nie mamy kontekstu społecznego i nie potrzebujemy go. Musicie to zrozumieć: Merrinowi nic nie dolega. Nie jest uszkodzony. Nie zabija tych ludzi w ramach wyrażania jakiejś psychozy z dzieciństwa, nie robi tego, ponieważ uznał ich za jakąś odczłowieczoną, wydzieloną grupę spoza społeczeństwa. Po prostu wykonuje jakiś plan działań i jest mu z tym dobrze. I nie da się przy tym złapać - chyba że zdołacie mnie postawić obok.

Norton potrząsnął głową.

- Mówisz, że Merrin nie jest uszkodzony? Nie było cię tam, gdy otworzyli włązy „Horkan’s Pride”. Nie widziałeś bałaganu, który tam zostawił.

- Wiem, że żywił się pasażerami.

- Nie. To nie tak, Marsalis, że on się nimi po prostu żywił. Rozerwał ich na strzępy, wydłubał im oczy i porozwalał cholerne kawałki po całej sekcji załogowej. To właśnie zrobił. - Norton odetchnął głęboko. - Jeśli chcesz to nazwać planem działań, proszę bardzo. Dla mnie to wygląda na staromodne szaleństwo.

Zwolnił tylko na moment, jednak Sevgi dostrzegła, jak wiadomość zatrzymała Marsalisa.

- No cóż, musicie mi pokazać trochę zdjęć - stwierdził. - Ale przypuszczam, że miał ku temu jakiś powód.

Norton się skrzywił.

- Jasne, że miał powód. Siedem miesięcy samotnie w głębi kosmosu na diecie z ludzkiego mięsa. W tych okolicznościach sam pewnie bym zwariował.

- To nie wystarczy.

- Tak twierdzisz. Wzięłeś kiedyś pod uwagę, że możesz się mylić? Może Merrin faktycznie ześwirował. Może wariant trzynasty nie jest aż tak niehumaniczny, jak wszyscy sądzą.

To wywołało u Marsalisa kwaśny uśmiech.

- Dzięki za solidarność, Tom. To miła myśl, ale nie spieszy mi się do asymilacji. Wariant trzynasty nie jest człowiekiem w taki sposób jak ty, a ten Merrin nie będzie wyjątkiem. Oceniasz jego działania na zwykłą ludzką

miarę i popełniasz duży błąd. A na razie zatrudniłeś mnie, żebym wyprofilował gościa, więc może wzięlibyśmy się do tego, zaczynając od ostatniej rzeczy, która widziała go żywego. Pozwolisz mi porozmawiać z n-dżinnem „Horkan’s Pride” czy nie?

## ROZDZIAŁ 20

Pod nogami miał nocne niebo.

Nie takie, jakie można było zobaczyć z Ziemi lub Marsa czy gdziekolwiek indziej w ramieniu galaktyki. Czarna podłoga była intensywnie zalana blaskiem. Gwiazdy przytłaczały się wzajemnie światłem lub zbierały się w wielobarwne żyły mgławic. Mógł to być realistycznie wygenerowany widok z jakiegoś hipotetycznego świata w jądrze Drogi Mlecznej, mógł to być po prostu zwielokrotniony losowo obraz lokalnego nieboskłonu z podkreśloną jasnością. Zrobił kilka kroków, miażdżąc stopami gwiazdy na pył, rozsmarowując je po oleistej czerni. Niebo nad głową miało klaustrofobiczną barwę metalicznej szarości, ozdobione brzydką kluchą otoczoną szerokimi spiralami.

*Pieprzone duchy w maszynie.*

Nikt nie wiedział, czemu pokładowe dżinny tak urządzały swoje wirtualne środowiska. Pytania na ten temat zadawane przez ludzkich inżynierów interfejsu dawały ogólne odpowiedzi bez większego sensu. „Wypląnęło z tego woli, nie ciężkie, tam przy, przez przy, bez pochyłości i dojrzałe” była jedną z bardziej znanych. Carl znał na Marsie inżyniera interfejsów, który wypisał to sobie i powiesił nad koją jako koan. Towarzysząca temu matematyka miała ponoć jeszcze mniej sensu, choć facet upierał się, że była w niej „swoista szalona elegancja”, cokolwiek to miało znaczyć. Planował wydanie książki, kolekcji haiku n-dżinnów wydrukowanych bardzo drobno na drogim papierze, z ilustracjami wirtualnych formatów na sąsiednich stronach.

Zdaniem Carla, choć nie potrafił go w żaden sposób dowieść, n-dżinny po prostu bawiły się kosztem ludzkości. Przypuszczał że książka, jeśli kiedykolwiek zostanie wydana, będzie stanowić pointę dowcipu.

W bardziej ponurych chwilach zastanawiał się, co będzie dalej. Koniec żartu, przestajemy się cackać.

- Marsalis.

Najpierw pojawił się głos, potem twarz, prawie jakby n-dżinn zapomniał zmanifestować punkt skupienia, na który człowiek mógł zwracać uwagę. Jak ktoś pytający o numer telefonu, a dopiero potem szukający długopisu, żeby go zanotować. Niebieskawe, poszatkwane w konfetti androgyniczne

ciało stojące tak, jakby było nieustannie owiewane podmuchem z tunelu aerodynamicznego. Długie, poszarpane włosy. Ciało niczym milion drobniutkich, machających skrzydeł, poruszających się przy kościach. Nie dało się stwierdzić, czy rysy twarzy są kobiece, czy męskie. Głosowi towarzyszyło delikatne trzeszczenie niczym płonący papier.

Przypominało to trochę rozmowę z aniołem. Carl się skrzywił.

- To ja. Sprawdzalesz mnie?

- Wyróżniasz się w przepływie. - Konstruktor uniósł rękę, z której ku gwiazdzistej podłodze poleciał strumień obrazów. Zauważył zdjęcia inauguracyjne z Ospreya, doniesienia medialne po ratunku z „Felipe Souzy”, inne rzeczy, które pobudzały różne przykurzone zakamarki pamięci. Gdzieś pośród tego dostrzegł chyba twarz Marisol, ale nie miał pewności. Obudził się w nim odruch obronny.

- Nie wiedziałem, że tak szybko pozwolą ci się podłączyć.

Co było kłamstwem. Ertekin pokazała mu dokumentację zwolnienia z MIT - wiedział z dokładnością do godziny, kiedy zrekalibrowano n-dżinna i pozwolono mu podłączyć się do danych.

- Działanie bez dostępu do obfitości danych może być potencjalnie szkodliwe dla moich systemów - poważnie wyjaśniła niebieska postać. - Ponowne uaktywnienie sztucznej świadomości na poziomie nano z konieczności wymaga podłączenia do lokalnych strumieni danych.

Zupełnie nieludzko dżin pozostawił uniesioną rękę, z której w dalszym ciągu wypływał strumień obrazów.

Carl wskazał w ich stronę.

- Jasne. W takim razie co lokalne strumienie danych mają ostatnio o mnie do powiedzenia?

- Wiele rzeczy. ONZALG aktualnie określa cię mianem agenta licencjonowania genetycznego. „Miami Herald” nazywa cię mordercą. Wielebny Jessie Marshall z Kościoła Czystości Ludzkiej nazywa cię wypaczeniem, ale to ogólny termin. Wiadomości wyodrębnione z danych marsjańskich i przechowywane lokalnie określają cię najszcześniejszym człowiekiem na Marsie, choć oczywiście dotyczy to roku 2099. „Frankfurter Allgemeine” nazwała cię...

- Dobra, dość. Więcej nie trzeba. - Dosłowność pokładowych n-dżinnów była wręcz przysłowiowa. Był to element wykonywanej przez nie pracy - minimalne wymagania interfejsu. Ludzie stanowili zamrożony ładunek. Dżiny siedziały samotnie otoczone czarną ciszą upstrzoną gwiazdami, z

rzadka rozmawiając z innymi maszynami na Marsie i Ziemi podczas dokowania lub gdy wymagała tego sytuacja. - Przyszedłem zadać ci kilka pytań.

Konstrukt czekał.

- Pamiętasz Allena Merrina?

- Tak. - W powietrzu na wysokości ramienia postaci pojawiło się wymizerowane, chrystusowe oblicze Merrina. Najprawdopodobniej standardowe holo identyfikacyjne. - Znajdował się w kapsule beta sekcji załogowej, przeprojektowanej dla ładunku ludzkiego w ramach dyrektywy INKOL dotyczącej międzyplanetarnego transportu załogowego numer c93-ep4652-21. Certyfikowany do kriogeniki w Bradbury, 5 listopada 2106, protokół numer 55528187.

- Tak, tylko że niezbyt długo siedział w kapsule beta, prawda?

- Nie. System obudził go po czterystu czternastu godzinach lotu.

- Powiedziałeś ekipie śledczej, że wyłączyłeś się dobrowolnie po trzystu siedemdziesięciu ośmiu godzinach z powodu podejrzenia o uszkodzonym materiale w module nawigacyjnym.

- Tak. Chciałem zapobiec przeniesieniu możliwego wirusa do zapasowego rdzenia nawigacyjnego. Należało zastosować kwarantannę.

- A Merrin obudził się trzydzieści sześć godzin później. To zbieg okoliczności?

Poszatkowana niebieska postać zawahała się, pozbawiona wyrazu twarzy i utkwiony w nim wzrok. Carl domyślił się, że próbuje skalibrować jego percepcję przypadkowości i zdarzeń, opierając się na milionie drobnych poszlak znajdujących się w wyświetlanych strumieniach danych. Czy jest przesądny, czy jest religijny? Jakie ma podejście do roli przypadku w ludzkich losach? N-dżinn budował swoje specyfikacje, tak samo jak urządzenie skontrolowałyby topografię interfejsu nowego elementu oprogramowania.

Trwało to około dwudziestu sekund.

- Brak systemowych dowodów wskazujących na związek między tymi zdarzeniami. Ożywienie wydaje się być skutkiem awarii kapsuły.

- Czy byłeś świadom obudzenia Merrina?

- Tak, w ograniczonym stopniu. Jak mówiłem, praca bez dostępu do obfitości danych jest potencjalnie niebezpieczna dla moich układów. W przypadku blokady w kwarantannie pomocnicze systemy statku wciąż dostarczają mi odczytów, choć w żaden sposób nie mogę na nie aktywnie

zareagować. Ruch odbywa się tylko w jedną stronę, protokół przerwania zapobiega reakjom. Można to uznać za zjawisko podobne do przetwarzania danych przez ludzki mózg podczas fazy REM snu.

- Czyli śniłeś o Merrinie.

- Tak, to jeden ze sposobów na ujęcie tego.

- A czy Merrin mówił w tych snach?

Zbudowana z konfetti postać poruszyła się lekko na niewidocznym wietrze. Na jej twarzy pojawiło się coś, co mogło być wyrazem zaciekawienia. Równie dobrze mogło też być bólem lub ukrywaną rozkoszą seksualną. Tak naprawdę maszyna nie opanowała ludzkich wyrazów twarzy.

- Do kogo?

Carl wzruszył ramionami, ale nie wyszło mu obojętnie. Był zbyt obciążony lodowatymi wspomnieniami.

- Do maszyn. Do ludzi w kriokapsułach. Czy mówił do siebie? Może do gwiazd? Był tam bardzo długo.

- Jeśli uważasz to za rozmowę, tak. Mówił.

- Często?

- Nie zostałem skalibrowany, by ocenić, co w ludzkim pojęciu można uznać za „często”. Merrin milczał przez osiemdziesiąt siedem koma dwadzieścia dwa procent czasu lotu, włącznie z czasem spędzonym we śnie. Czterdzieści trzy koma dziewięć procent jego słów było najwyraźniej skierowanych do...

- Dobrze, nieważne. Wyposażono cię w funkcję intuicji Yaroshanko?

- Tak, w moich systemach operacyjnych uwzględniono podstawowe stałe Yaroshanko.

- Dobrze, w takim razie puść grzecznościową Tjadena/Wassona dla powiązań między mną i Merrinem, korzystając z interferencji wzdłuż krzywej Yaroshanko. Nie więcej niż dwa poziomy separacji.

- Jakie odnośniki zastosować do krzywej?

- Początkowo oba nasze ślady w całkowitym przepływie danych. A przynajmniej w tej jego części, do której masz dostęp. Dostaniesz mnóstwo standardowych łączy Bacona, ale to nie ich szukam. - Carl pożałował nagle, że nie ma tu Matthew, który załatwiłby to za niego, sięgając błyskawicznie w głąb elektroniki, rozmawiając z maszyną na poziomie jej własnej świadomości. Matthew świetnie by się tu czuł - przy nim Carl sprawiał wrażenie niezgrabiasza. Terminologia złożonej matematyki nie brzmiała w jego ustach zbyt gładko. - Sprawdź referencje do wszystkiego, co Merrin

powiedział lub zrobił na pokładzie „Horkan’s Pride”. Pokaż mi wszystko, co wypłynie.

Niebieska postać poruszyła się lekko, falując na wietrze, którego Carl nie czuł.

- To potrwa - oznajmiła.

Carl rozejrzał się po pustce konstrukt z gwiazdzistą podłogą. Wzruszył ramionami.

- W takim razie daj mi tu krzesło.

\* \* \*

Przypuszczalnie mógł opuścić wirtualizację i spędzić jakoś ten czas w sklepionych, neonordyckich salach INKOL w kompleksie parku Jeffersona. Mógł jeszcze porozmawiać z Sevgi Ertekin, może nawet ułagodzić Toma Nortona i nastawić go bardziej pokojowo dzięki użyciu różnych męsko-męskich frazesów. Mógłby coś zjeść - jego żołądek protestował z braku czegokolwiek oprócz kawy od czasu Florydy zeszłej nocy: zignorował to z wypraktykowanym stoicyzmem - lub po prostu pójść na spacer po tarasach kompleksu od strony rzeki. Sevgi powiedziała, że może chodzić, gdzie chce.

Zamiast tego siedział pod nierównym metalicznym niebem i przyglądał się, jak Merrin chodzi w snach n-dżina.

Konstrukt dostarczył mu krzesło i zostawił w spokoju - geometria linii ogona komety i gwiazdnych mgławic wirujących na niebie, jakby spadały na niego - po czym zniknął w słabnącym wietrze, który wiał nieustannie przez jego ciało. W jego miejsce wiatr przyniósł coś innego - z początku drobny, prostokątny panel przypominający antyczny znaczek holograficzny o sztywnych rogach, który Carl widział kiedyś w londyńskim muzeum, rosnący w miarę zbliżania się, aż zatrzymał się w ciszy, wysoki na trzy metry i szeroki na dwa, pochylony lekko do tyłu. Znieruchomiał o kilka kroków od miejsca, w którym siedział Carl. Była to kaskada obrazów przypominająca strumień wypływający wcześniej z ręki dżina. Cicha i niespójna jak nieludzkie procesy kojarzeniowe n-dżinna.

Zobaczył, jak Merrin budzi się z kapsuły beta w sekcji załogowej, otumaniony po budzeniu, ale już poruszający się ze znajomą ekonomią ruchów. Zobaczył, jak idzie grzbietowym korytarzem „Horkan’s Pride”, twarz nieprzenikniona.

Zobaczył, jak wydłubuje spomiędzy zębów resztki mięsa Heleny Larsen, używając do tego mikrośrubokrętu z szafek technicznych.

Zobaczył, jak wydaje polecenie odsłonięcia bocznych okien po zgaszeniu

świateł we wnętrzu statku. Zobaczył, jak opiera dłonie na szybie i wpatruje się w lustro niczym chory.

Zobaczył, jak krzyczy, z szeroko otwartymi ustami, ale milcząco, w ciszy.

Zobaczył, jak podcina gardło ożywionemu, pozbawionemu kończyn ciała, rozłożoną dłonią blokując tryskającą z tętnic krew. Zobaczył, jak ostrożnie wydłubuje pojedynczo oczy i rozsmarowuje je palcami na matowej ścianie korytarza.

Zobaczył, jak przemawia do kogoś, kogo tam nie było.

Zobaczył, jak raz obrócił się w korytarzu i spojrzał do kamery, jakby wiedział, że Carl mu się przygląda. Uśmiechnął się wtedy, a Carl poczuł, jak zmroziła go reakcja jego własnych mięśni twarzy.

Było tego więcej, dużo więcej, nawet w krótkim czasie potrzebnym n-dżinnowi na ukończenie Tjadena/Wassona. Obrazy przemykały, błyskały i ginęły, pochłonięte przez inne efekty ekranowe. Nie był pewien, czemu maszyna mu to pokazuje ani jakie stosuje kryteria wyboru. Czuł to samo, co podczas lotu na pokładzie „Felipe Souzy”, denerwująca próba zrozumienia kapryśnego boga, o którym zapewniono go - *naprawdę, to prawda, tak został zaprogramowany* - że go pilnuje. Wrażenie sensu tuż poza zrozumieniem.

Może dżin wyczytał w nim coś, z czego Carl sam nie zdawał sobie sprawy, i próbował mu to pokazać, jakaś nieświadomiona potrzeba. Może sądził, że Carl tego właśnie chciał.

Może naprawdę tego chciał. Nie był pewien.

Nie był pewien, czemu został tam i oglądał. Ale ucieszył się, kiedy się skończyło.

\* \* \*

Powróciła unosząca się na wietrze, potargana postać.

- Jest to - powiedziała mu i uniosła ramię falujące niczym skrzydło. Na ekranie pod nim Merrin szedł obok automatycznych noszy wiozących Helenę Larsen w krótkiej drodze z komory kriokapsuła do sali autochirurga. To była jej druga podróż - tuż poniżej trykotu prawa noga kończyła się zgrabnie zabandażowanym kikutom. Mamrotała coś do siebie w stanie niepełnej przytomności po wybudzeniu, ledwie słyszalnie, ale n-dżinn skompensował i wzmocnił dźwięk.

- ... nie znowu - błagała niewyraźnie.

Merrin nachylił się, by złapać jej głos. Carl wiedział, że ma nadzwyczaj dobry słuch, wyostrzony dodatkowo przez nieustanny, dławiący bezruch na



pokładzie statku lecącego do domu, pogrążonego w mrocznym cieniu pustki na zewnątrz, w której nagle pogłębione buczenie przewodów zasilających w ścianie wystarczyło, by wyrwać ze snu, a dźwięk upuszczonego widelca zdawał się roznosić po całym statku. Dźwięki kroków wyciszały tenisówki zaprojektowane do uniknięcia wszelkich zarysowań, a po jakimś czasie człowiek odkrywał, że prawie przesadnie próbuje również w inny sposób nie zakłócić ciszy. Mówienie - do siebie, by zachować rozum, do świadomych i bezdusznych maszyn utrzymujących przy życiu, do śpiących twarzy za szybami kriokapsuł, do kogokolwiek i czegokolwiek, co mogłoby słuchać - mówienie stawało się aktem mrocznego nieposłuszeństwa, zuchwałym przerwaniem ciszy.

- Znowu, tak - Merrin powiedział do kobiety, którą się żywił. - Dziedzictwo kormorana.

Obraz znieruchomiał.

- Kormoran - powiedział Carl, budząc swoją pamięć.

- Merrin kilkakrotnie użył tego słowa bez żadnego kontekstu - wyjaśnił dżin. - Nasuwa się skojarzenie. Według danych rotacji obozu pracy Wells na Marsie zarówno ty, jak i Merrin znaliście Roberta P. Danversa, numer identyfikacyjny 84437hp3535. Ekstrapolacja Yaroshanko wiąże was obu przez Danversa z marsjańskimi *familias andinas oraz*, łącząc się z użytym tu terminem „kormoran”, z dużym prawdopodobieństwem z osobą Franklina Gutierrez.

Przez chwilę Carl siedział w milczeniu. Ogarnęły go wspomnienia, gęste i szybkie, emocje, które, jak sądził, odrzucił kilka lat temu. Poczul, jak jego palce zginają się niczym szpony.

- No proszę, proszę - powiedział w końcu. - Gutierrez.

## ROZDZIAŁ 21

- Nigdy o nim nie słyszałem. - Norton prychnął lekceważąco. Stał dość blisko Carla, by uznać to za wyzwanie.

- Owszem, nie mogłeś - zgodził się Carl. Przepchnął się obok Nortona, podszedł do okna biura i zapatrzył się na widok. Na East River kładły się plamy słońca przebijającego się przez chmury, nadając jej metaliczny pobłysk. - Franklin Gutierrez był w latach osiemdziesiątych danolamaczem w Limie. Wszyscy zgadzali się, że jednym z najlepszych. W 86 włamał się do Serbanco i obrobił ich na pół miliarda soli. Nieskazitelne wykonanie. Potrzebowali prawie miesiąca, żeby się zorientować, że w ogóle coś stracili.

Norton parsknął.

- Nie mogło być tak nieskazitelne, skoro wylądował na Marsie.

Carl stłumił nagłą chęć wyrwania Nortonowi strun głosowych gołymi rękami. Przywołał z głębin cierpliwość w stylu Sutherlanda. *Oddaj swoje reakcje człowiekowi, który je wyzwała, a przegrałeś walkę o siebie. Patrz ponad to i zamiast tego odszukaj tam siebie.* Skupił się na szczegółach widoku w dole. INKOL Nowy Jork, prawdopodobnie w świadomym odbiciu terytorium ONZ, stał kilka przecznic od południowego parku Jeffersona, wzniesiony na kolumnach nad drogą FDR, wyglądając na rzekę. Budynek stanowił splątana fraktalna strukturę przypominającą wyglądem porzucone olbrzymie skórki pomarańczy. Cienki biały nanowęgiel oplatał krzywizny i kąty przyciemnionego bursztynowego szkła, po czym opadał, by zlać się elegancko pośród wielopoziomowej siatki starannie wypielegnowanych chodników, ścieżek i ogrodów łączących wszystkie sekcje z resztą struktury. Można było stać w wysokim, otwartym biurze dzielonym przez Ertekin i Nortona i patrzeć w dół na cały kompleks, ogrody, wystający skraj antresoli, na rzekę. Spojrzenie Carla wróciło do wody i odczuł nieoczekiwany nawrót uczucia z pierwszych dni po powrocie na Ziemię osiem lat temu, w czasie gdy widok większego akwenu wodnego stawał się nagłym wstrząsem.

Czasu, który poruszył w nim n-dżinn „Horkan’s Pride”, pozostawiając go we wzburzeniu i napełniając starymi wspomnieniami.

To tyle, jeśli chodzi o wyglądanie przez okno.

- Tak, Gutierrezza złapali - przyznał neutralnie. - Ale na wydawaniu pieniędzy, nie na ich kradzieży. Pamiętaj o tym. Ten facet miał swoje

słabości, ale nie należało do nich paskudzenie roboty.

- I zaoferowali mu przesiedlenie? - zapytała Ertekin.

- Tak, a on się zgodził. Widziałaś kiedyś peruwiańskie więzienie od środka? - Carl zostawił krzywiznę okna, odwrócił się do biura i swoich nowych kolegów. - Wylądował w Wells, obsługując systemy równowagi atmosferycznej dla Inicjatywy Wyżynnej. Kiedy nie siedział przy tym, zajmował się przestępstwami komputerowymi dla marsjańskich *familias andinas*. To chyba było bardziej opłacalne od oficjalnej pracy.

Norton potrząsnął głową.

- Jeśli ten Gutierrez jest powiązany z marsjańską zorganizowaną przestępczością, to już sprawdziliśmy jego i powiązania z Merrinem.

- Nie, nie sprawdziliście.

Wymiana spojrzeń między Nortonem i Sevgi Ertekin. Norton westchnął.

- Marsalis, słuchaj. Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiliśmy w tym śledztwie, było...

- Skontaktowanie się z kolonialną policją i polecenie im sporządzenia listy znajomości Merrina z Marsa. Jasne. - Carl kiwnął głową. - Oczywiście. Ma to sens, zrobiłbym to samo. Tylko że to nic nie da. Jeśli Gutierrez prowadził jakieś interesy z Merrinem, nie ma po nich śladu, znikły z przepływu danych jak gówno z pupki niemowlaka. Dla was zostały tylko jakieś drobne powiązania z nieistotnymi pośrednikami w rodzaju Danversa. A ludzie tacy jak Danvers i tak ocierają się praktycznie o wszystkich, którzy kiedykolwiek pracowali w obozie Wells. Innymi słowami, interesy są niewidzialne. Tak to działa, gdy Gutierrez coś dla was robi.

- A ty skąd to wiesz?

Wzruszył ramionami.

- A jak myślisz?

- Gutierrez coś dla ciebie zrobił - cicho powiedziała Ertekin. - Co takiego?

- Coś, o czym nie zamierzam z wami rozmawiać. Chodzi o to, że w kategoriach przepływu danych moje powiązania z Gutierrezem nie istnieją, podobnie jak Merrina. Wszelkie poszukiwania, jakie kolonia mogła puścić na Merrina, musiały utknąć na Danversie. N-dzinn „Horkan’s Pride” doszedł dalej tylko dlatego, że nie spodobał mi się przypadek, że dwie trzynastki wracają z Marsa w niezwykłych okolicznościach i obaj mają odrębne, niezależne powiązania z niskiego kalibru bandziorem w rodzaju Danversa. Czysta intuicja Yaroshanko. Bardzo potężna, jeśli działa, ale potrzeba jej

jakichś punktów zaczepienia.

- Wciąż nie rozumiem - z irytacją stwierdził Norton - jak cię to prowadzi do tego Gutierrez.

- Samo w sobie nie. Ale wspomnienia, które n-dzinn przechował o Merrinie, zawierają kilka odniesień do kormorana.

Norton skinął głową.

- Tak, widzieliśmy za pierwszym razem. *Dziedzictwo kormorana, prezent kormorana, skręcić kark pieprzonemu kormoranowi*. Kazaliśmy to sprawdzić naszym n-dzinnom. Sprawdziliśmy marsjański slang i nie dostaliśmy nic...

- To nie jest marsjański termin.

- Teraz już może być - zauważyła Ertekin. - Od twojego powrotu minęło trochę czasu. W każdym razie cofnęliśmy się do zastosowań w Stróżach Prawa i ogólnego żargonu trzynastek. I tak nic nie dostaliśmy.

- To z Limeo.

Norton zamrugął.

- Proszę?

- To termin z podziemi Limy. Dość mało znany i stary. Wasz n-dzinn pewnie uznał go za nieistotny. Wywodzi się z wczesnych lat siedemdziesiątych, kiedy Gutierrez był młodym pistoletem w środowisku andyjskich danołamaczy. Słyszeliście o ukai?

Puste spojrzenia.

- No dobra. Ukai to forma łowienia ryb, w której używa się wyszkolonych kormoranów przynoszących ryby. Pierwotnie wywodzi się z Japonii, ale zrobiło się bardzo popularne w peruwiańskiej społeczności Japończyków jakieś pięćdziesiąt lat temu, gdy na większą skalę zaskoczyło to całe rozmnażanie pod projekt. Ukai robi się w nocy, a kormorany nurkują z obręczą na gardle, która uniemożliwia im połknięcie ryby. Dostają jedzenie, gdy przyniosą zdobycz opiekunowi. Widzicie powiązanie?

- Kontraktowi danołamacze. - Oczy Ertekin rozbłysły skojarzeniem. - *familias andinas*.

- Właśnie. W tamtych *czasach familias* były tu na Ziemi liczącą się siłą. Ktokolwiek zaczynał pracować jako łamacz na południowym wybrzeżu Pacyfiku, pracował dla *familii* albo nie pracował wcale. Można było wybić się na znanego *halcon de datos*, ale życie zaczynało się jako *cormoran*.

Ertekin kiwała głową.

- Włącznie z Gutierrezem.

- Włącznie z Gutierrezem - zgodził się i gdy powtórzył jej słowa,

przeskoczyła między nimi jakaś iskra. - Później dorobił się własnej reputacji i własnych skoków. Złapali go.

- A kiedy znalazł się na Marsie, odkrył, że znów czekają na niego *familias*.

- Właśnie. Tam jest jakby się cofnąć o pół stulecia. *familias* mają władzę, jakiej na Ziemi nie widziały od dziesięcioleci. Najwyraźniej Gutierrez musiał wrócić do pracy jako ukai. Znów został kormoranem. - Carl rozłożył ręce, w stylu „sprawa zamknięta”. - Cały czas narzekał mi na ten temat.

- To niekoniecznie znaczy, że tak samo było z Merrinem - zauważył Norton.

- Owszem, znaczy. Gutierrez miał bzika na punkcie trzynastek. Podobnie zresztą jak wielu ludzi na Marsie, tam jest cała poświęcona im subkultura fetyszystyczna. To jak kluby fanów bonobo tutaj. Gutierrez był pełnopłatnym członkiem, zafascynowanym tym wszystkim. Lubił rozwijać analogię między trzynastkami i danołamaczami z Limy. Obie grupy były swoistymi supermenami, obu z tego powodu bano się i nienawidzono.

Norton prychnął.

- Supermen. Jasne.

- Cóż, to jego teoria - przypomniał Carl. - Nie moja. Rzecz w tym, że ciągle narzekał na zredukowanie do stanu ukai, mówił że mogłem go zrozumieć z powodu tego, kim jestem, tego, czym jestem. Dokładnie to samo musiał wciskać Merrinowi.

- No dobrze. - Norton wstał i stanął w plamie światła. - Dzwonimy do kolonii, każemy im ściągnąć Gutierreza i go przyciśniemy.

Carl prychnął.

- Jasne, przyciśniesz go z odległości kilkuset milionów kilometrów. Dziesięć minut opóźnienia komunikacyjnego w każdą stronę. Chętnie obejrzę takie przesłuchanie.

- Nie mówiłem, że my go będziemy cisnąć. Zrobi to kolonia.

- Kolonia nie potrafiłaby się oprzeć o ścianę. Zapomnij. Cokolwiek dzieje się na Marsie, nie działa z tej strony. To nie jest odległość w ludzkiej skali.

Ertekin zapadła się głębiej w fotel, złożyła ręce i zapatrzyła się gdzieś w głąb biura. Światło z wysokiego okna padało na nią niczym świetliste deszcze o zachodzie słońca na Marsie. Obudzone wspomnienia Carla znów przyszły i kopnęły go w mostek.

- Jeśli to *familias andinas* pomogły Merrinowi wydostać się z Marsa - powiedziała powoli, głównie do siebie - to mogą mu pomagać również po tej

stronie.

- Nie kapituły południowoamerykańskie - zauważył Carl. - Od dziesięcioleci prowadzą wojnę z marsjańskimi *familias*. No, przynajmniej są w stanie wojny. Nie współpracowałyby przy niczym ze strony Marsa.

Ertekin potrząsnęła głową.

- Nie musieliby. Myślałam o *familias* z Jezusowa i o tym, co zostało po nich na Wybrzeżu. Chwałą się swoim dziedzictwem z Altiplano, ale to wszystko. Daleko na północy prowadzą własne interesy, a sporo z nich wiąże się ze szmuglowaniem ludzi. To znaczy, Wybrzeże rozwałkowało ich na miazgę po Secesji, pozbawiając ich rynków zbytu zmianami prawa w zakresie narkotyków i otwartym podejściem do biotechu. Została im tylko kontrola nad wymuszonym seksem i przemyt ludzi przez granicę. Ale wciąż tam są, podobnie jak tutaj. A pomiędzy, w Republice, wciąż mają cholernie duże znaczenie.

Rozmyślała nad tym przez chwilę.

- No dobra, w porządku. Mają oprogramowanie do ruchu ludzkiego, którego Merrin potrzebowałby do swobodnej infiltracji i opuszczania Wybrzeża. Może dogadali się z kapitułą marsjańską, jakiś interes, który dał im usługi tego Gutierrez. Pytanie brzmi: czemu? Co oni mogą mieć z czegoś takiego? Gdzie ich zysk?

- Myślisz - wtrącił się Norton - że facet wykonuje wyroki zatwierdzone przez *familias*?

- Mieliby ściągać trzynastkę aż z Marsa, żeby wykonywał dla nich kontraktowe zabójstwa? - Ertekin się skrzywiła. - To nie ma sensu. *Sicarios* można kupić po dolarze za tuzin w każdym większym mieście Republiki. Więzienia są ich pełne.

- To prawda. - Norton zerknął na Carla.

- Nie, to musi być coś innego. - Ertekin obejrzała się na murzyna. - Powiedziałeś, że ten Gutierrez zrobił coś dla ciebie na Marsie. Możemy przyjąć, że ty też kontaktowałeś się z *familias*?

- Tak, zdarzało mi się z nimi kontaktować.

- Zechciałbyś podzielić się domysłami, czemu mieliby zrobić coś takiego? - Wciąż szukała. Błade plamki w tęczęwkach jej oczu.

Carl wzruszył ramionami.

- W normalnych warunkach powiedziałbym, że nie zrobiliby tego. *familias* prowadzą na Marsie staromodny, konserwatywny układ macho. Wykorzystują wszystkie standardowe uprzedzenia wobec ludzi takich jak ja.

- Ale...?

- Ale kilka lat temu trafiłem na trzynastkę, która próbowała doprowadzić do sojuszu z tym, co zostało z kapituł Altiplano. Gość nazywał się Névant, Francuz z jednostki infiltracji byłego Departamentu Osiem. Bardzo bystry gość, był specjalistą od partyzantki w centralnej Azji. Doradca watażków wojskowych, kontrwywiad, takie rzeczy. Z czasem mógłby zmontować coś nawet tam.

- Mógłby - przeciągnął Norton. - Czyli możemy bezpiecznie założyć, że nie dano mu tego czasu.

- Owszem. Nie dano.

- Co mu się stało?

Carl uśmiechnął się ponuro.

- Ja mu się stałem.

- Zabiłeś go? - ostro zapytała Ertekin.

- Nie. Wyśledziłem go dzięki znajomym, których miał w Arequipie, wycelowałem w niego haaga, a on wolał unieść ręce zamiast zginąć.

- Trochę nietypowo jak na trzynastkę, nieprawdaż? - Norton uniósł brew.

- Tak po prostu się poddać?

Carl z powagą odpowiedział własnym uniesieniem brwi.

- Jak mówiłem, to inteligentny facet.

- Dobra, czyli wsadziłeś tego Névanta, tego inteligenta, i zabrałeś go do obozu. - Ertekin wstała z fotela i podeszła do okna. Przypuszczała, że wie już, do czego to prowadzi. - Gdzie jest teraz?

- Z powrotem w systemie. Obóz dla internowanych Eurostrefy, wschodnia Anatolia.

- I chcesz pojechać tam, żeby z nim porozmawiać. - To nie było pytanie.

- Tak, sądzę, że będzie to efektywniejsze od wirtualnego połączenia albo telefonu.

- Będzie się chciał z tobą spotkać? - Nie obróciła się.

- No cóż, nie musi - przyznał Carl. - Karta praw obozu dla internowanych strefy europejskiej gwarantuje mu prawo do odmowy spotkań z osobami z zewnątrz. Gdyby było to oficjalne dochodzenie ONZALG, może moglibyśmy naciskać, ale sam z siebie nie mam takiej wagi. Ale wiesz, myślę, że i tak zechce się ze mną spotkać.

- Masz do tego jakieś podstawy? - zapytał Norton.

- Tak, wcześniejsze doświadczenia. - Carl się zawahał. - My, hmm, dogadujemy się.

- Rozumiem. Kilka lat temu dopadłeś faceta i skazałeś go na spędzenie życia na tureckiej pustyni, a skutkiem tego staliście się najlepszymi kumplami?

- Anatolia to nie pustynia - nieobecnym głosem wtrąciła Ertekin, wciąż przy oknie.

- Nie powiedziałem, że jesteśmy kumplami, tylko że się dogadujemy. Po tym, jak go złapałem, musieliśmy spędzić kilka dni w Limie w oczekiwaniu na przepchnięcie wszystkich papierów. Névant lubi mówić, a ja jestem świetnym słuchaczem. Obaj...

Odezwał się telefon leżący na biurku Nortona na drugim końcu biura. Jego właściciel strzelił wzrokiem na Carla i ruszył, by odebrać połączenie. Ertekin odwróciła się od okna i spojrzała na Carla z powątpiewaniem.

- Myślisz, że mogę ci teraz pozwolić przekroczyć Atlantycką?

Wzruszył ramionami.

- Rób, co chcesz. Jeśli wolisz ciągnąć inny wątek śledztwa, proszę bardzo, znajdź jakiś. Ale Névant to oczywisty ślad, a nie sądzę, żeby chciał rozmawiać ze mną wirtualu, bo wirtualną tożsamość można sfałszować. Prawdę mówiąc, ja na jego miejscu też bym sobie nie zaufał. Wiesz, my, zacofańcy genetyczni, nie przepadamy za nowoczesną techniką.

Zauważył chwilowe drgnięcie jej ust, zanim opanowała odruch uśmiechu. Norton wrócił po rozmowie i nastrój chwili uciekł. Twarz pracownika INKOL miała ponury wyraz.

- Chcecie zgadywać? - odezwał się.

- Merrin ukrył się w budynku ONZ z bombą atomową - radośnie zasugerował Carl. - I ma tam dość zakładników, żeby wyżywić się do świąt.

Norton kiwnął głową.

- Cieszę się, że dobrze się bawisz, ale nie trafiłeś. Jesteś we wszystkich wiadomościach. Trzynastka ratuje dyrektora INKOL, morduje dwóch ludzi.

- O cholera. - Ramiona Ertekin opadły. - Tego było nam trzeba. Jak to się stało, do diabła?

- Najwyraźniej jakiś dupek w jednej z miejskich stacji miał napad wspomnień. Zobaczył na zdjęciach z miejsca ataku twarz naszego kumpla, coś mu przypominała i dopasował ją do kłopotów na Florydzie. - Norton wskazał ręką. - A może to była kurtka. Trudno nie zauważyć, nie jest też szczytem mody. W każdym razie facet zadzwonił na posterunek na Dwudziestej Ósmej i zadał kilka podchwytliwych pytań. Wyraźnie miał szczęście i rozmawiał z kimś bardzo chętnym do współpracy albo bardzo



głupim.

- Pieprzony Williamson.

Norton wzruszył ramionami.

- On, czy ktokolwiek. Mogę się założyć, że pół godziny po jego powrocie na posterunek każdy gliniarz w rejonie wiedział, że po ulicach chodzi trzynastka. I pewnie nie widział powodu, żeby się tym nie podzielić. W ich oczach to kwestia podstawowego bezpieczeństwa publicznego. Wiedzą, że nie mają na nas wpływu, i z przyjemnością pozwolili, by media postraszyły nami ludzi.

- Postraszyły? - Carl się rozpromienił. - Wydawało mi się, że była mowa o uratowaniu Ortiza.

- I zamordowaniu dwóch - zmęczonym głosem przypomniała Ertekin. - Nie zapomnij o tym.

- Sev, proszą o oświadczenia. Nicholson mówi, że ty powinnaś je wydać. Były detektyw nowojorskiej policji, te sprawy. Powinno załagodzić nieco ewentualne uczucia wrogości wobec INKOL, które mogli wzbudzić gliniarze z Dwudziestej Ósmej.

- Dzięki, Tom. - Ertekin rzuciła się z powrotem na krzesło i wbiła wzrok w Nortona. - Pieprzona konferencja prasowa? Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty niż rozmawiać z pieprzonymi dziennikarzami?

Norton rozłożył ręce.

- Sev, to nie ja, to Nicholson. I jego zdaniem owszem, chwilowo nie masz nic lepszego do roboty. Co mam zrobić, powiedzieć mu, że musiałaś wyjść na miasto?

Carl przechwycił jej spojrzenie. Uśmiechnął się.

# CZEŚĆ III

## Z DAŁA OD WSZYSTKIEGO

Pomimo ograniczonego zakresu tego raportu niezwykle ważne jest przyznanie, że mamy tu do czynienia z żywymi istotami ludzkimi, a nie z jakimś teoretycznym modelem ludzkiego zachowania. Nie powinno nas dziwić napotkanie złożonej i potencjalnie zagmatwanej masy czynników oraz interakcji emocjonalnych. Podobnie nie powinno nas wprawiać w zakłopotanie odkrycie, że prawdziwego rozwiązania trzeba będzie poszukać poza bieżącym zakresem dochodzenia.

RAPORT JACOBSENA

*Sierpień 2091*

## ROZDZIAŁ 22

Biura INKOL Stambuł mieściły się po europejskiej stronie, blisko placu Taksim, zagnieżdżone pośród lasu podobnych fioletowych lub brązowych szklanych wież zajmowanych głównie przez banki. W nocy dolne poziomy pozostawiano otwarte dzięki minimalnej ochronie i automatycznym działkom - były pełne błękitnego światła na wypadek jakichś nieoczekiwanych interesów. Parafrazując ich własne hasło reklamowe, można było powiedzieć, że Inicjatywa Kolonijna była przedsięwzięciem, nad którym nigdy nie zachodziło słońce. Nigdy nie było wiadomo, kiedy lub gdzie będzie musiała się obudzić i naprężyć swoje geopolityczne muskuły. Lepiej zawsze pozostawać w gotowości. Sevgi, której Taksim kojarzył się głównie z morderstwem jej dziadka i stryja przez nadgorliwą turecką policję, weszła do środka tylko po to, żeby pobrać karty kodowe do jednego z apartamentów INKOL po drugiej stronie Bosforu, w Kadiköy. Praktycznie wszystkie pozostałe sprawy mogła załatwić za pośrednictwem czytelnika. Zresztą rozmowa ze Stéphane'em Névantem i tak nie była przedsięwzięciem INKOL.

*Im mniej oficjalności od ciebie wyczuje, tym lepiej, powiedział jej Marsalis. Névant jest szczególny, jest jedną z nielicznych znanych mi trzynastek, które pogodziły się z zewnętrzną władzą. Nie ma już w nim furii, ale to nie znaczy, że mu z tym dobrze. Lepiej go nie drażnić.*

Ta sama limuzyna, która zabrała ich z lotniska, zawiozła ich do terminalu Karakóy, z którego przez całą noc odpływały promy na azjatycką stronę. Sevgi stłumiła protesty kierowcy dotyczące bezpieczeństwa. Jazda mostem będzie równie długa jak czekanie na prom albo nawet dłuższa, a potrzebowała oczyścić głowę. Nie chciała tu przylatywać, a tym bardziej być tu z Marsalisem. Zaczynała się zastanawiać, czy nie powinna była jednak ustąpić i wybrać konferencję prasową.

Oglądali jej transmisję z sieci Nowej Anglii w promie suborbitalnym, który zabrał ich z JFK i wysadził po drugiej stronie planety. Norton wyglądał spokojnie i olśniewająco w swoim medialnym garniturze. Widownia telewizyjna wciąż kochała szerokie ramiona i gęste włosy niezależnie od tego, co wychodziło z ust mówcy, a Tom Norton był świetny w obu dziedzinach. Sevgi była przekonana, że mógłby bez problemu starać się o jakieś wyższe stanowisko. Odpowiadał na pytania z doskonale dobranym

stopniem patrycjuszowskiej pewności siebie i dawką humoru.

*Dan Meredith, „Republika Dzisiaj”. Czy to prawda, że INKOL zatrudnia teraz supersamców jako ochronę?*

*Nie, Dan. To nie tylko nieprawda, to również wysoce błędne założenie. Gest obejmujący całą salą. Myślę, że wszyscy zdajemy sobie sprawę, jak wyglądałby supersamiec, gdyby ktoś był dostatecznie głupi, żeby naprawdę go stworzyć.*

Fala szeptów wśród zebranych dziennikarzy. Norton dał im chwilę, po czym je stłumił.

*Supermęska tendencja genetyczna, żeby wszystko było jasne, to autyzm. Supersamiec byłby bardzo kiepskim ochroniarzem, Dan. Nie tylko prawdopodobnie nie zauważyłby objawów zbliżającego się ataku ze strony innej istoty ludzkiej, ale przypuszczalnie byłby zbyt zajęty liczeniem pocisków w swoim pistolecie, żeby je do kogoś wystrzelić.*

Śmiech. Obraz z kamery przeniósł się na chwilę na wyłowioną w tłumie twarz Mereditha. Uśmiechnął się cierpko. W jego głosie zabrzmiała uprzejma, południowa ironia. *Przepraszam, Tom. Pomijając znany nam wszystkim fakt, że Chińczycy naprawdę wyhodowali superautystów do swoich programów interfejsów n-dżinnowych, nie o to mi chodziło. Miałem na myśli wariant trzynasty, przez większość normalnych Amerykanów nazywany supersamcami. Ktoś taki zgodnie z waszymi słowami był dzisiaj obecny przy próbie zamachu na życie Aharo Ortiza. Czy zatrudniacie ich jako ochroniarzy?*

*Nie, nie zatrudniamy.*

*W takim razie...*

Jednak Norton zdążył już unieść głowę, by przeskanować tłum, wskazał już następnego pytającego.

*Sally Asher, „New York Times”. Określiłeś tę trzynastkę, Carla Marsalisa, mianem konsultanta. Czy mógłbyś powiedzieć nam, w jakiej dziedzinie udziela konsultacji?*

*Przykro mi, Sally, ale na razie nie mogę tego ujawnić. Mogę powiedzieć tylko, że nie ma to żadnego związku z tragicznymi wydarzeniami dzisiejszego dnia. Pan Marsalis był po prostu świadkiem zdarzeń i nie przeszedł obojętnie obok tego, co się działo, podobnie jak mógłby to zrobić każdy dobry obywatel mający taką okazję.*

*Każdy dobry obywatel z karabinem szturmowym, być może. Asher mówiła lekkim tonem. Czy pan Marsalis był uzbrojony?*

Norton zawahał się przez chwilę. Widać było jego problem - do tej pory dane trafiły już do obiegu. Zdjęcia miejsca zdarzenia, relacje świadków, może nawet jakieś przecieki z laboratorium patologicznego. Nie dało się stwierdzić, co było już wiadome, a Norton nie chciał dać się przyłapać na kłamstwie. Z drugiej strony...

*Nie. Pan Marsalis nie był uzbrojony.*

Ciche, ale narastające poruszenie. Wszyscy widzieli co najmniej podziurawioną kulami limuzynę, jeśli nie więcej.

*Jak człowiek, zwykły człowiek, może...*

Znów Meredith, głośno, zanim gest Nortona znów go uciszył, wyciągnął inne pytanie z drugiego końca sali. Operator nie pokazał twarzy Mereditha, ale Sevgi poczuła mroczną falę radości, gdy wyobrazila sobie jego złość.

*Panie Norton, czy to prawda... przepraszam, Eileen Lan, „Strażnik Wybrzeża”. Czy to prawda, panie Norton, że INKOL szkoli personel na Marsie w nieznanym wcześniej technikach walki?*

*Nie, to nieprawda.*

*W takim razie czy zechce pan udzielić nam jakichś wyjaśnień na temat komentarza wygłoszonego przez świadka dzisiejszych zdarzeń. Lan uniosła do góry rejestrator, a z głośnika rozbrzmiał wyraźny, męski głos. Facet był jak pieprzony wiatrak. Widziałem takie rzeczy na taśmach Ostatecznej Walki z Marsa, to tanindo. Tego nie uczą na Ziemi, mówią, że to zbyt niebezpieczne dla zwykłych ludzi, bo...*

Mikrorejestrator kliknął, wyłączony, ale Lan zostawiła go w górze jak wyzwanie. Norton oparł się na mównicy i uśmiechnął.

*No cóż, właściwie nie jestem fanem Ostatecznej Walki - uprzejme śmiechy - więc oczywiście nie mogę udzielić rzeczowego komentarza na temat tego, o czym mówił świadek. Owszem, istnieje marsjańska technika walki nazywana tanindo, ale nie ma nic wspólnego z INKOL. Tanindo powstało spontanicznie z istniejących sztuk walki w odpowiedzi na niższe ciśnienie panujące na Marsie. Po japońsku znaczy to dosłownie „droga nowicjusza”, ponieważ jak z pewnością wszyscy doskonale wiecie, na Marsie wszyscy jesteśmy nowicjuszami. W niektórych rejonach nazywana jest także Płynną Walką, a w quechua - proszę wybaczyć moją wymowę - pisi llasa awqanakuy. Pan Marsalis odpracował swój czas na Marsie i z tego, co wiem, może być miłośnikiem tego stylu, ale tak naprawdę sztuka walki, która powstała w środowisku o niskim ciśnieniu, nie powinna być tak niebezpieczna ani przydatna tu, na Ziemi.*

Chyba że jest się nieludzko silnym i szybkim, cicho uzupełniła Sevgi. Zerknęła w bok na Marsalisa, drzemącego w fotelu obok. Tuż przed ich wylotem Norton wygrzebał skądś pięćdziesiąt mililitrów betamieliny klasy INKOL z inhalatorem i Marsalis naładował się w poczekalni na JFK. Zebrał trochę ciężkich spojrzeń, ale nikt nic nie powiedział. Poza usatysfakcjonowanym stęknieniem, gdy chlorki zaczęły działać, nie odezwał się, ale gdy tylko dotarli do siedzeń, zamknął oczy, a na jego twarzy odmalował się lśniący uśmiech. Chwilę później usnął.

- Bonita Hanitty, „Dzień dobry, Południe”. Nie sądzi pan, że przez uwolnienie skazańca z więzienia na Florydzie INKOL wykazuje lekceważenie dla samych podstaw amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości?

Kolejne szepty, nie wszystkie przyjazne. Republikańscy dziennikarze stanowili na sali mniejszość, a prasa Unii wciąż nosiła na zbiorczej piersi honorowy medal sprawy Lindley versus NSA. Młodzi reporterzy dorastali z legendami, starsi pracownicy opowiadali historie wojenne sprzed Secesji i z pogardą wyrażali się o republikańskich kolegach. Norton znał teren i popłynął na fali.

*No cóż, Bonita, sądzę, że powinnaś uważać, mówiąc o sprawiedliwości. Jak wynika z materiałów dostarczonych ci na dysku wprowadzającym, pan Marsalis w ciągu czterech miesięcy przetrzymywania w więzieniu nie został o nic oskarżony. Do tego dochodzi problem technik rzekomej prowokacji - nie, pozwól mi skończyć - technik rzekomej prowokacji, wykorzystanych przez policję Miami do aresztowania pana Marsalisa. Nie wspominając już o fakcie, że prawo Republiki i stanowe w zakresie przerywania ciąży jest sprzeczne z ustanowionymi przez ONZ prawami człowieka.*

Stłumione prychnięcia ze strony paru osób na sali, entuzjazm u innych. Norton przeczekał hałasy z nieprzeniknioną twarzą, potem parł dalej.

*Powiedziałbym więc, że tak naprawdę INKOL oswobodził najprawdopodobniej zupełnie niewinnego człowieka, z którym stan Floryda i tak nie bardzo wiedział, co zrobić. Tak, Eileen, słucham.*

Później oczywiście było jeszcze mnóstwo pytań. Hanitty, Meredith i paru innych reporterów z Jezusowa próbowało rozgrzebywać przeszłość Marsalisa i śmierć w obozie Garrod Horkan. Na szczęście nic o Willbrinku. Norton płynął przez to wszystko ostrożnie i uprzejmie, nie odmawiając Jezusowcom głosu, ale mocno skłaniając się ku znanym sobie unijnym dziennikarzom, którym ufał. Sevgi ziewała i oglądała przedstawienie do samego końca. Na

siedzeniu promu suborbitalnego obok niej drzemała spokojnie przyczyna ich strachów.

Nie uspokoił jej sen - nie pozwolił na niego synd. Wciąż była nabuzowana kilka godzin później, gdy usiadła na tanim plastikowym krzeselku w hali promowej, oczami gliniarza oceniając kilku pozostałych, czekających pasażerów. Miejsce było urządzone ascetycznie, oświetlone oszczędnie reflektorkami zamocowanymi pod kratownicą sufitu i kilkoma panelami reklamowymi LCLS na ścianach, których właściciele nie określili godzin aktywacji. *Efes ekstra!! Super wydajność!! Działa na Marsie!!* Nieaktywne panele wyglądały jak długie, szare nagrobki zawieszane na stalowych ścianach.

Przez otwarte drzwi z boku niczym obraz z innej epoki wdzierał się do środka widok białej nadbudówki zacumowanego promu. Nowocześniejsze dodatki do zróżnicowanej kolekcji transportu wodnego Stambułu miały pudełkowaty, plastikowy wygląd, który czynił z nich dokładnie to, czym były: morskie autobusy oferujące na końcu drogi tylko ukończenie etapu transportu. Jednak wysokie i szerokie mosty, zgarbione fabryczne kominy i długie sylwetki antycznych statków zacumowanych przy Karaköy-Kadiköy mówiły o wypłynięciu do odległych miejsc i o epoce, gdy podróż wciąż mogła oznaczać ucieczkę.

Marsalis wrócił z ubikacji. Sevgi przypuszczała, że za czasów jej dziadka kolor jego skóry wywołałby więcej krzywych spojrzeń, ale teraz nie wyróżniał się zbytnio spośród pół tuzina Afrykańczyków czekających w pobliżu jako pasażerowie i dwóch kolejnych w kombinezonach na pokładzie promu. Nikt nie zwrócił na niego większej uwagi, a pojedyncze spojrzenia wynikały raczej z jego masywnej budowy i jaskrawo-pomarańczowych liter na wciąż noszonej przez niego kurtce.

- Musisz to ciągle nosić? - zapytała z irytacją.

Wzruszył ramionami.

- Jest zimno.

- Na lotnisku zaproponowałam, że kupię ci coś innego.

- Dzięki, ale wole sam sobie kupować ciuchy.

- Więc czemu tego nie zrobiłeś?

W pełnej dźwigarów przestrzeni nad ich głowami jęknęły klaksony. Rozbłysła strzałka LCLS na ruchomej platformie, wskazując na otwarte drzwi z opisem miejsca docelowego: Haydarpasa, Kadiköy. Dwóch ludzi z promu wysunęło trapy i zebrani w sali ludzie ruszyli niespiesznie w stronę

statku.

Kierowana wspomnieniami z dzieciństwa Sevgi przeszła wzdłuż relingu na sterburcie i usiadła na twarzą na zewnątrz na ławce blisko rufy, opierając stopy na dolnym pręcie relingu. Przez metal siedzenia docierało do niej dudnienie silników statku. Mieszanka zapachów oleju silnikowego i mokrych lin cumowniczych pociągnęła ją w przeszłość. Dłoń Murata mierzwiąca jej włosy, gdy stała obok niego przy relingu, ledwie dość wysoka, by wyglądać nad górnym prętem. Angielski w jej głowie zastąpiły miękkie, spółgłoskowe rytmy języka tureckiego. Wpływ całego świata, który wcześniej widziała tylko na zdjęciach, miasta, które nie było Nowym Jorkiem, miejsca, które nie było jej domem, ale znaczyło coś ważnego - czuła to w sposobie, w jaki się rozglądali, mówili do siebie, trzymali za dłonie - dla jej rodziców. Stambuł wstrząsnął nią do jej czteroletniej głębi i robił to za każdym razem, gdy tu wracała.

Marsalis opadł na ławkę obok Sevgi i skopiował jej pozę. Poręcz zadzwęczała metalicznie pod ciężarem jego nóg.

- Teraz naprawdę będę potrzebował tej kurtki - rzucił radośnie. -  
Zobaczysz.

Dudnienie silnika przybrało na sile, przeszło w ryk i prom uniósł się na fali syczącej wody. Krzyki załogi, rzucanie lin i raptownie poszerzający się pas wody między promem a dokiem. Łódź wykręciła i przybrała kurs przez ciemną wodę. Karakóy znikło w oddali, zmieniło się we wstęgę świateł w głębi nocy. W twarz i włosy Sevgi uderzyła chłodna morska bryza. Wokół niej otwierało się miasto, kolorowo oświetlone mosty i zarysy budynków, wszystko unoszące się na płynnej czerni upstrzonej sunącymi światłami innych statków. Odetchnęła głęboko, zatrzymała złudne wrażenie ucieczki.

Marsalis nachylił się w jej stronę, zwiększając siłę głosu, by być słyszalnym pomimo silników i wiatru.

- Gdy ostatnim razem tu przyjechałem, doszło do opóźnienia na terminalu suborbitalnym, chyba jakiś alarm bombowy. Ale dowiedziałem się o tym dopiero po opuszczeniu hotelu i musiałem jakoś spędzić parę godzin, zanim mogłem dostać się na lotnisko. - Wyszczерzył się. - Przesiedziałem całe dwie godziny w ten sposób, po prostu pływając promem w tę i z powrotem, aż trzeba było jechać. Prawie się spóźniłem na lot. Wiesz, tutaj, patrząc na to wszystko... Czułem się, jakbym skądś uciekał.

Spojrzała na niego, dotknęła do głębi zawartym w jego słowach odbiciem własnych uczuć.



Zmarszczył brwi.

- Co jest? Choroba lokomocyjna?

Potrząsnęła głową. Zapełniła czymś milczenie.

- Czemu wróciłeś, Marsalis. Z powrotem na Ziemię?

- Hej. - Kolejny szeroki uśmiech. - Wygrałem loterię. Byłoby cholernie niewdzięczne nie odebrać nagrody.

- Mówię poważnie. - Ostro, przez świszczący wiatr. - Wiem, że tam jest ponuro, ale każda trzynastka, którą kiedykolwiek słyszałam mówiącą na ten temat, zachwycała się samą ideą Marsa. Ucieczka na nową granicę, miejsce, gdzie można stworzyć coś swojego.

- To wcale nie tak.

- Wiem. Ale to nie przeszkadza nikomu w to wierzyć. - Popatrzyła na wodę. - Właśnie tam wszyscy się kierują, prawda? Ci, na których polujesz. Wybierają obozy i bilet w jedną stronę do marsjańskiego snu. Powiedziano im, że tam będzie się cenić ich siłę, a nie więzić za płotem jak bydło.

- Tak, większość z nich próbuje dostać się do obozów.

- Zadałeś sobie kiedyś pytanie, czemu ONZALG nie pozwoli im po prostu uciekać, załapać się na kriogeniczną kapsułę i mieć ich z głowy?

Wzruszył ramionami.

- Cóż, głównie dlatego, że nie pozwalają im na to Porozumienia. Celem Agencji jest dopilnowanie, by każdy wariant genetyczny na Ziemi był zgłoszony i monitorowany stosownie do stwarzanego poziomu zagrożenia dla społeczeństwa, a w przypadku wariantu trzynastego to oznacza internowanie. Jeśli zaczniemy przymykać oko na uciekinierów tylko dlatego, że prawdopodobnie uciekną na Marsa, zaraz część z nich wcale nie ucieknie tam, tylko ukryje się gdzieś tu na Ziemi i może zacząć się rozmnażać. A to postawi całą rasę ludzką z powrotem na skraju paniki sprzed Monachium.

- Mówisz, jakby nie byli tacy jak ty - zauważyła oskarżycielsko. - Jakbyś był inny.

- Jestem inny.

*Tak samo jak Ethan, tak samo jak tamten cholernik.* Jej desperacja wzbudziła w niej złość. Własny głos zabrzmiał bezbarwnie.

- Nie ma dla ciebie znaczenia, że są tak traktowani?

Kolejne wzruszenie ramion.

- Żyją zgodnie z dokonanymi wyborami, Ertekin. Mogli polecieć na Marsa, gdy INKOL otworzył bramy w Monachium. Woleli zostać. Mogli kontynuować swoje życie w rezerwatach. Postanowili uciec. A gdy po nich

przychodzę, daję im możliwość poddania się.

Ostry obraz podziurawionego kulami ciała Ethana na stole. Wezwana w celu identyfikacji, trzęsąca się z zimna i szoku.

- Tak, wybory - warknęła. - Każdy wybór cholernym upokorzeniem. Zrezygnuj z wolności, kładź się na plecy i rób, co ci każą. Cholernie dobrze wiesz, jaki to wybór dla trzynastki.

- To wybór, którego sam dokonałem - przypomniał łagodnie.

- Jasne. - Ze zde gustowaniem odwróciła wzrok. - Racja. Ty jesteś inny.

- Tak. Jestem bystrzejszy.

W odległości stu metrów przepełnął kolejny prom, kierujący się w przeciwną stronę. Poczwała irracjonalny pociąg do niewielkiej wysepki światła i ciepła za oknami, z poruszającymi się wewnątrz ludzkimi sylwetkami. Potem dotarła do niej głupota sytuacji, uderzając w policzek jak zimny wiatr. Tuż za sobą miała okna identycznej przystani pełnej oświetlonej i ogrzanej przestrzeni, jednak odwróciła się do niej plecami.

*Jasne, tak jest lepiej, Sev. Odwróć się. Zostań na zimnie i gap się przez wodę na nieosiągalne, które oddala się coraz dalej.*

*Cholerna idiotka.*

- On zginął podczas walki?

Błyskawicznie obróciła się jego stronę.

- Kto?

- Trzynastka, z którym miałaś związek. - W jego głosie wciąż brzmiał łagodny spokój. - Mówiłaś mi, że on nie żyje i złości cię to, z czego się utrzymuję. Wydaje się prawdopodobne, że facet został załatwiony przez kogoś takiego jak ja.

- Nie - odpowiedziała ostro. - Nie przez kogoś takiego jak ty.

- Dobrze, nie przez kogoś takiego jak ja.

Czekał, pozwolił zawisnąć temu między nimi niczym ciemności i odgłosom przepływania przez nią. Zacisnęła zęby.

- Wysłali oddziały antyterrorystyczne - powiedziała w końcu. - Cały pieprzony tuzin. Nawet więcej. Pancerze i broń automatyczna przeciwko jednemu człowiekowi we własnym domu. Oni...

Musiała przełknąć.

- Nie było mnie tam, było rano, a ja wyszłam już do pracy. Był po służbie, prosto po całej nocy. Ktoś z wydziału ostrzegł go, że po niego idą, później znaleźli telefon w billingu, jakiś numer z przedmieścia. On...

- Był gliną?

- Tak, był gliną. - Bezradnie machnęła ręką, zacisnęła dłoń. - Był dobrym gliną. Twardym, czystym, pewnym. W rekordowym czasie awansował na detektywa. Nigdy nie zrobił nic złego.

- Przypuszczalnie poza sfałszowaniem swojej tożsamości.

- Tak. Załatwił sobie obywatelstwo Stanów Wybrzeża, jeszcze zanim zaczęły się internowania. Powiedział, że to przewidział. Kupił sobie nową tożsamość w Angeline Freeport, potem mieszkał w różnych miejscach na Wybrzeżu, podbudowując ją, aż wreszcie zgłosił się do oficjalnej imigracji do Unii. Wtedy wciąż jeszcze nie robili testów na wariant trzynasty, a gdy już tu dotarł, chronił go Akt Krzyżowy, cała ta sprawa z prawem do zachowania prywatności genomu.

- To wygląda na idealne zniknięcie.

- Nie? - Posłała mu uśmiech pełen bólu. - Czy to profesjonalna opinia?

- Na ile jest cokolwiek warta. Pewnie był bystry.

- No cóż. Jak mówił Jacobsen: tendencje socjopatyczne, którym towarzyszy niebezpiecznie wysoka inteligencja. To dlatego zamykamy trzynastki, prawda?

- Nie, zamykamy ich, bo boi się ich reszta rasy ludzkiej. A społeczeństwo wystraszonych ludzi to bardzo niebezpieczna rzecz. Zdecydowanie warto stworzyć obozy internacyjne, żeby jej uniknąć.

Poszukała na jego twarzy śladów ironii. Niczego nie znalazła.

- Miał na imię Ethan - powiedziała w końcu. - Ethan Conrad. Kiedy go zabili, miał trzydzieści sześć lat.

Drugi prom już prawie zniknął, gubiąc się pośród innych jednostek i światła po europejskiej stronie. Głęboko wciągnęła powietrze.

- A ja byłam w szóstym miesiącu ciąży.

## ROZDZIAŁ 23

Po azjatyckiej stronie, z Europą zredukowaną do świateł lśniących za wodą, upiła się i opowiedziała mu resztę.

Nie był pewna, czemu to zrobiła - mógł to być skutek uboczny alkoholu, może tego właśnie chciała. Tak czy siak, nie tego się spodziewał. Przyglądał się, jak Sevgi zaciska usta po nagłym przyznaniu się do straty, i rozpoznał obrażenia, których nie da się szybko uleczyć. Zeszli z promu w Kadiköy bez słów, niosąc między sobą ciszę, która wygłuszyła zgiełk zejścia ze statku. Ta sama bańka ciszy została z nimi, gdy maszerowali przez pół tuzina przecznic, oddalając się od wody i podążając za lokalizacyjnym hologramem na karcie kodowej, aż dotarli do szerokiej ulicy Moda Caddesi i niskiego apartamentowca należącego do INKOL. Znajdowali się w okolicy mieszkalnej, w której wszyscy dawno poszli już spać, i po drodze nikogo nie spotkali.

Wszystkiemu temu towarzyszyło dziwne, ukryte uczucie uwolnienia i ucieczki. Cicho, bardzo cicho, w górę i coraz dalej od świateł terminalu promowego, obok pozamykanych witryn sklepowych i pozasłanianych okien śpiącego świata, z jarzącą się mapą na dłoni Ertekin i bladym blaskiem, jaki rzuciła na jej twarz. Gdy dotarli, z przesadną ostrożnością otworzyła drzwi budynku i weszli po schodach, by nie budzić maszynierii windy. W apartamencie - powietrze wypełniał lekko zatęchły chłód nieużywania - siedli razem w kuchni, wciąż bez słowa, i znaleźli na ladzie otwartą, choć ledwie tkniętą butelkę rakii Altinba.

- Lepiej mi tego nalej - odezwała się ponuro.

Poszukał odpowiednio smukłych kieliszków i znalazł je w szafce, podczas gdy Ertekin napełniła dzbanek wodą z kranu. Napełnił kieliszki do połowy oleistą rakiją i przyglądał się, jak Sevgi uzupełnia resztę wodą. W miejscu, gdzie woda docierała do klarownego płynu, tworzyła się mleczna, opadająca, kłębiasta lawina. Wzięła kieliszek i duszkiem wypiła zawartość. Odstawiła na blat i popatrzyła na niego wyczekująco. Znów nalał, znów przyglądał się, jak ona dolewa. Tym razem napiła się i zaniósła kieliszek do opuszczonego salonu. Wziął butelkę, dzbanek oraz własny kieliszek i poszedł za nią.

Znajdowali się na najwyższym piętrze, przeszklona ściana salonu

zapewniała widok nad dachami Kadiköy z wysokości kilku pięter nad nimi. Przy przygaszonych światłach mieli doskonały widok aż do Morza Marmara i poprzebijanego minaretami horyzontu meczetu na europejskiej stronie. Patrząc na to, Carl doznał nagle onirycznego poczucia zostawienia czegoś za sobą, jakby oba brzegi zaczęły się od siebie oddalać. Siedzieli w wygodnych fotelach pokrytych sztuczną skórą, ustawionych naprzeciw okna, a nie ku sobie nawzajem i pili. Na Morzu Marmara zakotwiczone statki czekały na swoją kolej wpłynięcia w cieśninę Bosfor. Ich światła nawigacyjne mrugały i płynęły.

Wypili dobrze ponad pół butelki, zanim znów zaczęła mówić.

\* \* \*

- To za cholere nie było planowane, możesz być pewny.

- Wiedziałaś, czym on jest?

- Wtedy już tak. - Westchnęła, ale dźwięk ugrzął gdzieś w głębi jej gardła. Tak naprawdę nie było w nim ulgi. - Myślisz, że byśmy je zabili, co? Znając ryzyko? Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, wciąż nie jestem właściwie pewna, czemu tego nie zrobiliśmy. Może... może oboje zaczęliśmy myśleć, że jesteśmy nietykalni. Ethan miał to od początku, całą tę mentalność trzynastki. Zawsze zachowywał się, jakby kule się od niego odbijały. Widziało się to w nim nawet w sali pełnej ludzi.

Jej ton zmienił się, zaczęły w nim być słyszalne narastające fale gniewu.

- A jak już jest się w ciąży, no cóż, dokłada się biologia, tyka i podszczypuje od środka, mówi, że tak jest dobrze, że to jest właściwe, że tak ma być. Nie martwisz się, jak sobie poradzisz, po prostu myślisz, że tak będzie. Przestajesz się przeklinać za zapomnienie o tym ostatnim szczepieniu, albo za niezmuszanie faceta do natryśnięcia się przed seksem, za bycie słabą i na tyle głupią, że pozwoliłaś się pokonać biologii, bo ta sama cholerna biologia mówi ci teraz, że wszystko będzie w porządku, a twoja zdolność krytycznego rozumowania idzie sobie na spacer. Przekonujesz się, że prawa dotyczące prywatności genetycznej są w Unii silniejsze niż gdziekolwiek na Ziemi, a legislacja wciąż posuwa się we właściwym kierunku. Przekonujesz się, że zanim będzie to miało znaczenie dla dziecka w twoim brzuchu, sytuacja się zmieni, nie będzie już paniki z powodu rozcieńczania rasy i genetycznie modyfikowanych potworów, żadnych więcej Porozumień i polowań na czarownice. A kiedy od czasu do czasu to wszystko zawiedzie i przypełzną wątpliwości, tłumisz je, mówiąc sobie, że przecież oboje jesteście glinami, oboje pracujecie dla nowojorskiej policji. To wy

pilnujecie tu prawa, więc kto przyjdzie pukać akurat do waszych drzwi? Dochodzisz do wniosku, że należysz do tej wielkiej rodziny, która zawsze będzie się tobą opiekować.

- Ethana poznałaś na służbie?

Zarobił kwaśny uśmiech.

- A jak inaczej? Kiedy jesteś gliną, nie socjalizujesz się zbyt z cywilami. No wiesz, czemu niby miałbyś? Połowę czasu śmiertelnie cię nienawidzą, przez resztę za cholerę nie mogą bez ciebie żyć. Kto chce tak po prostu kupować drinki zaburzeniom osobowości? Trzymasz się więc swojej dużej, adoptowanej rodziny i przeważnie to wystarcza. - Wzruszyła ramionami. - Pewnie dla Ethana to zawsze był element przyciągający. Szukał sposobu na odcięcie się od przeszłości, a policja może być miłym, zamkniętym światkiem, jeśli tego właśnie chcesz. Prawie jak lot na Marsa.

- Niezupełnie. Z policji zawsze możesz odejść.

Machnęła ręką z kieliszkiem, rozlewając trochę.

- Zawsze możesz wygrać loterię Bilet do Domu.

- Jasne.

- W każdym razie, skoro o Ethanie mowa. Poznałam go na imprezie pożegnalnej szefa mojego zespołu. Właśnie awansował na detektywa, świętował to. Duży facet, przez cały pokój widać było, jaki jest z siebie zadowolony. Widzisz coś takiego i masz ochotę zderzyć to i zobaczyć, co kryje się za całym tym męskim opanowaniem. Więc podeszłam zobaczyć.

- I udało się? Zderzyć to wszystko?

- Pytasz, czy się pieprzyliśmy?

- Właściwie nie. Ale...

- Tak, pieprzyliśmy się. To było natychmiastowe, po prostu zaskoczyliśmy. O tak. - Strzeliła palcami, ale luźno, bez właściwego efektu. Zmarszczyła brwi i spróbowała jeszcze raz. *Trzask.* - O, właśnie tak. Po dwóch tygodniach zostawialiśmy już u siebie nawzajem rzeczy na noc. On spotykał się z taką blond czirliderką, która pracowała w przestępstwach komputerowych gdzieś w śródmieściu, ja kręciłam z facetem prowadzącym bar w Queens. Wciąż tam mieszkalam, nie udało mi się zorganizować przeprowadzki po zatrudnieniu w wydziale zabójstw. Rozumiesz, jestem dziewczyną z takich okolic. W każdym razie rzuciłam mojego gościa od baru, on rzucił czirliderkę. - Znowu zmarszczyła brwi. - Było z tym trochę szumu, ale i tak po miesiącu się wprowadził.

- Powiedział ci, czym jest?

- Nie wtedy, nie. To znaczy... - Znów machnęła ręką, tym razem ostrożniej. - ... nie żeby mi kłamał na jakiś temat. Po prostu nie powiedział, a kto by pomyślał, żeby zapytać? Trzynastki przecież i tak są pozamykane, prawda? W rezerwatach albo na Marsie. Nie chodzą po ulicach miast jak ty czy ja. Z pewnością nie chodzą po okolicy z policyjną odznaką, nie?

- Zazwyczaj nie, prawda.

- Nie. - Przez chwilę bawiła się drinkiem. - Nie wiem, czy kiedykolwiek by mi powiedział. Ale któreś nocy pojawił się tamten facet, pytając o Ethana pod innym nazwiskiem, i oczywiście wszystko mi powiedział.

- Czego chciał?

Wydeła wargi.

- Pieniądzy. Podobno był członkiem tej samej jednostki Stróżów Prawa co Ethan, gdy w latach osiemdziesiątych walczyli w jakimś zapomnianym przez Boga zakątku środkowej Azji. Bobby jakiś tam, ale kazał mówić do siebie Keegan. Gdy zaczęły się internowania, wciąż był na wierzchu, a ponieważ nie uznał Marsa za atrakcyjną opcję, wysłali go do Cimarron. Przeskoczył przez płot i ukrył się w Jezusowie do czasu, aż znalazł jakiś gang, który przesznułował go do Unii. Zanim zjawił się w naszym domu, mieszkał w mieście od kilku lat, utrzymywał się z różnych rzeczy. Czysty pech, że zauważył Ethana wychodzącego z koreańskiej knajpki we Flushing i poszedł za nim do domu.

- Rozpoznał go? Myślałem...

- Tak, Ethan zrobił sobie jakąś operację plastyczną twarzy w stanach Wybrzeża, ale nie była poważna, a ten Keegan rozpoznał go pomimo niej. Wciąż gadał o tym, jak to nie dzięki twarzy, a po całości, jak Ethan się ruszał, jak mówił. W każdym razie dowiedział się, że Ethan jest gliną, i uznał, że musiał dojść do tego jakimś przekretem. Szantażować właściwych ludzi. Nie mógł. - W mroku zacisnęła pięść. - Nie chciał uwierzyć, że Ethan został detektywem w policji dzięki swojej uczciwej pracy. *Nie tak załatwiamy nasze sprawy*, ciągle powtarzał. *Stary, jesteś trzynastką. Nie jesteś pieprzonym cielakiem.*

Spojrzenie z ukosa.

- Tak właśnie nas nazywacie, prawda? Cielęta. Bydło.

- Zdarzało się.

- Tak. No cóż, ten Keegan miał problem z uwierzeniem, że Ethan mógł przyłączyć się do bydła. Ale gdy już się z tym pogodził, to tylko pogorszyło sytuację. Jego zdaniem były teraz dwie możliwości. Albo Ethan szykował

jakiś numer w policji, a w takim wypadku chciał wziąć w tym udział. Albo Ethan zrezygnował ze swojej osobowości trzynastki i zgodził się na osiadłe życie w stadzie, a to... - Wzruszyła ramionami. - Hej, pieprzyć go jak każdego innego cielaka, nie? Wydusić z niego, co się da. Wycisnąć do sucha.

W pokoju zapanowała cisza. Napiała się. W oddali statki na kotwicy cierpliwie czekały na swoją kolej.

- Co było dalej? - zapytał w końcu.

Odwróciła wzrok.

- Chyba sam wiesz.

- Ethan rozwiązał problem.

- Keegan zaczął pojawiać się u nas regularnie. - Zaczęła mówić mechanicznie, głosem bardziej bezbarwnym niż tania maszyna. - Zachowywał się, jakby był właścicielem. Niczym jakaś pieprzona karykatura trzynastki z jezusowskiego filmu o potworach. Kiedy w okolicy nie było Ethana, zachowywał się, jakby był właścicielem nawet mnie.

- Powiedziałaś o tym Ethanowi?

- Nie musiałam. Wiedział, co się dzieje. W każdym razie wiesz co, Marsalis? Sama potrafisz o siebie zadbać. Za każdym razem hamowałam sukinsyna.

Urwała. Dobrała słowa.

- Ale wiesz, Keegana to nie zatrzymywało. Tylko uskakiwało. Jak rzucanie kamieniami w gryzącego psa. Rzucisz, pies się cofa. Jak tylko przestaniesz, znów zaczyna odsłaniać zęby. Jest tylko jeden sposób, żeby na dobre zatrzymać trzynastkę, nie?

Wzruszył ramionami.

- Tak wynika ze wszystkich filmów o potworach.

- Jasne. A nie mogliśmy ryzykować ściągania na siebie uwagi. Śmierć z udziałem oficera, natychmiast pojawia się wydział wewnętrzny. Robią autopsję, może testy genetyczne, które natychmiast wykażą, że to wariant trzynasty. Duże śledztwo. Keegan o tym wiedział i wykorzystywał to. Jak mówiłam, tak czy inaczej zamierzał z nas wydusić, co tylko się dało.

- Do czasu.

Kiwnęła głową.

- Do czasu, aż przyszedłam do domu i zastałam Ethana palącego ubrania w ogródku. Potem nigdy więcej nie widzieliśmy już Keegana. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nie musieliśmy. Ethan miał siniaki wzdłuż całej krawędzi lewej dłoni. Otarte kostki i ślady palców na gardle. - Lekki, zmęczony



uśmiech. - A dom był czystszy, niż zdarzało się to od miesięcy. Wszędzie umyte podłogi, łazienka jak z reklamy, wszystko z nanomechaniczną dokładnością. Jeśli przyłożyłeś ucho do wanny, wciąż można było usłyszeć pracę tego cholerstwa. Nigdy więcej tak dokładnie nie sprzątał przez cały czas, gdy byliśmy razem.

Znów cisza. Opróżniła swój kieliszek i sięgnęła do podłogi po butelkę z rakiją. Zaoferowała mu ją.

- Chcesz?

- Dzięki, już nie.

Przyglądał się, jak trochę chwiejnie szykuje sobie nowego drinka. Gdy skończyła, przytrzymała kieliszek, nie pijąc zawartości, i popatrzyła na statki.

- Wydawało się, jakbyśmy przez całe lato wstrzymywali oddech - odezwała się cicho. - Czekać. Znałam mnóstwo gliniarzy w Queens z czasów zanim zaczęłam pracować w śródmiejskim, więc zaczęłam znów się z nimi spotykać, żeby dowiedzieć się, czy zgłoszono jakieś zaginięcia albo czy pojawi się ciało. Cały czas sprawdzaliśmy informacje policyjne o listach osób poszukiwanych przez ONZALG. Keegan nigdy nie pojawił się na żadnej z nich. Ethan stwierdził, że uznaliście gościa za takiego dupka, że szkoda wam było go ścigać. Mając odrobinę czasu, sam wykopie sobie grób.

Carl potrząsnął głową.

- Nie, lubimy tych głupich. Łatwo ich wyśledzić, a Agencja przez to dobrze wygląda. Jeśli wasz facet nie trafił na listę, to prawdopodobnie ten, kto pomógł mu w ucieczce z Cimarron, znalazł jakiś sposób, żeby utrzymać to w tajemnicy. Albo firma mająca kontrakt na prowadzenie obozu po prostu wyciszyła całą sprawę, żeby utrzymać ładne statystyki. Nadzór nad Cimarron jest cholernie słaby, nawet jak na standardy Jezusowa, a jeśli kontrakt zbliżał się do końca i nadchodził przetarg, cóż. - Rozłożył ręce. - Każdy ciamajda w tym rezerwacie wie, że najlepszy czas na planowanie ucieczki jest tuż przed przetargiem. Wiedzą, że korporacja prowadząca będzie się starała wycisnąć maksymalną wydajność z kiepsko opłacanego personelu, a zamiast tego osiągnie napięcia prawie na poziomie buntu, i wiedzą, że jeśli uda im się przedostać przez płot, nie dojdzie do ogólnokrajowego pościgu, bo wykonawcy kontraktu nie mogą pozwolić sobie na tego rodzaju rozgłos. Połowa z tych gości ucieka właśnie w ten sposób.

- Pieprzone Jezusowo - burknęła.

Leniwie machnął ręką.

- Hej, nie narzekam. Takie rzeczy dają mi pracę. Prawdę mówiąc,

Jezusowo to nie jest jedyne miejsce, w którym widywałem kiepski nadzór.

- Nie. Ale to jedyne miejsce, które jest z tego tak cholernie dumne. - Zajrzała ponuro do drinka. - Wiesz, wciąż czasem nie mogę w to uwierzyć.

- W co?

- W secesję. W to, co zrobiła sobie Ameryka. No wiesz. - Wolną ręką machnęła do góry. - Do cholery, to my wynaleźliśmy nowoczesny świat, Marsalis. Wymodelowaliśmy go na skalę kontynentalną, sprawiliśmy, że zadziałał, sprzedaliśmy reszcie świata. Karty kredytowe, masowy transport lotniczy, globalny przepływ danych. Loty kosmiczne. Nanotech. Wiesz, my to wszystko stworzyliśmy. A potem pozwoliliśmy bandzie pieprzonych neandertalskich fanatyków biblijnych rozwalić to wszystko na kawałki? Co to do cholery jest, Marsalis?

- Mnie nie pytaj. To jeszcze nie moje czasy.

- To znaczy: - Nie słuchała go, nawet na niego nie spojrzała. Zaczęła gestykulować w powietrzu, zaciskając i rozluźniając dłoń. - Gdyby Chińczycy albo Indie przyszły i przegoniły nas z pierwszego miejsca, wiesz, może mogłabym to zrozumieć. Każda kultura musi w końcu komuś ustąpić. Zawsze przychodzi coś świeższego i bystrzejszego. Ale my, do cholery, sami to sobie zrobiliśmy. Pozwoliliśmy pazernym, nienawidzącym, pełnym strachu i głupoty mętom naszego własnego społeczeństwa rzucić się wprost w przepaść.

- Sevgi, mieszkasz w Unii. To raczej nie otchłań, prawda?

- Ale, do cholery, właśnie o to chodzi. Tego zawsze chcieli, Marsalis. Oddzielenia od Północy. Secesji. Własnego cholernego bajora z błotem ignorancji, w której można się pławić. Zrobienie tego zajęło im dwieście pieprzonych lat, ale w końcu dostali dokładnie to, czego chcieli.

- Daj spokój. Stracili stany Wybrzeża. To ile, jedna trzecia amerykańskiego PKB? - Nie rozumiał, czemu tak twardo się z nią spiera. Znał zagadnienie, bo musiał je znać każdy pracujący dla ONZALG, ale przecież nie był ekspertem. Przecież go to nie obchodziło. - I słuchaj, sądząc z tego, co ostatnio dociera z Chicago, mogą też niedługo utracić Jeziora. Potem masz Arizone...

- Jasssne. - Prychnęła i głębiej zapadła się w fotel. - Pieprzona Arizona.

- Mówią tam o przystąpieniu do Wybrzeża.

- Marsalis, to jest Arizona. Już bardziej prawdopodobne, że ogłoszą się niezależną republiką, niż cokolwiek innego. Zresztą jeśli myślisz, że Jezusowo pozwoli im albo stanom znad Jezior oderwać się tak, jak z

północnym wschodem, to masz nierówno pod sufitem. Wyślą tam gwardię narodową szybciej, niż powiesz „Chwała Panu”.

Ponieważ właściwie nic go to nie obchodziło - *prawda?* - nie odpowiedział i konwersacja raptownie się urwała po jej ostatnich słowach. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Oboje przyglądali się statkom.

- Przepraszam - mruknęła w końcu.

- Daj spokój. Opowiadałaś mi o Keeganie. Chętnie dowiem się, czy w końcu wypłynęło jego ciało.

- Ach, tak. - Napiła się z kieliszka. - Nie ma co opowiadać. Nigdy niczego nie usłyszeliśmy. Przyszedł wrzesień i znów zaczęliśmy się odprężać. Wiesz, chyba stąd właśnie wzięła się ta ciąża. To znaczy, nie tam i wtedy, ale taki był początek. Wtedy zaczęliśmy nabierać pewności siebie. Przestaliśmy się martwić sytuacją, po prostu żyliśmy, jakby nic nam nie groziło, jakby Ethan był po prostu zwykłym facetem. Upłynął jakiś rok i... - Uśmiechnęła się ponuro. - Zadziałała biologia.

- I zabrali ci je.

Z jej twarzy zniknął uśmiech.

- Tak. Prawa Unii są dość postępowe, ale nie aż na tyle. Żadnego wychowywania potomstwa pochodzącego z puli genowej wariantu trzynaście, wszelki rozwijający się materiał genetyczny należy zniszczyć. Zatrudniłam prawników, opierali się na moralnych precedensach z czasów sprzed Secesji dotyczących aborcji w zaawansowanej ciąży, prawa do życia, wszystkich tych bzdur. Minęło już prawie pięć lat i wciąż się procesujemy. Apelacja, blok, sprzeciw, apelacja. Ale przegrywamy. ONZALG ma na tę sprawę wszystkie pieniądze świata, a ich prawnicy są lepsi od moich.

- Przypuszczam, że coś takiego może przyciągać do pensji płaconej przez INKOL.

- Jasne. - Jej twarz nabrała ostrości. - A przy okazji atrakcyjna staje się praca w organizacji, której za cholerę nie obchodzi ONZALG.

- Nie patrz na mnie. Jestem niezależny.

- Tak. Ale to ktoś taki jak ty z przedstawicielstwa ONZALG w ratuszu przyszedł szukać Ethana, nasłał na niego oddziały antyterrorystyczne. To ktoś taki jak ty autoryzował wyciągnięcie mojego dziecka mającego sześć i pół miesiąca i wsadzenie go do kriokapsuły do czasu, aż prawnicy ONZALG dostaną zgodę na zamordowanie go.

Jej głos załamał się na ostatnich słowach. Zatopiła się w drinku. Nie chciała więcej na niego spojrzeć.

Carl nie próbował wyprowadzić jej z błędu i ułagodzić gniewu, za którym się schowała, bo wyglądało na to, że go potrzebuje. Nie wskazał oczywistych błędów.

*Tak naprawdę, Sevgi, nie powiedział tego, raczej nie był to ktoś taki jak ja, bo przede wszystkim nie ma nas zbyt wielu. Wiem o jeszcze czterech licencjonowanych trzynastkach pracujących dla ONZALG i żaden z nich nie działa jako przedstawiciel.*

*A co istotniejsze, Sevgi Ertekin, gdyby to rzeczywiście był ktoś taki jak ja, gdyby polował na Ethana Conrada, pojawiłby się osobiście. Nie wysłałby bandy cielaków i nie schowałby się za płotem niczym jakiś pieprzony główny baran.*

*Ktoś taki jak ja sam zająłby się własnym zabijaniem.*

Zamiast tego siedział w milczeniu i przyglądał się, jak Ertekin przechodzi z ponurego milczenia we wspomaganą rakiją drzemkę. Do jego umysłu powróciła świadomość tego, gdzie się znajduje, wyciemnionego apartamentu w podzielonym mieście, odległych świateł, śpiącej kobiety odległej o wyciągnięcie ręki, choć odwróconej do niego plecami, ciszy...

*Cześć, Marsalis. Jak leci?*

- ... cholernej ściany ciszy, jak falowanie czarnej wody, sączącego się milczenia i Eleny Aguirre, znów z nim, mówiącej cicho...

*Pamiętasz „Felipe Souzê”? Gwiazdy i ciche, puste korytarze oraz bezpiecznie śniące twarze za szkłem, które ciebie wyrzuciło w samotność. To ciche dzwonięcie w głębi uszu, sposób, w jaki podchodziłam do twoich pleców i szeptałam. Myślałeś, że sobie poszłam, co? Nie ma mowy. Znalazłam cię tam, Marsalis, i tak to już zawsze będzie. Ty i ja, Marsalis. Ty i ja.*

... i statki na kotwicy, w ciszy kołyszące się na fali.

## ROZDZIAŁ 24

Kazali mu czekać w recepcji. Doświadczenie to nie było wcale takie niemiłe: podobnie jak wiele wirtualnych formatów Stanów Wybrzeża, strona Fundacji Koszt Ludzki została nieznacznie zaludniona wtórnymi konstruktami na krótkich pętach, podpiętymi do systemu tak, by zapewnić środowisko określane z entuzjazmem w broszurach reklamowych jako „bardziej autentyczne wrażenie”. Siedząca naprzeciw niego w poczekalni wysmukła młoda kobieta w krótkim kostiumie założyła nogę na nogę i posłała mu przyjazny uśmiech.

- Pracuje pan dla Fundacji? - zapytała.

- Nie, mój brat tu pracuje.

- Chce się pan z nim spotkać?

- Tak. - Rzeźbiarze formatu dobrze wykonali swoją pracę. Czuł, że nieuprzejmy, odpowiadając monosylabami. - Ostatnio nie widzimy się zbyt często.

- Pan nie stąd?

- Nie. Łączę się z Nowego Jorku.

- Och, to daleko. Jak się tam panu podoba?

- Dla mnie to nie „tam”, to dom. Obaj tu dorastaliśmy. To mój brat się wyprowadził. - Drobną iskierką braterskiej rywalizacji na bazie manhattańskiego poczucia wyjątkowości i lekki szok adrenalinowy, gdy zdał sobie sprawę z tych uczuć. Zaczął rozumieć, że psychiatria interfejsowa, z której zawsze sobie żartował, może jednak działać.

- No tak, hmm... - Na jego usta samo cisnęło się pytanie. Czuł jego bezsens, ale zmęczenie sprawiło, że i tak je zadał, częściowo jako wyzwanie, częściowo jako unik, by nie mówić więcej o Jeffie. - A pani skąd jest?

Znów się uśmiechnęła.

- To prawie metafizyczne pytanie, nie sądzi pan? Przypuszczam, że chyba z Dżakarty. Przynajmniej koncepcyjnie. Był pan tam kiedyś?

- Kilka razy, wirtualnie. Nigdy na żywo.

- Powinien pan pojechać. Nanobudynki zostały wykończone w piękny sposób. Najlepiej spróbować zobaczyć je w...

I tak dalej, gładko unikając wszelkich tematów rozmowy, które mogłyby sprowadzić ich do tematu tego, czym była. Przypuszczał, że podobnie działa

prostytutka wysokiej klasy, ale był zbyt zmęczony, by się tym przejmować. Opuścił, pozwolił się ukołysać gładkiemu potokowi słów, partycypacyjnej dynamice, dzięki której kierowała rozmową, osłoniętej pończochami geometrii jej elegancko skrzyżowanych nóg. Program zdawał się być wyposażony w obwód mierzący jego chęć do rozmowy i reagujący na właściwym poziomie. Ze zdziwieniem przekonał się, że naprawdę miał ochotę na rozmowę.

Nie zdawał sobie sprawy ze zbliżania się Jeffa, dopóki brat nie stanął prawie przy nim ze zmęczonym uśmiechem na twarzy.

- No. - Niezgrabnie wstał z miejsca, opanował się. - Wreszcie.

- Tak, przepraszam. Kilka dni temu dotarł do nas statek pełen uciekinierów, przeciążą nam budżet na ten kwartał. Przez cały dzień negocjowałem z rządem. - Kiwnął głową w stronę siedzącej kobiety. - Widzę, że poznałeś Sharleen.

- Tak.

- Urocza, nieprawdaż? Wiesz, czasami przychodzę tu i rozmawiam z nią dla czystej przyjemności.

Norton spojrział na konstrukt. Uśmiechnęła się do nich z uniesioną głową i lekko nieobecny wyraz twarzy, jakby ich słowa były śpiewem ptaków lub jakimś ulubionym fragmentem symfonii.

- Muszę z tobą porozmawiać - stwierdził z zażenowaniem.

- Jasne. - Jeff - Norton wskazał ręką. - Wejdz. Do widzenia, Sharleen.

- Do widzenia.

Uśmiechnęła się do nich, po czym wyprostowała się i usiadła nieruchomo w milczeniu, gdy opuścili pole jej aktywacji. Jeff poprowadził go obok recepcji, a potem krótkim korytarzem ze zbiornikiem z wodą na końcu. Po kilku krokach przejście wokół nich zszarzało i zmieniło się w biuro Jeffa. Całkiem nieźle odwzorowywało prawdziwe pomieszczenie, które Norton zapamiętał z wizyty parę lat temu, jedynie z niewielkimi zmianami w wystroju i kilkoma elementami na półkach, których wcześniej nie widział. Fotografia Megan na biurku. Wciągnął powietrze i usiadł na sofie po prawej, naprzeciw okna wychodzącego na park Golden Gate. Jego brat nachylił się nad biurkiem i wcisnął coś na konsoli.

- No?

- Znowu potrzebuję rady. Słyszałeś o Ortizie?

- Nie. - Jeff oparł się o bok biurka. - Co szykuje, kolejne wycieczki ONZ?

- Jeff, on został postrzelony.

- Postrzelony?

- Tak. Pełno tego w wiadomościach. Gdzieś ty się uchronił? Myślałem, że będziesz wiedział. Wczoraj po południu poprowadziłem konferencję prasową INKOL na ten temat.

Jeff westchnął. Potrząsnął głową, jakby nie działała prawidłowo. Podszedł do drugiego końca sofy i opadł na nią.

- Chryste, ależ jestem zmęczony - mruknął. - Od półtorej doby siedzę w tej sprawie Wenzhou. Nawet nie pojechałem do domu na noc, a większość przedpołudnia spędziłem w wirtualu. Żyje?

- Tak, trzyma się. Podpięli go do układów podtrzymywania życia na intensywnej opiece w Weill Cornell. N-dżinn medyczny mówi, że się wyliże.

- Może mówić?

- Jeszcze nie. Zamierzają podpiąć go do formatu wirtualnego, gdy tylko odzyska świadomość, ale to jeszcze może potrwać.

- Jezu Chryste. - Jeff posłał mu cierpiętnicze spojrzenie. - No dobrze, ale jaki to ma związek ze mną? Czego ci trzeba?

- Dla Ortiza niczego. Zresztą i tak nie sądzę, żebyś teraz mógł mu pomóc. Jak mówiłem, nawet nie jest przytomny. W szpitalu siedzą bliscy przyjaciele i rodzina, ale...

Jego brat uśmiechnął się kątem ust.

- Tak, wiem. To już nie mój świat. Spaliłem swoje szanse w unijnej grze o władzę, co?

- Nie to chciałem...

- Uciekłem na zachód i wylądowałem w instytucji charytatywnej.

Norton niecierpliwie machnął ręką.

- Nie o to mi chodzi. Chciałbym porozmawiać z tobą o Marsalisie. Wiesz, o tej trzynastce, którą wyciągnęliśmy z więzienia Południowej Florydy.

- Ach. Tak. - Jeff potarł twarz. - I jak to się sprawdza?

Norton się zawahał.

- Nie wiem.

- Masz z nim problemy?

- Ja nie... - Uniósł ręce. - Słuchaj, facet wydaje się w porządku. Co do tego miałeś rację.

- Co, że skorzysta z każdej szansy na wyrwanie się z jezusowskiego więzienia? - Jeff wzruszył ramionami. - A kto by tego nie zrobił?

- Tak, pewnie jestem ci coś winny za sugestię. I muszę powiedzieć, że reklamy nie kłamią. Był na miejscu, gdy zaatakowali Ortiza, i wygląda na to,

że tylko dzięki niemu Ortiz jeszcze żyje. Załatwił dwóch z trzech napastników, a trzeciego przegonił. Nieuzbrojony. Uwierzysz?

- Tak - krótko odparł Jeff. - Uwierzę. Mówiłem przecież, ci faceci są cholernie przerażający. A więc w czym problem?

Norton popatrzył na swoje ręce. Znów się zawahał, potem z irytacją potrząsnął głową i spojrzał w oczy brata.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że mam teraz partnerkę? Była policjantką?

- Z którą chętnie poszedłbyś do łóżka, ale nie chcesz się do tego przyznać. Tak, pamiętam.

- No cóż, jest coś, czego ci o niej nie mówiłem. Kilka lat temu była w związku z renegacką trzynastką. Wszystko wyszło na jaw i pojawiły się pewne... komplikacje.

Jeff uniósł brwi.

- Uch?

- Tak. Nie zastanawiałem się nad tym zbyt, nawet gdy zatrudnialiśmy tego gościa.

- Bzdura.

Norton westchnął.

- No dobrze, trochę nad tym myślałem. Ale wiesz, uznałem, że jest twarda, bystra i panuje nad sytuacją. Nie ma się czym przejmować.

- Jasne. - Jeff nachylił się do przodu. - Więc czym się martwisz?

Norton żałośnie rozejrzał się po biurze.

- Sam nie wiem. - Uniósł ręce w górę. - Nie wiem, do cholery, sam nie wiem.

Jego brat uśmiechnął się i westchnął.

- Żułeś kiedyś liście koki, Tom?

Norton zamrugał.

- Liście koki?

- Tak.

- Jaki to ma związek...

- Próbuję ci pomóc. Po prostu odpowiedz na pytanie. Żułeś kiedyś liście koki?

- Oczywiście, że tak. Za każdym razem, gdy jedziemy do marsjańskich obozów przygotowawczych, dają nam na lotnisku wielki wór i zalecają żucie ze względu na wysokość nad poziomem morza. Ma paskudny smak. I jaki to ma związek z...

- Robisz się naćpany od żucia koki?



- Och, daj spokój...

- Odpowiedz na pytanie.

Norton zacisnął szczęki.

- Nie, nie robię się naćpany. Czasem znieczula mi usta, ale to wszystko. One po prostu dodają energii, przestajesz się czuć zmęczony.

- Właśnie. Posłuchaj. Ten efekt energetyzujący to element współpracy między ludźmi a rośliną. Koka daje człowiekowi korzyści zdrowotne, ludzie pilnują, żeby hodować dużo koki. Wszyscy wygrywają. A ludzka fizjologia bardzo zgrabnie radzi sobie z efektami zapewnianymi przez liście. To korzyść, która nie zakłóca żadnych koniecznych do życia mechanizmów. Nie zrobisz niczego głupiego tylko dlatego, że żujesz te liście.

- Jak to jest - zapytał ciężko Norton - że za każdym razem, gdy przychodzę do ciebie po pomoc, musisz mi robić wykład?

Jeff się do niego wyszczerzył.

- Bo jestem twoim starszym bratem, głupku. A teraz słuchaj. Jeśli wyekstrahujesz alkaloid z liści koki, przepuścisz go przez sztuczny proces chemiczny dający kokainę, a potem wpakujesz ją sobie do mózgu, cóż, wtedy mamy do czynienia z całkiem inną sytuacją. Wciągniesz parę kresek tego łąjna i nagle naprawdę jesteś na haju. I pewnie zrobisz przy okazji parę głupich rzeczy, od których możesz zginąć w środowisku ewolucyjnym mniej tolerancyjnym od Nowego Jorku. Nie będziesz zwracał uwagi na emocjonalne wskazówki społeczne od otaczających cię ludzi albo zleje zinterpretujesz. Zapomnisz o jakimś ważnym osobistym szczególe. Może wybierzesz niewłaściwą kobietę, wdasz się w walkę z nieodpowiednim facetem. Źle ocenisz prędkości, kąty lub odległości. I na dłuższą metę oczywiście przesadnie obciążysz serce. Wszystko to może być dobrym sposobem na skrócenie egzystencji. Co sprowadza się do tego, że nie wyewoluowaliśmy tak, by radzić sobie z tą substancją w stężeniach, którymi może nas obdarzyć technika. Stara historia, to samo dotyczy cukru, soli, synadyny czy czego tam jeszcze.

- Oraz wariantu trzynaście - posępnie rzucił Norton.

- Właśnie. Chociaż mówimy tu o kwestii oprogramowania, a nie o problemie sprzętowym. Przynajmniej do poziomu, na którym da się dokonać tego rozróżnienia w przypadku chemii mózgu. W każdym razie słuchaj - z tego, co czytałem, wynika, że twórcy projektu Stróż Prawa sądzili, że wariant trzynasty byłby cholernym sukcesem w kontekście społeczeństwa zbieracko-łowieckiego. Bycie dużym, twardym i brutalnym jest w takim kontekście

dużym plusem. Dostajesz więcej mięsa, bardziej cię szanują, zgarniasz więcej kobiet. Skutkiem jest częstsze rozmnażanie. Dopiero gdy ludzie decydują się na osiadły tryb życia w społecznościach rolniczych, ci faceci zaczynają stanowić problem. Czemu? Bo za cholerę nie chcą robić tego, co się im każe. Nie chcą pracować na polu i przynosić plonów jakiemuś kleptokratycznemu dziadowi z brodą. To wtedy zaczynają być eliminowani z rasy, bo pozostali słabeusze i konformiści zbierają się do kupy pod tym samym brodatym, paternalistycznym draniem, biorą swoje narzędzia rolnicze i pochodnie i eksterminują biedny eh drani.

- Oprócz kleptokratów. - Norton uczepił się słabszych wątków teorii brata: dziedzictwo odwiecznej rywalizacji między rodzeństwem. - No wiesz, sami muszą być wariantem trzynastym, prawda? Inaczej jak znaleźliby się na górze?

Jeff wzruszył ramionami.

- Ława przysięgłych najwyraźniej wciąż nie podjęła decyzji. Dziwne jest to, że profile genetyczne dla kleptokraty i trzynastki wcale nie są tak podobne, jak można by się spodziewać. Na przykład trzynastki nie wydają się szczególnie zainteresowane bogactwem materialnym. Wykazują ograniczone zainteresowanie rzeczami, których nie mogą sobie zarzucić na ramię.

- Och, daj spokój. Jak niby zamierzasz mierzyć coś takiego?

- To wcale nie takie trudne. Na przykład mimowolna reakcja umysłowa na stymulację wizualną. Robimy tu czasem takie rzeczy z nowo przybyłymi uciekinierami. Pomaga w ich profilowaniu. W każdym razie są też dowody z obserwacji - wygląda na to, że przed Jacobsenem i spędem większość z nich żyła w małych mieszkankach, posiadając tyle rzeczy, ile zmieściłoby się do średniej wielkości plecaka. Może więc jednak kleptokracy wcale nie byli trzynastkami, byli po prostu bystrzymi facetami, którzy wymyślili społeczny sposób na pokonanie wielkich sukinsynów, żeby samemu przebierać w kobietach.

- Mów za siebie.

- Mówię za nas wszystkich, Tom. Ponieważ ci faceci zniknęli na ostatnie dwadzieścia tysięcy lat, czy coś koło tego. Wyeliminowaliśmy ich. A przy okazji straciliśmy wyewoluowane zdolności, które mogliśmy mieć, żeby radzić sobie z nimi.

- Co to znaczy?

- Cóż, jakie są najważniejsze cechy dowolnego dobrego przywódcy, jakiegokolwiek dominującego członka grupy, który osiągnął sukces?

- Nie wiem. Zdolność do pracy w grupie?

Jeff się roześmiał..

- Tom, jesteś takim cholernym nowojorczykiem.

- Ty też kiedyś byłeś.

- Charyzma! - Jeff strzelił palcami i przybrał pozę. - Przywódcy są charyzmatyczni. Potrafią przekonywać, wymuszać i zauroczyć pomimo stosowania siły. Łatwo za nimi iść. Seksualnie atrakcyjni dla kobiet.

- A co, jeśli to oni są kobietami?

- Daj spokój, mówię tu o społeczeństwach zbieracko-łowieckich.

- Myślałem, że mówimy o współczesności.

- Społeczeństwo zbieracko-łowieckie to właśnie jest współczesność, przynajmniej w skali ludzkiej ewolucji. Przez ostatnie pięćdziesiąt do stu tysięcy lat nie zmieniliśmy się tak bardzo.

- Poza wyeliminowaniem trzynastek.

- Tak, to nie ewolucja. To początki cywilizacji.

Norton zmarszczył czoło. W głosie Jeffa zabrzmiała nagła gorycz, której nie słyszał tam często. - Nagle zrobiłeś się trochę zgorzkniały, co?

Brat westchnął.

- I co ci mam powiedzieć? Popracujesz dość długo dla Kosztu Ludzkiego, a zaczyna ci się to przegryzać przez duszę. W każdym razie rzecz w tym, że wariant trzynasty wydawał się być wyposażony w cały zestaw predyspozycji genetycznych do charyzmatycznej dominacji i działał na poziomach, z którymi pozostali nie musieli sobie radzić od dwudziestu tysięcy lat. To tak, jakby nosili w sobie wir emocjonalny rozrywający wszystkich, z którymi się stykają. Kobiety zaczynają za nimi szaleć, mężczyźni nienawidzą ich do głębi. Słabi i podatni na wpływy idą za nimi, poddają się, robią, co tamci zechcą. Ludzie o skłonnościach do przemocy walczą. Pozostali nienawidzą ich w milczeniu, ale nie odważą się nic z tym zrobić. No wiesz, mówię o takiej sile osobowości, że gdyby któryś z tych facetów starał się o wybieralne stanowisko, zmiażdżyłby każdego, kto stanąłby przeciwko niemu. Byliby czystym politycznym marstchem, za każdym razem gwarantowanymi zwycięzcami. Jak myślisz, czemu Jacobsen chciał ich internować i wykastrować chemicznie? Widział to tak, że gdyby pozwolić im wmieszać się w populację, to po kilkudziesięciu latach rządziłiby każdym demokratycznym państwem na planecie. Zniszczyliby procesy demokratyczne, zrujnowaliby wszystko, co sfeminizowane społeczeństwo osiągnęło w ciągu ostatnich kilku stuleci. I rozmnożyliby się, wtapiając się w

rdzeń ludzkości jak króliki, bo każda kobieta przyciągana przez męską seksualność będzie za nimi szalała. - Jeff posłał mu kolejny cierpki uśmiech. - Reszta nie miałaby szans. To właśnie cię martwi, braciszku?

Norton z irytacją machnął ręką.

- Nie, nie to mnie martwi. Problem w tym, że Marsalis będzie z nami współpracował tylko do czasu, aż uda mu się zniknąć nam z oczu, wtedy ucieknie. I martwi mnie, że moja partnerka może nie dostrzec tego zagrożenia, zostawiając Marsalisowi długą smycz w sytuacji, gdy nie możemy sobie na to pozwolić. Dlatego tak naprawdę chcę wiedzieć, na ile mogę liczyć, że Sevgi Ertekin nie da ciała, gdy facet będzie w okolicy.

- No cóż, jak ona sobie radzi?

- Nie wiem. Ale poleciała z nim do Stambułu, idąc za wątkiem śledztwa, który pojawił się praktycznie z niczego. To było wczoraj i jeszcze nie zadzwoniła.

- Egzotyczny Stambuł, co?

- Och, zamknij się.

Jeff stłumił uśmiech.

- Przepraszam, nie mogłem się oprzeć. Tom, na razie przy tym, co dotąd mi powiedziałeś, raczej nie spędzałbym bezsennych nocy. Jest szansa, że na jakimś poziomie ma ochotę pieprzyć się z tym gościem...

- Bosko.

- ... ale ochota na wyruchanie faceta na lewą stronę to niekoniecznie to samo, co wyłączenie mózgu. No wiesz... na przykład podobnie jest z bonobo. Mają podkreślony kobiecy urok, który za każdym razem działa na obwody seksualne przeciętnego faceta jak kokaina...

- Tak, ty coś o tym wiesz.

Jeff urwał i popatrzył na niego z wyrzutem.

- Tom, przecież przeprosiłem za żart ze Stambułem. Daj mi, do cholery, spokój, dobrze? Chodziło mi o to, że jakoś nie opuszczam Megan i dzieciaków dla Nuying, prawda? Ryzykować rozwód, separację od Jacka i Louisy, może oskarżenie o naruszenie etyki zawodowej - wszystko dlatego, że odbiło mi na punkcie zmodyfikowanej cipki? Te sprawy są dla mnie ważne i potrafię je zrównoważyć w stosunku do tego, co robi dla mnie Nu. I wychodzę z twarzą, Tom, kontroluję się i mam to, co najlepsze z obu stron. Jasne, mam problem z uzależnieniem, którym jest skłonność do bonobo. Ale radzę sobie z nim. To właśnie trzeba robić, radzić sobie ze swoimi słabościami. Bierzesz na siebie obciążenie. Jeśli ta kobieta, o której mówisz,

naprawdę jest skupiona na pracy i poważnie do niej podchodzi, wie, kim jest i o co jej w życiu chodzi, to nie ma powodu, dla którego nie mogłaby dokonać tej samej analizy zysków i strat i odpowiednio się zachować. Jeśli już, to dowody genetyczne sugerują, że kobiety i tak są w tym lepsze od nas, więc ma tu wbudowaną przewagę. To znaczy, nie twierdzą, że chciałbym ręcznie prać pościel z hotelu, w którym siedzą teraz w Stambule...

- O Chryste, Jeff.

Jeff rozłożył ręce.

- Przepraszam, braciszku. Chcesz, żebym sprawił, że poczujesz się lepiej, żebym powiedział ci, że masz wolną drogę i możesz spokojnie dobierać się do tej kobiety? Nie mogę. Ale jeśli naprawdę martwisz się jej profesjonalną kontrolą nad sytuacją - to ja bym się nie martwił.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Dla Nortona pozwolenie, by to Jeff miał ostatnie słowo, miało smak porażki.

- No dobrze, a o co chodzi z tym wątkiem ze Stambułu? No wiesz, tak poważnie to nie ma związku z żadnym z naszych bieżących śledztw, spadło prosto z nieba. Jakaś inna trzynastka internowana przez Europejczyków w Turcji, która być może ma związek z jakimś peruwiańskim gangsterem, który być może jest powiązany z ludźmi, którzy być może przeszmyglowali naszą zbuntowaną trzynastkę z Marsa. I ja niby mam ufać czemuś takiemu? To wszystko szyte dość grubymi nićmi.

Jeff zapatrzył się za okno.

- Może tak jest - powiedział nieobecny głosem. - Trzynastki nie myślą tak jak my. Mają kompletnie inne okablowanie synaptyczne. Część z tego, tę ekstremalną, po prostu nazywamy paranoją albo tendencjami socjopatycznymi. Ale czasem okazuje się to po prostu innym sposobem patrzenia na świat. To dlatego w ogóle ONZALG zatrudnia facetów w rodzaju Marsalisa. Po części dlatego właśnie zasugerowałem, żebyś wyciągnął go z Florydy i zatrudnił. Daje ci dostęp do nowych podejść. - Nagłe, twarde spojrzenie. - Nie powiedziałeś nikomu, że to był mój pomysł, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- Tak? Nawet tej byłej glinie, którą tak bardzo się teraz przejmujesz?

- Obiecałem ci, Jeff. Ja dotrzymuję obietnic.

- No dobra. - Jego brat przez chwilę przyciskał kciuk i palec wskazujący do zamkniętych oczu. - Przepraszam. Nie powinienem tak na ciebie najeżdżać, po prostu jestem w tej chwili cholernie zestresowany. Ta robota to

nawet w najlepszych warunkach polityczne chodzenie po linie, a teraz zrobiło się paskudnie. Jeśli ktoś usłyszy, że dyrektor Fundacji Koszt Ludzki udziela nieformalnych porad oficerowi INKOL, które dotyczą wspomaganych genetycznie, to natychmiast będę musiał szukać nowej pracy. Ciągłe nam tu wybuchają w twarz te bzdury o superkonspiracji Wybrzeża, Chin i Marsa, pewnie z dnia na dzień stracilibyśmy jeszcze wszystkie fundusze. I tak działa na naszą niekorzyść fakt, że przyjmujemy uciekinierów z czarnych laboratoriów i dajemy im obywatelstwo Wybrzeża. Organizowanie zwolnienia z więzienia groźnego wariantu genetycznego byłoby ostatnią kroplą.

- No cóż, jak mówiłem, odpręż się. Nikt nie wie. - Patrząc na brata, Norton poczuł niezwykły uścisk w gardle. - Naprawdę to doceniam, Jeff. Może czasami nie wychodzi mi okazywanie tego, ale doceniam.

- Wiem. - Jeff posłał mu szeroki uśmiech. - I tak opiekuję się tobą, od kiedy zacząłeś sięgać głową stołu. Od tego właśnie są starsi bracia, nie? Cały zestaw genetycznych predyspozycji.

Norton potrząsnął głową.

- Za długo się w to wszystko bawimy, Jeff. Czemu nie powiesz po prostu, że cię obchodzi.

- Wydawało mi się, że właśnie to zrobiłem. Podstawowe powody troski o rodzeństwo są właśnie natury genetycznej. Nie musiałem wstępować do Kosztu Ludzkiego, żeby się tego dowiedzieć.

W jego umyśle rozkwitł obraz Megan. Długie, opalone kończyny i piegowaty uśmiech, słońce i włosy w jej oczach. Wspomnienie wcisnęło mu się przed oczy, przyćmiło wzrok. Poczul się, jakby wirtualny format i jego brat zostali nagle stłumieni w oddali. Własny głos zabrzmiał obco.

- Tak, a co z braterską rywalizacją? Gdzie ją umieścisz?

Brat wzruszył ramionami.

- To też genetyczne. U podstaw wszystko takie jest. Nie licząc ekstrasomów, wszystko, czym jesteśmy, zostało stworzone na takiej czy innej podstawowej skłonności genetycznej.

- I tak właśnie usprawiedliwiasz Nuying.

Twarcz Jeffa stężała.

- Wydaje mi się, że tę rozmowę już odbyliśmy i ostatnio mi się nie podobała. Nie usprawiedliwiam tego, co zrobiłem z Nu. Ale rozumiem, z czego to wynika. To dwie zupełnie różne rzeczy.

Norton pozwolił wyblaknąć wspomnieniu Megan.

- Dobra, w porządku. Zapomnij. Przepraszam, że znów zacząłem. Sam też jestem teraz nieźle zestresowany. Wiesz, muszę opanować swoje tendencje genetyczne.

- Jak my wszyscy - cicho zapewnił go brat. - Trzynastki czy bonobo, u podstaw wszyscy jesteśmy cholernymi ludźmi. Prędzej czy później musimy poradzić sobie z tym, co w nas tkwi.

## ROZDZIAŁ 25

Poranek nadszedł upstrzony dźwiękami ruchu po Moda Caddesi i krzykami dzieci. Przez przeszkloną ścianę pokoju, który wybrał do spania, wlewało się pod kątem jasne światło, a wraz z nim odkrycie, że na dole pod oknem mieściło się szkolne boisko. Dźwignął się z łóżka, ruszył na poszukiwanie łazienki i przy okazji natknął się na lekko pochrapującą Ertekin. Spała na plecach z lekko otwartymi ustami, długonoga i cudownie niechlujna w wypłowiałej koszulce z logo nowojorskiej policji oraz płataninie pościeli, z jedną ręką podłożoną pod głowę. Nasycił się jej widokiem, potem cicho się wycofał, znalazł łazienkę i z ulgą opróżnił pęcherz. W skroniach pulsował nieśmiało lekki kac, jednak znacznie słabszy, niż się spodziewał. Wsadził głowę pod kran.

Pozwolił Ertekin spać, przeszedł do kuchni i znalazł półinteligentny panel zakupowy obok konsoli sterowania ogrzewaniem. Ponieważ nie znał preferencji Ertekin, zamówił świeży chleb i *simits*, mleko i parę innych rzeczy. Znalazł nietkniętą paczkę kawy - ziemskiej, bez modyfikacji - a na blacie ciśnieniowy dzbanek do jej parzenia. Włączył grzejnik i napełnił dzbanek - mniej więcej w chwili, gdy zaczął bulgotać, do drzwi zadzwonił goniec z dostawą zamówionych artykułów spożywczych. Wpuścił go, znalazł telefon i zaniósł wszystko do kuchni. Odpakował wciąż ciepłe *simits* - rodzaj okrągłych, skręconych precli obsypanych sezamem - połamał jednego, nalał sobie kawy i zajął się szukaniem Stéphane'a Néventa.

Trochę to trwało.

Nie znał oficera dyżurnego w dowództwie obozu dla internowanych w Ankarze i nie mógł zadziałać z pozycji ONZALG, bo jego kody operacyjne były od sześciu miesięcy nieważne. Nie pomogło wymienianie znajomych. W końcu musiał zadzwonić do jednego z miejscowych biur, w którym Battal Yavuz najwyraźniej miał nadgodziny. Na miejscu dowiedział się, że Battal wyszedł na obchód i nie odbiera swojego radia. Kobieta na miejscu zgodziła się przekazać wiadomość.

- Proszę mu powiedzieć, że jest porąbanym sukinsynem i jeśli nie oddzwoni, przyleci tam wielka paskudna trzynastka i zabierze mu kobietę.

Twarz na ekranie nabrała rumieńców.

- Nie sądzę...



- Nie, naprawdę. Proszę mu to powiedzieć. Dziękuję.

Dźwięki na korytarzu. Rozłączył się i połamał kolejne *simit*. Odkrył, że uśmiecha się kątem ust, i opanował twarz. Ertekin skorzystała z łazienki, potem chyba wróciła do sypialni i przez chwilę sądził, że pójdzie z powrotem spać. Potem znów usłyszał zbliżające się kroki w korytarzu. Rozparł się na oparciu, żeby przyjrzeć się jej po wejściu. Ciekawiło go, czy wciąż będzie miała na sobie koszulkę. Zauważył luźno, że jego kac się cofa.

Ubrała się. Włosy w nieładzie, grymas na umytej twarzy.

- Cześć. Dobrze spałaś?

Burknęła:

- Co robisz?

- Pracuję. - Wskazał na telefon. - Czekam na telefon w sprawie Névanta. A co myślałaś? Że ucieknę, jak tylko stracisz przytomność? Jestem strasznie perfidną i wyrachowaną, wredną trzynastką.

- Nie straciłam przytomności.

- No cóż, w takim razie upuściłaś kieliszek, gdy dawałaś odpocząć oczom. Uznałem, że i tak skończyłaś już pić, więc poszedłem spać. Jak tam głowa?

Za odpowiedź wystarczyło mu spojrzenie, którym go poczęstowała.

- W dzbanku wciąż jest kawa, ale pewnie już wystygła. Mogę...

Odezwał się telefon. Uniósł brew i odebrał go. Ertekin zajęła się kawą, a on przeniósł wzrok na ekran, na którym pojawił się ziarnisty od przekazu obraz. Szeroka perspektywa na pustynne tło przez zakurzoną boczną szybę terenówki. Battal Yavuz na siedzeniu kierowcy, pulchna twarz pełna niedowierzania.

- Carl? Nie wierzę, że to ty.

- Jedyny i niepowtarzalny.

- Stary, wsadzili cię do pierdła w Jezusowie. Mówił nam o tym Di Palma. Powołali się na szczególne okoliczności, bezterminowy areszt bez wyroku. Jak, do diabła, udało ci się stamtąd wyjść?

- Battal, wydostałem się z Marsa. Myślisz, że Jezusowo mogło mnie zatrzymać?

- Nigdy nie wiadomo, stary. Mają doświadczenie z tym bezterminowym aresztem. Pieprzeni barbarzyńcy.

Siedząca po drugiej stronie stołu Sevgi Ertekin prychnęła. Carl posłał jej zdziwione spojrzenie. Wzruszyła ramionami i napiła się kawy.

- No, to co robisz w Stambule? Przyjechałeś w odwiedziny?

- Obawiam się, że nie mam na to czasu, Battal. Ale słuchaj, pomyślałem, że mógłbyś coś dla mnie zrobić.

\* \* \*

Kiedy się rozłączył, Ertekin wciąż siedziała przygarbiona po drugiej stronie stołu, wpatrując się w dno swojej filiżanki. Popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- To o co chodziło?

- Co o co?

Powtórzył jej prychnięcie.

- To.

- Ach. Cóż. Po prostu zabawnie jest słyszeć, jak Turek narzeka na cudze barbarzyństwo.

- Cóż, w końcu mówił o Jezusowie.

- Jasne, wszystko jedno. - Nagle wyprostowała się na krześle. - Widzisz, Marsalis, mój ojciec opuścił swój kraj z jakiegoś powodu. Jego ojciec i wuj zginęli na tym pieprzonym placu w Taksim, bo cudowna armia turecka uznała nagle, że wolność słowa trochę za bardzo wymyka się spod kontroli. Wiesz, wy pieprzeni Europejczycy macie się za tak cholernie lepszych niż wszyscy inni, ze swoimi świeckimi społeczeństwami, łagodną siłą i miłusimi siłami bezpieczeństwa, o których nikt nie chce rozmawiać. Ale w sumie...

- W sumie - pociągnął trochę ostro, bo Battal był jego przyjacielem, a tych nie miał wielu - Turcja wciąż jest w jednym kawałku. Wiesz, tu też mieli psychotyczny element religijny i problem z zaciekłymi patriotycznymi dogmatykami. Ale go rozwiązali. Ci, którzy zostali, którzy nie poddali się fundamentalistycznej głupocie ani po prostu nie uciekli do jakiejś spokojnej przystani gdzie indziej... to właśnie oni stanowili różnicę i utrzymali to wszystko razem.

- Tak, i z tego, co słyszałam, za pomocą rozsądnego finansowania ze strony zainteresowanych czynników europejskich.

- Co w niczym nie zmienia faktu, że Jezusowo jest pieprzonym społeczeństwem barbarzyńców, z którego i tak się nie wywodzisz, więc o co ci właściwie chodzi?

Popatrzyła na niego ogniście. Westchnął.

- Słuchaj, mnie też boli głowa, wiesz? Może pogadaj sobie z Battalem, kiedy tu przyjedzie? To on wprowadził mnie w lokalną historię: zanim dostał to stanowisko, uczył w więzieniu, zna się na tym. Napisał doktorat o Turcji i starych Stanach, że są bardziej podobne, niż by się zdawało. Pogadaj z nim.

- Myślisz, że tu przyjedzie?

- Jeśli Névant przyjedzie, będzie musiał mieć eskortę. A jakoś nie wyobrażam sobie, żeby Battal odpuścił okazję spotkania się z kumplami ze Stambułu na koszt rządu. Tak, przyjedzie.

Ertekin zeszywniała.

- *Jeśli* Névant przyjedzie.

- Nie martw się Néwantem. Sam fakt, że proszę o jego pomoc, wystarczy, by go tu ściągnąć. Bardzo mu się to spodoba.

- Może spodoba mu się odmówienie ci.

- Może. Ale przyjedzie tutaj, by zrobić to osobiście. Będzie chciał zobaczyć moją twarz. Zresztą... - Carl rozłożył ręce i posłał jej krzywy uśmiech - ... jest spora szansa, że to dla niego jedyna okazja na wyjście z obozu na kolejną dekadę.

Wolno kiwnęła głową, jak ktoś przyjmujący do wiadomości nową koncepcję. Wzrok wciąż utkwiony w kawie. Carl doznał nagłego, nieprzyjemnego uczucia, że to, co właśnie zrozumiała, nie miało wielkiego związku z jego słowami.

- Oczywiście - odezwała się - żaden z nich tak naprawdę nie musi tu przyjeżdżać. Moglibyśmy równie dobrze pojechać do nich, prawda? - Spojrzała mu w twarz. - Do obozu?

Zgadywała tylko, ale dorwała go.

- Tak, moglibyśmy - odpowiedział gładko. - Ale oboje mamy kaca, a mnie się podoba widok z tego okna. Po co więc tam jechać, skoro możemy go ściągnąć tutaj?

Wstała zza stołu i popatrzyła na niego z góry.

- Jasne.

Przez chwilę sądził, że zacznie naciskać, ale tylko się uśmiechnęła, kiwnęła głową i zostawiła go w kuchni z przemykającymi przez głowę wspomnieniami z obozu i obrazami ludzi, których tam zaciągnął.

Wciąż tam siedział, gdy zadzwonił Névant.

## ROZDZIAŁ 26

- Wiedziałaś, że przyjadę, co?

- Tak.

Névant zaciągnął się cygaretką, wypuścił dym przez usta i wciągnął go z powrotem nosem.

- Jak cholera.

Carl wzruszył ramionami.

- No dobra.

- Chcesz wiedzieć, czemu przyjechałem?

- Jasne.

Francuz wyszczerzył się i nachylił nad stołem, jakby zdradzał tajemnicę.

- Przyjechałem cię zabić, człowieku z Marsa.

Za szklaną ścianą restauracji zachód słońca przyciemnił i zakrwawił niebo nad Morzem Marmara. Poszarpane chmury upstrzone czerwienią. Carl podjął wzrok Névanta i wytrzymał spojrzenie.

- Bardzo oryginalne.

- Cóż. - Névant znów się wyprostował, spuścił wzrok na stół. - Czasami powody na poziomie genetycznym są najlepsze.

- To dlatego próbowałeś namówić Manco Bambarena, żeby dał ci schronienie? Powody na poziomie genetycznym?

- Jeśli chcesz. To naprawdę była kwestia przetrwania.

- Tak, przetrwania jako ciele.

Névant podniósł wzrok. Carl dostrzegł przepływający ramieniem stłumiony impuls walki. Podobnie jak większość trzynastek, Francuz był potężnie zbudowany, z szeroką klatką piersiową i barami, długimi rękami obrośniętymi postronkami mięśni i dużą, wyrazistą głową. Jednak w przypadku Névanta jego masa w jakiś sposób zdawała się skurczyć do bladego, wilkołaczego potencjału. Od czasu, gdy Carl ostatnio go widział, stracił na wadze, a nos i kości policzkowe ostro wystawały spod skóry. Zwężone, szarzielone oczy zmatowiały od złości, a uśmiech, gdy się w końcu pojawił, ukrywał powolny, cichy warkot. Był szybki, wtedy w Arequipie, trzy lata temu - Carl musiał skorzystać z siatki, by go pokonać. Gdyby skoczył teraz nad stołem, byłoby to jak trzaśnięcie bicia, uderzenie węża.

- Nie podoba mi się twoja kurtka. Co to ma być, pieprzona moda więzienna?

Carl wzruszył ramionami.

- Pamiątka.

- To nie jest wytłumaczenie. Ile cię kosztowała?

- Jakieś cztery miesiące.

Chwila ciszy. Francuz uniósł brew.

- Proszę, proszę. Co się stało, zabrali ci licencję?

- Nie, wciąż jest ważna.

- I wciąż robisz to samo, co? - Névant wydmuchnął nad stołem chmurę dymu. - Wciąż polujesz na braci dla ludzi?

- Och, daj spokój.

- Wiesz, to nie byłoby tylko za mnie, człowieku z Marsa.

- Przepraszam?

- Zabicie cię. Nie byłoby tylko za mnie. Masz w obozie duży klub fanów. Trudno mieć do nich pretensje, prawda? A gdybym cię zabił i oni by o tym wiedzieli... - Névant ziewnął i się przeciągnął, rozluźniając bojowe napięcie.

- Cóż, pewnie nigdy już nie musiałbym kupować sobie papierosów.

- Sądziłem, że woleliby sami mnie zabić.

Francuz machnął ręką.

- Ograniczenia zemsty. Nie mogą wszyscy cię zabić, a biorąc pod uwagę miejsce pobytu, chwilowo żaden nie może. Obóz uczy swoistej mądrości - ciesz się z tego, co masz, to lepsze niż nic.

- Powinno mi być z tego powodu przykro?

Wrócił wilczy uśmiech.

- Twoje uczucia mnie nie obchodzą, Marsjaninie. Pław się w nich do woli.

- Mieli swoją szansę, Stéphane. Wszyscy mieliście. Mogłeś polecieć na Marsa.

- Tak, podobno nie składa się tylko z czerwonych skał i śluz powietrznych. Po drodze widziałem reklamy. - Névant dotknął paznokciem stojącego przed nim kieliszka z rakiją. Jak dotąd nie dotknął niczego z rozłożonych między nimi *mezes*. - Brzmi świetnie. Trudno zrozumieć, czemu wróciłeś.

- Wygrałem loterię.

- Ach, właśnie, zapomniałem. Na Marsie jest tak świetnie, że wszyscy co miesiąc kupują los, żeby sprawdzić, czy mogą się wyrwać stamtąd w cholere

i wrócić do domu.

- Nie mówiłem, że to raj. To opcja.

- Słuchaj, ty wróciłeś, a powodem twojego powrotu był fakt, że życie na Marsie to kupa łajna. - Névant znów dmuchnął w niego dymem. - Niektórzy z nas nie po prostu nie potrzebowali podróży, żeby to wykombinować.

- Zbyt byłeś zajęty planowaniem spędzenia reszty życia na Altiplano, gdzie cię złapałem. To prawie Mars, tylko z wyższym ciężeniem.

Névant uśmiechnął się krzywo.

- To ty tak mówisz.

- Czemu miałbym kłamać?

Na zewnątrz zapalały się lampy uliczne wzdłuż nadmorskiej promenady. Sevgi Ertekin siedziała z Battalem Yavuzem na wysokich stołkach przy budce z *salep* tuzin metrów od wyjścia. Popijali trzymane w dłoniach napoje i najwyraźniej całkiem nieźle się dogadywali. Névant przechylił głowę w ich stronę.

- To kim ona jest?

\* \* \*

- Nie, nie jestem jego partnerką. - Sevgi starała się mówić spokojnie. - To ściśle czasowa współpraca.

- W porządku, przepraszam. Mój błąd. Po prostu wyglądacie na, wie pani...

- Na co wyglądamy?

Yavuz wzruszył ramionami.

- Chyba na związanych ze sobą. To dość niezwykle u Marsalisa. Jest dość zamknięty w sobie, nawet jak na trzynastkę. Zresztą zbliżenie się do tych gości w ogóle nie jest proste.

- Jakbym nie wiedziała.

- Właśnie. Nie chcę zabrzmieć jak ci kretyni z Czystości Ludzkiej, ale pracuję w obozie już prawie od dekady i muszę powiedzieć, że wariant trzynasty to najbliższy odpowiednik obcych, jaki kiedykolwiek pani zobaczy.

- Słyszałam to samo w odniesieniu do kobiet.

- W ustach mężczyzn, owszem. - Yavuz pociągnął swojego *salep* i się uśmiechnął. Swoją radosną sylwetką odcinał się z wieczornego mroku i żółtawych świateł budki. Kołnierz jego bluzy podkreślał opaloną, pulchną twarz, a sweter był wypychany przez niewielki, ale wyraźny brzusek. Wyglądało na to, że życie w Eurostrefie ONALG nie traktuje go źle. Włosy miał zaniedbane, a w oczach radośnie odbijało się światło. - Oczywiście.

Biorąc pod uwagę, jak wy jesteście zbudowane w stosunku do nas.

- Wy?

- Oczywiście żartuję. Ale tak samo jak znacząco różni się warunkowanie genetyczne mężczyzn i kobiet... - Yavuz dźgnął kciukiem w stronę oświetlonego wnętrza restauracji i dwóch mężczyzn siedzących naprzeciw siebie przy oknie - ... tych dwóch jest znacząco różnych od nas obojga.

- Choć nieco bliżej was - cierpko skomentowała Sevgi. - Prawda?

Yavuz zachichotał.

- Racja. Na poziomie chemii testosteronu, gotowości do przemocy i ograniczenia podstawowej empatii, oczywiście. Ale z drugiej strony nikt nigdy nie próbował stworzyć trzynastki-kobiety.

- O której byśmy wiedzieli.

- O której byśmy wiedzieli - powtórzył i westchnął. - Z tego, co wiem, skłonność do przemocy i ograniczenie empatii były dokładnie tymi cechami, które naukowcy chcieli wzmocnić. Nic dziwnego przy tym, że wybrali męski model.

Na chwilę jego spojrzenie powędrowało za nią, na morze.

- Czasami - dodał cicho - wstydzę się, że jestem mężczyzną.

Sevgi poruszyła się z zażenowaniem na stołku. Obróciła w dłoniach swój kubek *salep*. Rozmawiali po turecku, w jej przypadku trochę niepewnie z braku wprawy i z jakiegoś powodu, może przez skojarzenie ze złym zachowaniem z dzieciństwa i otrzymaną wtedy burą, tureckie sformułowanie „wstydzę się” nadało słowom Yavuzowi niesamowitą siłę. Poczwała, jak jej policzki rozgrzewają się współczuciem.

- To znaczy - mówił dalej, wciąż nie patrząc na nią - oceniamy poziom ucywilizowania narodu przez poziom aktywności kobiet w społeczeństwie. Nie bez powodu boimy się społeczeństw, w których kobiety wciąż pozbawione są praw. Prowadząc śledztwo w sprawie brutalnego przestępstwa, słusznie zakładamy, że sprawcą najprawdopodobniej był mężczyzna. Wykorzystujemy społeczną dominację mężczyzn jako czynnik prognostyczny kłopotów i cierpień, ponieważ gdy się wszystko podsumuje, to mężczyźni okazują się problemem.

Spojrzenie Sevgi przeniosło się na okno restauracji. Stéphane Névant nachylał się nad stołem, gestykułując i mówiąc z przejęciem. Marsalis patrzył na niego beznamietnie, z rękami na oparciu krzesła i głową przechyloną lekko w bok. Pomimo różnic w zachowaniu z obu mężczyzn zdawała się emanować taka sama intensywność. Ta sama czysta siła. Trudno było

wyobrazić sobie, by któryś z nich kiedykolwiek mówił o wstydzie. Z jakiegokolwiek powodu.

Wbrew sobie, w głębi jej duszy coś się rozgrzało i poruszyło. Poczowała, że znów się czerwieni, tym razem mocniej. Odchrząknęła.

- Wydaje mi się, że można na to spojrzeć w inny sposób - wtrąciła. - W Nowym Jorku mam przyjaciółkę, Meltem, która jest imamem. Mówi, że to kwestia etapów ewolucji społecznej. Jest pan muzułmaninem, prawda?

Yavuz wypchał policzek językiem i uśmiechnął się.

- Formalnie.

- Cóż, Meltem mówi - ona też jest Turczynką, to znaczy amerykańską Turczynką i oczywiście jest wierząca, ale...

- Jasne. To chyba ma jakiś związek z pracą.

Roześmiała się.

- Racja. Ale ona jest feministyczną sufi. Studiowała u Nazli Valipour w Ahvaz przed rozpadem. Słyszał pan o szkole Rabii?

Siedzący przed nią mężczyzna kiwnął głową.

- Czytałem o nich. To coś związanego z Ibn Idrisem, prawda? Kwestionuje wszystkie autorytety po Proroku.

- No cóż, Valipour cytowała Idrisa, owszem, ale tak naprawdę sama wyprowadza swoje korzenie od Rabii al-Basri i argumentuje, że interpretacja Rabii dotycząca powinności religijnej jako czysto religijnej miłości jest, uch, wie pan, prototypowym feministycznym rozumieniem islamu.

Nagle umilkła, nieoczekiwanie świadoma własnej sytuacji. W Nowym Jorku nie rozmawiała o takich rzeczach. Rzadko ostatnio odwiedzała meczet, nigdy nie miała na to czasu. Jej rozmowy z Meltem urwały się wkrótce po śmierci Ethana. Była zbyt obrażona na Boga i nie była wcale pewna, czy jeszcze w niego wierzy, a przy braku jego obecności rozciągnęła to na wszystkich, którzy stawali po Jego stronie.

Jednak Battal Yavuz tylko się uśmiechnął i napił się *salep*.

- No dobrze, to wygląda na dość interesujące podejście - przyznał. - Jak pani imam zdołała pogodzić swój islamski feminizm ze wszystkimi tymi niewygodnymi bzdurami w Księdze i komentarzach?

Sevgi zmarszczyła czoło, przywołując swój zardzewiały turecki.

- No cóż, wie pan, to jest cykliczne. Biorąc pod uwagę, jak to wygląda w kontekście historycznym, męski cykl cywilizacji musiał być pierwszy, ponieważ poza męską siłą nie było innego sposobu na stworzenie cywilizacji. Aby powstały prawo, sztuka i nauka, najpierw trzeba mieć cywilizację



osiadłą w społecznościach rolniczych i klasę wolną od pracy, która może się zająć tymi rzeczami. Ale taki rodzaj społeczeństwa musiał być wymuszany, i to dość brutalnie, jeśli patrzeć na to ze współczesnej perspektywy.

- Zgadza się. - Yavuz kiwnął głową w stronę dwóch trzynastek w oknie restauracji. - Na początek trzeba było wyeliminować wszystkich tamtych gości.

\* \* \*

- To klientka. - Carl wziął do ręki widelec i poczęstował się kawałkiem bakłażana z tacy *mezes*. - Zjemy coś z tego?

Głębokie, ostateczne zaciągnięcie się papierosem, uniesiona brew. Névant zgniótł końcówkę.

- Teraz pracujesz na zlecenia?

- Zawsze tak było, Stéphane. ONZALG wydaje licencje, ale dzwonią do mnie, tylko gdy jestem im potrzebny. Przez resztę czasu muszę zarabiać na życie, jak wszyscy.

- A więc czego twoja klientka chce ode mnie?

- Szukamy pewnych powiązań z *familias andinas*. Próbują urządzić kanał przerzutowy marstechu w obozach przygotowawczych.

- Jest jakiś powód, dla którego miałbym ci w tym pomóc?

- Poza faktem, że to Manco Bambaren sprzedał mi ciebie trzy lata temu? Nie, nic nie przychodzi mi do głowy. Zawsze uważałem cię za jednego z tych wybaczających.

Névant wykrzywił usta w uśmiech.

- Jasne, *tayta* Manco mnie sprzedał. Ale to ty przyszedłeś odebrać towar.

- Winimy posłańca, co?

- Och, tak.

Carl poczęstował się kolejną porcją *mezes*.

- Naprawdę sądzisz, że niskiej klasy ojciec chrzestny z pretensjami do etniczności zdobędzie się na to, żeby dla ciebie postawić się ONZALG? Naprawdę tak desperacko chciałeś uwierzyć, że znalazłeś sobie kryjówkę, Stéphane? Manco nie bez powodu dotarł do poziomu *tayta* i nie wynikało to z jego dobroduszości.

- Co ty do diabła o tym wiesz, Marsjaninie? Z tego, co pamiętam, przez większość czasu na Bliskim Wschodzie zajmowałeś się pieprzonymi patrolami pacyfikacyjnymi.

- Wiesz, że...

- Wiesz, że w Azji Centralnej wciąż działają sojusze, które to ja

stworzyłem z niczego jeszcze w 87? Wiesz, ilu z tych marionetkowych prezydentów gadających w Al-Dżazirze to ja pomogłem ustanowić?

Carl wzruszył ramionami.

- To, że coś działa w Azji Centralnej, nie oznacza, że uda się w południowej Ameryce. To zupełnie inny kontynent, Stéphane.

- Jasne, i zupełnie inny cel. - Névant wytrząsnął z paczki nowego papierosa. Wsadził go w kąt ust, zapalił i uniósł brwi. - Chcesz jednego?

- Jem.

- Jak chcesz. - Nachylił się, dmuchnął dymem nad stołem i się uśmiechnął. - Widzisz, *familias* nie są takie jak ci pieprzeni watażkowie, nigdy nie były. Watażka chce tego samego, co każdy polityk cielaków - legalności, uznania i szacunku reszty stada. Całej kolumny cholernych limuzyn.

Carl kiwnął głową, żując. Wysłuchał praktycznie tego samego wykładu z ust Névanta trzy lata temu, czekając na załatwienie wszystkich papierów i zgodę na wywiezienie Francuza z Limy w kajdankach. Ale niech Névant gada. To była dla Carla najlepsza okazja na wyłapanie czegoś użytecznego.

- Zazwyczaj więc masz próżnię prawną i bandę dupków walczących o umieszczenie swojej twarzy na czele nowego porządku, który pozwoli im jechać w limuzynie na przedzie. Z *familias* to wygląda zupełnie inaczej. Na miejscu jest już struktura, na dodatek pełna zalegalizowanych drani, białasów *criollo* i przeszkolonych, symbolicznych *indigenas*, mających w kieszeniach parlament, wojsko, banki, ziemię i wszystko, co dobre, *familias* są wykluczone, mają tylko przestępstwa i dalekie echo rasowych żali. - Névant przyłożył dłoń do ucha. - A to echo cichnie. INKOL w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat wysłał na Marsa tylu mieszkańców Altiplano, wlał w region tyle pieniędzy, że *familias* po prostu nie są w stanie rekrutować tak jak kiedyś. Jedyne miejsca, w których mają jeszcze siłę, to getta w Republice. Nikt inny nie zawraca sobie głowy. Nikt już się ich nie boi.

- A ty zamierzałeś dostarczyć im straszaka.

Więcej kłębiącego się dymu. Névant przeciął go dłonią.

- Korzystaj ze swoich mocnych stron. Wszyscy boją się trzynastek.

- Tak, baliby się, gdyby ich nie pozamykano.

Francuz się wyszczerzył.

- Chciałbyś.

- Och, daj spokój. - Carl machnął widelcem. - Na zewnątrz nigdy nie ma ich więcej niż parę tuzinów.

- Nie o to chodzi, Marsjaninie. Zupełnie nie o to.

- Nie? W takim razie o co?

Névant zaczął się bawić sztuczkami po swojej stronie stołu, dotykając ich opuszkami palców prawej dłoni.

- Chodzi o to, że istniejemy. Doskonale pasujemy do wszystkich ich strachów. Desperacko szukali czarownic i potworów, od kiedy tylko wyeliminowali nas za pierwszym razem. Teraz wróciliśmy.

\* \* \*

- No dobrze, czyli męska siła i hierarchia wymuszają na rasie ludzkiej spójny porządek społeczny, eliminują najgorsze elementy i zapewniają stabilną podstawę - wszystko po to, żeby tysiące lat później mogły się rozwinąć żeńskie zasady, rządzące z odrobiną cywilizowanej przyzwoitości. Tak to widzi pani imam?

Sevgi przytaknęła.

- To również mniej więcej podejście Valipour. Oraz poprawne podejście sufistyczne, przynajmniej w zakresie prezentacji ciągłego objawienia.

- Z drugiej strony trochę to wyjaśnia gwałtowną reakcję, nieprawdaż? - Yavuz się uśmiechnął. - „Dzięki, panowie, odwaliliście swoją robotę w ramach ograniczeń płciowych, teraz nasza kolej”. No wie pani, trudno mi sobie wyobrazić, że *shahuda* nie zareagują.

- Cóż. - Wzruszyła ramionami. - Faktycznie, wzięli to do siebie.

- Tak, pamiętam te tłumy tutaj skandujące na ulicach, gdy byłem dzieckiem. - Nadał swojemu głosowi właściwą intonację. - „Mężczyźni mają władzę nad kobietami, bo Allah postawił ich przed nimi”. I tak dalej.

Sevgi prychnęła.

- Stare bzdury.

- Z tego, co pamiętam, te stare bzdury to Koran. Czy w Nowym Jorku Koran nie jest elementem islamu?

- Bardzo śmieszne. Czy kontekst historyczny nie stanowi tu elementu inteligentnej myśli ludzkiej?

Znów złośliwy uśmieszek. Zdawało się, że Yavuz się pozbył nagłego ataku męskiego poczucia winy.

- Tutaj, jasne. Ale nie trzeba jechać daleko na południowy wschód, żeby inteligentna myśl ludzka stała się czymś endemicznym. Prawdę mówiąc, z tego, co słyszałem, nie trzeba jechać zbyt daleko na południowy zachód od Nowego Jorku, żeby było tak samo.

Roześmiała się.

- Słuszna uwaga. Marsalis mówił mi, że pisał pan doktorat o takich rzeczach. Podobieństwo USA przed Secesją i Turcji, coś takiego?

- „Psychosocjalne paralele w nacjonalizmach tureckim i amerykańskim” - sztucznie nadętym tonem zacytował Yavuz. Skromnie machnął ręką, osłabiając efekt. - Oczywiście nic nigdy nie jest tak proste, ale faktycznie było sporo podobieństw. W obu wypadkach silne, zaczepne nacjonalizmy o bardzo płytkich korzeniach kulturalnych. Oba społeczeństwa konstytucyjnie świeckie z czającym się na progu urażonym fundamentalizmem. Oba z olbrzymią przepaścią kulturalną między społecznościami miast i wsi. Oba niechętnie podchodzące do Nowej Matematyki, oba próbujące powstrzymać ograniczenie męskości drakońskimi prawami antynarkotykowymi i pobożnymi życzeniami. Wie pani, ten kraj też mógł się rozpaść tak samo jak USA, gdybyśmy nie mieli za progiem Europejczyków naciskających na różne dźwignie od zewnątrz.

- Nie brzmi pan na szczególnie zadowolonego.

Turek westchnął.

- Tak, wiem. A pewnie powinienem. Z pewnością nie chciałbym, żeby po ulicach ganiała tu cholerna *shahuda*, kamieniując mi córki, jeśli wyjdą bez przyzwoitki albo odsłonią więcej ciała niż zapakowany trup. Ale z drugiej strony wcale nie jest mi dobrze ze świadomością, że cały kraj jest tylko nowym podwórkiem dla bandy podstarzałych, postimperialnych cyników.

- Teraz mówi pan prawie jak patriota.

- Nie ja. - Ponuro potrząsnął głową. - Carl powiedział pani, że zanim dostałem tę pracę, byłem nauczycielem w więzieniu?

- Wspomniał o tym.

- No cóż, w więziennictwie tureckim widuje się trochę nieprzyjemnych rzeczy. Spotkałem trochę za wielu torturowanych więźniów politycznych, by wciąż pozostawać tureckim patriotą. Moim zdaniem każdy, kto jest dumny ze swojego kraju, jest albo zbir, albo jeszcze nie przeczytał dość o historii.

- Podoba mi się to. - Sevgi uśmiechnęła się do swojej *salep*. - Czyli uważa pan, że USA mogły się utrzymać w całości tak samo jak Turcja. To znaczy, gdyby zastosować właściwe naciski z zewnątrz?

- Niekoniecznie. - Mówiąc to, Yavuz wyglądał dziwnie smutno. - No wie pani, tam dochodzi cały ten problem praw stanów, którego nigdy nie mieliśmy. Dwa stulecia żalów południowców i ścierania się kultur, ataki religijne, napięcia rasowe. To dość głębokie podziały. Do tego prawa antynarkotykowe oznaczały, że środki łagodzące nie miały szans uspokoić

sytuacji tak jak gdzie indziej.

Odstawił swój kubek z *salep* na blat, wyprostował się na stołku i wyciągnął w jego stronę otwarte dłonie, niby w jakiejś dziwacznej inwokacji.

- W każdym razie to akademicki problem, prawda? Bo przecież nigdy nie było zewnętrznych nacisków dostatecznie mocnych, żeby zmusić was do właściwego zachowania się. INKOL jako taki jeszcze wtedy nie istniał, ONZ wciąż była bezzębnym lwem próbującym znaleźć protezy, a Chińczyków to nie obchodziło. Lokalne korporacje zachowywały się jak bandyci, chciały po prostu tanich zasobów i siły roboczej najdłużej, jak się da. Lobby środowiskowe wrzeszczy, populację Azji na śmierć straszy gorączka Zhang. Przedsiębiorstwa Wybrzeża Pacyfiku nie chcą wojny, wkraczają i składają swoją propozycję, a wszyscy na Zachodnim Wybrzeżu natychmiast oddychają z ulgą. Los Angeles idzie pierwsze, badając teren, a potem, gdy to się sprawdza, ich śladem idzie całe wybrzeże.

Sevgi kiwnęła głową. Gdzieś w pudełku na dnie szafy wciąż miała replikę statutu Angeline Freeport. Murat przywiózł ją z konferencji medycznej na Zachodnim Wybrzeżu, gdy wciąż była w gimnazjum. Podobnie jak większość imigrantów w pierwszym pokoleniu, którym się powiodło, był gorącym patriotą nowej ojczyzny, nawet po tym, jak rozpadła mu się pod nogami chwila po opuszczeniu samolotu.

- Tak - potwierdziła ponuro. - I wszystko, co może zrobić pieprzone Zachodnie Wybrzeże...

Yavuz pokiwał głową jak nauczyciel.

- Dokładnie tak. Północnowschodnie stany skorzystały z precedensu i też się oderwały. A retorykę ze wszystkich stron spiętrzone tak bardzo, że nie dało się z tego wycofać. Typowy męski impas. Honor zachowany, wszyscy tracą. Podręcznikowy przypadek. Czytała pani kiedyś Marielę Groobgridge? „Ewolucja państw”?

Potrząsnęła głową.

- Powinna pani. Jest genialna. Uczyła na uniwersytecie w Teksasie do czasu, jak wyrzucili ją za podpisanie petycji przeciwko kreacjonizmowi. Teraz mieszka w Wiedniu. Zasadniczo argumentuje, że Secesja była przykładem państwa-narodu wymierającego, ponieważ nie był w stanie się dostosować. Ameryka nie potrafiła poradzić sobie z nowoczesnością, zginęła od wstrząsu i rozerwały ją organizmy bardziej zdolne do adaptacji. Choć mam wrażenie, że Groobgridge tak naprawdę tylko ślizga się po obrzeżach tego, co było prawdziwą przyczyną śmierci Ameryki.

- Czyli?

Yavuz wzruszył ramionami.

- Strachu.

\* \* \*

- To moc silniejsza od liczb. - Névant wciąż nie tknął *mezes*, ale obniżył poziom rakii o kilka palców. Prychnął. - Myślisz, że cielaki przejmują się faktami? Statystyką i badaniami? To coś głębszego, stary. To coś, czym ludzie żyją i oddychają. Naprawdę istnieją potwory, jest zło i ono czai się gdzieś w mroku. Uuuuu. Wiesz, zanim dotarłem do Peru, Manco rozpuszczał pogłoski, że pracują dla niego *pistacos*. Wyrównują rachunki za wojenkę, którą toczyli w 03.

Carl przytaknął. Na Marsie widział, jak *familias* próbują czegoś podobnego pośród gorzej wykształconych robotników Inicjatywy Wyżynnej. Jemu też kilka razy proponowano *pracę pistaco*, nie przejmując się brakiem bladej skóry.

- Pewnie próbuje wszystkiego, co zadziała.

- No cóż. Przez chwilę nawet się sprawdzało. - Névant prychnął ze zdegustowaniem i przełknął kolejną porcję rakii. - Manco był tak cholernie zadowolony z siebie, że nie dostrzegał, że wszystko zawali mu się na łeb, jak tylko jeden z jego fałszywych *pistacos* zostanie wyzwany i przegra. Powiedziałem mu: zgodnie z moim planem mógł mieć prawdziwego potwora. Prawdziwy potwór do szpiku DNA, straszący dla niego ludzi. Coś, co wystraszy każdego, nie tylko analfabetów. Pomyśl tylko, jaki miałyby to skutek, gdyby wieść się rozniosła: „Wejdź w *drogę familias*, a przyślą ci z wizytą pieprzoną trzynastkę”.

- Tylko przy założeniu, że wraz ze swoją przyszlą armią trzynastek mógłbyś sobie poradzić lepiej niż podróbki *tayta* Manco.

Névant popatrzył na niego.

- Dużo ostatnio przegrałeś walk ze zwykłymi ludźmi?

- Nie. Ale zgodnie z tym, co właśnie chciałeś mi powiedzieć, nie chodzi o fakt, że robię to dla ludzi. Może Manco nie potrzebował prawdziwego zagrożenia. A przynajmniej nie potrzebował go aż tak, żeby zbratać się z bandą pieprzonych świrów.

- Nie miał żadnego problemu z brataniem się z tą hibernacyjną cipą Jurgens - cierpko wtrącił Névant. - Zdumiewające, jak niestałe okazują się uprzedzenia, gdy w grę wchodzi niezła dupa.

- Greta Jurgens? - Carl wygrzebał z czasów poszukiwania Néwanta trzy

lata temu wspomnienie ospałej, szarookiej blondynki. Kierowała oficjalnym biurem Manco w Arequipie. - To hibernoid?

- Owszem. Czemu pytasz?

Carl wzruszył ramionami.

- Nic szczególnego. Po prostu przy tym, jak Manco odnosił się do problemu świrów, dziwię się, że tolerował kogoś tak wysoko w hierarchii po swojej stronie.

- Jak mówiłem, obejrzyj jej zadek. Zresztą, hej, z tego, co wiem, hibernoidy potrafią zrobić z fiutem takie rzeczy, o jakich zwykle kobiety nawet nie słyszały.

Carl napił się drinka, potrząsnął głową.

- To bonobo, zresztą nawet u nich większość to reklamowa przesada. W każdym razie jeśli Manco chce takich rozrywek, może odwiedzić Limę i wybrać sobie coś z burdelu. Daj spokój, to nie ma sensu.

- No cóż, może po prostu są świry i świry. - Névant wyduł wargi. - Niewielu ludzi boi się tych, których popisowym numerem jest zwinięcie się w kłębek i przespanie czterech miesięcy z rzędu. To jakoś nie zagraża męskości. To ludzie tacy jak my wywołują w nich chęć zamknięcia i wykastrowania.

Carl spojrzął na sztucce leżące na stole. Trochę smutno pokiwał głową.

- Ludzie tacy jak ty. Zamykają takich jak ty. Ja... cóż, mam licencję.

- Chciałeś powiedzieć, że jesteś udomowiony.

- Nazywaj to sobie jak chcesz. Nie da się cofnąć zegara o dwadzieścia tysięcy lat, Stéphane.

Na twarzy Névanta znowu pojawił się wilczy uśmiech.

- Nie da się?

\* \* \*

- Widzi pani - mówił Yavuz - kiedyś strach był siłą jednoczącą. W tamtych czasach dzięki ksenofobii można było uczynić kraj silnym. To stary model, twierdza państwa-miasta. Ale nie można żyć w twierdzy, gdy cały sposób życia uzależniony jest od międzynarodowych zależności i handlu. Gdy dojdzie do tego, tendencje ksenofobiczne stają się utrudnieniem, w terminologii Groombridge - cechą nieadaptacyjną. Cytuje...

Gdzieś na promenadzie pękła tafla szkła. Sevgi obróciła się na czas, by zobaczyć, jak okno restauracji wylatuje na zewnątrz, wybite przez dwa splecione ciała. Ktoś krzyknął.

- O kurwa.

Sięgnęła po pistolet, którego nie wolno jej było tutaj posiadać: palce zarejestrowały brak kolby, zanim to sobie przypomniała. Zerwała się ze stołka - przechylił się i poleciał na ziemię z głośnym trzaskiem - i pobiegła w stronę walczących. Yavuz był tuż obok, odbezpieczając służbowy pistolet...

Błada trzynastka przyciskała Marsalisa do ziemi. Jego uniesione ramię opadło, coś błysnęło w dłoni. Marsalis w jakiś sposób zdołał wykręcić się w bok, zrobił z nogami coś, co zaburzyło równowagę walki. Névant zachwiał się, potrząsając ręką, która musiała z zabójczą siłą uderzyć w beton, zapewne połamał sobie kości. Drugą ręką próbował utrzymać murzyna na ziemi, ale uchwyt nie działał. Marsalis stopniowo wysuwał się w bok, uwolnił rękę. Jego dłoń wystrzeliła, chwyciła, pociągnęła Francuza w dół. Zgiął się w pasie i mocno uderzył Névanta czołem w twarz. Od dźwięku uderzenia Sevgi zaswędziały zęby.

Dobiegli.

- Dość tego, sukinsynu. - Yavuz, po angielsku. Głos chrapliwy z szoku, pistolet przystawiony do ucha Névanta. - Koniec zabawy.

Névant zachwiał się, przyłożył rękę do twarzy, spod palców kapłała krew z nosa, który musiał zostać złamany. Kaszel i bulgot, ale zza tego wszystkiego śmiech. Marsalis stęknął i wysunął się spod niego, zgiął nogę i pchnął Francuza w bok kolanem. Wciąż trzymający się za twarz Névant prawie się wywrócił. Nie przestawał chichotać. Do twarzy przyciskał dłoń złamaną na betonie.

- Chyba jednak... - Chrapliwie wciągnął powietrze. - Sam będę musiał sobie kupować papierosy.

- Tak, na to wygląda. - Marsalis podniósł się z ziemi jednym gładkim ruchem. Sprawdził, czy nie jest pocięty szkłem.

- Ostrzegalem cię.

- Tak, i fatalnie ci poszło ukrycie tego noża. - Murzyn mówił nieobecny tonem. Obrócił prawą dłoń i zmarszczył brwi, a Sevgi zobaczyła na niej strużki krwi. Marsalis uniósł dłoń do oczu, przekręcił nadgarstkiem na zewnątrz i odciągnął rękaw. Skrzywił się. Na zewnętrznym brzegu ręki znajdowało się długie rozcięcie z wciąż tkwiącym w nim kawałkiem szkła.

- Zostań tu, gnoju - Yavuz mówił niepewnym tonem do Névanta. Lufa pistoletu unosiła się tuż obok czoła bladej trzynastki. - Siedź tu i ani mi się rusz.

Wolną ręką sięgnął do kieszeni bluzy, wyciągnął telefon i wcisnął numer szybkiego wybierania. Po drugiej stronie dziury po wybitym oknie ludzie



stali i gapili się na wywrócone krzesła i stół. Pośród nich niepewnie kręcili się kelnerzy. Nagle z górnej framugi okna oderwał się duży, trójkątny kawał szyby i rozbił się nieciekawie o ziemię na trzy kawałki.

Na końcu najcieńszego kawałka, jakby wskazany przez szklaną strzałkę, Sevgi dostrzegła błysk stołowego noża upuszczonego przez Névanta. Dotarło do niej znaczenie słów wymienionych przez dwie trzynastki. Popatrzyła na Marsalisa.

- Ty... Wiedziałaś, że on to zrobi?

Murzyn chwycił odłamek szkła dwoma palcami i pociągnął go powoli, aż całkiem wysunął się z rany. Przez chwilę oglądał go z zaciekawieniem, potem puścił.

- Cóż. - Napiął ranną rękę i znów się skrzywił. - Istniało ryzyko, że będzie chciał do tego podejść genetycznie.

- Przecież powiedziałaś nam, że jesteście kumplami.

Chrapliwy rechot Névanta, siedzącego teraz z plecami opartymi o sąsiednią, nieuszkodzoną taflę szkła. Marsalis bezbarwnie popatrzył na Sevgi.

- Z tego, co pamiętam, powiedziałem, że się dogadujemy.

Do Sevgi dotarło łomotanie w jej klatce piersiowej i skroniach. Odetchnęła głęboko. Wskazała ręką na zniszczenia.

- I ty to nazywasz dogadywaniem się?

Marsalis wzruszył ramionami.

- Cóż mogę powiedzieć? Tak nas zrobiono.

Znów rozległ się bulgoczący śmiech Névanta.

## ROZDZIAŁ 27

Jego ręka domagała się kleju, a w ranie wciąż pozostały drobne odłamki szkła. Siedział w placówce medycznej ONZ w Fenerbahce i czekał cierpliwie, aż pielęgniarka skończy oczyszczać ranę. Blask sufitowego oświetlenia i - chyba obszedłby się bez tego - ekran w rogu, pokazujący powiększenie przeszukiwanej rany. Utkwił wzrok w innym punkcie pokoju.

Ertekin chciała go zabrać do placówki INKOL po europejskiej stronie, ale nie mogła wygrać z bliskością szpitala ONZ. Dotarcie do niego taksówką zajęło niecałe pięć minut - zakrwawiona promenada i gapie ustąpiły miejsca cichym ulicom strefy mieszkalnej Fenerbahce i lampom na froncie skromnie ozdobionej nanobudowli szpitala. Ertekin poszła teraz z Battalem Yavuzem i Névantem korytarzem do gabinetu, w którym zajęto się obrażeniami Francuza. Przypuszczał, że chciała usłyszeć jego wersję wydarzeń. Oceniał także, że wciąż była trochę oziębiała po ich walce i właściwie trudno było jej się dziwić. Obciążenie starcia z Névantem wciąż krążyło w jego krwi, bardziej niż to po sobie pokazywał.

Otworzyły się drzwi i wszedł przez nie ziewający Turek w garniturze. Siwawe włosy i podobny, krótko przycięty wąs, nieogolone policzki. Garnitur był z tych droższych, towarzyszył mu starannie zawiązany jedwabny krawat. Tylko przekrwione od snu oczy i ziewnięcie sugerowały, że mężczyzna został obudzony. Senne spojrzenie skupiło się na chwilę na Carlu, potem nowo przybyły wyszeptał coś do pielęgniarki, która natychmiast odłożyła narzędzia z mikrokamerą i wyszła. Drzwi cicho się za nią zamknęły. Carl uniósł brew.

- Będę musiał za to zapłacić?

Turek uśmiechnął się lekko.

- Bardzo śmieszne, panie Marsalis. Oczywiście jako licencjonowany pracownik ONZALG ma pan u nas ubezpieczenie medyczne. Nie dlatego tu przyszedłem.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę.

- Jestem Mehmet Tuzcu, przedstawiciel ONZALG do spraw specjalnych. Carl uściśnął zaoferowaną rękę, uważając na ranę. Nie wstał.

- I co mogę dla pana zrobić, Mehmet bej?

- Pańska eskorta z Inicjatywy Kolonizacyjnej znajduje się na drugim

piętrze. - Tuzcu błysnął oczami w stronę sufitu. - Na ulicy za budynkiem czeka na pana transport. Szpital opuścimy windą, nikt nas nie zobaczy. Za pół godziny może pan siedzieć w promie suborbitalnym do Londynu, ale... - zerknięcie na ciężki, stalowy zegarek - musimy się pospieszyć.

- Pan mnie ratuje?

- Jeśli pan chce. - Znów cierpliwy uśmiech. - Spodziewają się pana w Nowym Jorku, ale rozwój wydarzeń trochę nas zaskoczył. No dobrze, naprawdę musimy...

- Ja... - Carl wskazał na swoją prawie naprawioną dłoń. - Tak naprawdę nie potrzebuję ratunku. INKOL nie trzyma mnie pod przymusem.

Uśmiech zbladł.

- Mimo wszystko bierze pan udział w nieautoryzowanej operacji poszukiwawczej. Zatrudniając pana w tym charakterze, INKOL łamie Porozumienia Monachijskie.

- Wspomnę im o tym.

Tuzcu zmarszczył brwi.

- Odmawia pan udania się ze mną?

- Tak.

- Mogę zapytać o powód?

*Dobre pytanie, miał ochotę odpowiedzieć. Sam je sobie zadaję, ale jeszcze nie znalazłem dobrej odpowiedzi.*

- Zna pan Gianfranco di Palmę?

Tuzcu patrzył czujnie.

- Tak. Spotykałem signora di Palmę.

- Śliski gnojek, prawda?

- Co właściwie chciał pan powiedzieć?

- Pytał mnie pan o powód. Proszę powiedzieć di Palmie, że tak to wygląda, gdy puszcza się licencjonowanych pracowników bez żadnej nagrody i z trzymiesięcznym opóźnieniem zwrotu kosztów. Zaczynają mieć problemy z lojalnością.

Przedstawiciel ONZALG zawahał się. Spojrzał w stronę drzwi. Carl wstał.

- Nie róbmy niczego na siłę - powiedział swobodnie.

\* \* \*

Sevgi znalazła go później siedzącego w poczekalni na parterze, oglądającego na ściennym ekranie jakiś niskiej klasy program muzyczny. Wyposażona w mikrofon farbowana blondynka chodziła po scenie w stroju

nieznacznie obfitym od wstążek, przybierając pozy i wykonując ruchy stworzone z myślą o jak największym odsłanianiu opalonego ciała. Jej śladem po scenie rozbijała się męsko-damska grupa taneczna, równie rozebrana. Piosenka ciągnęła się przy wsparciu niewidocznych instrumentów.

- Podoba ci się? - zapytała.

- I tak lepsze od tego, co oglądałem wcześniej. - Zerknął w głąb korytarza. - Co zrobiliście z Névantem?

- Już schodzi na dół.

- Jasne. - Spojrzenie Marsalisa wróciło na ekran. - Muszę wam to przyznać, to potraficie naprawdę dobrze.

- Wam?

- Ludziom. Popatrz na to. - Machnął zabandażowaną ręką w stronę barwnych obrazów. - Idealne zgranie kroku. Umysł zbiorowy. Nic dziwnego, że jesteście tak dobrymi żołnierzami.

- W twoich ustach brzmi to nieco ironicznie - rzuciła kąśliwie. - Komplementy ze strony najwyższej klasy genetycznego wojownika.

Uśmiechnął się.

- Ertekin, nie wierz we wszystko, co mówią w wiadomościach.

Zadzwoiły drzwi windy i wyszedł z niej Battal Yavuz, prowadząc Névanta. Błada trzynastka miała obandażowaną twarz i rękę. Mimo to wydawał się być w dobrym nastroju.

- Do następnego razu - rzucił do Marsalisa. Uniósł uszkodzoną rękę. - Może jak to mi się wygoi.

- Jasne. Wiesz, gdzie mieszkam. Odwiedź mnie, jak tylko wyjdiesz.

Yavuz wyglądał na zawstydzonego.

- Przepraszam, Carl. Gdybym wiedział, że zamierza...

- Daj spokój. Nic się nie stało. - Carl wstał i klepnął Turka w ramię. - Dzięki za odwiedzinę. Dobrze było znów cię zobaczyć.

Sevgi zawahała się, kątem oka obserwując Névanta.

- Chce pan, żebym pojechała z nim na lotnisko? - zapytała Yavuz.

Potrząsnął głową.

- Nie ma potrzeby.

- Ale jeśli...

- Stéphane, pokaż jej kostkę. - Marsalis wyszczerzył zęby.

Jakby dzielili się jakimś żartem, Francuz podciągnął lewą nogawkę spodni. Dolna część goleni owinięta była czarnym, porowatym pierścieniem. Nie był dużo większy od męskiego zegarka, ale na jednym z brzegów

nieustannie migła zielona kontrolka. Tak naprawdę nie powinna być zaskoczona, ale i tak na chwilę wstrzymała oddech.

- Opaska wycieczkowa - wyjaśnił Yavuz. - Nikt bez niej nie opuszcza obozu. Stéphane nie będzie mi sprawiał żadnych kłopotów.

- A jeśli ją ściągnie? Albo znajdzie sposób na przecięcie?

- Jest zabezpieczona przed grzebaniem - dziwnie spokojnie odpowiedział Névant. - Coś jak pułapki na wilki. Aktywuje się w przypadku prób modyfikacji. Wie pani, co się wtedy dzieje?

Wiedziała. Wilcze kajdanki miały długą i nieprzyjemną historię, w jej przypadku z konotacjami osobistymi. Wiadomości o okaleczonych islamskich więźniach wojennych w rękach Amerykanów utwierdziły jej ojca w wyborze celu emigracji - w ciągu ostatnich kilku tygodni przed wyjazdem ze Stambułu jego poczta pełna była fatalnie napisanych pogróżek. Kanały telewizyjne pełne były kontrowersji, tani i brutalny jad przesłaniający osobiste zmagania Murata z kulturą i sumieniem - zachodni eksperci gniewnie odpierali zarzuty o zbrodnie wojenne, ujawniając szczegóły zmodyfikowanego wykorzystania kajdanek do kar szariatu w wielu nowo powstałych republikach islamskich, co na chwilę zatkało wszystkim usta, po czym zaczęło brzmieć coraz bardziej pusto, gdy stało się jasne, kto sprzedaje islamskim purystom ich morderczą technologię. Murat, czując gorzki smak hipokryzji w każdym owocu, którego spróbował, i tak opuścił Turcję i nigdy nie oglądał się wstecz.

Jednak później, jakby stanowiły swego rodzaju rodzinną klątwę, Sevgi sama natknęła się na wilcze kajdanki.

- Stéphane, ona jest gliniarzem. - rzekł Marsalis, za jej ramieniem, wypełniając nagłą ciszę. - Przypuszczam, że zna ten sprzęt.

Była gliną, owszem, ale niecałe dwa lata, gdy zapoznała się ze sprzętem. Wydział Wewnętrzny spadł na 108 jak bomba, oskarżając grupę znanych jej detektywów o używanie kajdanek wobec podejrzanych w celu wymuszenia zeznań - choć kto, do cholery, mógł się naprawdę w tym połapać? Podczas przesłuchania naciskano trochę za mocno. Młoda Sevgi Ertekin została w to wciągnięta przez powiązanie z kolegami, szybko ją oczyszczono, ale i tak musiała stać o świcie na polu gdzieś w okolicach Nowego Jorku, przyglądając się mgłę rozwiewającej się nad ziemią i słuchając precyzyjnych odgłosów maszyny kopiącej rów, aż w końcu zadławiła się, gdy robot wydobył łagodnie trzy dziewięcioletnie trupy z oderwanymi przez kajdanki dłońmi.

Witamy w nowojorskiej policji.

Niewielkie pocieszenie - *popatrz na to w ten sposób, Sev*, powiedział jej jakiś niezaangażowany oficer - że kajdanki, których używanie w Unii było od dawna nielegalne, trafiły na 108 posterunek z Jezusowa przez szwagra jednego z detektywów, starszego oficera w prywatnej policji w Alabamie, ponieważ pomimo trzech umów międzynarodowych i formalnego wyroku federalnego respektowanego wszędzie poza Alabamą, w Republice wciąż powszechnie używano kajdanek.

*Popatrz na to w ten sposób, Sev.*

Wydział wewnętrzny wycofał się na tyle szybko, że oficer Ertekin nie została uznana za współpracującą z nimi, a dzięki przykładowemu zrównoważeniu między lojalnością do kolegów a poczuciem obowiązku została zauważona przez przełożonych, którzy później ułatwili jej wejście do śródmiejskiego wydziału zabójstw.

*Popatrz na to w ten sposób, Sev.*

Za trupami na polu nikt nie będzie tęsknił - wszyscy mieli wyroki za transgraniczny handel żywym towarem, kuszenie młodych kobiet obietnicami intratnej pracy w rozrywce, a potem zmuszanie ich przemocą i gwałtem do prostytucji, zapewniając rozrywkę niezamożnym mężczyznom Nowego Jorku.

Zgodnie z radą szukała pociechy w drobiazgach. Przez całą tamtą wiosnę patrzyła na to w ten właśnie sposób, ale w sumie i tak wszystko sprowadzało się do smrodu rozkładających się ciał we wczesnoporannej mgle. Tamtego dnia coś się w niej zmieniło - zobaczyła zrozumienie w oczach Murata, gdy wróciła wtedy do domu. Tego dnia przestał przekonywać ją, że istnieją lepsze możliwości kariery niż praca w policji - może zrozumiał wtedy, że jeśli nie zrezygnowała tego dnia, to nigdy już tego nie zrobi.

Névant opuścił nogawkę na obręcz, a ona z mrugnięciem wróciła do rzeczywistości chwili obecnej. W poczekalni zapadła cisza.

- Myślałam, że w Europie są nielegalne - odezwała się, by ją przerwać.

- Na ludziach - zgodził się Névant, rzucając spojrzenie Marsalisowi. - Niestety, przy trzynastkach nie można przesadzić z ostrożnością. Nieprawdaż, Marsjaninie?

Murzyn wzruszył ramionami.

- Powiedziałbym, że to zależy od ich inteligencji.

Przyglądał się, jak Yavuz zabiera Francuza na zewnątrz i bez słowa usadza go w kropki ONZ. Nie ruszył się. Jego twarz mogłaby być

wyrzeźbiona z antracytu. Dopiero gdy pojazd odjechał w dal, zerknął na ekran z tańczącą grupą i coś stało się z liniami wokół jego oczu. Sevgi uznała to za zdegustowanie, ale nie potrafiłaby powiedzieć na kogo lub na co, zresztą nie wiedziała, czy potrafiłby to określić sam Marsalis.

\* \* \*

Wrócili więc do apartamentu i był w tym jakiś narastający potencjał, poczucie, że zostawili tam coś, co trzeba było zabrać. Poszli pieszo, bo na zewnątrz nie było właściwie zimno ani szczególnie późno i chyba oboje potrzebowali czasu i widoku nieba. Zgubili się, ale żadne się tym nie przejęło i zamiast skorzystać z holowskażnika na karcie kodowej, poszli w stronę nadbrzeża i wzdłuż niego, tak blisko, jak było to możliwe, aż znaleźli się na drugim końcu Moda Caddesi i wrócili do budynku będącego własnością INKOL. Na chłodnym powietrzu Carla swędziała rana wokół miejsca sklejenia.

W którymś momencie Ertekin zadała mu oczywiste pytanie.

- Kiedy się zorientowałeś, że zamierza cię zaatakować?

Wzruszył ramionami.

- Gdy mi to powiedział. Kilka minut po tym, jak zostawiliście nas samych.

- I nie przejąłeś się tym na tyle, żeby ściągnąć nas z powrotem?

- Gdybym to zrobił, zaatakowałby natychmiast. Niczego mi nie mówiąc.

Przez chwilę szli w milczeniu. Piętrzyły się nad nimi budynki mieszkalne Fenerbahce z balkonami obrosniętymi roślinnością, z której część wciąż kapłała po niedawnym podlewaniu. Na jednej z pustych ścian namalowano olbrzymi portret Atatürka, bystrookiego, z gładkim czołem i władczego, z głową otoczoną aureolą proklamacji, którą widział dostatecznie wiele razy, by nie musiał czytać: „Ne Mutlu Turcum Diyene”, czyli „Jaka to radość powiedzieć, że jestem Turkiem”. Ktoś używając gekonowych rękawiczek wspiął się na górę i domalował postaci dymek z czarnym tekstem po turecku.

- Co tam jest napisane? - zapytał ją.

Przez chwilę zastanawiała się nad tłumaczeniem.

- Hmm... „Męski typ łysienia - to problem większy niż myślisz”.

Popatrzył na wysokie czoło bohatera narodowego i zachichotał.

- Niezłe. Spodziewałem się czegoś islamistycznego.

Potrząsnęła głową.

- Fundamentalisci raczej nie miewają poczucia humoru. Po prostu by go zamazali.

- A ty?

- To nie mój kraj - odparła twardo.

Staruszek palący fajkę na balkonie drugiego piętra wychylał się, obserwując ulicę. Przechodząc dołem, Carl spojrzął mu w oczy, a tamten uklonił się w niewymuszonym powitaniu. Jasne było jednak, że patrzy głównie na idącą obok kobietę. Carl zerknął w bok, zauważył linię nosa i szczęki Ertekin, włosy w nieładzie. Spojrzenie zjechało w dół do zachęcających wzgórków piersi, rozpychających na boki brzegi noszonego przez nią żakietu.

- Dowiedziałeś się czegoś przydatnego od Névanta? - Nie był pewien, czy zauważyła jego wzrok, ale w jej głosie zabrzmiał pośpiech. Wrócił do przyglądania się chodnikowi przed sobą.

- Nie jestem pewien - odpowiedział ostrożnie. - Myślę, że musimy porozmawiać z Manco Bambarenem.

- W Peru?

- Cóż, jakoś nie wyobrażam sobie, żeby chętnie przyjął zaproszenie do Nowego Jorku. Czyli tak, będziemy musieli tam polecieć. Pomijając wszystko inne, to trochę ułatwi rozmowę. To jego podwórko.

- Twoje też, prawda? - Miał wrażenie, że się uśmiechnęła. - Planujesz mi zniknąć na Altiplano?

- Ertekin, gdybym planował zniknąć, zrobiłbym to już chwilę temu.

- Wiem, żartowałam.

- Ach.

Dotarli do końca przecznicy i równocześnie skręcili w lewo, by uniknąć ślepego zaułka. Nie był pewien, czy to ona poszła za jego przykładem, czy odwrotnie. Sto metrów dalej ulica kończyła się stromizną z brudnymi, wiecznobetonowymi schodami i tabliczką wskazującą na ulicę Moda. Wspięli się na nie w ciszy przy akompaniamencie przyspieszonych oddechów.

- Ta obręcz - odezwała się, gdy dotarli na górę i musiała się zatrzymać, żeby odzyskać oddech. - Wiedziałeś, że Névant jama.

- Właściwie o tym nie myślałem. - Zastanowił się. - Tak, chyba wiedziałem, że będzie ją miał. To standardowa procedura w obozach.

- Nie powstrzymała go przed próbą zabicia ciebie.

- Cóż, te rzeczy reagują dość powoli. Pewnie potrzebowałyby koło dwudziestu minut na całkowite odcięcie mu stopy. Jasne, mogłem go za nią złapać w walce i spróbować uaktywnić, ale podczas gdy traciłbym na to siły,



drogi Stéphane wbiłby mi nóż w kręgosłup. - Urwał, odtwarzając sobie walkę. - Albo w oko.

- Nie o to mi chodziło. - W sposobie, w jaki go zaatakowała, czaiła się biała gorączka, ale ton jej głosu sprawił, że coś obudziło się w jego lędźwiach i poczuł, jak nabrzmiwa mu penis.

- W takim razie o co?

- On wiedział, że ryzykuje utratą stopy, nie wspominając o wykrwawieniu się na śmierć przy próbie ucieczki. A mimo to próbował cię zabić.

Miał już na końcu języka pytanie: *jesteś pewna, że twój facet był trzynastką taką prawdziwą?* Stłumił to i szedł dalej. Wzdłuż tego końca Mody z kwadratowych bloków wyciętych w chodniku w równych odstępach wyrastały skromne, zmodyfikowane genetycznie topole. Ich gałęzie przecinały padające z góry światło latarni, rysując pod stopami miękką mozaikę światła i mroku.

- Słuchaj - spróbował. - Po pierwsze, Stéphane Névant nie planował nigdzie uciekać. Przyszedł mnie zabić, to wszystko. My, wojownicy genetyczni, jesteśmy dość skupieni na takich rzeczach. Gdyby zdołał mnie załatwić, stałby potem cichutko jak gospodyni domowa z Jezusowa, czekając, aż razem z Battalem go skujecie, i wróciłby do obozu jako szczęśliwy człowiek.

- Ale to jest cholernie głupie! - wybuchła.

- Doprawdy? - Tym razem zatrzymał się na chodniku i obrócił się w jej stronę. Czuł, jak traci nad sobą panowanie, czuł, jak sączy się to w jego głos, ale nie potrafił stwierdzić, na ile była to złość, a na ile widok Sevgi stojącej w płaszczu świateł i cieni, ze splątanymi włosami i szerokimi, ruchliwymi ustami, wypukłością piersi pod ciemnym swetrem, krzywizną bioder i długimi nogami w tkaninie dżinsu pomimo płaskich butów, które do nich nosiła. - To ja wsadziłem Néwanta do obozu. On był na zewnątrz, a ja go sprowadziłem do miejsca, gdzie nigdy nie będzie miał dzieci ani nawet seksu z nikim poza płatnymi obozowymi dziwkami albo pracowniczką ONZALG szukającą emocji. Zna miejsce swojej śmierci z dokładnością do kilku tysięcy kilometrów kwadratowych. Pomyśl o tym, a potem zadaj sobie pytanie, czy nie warto zapłacić utratą stopy - za którą zresztą w ramach warunków internowania i tak dostanie protezę - zadaj sobie pytanie, czy nie warto zapłacić tyle za dorwanie faceta, który go tam zamknął.

- Warto za to umrzeć?

- Zapominasz, w Europie nie ma kary śmierci, nawet dla trzynastek.
- Chodziło mi o to, że mogłeś go zabić.

Carl wzruszył ramionami.

- Mogłem. Zapominasz też, że Névant był żołnierzem. „Zabij lub giń” dość dobrze oddaje naturę tej pracy.

Spojrzała mu w oczy.

- Zabiłbyś go? Gdybyśmy nie dotarli tam pierwsi?

Patrzył na nią przez chwilę, potem błyskawicznie, jak w walce, zrobił krok w jej stronę i objął ją ręką w talii. Przesunęła nogę na chodniku, pochyliła się do tyłu i uniosła jedną z długopalcych dłoni. Przez ułamek sekundy sądził, że go uderzy, potem jej palce zacisnęły się na kołnierzu jego kurtki i przyciągnęły twarz. Wgryzła się w jego usta, wbiła w nie język smakujący kawą. Wydobyła z siebie głęboki, cichy dźwięk, gdy jego wolna dłoń objęła jej pierś, i wciągnęła go w cień wejścia do bloku.

To było jak siatka, fala wzbierająca w mięśniach i krwi. Rozrywał jej ubranie, rozpiął jej dzinsy i zsunął do jej kolan, wsunął dłoń wewnątrz skrawka bawełny, który nosiła pod nimi. Pod dotykiem jęknęła, już wilgotna. Drugą ręką podciągnął jej sweter, odsłonił wzgórki piersi i palcami oderwał jedną z miseczek profilujących. Pierś opadła w jego dłoń. Zanurzył twarz w jej ciało, jakby pił wodę z dłoni. Jego usta wessały sutek, wciągając go do podniebienia. W ciasnej pułapce bawełnianych fig i ud jego palce rozsunęły wilgoć. Zadygotała, sięgnęła niezdarnie do nabrzmiałej wypukłości jego spodni, w końcu obiema rękami złapała klamrę i je rozpięła. Wypadł na zewnątrz, na chłodnym powietrzu zeszywniał do pełnej erekcji. Roześmiała się, krótko i gardłowo, czując długość jego penisa, przeciągnęła otwartą dłonią wzdłuż jego spodniej strony.

Cztery miesiące w więzieniu na Florydzie bez żadnego kontaktu z kobietami. Poczul, jak zsuwa się po ostrej pochyłości, wysiłkiem woli oderwał usta od jej piersi, zostawił palce drugiej dłoni na miejscu i spróbował ściągnąć jej buta. Zrozumiała, co próbuje zrobić, znów się roześmiała i niecierpliwie poruszyła nogą w górę i w dół, ustawiając stopę tak, by ułatwić ściągnięcie. Nie udało się - but został, za to on dostał kolanem w twarz. Stęknął i potrząsnął głową.

- O, cholera, przepraszam. - Znieruchomiała, nachyliła się do niego. Jego wilgotne palce wysunęły się. - Słuchaj, stój, poczekaj.

Wykręciła się ruchem prawie jak z judo, pchnęła go i oparła o ścianę zamiast siebie. Ściągnęła zakiet, złożyła go wpół, rzuciła pod jego nogi i

ukłęknęła na nim. Posłała mu szeroki uśmiech, błyskając zębami, po czym pochyliła głowę nad jego penisem i zaczęła ssać. Jej zgięte palce poruszały się w górę i w dół prącia. Usta pracowały. Wbił dłonie w ścianę po bokach z zakrzywionymi palcami, jakby chciał rozdrapać paznokciami wiecznobeton. Pomyślał, że to już to, chciał popłynąć, ale coś w nim zaprotestowało, nie chciało odpuścić. Orgazm przygasł, odjechał, tuż poza zasięgiem.

Poczuła zmianę, wydała przytłumiony, pytający dźwięk i z energią zabrała się do pracy ustami i dłońmi. Poczł, że znów się wspina po krzywej, ale wiedział, że nic z tego nie będzie. Rozluźnił dłonie, spuścił je wzdłuż boków. Zapatrzył się w cienie.

- Hej - odezwała się cicho.

- Słuchaj, ja...

- Nie, popatrz. - Nagłe polecenie w jej głosie ściągnęło jego wzrok w dół. Uśmiechnęła się do niego. Lewą ręką zebrała odsłonięte piersi, drugą dłonią chwyciła mocno jego penisa i zaczęła przesuwac go w szczelinie między piersiami. Poczł jak coś skacze gwałtownie w jego piersi. Znów się uśmiechnęła, pochyliła głowę i wypuściła z ust ślinę na żołądz, wciąż mocno trzymając prącie, znów wepchnęła zwilżone ciało między piersi i przesunęła, w górę i w dół, w górę i w dół, przez dobre dwadzieścia sekund, których potrzebował, by poczuć szalejący ogień, tym razem niepowstrzymany...

I strzelający.

Wydał z siebie dźwięk jak tonący po wciągnięciu z powrotem na pokład, jak dźwięk, który wydobył z siebie w dniu, gdy pierwszy raz wywołał go statek lecący na ratunek „Felipe Souzie”, i opadł na ścianę, a potem zjechał po niej jak postrzelony. Poczł, jak jej palce puszczają, czuł, jak poprawia swoje ubranie, i wyciągnął rękę.

- Czekaj.

- Musimy iść, tu...

- Ty nigdzie nie idziesz - powiedział niepewnie. - Wstań.

Znów pchnął ją na ścianę, tam gdzie stała wcześniej, i tym razem to on ukłęknał, włożył dłonie między jej długie uda, by je rozsunąć, zdecydowanie przesunął w bok kawałek bawełnianej koronki i zatopił w niej język na całą głębokość.

\* \* \*

W apartamencie zrobił to znowu, tym razem na łóżku, na którym rano widział ją śpiącą. Przysunął się blisko, by wdychać jej zapach, jedną ręką unosząc poduszkę jej pośladków w górę, tak że jej wargi sromowe dotykały

jego ust niczym w jakimś nietrafionym pocałunku, palcami drugiej wchodząc w nią głęboko, a całą szerokością języka pieszcząc elastyczną wypukłość jej łechtaczki. Czuł narastający w sobie drapieżny dreszcz, głębokie pragnienie, tylko częściowo osłabione, gdy szarpnęła się i rozciągnęła na łóżku, zaciskając ręce i uda na jego głowie, jakby chciała siłą wepchnąć go w głąb siebie.

Zadygotała, dysząc, z twarzą obróconą w bok i zamkniętymi oczami, nieobecna, a Carl zebrał ją pod sobą i wsunął się w nią na całą długość znów wezbranej sztywności. Gwałtownie otworzyła oczy i wydobyła z siebie ciche „och”, tylko tę jedną sylabę, delikatnie, z zachwytem, ze świeżym głodem czającym się na jej obrzeżach.

A potem było jak te twarde, wiecznobetonowe schody, które pokonali w drodze na Modę, ciężki, pełen wysiłku oddech i ani słowa po drodze, równa, wspólna wspinaczka na szczyt.

## ROZDZIAŁ 28

- Co takiego zrobił?

Norton patrzył na nią z ekranu z walczącymi o panowanie na twarzy złością i niedowierzaniem.

- Walczył z Névantem - cierpliwie powtórzyła Sevgi. - Tom, uspokój się, to już się stało. Nikt nie mógł niczego zrobić.

- Owszem, mógł. Mogłaś nie zgodzić się na spełnianie jego życzeń.

- Nie pozwolić na spełnianie życzeń? - Poczula, że lekko się czerwieni na szyi. Wszystkie miejsca, które Marsalis wczoraj lekko nadgryzał, znów były gorące. - Co to niby ma znaczyć?

- To znaczy, że Marsalis decyduje się nagle lecieć na drugą stronę planety, a ty mu na to pozwalasz. Nasz przyjaciel kanibal zabija ludzi w Ameryce, nie w Europie. Pewnie nie przyszło ci do głowy, że Marsalis szuka po prostu sposobu na powrót do domu bez wypełniania kontraktu.

- Owszem, przyszło mi to do głowy, Tom. Prawdę mówiąc, już dość dawno, gdy chciałeś zostawić go niepilnowanego na noc w hotelu.

Chwila ciszy.

- O ile pamiętam, chciałem go zabrać do swojego domu.

- Wszystko jedno, Tom. Rzecz w tym, że najęliśmy Marsalisa do wykonania pracy. Jeśli nie będziemy wierzyć, że to robi, to po co zawracaliśmy sobie głowę wyciąganiem go?

Norton otworzył usta, potem ewidentnie się opanował i je zamknął. Kiwnął głową.

- No dobra. W takim razie skoro już pobił Névanta, co nasz ekspert chce teraz zrobić?

- Mówi o Peru.

- Peru?

- Tak, Peru. *familias andinas*, pamiętasz? Od Névanta wyciągnął trop prowadzący z powrotem na Altiplano, więc musimy tam pojechać.

- Jasne. - Odchrząknął. - Czyli myślisz, Sevgi, że będziemy prowadzić jakieś śledztwo w tych wszystkich miejscach, gdzie doszło do zbrodni? Wiesz, nigdy nie byłem gliną, ale...

- Pieprz się, Tom. - Nachyliła się do ekranu. - Co z tobą? Mamy dwudzieste drugie stulecie. No wiesz, transport globalny? Zintegrowana

domena ludzka? Możemy być w Limie w czterdzieści pięć minut. W Cuzco najdalej kilka godzin później. I z powrotem w Nowym Jorku przed końcem dnia.

- Tutaj już jest koniec dnia - kwaśno wtrącił Norton. - Minęła już północ.

- Hej, to ty zadzwoniłeś.

- Tak, bo niepokoił mnie brak kontaktu z twojej strony, Sev. Przez dwa dni nie odezwałaś się ani słowem.

- Półtora dnia. - Odpowiedź poszła automatycznie, ale tak naprawdę nie była pewna, kto miał rację. Trochę straciła poczucie czasu. Miała wrażenie, jakby Bosfor przepłynęła kilka tygodni temu, Nowy Jork i Floryda musiały być przed miesiącami.

Norton też nie wyglądał, jakby chciał się spierać. Zerknął na zegarek, wzruszył ramionami.

- Nie zmienia to faktu. Jeśli dłużej cię nie będzie, Nicholson i Roth zaczną się czepiać.

Uśmiechnęła się.

- A więc o to się tak wkurzasz. Tom, daj spokój. Poradzisz sobie z nimi. Widziałam konferencję prasową. Zgrałeś Mereditha i Hanitty jak parę kretynów.

- Meredith i Hannity to właśnie jest para kretynów, Sev. W tym rzecz. Cokolwiek powiesz o Nicholsonie, nie jest głupi i jest naszym szefem; to samo - a nawet dwa razy bardziej - odnosi się do Roth. Nie zniosą tego zbyt długo. Muszą dostać coś więcej niż przecucia twojego kochasia. - Spojrzenie Nortona przeniosło się za jej plecy, skanując przestrzeń. - Swoją drogą, gdzie nasz przyjemniaczek?

- Śpi - oprzytomniała - chyba. Wiesz, tutaj pora też jest dość mało społeczna.

Prawda była taka, że gdy zadzwonił telefon, przeturlała się w łóżku i odczuła dreszcz rozkoszy, napotykać jego ciało u swego boku. Dreszcz zmienił się w pełne podniecenie, gdy z odległości jakichś dziesięciu centymetrów zobaczyła, że nie śpi i patrzy na nią. Kiwnął głową w stronę telefonu. *Apartament INKOL*, powiedział. *To pewnie do ciebie*. Odpowiedziała skinięciem, pomacała za swoją koszulkę i usiadła, żeby ją naciągnąć. Czuła na sobie jego wzrok utkwiony w poruszenia piersi, co wzbudziło w niej kolejną falę ciepła. Uczucie zostało w niej, gdy dotarła do telefonu.

- Nad poczynaniami INKOL nigdy nie zachodzi słońce - z udawaną

powagą zacytował Norton. - Zresztą jeśli wybierasz się do Peru, musisz wcześniej wstać.

- Rozmawiałeś z Ortizem?

Spoważniał.

- Tak, dzisiaj. Podłączyli go do wirtualnego formatu na jakieś dziesięć minut. Lekarze nie zgodzili się na dłuższe połączenie - mówią, że obciążenie umysłowe to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje. Nanoboty naprawiają uszkodzenia organów wewnętrznych, ale pociski były paskudne, z jakimś śladowym kancerogenem, a ten psuje wzrost komórek.

- Czy on umrze?

- Wszyscy kiedyś umrzemy, Sev. Ale on nie od tego. Ustabilizowali go. Wciąż ma przed sobą długą drogę, ale się wyliże.

- To co ci powiedział w tym wirtualu?

Grymas.

- Kazał mi zaufać twoim instynktom.

\* \* \*

Załapali się na przedpołudniowy suborb do La Paz - podobnie jak większość narodów zebranych w Inicjatywie Kolonizacyjnej Państw Zachodu, Turcja oferowała połączenia do ośrodków przesiadkowych na Altiplano co kilka godzin. Sevgi zamówiła limuzynę INKOL, która odebrała ich po drugiej stronie. Tym razem żadnych kursów promem dla przyjemności.

- Mogliśmy zaczekać na połączenie do Limy - zauważył Marsalis, gdy zbliżali się do lotniska z prędkością zapewnianą przez priorytetowy pas autostrady. - Nie trzeba by się było tak spieszyć. Miałbym czas kupić te ubrania, na które tak narzekasz.

- Dostałam polecenie, żeby się spieszyć - wyjaśniła.

- Tak, ale wiesz, że jest spora szansa, że Bambaren i tak będzie w Limie. Robi sporo interesów na wybrzeżu.

- W takim wypadku pojedziemy tam.

- To będzie wymagało czasu.

Posłała mu uśmiezek pełen wyższości.

- Nie, nie będzie. Pracujesz teraz dla INKOL. To nasze podwórko.

Aby podkreślić tę uwagę, poleciła, by na miejscu odebrał ich komitet powitalny. Trójka poważnych *indigenas*, mężczyzna i dwie kobiety, którzy wyprowadzili ich z terminalu z profesjonalną czujnością wprost do opancerzonego land rovera czekającego w pełnym świetle na zakazie

parkowania. Za terminalem zapanował miękki mrok, przyćmiony smogiem księżyc i niewyraźny maszyw gór w oddali. Gdy tylko wszyscy znaleźli się w land roverze, kobieta dała jej pistolet - marstechową berette, z dwoma magazynkami i miękką kaburą pod pachę. Nie prosiła o niego. *Witamy w La Paz*, rzuciła kobieta, ale Sevgi nie potrafiła zdecydować, czy w jej głosie czaiła się ironia. Znów byli w ruchu, wiezieni gładko przez śpiące ulice do apartamentu w nowym Hiltonie Acantilado, z widokiem na miasto i zabezpieczeniami na poziomie Marstechu. W rogu każdego pokoju - poza łazienką, która miała własny telefon - umieszczono pięknie stylizowany system informacyjno-komunikacyjny Bang & Olufsen. Łóżka były wielkie i prosiły się o skorzystanie z nich. Stanęli po dwóch końcach okna od podłogi do sufitu i wyglądali przez nie. Znów był nieprzyzwoicie wczesny ranek - wyprzedzili słońce, zostawiając je pogardliwie za sobą, gdy prom suborbitalny przeskoczył szczyt trajektorii i opadł z powrotem ku Ziemi. Teraz mrok przedświt za oknem irytował, a odwrócony nieboskłon miejskich świateł w dole szeptał brakiem realizmu. Wszystko to sprawiało, że czuli się jak po zbyt długim pobycie w wirtualu. Do tego dochodziły głód i rozrzedzone powietrze. Sevgi czuła, że zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością.

- Masz na coś ochotę? - zapytała.

Posłał jej spojrzenie, które rozpoznała.

- Nie kuś mnie.

- Jedzenie - uściśliła z naciskiem. - Wczoraj jadłam tylko tamten *simit*.

- Cena postępu. W płaskim locie nakarmiliby nas przynajmniej dwukrotnie. Niereklamowany minus stylu życia podróżnika suborbitalnego.

- Chcesz jeść czy nie?

- Jasne. Cokolwiek tu mają. - Podeszedł do konsoli Bang & Olufsen, sprawdził protokół ekranu powitalnego i odpalił system. Potrząsnęła głową, jeszcze raz wyjrzała przez okno i poszła zamówić z sąsiedniego pokoju.

W połowie skanowania menu usług przypadkowo wywołała ekran zdrowotny. Jej spojrzenie padło na nagłówek sekcji stymulantów i wspomagaczy synaptycznych i z lekkim wstrząsem zdała sobie sprawę, że od prawie dwudziestu czterech godzin nie brała syndu.

I wcale go nie chciała.

\* \* \*

Za pierwszym razem, gdy Carl chciał ściągnąć uwagę Manco Bambarena trzy lata temu, zrobił to dzięki prostemu wybadaniu interesów *tayta*, a



następnie dokonaniu w nich tylu szybkich zniszczeń, ile mógł bez zbytniego wysiłku. Była to stara taktyka Ospreya z Azji Centralnej, przeniesiona tu bez szczególnych problemów.

Odnoga *familii* kierowana przez Bambarena zajmowała się wyprawami egzotycznych tkanin z magazynów obozów przygotowawczych w ilościach na tyle niewielkich, żeby nie uaktywniać działań INKOL, zbieraniem skradzionych towarów w różnych odległych wioskach i zwożeniem go ciężarówkami do Limy, by karmić nienasycony czarny rynek marstechu. Nietrudno było zdobyć szczegółowe informacje - wiedzieli o tym praktycznie wszyscy, po prostu łapówki eliminowały z równania sławne, lecz słabo opłacane peruwiańskie siły bezpieczeństwa, a Bambaren był dość inteligentny, by ograniczyć swoje kradzieże do stosunkowo powszechnych przedmiotów, niebędących już przedmiotem szczególnej ochrony patentowej. Korporacje ściągaly pieniądze z ubezpieczenia, robiły odpowiedni hałas, ale nie podejmowały większych wysiłków w celu zatkania dziur. W milczącym porozumieniu Bambaren nie sprawiał im problemów na bardziej drażliwym poziomie lokalnej siły roboczej, gdzie *familias* tradycyjnie miały wpływy mogące sprawiać problemy, gdyby z nich skorzystały. Resztę załatwiały lokalne zależności i uliczna reputacja groźnego bandyty z Limy. System działał gładko i ponieważ wszyscy byli zadowoleni, potencjalnie mógł tak działać jeszcze bardzo długo.

Carl wszedł w to wszystko, nie mając żadnych lokalnych interesów i niczego do stracenia poza nagrodą za Stéphane'a Néventa. Przez dwa ciche tygodnie badał sytuację, potem któreś nocy zatrzymał jedną z ciężarówek *tayta* Manco na urwistej, wysokiej drodze prowadzącej z Cuzco do Nazca i na wybrzeże. Uzbrojony ochroniarz na miejscu pasażera wziął to do siebie, co z punktu widzenia Carla było ukrytym błogosławieństwem. Carl go zastrzelił, po czym dał kierowcy do wyboru dołączenie do kumpla na piachu albo pomoc Carlowi w zepchnięciu ciężarówki ze zbocza z granatem zapalającym z magazynów peruwiańskiej armii, kupionym od chętnego szeregowca - przyklejonym do zbiornika paliwa. Kierowca okazał się chętny do współpracy i sprzęt zadziałał. Ciężarówka eksplodowała spektakularnie na pierwszym wyboju, zleciała na samo dno kanionu, ciągnąc za sobą płomień, i paliła się tam przez godzinę albo dłużej, uwalniając przy tym do atmosfery dość egzotycznych zanieczyszczeń, by ściągnąć uwagę satelity monitorującego. Niewiele rzeczy paliło się z taką sygnaturą, a te, które to

robiły, nie powinny były występować poza jurysdykcją NKOL. W mroku zebrały się helikoptery niczym ćmy wokół ogniska. Wraz z nimi pojawili się dziennikarze, a tuż za nimi lokalni politycy, eksperci środowiskowi i przedstawiciele partii Najpierw Ziemia, wszyscy spragnieni występów przed kamerami. Niebawem w dół wąwozu zeszła ekipa ratunkowa, ale wcześniej zarejestrowano mnóstwo kłopotliwych spektrogramów i zadano równie wiele kłopotliwych pytań, wyostrzonych głodem dziennikarskiej ciekawości.

Do tego czasu Carla dawno tam już nie było. Podwiózł kierowcę ciężarówki do Nazca i dał mu wiadomość do *tayta* Manco z numerem telefonu. Bambaren nie był głupi i zadzwonił następnego dnia, a po umiarkowanym popisie męskiej furii zapytał, czego właściwie do diabła Carl, pieprzony skurwysyn, chce. Carl mu powiedział. Trzydzieści sześć godzin później Stéphane Névant wrócił do swojego pokoju hotelowego w Arequipie i zobaczył wycelowany w siebie pistolet Haag.

Carl przekonał się, że w przypadku kontaktów ze zorganizowanym światem przestępczym delikatność jest przereklamowanym podejściem.

W boliwijskim przedświcie postąpił zgodnie z wyuczoną lekcją.

- Lepiej, żeby to była sprawa życia i śmierci - oświadczyła Greta Jurgens, gdy wreszcie odebrała telefon. Ekran pokazał, jak siada przed kamerą, ciaśniej owijając się szarym jedwabnym szlafrokiem. Twarz miała rozspaną.  
- Wiesz, jaka to pora?

Carl odegrał spoglądanie na zegarek.

- Owszem, październik. Przypuszczam, że daje mi to jeszcze kilka tygodni, zanim pójdziesz do łóżka. Jak leci, Greta?

Hibernoidka zmrużyła oczy, a jej twarz przybrała beznamiętny wyraz.

- Proszę, proszę. Marsalis, tak? To straszycło.

- Zgadza się.

- Czego chcesz?

- To właśnie mi się w tobie podoba, Greta. Miłe paplanie o niczym. - Carl swobodnie machnął dłonią. - Nic wielkiego. Chcę porozmawiać z Manco. Tylko pogadać o starych sprawach.

- Manco nie ma teraz w mieście.

- Ale wiesz, jak go złapać.

Jurgens nie odpowiedziała. Jej twarz nie była po prostu opuchnięta, była okrągłej szał, niż zapamiętał, gładkoskóra i pulchna od tłuszczu zebranego pod skórą na fazę snu. Przypuszczał, że musiało też jej się trudniej myśleć - milczenie było bezpiecznym rozwiązaniem.

Carl się uśmiechnął.

- Słuchaj, możemy to zrobić na dwa sposoby. Albo powiesz Manco, że chcę z nim pogadać, i zorganizujecie przyjazne spotkanie, albo mogę znów zacząć wam utrudniać życie. To jak będzie?

- Teraz może się to okazać trochę trudniejsze.

- Doprawdy? Dorobiliście się jakichś przyjaciół w Inicjatywie, co? - Z twarzy hibernoidki wyczytał potwierdzenie. - Zróbcie sobie przysługę, Greta. Prześledź to połączenie i dowiedz się, kto za nie płaci. A potem zdecydujcie, czy chcecie mnie wkurzać.

Rozłączył się, ucinając ledwie rozpoczętą odpowiedź Grety Jurgens.

Carl wstał i podszedł do okna popatrzeć na światła La Paz. Uznał, że w najgorszym razie potrwa to kilka godzin. Jurgens miała specjalistów od połączeń telefonicznych, którzy mogli namierzyć połączenie, i nie potrwa długo, zanim odkryją, że nadeszło z apartamentu INKOL w Hiltonie. Systemy na poziomie Marstechu wyróżniały się w strumieniach danych jak metalowe implanty na zdjęciu rentgenowskim. Danołamacze *familii* prawdopodobnie nie będą w stanie się przez nie przebić, zresztą Jurgens pewnie i tak by im tego nie kazała robić. Ale stanie się cholernie jasne, co mają przed sobą, dziękuję bardzo. Powiedzmy, godzina na stwierdzenie tego. Potem, przyjmując, że Jurgens mówiła prawdę i Manco Bambarena faktycznie nie ma z nią w Arequipie, trochę czasu na złapanie go, choć to też nie potrwa długo. A przy tym, co Jurgens będzie miała mu do powiedzenia, jednak oddzwoni.

Ertekin wróciła z drugiego pokoju. Przebrała się w koszulkę z logo policji i spodnie od dresu.

- Jest jedzenie - oznajmiła.

W buforowanej ciszy zestawu komunikacyjnego nie słyszał jej przybycia. Kiwnął głową.

- Nie powinnaś jeść za dużo na tej wysokości. Twoje ciało i bez tego ciężko pracuje.

- Tak, Marsalis. - Posłała mu nieco zde gustowane spojrzenie. - Byłam już parę razy na Altiplano. Pracuję dla INKOL, pamiętasz?

- Nie to masz napisane na piersi - zauważył, wpatrując się w napis.

- To? - Przycisnęła dłoń do piersi i czubkami palców stuknęła w logo. W kąćku jej ust pojawił się uśmiech. - Masz jakiś problem z faktem, że to noszę?

Odpowiedział uśmiechem.

- Nie mam, jeśli pozwolisz mi to z siebie zdjąć po śniadaniu.

- Zobaczymy - odpowiedziała nieprzekonująco.

Jednak po śniadaniu nie było czasu. Telefon odezwał się, gdy jeszcze rozmawiali, trzymając w dłoniach duże ceramiczne kubki z *mate de coca*. *Połączenie zewnętrzne*, oznajmił system aksamitnym, kobiecym głosem. Carl wziął swój kubek do drugiego pokoju, żeby odebrać. Opadł na fotel przed zestawem Bang & Olufsen i kciukiem wcisnął klawisz.

- Tak?

Z ekranu spojrzała na niego ogorzała, inkaska twarz Manco Bambarena. Rysy miał opanowane, ale w oczach czaiła się złość. Odezwał się szorstką, ostro akcentowaną angielszczyzną.

- No, murzynie. Wróciłeś znów nas dręczyć.

- Cóż, historycznie rzecz biorąc, powinna to być dla was odmiana. - Carl napił się swojej herbaty i spojrzał rozmówcy w oczy nad parą z kubka. - Lepiej niż dręczenie przez białych, co?

- Nie baw się ze mną w gierki słowne, świrze. Czego chcesz?

Carl przeszedł na quechua.

- Cytuję tylko wasze przysięgi jedności. *Unia tubylców, z popiołów opresji rasowej*, wszystkie te bzdury. Czego chcę? Chcę z tobą pogadać. Twarzą w twarz. Najwyżej parę godzin.

Bambaren nachylił się do ekranu.

- Nie zajmuję się już twoimi uciekającymi braćmi i ich kryjówkami. Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Tak, Greta mówiła, że awansowałeś. Nie zajmujesz się już fałszowaniem dokumentów, co? Żadnych kradzieży taniego marstechu. Pewnie teraz jesteś szanowanym kryminalistą. - Carl pozwolił głosowi stwardnieć. - Bez różnicy. I tak chcę z tobą rozmawiać. Wybierz miejsce.

Zapadło dłuższe milczenie, podczas którego Bambaren próbował pokonać go wzrokiem. Carl wciągnął herbaciane opary, nasycił się ich wilgotnym, liścianym zapachem i czekał.

- Wciąż mówisz w moim języku jak pijany robotnik - kwaśno skomentował szef *familii*. - I zachowujesz się, jakby to było osiągnięcie.

Carl wzruszył ramionami.

- Cóż, nauczyłem się go pośród robotników i często się upijaliśmy. Przepraszam, jeśli cię to obraża. I wybierz cholerne miejsce na spotkanie.

Znów cisza. Bambaren patrzył ponuro.

- Jestem w Cuzco - oświadczył w końcu. Nawet w śpiewnym quechua z

Altiplano słowa zabrzmiały jak szczeknięcie. - Spotkamy się w Sacsayhuaman o pierwszej dziś po południu.

- O trzeciej - leniwie skorygował Carl. - Mam najpierw kilka rzeczy do zrobienia.

## ROZDZIAŁ 29

Wciąż miał na palcach głęboki, oleisto-słony zapach Sevgi Ertekin, gdy siedział później w jeepie INKOL z brodą opartą o kciuk, wpatrując się tępo w okolicę i czekając na Manco Bambarena. Zapach był jedynym źródłem radości w dość ponurym nastroju. Niczym stado psów dopadła go zmiana czasu i dołek po starciu z Névantem. Korzystając z sieci hotelowej, kupił sobie dwie zmiany ubrań, ale nie spodobały mu się, gdy je przyniesiono, jednak nie chciało mu się ich odsyłać i zacząć ponownie. Były czarne, sztywne - *jak ja*, pomyślał kwaśno - i najwyższej klasy. Najnowsza generacja odtajnionych tkanin Marstechu, wypuszczona dla bogatej klienteli przy akompaniamencie pochlebstw ze strony gwiazd i byłego personelu marsjańskiego. Nienawidził ich, ale musiały wystarczyć.

Z czystej przekory zachował swoją kurtkę S(t)ygma(t).

- Spóźnia się - odezwała się zza kierownicy.

- Oczywiście, że tak. Musi podkreślić swoją wagę.

Za szybą porośnięte trawą tarasy Sacsayhuaman wznosiły się ścianami potężnych, gładkich kamieni, ciemnych pod jasnym niebem z białymi chmurami. O tak późnej porze dnia mieli ruiny prawie na wyłączność, a pustka dodawała umocnieniom złowieszczonego wyglądu. Po okolicy snuło się kilku spóźnionych turystów, ale skala inkaskich bloków zdecydowanie ich przerastała. Podobnie zredukowana, niewielka grupka miejscowych w tradycyjnych strojach wycofała się na obrzeża, z kobietami i dziećmi zajmującymi się lamami, a wszyscy czekali na okazję pozwania do jakiegoś płatnego zdjęcia. Stanowili drobne plamki barw na tle ponurych kamieni.

Carl nie był w Sacsayhuaman po raz pierwszy, ale kamienna budowla za każdym razem go fascynowała. Bloki zostały ukształtowane i wypolerowane, jednak były bardzo nieregularne, przypominając swoim ogromem naturalne formacje skalne. Płatanina linii między nimi przyciągała wzrok i więziła go w swoim labiryncie. Można tam było naprawdę długo siedzieć i się im przyglądać, co właściwie - zerknął na zegarek - właśnie robili.

- Myślisz, że tym też chce coś podkreślić? - Ertekin kiwnęła głową w stronę ścian. - Ziemia moich przodków, coś w tym stylu?

- Może.

- Ale tak nie myślisz?

Posłał jej spojrzenie z ukosa.

- Powiedziałem tak?

- Równie dobrze mogłeś.

Wrócił do wpatrywania się w budowlę. Gdzieś spomiędzy niej uśmiechnęła się do niego upiorna, zakrwawiona twarz Névanta ze złamanym nosem, blada w szpitalnym świetle. *Twoje uczucia mnie nie obchodzą, Marsjaninie. Pław się w nich do woli.*

Spróbował.

- Możesz mieć rację - przyznał. - Facet przez połowę czasu mówi jak pieprzony poeta i jest z siebie cholernie dumny. Owszem, może próbuje pojechać po nas kulturą.

Ertekin kiwnęła głową.

- Tak myślałam.

Przewlekło się kolejnych dziesięć minut. Carl pomyślał o wyjściu i rozprostowaniu nóg, gdy na parking po lewej wjechał opancerzony, czarny rangę rover. Przyciemnione szyby, lśniące krzywizny boków, sięgający prawie ziemi fartuch przeciw granatom. Carl dał spokój introspekcjom. Zmęczenie odpłynęło.

- No to jedziemy.

Pojazd zahamował i z tyłu jego pancerza otworzyły się drzwi. Ze środka wyszedł Manco Bambaren, nienagannie ubrany w piaskowy garnitur, w towarzystwie ochroniarzy w okularach Ray-Ban identycznych jak jego własne. Żadnej widocznej broni, ale nie była potrzebna. Postawy i puste, odbijające słońce szkła były przykładem klasycznej południowoamerykańskiej groźby. Carl widywał do samo na całym kontynencie, od ulic Buenos Aires po Bogotę. Lustra, które Bambaren i jego goryle nosili przed oczami, mówiły o tej samej sile co lśniące, kuloodporne boki rangę rovera. Człowiek widział swoje odbicie w gładkich powierzchniach, zamknięty na zewnątrz, bez znaczenia dla ukrytych oczu.

Carl wysiadł z jeepa.

- Idę z tobą - szybko rzuciła Ertekin.

- Jak chcesz, ale i tak będziemy rozmawiać w quechua.

Podszedł do rangę rovera, tłumiąc niepotrzebną falę pobudzenia siatki. Zamierzał postraszyć Bambarena, ale nie sądził, żeby doszło do walki, niezależnie od tego, jak bardzo miał ochotę wbić odłamki lustrzanych okularów w siedzące za nimi oczy, wyrwać rękę większemu z ochroniarzy i...

*Hejże, Carl. Zachowajmy perspektywę, dobra?*

Dotarł do szefa *familii* i zatrzymał się tuż poza jego zasięgiem.

- Cześć, Manco. Dzięki za przybycie. Chociaż dzieciaki mogłeś zostawić w domu.

- Murzyn. - Manco wysunął szczękę. - Miło cię tu widzieć. Ciuchy z Jezusowa?

Carl kiwnął głową.

- Stan Południowej Florydy.

- Tak myślałem. Mój kuzyn miał dokładnie taką samą.

Carl dotknął dwoma palcami klapy swojej więziennej kurtki.

- Właśnie, niedługo będzie szczytem mody.

- Dano mi do zrozumienia - uprzejmie zauważył szef *familii* - że w Jezusowie już tak jest. Mówi się, że mają tam najwyższy na ziemi wskaźnik uwięzionych. Kim jest twoja lalunia?

Carl obrócił się niespiesznie i zobaczył, że Ertekin też wysiadła, ale nie poszła za nim. Oparła się o bok jeepa przy logo INKOL i wsadziła ręce do kieszeni. Ruch spowodował rozsuniecie kurtki i odsłonił kaburę pod pachą. Założyła okulary przeciwsłoneczne.

Stłumił uśmiech.

- To nie lalunia, to przyjaciel.

- Trzynastka z przyjaciółmi. - Nad krzywizną okularów przeciwsłonecznych pojawiły się brwi Bambarena. - To musi być wbrew twojej naturze.

- Dostosowujemy się do okoliczności. Chcesz się przejść?

Manco Bambaren kiwnął głową na ochroniarzy, który się rozluźnili, otwierając przestrzeń wokół swojego *tayta*. Zrobił kilka kroków w stronę kamiennych ścian. Carl ruszył obok. Zauważył, że szef *familii* zza swoich okularów zerka w stronę jeepa i swobodnej czujności Ertekin.

- To teraz pracujesz dla INKOL?

Carl uwolnił powstrzymywany uśmiech.

- Pracuję z INKOL. To współpraca. Powinieneś to rozumieć.

- To znaczy?

- To znaczy, że zrobiłeś niszową karierę na koegzystencji z Inicjatywą i z tego, co mówiła Greta, całkiem nieźle ci się powodzi.

Bambaren potrząsnął głową.

- Nie wierzę, żeby Greta Jurgens rozmawiała z tobą na temat moich partnerów biznesowych.

- Nie, ale próbowała mnie nimi straszyć. Implikując, że masz teraz



znacznie potężniejszych przyjaciół i trzymasz się bliżej nich.

- I o tym właśnie chciałeś rozmawiać?

- Nie. Chciałem pogadać o Stéphane Névantcie.

- Névant? - Na czole *tayta* pojawiła się zmarszczka. - Co z nim?

- Trzy lata temu próbował przekonać tu twoich ludzi do stworzenia sojuszu. Chcę wiedzieć, jak daleko to zaszło.

Bambaren zatrzymał się i popatrzył na niego. Carl zapomniał już, jak był niski i krępy. Namacalna siła osobowości szefa *familii* zacierała czynniki fizyczne.

- Jak daleko to zaszło? Murzynie, przecież dałem ci Névanta. Jak myślisz, jak mu poszło?

- Dałeś mi go, bo to było mniej kłopotliwe niż moje wtrącanie się w twoje interesy w obozach. To nie znaczy, że nie oferował czegoś wartościowego.

*Tayta* ściągnął swoje okulary słoneczne. W ostrym świetle z nieba Altiplano jego oczy ledwie się zwężyły.

- Stéphane Névant chciał tu sobie wyblagać swoje żalosne, świrnięte życie. Nie miał przyjaciół ani sojuszników. Nie zaoferował niczego, z czego mógłbym skorzystać.

- Jednak mając czas, mógłby.

- Nie mam czasu na rozważania, co mogłoby się stać. Czemu nie zapytasz o to samego Névanta?

Carl się wyszczerzył.

- Zapytałem. Próbowałem mnie zabić.

Spojrzenie Bambarena przeniosło się na sklejoną ranę na ręce Carla. Wzruszył ramionami i z powrotem założył okulary. Ruszył z miejsca.

- To nie znaczy, że miał coś do ukrycia - zauważył bezbarwnie. - Na jego miejscu pewnie też próbowałbym cię zabić.

- Zapewne.

Doszli do ściany. Carl wyciągnął rękę, żeby przeciągnąć dłońią wzdłuż gładkiej, ciemnej powierzchni sąsiadujących bloków, z których każdy miał wielkość małego samochodu. To było instynktowne: brzegi bloków zaginały się do środka, stykając się ze sobą z organicznym wdziękiem przywodzącym na myśl kobiece ciało, wypukłości piersi i gładki styk ud. Miało się ochotę przesuwac po nich dłońią, ręka drżała chęcią dotknięcia i objęcia.

Przodkowie Manco Bambarena złożyli tę układankę potężnych, idealnie dopasowanych kamiennych bloków, mając za narzędzia jedynie brąz, drewno i sam kamień.

- Nie sugeruję, że ty sam kupiłeś plany Névant - podsunął Carl.

*Choć jeśli nie, to czemu ciebie wybrał do prowadzenia rozmów?* - Ale nie jesteś tu jedynym *tayta*. Może ktoś inny dostrzegł potencjał.

Przez chwilę Bambaren spacerował w milczeniu.

- Moich *familiars* łączy wspólna niechęć do twojego rodzaju, Marsalis. Musisz zdawać sobie z tego sprawę.

- Tak. Łączy was również silny sentyment do więzów krwi, ale to nie powstrzymało was przed wojną w lecie 03 ani przed zawieraniem później umów z Limą. Manco, daj spokój, interes to interes, tak samo tutaj jak wszędzie indziej. Uczucia rasowe kiepsko przenoszą się na ekonomię.

- Cóż, w przypadku trzynastek tak naprawdę wcale nie chodzi o rasę - zimno zauważył mężczyzna. - Bardziej o lukę gatunkową.

Carl parsknął śmiechem.

- Ranisz mnie, Manco. Do głębi.

- Zresztą nie widzę żadnej korzyści biznesowej dla mnie czy jakiegokolwiek innego *tayta*, która mogłaby wynikać z powiązania z kimś twojego rodzaju.

- Jesteśmy bardzo wygodnymi potworami.

Bambaren wzruszył ramionami.

- I bez was rasa ludzka ma dość potworów. Nigdy nie trzeba było wynajdywać nowych.

- Jasne, jak *pistacos*, nie? Słyszałem, że w 2103 tę kartę też dość intensywnie zagrywałeś.

Ostre spojrzenie.

- Od kogo?

- Od Névant.

- Powiedziałeś, że Névant próbował cię zabić.

- No cóż, najpierw sobie trochę porozmawialiśmy. Mówił, że chciał zostać twoim udomowionym *pistaco*, może ściągnąć jeszcze kilka trzynastek do pracy w tym charakterze. Stworzyć dla ciebie swoisty elitarny oddział genetycznych potworów. Przypomina ci to coś?

- Nie. - Szef *familii* zdawał się nad czymś zastanawiać. - Névant mnóstwo mówił. Miał pomysły na wszystko. Usprawnienie moich operacji z dokumentami, sztuczki z wymuszaniem w obozach, poprawa zabezpieczeń. Po jakimś czasie przestałem słuchać.

Carl kiwnął głową.

- Ale wciąż trzymałeś go pod ręką.

Bambaren rozłożył ręce.

- Przyszedł do mnie, jak wcześniej podobni do niego uciekinierzy, po dokumenty i nową tożsamość. Jeśli ma się to zrobić dobrze, trzeba trochę czasu. Nie pracujemy jak te tanie warsztaty na wybrzeżu, więc tak, kręcił się tutaj. Jakoś udało mu się zostać. Teraz, gdy zadaję sobie pytanie, jak to osiągnął, nie potrafię odpowiedzieć. Zrobił się przydatny w drobiazgach, miał do tego talent.

Carl pomyślał o watażkach i pomniejszych figurach szachowych w całej Azji Centralnej i na Bliskim Wschodzie wykorzystujących Néventa, który zrobił się przydatny, i niezdających sobie sprawy z tego, jak specjalista od partyzantki sprawnie wmanewrowywał ich w sytuację geopolityczną, choć cały czas to oni wykorzystywali jego. *Niemożność zrozumienia więzi społecznych na poziomie emocjonalnym*, stwierdził Jacobsen, a *tym samym brak ograniczeń emocjonalnych, których wymagają te więzi*. Jednak Carl nie znał ani jednej trzynastki, która po przeczytaniu tego zdania nie śmiałyby się jak konstrukt klauna z sieci restauracji szybkiej obsługi. *Rozumiemy*, powiedział Zooly którejś pijanej nocy. *Palce prostowane przy odliczaniu po jednym, jak narzędzia do dźgania, w końcu kant dłoni. Nacjonalizm. Plemienność. Polityka. Religia. Pieprzona piłka nożna, na miłość boską. Wściekły marsz tam i z powrotem po salonie jej mieszkania, jak drapieźnik w klatce. Jak można nie zrozumieć tak cholernie prostej dynamiki. Wy tego nie rozumiecie i to właśnie wyzwała w was reakcję na pieprzonym poziomie emocjonalnym.*

Później, na kacu, przeprosił. Zbyt dużo jej zawdzięczał, by straszyć ją nadmiarem genetycznej prawdy.

Spacerujący obok Bambaren wciąż mówił.

- ... nie wiem, ale jeśli jego pomysły faktycznie obejmowały tę fantazję o genetycznych *pistaco*, to był głupi. Do straszenia ludzi nie potrzeba prawdziwych potworów. Wręcz przeciwnie. Prawdziwe potwory zawsze będą rozczarowywać. Zdecydowanie większą władzę daje niewidoczne zagrożenie, pogłoska.

Carl poczuł nagłą falę pogardy do idącego obok człowieka, szybki wybuch płomienia wzbudzonego zapamiętaną furią.

- Tak, do tego od czasu do czasu jakaś lekcja pokazowa, co? Pokazowa egzekucja na miejskim rynku.

*Tayta* musiał usłyszeć zmianę w jego głosie. Znów się zatrzymał, gwałtownie obrócił w stronę murzyna, zacisnął usta. Ten ruch przesłał

wyraźny sygnał w stronę zaparkowanych pojazdów. Carl kątem oka zobaczył, jak ochroniarze zrywają się do przodu. Nie widział, czy Ertekin i też zareagowała, ale poczuł rozbłysk geometrii, linie strzału z rangę rovera do miejsca, gdzie stał, z jeepa do rangę rovera i z powrotem, krótką drogę, jaką jego lewa dłoń musiałaby pokonać, by zmiażdżyć gardło Manco Bambarena, podczas gdy prawą chwyciłby go za ubranie i osłonił się nim jak tarczą, wszystko rozrysowane jak w wirtualu, eleganckimi, czerwonymi liniami z opisanymi odległościami, dystansem, którego nie mógłby pokonać w czasie potrzebnym ochroniarzom na wyciągnięcie sprzętu ukrytego pod skórzanymi płaszczami, musiałby mieć nadzieję, że Ertekin zdołałaby na czas załatwić ich obu...

Zobaczył jak pada, pokonana przewagą liczebną lub niedostatecznie szybka...

- Spokojnie, Manco - mruknął. - Nie chcesz dziś zginąć, prawda? Przy takiej paskudnej pogodzie?

Górna warga *tayta* powędrowała w górę, odsłaniając zęby. Zacisnął pięści.

- Myślisz, że możesz mnie zabić, świrze?

- Wiem, że mogę. - Carl trzymał ręce nisko, niegroźnie. Otwarte. Siatka tykała w nim jak odliczanie. - Nie wiem, jak by się potoczyło dalej, ale to już nie byłby twój problem, tyle mogę ci obiecać.

Chwila zawisała. Wzdłuż potężnej kamiennej twierdzy za jego plecami powiewał cichy wiatr. Patrzył w lustrzane szkła Manco. Zobaczył ruch szarej chmury po niebie jak pożegnanie, jak utrata.

*O, cholera...*

Szef *familias* wciągnął powietrze.

Rozluźnił pięści.

Opuścił wzrok i Carl przestał w okularach widzieć chmury, zobaczył swój zniekształcony obraz.

Chwila, choć już minęła, przyspieszyła. Siatka to wyczuła, odpuściła.

Bambaren się roześmiał. Dźwięk zabrzmiał sztucznie i wymuszenie.

- Jesteś głupi, murzynie - powiedział szorstko. - Tak samo jak Névant przed tobą. Myślisz, że muszę rozpuszczać plotki o *pistacos*? Myślisz, że potrzebuję armii potworów, prawdziwych czy wyobrażonych, żeby zachować porządek? Robią to dla mnie ludzie, zwykli ludzie.

Machnął ręką, luźno, obracając się w stronę potężnych, układanych z kamienia ścian. Jego złość osłabła, zmieniając się w coś bardziej ogólnego i

wymęczonego.

- Rozejrzyj się wokół. Kiedyś to było miasto odporne na trzęsienia ziemi, zbudowane, by uhonorować bogów i celebrować życie w zabawach i festiwalach. Potem przyszli Hiszpanie i zniszczyli je dla kamienia na budowę kościołów, które rozpadały się przy każdym drobnym wstrząsie. W bitwie, która się tu odbyła, zamordowali tak wielu ludzi, że ziemia usłana była ich ciałami i kondory przez całe tygodnie żywiły się resztkami. Hiszpanie umieścili osiem tych kondorów w herbie miasta, by upamiętnić tamte gnijące ciała. Gdzie indziej ich żołnierze wrywali karmiącym matkom niemowlęta i żywcem rzucali je na pożarcie swoim psom lub rozbijali im głowy o skały. Nie muszę ci mówić, co potem robiono z matkami. To nie były demony i nie byli genetycznie zmodyfikowanymi potworami, jak ty. To byli ludzie. Zwykli ludzie. My - mój naród - wymyśliliśmy *pistacos*, by wyjaśnić działania tych zwykłych ludzi, i wciąż wymyślamy te same opowieści, by ukryć przed sobą prawdę, że to zawsze zwykli ludzie zachowują się jak demony, gdy w inny sposób nie mogą osiągnąć tego, czego pragną. Nie rozpuszczam pogłosek o *pistaco*, murzynie, bo kłamstwo o *pistaco* już tkwi w nas wszystkich i budzi się do życia na Altiplano bez żadnej zachęty z mojej strony.

Carl zerknął w stronę dwóch ochroniarzy i range rovera. Znów stali spokojnie z rękami założonymi skromnie na wysokości talii, starannie go ignorując. A może, jak nagle sobie uświadomił, próbując stłamsić wzrokiem Sevgi Ertekin. Z tej odległości trudno było stwierdzić.

- To jak - rzucił lekko - te dwa psy przy samochodzie mają w sobie aż tyle hiszpańskiej krwi?

Bambaren wciągnął powietrze przez zęby. Jednak nie zamierzał gryźć, nie teraz. Cichy syk na wdechu był oznaką kontroli.

- Zamierzasz spędzić popołudnie na obrażaniu mnie, murzynie?

- Zamierzam, *tayta*, wyciągnąć od ciebie jasne odpowiedzi. A opowieści o dawnych zbrodniach się do nich nie zaliczają.

- Odrzucasz...

- Odrzucam twoje starannie kultywowane poczucie krzywdy rasowej, owszem, zgadza się. Manco, jesteś pieprzonym kryminalistą. Mówisz jak poeta, ale twoi żołnierze to synonim brutalności od Cuzco po Copacabanę, a historie, które o tobie opowiadają na ulicach, sprawiają, że nabieram podejrzeń, że osobiście ich tak szkolisz. Czym nie różnisz się zbytnio od tych hiszpańskich żołnierzy, na punkcie których tak jesteś wrażliwy.

- Muszę być szanowany przez moich ludzi.  
- Tak jak powiedziałem. Prawie jak psy. Wy, ludzie, jesteście tak cholernie przewidywalni.

Usta Bambarena wykrzywiły się w paskudny, szyderczy uśmiech.

- Co ty o tym wiesz, murzynie? Co wiesz o życiu ludzkim w favelach? Co wiesz o zmaganiach? Dorastałeś w jakiejś wyściełanej watą społeczności projektu Stróż Prawa, opiekowano się tobą, zapewniano każdy...

- Brytyjczyk. Manco, jestem Brytyjczykiem. Nie mieliśmy projektu Stróż Prawa.

- To niczego nie zmienia. Ty. - Przez twarz *szeffa familias* przebiegł grymas. - Névant. Wy wszyscy. Wszyscy byliście traktowani tak samo. Niczego wam nie szczędzono, żadna odżywka nie była zbyt droga. Wszyscy urodziliście się w miejscach chronionych nie gorzej niż wynajęte macice, w których się rozwijaliście, ssąc kupione i opłacone mleko, odbierając czułości kobiet z kolonii, zbyt biednych, by stać je było na własne dzieci...

- Pieprz się, Manco.

Jednak wypowiedział to zbyt szybko, by mogło uchodzić za objaw wystudiowanej irytacji, jak zamierzał, głos miał zbyt poszarpany nieoczekiwanym wspomnieniem Marisol. A Manco uśmiechnął się, słysząc to, z gangsterskim wyczuleniem na słabości, na trafienie w słaby punkt.

- Ach. Może myślałeś, że kochała cię ze względu na to, kim byłeś? Jakim szokiem musiał być dla ciebie tamten dzień...

- Hej, pieprz się, dobra? Jak mówiłem. - Teraz opanował ton, intonację. - Nie przyszedł tu omawiać historii mojej rodziny.

Jednak *tayta* Manco był doświadczonym nożownikiem ze slumsów Cuzco i wiedział, gdy ostrze trafiło w cel. Nachylił się, a jego głos kapał, cichy i żrący.

- Tak, mały stalowy barak odpraw, mężczyźni w mundurach, okropna prawda. Cóż za szok. Wiedza, że gdzieś tam twoja prawdziwa matka sprzedała swoją połowę ciębie za pieniądze, pozwoliła się oskrobać z ciębie i że jakaś inna kobieta dla pieniędzy czternaście lat temu przejęła jej rolę i tego dnia odeszła od ciębie, jakby zakończyła wyrok. Jakie to było uczucie, świrze?

Teraz to na niego opadło, furia zabijania, czarny przyływ w głębi mózgu jak lekkie oszołomienie, oderwanie. O wiele trudniejsze do powstrzymania niż zimne obliczenia wykonane dwie minuty temu, pewność wiedzy o śmierci Manco Bambarena od uderzenia jego ręki. Nie było w tym sztuki:

kciuki wbite w oczy szefa *familias* i zatopione aż do mózgu, odruchowy trzask szczęki, potężne pragnienie rozbicia i wgryzienia...

*Jeśli rządzić nami będzie to, co w nas wpoili, powiedział Sutherland, gdzieś w dali za uderzającymi falami jego furii, to nie jesteśmy niczym więcej i w niczym lepsi niż broń, którą starali się z nas zrobić. Jednak jeśli jesteśmy rządzeni przez nasze odruchy, to każdy fanatyczny, oparty na nienawiści strach, który przed nami czują, stanie się prawdą. Musimy szukać innej drogi. Musimy wymyślić swoją ścieżkę.*

Carl wykrzywił się w uśmiechu i ostrożnie odłożył furie, jak ulubioną broń do walizeczki.

- Nie martwmy się teraz moimi uczuciami - powiedział. - Powiedz mi, jak ci się układa z twoimi marsjańskimi kuzynami?

Chciał, żeby pytanie nadeszło zupełnie nieoczekiwanie, i sądząc po wyrazie twarzy mężczyzny, udało mu się. Bambaren zamrugał, jakby go zapytano o miejsce pobytu zaginionego skarbu Inków.

- O czym ty mówisz?

Carl wzruszył ramionami.

- Wydawało mi się, że to proste pytanie. Miałeś ostatnio jakieś kontakty z marsjańskimi kapitułami?

Bambaren rozłożył ręce i zmarszczył brwi w irytacji.

- Nikt nie rozmawia z Marsem. Wiesz o tym.

- Rozmawiałbyś z nimi, gdybyś miał coś na tym zarobić.

- Zrezygnowali z tej możliwości jeszcze w 2075. W moim przypadku obecnie byłoby to bezcelowe. Nie ma praktycznego sposobu na pokonanie kwarantanny nanokratownicy.

*Owszem, jest. Nie słyszałeś? Wystarczy odłączyć n-dżinna w drodze do domu, wleźć do wolnej kriokapsuły - jeśli jesteś głodny, zawsze możesz wcześniej zjeść poprzedniego pasażera - i zanurkować do Pacyfiku modulem załogowym. Bułka z masłem.*

- Nie wydaje ci się, że równie bezsensowne jest ogłaszanie wojny wobec tej kwarantanny? Na odległościach międzyplanetarnych?

- Nie spodziewam się, żebyś miał to rozumieć.

Carl się wyszczerzył.

- Nienawiść zawsze znajdzie sposób, co? Ta stara magia *deuda de sangre*. Szef *familias* obejrzał ziemię pod nogami.

- Naprawdę przebyłeś całą drogę do Cuzco, żeby rozmawiać ze mną o *afrenta marciana*?

- Nie jako takich, nie. Ale jestem zainteresowany wszystkim, co ty i twoi koledzy możecie wiedzieć o odrodzeniu.

Znów fala irytacji na twarzy Manco.

- Odrodzeniu czego, murzynie? Jesteśmy w stanie wojny. To założenie, stan sytuacji. Do czasu, aż technologia zapewni nam nowy sposób prowadzenia tej wojny, sytuacja nie ulegnie zmianie.

- Albo do czasu, aż naciulasz dość wpływów w INKOL, żeby dorobić się wejść na nanokratownicę.

Manco ostentacyjnie obejrzał się na jeepa, który przywiózł Carla na miejsce spotkania.

- INKOL to smutna rzeczywistość - powiedział poważnie. - Prędeż czy później wszyscy w taki czy inny sposób godzimy się z rzeczywistością.

\* \* \*

- Tak, cholernie poetyckie.

Sevgi prowadziła z powrotem krętą drogą do Cuzco, pokonując zakręty ze świadomą nieuwagą. Marsalis trzymał się uchwyty nad drzwiami.

- Cóż, ma trochę racji.

- Nie twierdę, że nie. Po prostu chciałabym się dowiedzieć, co z niego wyciągnąłeś - poza tanią poezją - co warte było całego tego lotu.

Marsalis nie odpowiedział. Posłała mu spojrzenie z ukosa. Brak uwagi spowodował lekkie zniesienie jeepa w stronę środka zakrętu, wprost pod nadjeżdżającą z przeciwka automatyczną ciężarówkę. Nagły, paskudny zastrzyk adrenaliny i fala zimnego potu. Jednak powoli - wciąż była otępiała po otarciu się o strzelaninę z ludźmi Bambarena. Skręciła kierownicę z powrotem, zjechali z drogi, podskoczyli na krawężniku. Ryknął na nich alarm zderzeniowy ciężarówki przemykającej obok. Ludzie na chodnikach zatrzymali się i obejrzel. Siedzący obok niej mężczyzna wciąż nie odpowiadał.

- No?

- Sądzę, że powinnaś uważniej pilnować drogi.

Podstawą dłoni walnęła w przycisk automatycznego kierowcy. Puściła kierownicę. Tablica sterownicza jeepa rozbłysła niebiesko systemami nawigacyjnymi i zabręczała.

- Proszę podać cel jazdy. - Znów pieprzony, melodyjny ton Asii Badawi.

- Centrum miasta - warknęła. Przyjechali wprost z lotniska, nie mieli jeszcze hotelu. Ściszyła głos i obróciła się na fotelu w jego stronę. - Marsalis, na wypadek, gdybyś nie zauważył, otarliśmy się tam o strzelaninę.



Oślaniałam twoją dupę.

- Wiem o tym.

- Jasne. Nie mam nic przeciwko ryzykowaniu, ale chciałabym wiedzieć, czemu to robisz. Więc zacznij mi do cholery mówić, co ci chodzi po głowie, zanim nam to wybuchnie w twarz.

Kiwnął głową, jak uznała, głównie do siebie.

- Bambaren jest czysty - przyznał niechętnie. - Jak sądzę.

- Ale to nie wszystko?

Westchnął.

- Nie wiem. Słuchaj, puściłem na niego wąż marsjański, nawet nie mrugnął. A raczej wyglądał, jakbym mówił w obcym języku. Wojna wciąż trwa i założę się o wszystko, co zarobiłem w zeszłym roku, że nikt tutaj nie widział ani nie słyszał niczego, co mogłoby to zmienić. Nie sądzę, żeby wiedział coś o podróży naszego kumpla Merrina do domu.

Usłyszała wznoszący się ton głosu na końcu.

- Ale?

- Ale jest nerwowy. Jak sama zauważyłaś, prawie poszło na ostre. Gdy ostatnim razem musiałem rozmawiać z Manco Bambarenem, po prostu rozwalilem mu ciężarówkę pełną towaru i zabiłem jednego z jego zbirów, obiecując zrobić to ponownie, jeśli nie dostanę tego, czego chcę. Emanowało wtedy z niego tyle emocji co z któregoś z murów tam na górze. Tym razem chciałem tylko zadać kilka pytań i o mało nie zginęliśmy. To nie ma najmniejszego sensu.

Chrząknęła. Znała to uczucie, drażniące, swędzące wrażenie, że coś tu nie pasuje. Takie rzeczy nie pozwalały człowiekowi zasnąć i zmuszały do myślenia, pochłaniały myśli podczas innych spraw w ciągu dnia i człowiek nagle zaczynał się dziwić, kiedy wystygła mu kawa. Chciało się po prostu ciągnąć za nitkę aż do rozwinięcia kłęбка lub do jej urwania.

- To co chcesz z tym zrobić? - zapytała.

Wyjrzał przez boczne okno.

- Myślę, że dobrze będzie porozmawiać z Gretą Jurgens. Zbliża się już do śpiącej części sezonu, a hibernoidy ogólnie nie są wtedy najbystrzejsze. Może jej się coś wymknie.

- To w Arequipie, tak?

- Owszem. Moglibyśmy tam pojechać w nocy, rano byłibyśmy na miejscu.

- I dotrzeć tam mniej więcej w takim stanie, w jakim będzie Jurgens. Nie,

dziękuję. Tej nocy śpię w łóżku.

Marsalis wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Po prostu jeśli pojedziemy drogą, zjedziemy z celownika. Jest ryzyko, że Manco będzie miał kogoś na lotnisku, kto sprawdzi nasz odlot i miejsce docelowe. A jeśli zobaczy, że to Arequipa, cóż, nie trzeba geniusza, żeby się domyślić naszego celu.

- Myślisz, że spróbuje siłą powstrzymać nas przed spotkaniem z Jurgens? Sądzisz, że zaryzykowałby tego z akredytowanymi przedstawicielami INKOL?

- Nie wiem. Parę godzin temu powiedziałbym, że nie. Ale byłaś tam, gdy bliźniaki w lustrzankach zrobili się nerwowi. Co wtedy myślałaś, że może nastąpić?

Dłuższa chwila ciszy. Sevgi przypomniała sobie, jak to się odbyło, zupełnie jak jej reakcja na zagrożenie zderzeniem kilka minut temu, nagły, zimny pot, gdy *goryle familias* ruszyli, fala adrenalinowego wspomaganie w brzuchu i wzdłuż ramion. Musiała użyć całej siły woli, by nie chwycić za kolbę pistoletu, i bała się, niepewna od zbyt długiego braku ćwiczeń, nie ufała własnej ocenie i nie wiedziała, czy będzie dostatecznie szybka, czy się pomyli.

Westchnęła.

- Dobra, w porządku. - Zapadła z powrotem w swój fotel, kilka razy z irytacją stuknęła łokciem w tapicerkę. - *Inszallah*, da się z tego zrobić w miarę przyzwoite posłanie.

Potem zmieniła ton i odezwała się głośniejszym głosem, z poleceniem dla jeepa.

- Zmiana kursu. Długa trasa, Arequipa.

Wyświetlacze ożywiły się symbolami.

- Podróż potrwa do wczesnych godzin porannych następnego dnia - chłodno poinformowała Asia Badawi.

- Jasne, jakbym nie wiedziała.

## ROZDZIAŁ 30

Centrum Cuzco było pełne samochodów, w większości kierowanych przez ludzi. Żadnej współpracy, żadnego nadzoru - późnopołudniowe powietrze pełne było dźwięków klaksonów, a skrzyżowania zapchane korkami. Kierowcy prawie się pojedynkowali o zmianę pasa ruchu lub wjazd z pomniejszych ulic w arterie. Szyby w oknach opuszczono, by ułatwić wyrzaskiwanie obelg, ale większość ludzi po prostu siedziała sztywno za kierownicą i patrzyła prosto przed siebie, jakby mogli wygenerować ruch do przodu samą siłą woli oraz ciągłym, pełnym irytacji trąbieniem. Między tym wszystkim przemykali policjanci z drogówki, unoszący ręce, jakby utknęli w bagnie, gestykułujący niczym całe stado szalonych dyrygentów i nieskładnie dmuchający w gwizdki bez żadnych widocznych skutków. Sevgi pomyślała kwaśno, że po prostu nie chcieli zostać wykluczeni z generowania hałasu.

Ich jeep był standardowy, z puli pojazdów firmy. Jego automatyczne układy z szerokimi marginesami bezpieczeństwa nie mogły sobie z tym poradzić. Po tym, jak przez dwanaście minut bez ruchu stali na jednym z bardziej zatłoczonych skrzyżowań, Marsalis poruszył się na fotelu.

- Nie chcesz prowadzić?

Sevgi popatrzyła ponuro na nieprzerwany sznur stojących zderzak w zderzak samochodów, między które usiłowali się wbić.

- Nie bardzo.

- Mogę?

Światła się zmieniły i ciężarówka blokująca skrzyżowanie spełzła z drogi. Jeep szarpnął do przodu pół metra, potem zatrzymał się, gdy pojazd za ciężarówką skoczył, by zająć zwolnione miejsce. Dziura znikła. Ktoś za nimi wcisnął klakson.

- Jasne.

Jej reakcję spowolnił jego spokojny, rzeczowy ton. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, otworzył drzwi pasażera i wyskoczył na ulicę. Znow zaryczał klakson. Obejrzał się w kierunku stojącego za nimi samochodu.

- Marsalis, nie...

Ale już ruszył, sunąc w stronę pojazdu. Wykręciła się na miejscu i zobaczyła, jak do niego podchodzi, robi krok w górę, a potem dwa kroki po

dachu - obu towarzyszył trzask wyginanej blachy - i zeskoczył lekko od strony kierowcy. Na chwilę nachylił się do okna - miała wrażenie, że również sięgnął do środka, ale nie była pewna.

- Cholera.

Sprawdziła pistolet w kaburze i obracała się, by otworzyć drzwi, gdy pojawił się tuż przy nich. Sięgnęła do klamki.

- Co ty, do cholery...

- Przesiądź się.

- Co tam zrobiłeś?

- Nic. Przesiądź się, poprowadzę na ręcznym.

Posłała jeszcze jedno spojrzenie na pojazd za nimi, ale nie zobaczyła niczego przez przyciemnioną tylną szybę. Na chwilę otworzyła usta, żeby się spierać, ale zobaczyła, że światła znów zmieniają się na ich korzyść, i z rezygnacją potrząsnęła głową.

- Jak chcesz.

Wyłączył automatykę, wrzucił bieg i ostro ruszył do przodu, celując w wąską szczelinę w ruchu. Wcisnął w nią róg jeepa, machnął w podziękowaniu w stronę pojazdu, który przyblokował, i wjechał w powstały po chwili otwór. Dostali się w ruch na kolejnej ulicy, przejechali kilka metrów od skrzyżowania. Spojrzała na jego twarz i zauważyła, że uśmiecha się lekko.

- Podobało ci się to?

Wzruszył ramionami.

- Miałem pewną satysfakcję operacyjną.

- Myślałam, że pojechaliśmy samochodem po to, żeby się nie wyróżniać. Jak to ma się udać, jeśli będziesz wszczynał bójki podczas całej drogi przez miasto?

- Ertekin, tam nie było żadnej bójki. - Z odległości metra popatrzył jej w oczy. - Naprawdę. Powiedziałem tylko facetowi uprzejmie, żeby się zamknął, bo się staramy.

- A gdyby nie przestał?

- No cóż. - Zastanowił się przez chwilę. - Wy, ludzie, zazwyczaj ustępujecie.

Dotarcie do południowych przedmieść i wyjazd na przelotówkę do Arequipy zajęło im prawie godzinę. Dzień zaczynał już ustępować nocy i w budynkach po obu stronach drogi zapalono światła oferujące małe, żółtawe obrazki z życia ich mieszkańców. Sevgi dostrzegła dziewczynkę w wieku

najwyżej dziewięciu lat, nachyloną z uwagą nad silnikiem ciężarówki w warsztacie samochodowym, podczas gdy grzebał w nim starszy mężczyzna z białymi wąsami. Matka siedząca na schodach przed drzwiami z papierosem w ustach, przyglądająca się samochodom, z trójką małych dzieci obok. Młody mężczyzna w garniturze, flirtujący od drzwi z dziewczyną za ladą sklepu. Każda scena przemykała i zostawiała w niej irytujące poczucie życia przesypanego się jej przez palce.

Na peryferiach miasta zatrzymali się przy Korporacji Wołowej Buenos Aires i zamówili pampaburgery na wynos. Restauracja tkwiła w mroku niczym uziemione UFO pełne jaskrawych świateł i gładkich, modułowych konstrukcji z plastiku. Kolejno dokowały do niego i odjeżdżały zestawy samochodowych świateł. Sevgi zatrzymała się na chwilę w drodze powrotnej do jeepa, przyciskając do piersi torbę z gorącym jedzeniem, i popatrzyła na rozciągnięte w dolinie światła Cuzco. Poczucie wyruszenia w drogę walczyło z czymś innym, czymś sprawiającym ból, jak wszystkie te żółto oświetlone migawki z cudzych żyć. Pomyślała o Muracie, o Ethanie, o matce gdzieś w Turcji, kto wie, gdzie dokładnie. Nie mogła znaleźć w tym żadnego sensu - po prostu ogólne ćmienie.

*Podobno to przechodzi z wiekiem, Sev.*

*Jasne.*

Z tyłu podszedł Marsalis, klepnął ją w ramię.

- Wszystko w porządku?

- Tak - skłamała.

W samochodzie siadł za kierownicą, po czym uruchomił autopilota. Sevgi zamrugła. Ethan trzymałby kierownicę do chwili, aż oczy skleiłby mu sen.

- Nie chcesz już prowadzić?

- Nie ma sensu. Tam będzie ciemno, a ja nie mówię tym samym językiem co większość tutejszych ciężarówek.

Miał rację. Gdy oddalili się nieco od Cuzco, z mroku zaczęły się wyłaniać automatyczne ciężarówki, startujące wprost z korporacyjnych oddziałów i magazynów na przedmieściach miasta. Wydawały się wyłaniać znikąd, jak wieloryby wynurzające się obok żaglówki, bez żadnego ostrzeżenia, żadnych świateł z tyłu, przemykały obok z gwałtownym podmuchem wiatru, przez chwilę błyskając wysokimi metalowymi burtami wibrującymi w blasku świateł pozycyjnych, potem wyprzedzały ich i znów znikwały w nocy. Systemy jeepa świergotały cicho w oświetlonej deską rozdzielczą kabinie, rozmawiając z każdą ciężarówką, przepytując,

dostosowując się. Może i żegnając.

- Przyzwyczyłeś się do tego na Marsie? - zapytała go. - Do tych maszyn.  
Zmarszczył brwi.

- Przyzwyczyłem się do tego od urodzenia, jak wszyscy inni. No wiesz, mamy wiek maszyn.

- Myślałam, że na Marsie...

- Tak, jak wszyscy. To odruchowy obraz. Maszyny utrzymują wszystkich przy życiu, nie? Cóż, to pewnie pozostałość z wczesnych lat, zanim naprawdę zaczęły działać zmiany środowiskowe. To znaczy z tego, co słyszałem, jeszcze z czasów, gdy nawet naukowcy sądzili, że terraformacja zajmie całe stulecia. Pewnie nie dotarło do nich, co nanotech może zrobić z naszą skalą czasową. Krzywa techniki przyspiesza, a my wszyscy spędzamy życie na próbach nadążenia. - Machnął ręką. - Teraz wciąż został nam obraz czerwonych skał i śluz, wszystkie te zdjęcia z czasów, gdy powietrze nie nadawało się jeszcze do oddychania. Zmiana takich stereotypów wymaga mnóstwa czasu. Ludzie tworzą sobie wyobrażenie czegoś i niechętnie je odpuszczają.

- To akurat cholerna prawda.

Zamilkł, popatrzył na nią. Uśmiechnął się.

- Owszem, prawda. Do tego oczywiście Mars jest cholernie daleko. Trochę za bardzo, żeby polecieć i zobaczyć samemu, rozwiązać złudzenia. Trochę dużo pustki do pokonania tylko w takim celu.

Wraz z ostatnimi słowami z jego twarzy znikł uśmiech. Zauważyła, jak skierował spojrzenie w dal, usłyszała w jego głosie odległość, o której mówił, i nagle gdzieś wywaliło drzwi, wpuszczając do kabiny chłód międzyplanetarnej pustki.

- Nie było przyjemnie, co? - odezwała się cicho. - Tam, w przestrzeni?

Zerknął na nią.

- Nieprzyjemnie.

W kabinie zapanowała cisza, przestrzeń oświetlały niebieskie ekrany, kołyszące się lekko wraz z jazdą jeepa przez mrok.

- Była kobieta - odezwał się w końcu. - W jednej z kriokapsuł. Elena Aguirre, chyba była z Argentyny. Technik glebowy, wracała do domu z kontraktu. Wyglądała trochę jak... ktoś, kogo znałem. W każdym razie mówiłem do niej. Zacząłem dla żartu, wiesz, mówi się sporo rzeczy na głos, żeby zachować zdrowe zmysły. Pytałem ją, jak minął jej dzień, takie rzeczy. Miałaś ostatnio jakieś ciekawe próbki gleby? Kłopoty z nanobami? I

opowiadałem jej, co robiłem, robiłem głupie kawały o spotkaniach z kontrolą lotu i załogą statku ratunkowego.

Odchrząknął.

- Widzisz, po jakimś czasie, gdy jesteś tam sama, zaczynasz dostrzegać wzory, których tak naprawdę wcale nie ma. Fakt, że masz przerabane, przestaje się wydawać przypadkiem. Zadajesz sobie pytanie: czemu ja? Czemu ta statystyczna niemożliwość awarii przydarzyła się właśnie mnie? Zaczynasz myśleć, że gdzieś tam czai się jakaś złośliwa siła, ktoś sterujący tym wszystkim. - Skrzywił się. - To religia, prawda?

- Nie, to nie religia. - Nagła surowość w jej głosie.

- Nie? - Wzruszył ramionami. - Cóż, to najbliższe, czego zaznałem. Wracając do rzeczy, jak mówiłem, zacząłem wierzyć, że gdzieś tam jest coś, co próbuje mnie dostać, a potem miałem wrażenie, że gdyby to było prawdą, to może istnieć też coś innego, coś w rodzaju przeciwnej siły, coś tu, we mnie, może coś, co mnie pilnuje. Zacząłem więc tego szukać, wyglądać znaków. Wzorów, jak powiedziałem. I nie potrzebowałem wiele czasu na znalezienie - widzisz, za każdym razem, gdy zatrzymywałem się przy kriokapsule Eleny Aguirre, za każdym razem, gdy patrzyłem na tę twarz i mówiłem do niej, czułem się lepiej. Całkiem szybko to uczucie przerodziło się we wrażenie bycia chronionym i jeszcze szybciej potem uznałem, że Elena Aguirre została umieszczona na „Felipe Souzie”, żeby mnie chronić.

- Ale ona była - Sevgi rozłożyła dłonie - osobą. Tylko istotą ludzką.

- Nie mówiłem, Ertekin, że to miało jakiś sens. Powiedziałem, że to religia.

- Myślałam - odcięła się ostro - że trzynastki miały być niezdolne do wiary religijnej.

Z pewnością dotyczyło to Ethana. Pamiętała jego obojętność i pełne znudzenia niezrozumienie za każdym razem, gdy próbowała o tym rozmawiać, jakby była jakąś uciekinierką z Jezusowa, próbującą sprzedać mu coś plastikowego i bezsensownego.

Marsalis zapatrzył się w niebieski blask wyświetlaczy na tablicy rozdzielczej.

- Tak, mówią, że nie mamy do tego okablowania. Coś w korze czołowej, z tego samego powodu niezbyt dobrze reagujemy na rozkazy. Ale jak mówiłem, tam w górze było dość paskudnie. Tkwisz w pustej czerni, szukając celu tam, gdzie istnieje tylko przypadek. Czujesz się bezradny, wiesz, że twoje życie lub śmierć zależy od czynników, nad którymi nie masz

żadnej kontroli. Mówisz do śpiących twarzy lub gwiazd, ponieważ to lepsze od mówienia do siebie. Nie wiem nic na temat tego okablowania w korze, mogę tylko powiedzieć, że po kilku tygodniach na pokładzie „Felipe Souzy” czułem się, jakbym miał religię.

- I co się zmieniło?

Znów wzruszył ramionami.

- Wyjrzałem przez okno.

Znów cisza. Obok przejechała kolejna ciężarówka, uderzając w nich podmuchem powietrza. Jeep zachwiał się jak na fali, sunąc przez noc.

- „Felipe Souza” miał iluminatory wychodzące na dolny pokład towarowy - wolno powiedział Marsalis. - Chodziłem tam czasami, kazałem n-dżinnowi odsunąć przesłony. Trzeba zgasić wewnętrzne oświetlenie, zanim coś zobaczysz, a nawet wtedy...

Popatrzył na nią, rozłożył dłonie.

- Tam nie ma niczego - powiedział po prostu. - Żadnego znaczenia, czujnego oka. Nikt nad tobą nie czuwa. Po prostu pusta przestrzeń, a jeśli polecisz dostatecznie daleko, tylko trochę materii w ruchu, która zabije cię, jeśli zdoła. Gdy wreszcie to zrozumiesz, przestajesz się martwić. Przestajesz oczekiwać czegoś lepszego lub gorszego.

- Czyli taka jest twoja ogólna filozofia?

- Nie, to właśnie powiedziała mi Elena Aguirre.

Przez chwilę ją zatkało. To było jak jedna z tych chwil, gdy zupełnie nieoczekiwanie ktoś odzywał się do niej po turecku, a ona wciąż myślała po angielsku i nie potrafiła przetworzyć usłyszanych słów.

- Przepraszam?

- Jak mówiłem. Elena Aguirre powiedziała mi, żebym przestał wierzyć w te bzdury i przyjął do wiadomości to, co widzę za oknem.

- Nabijasz się ze mnie? - zapytała sztywno.

- Nie, nie nabijam się z ciebie. Mówię ci, co mi się przydarzyło. Stałem przed tym oknem ze zgaszonymi światłami, wyglądając na zewnątrz, i usłyszałem, jak w ciemności za mną staje Elena Aguirre. Oddychając. Mówiąc mi do ucha.

- To niemożliwe!

- Tak, wiem o tym. - Teraz się uśmiechnął, ale nie do niej. Znów patrzył na światła deski rozdzielczej niewidzącym wzrokiem, pustym w blasku elektroniki. - Cały pokład upaśćkałaby żelazem ze zbiornika, prawda? Nie wspominając o tym, że wyłaząc z tego zbiornika, włączyłaby wszystkie



alarmy na pokładzie. To znaczy, nie wiem, jak długo stałem bez ruchu przy oknie po tym, jak odeszła, człowiek traci tam poczucie czasu, a ja byłem nieźle przerażony, ale...

- Przestań. - Usłyszała ostry ton własnego głosu. Poczula jak wzdłuż jej kręgosłupa przesuwają się dreszcz niczym dotyk zimnej dłoni. - Przestań. Bądź poważny.

Zmarszczył czoło w niebieskim świetle.

- Wiesz, Ertekin, jak na kogoś, kto wierzy w głównego architekta wszechświata i duchowe życie po śmierci, przyjmujesz to zdumiewająco ciężko.

- Słuchaj. - Rzucone jak wyzwanie. - Skąd mogłeś wiedzieć, że to ona? Ta Elena Aguirre? Nigdy nie słyszałeś jej głosu?

- A jakie to ma znaczenie?

W pytaniu kryła się cicha prostota, która ją przełamała, nagle i bezcieleśnie, jak seks, gdy pierwszy raz zrobiła to we właściwy sposób i doszła, jak jej pierwsze miejsce zabójstwa przy torach obok Barnett Avenue. Jak przyglądanie się, jak Nalan przestaje oddychać na szpitalnym łóżku. Bezradnie potrząsnęła głową.

- Ja...

- Widzisz, pytałaś, czy było ciężko - powiedział cicho. - No to ci mówię, jak ciężko się zrobiło. To zeszło bardzo głęboko, Sevgi. Dostatecznie głęboko, by zdarzyły się bardzo dziwne bzdury, niezależnie od wszelkiego warunkowania genetycznego.

- Ale nie możesz wierzyć...

- Że Elena Aguirre była wcieleniem pilnującej mnie obecności? Oczywiście, że nie.

- W takim razie...

- Ona była metaforą. - Odetchnął, jakby się czegoś pozbył. - Ale wyrwała się spod kontroli, jak czasem dzieje się z metaforami. Gdy schodzisz tak głęboko, tracisz kontrolę nad tymi rzeczami, pozwalasz im się wydostać. Pewnie mam szczęście, że to, co czekało na mnie tam w dole, pozwoliło mi się uwolnić. Może moje okablowanie genetyczne jednak przyprawiło to coś o niestrawność.

- O czym ty mówisz? - Czysta złość. Nie potrafiła ukryć jej w swoim głosie. - Niestrawność? Metafory? Nie rozumiem nic z tego, co do mnie mówisz.

Zerknął na nią, może zdziwiony jej tonem.

- Nie szkodzi. Pewnie wcale za dobrze tego nie wyjaśniam. Sutherland zrobiłby to lepiej, ale on miał całe lata na przemyślenia. Powiedzmy po prostu, że tam, w przelocie, wmówiłem sobie coś na poziomie podświadomości i potrzebowałem wymyślonego, podświadomego pomocnika, żeby się z tego wyciągnąć. Czy to ma więcej sensu?

- Nie bardzo. Kim jest Sutherland?

- To trzynastka, facet, którego poznałem na Marsie, ktoś, kogo Japończycy pewnie nazwaliby sensei. Uczy tanindo w obozach na wyżynach. Zwykł mawiać, że ludzie całe swoje życie przeżywają dzięki metaforom, a problemem trzynastek jest fakt, że za dobrze pasujemy do metaforycznej szufladki dla wszystkich tych złych rzeczy czających się w mroku za ogniskiem, szufladki opisanej „potwór”.

Z tym nie mogła się spierać. Pamięć wbiła się aż po jelec, zwrócone ku niej twarze pełne niemego oskarżenia gdy wiedzieli już, czym był Ethan. Przyjaciele, znajomi, nawet Murat. Gdy już wiedzieli, nie widzieli już znanego sobie Ethana, tylko ukształtowany na jego podobieństwo kawałek ciemności, jak wstępny obrys służący w wirtualizacji za model mordercy Toni Montes.

- Potwory, kozły ofiarne. - Słowa opuściły jego usta jak rozdawane karty. Ton zrobił się nagle prześmiewczy. - Anioły i demony, niebo i piekło, Bóg, moralność, prawo i język. Sutherland ma rację, to wszystko metafory. Rusztowanie zapewniające podparcie w rejonach, w których nie wystarczy wam sama rzeczywistość, w których jest zbyt zimno, by ludzie mogli wytrzymać bez jakichś wymysłów. Kodyfikujemy nasze nadzieje, strachy i pragnienia, a potem na tym kodzie budujemy całe społeczeństwa. A później zapominamy, że to kiedyś był kod, i traktujemy go jak fakt. Zachowujemy się, jakby wszechświat się tym przejmował. Idziemy z tego powodu na wojny, wieszamy dla niego kobiety i mężczyzn. Wysadzamy w jego imię pociągi i wieżowce.

- Jeśli znów mówisz o Dubaju...

- Dubaj, Kabul, Taszkient i jeszcze całe pieprzone Jezusowo. Nie ma znaczenia, gdzie spojrzysz, wszędzie to samo cholerstwo, to ludzie. To...

Urwał nagle, wciąż patrząc na niebieskie wyświetlacze, ale tym razem z uwagą.

- Co jest?

- Nie wiem. Zwalniamy.

Wykręciła się na fotelu, by wyrzeć przez tylną szybę. Żadnego śladu

ciężarówce, którą mogliby blokować. I żadnych migających czerwonych świateł na wyświetlaczu, informujących o problemie sprzętowym. Mimo wszystko jeep zwalniał.

- Shackowali nas - ponuro stwierdził Marsalis.

Sevgi wyjrzała przez boczne okna. Żadnych świateł w polu widzenia, jednak skromny sierp księżycy pokazał jej blady, nierówny krajobraz skał i krzaków z górskim zboczem po prawej i czymś, co wyglądało na przepaść po drugiej stronie trasy. Droga omijała tu łukiem zbocze góry i zwęziła się do jednej nitki w każdą stronę. Środkowy pas skurczył się do szerokiego na metr wskaźnika luminescencyjnego namalowanego na wiecznobetonie dla automatycznych ciężarówek. Żadnych świateł ani śladów ludzkich siedzib. Brak ruchu.

- Jesteś pewien?

- A ile pewności potrzebujesz? - Ujął kierownicę i spróbował przełączyć na ręczne sterowanie. System wyblokował go potrójnym sygnałem ostrzegawczym i pulsującym na pomarańczowo trójkątem. Jeep toczył się ociężale w dół krzywizny. Poderwał ręce i kopnął pedały pod stopami. - Widzisz? Sukinsyn.

Nie było jasne, czy mówi do maszyny, czy też o tym, kto nią teraz sterował. Sevgi sięgnęła po swój pistolet, wyciągnęła go z kabury pod pachą i odbezpieczyła. Marsalis usłyszał kliknięcie, na chwilę skupił wzrok na broni w jej rękach. Potem nachylił się nad tablicą rozdzielczą i wcisnął guzik zatrzymania awaryjnego. Tablica rozbłysła czerwienią i zadziałały hamulce. Wciąż mieli całkiem sporą prędkość. Opony jeepa zaskrzeczały w proteście. Wpadli w poślizg, ale niewielki. Gwałtownie się zatrzymali.

Cisza - i klikanie przełączających się świateł awaryjnych. Niknący krąg czerwonego światła w każdym rogu samochodu. Światło, mrok. Światło, mrok.

- Dobra.

Nacisnął przycisk rozkładania fotela, co pozwoliło mu sięgnąć do tyłu jeepa. Pochylił się i zanurkował tam, wisząc na biodrach i szukając czegoś. Jego głos odbił napięcie wysiłonych mięśni brzucha. - Widywałem już coś takiego w Zagros. Przeważnie z drugiej strony barykady. Zdarzało nam się wyłapywać irańskie transportery w pułapkę. Przejmowaliśmy je na długo, zanim nas wykryli. - W jego rękach pojawił się odrzucony zaraz koc. - Jak już przebijesz się przez protokół sterowania, możesz z nimi zrobić praktycznie co zechcesz. - Grzechot rozsypywanych części. Naciągnął się

jeszcze mocniej. - Zderzyć je ze sobą, zjechać z krawędzi urwiska, jeśli jakies jest w okolicy. Albo na starannie umiejscowioną minę. Szlag.

- Co ty tam robisz?

- Szukam jakiejś broni. Nie spodziewam się, żebyś chciała się ze mną podzielić tą beretką, prawda? Zobowiązania kontraktowe i cała reszta. - Usiadł z powrotem na miejscu, ze złością zaciskając zęby, rozejrzał się wokół, po czym otworzył drzwi. Wysiadł i podbiegł do tyłu samochodu. Pył wzniesiony przez gwałtowne hamowanie unosił się na lekkim wietrze i otoczył pojazd. Po chwili odpłynął, upiornie cichy, podświetlany sporadycznie przez światła awaryjne. Sevgi obejrzała się i zobaczyła, że Marsalis luzuje coś przy tylnej klapie. Z każdym szarpnięciem jeep kołysał się na zawieszaniu. Błyski czerwonego światła nadawały jego napiętej od wysiłku i skupienia twarzy demoniczny wyraz. Wydało jej się, że słyszy stęknienie. Coś się oderwało.

Wrócił do drzwi, trzymając w dłoniach składaną łopatkę.

- No dobra, posłuchaj - odezwał się, nagle spokojny. - Jeśli mamy szczęście, to lokalne zbiry, przyzwyczajone do wyłapywania łatwych ciężarówek i czasem autobusów wycieczkowych. Jeśli tak, to pewnie mamy jeszcze kilka minut, zanim dotrze do nich, co zrobiliśmy. Potem może jeszcze trzy albo cztery minuty, żeby się zebrali i przyszli nas poszukać. Jak by na to nie patrzeć, niedługo. Czyli podręcznikowa reakcja: musimy zostawić samochód i szybko znaleźć jakąś kryjówkę.

Sevki kiwnęła głową, nagle zdając sobie sprawę, jak zaschło jej w ustach. Odciągnęła suwak beretty, przechylając ją w bok, by odczytać znacznik magazynka na boku. Trzydzieści trzy plus jeden w komorze. Pistolety Marstechu strzelały najnowocześniejszymi pociskami, cienkimi jak ołówki, celnymi na długi dystans i wybuchającymi przy trafieniu. Odchrząknęła i uniosła beretkę.

- Myślisz, że zdołamy ich przegonić?

Popatrzył na nią. Światła awaryjne odmalowały go na czerwono, czarno, czerwono, czarno, czerwono, czarno. Popatrzył na trzymaną w dłoniach złożoną łopatkę. Rozłożył ją. Potem znów popatrzył na nią, zaciskając mechanizm blokujący, a jego głos zabrzmiał prawie łagodnie.

- Sevgi, będziemy musieli ich zabić.

## ROZDZIAŁ 31

Było ich siedmiu.

Obserwujący ze swojego niewysokiego punktu widokowego Carl stwierdził, że to peruwiańscy żołnierze, i nieco się odprężył. Grupa uderzeniowa *familias* byłaby gorsza. Pozwolił się uaktywnić siatce, poczuł, jak wypełnia jego mięśnie niczym furia. Jego wzrok wyostrzył się na żołnierzach idących na przędzie. Szli we trzech po przeciwnym pasie, dziesięć kroków przed sunącym powoli otwartym jeepem wojskowym wiozącym pozostałych czterech i karabin maszynowy na podstawie. Pojazd sunął ze zgaszonymi światłami - przynajmniej tyle robili dobrze - a idąca przodem grupa trzymała broń w gotowości. Niezdarne napięcie w sposobie ich poruszania krzyczało o zdenerwowaniu poborowych. To mogli być ci sami uśmiechnięci, rozmawiający o futbolu chłopcy, z którymi zabrał się kilka miesięcy temu w drodze po Graya. Przy odrobinie szczęścia okażą się równie młodzi i nieprzygotowani.

Zatrzymali się dwadzieścia metrów od czerwonych świateł awaryjnych rozbłyskujących i gasnących w rogach znieruchomiłego jeepa INKOL. Mamrotali coś po hiszpańsku, zbyt cicho, by wyłapać słowa. Krzywizna drogi była niewielka - światła musieli widzieć przynajmniej przez ostatnie sto metrów, ale dopiero teraz zatrzymali się, żeby ustalić taktykę. Carl uśmiechnął się pod nosem i poprawił uchwyt na trzonku. Metalowa krawędź łopatkki dotknęła jego twarzy, zimna i starta od używania.

Jeep trochę się cofnął. Idący przodem żołnierze przekroczyli fluorescencyjny pas, rozglądając się na boki jak dobrze wyszkolone dzieci. Carl miał wrażenie, że gdzieś w oddali usłyszał odległą syrenę automatycznej ciężarówki, jednak nie dało się stwierdzić, jak jest daleko ani z której strony nadjedzie. Poza tym nie było tu niczego oprócz słabego światła księżyca na porowatych skałach i poszarpanego górskiego tła. Na niebie błyszczały gwiazdy, prawie równie jasne jak na Marsie. Było na tyle cicho, że dało się słyszeć bliski już stuk obutych stóp na wiecznobetonie przy akompaniamencie cichego warkotu antycznego silnika jeepa.

*Cała cholerna siódemka. Chryste, Ertekin, mam nadzieję, że do tego dorosłaś.*

Zapytał ją, czy wie, jak zabić kogoś tą matowoszarą berettą, czy

zastrelała już kogoś na śmierć. Po części miał nadzieję, że się załamie i odda mu broń. Za odpowiedź musiało mu wystarczyć jej spojrzenie, jednak nie powiedziała wprost i wciąż nie wiedział.

Straż przednia doszła do samochodu INKOL. Podeszli do szyby i zajrzeli do kabiny. Pociągnęli za klamki i krzyknęli zaskoczeni, gdy drzwi gładko się otworzyły na hydraulicznym wspomaganiu. Nerwowo wsadzili do środka lufy broni. Teraz słyszał już ich rozmowę. Wymuszona brawura przebijająca się z miękkiego, hiszpańskiego akcentu znad wybrzeża jak granit przez jedwabną tkaninę. Gadanina młodych chłopców.

- Sprawdziłeś tył, Ernesto?

- Jasne, stary. Mówię ci, nie ma. Uciekli. Mówiłem sierżantowi, że trzeba było ich załatwić w starym stylu. Migające światła, blokada drogi, to nigdy nie zawodzi.

- Ty to się znasz. - Trzeci głos, zza drugiej strony jeepa. Brzmiał na trochę starszy. - To nie jest jakiś boliwijski związkowiec, to pieprzona trzynastka. Przejechałby prosto po nas, rozjechałby nas na cholerne kawałki.

- Ta cipa gringa, to ją wypieprzę na kawałki, gdy ich złapiemy.

Śmiech.

- To nie gringa, Ernesto. Nie widziałeś zdjęcia? W Barranca mam szwagierkę ze skórą jaśniejszą od niej.

- Hej, ona jest z Nowego Jorku. Dla mnie to wystarczająco dobre pieprzenie.

- Wiecie co, chłopaki? Niedobrze mi się od was robi. Co by było, gdyby słyszały was teraz wasze matki?

- Daj spokój, Ramon. Nie bądź przez całe życie pieprzonym ministrantem. Widziałeś zdjęcia tej suki, czy nie? Ma cycki jak Cami Chachapoyas. Nie mów mi, że nie chcesz się do niej dobrać.

Ramon nie odpowiedział. Zrobił to za niego ten trochę starszy.

- Wiecie co? Jak będziecie ją ruchać, lepiej najpierw sobie natryśnijcie. Te gringas roznoszą straszne syfy. Mam kuzyna w Nowym Jorku, mówi, że te dziwki pieprzą tam wszystko, co się rusza.

- Stary, ty masz rodzinę na całym świecie, nie? Jak...

Z jeepa dobiegł krzyk podoficera.

- Kapralu, raport!

- Nic tu nie ma, sir! - odkrzyknął starszy. - Uciekli. Trzeba przeszukać teren.

Od strony samochodu dobiegło coś niewyraźnego o pieprzonej

podczerwieni. Carl domyślił się, że pewnie nie mieli sprzętu.

- Przeszukać teren. Do jasnej cholery, mówię wam, jak złapiemy tego świra i jego sukę...

Już czas.

Pozwolił się prowadzić furii, przetoczył się, odbił się od pokrywy studzienki ściekowej i wylądował z metrem zapasu, zasłonięty przed wojskowym wozem jeepem INKOL. Odporny na temperaturę elastyczny brezent, pod którym się ukrył, rozciągnął się podczas przewrotu, puścił go, a potem trzasnął cicho przy lądowaniu.

To było ich jedyne ostrzeżenie.

Uderzył w wiecznobeton pośród umundurowanych ciał. Rzucił się na nich, nie mając czasu na liczenie. Ten z przodu się obrócił, nie został wyeliminowany...

- Cholera, Ramon, co ty robisz?

Żołnierz nie rozumiał, co się dzieje. Obracał się, niechroniony, ledwie poirytowany, gdy Carl zamachnął się łopata w jego twarz. Trysnęła krew, ciepła i niewidoczna w mroku, ale poczuł ją na swoim policzku. Mężczyzna puścił swój karabin szturmowy i chwycił się za policzek, wydał mokry dźwięk, po czym padł z krzykiem. Carl już się od niego obracał. Drugi mundurowy podnosił się na czworaka. Ramon ministrant? Carl uderzył łopata w miękki czubek czaszki. Chłopak wydał odgłos jak przerażona krowa i padł bezwładnie. Znow trysnęła krew, malując mu twarz ciepłem.

Trzeci żołnierz wciąż znajdował się po drugiej stronie jeepa INKOL. Obiegł samochód od tyłu, a Carl już na niego czekał z wilczym uśmiechem, czarny i spryskany krwią pozostałych dwóch. Żołnierz spanikował, krzyknął. Zapomniał unieść swoją broń.

- Jest tutaj...

Carl skoczył. Dźgnął ostro łopata, krawędzią prosto w gardło żołnierza. Ostrzegawczy krzyk utonął w gulgocie. Carl pokonał dzielącą ich przestrzeń, jedną ręką zablokował spóźnione uniesienie lufy karabinu szturmowego, a drugą wbił trzonek łopaty w nos mężczyzny. Walka zgasła, żołnierz z charkotem padł na ziemię. Carl obrócił łopatkę i uderzył jeszcze raz w gardło przeciwnika, aż tamten ucichł.

Noc rozpadła się, przecięta reflektorami drugiego jeepa. Krzyki z drugiej strony. *Jeszcze czterech*. Nie wiadomo, ilu siedziało jeszcze w samochodzie, ilu już wysiadło...

*No, Ertekin. Bierz się do roboty.*

Strzały - płaski, wysoki trzask marstechowego pistoletu, sześć kolejnych, szybkich strzałów. Światła zgasły. Przestraszone krzyki z jeepa.

*Cholera. Niezłe strzały, dziewczyno.*

- Ognia!

Carl padł na asfalt. Kopniakiem odsunął z drogi wijącą się i krzyczącą ofiarę z rozbitą twarzą, chwycił jego karabin. Luźno zarejestrował, że to spracowany brazylijski imbel, może nie najnowocześniejszy, ale...

Skądś rozległy się strzały z karabinu maszynowego zamontowanego na wojskowym samochodzie. Hałas rozdarł noc. Grzmot strzałów i głośnie trzaski, gdy pociski kalibru .50 roztrzaskiwały się na opancerzonym boku pojazdu INKOL. *Marstech, marstech, mamy marstech.* Przez jego głowę zaczęła maszerować dziecięca rymowanka wraz z obrazami dzieciaków, które wykrzykiwały ją przed plastobańkami w Wells. Carl wyszczerzył się w sztywnym, bojowym uśmiechu, przeczołgał się za osłoną pojazdu i wystawił imbela spod samochodu. Puścił spod osłony dłuższą serię, potem przerwał ogień. Krzyki pełne zmieszania. Karabin maszynowy nieoczekiwanie umilkł. Carl przycisnął twarz do betonu i wyrzwał. Nic - wzrok wciąż miał przyćmiony od światła reflektorów. Zacisnął na chwilę oczy, spróbował ponownie.

- Pierdolony świrowaty gno...

Zaatakował go ranny żołnierz, waląc pięściami, z kawałkami twarzy zwisającymi w miejscach, w których rozcięła ją łopatką. W jego głosie brzmiały wysokie tony świadczące o chłopięcej furii. Carl walnął go kolbą imbela w szczękę, potem jeszcze raz w okolice rany. Żołnierz wrzasnął i odskoczył w tył. Carl uniósł kolbę karabinu do ramienia. Krótka, terkotliwa seria. Płomień z lufy oświetlił zniszczoną twarz chłopaka, sięgnął i dotknął jego piersi i niczym w magicznej sztuczce odrzucił go przez drogę jak szmacianą lalkę.

Karabin maszynowy znów zaczął strzelać i umilkł równie szybko po rozkazach wykrzyczanych z jeepa. Carl, wciąż z uśmiechem na twarzy, wstał i zakradł się do rogu pojazdu INKOL. Przyklęknął i wyrzwał, mrużąc oczy i wyciągając szczegóły z przeciążonych błyskami oczu. Dostrzegł sylwetkę żołnierza przy karabinie maszynowym. Oceniał odległość na jakieś czterdzieści metrów. Trudno było wyłapywać szczegóły przez bolące oczy, ale...

*Lepiej to załatwić.*

Jakby go usłyszała, znów zatrzeszczał marstechowy pistolet Ertekin, trzy



szybkie strzały. Żołnierz przy karabinie wykręcił swoją broń w stronę dźwięku. Carl przyłożył imbela do ramienia, wyjrzał nad maską jeepa, wycelował i nacisnął spust. Terkotliwy hałas przy uchu, a z lufy znów długi, jasny płomień, przecinający zimną noc. Długa seria, z powrotem za zasłonę, nie zatrzymywać się, żeby sprawdzić.

Ale i tak już wiedział.

Karabin maszynowy nie odpowiedział.

Odczekał jeszcze minutę, tak na wszelki wypadek - *żeby zdławić tę bzdurną arogancję trzynastek, tak, Sutherland?* - po czym wystawił kolbę karabinu nad maskę. Żadnych strzałów. Przeszedł na tył jeepa i wysunął głowę na tyle, by zobaczyć drugi pojazd.

Ciche, bezwładne postacie leżące obok otwartego jeepa. Karabin maszynowy, surowy i chudy pośród zniszczeń, zwisał nieobsadzony lufą w dół. Carl wyszedł zza zasłony. Zatrzymał się. Powoli ruszył do przodu, z siatką zwijającą się wzdłuż nerwów po zakończonej walce. Pokonał odległość dzielącą go od jeepa, idąc ostrożnie po łuku. Kątem oka dostrzegł Ertekin wychodzącą na drogę z krzaków, w których się schowała. Dotarł do jeepa sporo przed nią, czujnie obszedł go dookoła, a potem stanął, przyglądając się swojemu dziełu.

- No cóż, chyba się udało - powiedział w przestrzeń.

Wyglądało na to, że sierżant wysiadł z jeepa i biegł na pomoc swoim ludziom, gdy natknął się na serię z imbela. Leżał teraz odrzucony na przednie koło jak pijak, który potknął się na kamieniu. Nad nim na kierownicy opierał się żołnierz prowadzący samochód, z odstrzeloną twarzą i mózgiem wyciekającym na koszulę jak rozlany sos. Żołnierz obsługujący karabin maszynowy zwisał z tyłu jeepa, zaczepiony stopą o coś, co uniemożliwiło pociskom z imbela zrzuć go z pojazdu. Głową prawie dotykał wiecznobetonowej powierzchni drogi, chłapiącą twarz wykrzywiało przerażenie i patrzył pusto znieruchomiałymi oczami na przechodzącego obok Carla.

Ostatni żołnierz leżał zwinięty z tyłu jeepa jak dziecko bawiące się w chowanego. W słabym świetle jego mundur połyskiwał krwią, ale ruchy klatki piersiowej zdradzały, że wciąż oddycha. Carl sięgnął i chwycił go za ramię. Żołnierz powoli otworzył oczy. Na widok Carla zamrugał zaskoczony. Gdy otworzył usta, w ich kącikach pękły bańki krwi.

- Wujku Gregorio - wyszeptał cicho. - Co ty tu robisz?

Carl tylko na niego popatrzył, a oczy żołnierza znów się zamknęły. Jego

głowa przechyliła się nieco na bok, oparła się o burtę jeepa. Carl sięgnął jeszcze raz i poszukał pulsu. Westchnął.

Doszła do niego Ertekin.

- Jesteś cała? - zapytał ją nieobecny głosem.

- Tak. Marsalis, masz krew...

- Nie moja. Mogę na chwilę dostać ten twój marstechowy sprzęt?

- Uch. Jasne.

Podawała mu broń, wzięła zaoferowanego w zamian imbela. Przez chwilę ważył berettę w dłoni, sprawdzając bezpiecznik i wskaźnik magazynka. Potem uniósł ją i strzelił młodemu żołnierzowi w twarz. Głowa chłopaka odskoczyła. Zwisła. Ustawił z powrotem bezpiecznik, chwycił dłonią ciepłą lufę i podał pistolet z powrotem Ertekin.

Nie wzięła go. Jej głos, gdy się w końcu odezwała, był ostry od kontrolowanej wściekłości.

- Po co do cholery to zrobiłeś?

Wzruszył ramionami.

- Bo nie był martwy.

- A więc musiałeś go zabić? - Teraz przestała hamować złość. Nagle zaczęła krzyczeć. - Popatrz na niego, Marsalis. On nie był zagrożeniem, był ranny...

- Tak. - Carl wskazał ręką na opuszczoną drogę i pustą okolicę. - Widzisz tu gdzie szpital?

- W Arequipie...

- W Arequipie byłby pieprzonym obciążeniem. - Teraz sam pozwolił sobie na złość. - Ertekin, musimy szybko dotrzeć do Greta Jurgens, zanim dowie się o tym, co tu dzisiaj zaszło. Nie mamy czasu na odwiedziny w szpitalach. To nie jest... co?

Ertekin zmarszczyła brwi, w jednej chwili zapominając o złości. Sięgnęła do kieszeni kurtki. Wyciągnęła z niej telefon, który wibrował cicho, błyskając wzdłuż brzegów bladym, krystalicznym światłem.

- Chyba żartujesz. - Carl z kompletnym niedowierzaniem popatrzył wzdłuż drogi. - O tej porze?

- Dzwonił już wcześniej - powiedziała, przystawiając urządzenie do ucha.

- Chwilę przed rozpoczęciem strzelaniny. Nie miałam czasu odebrać. Ertekin.

Potem słuchała w skupieniu. Kilka razy potwierdziła coś monosylabami. Rozłączyła się i schowała telefon, z twarzą pełną spokoju i zamyślenia.

- Norton - domyślił się.

- Tak. Czas wracać do domu.

Zagapił się na nią.

- Co?

- Zgadza się. - Spojrzała mu w oczy, pod spokojem kryło się coś twardszego. - Dzwoniła Ochrona Wybrzeża. Mają ciało. Musimy wracać.

Carl potrząsnął głową. W jego nerwach wciąż nie wygasły pozostałości strzelaniny, znów próbowała się uaktywnić siatka.

- No to teraz mają ciało. Kolejne. Też mi nowość. Zamierzasz się wycofać teraz, gdy właśnie do czegoś dochodzimy?

Ertekin popatrzyła na masakrę.

- Ty to nazywasz dochodzeniem do czegoś?

- Próbowali nas zatrzymać, Sevgi. Próbowali nas zabić.

- Próbowali nas też zabić w Nowym Jorku. Chcesz tam wracać? Zresztą, skoro o tym mowa, Névant próbował cię zabić w Stambule. Przemoc idzie twoim śladem, Marsalis. Tak jak za Merrinem, jak...

Zacisnęła usta.

Carl popatrzył na nią i poczuł ogarniające go znużenie. Ukrył je pod uśmiechem.

- Proszę bardzo, Sevgi, powiedz to. „Tak jak za Ethanem”. - Machnął ręką. - No dalej, zrzuć to z tej swojej pięknej piersi. Tak właśnie myślisz.

- Nie masz żadnego cholernego prawa zakładać...

- Nie? - Urwał dla efektu. - Och tak, zapomniałem. Masz perwersyjne skłonności do pieprzenia pechowców, a przez to wydaje ci się, że nie patrzysz na nas w taki sam sposób jak reszta całej cholernej rasy ludzkiej. Cóż, trzeba czegoś więcej niż hiszpański numer i parę pobrudzonych prześcieradeł, żeby...

Nagle znalazł się na ziemi.

Leżał na plecach w pyle drogi, patrząc w górę, podczas gdy ona stała nad nim, obejmując lewą dłońią prawą pięść.

- Skurwysyn - powiedziała z nutką zdziwienia.

Zdał sobie sprawę, że zbliżyła się, zanim wyprowadziła uderzenie. Prawy sierpowy albo od dołu, nie potrafił skojarzyć. Nie dostrzegł ciosu.

- Myślisz, że nie byłam na twoim miejscu, Marsalis?

Dźwignął się na łokciu.

- Znaczy jak, płasko plecami na drodze?

- Stul pysk. - Trzęsła się. Może odpuściła ją adrenalina po strzelaninie. Może nie. - Myślisz, że nie wiem, jak to jest? Zastanów się, kretynie. Spróbuj

dorastać jako muzułmanka na Zachodzie, gdy Bliski Wschód znowu zaczyna się burzyć. Spróbuj dorastać jako kobieta w kulturze zachodnich muzułmanów znowu walczących z mentalnością twierdzy. Spróbuj być jedną z ledwie trzech tureckich policjantek patrolujących ulice w dzielnicy Nowego Jorku zdominowanej przez detektywów mężczyzn, na dodatek greckiego pochodzenia. Hej, spróbuj sypiać z trzynastką, zbierzesz prawie tyle samo gówna jak będąc nim, nie wyłączając członków twojej cholernej rodziny. Tak. Ludzie są głupi, Marsalis. Myślisz, że trzeba mi kolejnych lekcji?

- Nie wiem, czego ci potrzeba, Ertekin.

- Zgadza się, nie wiesz. I posłuchaj: masz jakiś pieprzony problem z tym, co zrobiliśmy w Stambule, to radź sobie z tym, jak potrafisz. Ale nie waż się nigdy, *nigdy* ponownie poddawać w wątpliwość mojego związku z Ethanem Conradem. Bo przysięgam, że następnym razem cię zastrzelę.

Carl pomasaował szczękę. Ostrożnie poruszył nią w lewo i w prawo.

- Mogę już wstać?

- Rób, co chcesz.

Odsunęła się od niego, patrząc gdzieś ponad ciałami i suchym krajobrazem. Ostrożnie podniósł się z ziemi.

- Ertekin, posłuchaj mnie przez chwilę. Rozejrzyj się. Popatrz na to wszystko.

- Patrę.

- Właśnie. To chyba musi mieć jakieś znaczenie, prawda?

Wciąż nie chciała mu spojrzeć w twarz.

- Tak, to pewnie znaczy, że Manco Bambaren ma już dość twojego rozbijania się po swoim podwórku.

- Och, daj spokój, Ertekin. Do cholery, jesteś gliną.

- Zgadza się, jestem gliną. - Nagle odwróciła się w jego stronę. Dostatecznie szybko, by prawie uaktywnić odruch bloku. - A w tej chwili, podczas gdy daję się ciągnąć wokół Ziemi, przyglądając się, jak realizujesz swój genetyczny potencjał do hurtowej rzezi, inni gliniarze gdzie indziej zajmują się prawdziwą policyjną robotą i do czegoś dochodzą. Norton miał rację, tracimy czas. Wracamy.

- Popełniasz błąd.

- Nie. - Potrząsnęła głową, podjęła decyzję. - Błąd popełniłam w Stambule. Teraz zamierzam go naprawić.

# CZEŚĆ IV

## W MORZE

Przez cały czas musimy strzec się przed złudnym poczuciem osiągnięcia końca. Zalecenie zmiany, jak czyni to niniejszy dokument, nie sugeruje, że opisywany problem zniknie lub nie będzie już wymagał uwagi. W najlepszym razie zniknie z widoku, a to może być wynikiem przeciwnym do zamierzonego, ponieważ z pewnością wywoła samozadowolenie, na które nie możemy sobie pozwolić.

RAPORT JACOBSENA  
*Sierpień 2091*

## ROZDZIAŁ 32

Greta Jurgens przyszła do pracy trochę wcześniej, pokonując opuszczone podwórze z białego kamienia tuż obok Plaža de Armas zanim słońce znalazło się dość wysoko, by je oświetlić. Mimo tego oczy osłoniła przed blaskiem okularami słonecznymi w grubej oprawce a szła w tempie właściwym dla letnich upałów lub dla kobiety dwa razy starszej od niej. Nie była drobnokoścista ani nawet szczególnie bladokóra jak na jej germańskie dziedzictwo, ale w porównaniu do dwóch masywnych i ciemnoskórych Samończyków, którzy codziennie eskortowali ją z limuzyny, wydawała się delikatna i blada. Gdy dotarła do kruzganków na skraju dziedzińca mieszczącego jej biuro i weszła pod kamienny dach przed drzwiami, zadygotała mocniej, niż zrobiłaby to większość ludzi. Wiedziała, że nadciąga październik, fala zimna wypełniająca jej krew. Nadchodziły ciemniejsze, zimne dni.

W Europie, do której wy skalowano jej okresowy cykl metabolizmu, jesień panowała na dobre i powoli przechodziła w zimę. *A ty nigdy nie mogłaś się zebrać na tyle, żeby się przekalibrować, co, Greta? Zbyt mało zaufania dla lokalnych specjalistów - to była skomplikowana procedura, sięgająca bardzo głęboko - i zbyt mało nadmiarowych dochodów lub czasu, by wrócić i zapłacić komuś zaufanemu. Tak, i jeśli masz być szczerą, nigdy też nie było właściwego momentu. Ciągłe zbyt zajęta, potem zbyt pogrążona w depresji, potem zbyt śpiąca.* Było to dość standardowe narzekanie hibów - oprócz nieco bardziej oczywistych czynników fizycznych, zestaw hormonalny hibernoidów powodował fluktuacje duchowe o prawie ekstremalnych odchyleniach. Przez cały aktywny segment cyklu tryskała energią jak przeładowane dynamo silnika magnetycznego, pracując, załatwiając, pośrednicząc i ogólnie żyjąc, ale zawsze zbyt zajęta, zbyt zajęta by odpocząć, odprężyć się, spać albo martwić o drobiazgi w rodzaju zmiany życia na lepsze. Potem, gdy przyływ hormonów zaczynał się cofać, tego rodzaju rozważania zaczynały wysuwać się na czoło, jednak obciążone tak potężnym poczuciem znużenia wobec przeważającej szansy, że wszystko, co mogła zrobić, to powstrzymać się przed płaczem z powodu bezsensu prób zrobienia czegokolwiek takiego. *Lepiej to po prostu przespać, lepiej odpuścić tym razem, zająć się tym znów na wiosnę i...*

I wszystko zaczynało się od początku.

*Niekorzystny psychologiczny skutek uboczny*, głosił suchy tekst raportu Jacobsena, *o pewnych niekorzystnych skutkach dla dotkniętych nim osób, ale niewymagający uwagi tego komitetu, niestanowiący również zagrożenia społecznego.*

*Nieco niekorzystny. Jasne.* Jej palce przewędrowały po panelu kodowym drzwi, powoli i niezdarnie, jakby nie należały do niej. Samoanccy stali po bokach. Isaac i Salesi, obaj żołnierze *familii* od wczesnej młodości, od dawna przeszkoleni w zachowaniu kamiennej twarzy podczas eskortowania - wiedzieli, że nie należy oferować pomocy. Już od kilku dni była w fatalnym nastroju, poirytowana i skora do wybuchów. Zawodziła ją ocena sytuacji, ledwie działały umiejętności socjalne. W normalnych okolicznościach już oddałyby kierowanie operacjami Manco jednemu z jego bystrzejszych podwładnych i pozwoliłyby się uśpić zimnej fali opiatów. Ukryłyby się w domu, w ustroniu Colca, przygotowując się na nadciągający długi sen. W normalnych okolicznościach nie musiałyby...

Pojawił się znikąd.

Wciąż miała na oczach okulary słoneczne, rozmazane o poranku widzenie kątem oka i niezbyt aktywne w tej części cyklu zmysły - nic dziwnego, że nie widziała, jak to się stało. Jej pierwszym ostrzeżeniem był odgłos twardego, nieprzyjemnego uderzenia za plecami. Otwarte kodem drzwi odchyłały się już do wewnątrz. Poczowała, jak potężna dłoń jednego z ochroniarzy uderza ją w plecy, wpychając do środka. Potknęła się, złapała róg biurka w ciasnym biurze, z wysiłkiem próbowała zrozumieć.

*Zostaliśmy zaatakowani.*

*Nieemożliwe.* Jej umysł natychmiast odrzucił tę wersję, podsuwając rozmazane obiekcje. Manco już przed dekadą opanował gangi Arequipy, zawarł sojusze, resztę usunął. Nikt - *nikt* - nie był dość głupi, by się wyłamywać. A dziedziniec, biały, kamienny dziedziniec, był pusty, tak wcześniej nikogo na nim nie było.

Odtworzyła sobie w głowie dźwięki zza pleców. Jej krew popłynęła szybciej, gdy wszystko sobie poskładała.

Ktoś dostał się na dach nad krużgankiem i zeskoczył z wysokości ponad pięciu metrów wprost na jednego z jej ochroniarzy. Teraz był na zewnątrz i kończył robotę...

Isaac wpadł w drzwi i zachwiał się w nich, trzymając się futryny. Krew sklejała mu włosy i ściekała po twarzy między oczami. Z wysiłkiem

spróbował odzyskać równowagę, nie udało mu się, padł.

Za nim w drzwiach pojawiła się czarna postać, odcinająca się ostro w blasku porannego słońca. Coś poruszyło się we krwi Grety, głęboki impuls instynktownego strachu na chwilę przed rozpoznaniem.

- Dzień dobry, Greta. Zdziwiona na mój widok?

- Marsalis. - Wypluła to, ogarnięta złością. - Co ty do cholery tu robisz?

Ostrożnie wszedł do biura, z kocią zręcznością i czujnym spojrzeniem omijając masywne ciało ochroniarza. Przez otwarte drzwi zobaczyła nieruchomego Salesiego rozciągniętego na białoszarym chodniku, przypominającego wyciągniętego na brzeg wieloryba. Marsalis wyglądał na nietkniętego, nawet nie miał przyspieszonego oddechu. Stał nieco dalej niż na wyciągnięcie rąk i patrzył na nią beznamiętnie.

- Nie spałem tej nocy, Greta. Na twoim miejscu starałbym się o tym pamiętać.

- Nie boję się ciebie.

Zobaczył, że to prawda. Uśmiechnął się lekko.

- Pewnie tak. Witamy w braterstwie świrów, co? Tylko my, potwory.

- Powtarzam. - Odsunęła się od rogu biurka, wyprostowała przed nim. - Co ty do cholery tu robisz?

- Mógłbym zadać to samo pytanie Manco. Jak dotąd byłem dość uprzejmy. Kilka szybkich rozmów i na dobre się stąd wynoszę. Żadnych zniszczeń, żadnego przeszkadzania, wszyscy zadowoleni. Tak to sobie przynajmniej zaplanow...

- Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy, Marsalis. Mama nigdy ci tego nie mówiła?

- Tak. Wspomniała także, że niegrzecznie jest komuś przerywać. - Błyskawicznie wyciągnął rękę i ściągnął jej okulary. Jej oczy wypełniły się łzami, rozmazując wzrok. - Jak powiedziałem, Greta, mogłem błyskawicznie stąd zniknąć. Zamiast tego tej nocy, gdy jechałem tu z tobą porozmawiać, ktoś opłacił garstkę wspaniałych lokalnych żołnierzy, by zajęli się moim zniknięciem.

Zamrugowała mocno, żeby oczyścić oczy. Ciche przekleństwo na kolejne łzy, które wypłynęły z kącików oczu.

- Jaka szkoda, że im się nie udało.

- No cóż, trudno dziś o dobrych pomocników. Rzecz w tym, Greta, kogo twoim zdaniem powinienem za to winić?

Przechyliła głowę, by spojrzeć na bezwładne ciało przy drzwiach.



- Wygląda na to, że już podjąłeś tę decyzję.

- Mylisz cel z koniecznością. Nie sądzę, żeby twoi wyspiarscy przyjaciele pozwolili nam usiąść i porozmawiać.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie wydaje mi się, żebym siedziała.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Marsalis wzruszył ramionami i rzucił jej okulary na biurko. Wskazał na stojące za nim krzesło.

- Proszę bardzo.

Obeszła biurko i usiadła. Leżący w drzwiach do biura Isaac poruszył się i ociężale potrząsnął głową. Marsalis zerknął w jego stronę, popatrzył na Gretę i ostrzegawczo wysunął palec w jej stronę, po czym podszedł do Samończyka. Isaac charknął i splunął krwią, patrząc na murzyna wzrokiem pełnym niedowierzania i furii. Naprężył ręce przy bokach i przycisnął wielkie dłonie do podłogi.

- Jeśli wstaniesz - beznamiętnie oświadczył Marsalis - to cię zabiję.

Samończyk wydawał się nie słyszeć. Naprężył ręce, twarz wykrzywił w uśmiechu.

- Isaac, on mówi poważnie. - Greta nachyliła się nad biurkiem, mówiła z przejęciem. - To trzynastka. Pechowiec. Zostań na miejscu. Ja to załatwię.

Marsalis zerknął w jej stronę.

- Miło z twojej strony.

- Pieprz się, Marsalis. Niektórzy z nas są lojalni nie tylko pieniądzom. - Nagłe, niepowstrzymane, drapieżne ziewnięcie. - Nie spodziewam się, żebyś umiał to zrozumieć.

- Nie daję ci spać?

- Odwal się. Chcesz mnie o coś zapytać, to pytaj. A potem wypierdalaj.

- Rozmawiałaś dzisiaj z Manco?

- Nie.

Usiadł na brzegu biurka.

- Wczoraj?

- Przed spotkaniem z tobą. Potem nie.

- Czemu miałyby użyć wojska, a nie talentu *familli*?

- Zakładasz, że to on.

- Przy Sacsayhuaman niewiele brakowało, a sam by się na mnie rzucił.

Tak, zakładam, że to on.

- Nie masz innych wrogów?

- Wydawało mi się, że to ja zadaję pytania.

Wzruszyła ramionami. Czekwała.

- Manco prowadzi jakieś interesy w Jezusowie?

- Znane mi? Nie.

- Wybrzeże?

- Nie.

- Miał kuzyna, który siedział w więzieniu na Florydzie. Nosił kurtkę, podobno taką jak ta. Wiesz coś o tym?

- Nie.

- Zajmujecie się jakąś techniką medyczną?

Stłumiła kolejne ziewnięcie.

- Jeśli się opłaca.

- Słyszałaś o jakimś Eddiem Tanace?

- Nie.

- Tekszańczyk. Płotka.

- Powiedziałaś, że nie.

- A Jasper Whitlock?

- Nie.

- Toni Montes?

- Nie.

- Allen Merrin?

Poderwała rękę.

- Marsalis, co to do cholery ma być? „Lista zaginionych”? Czy ja wyglądam jak Shannon Doukoure? Nie jesteśmy pieprzonym biurem rzeczy zaginionych.

- Czyli nie znasz Merrina?

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- A co z Ulysessem Wardem?

Wyprostowała się na krześle. Westchnęła.

- Nie.

- Manco dobrze cię traktuje, Greta?

Znów się wkurzyła, tym razem na poważnie.

- To nie twój zasrany interes.

- Hej, tak się tylko zastanawiam. - Machnął rękami. - No wiesz, świetnie wyglądasz i w ogóle, ale w sumie jesteś świrnięta, jak ja, a...

- Nie jestem ani trochę taka jak ty, pechowcu - oznajmiła lodowato.

- ... wszyscy wiemy, jak *familias* traktują świrów. Nie przypuszczam, żeby Manco zbytnio różnił się od innych *taytas*. To musi być dla ciebie

trudne.

Greta nie odpowiedziała.

- No?

- Nie słyszałam pytania.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się bez humoru. - Moje pytanie, Greta, brzmi: jak taka świrnięta gringa hibernoidka jak ty trafiła do pracy w biurze *familii*?

- Nie wiem, Marsalis. Może to dlatego, że niektórzy z nas, świrów, mogą wyjść poza to, co mamy zapisane w genach, i zająć się pracą. Myślałeś kiedyś o tym?

- Greta, śpisz przez cztery miesiące z każdych dwunastu. To musi poważnie zmniejszać produktywność. A do tego jesteś biała, jesteś kobietą i nie pochodzisz stąd. *familias* nie są znane z postępowego podejścia. Nie widzę więc żadnego sposobu, w jaki miałyby to zadziałać, chyba że moje źródła mają rację i pieprzysz się z szefem.

Oczy Isaaca przy wejściu do biura rozszerzyły się z furii i niedowierzania. Zauważyła jego spojrzenie i potrząsnęła głową, po czym posłała Marsalisowi ciężkie spojrzenie.

- W to właśnie chciałbyś wierzyć?

- Nie, tak mi powiedział Stéphane Névant.

- Névant? - Pogarda w głosie. - Ten gnój? Pieprzony kandydat na *pistaco*, za głupi, żeby zdawać sobie sprawę...

Urwała, zamilkła.

*Pieprzona gadatliwość z końca cyklu*, pomyślała ze złością. *Pieprzone, zdradzieckie modyfikacje gene...*

Marsalis kiwnął głową.

- Za głupi, żeby z czego zdawać sobie sprawę?

- Że on potrzebuje nas, a my jego wcale nie.

- Nie to chciałaś powiedzieć.

- Och, to teraz jesteś pieprzonym telepatą?

Wstał z brzegu biurka.

- Postarajmy się, żeby ta rozmowa nie była bardziej nieprzyjemna, niż to konieczne, Greta.

- Zgadza się. Prawdę mówiąc, możemy od razu skończyć.

Nowy głos sprawił, że oboje na chwilę znieruchomieli. Greta popatrzyła na postać w drzwiach, potem obejrzała się akurat na czas, by dostrzec rezygnację na twarzy Marsalisa. Jego usta uformowały słowo, imię, jak sobie uświadomiła, a równocześnie zrozumiała, że jest już po wszystkim.

Do pokoju weszła Sevgi Ertekin, trzymając w ręku marstechową beretkę.

\* \* \*

W taksówce siedzieli oddzieleni zimnymi trzydziestoma centymetrami plastikowego siedzenia i przez przeciwne okna wyglądali na witryny mijanych sklepów. Słońce wspinało się po swojej drodze przez nieskazitelny błękit nieba, przeganiając z powietrza poranny chłód i zalewając białe, wulkaniczne kamienie starego miasta niemal olśniewającym blaskiem. Główne ulice zapchały się już ruchem, zwalniając przejazd do nierównego pełznienia.

- Spóźnimy się na nasz cholerny lot - rzuciła ponuro.

- Ertekin, stąd jest tuzin połączeń dziennie do Limy. Nie będziemy mieć problemu z wydostaniem się stąd.

- Nie, ale jeśli się spóźnimy na ten lot, będziemy mieć cholernie wielki problem ze zdążeniem na suborbital z Limy do Oakland.

Wzruszył ramionami.

- To poczekamy w Limie i złapiemy następny lot do Oakland. Ten facet, którego znaleźli, jest trupem, nie? Jemu się już nie spieszy.

Obróciła się do niego.

- Co ty tam u diabła robiłeś?

- Pracowałem nad źródłem, a na co to wyglądało?

- Dla mnie? Wyglądało, jakbyś planował zmusić ją do złożenia zeznań.

- Nie szukałem zeznań. Nie sądzę, żeby wiedziała o naszym Komitecie Powitalnym tej nocy.

- Szkoda, że nie pomyślałeś, żeby się o tym dowiedzieć, zanim napadłeś na jej ochronę.

Carl wzruszył ramionami.

- Przeżyją.

- Ten na dziedzińcu wcale nie musi. Sprawdziłam, zanim tam weszłam. Prawdopodobnie ma pękniętą czaszkę.

- Raczej nie w tym rzecz.

- Owszem, chodzi o to, że powiedziałam ci przecież, że tu skończyliśmy. Powiedziałam, że zostaniemy spokojnie w hotelu, aż będziemy gotowi do wylotu. Chodzi o to, że powiedziałeś mi, że zostaniesz.

- Nie mogłem usnąć.

Mruknęła coś pod nosem po turecku. Zastanawiał się, czy powiedzieć jej prawdę: że usnął, ale nie na długo. Obudziły go sny o Elenie Aguirre szepczącej za nim w mroku sekcji towarowej „Felipe Souzy”, przez lodowatą

chwilę myślał, że Elena stoi obok łóżka w ciemnym pokoju hotelowym i patrzy na niego lśnącymi oczami. Ubrał się i wyszedł, spragniony przemocy, zrobienia czegokolwiek, co odegnałoby zapamiętaną bezradność.

Zamiast tego powiedział:

- Ona zna Merrina.

Natychmiastowy bezruch, ledwie zauważalne zeszywnienie, gdy przeskanował jej profil jednym spojrzeniem z ukosa.

- Jassne.

- Puściłem jej długą listę nazwisk, głównie ofiar z twojej listy. Merrin był jedynym, które wywołało jakąś reakcję. A kiedy przeszedłem do następnego, natychmiast znów się odprężyła. Albo znała go, zanim poleciał na Marsa, albo zna go teraz.

- Może też znać kogoś innego o takim nazwisku, albo kiedyś znała. - Wróciła do wyglądania przez okno. - Albo brzmiało to podobnie do kogoś, kogo znała, albo pomyliłeś się co do tego, jak zareagowała. Gonisz cienie i dobrze o tym wiesz.

- Tej nocy ktoś próbował nas zabić.

- Jasne, i jak sam przyznałeś, Jurgens nic o tym nie wie.

- Powiedziałem tylko, że wydaje się nie wiedzieć.

- Tak jak wydaje się, że zna Merrina, co? - Znów na niego spojrzała, tym razem bez wrogości. Wyglądała po prostu na zmęczoną. - Marsalis, słuchaj, to nie może być w dwie strony naraz. Albo ufamy twoim instynktom, albo nie.

- A ty nie ufasz?

Westchnęła.

- Nie ufam *temu*.

- A co *to* ma znaczyć?

- Znaczy to pieprzone cofanie się do poziomu instynktu, przez cały czas. To twoje pchanie się i wkurzanie ludzi, naciskanie, aż coś ustąpi i da nam coś nowego do walki. Konfrontacja, eskalacja, pieprzona śmierć albo chwała. - Machnęła bezradnie. - No wiesz, może to działało w Projekcie Stróż Pokoju, w dawnych czasach, ale tutaj się to nie uda. To śledztwo, nie bijatyka.

- Osprey.

- Co?

- Osprey. Nie jestem Amerykaninem, nigdy nie byłem częścią projektu Stróż Prawa. - Zmarszczył brwi, błysk wspomnienia, zbyt blady, by je przywołać. - I jeszcze jedno, czym nie jestem, Ertekin, żebyś o tym

pamiętała. Nie jestem Ethanem.

Przez chwilę myślał, że wybuchnie na niego, tak samo jak w nocy na autostradzie, z ciałami udrapowanymi na znieruchomiałym jeepie. Ale tylko spuściła wzrok i się odwróciła.

- Wiem, kim jesteś - zapewniła cicho.

Nie odezwali się już do siebie do czasu dotarcia do lotniska.

\* \* \*

Z kilkuminutowym zapasem zdążyli na lot do Limy, na czas dotarli do stolicy i potwierdzili rezerwację miejsc w promie suborbitalnym do Oakland na godzinę przed jego odlotem.

Czas do zabicia.

Cisza pośród zgiełku i sklepionej przestrzeni terminalu w Limie. Sevgi patrzyła na siebie w łazienkowym lustrze. Patrzyła przez bardzo długi czas, potem wzruszyła ramionami i wycisnęła sobie kapsułki syndu.

Przełknęła je na sucho i skrzywiła się, gdy przechodziły przez gardło.

## ROZDZIAŁ 33

Stacja Alcatraz. Oddział przypadków specjalnych.

Zanim tam dotarła, kapsułki zaskoczyły z dopalaniem. Znów panowała nad swoimi uczuciami, zapakowanymi próżniowo w stalowy pojemnik, który dla nich przygotowała. Lodowaty spokój podkreślił skupienie i uwagę na szczegóły za lustrem.

*Kolejne pieprzone lustro, zauważyła.*

Jednak tym razem siedziała za szkłem i przyglądała się temu, co działo się w sali przesłuchań po drugiej stronie. Coyle i Rovayo oraz kobieta, która rozwaliała się na dostarczonym jej fotelu, ubrana w obcisłą czerń pod grubą skórzana kurtką, której nie zdjęła, i przyglądająca się z niechęcią przesłuchującym ją oficerom, żując przy tym gumę. Była młoda, zaraz po dwudziestce, a jej koścista, słowiańska twarz dobrze znosiła uśmiezek pogardy. Reszta była czystą mieszanką Wybrzeża - krótkie blond włosy przycięte w klasycznym stylu z Dżakarty, który właściwie jej nie pasował, szkarłatne chińskie ideogramy wytłoczone wzdłuż nogi kombinezonu od biodra do kostki, barokowy niebieski tusz pseudomaoryskiego tatuażu na lewej skroni. Głos, przekazany głośnikiem do pomieszczenia obserwacyjnego, był silnie akcentowany.

- Słuchajcie, czego do cholery ode mnie chcecie? Odpowiadam na wszystkie wasze pytania. A teraz muszę odwiedzić parę miejsc. - Nachyliła się nad stołem. - Wiecie, jeśli nie pojawię się w robocie na swoją zmianę, to mi nie płacą. Nie tak jak u was, w sektorze publicznym.

- Zdena Tovbina - odezwał się Norton. - Pracuje w Filigree Steel. Wyciągnęli ją z archiwum wideo z budynku, gdzie mieszkał ten facet. Wygląda na to, że przyszła go poszukać, gdy dwa razy z rzędu nie zgłosił się do pracy.

- Miło z jej strony. Szkoda, że Filigree Steel nie pomyślało o tym samym. Norton wzruszył ramionami.

- Płynny rynek pracy, wiesz, jak to jest. Podobno zadzwonili do niego kilka razy, ale gdy nie oddzwonił, uznali, że się wyniósł. Zatrudnili kogoś innego na jego miejsce. Szeregowi ochroniarze często się zmieniają, przerób personelu jest kosmicznie duży. I co zrobisz?

- Nie wiem. Może założyć związki?

- Ciii.

Alicia Rovayo zaczęła spacerować po pokoju przesłuchań.

- Poinformujemy pani przełożonego, jeśli będziemy musieli dłużej panią zatrzymać. A tymczasem wróćmy do tego jeszcze raz. Mówi pani, że nie wiedziała, że z Driscollem jest coś nie tak?

- Nie, wiedziałam, że coś nie gra. Nie grało to, co zobaczył wewnątrz tego statku. - Przez chwilę Zdena Tovbina wyglądała na przestraszoną. - Kiedy to zobaczyliśmy, wszystkim zrobiło się niedobrze. Joey był pierwszy, ale wszyscy to widzieliśmy.

- Widziała pani, jak Driscoll wymiotuje? - zapytał siedzący Coyle.

- Nie, usłyszeliśmy. - Tovbina teatralnie dwa razy stuknęła palcem w ucho. - Sieć drużynowa. Radio.

- A później, gdy go pani widziała?

- Był cichy. Nie chciał mówić. - Flegmatyczny gest otwartą dłonią. - Próbowałam, odwrócił się ode mnie. Wie pan, typowo męskie zachowanie.

- Oni weszli tam w maskach - wyjaśnił cicho Norton. - Minimalna ochrona, gogle z dodatkową osłoną, ale obsmarowali się też żelem przeciwskażeniowym. Zaczynasz rozumieć, dokąd to prowadzi?

Sevgi ponuro kiwnęła głową. Zerknęła w stronę Marsalisa, ale on całkowicie skupił się na kobiecie za szybą.

- Kiedy ostatni raz widziała pani Josepha Driscolla? - cierpliwie zapytał Coyle.

Tovbina prawie zgrzytnęła zębami ze złości.

- Przecież już wam mówiłam. Wrócił do promu Czerwony Dwa. Wsiadł do niego przez pomyłkę. Wszyscy byliśmy poruszeni. Nie myśleliśmy jasno. Kiedy wróciliśmy do bazy, szukałam go w sali drużyny. Zdażył już wyjść.

- O tak - mruknął Marsalis. - Zdażył się ulotnić.

- Gdzie znaleźli chłopaka? - zapytała Sevgi.

- Zaczepił się w okablowaniu głębokowodnym jakieś sto metrów pod powierzchnią, na brzegu jednej z tych platform biokultur, które tam kotwiczą. To mniej więcej rejon, w którym wylądował „Horkan’s Pride”, z poprawką na prądy. Ktokolwiek wyrzucił Driscolla za burtę, obciążył go, obwiązując wokół nóg kilka toreb sprzętu z kambuza. Pewnie zawczasu je przygotował. Pociągnęło go szybko i czysto, prosto na dno oceanu, tyle że zaczepił o coś po drodze. Czysty przypadek, że wczoraj kręciła się tam ekipa naprawcza.

- Utonął?

- Nie, wygląda na to, że zginął, zanim wylądował w wodzie. Zmiażdżona



krtań, złamany kark.

- Cholera. Czy ci goście nie nosili żadnych monitorów funkcji życiowych?

- Tak, ale najwyraźniej nikt ich nie kontroluje. Redukcje personelu, w zeszłym roku Filigree Steel wyeliminowało medyków pokładowych na promach, gdy startowali do nowego przetargu.

- Świetnie.

- Tak, siły rynku, nie można ich nie kochać. Aha, Driscoll ma też sporo mniejszych urazów plus trochę otarć. Śledczy sądzą, że został wciśnięty do jednego ze zsypów na śmieci w pobliżu sekcji kuchennej, a potem wyrzucony wprost do oceanu. Przynajmniej kilka z tych włazów musiało być po zanurzonej stronie kadłuba. Nikt by nie zauważył.

Sevgi potrząsnęła głową.

- Odstrzelenie zewnętrznego włazu powinno zostać zarejestrowane na jakimś skanerze. Wymaga energii. Albo trzeba użyć wybuchowych zamków, jak zrobił to z włazem wejściowym, a to wywołałoby hałas, nawet pod wodą.

- W pokładowych akumulatorach musiało być mnóstwo energii - luźno zauważył Marsalis. - Nie trzeba nic odstrzeliwać. I sądząc po tym, co słyszę, ci ludzie byli zbyt zajęci wymiotowaniem, żeby szukać na ekranach niewielkich aktywności elektrycznych.

Usiadł wyprostowany i wydał policzki.

- Nasz drogi Merrin naprawdę nieźle to rozegrał. - Potrząsnął głową. - Cudeńko.

Norton posłał mu wrogie spojrzenie.

- Czyli tak. - Sevgi chciała, żeby to ktoś sformułował, choćby ona sama. - Merrin wychodzi ze statku jako Driscoll. Kradnie jego sprzęt, zakłada maskę i w ogólnym zamieszaniu wchodzi na pokład złego transportowca. Myślicie, że zrobił to celowo, czy po prostu nie trafił?

Marsalis znów potrząsnął głową.

- Zdecydowanie celowo. Musiał zwracać uwagę na takie rzeczy.

- Dociera do bazy, jakoś wydostaje się z niej. Pewnie nie jest to trudne, musi być setka wyjść dla kogoś z wyszkoleniem Merrina. Ochrona i tak skupia się na personelu wchodzącym, nie na wracającej do domu nocnej zmianie. A w zaistniałej sytuacji wszyscy ganiają jak na jesusowskim spotkaniu hodowców węży. - Urwała. - Chwileczkę, a co z kwarantanną?

Norton westchnął.

- Wymknął się. Wprowadzili ją, ogłosili to w drodze powrotnej. Wszyscy

przez nanoskan. Podobno... - z ironicznym akcentem na to słowo - nikt w Filigree Steel nie zauważył, że Driscoll nie przeszedł skanu.

Marsalis prychnął.

- Albo zanim to sobie uświadomili, było już za późno i po prostu osłaniali własne tyłki.

- No cóż, tak czy owak kwarantannę zniesiono po kilku godzinach. Jakaś firma od zagrożeń biologicznych z Seattle sprawdziła kadłub, zanim wzięła go na hol. Jeśli ktoś w Filigree Steel osłaniał swój tyłek, do obiadu wiedział, że jest bezpieczny.

Sevgi ponuro pokiwała głową.

- A zanim zaczęliśmy głębiej grzebać w Filigree Steel, wypłynął trup Warda i założyliśmy, że Merrin tak właśnie trafił na brzeg i więcej nie zawracaliśmy sobie głowy. Co za syf.

- Klasyczna technika powstańcza - zauważył Marsalis. - Skieruj wroga w złym kierunku, osłaniaj własne ślady.

- Mógłbyś nie mówić takim cholernie zadowolonym tonem? Proszę.

Przesłuchanie w pokoju za szybą zostało zakończone. Ostentacyjnie sprawdzająca zegarek Zdena Tovbina została wyprowadzona. Rovayo została w pomieszczeniu i posłała długie, zmęczone spojrzenie w kierunku galerii za lustrem, jakby mogła widzieć siedzące tam osoby.

- To wszystko, ludzie - powiedziała.

- Zaplanował to. - Sevgi wciąż mówiła, żeby zmusić się by uwierzyć. - Otworzył kriokapsuły i rozerwał ciała na strzępy, po prostu żeby odwrócić ich uwagę.

- Tak. - Marsalis wstał z miejsca. - A wy myśleliście, że po prostu oszalał.

\* \* \*

Coyle i Rovayo nie próżnowali. Dla śmierci Joeya Driscolla przygotowano pełny, działający wirtual śledczy, włącznie z makabrycznie odtworzonym miejscem odnalezienia ciała. Zatrzymali się na krótko w upiornej, oświetlonej lampami niebieskiej otchłani, a Driscoll patrzył na nich spośród splecionych lin, z napuchniętą ręką poruszającą się lekko wraz z prądem. Konstrukty wirtuala uczynnie wyświetliły powiększenie szczegółów, bez których Sevgi zdecydowanie mogła się obyć, niezależnie od przyjętej dawki syndu. Oczy Driscolla zniknęły, podobnie jak uszy i wargi, odsłaniając wyszczerzone w paskudnym warkocie zęby, a cała nabrzmiała twarz nabrała woskowatego wyglądu od tłuszczu przesączającego się z warstw

podskórnych. Sevgi widywała już gorsze trupy, choćby wyławiane czasami z rzeki Hudson albo z East River, ale to wszystko było dawno temu, a złudzenie unoszenia się w oceanie obok trupa sprawiało, że miała ochotę wstrzymać oddech.

- Mówiliście, że ekipa śledcza zbadała jego mieszkanie - odezwała się. -  
Można je zobaczyć?

Coyle kiwnął głową.

- Jasne. Tu już skończyliśmy?

- Tak sądzę - niepewnym głosem potwierdził Norton.

Marsalis beznamiętnie kiwnął głową.

- Pełne przeniesienie, budynek szósty - poleciał Coyle konstruktowi, a niebieski półmrok przeszedł w oślepiający błysk bieli, po czym zmienił się w posępne barwy taniego mieszkania do wynajęcia. Driscoll albo oszczędzał na coś lepszego, albo nie uważał mieszkania za główny priorytet budżetowy. Umeblowanie było funkcjonalne i spracowane, ściany ozdabiały plakaty reklamowe różnych firm, prawdopodobnie kolejnych pracodawców. Za oknem, nie dalej niż dwadzieścia metrów, po drugiej stronie ulicy znajdował się podobny budynek.

Sevgi odetchnęła z ulgą.

- Macie pasujące ślady genetyczne? - zapytała.

- Tak. - Rovayo wskazała na rozrzucone po całym mieszkaniu drobne czerwone kropki na meblach i instalacji. - Zdecydowanie tu był. Mieszkał tu przynajmniej przez kilka dni.

Marsalis podszedł do okna i wyjrzał.

- Ktoś go widział? Jacyś świadkowie?

Detektyw z Wybrzeża zmarszczyła brwi.

- Niestety nie. Te bloki zbudowano dla imigracyjnej siły roboczej. Lokatorzy często się zmieniają, a ci ludzie raczej się nie socjalizują. Jest trochę nagrań z kamer ochrony na korytarzach, ale tego też nie ma wiele. Wygląda na to, że zaraz po dotarciu tutaj wyeliminował większość sprzętu nadzorczego w budynku. Dopiero po kilku tygodniach zabrali się do naprawiania.

- Typowe - mruknął Marsalis.

- Zgadza się - burknął Coyle. - I pewnie w tej waszej pieprzonej Unii Europejskiej nie macie imigracyjnej siły roboczej.

Murzyn zerknął na niego z ukosa.

- Mówiłem o wyeliminowaniu kamer. Standardowa procedura miejskiej

infiltracji.

- Ach.

- Chcecie zobaczyć coś z tego, co mamy? - zapytała Rovayo. Zaczęła już gestami wywoływać z powietrza ekran. Marsalis wzruszył ramionami i podszedł od okna.

- Jasne. Nie zaszkodzi.

Obejrzeni więc wszyscy, jak w skróconej perspektywie kamery Merrin, wymizerowany i z pustym spojrzeniem, idzie przez hol, zerka w soczewkę kamery i znika z pola widzenia. Sevgi, która obserwowała również Marsalisa, miała wrażenie, że murzyn zeszywniał lekko, gdy Merrin popatrzył na nich z ekranu. Nie była pewna, co w obrazie wywołało u niego taką reakcję, może po prostu godny przeciwnik. Dla niej chwila przeskoczyła nagle, Merrin patrzący w górę, ciało Joeya Driscolla patrzące w dół, trup i zabójca, małe okienka otwierające się w czasie, pozwalając spojrzeć na siebie mordercy i ofierze. Pieprzone wirtualne formaty. Skopiowane światy, w których nie było miejsca na nic poza duchami i maszynową perfekcją dryfujących pomiędzy nimi twarzy, a wszystko podawane z nieludzkimi umiejętnościami aniołów.

Nagle naszło ją pytanie, czy tak będzie wyglądał raj, o którym mówili imamowie. Duchy i anioły, brak miejsca na cokolwiek ludzkiego lub ciepłego.

- Mamy tu problem - odezwała się, by odegnąć ogarniające ją z nagłą poczucie zguby. - Jeśli Merrin w taki sposób wy dostał się z „Horkan’s Pride”, to...

- Owszem. - Coyle dokończył za nią. - Jak tego samego popołudnia znalazł się w Ward Bio-Supply, rozmazując po pokładzie krew Ulyssesa Warda?

- Pytaniem ważniejszym od „jak” - cicho wtrącił się Marsalis - jest „dlaczego”.

Coyle i Rovayo spojrzeli po sobie. Sevgi dopisała sobie podpisy. *Kto wie, jakimi motywami kieruje się pieprzony pechowy świr?* Nie była pewna, czy Marsalis też to dostrzegł.

Norton odchrząknął.

- Ward tam był. Dowodzą tego zdjęcia satelitarne i zgłoszony przez niego kurs łodzi podwodnej. Zakładaliśmy, że to przypadek, po prostu miał pecha, trafiając w niewłaściwy rejon. Uratował Merrina z wraku i w nagrodę został zamordowany.

- To duże założenie - już nie tak cicho powiedział Marsalis.

- My niczego nie zakładaliśmy. - Pełne irytacji zmęczenie w głosie Rovayo. Do Sevgi dotarło, że żadne z gliniarzy Wybrzeża nie wyglądało, jakby ostatnio dużo spało. - Sprawdziliśmy wtedy przeszłość Warda. Zatwierdzony przez INKOL policyjny n-dżin. Nie ma żadnych dowodów na powiązania z Merrinem ani ogólnie z Marssem.

- Teraz jest. Może po prostu nie sięgnęliście dość głęboko.

Coyle się obruszył.

- Co ty u diabła o tym wiesz? Nagle stałeś się jakimś gliną?

- Owszem, coś w tym stylu.

- Marsalis, pleciesz bzdury. W najlepszym razie jesteś licencjonowanym zabójcą, a z tego, co słyszałem, nawet w tym nie byłeś najlepszy. Wyciągnęli cię do tej roboty z więzienia na Florydzie, nie?

Marsalis uśmiechnął się lekko.

- Wróćmy do Warda - szybko odezwała się Rovayo. Wkroczyła nieznacznie w przestrzeń między mężczyznami, mową ciała częściowo wspierając Coyle'a i łagodząc sytuację. Sevgi uznała to za instynktowne: w wirtualu nie można było się bić, ale Rovayo zdawał się zapominać, gdzie się znajdują. - Zmienimy protokoły, może puścimy to przez innego n-dżina. Sięgnijmy głębiej, aż znajdziemy powiązanie. Teraz wiadomo, że się znali. Prawdopodobnie można założyć, że Ward popłynął tam specjalnie, żeby sprowadzić Merrina.

Coyle kiwnął głową.

- Tylko że Merrin nie przejął piłki. Nie pojawił się, a po tym, co mu się trafiło po drodze z Marsa, nie ufa Wardowi ani nikomu, kto brał w tym udział. A Ward ma ograniczone okno czasowe, zanim pokaże się Filigree Stell: nie ma czasu na szukanie w kadłubie faceta, którego powinien odebrać.

- Albo - zasugerowała Rovayo - Ward wszedł do kadłuba, a kiedy zobaczył bajzel w środku, spanikował i uciekł.

- Owszem, tak też mogło to wyglądać. - Coyle się skrzywił. - Tak czy siak, Merrin sam sobie poradził, a potem i tak poszukał Warda. Wiecie, na co mi to wygląda? Na zemstę.

Sevgi obejrzała się na Marsalisa.

- Ma to dla ciebie jakiś sens?

- Cóż, wiesz, jak to jest z nami, trzynastkami. - Marsalis zerknął na Coyle'a. Sparodiował przeciągły akcent z Jezusowa. - Wszyscy robimy się *strasznie* nieracjonalni, gdy ktoś nas wkurzy.

Cole zbył go wzruszeniem ramion.

- Właśnie. Tak słyszałem.

- Merrin miał za sobą siedem miesięcy lotu - zauważył Norton. - Żeby przeżyć, musiał się uciec do kanibalizmu. A wszystko dlatego, że ktoś namieszał mu w zegarze kriokapsuły. Jeśli winił za to Warda...

- Albo jeśli Alicja ma rację i Ward wystraszył się i uciekł... - Coyle wykonał gest rękami. - Dajcie spokój, jak by na to nie patrzeć, ten świ... ten facet nie mógł być w najlepszym nastroju. To czysta i prosta zemsta.

- Marsalis. - Sevgi spróbowała jeszcze raz. - Zapytałam, co o tym myślisz. Odpowiesz mi na pytanie?

Spojrzał jej w oczy. Kamienna twarz.

- Co ja myślę? Myślę, że tracimy tu czas.

Coyle prychnął. Rovayo położyła mu dłoń na ramieniu. Murzyn ledwie spojrzał w ich stronę. Zrobił krok przez wirtualne mieszkanie, stanął przed ekranem, na którym Merrin znieruchomiał, wychodząc poza pole widzenia kamery.

- On był czysty - powiedział powoli. - Pokonał waszą durną ochronę z sektora prywatnego, zostawił ich wymiotujących na lewą stronę, dokładnie tak, jak zaplanował. Robił z nimi, co chciał, odwracał uwagę wszystkich, a potem zniknął, wtapiając się w lokalną populację, tak jak go wyszkolono. Powrót po Warda oznaczał odsłonięcie się, ponowne wyjście na otwarty teren. - Długie, spekulacyjne spojrzenie na Coyle'a. - Kiedy działasz na terenie wroga, nie podejmujesz takiego ryzyka z powodu jakiejś głupiej zemsty.

- Jasne - rzucił Coyle. - Twój rodzaj po prostu by to tak zostawił. Pozwolił uniknąć kary ludziom, którzy zostawili cię w kosmosie.

- Kto mówił coś o zostawianiu? - Marsalis wyszczerzył się nieprzyjemnie. - Mój rodzaj potrafi czekać, cielaku. Mój rodzaj pozwoliłby ludziom, którzy to zrobili, żyć ze świadomością, że nadchodzimy, pozwoliłby im budzić się każdego dnia z wiedzą...

- Jak mnie nazwałeś? - Coyle potrzebował chwili, żeby zrozumieć niezwykłą obelgę, którą go obrzucono.

- Słyszałeś.

- Wy dwaj, dajcie temu spokój - warknęła Sevgi. - Marsalis, mówisz, że to nie jest zemsta. W takim razie co?

- Nie wiem, co - z irytacją odpowiedział murzyn. - Nie jestem Merrinem i w przeciwieństwie do tego, co myśli nasz kumpel, nie wszyscy z genami wariantu trzynastego myślą dokładnie tak samo.

Norton wkroczył między nich.

- Nie, ale wyszkolono was w podobny sposób, a to musi mieć znaczenie. Mówisz, że jego szkolenie nie pozwoliłoby na impuls zemsty. Co by podyktowało w tej sytuacji?

- Może po prostu musiał uciszyć Warda - zasugerowała Rovayo. - Ukryć swoją ucieczkę. Gdyby Ward się wygadał...

Sevgi potrząsnęła głową.

- To nie pasuje. Ward nie jest dostatecznie wysoko w strukturze dowodzenia. Facet, który samodzielnie rozkręcił firmę biohodowlaną, nie ma dość przełożenia, żeby załatwić coś większego na Marsie, a nawet w Kalifornii. Jeśli Ward brał w tym udział, to jako płotka. Wynajęli go do wyłowienia Merrina z Pacyfiku i przekazania dalej. Koniec roli. Nie wiedział niczego ponad to, co mu powiedziano.

- Dobra - wolno mruknął Coyle. - Ale musiał znać kogoś nad sobą, przynajmniej bezpośredni kontakt. Patrzymy na to ze złej strony. Merrin nie poszedł do Warda go uciszyć, tylko zmusić do mówienia. Wyciągnąć nazwiska ludzi, którzy wydawali mu rozkazy.

Norton nagle nabrał nadziei.

- Myślisz, że Merrin wyciągnął swoją listę z Warda?

- Mało prawdopodobne. - Marsalis zaczął chodzić po wirtualnym mieszkaniu jak ktoś szukający wyjścia gdzieś wyżej. - Biorąc pod uwagę, jak Merrin przechodził przez granicę w obie strony, on pracuje na częściowej albo sekwencyjnej wiedzy. Cokolwiek wyciągnął z Warda, nie była to jego lista.

- A może po prostu to nie była cała lista - z nadzieją zasugerował Norton.  
- Może Ward dał mu pierwszych kilka nazwisk.

- Nie ma żadnych powiązań między Wardem a Whitlockiem - zauważyła Rovayo.

- Albo Montes - dodał Coyle.

Norton westchnął.

- Owszem. Ani z żadną z ofiar w Jezusowie, na ile możemy stwierdzić. Szkoda, miło byłoby dla odmiany do czegoś dojść.

- No cóż, do tego trzeba by szukać we właściwych miejscach. - Marsalis machnęła ręką, wskazując mieszkanie. - A jak już mówiłem, tracimy tu czas.

Coyle wydał wargi.

- W takim razie może zechciałbyś objaśnić nam, jak wydajniej spędzać czas?

- Poza powrotem na Altiplano i mocnym przyciśnięciem Manco Bambarena? - Wzruszenie ramion. Marsalis zauważył wzrok Sevgi, wymiana spojrzeń niczym starcie na miecze. - Moglibyście zacząć od zadania sobie pytania, czemu nagle pojawia się to ciało, dokładnie w chwili, gdy zaczynamy do czegoś dochodzić z *familias*. Moglibyście się zastanowić, czemu trzeba było prawie sześciu miesięcy, żeby ktoś popłynął skontrolować hodowle podwodne w rejonie wodowania...

- Kim do cholery jest ten Bambaren? - chciała wiedzieć Rovayo.

Popatrzyła na Nortona i Sevgi. Policjantka ze znużeniem potrząsnęła głową. *Nie pytaj.*

W międzyczasie uśmiezek Coyla przekształcił się w pełne wyszczerzenie zębów.

- Powodem, dla którego trzeba było *czterech* miesięcy, by znaleźć to ciało - odkładając na bok chorobę, wzmocnioną genami paranoję - jest fakt, że firma, która prowadzi rutynową konserwację dla głębokowodnych platform Ward Bio-Supply, ma półroczny kontrakt. Daskeen Azul. Operują ze spółdzielczej tratwy „Kot Bułhakowa” i przyplływają co sześć miesięcy, by wykonać swoją pracę. Właśnie tam dotarli.

- Myślisz, że mam paranoję? - zapytał Marsalis, znów z tym samym, łagodnym uśmiechem.

Potężny gliniarz parsknął.

- Nabijasz się ze mnie? Marsalis, wy zostaliście zaprojektowani do paranoi.

Norton odchrząknął.

- Myślę...

- Nie, powiedzmy to sobie wreszcie wprost. - Coyle dźgnął palcem w stronę trzynastki. - Na wypadek, gdybyś nie zauważył, Marsalis, nie lubię twojego rodzaju. Nie podoba mi się to, czym jesteś, i nie uważam, że powinieneś chodzić pośród ludzi bez wilczej obrączki. Ale nie ja tu decyduję.

- Owszem, nie ty - zgodził się Norton. - Może więc...

- Jeszcze nie skończyłem.

Marsalis w milczeniu przyglądał się gliniarzowi z Wybrzeża. Sevgi zdała sobie nagle sprawę, że uważnie go ocenia.

- To jest śledztwo policji Stanów Wybrzeża - oświadczył Coyle. - Nie jakaś rzeźnia gdzieś na Bliskim Wschodzie. Zajmujemy się tu łapaniem przestępców, a nie mordowaniem ich...

- Tak. Jednak wygląda na to, że jeszcze nie złapaliście Merrina, prawda?



Coyle odsłonił zęby.

- Słodkie. Tak, nie złapaliśmy go jeszcze. Ale złapiemy. A kiedy to nastąpi...

- Roy. - Był to pierwszy przypadek, by Sevgi usłyszała, że Rovayo używa imienia swojego partnera. - Przyhamuj trochę, co?

- Nie, Al, mam już dość tych wszystkich założeń. To musi zostać powiedziane. - Coyle popatrzył na Sevgi i Nortona, potem przeniósł spojrzenie na trzynastkę. - Jeśli twoi panowie z INKOL uznają, że chcą egzekucji Merrina, gdy już skończymy naszą pracę i go złapiemy, cóż, pewnie wtedy przyjdziemy do ciebie po profesjonalną poradę. A na razie może opanujesz swoje pieprzone świ... wzmocnione genetycznie skłonności i pozwolisz nam pracować?

Ściana ciszy. Ostatnie słowa zdawały się odbijać od niej niczym kamyki rzucone o wiecznobeton. Ze wspomaganą syndem pewnością Sev uświadomiła sobie, że poza wirtualnym przestrzeń tę wypełniłaby przemoc, tak jak krew wypełnia ranę. Marsalis i gliniarz z Wybrzeża patrzyli sobie w oczy, jakby wokół nic nie istniało nic innego. W twarzy Rovayo dostrzegła coś, czego nie potrafiła zdefiniować. Kobieta zdawała się zatrzymać tuż przed zrobieniem czegoś. Norton wyglądał na niezdecydowanego, bezradnego ze złości. A ona, Sevgi, przyglądając się, jak sytuacja rozpada się...

- Dobra - bardzo cicho powiedział Marsalis.

Sevgi pomyślała, że skończył. Otworzyła usta, ale murzyn zaczął mówić dalej.

- Kilka spraw. - Wciąż łagodnie, niczym dotyk wełny pod czubkami palców. - Po pierwsze, jeśli myślisz, że dostaniesz Allena Merrina inaczej niż martwego, to nie żyjesz w prawdziwym świecie. Żadne z was. I po drugie, Roy, jeśli kiedyś odezwiesz się tak do mnie jeszcze raz, w realnym świecie, wyślę cię na intensywną terapię.

Gliniarz z Wybrzeża wybuchnął.

- Hej, chcesz wyjść ze mną na zewnątrz?

- Tak, bardzo. - Jednak Sevgi odniosła dziwne wrażenie, że Marsalis niepostrzeżenie potrząsa przy tym głową. - Ale do tego nie dojdzie. Chciałbym, Roy, żebyś zapamiętał nazwisko. Sutherland. Isaac Sutherland. Ocalił ci dzisiaj życie.

Potem zniknął.

Wymazany w błysku wirtualnego światła, zostawiając ich w pustym

wirtualnym mieszkaniu, ze znieruchomiałym obrazem odchodzącego Merrina i setką czerwonych śladów jego pobytu.

## ROZDZIAŁ 34

Co dziwne, to Rovayo przyszła go szukać. Do czasu, gdy go znalazła, przestał już chodzić gniewnie po stacji Alcatraz i zatrzymał się z irytacją na zewnętrznej galerijce po zachodniej stronie kompleksu. Stał oparty o poręcz, patrząc nad srebrzystymi falami w stronę ujścia zatoki i spinającego go kłamrą mostu w kolorze rdzy. Na horyzoncie zbierał się front chmur niczym biała fala wełny tuż przed załamaniem.

- Wystarczy ci wody? - zapytała.

Carl posłał jej dziwne spojrzenie.

- Wróciłem dawno temu.

- Tak, wiem. - Rovayo dołączyła do niego przy barierce. - Mam kuzyna we Freeport; kiedy był młodszy, odpracował sześć lat na Marsie. Inżynier gleby. Dwa trzyletnie kontrakty, od początku do końca. Powiedział mi, że człowiek nigdy już nie przyzwyczaja się do wielkości oceanu, niezależnie jak dawno temu się wróciło.

- Cóż, to on. Każdy reaguje inaczej.

- Nie tęsknisz za tym?

Znow na nią popatrzył.

- Czego chcesz, Rovayo?

- Mówi, że tęskni za niebem - kontynuowała neutralnie, jakby Carl się nie odezwał. - Wiesz, za niebem w nocy. Cały krajobraz na małym horyzoncie; mówi, że wygląda to jak meble upchane w magazynie, który jest za mały na zmieszczenie wszystkiego. I gwiazdy. Mówił, że jakbyście wszyscy byli na wspólnym biwaku, należeli do tej samej armii, czy coś. Ty i pozostałe istoty ludzkie, które są z tobą na planecie, wszyscy z tym samym powodem, żeby się tam znaleźć, jakbyście wszyscy robili coś ważnego.

Carl prychnął.

- Czułeś się tak kiedyś? - zapytała.

- Nie.

Powiedział to ostrzej niż zamierzał. Westchnął i otworzył dłonie zaciśnięte na poręczy.

- Pamiętaj, jestem trzynastką. Nie cierpimy na tę konieczność czucia się potrzebnymi, co wy, ludzie. Nie jesteśmy stworzeni do zbiorowej harmonii.

- Tak, ale nie musisz zawsze robić tego, co każą ci odruchy, prawda?

- Może nie, ale powiedziałbym, że czasem warto ich słuchać. To znaczy, jeśli kiedyś chcesz się poczuć szczęśliwa.

Rovayo obróciła się przy poręczy, oparła się o nią kręgosłupem i podparła łokciami.

- Wydaje mi się, że czytałam gdzieś, że nikt z nas nie ma do tego okablowania. Do szczęścia. To tylko chemiczny produkt uboczny działania, sztuczka, żeby doprowadzić cię tam, gdzie chcą geny.

Jego wzrok przesunął się w bok, przyciągnięty ruchem, którym odwróciła pozycję przy poręczy. Zauważył jej profil, szczupłe ciało z wysokimi piersiami i długimi nogami, ciemne, błyszczące płaszczyzny twarzy. Wiatr od zatoki płątał loki jej włosów, przyciskał je do głowy.

- Nie przejmuj się za bardzo Coyle'em - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Nie przejmuję się.

Uśmiechnęła się.

- Dobra. Po prostu... Widzisz, nie mamy tu, na Wybrzeżu, za wiele trzynastek. Jeśli się czasem pojawiają, po prostu ich łapiemy i wysyłamy za granicę. Wsadzamy do Cimarron albo Tanany. Jezusowo to zawsze dobre miejsce na eksport rzeczy, których nie chcesz na własnym podwórku. Nanoodpady jądrowe, poligony nanotechnologiczne, najnowsze badania nad żywnością. Republika bierze to wszystko za ułamek ceny tego, co musielibyśmy zapłacić za przetworzenie u nas.

- Wiem.

- Tak, zajmowałeś się paroma zbiegami z Cimarron, prawda?

- Sześcioma. - Zawahał się. - Siedmioma, jeśli liczyć Erica Sundersena rok temu. Uciekł po drodze, nie zdążył dotrzeć do samego Cimarron.

- A tak, pamiętam go. Facet, który zrobił spięcie w automatycznym helikopterze, tak?

- Owszem.

- To ty go potem sprowadziłeś?

- Nie - odpowiedział krótko. Erie Sundersen zginął od serii z karabinu szturmowego na ulicach Minneapolis. Standardowe działania i taktyka policji; podobno został pomyłony z lokalnym handlarzem narkotyków. Carl polował wtedy w Juarez na fałszywy trop. Wrócił do domu z pokryciem kosztów i niewielkim ranami po walce na noże, do której doprowadziło jedno z jego licznych pytań w niewłaściwym barze. - Tego nie złapałem.

- Nie? - Rovayo poprawiła się przy poręczy. - Cóż, w każdym razie, jak

mówiłam, nie jesteśmy tu przyzwyczajeni do facetów takich jak ty. Coyle ma dość standardowe na Wybrzeżu podejście do tego, co może z tego wyniknąć. A przy tym, co Merrin zrobił na statku... cóż, Coyle jest gliną, po prostu nie chce widzieć więcej krwi na ulicach.

- Próbujesz mnie za niego przeprosić? O to chodzi?

Skrzywiła się.

- Próbuję po prostu się upewnić, że nie pozabijacie się, zanim nie wykonamy zadania.

Uniósł jedną brew.

- Mogę zagwarantować, że Coyle mnie nie zabije.

- Jasne. - Kiwnęła głową i zacisnęła usta. - W takim razie, żebyś wiedział. To mój partner. To nie będzie walka, do której nie będę się mieszać.

Przez chwilę nie zareagował, czekając, czy już skończyła, czy zostawi go z tą groźbą. Kiedy nie odeszła, znów westchnął.

- Dobra, Rovayo, wygrałaś. Idź i powiedz swojemu dobremu, szczeremu i pełnemu współczucia partnerowi, że jeśli następnym razem zdoła się trochę bardziej powstrzymać przed użyciem słowa „świr”, to potraktuję go ulgowo.

- Wiem. Przykro mi.

- Nie ma sensu. Nie ty to powiedziałaś.

Zawahała się.

- Nie lubię tego słowa ani trochę bardziej niż ty. Po prostu, jak mówiłam, nie mamy...

- Tak, wiem. Nie macie na Wybrzeżu wielu takich jak ja, więc Coyle może sobie gadać bez konsekwencji. Nie martw się, nie różni się to zbyt od innych znanych mi miejsc.

- Oprócz Marsa?

Obrócił się, żeby dobrze jej się przyjrzeć.

- Mars, co? Ten twój kuzyn musiał naprawdę cię zainspirować, nie? Co jest, myślisz o poleceniu tam?

Nie spojrzała mu w oczy.

- Nic z tych rzeczy. Po prostu Enrique, mój kuzyn, sporo mówił o tym, jak nikt nie ma tam problemu z trzynastkami. Że mają tam status pomniejszych gwiazd.

Carl parsknął.

- Cholernie pomniejszych, powiedziałbym. Wygląda mi na to, że twój kuzyn Enrique ma ciężki atak nostalgii. To dość powszechne po powrocie, ale łatwo zauważyć, że większość z tych ludzi nie zgłasza się na kolejny

kontrakt. No wiesz, on się nie zgłosił, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Myślę, że w jakiejś części chciał, coś w nim zostało tam dłużej, może w ogóle nie wróciło. Ale wystraszył się. Nie powiedział mi, czego dokładnie, ale dało się trochę wydłubać z tego, co mówił.

- Cóż, to miejsce, w którym łatwo się wystraszyć - niechętnie przyznał Carl.

- Nawet trzynastce?

Wzruszył ramionami.

- Nie jesteśmy zbyt dobrzy w strachu, to prawda. Ale to coś głębszego, to nie jest strach przed czymś konkretnym. To coś, co wypływa ze środka. Żadnego ostrzeżenia, nic, co możesz rozpracować. Po prostu uczucie.

- Jakie?

Carl skrzywił się na wspomnienie.

- Uczucie, że tam nie pasujesz. Że nie powinno cię tam być. Jak przyjdzie do cudzego domu bez wiedzy gospodarzy, gdy wiesz, że w każdej chwili mogą wrócić.

- Duże złe marsjańskie potwory, co?

- Nie twierdzę, że to ma jakiś sens. - Zapatrzył się na most. Południowa wieża była już prawie całkiem zakryta ścianą mgły, owinięta aż po szczyt. Macki rozciągały się pod głównym przęsłem. - Mówią, że to odmienna grawitacja i subiektywny horyzont. Wyzwała pragnienie przeżycia. Może mają rację.

- Myślisz, że ty lepiej sobie z tym radziłeś? - Z zakłopotaniem machnęła rękami. - Bo... No wiesz, z powodu tego, czym jesteś?

Zmarszczył brwi.

- Co chcesz ode mnie usłyszeć, Rovayo? O co tu tak naprawdę chodzi?

- Hej, po prostu ciągnę rozmowę. Chcesz zostać sam, to powiedz. Zrozumiem sugestię, jeśli dość mocno walniesz mnie nią w głowę.

Carl poczuł uśmiech rodzący się w kącikach ust.

- Jeśli nad tym popracujesz, możesz osiągnąć równowagę. Strach przechodzi w podniecenie. Słabość zmienia się w siłę, daje ci podstawę do stanięcia naprzeciw tego, przed czym przestrzega cię chęć przeżycia. Zaczyna ci z tym być dobrze, nie źle. - Spojrzał w dół na grzbiety swoich dłoni opartych na poręczy. - Po jakimś czasie robi się to uzależniające.

- Myślisz, że to dlatego cieszą się z waszej bytności na Marsie?

- Rovayo, oni cieszą się z każdego na Marsie. Kontraktowi przeważnie

wracają do domu, jak tylko skończy im się umowa - trzeba oddać twojemu kuzynowi, że jest twardym sukinsynem, skoro został na drugą - a wśród stałych osadników masz wysoki poziom problemów umysłowych. To robotnicy i byli robotnicy, którzy zdobyli dodatkowe umiejętności; tak czy siak, nie ma wielkiej różnicy. Efekt końcowy - nigdy nie ma tam dość siły roboczej, nigdy dość przeszkolonego personelu lub solidnego surowego materiału ludzkiego, który mógłby opanować nowe umiejętności. A więc tak, mogą znieść fakt, że jesteś z urodzenia i wychowania świrem i socjopata, jeśli tylko sądzą, że jesteś wart coś więcej niż same mięśnie. - Krzywy uśmiech. - Co przeważnie jest prawdą.

Policjantka z Wybrzeża kiwnęła głową, jakby przekonana do czegoś.

- Mówi się, że Chińczycy szykują nowy wariant na Marsa. Wbrew Karcie. Wierzysz w to?

- Mogę uwierzyć praktycznie we wszystko, co mówią o tych dupkach z Pekinu. Nie da się kontrolować największej gospodarki świata tak jak oni bez zdeptania paru praw człowieka.

- Widziałeś jakieś dowody? To znaczy, kiedy tam byłeś?

Carl potrząsnął głową.

- Na Marsie nie widuje się wielu Chińczyków. Siedzą głównie na dole, w Hellas, albo w okolicach Utopii. Daleko od Bradbury i Wells, chyba że masz jakiś szczególny powód, żeby tam pojechać.

Oboje przez chwilę przyglądali się falom.

- Myślałam o poleceniu tam - wyznała w końcu Rovayo. - Kiedy Enrique wrócił z mnóstwem opowieści, byłam młodsza, jeszcze nastolatka. Zamierzałam zrobić studia i zapisać się na trzy lata.

- I co się stało?

Roześmiała się.

- Życie się stało. Wiesz, po prostu jedno z tych marzeń, których logistyka się nie składa do kupy.

- Pewnie nie straciłaś zbyt wiele.

- Hej, ty przecież poleciałeś.

- Tak, poleciałem, bo alternatywą było internowanie. - Przez głowę przemknęło wspomnienie szyderstw Névanta. - I wróciłem, jak tylko miałem okazję. Nie wierz we wszystkie opowieści wojenne kuzyna. Te rzeczy zawsze lepiej wyglądają we wstecznym lusterku. Przez większość czasu Mars jest po prostu zimnym, jałowym miejscem, do którego nigdy nie będziesz pasować, niezależnie od tego, jak bardzo będziesz się starać.

Rovayo wzruszyła ramionami.

- No cóż. - Przez jej usta przemknął uśmiech, ale głos miała cichy i spokojny mądrością policjantki. - Myślisz, Marsalis, że tu, na Ziemi, jest inaczej? Myślisz, że tutaj kiedykolwiek pozwolą ci pasować?

Na to nie miał odpowiedzi. Stał tylko i przyglądał się znikającemu mostowi, aż Rovayo odepchnęła się od barierki i dotknęła jego ramienia.

- Chodź - zaproponowała przyjaźnie. - Wracajmy do pracy.

\* \* \*

Pracowali nad sprawą „Horkan’s Pride” w zamkniętych pomieszczeniach na poziomie wieży stacji Alcatraz. Ekranowanie w konstrukcji nad nimi zapewniało środowisko odporne na wycieki danych, systemy transmisji danych wyposażono w szyfrowanie Marstechu, a cały sprzęt w gabinetach został połączony grubymi splotami czarnych przewodów. Nadawało to biurom tymczasowego wyglądu, dobrze pasującego do surowych, piaskowanych ścian z kamienia i sączącego się z nich podziemnego chłodu. Sevgi siedziała w zarekwirowanym fotelu przy biurku i wpatrywała się w róg pokoju, nie patrząc na Marsalisa i wściekając się na siebie za uczucie, które poczuła w żołądku na widok Rovayo wracającej w towarzystwie murzyna.

- Coyle i Norton poszli pogadać z Tsai - poinformowała ich. - Chcą wynająć trochę czasu n-dżina i puścić nowy model powiązań z Wardem i ofiarami, jak tylko dostaniemy sprzęt.

Rovayo kiwnęła głową i podeszła do swojego biurka, gdzie stanęła i zaczęła bez entuzjazmu przeglądać stos wydruków. Sevgi zwróciła się do Marsalisa.

- Mamy plik z Marsa, który może cię zainteresować. Wygląda na to, że kiedy byliśmy w Stambule, Norton przydusił kolonię i kazał im ściągnąć Gutierrez. Chcesz to zobaczyć?

Miała wrażenie, że dostrzegła w nim lekkie spięcie. Jednak tylko wzruszył ramionami.

- Myślisz, że warto?

- Nie wiem - odpowiedziała lodowato. - Jeszcze tego nie widziałam.

- Szansa na to, że Kolonia wycisnie coś użytecznego z takiego starego *człowieka rodziny* jak Gutierrez, są dość marne.

- Tak naprawdę wcale nie muszą - Rovayo odezwała się znad swojego biurka bez odrywania głowy od pracy. - Każdy glina powie ci, że często więcej dowiesz się z tego, czego facet nie mówi.

- Uch, właśnie - potwierdziła poruszona Sevgi.



Marsalis popatrzył kwaśno na obie kobiety.

- No dobrze - rzucił niewdzięcznie. - No to sobie zobaczymy to cholerstwo.

Jednak w salce projekcyjnej zauważyła, jak jego irytacja ustąpiła miejsca skupionemu spojrzeniu, które można by wziąć za znudzenie, gdyby nie widziała go patrzącego w ten sam sposób za trzecim, uciekającym rolkarzem w Nowym Jorku, tym, którego nie udało mu się zabić. Nie potrafiła stwierdzić, na czym dokładnie skupiał się Marsalis - w pliku zamieszczono standardowe nagranie z przesłuchania, sześć lub siedem obrazów zgrupowanych na wyświetlaczu LCLS: Gutierrez z przodu, twarz i górna połowa ciała, poniżej zapis funkcji życiowych, pomniejszony widok na całą salę przesłuchań z dwóch albo trzech miejsc, po lewej profile głosu. Policyjne przyzwyczajenie kazało jej przeskakiwać losowo na poszczególne obrazy, jednak gdyby musiała zgadywać, powiedziałyby, że siedząca obok niej trzynastka cały czas skupiała się na lekko wymizerowanych, spalonych słońcem rysach danołamacza *familii*, przez całe przesłuchanie bez emocji palącego papierosy.

- Hej, pozwolili mu zabrać tam pieprzone papierosy? - oburzyła się Rovayo.

- Technicznie to nie jest papieros - cierpliwie wyjaśniła Sevgi. Sama za pierwszym razem też była zszokowana. - To skrzele. Wiesz, jak na filmach z osiedlania. Reakcja chemiczna, uwalnia tlen, zamiast go spalać. Takie doładowanie płuc.

Rovayo strzeliła palcami.

- Nooo dobra. Tak jak Kwame Oviedo, zawsze ma jednego w kącie ust praktycznie w każdej scenie trylogii „Bohaterowie wyżyn”.

Sevgi pokiwała głową.

- Tak, to samo z Marisą Mansour. Nawet w „Królowej Marineris”, która jest właściwie dość...

- Podobno mamy to oglądać - głośno wtrącił się Marsalis.

Sevgi z ekspresją uniosła brew w stronę policjantki z Wybrzeża i obie obróciły się w stronę ekranu. Gutierrez gładko wpasowywał się w rolę wyluzowanego kryminalisty. Wypowiadał się wyżynnym dialektem quechua - monitor językowy z maszynową prędkością w czasie rzeczywistym podstawił podpisy w amangielskim, ale prowadzący przesłuchanie musieli się nieźle napocić. Sevgi przypuszczała, że znali trochę ulicznego quechua, musieli znać, żeby móc pracować tam jako policjanci, ale widać było, że

mieli z tym problemy. Wciąż przechodzili na amangielski lub hiszpański - którymi Gutierrez według akt posługiwał się płynnie - i nieustannie wsłuchiwali się w szept czarnych słuchawek dousznych. Danałamacz traktował ich z wyższością.

- Słuchaj, Nicki, daj spokój z tym podskakiwaniem - rzucił. - Nie ma mowy, żebyście coś na mnie mieli. Prędzej czy później będziecie mi musieli pozwolić na telefon. Może więc oszczędzicie nam wszystkim męki i zrobicie to teraz?

Starsza stopniem oficer po drugiej stronie stołu wyprostowała się na krzesło i wbiła w danałamacza ciężkie spojrzenie.

- Chyba zapominasz, Franklin, na której planecie się znajdujesz. Telefon będziesz mógł wykonać, kiedy ci na to pozwolę.

Jej towarzysz wstał z krzesła i zaczął powoli obchodzić stół. Gutierrez odchylił nieco głowę, by śledzić ruch, zaciągnął się skrętem i wydmuchał długi pióropusz dymu, po czym skupił wzrok z powrotem na kobiecie. Potrząsnął głową.

- Nicki, przyjdą po mnie i wyciągną mnie stąd przed śniadaniem. Wiesz o tym.

Drugi gliniarz go uderzył, wkładając masę ciała w zamach, waląc zagiętą dłonią w ucho i bok głowy danałamacza. Skrzele poleciało w powietrze, podobnie jak Gutierrez i krzesło, nie bojąc się zbytnio słabego, marsjańskiego ciężenia. Trzask plastiku na wiecznobetonie, cichy krzyk człowieka. Rovayo się wzdrygnęła - Sevgi zauważyła to kątem oka ze swojego miejsca. Na ekranie Gutierrez przetoczył się i zatrzymał, a gliniarz był już nad nim. Danałamacz z otępieniem potrząsał głową, próbując się podnieść - napastnik zacisnął na jego szyi umięśnione ramię i podciągnął go do pionu. Starsza oficer przyglądała się temu beznamiętnie.

- Nie trafiłeś, gnojku - wysyczał umięśniony gliniarz do nieuderzonego ucha. - Widzisz, mamy w tej sprawie sporo luzu. Naprawdę namieszałeś z „Horkan’s Pride”, bardzo grubo. Z INKOL idą teraz naciski znacznie większe, niż twoi kumple w Welles potrafią wytrzymać. Powiedziałbym, że zatrzymamy cię tu przynajmniej na dwa tygodnie.

Danałamacz zdołał wycharczeć odpowiedź.

- Reyes - pojawiło się w napisach - znów mylisz swoje sny z rzeczywistością.

Gliniarz odsłonił zęby w drapieżnym uśmiechu. Sięgnął w dół i złapał Gutierreza za krocze. Przekręcił. Z gardła danałamacza wydobył się

przygłuszony jęk.

- Czy on może... - zaczęła poruszona Rovayo.

Marsalis lekko obrócił głowę w jej stronę. Spojrzał w oczy.

- Policja Kolonii. O tak. Może.

Kobieta na krześle poruszyła lekko głową. Jej towarzysz puścił jądra Gutierrezza i pchnął danołamacza na stół niczym worek z praniem. Mężczyzna leżał na blacie z głową na boku, dysząc świszczaco przez zęby. Gliniarz nazwany Reyesem przycisnął otwartą dłoń do policzka podejrzanego i nachylił się tuż nad nim.

- Lepiej będzie, jak nauczysz się właściwie zachowywać, Franklin - odezwał się konwersacyjnym tonem. - Z tego, co mi mówiono, jeśli będzie trzeba, możemy wydać na ciebie całoroczny budżet kompensacyjny. - Popatrzył na kobietę. - Ile wynosi obecnie zwrot za uszkodzenia jąder, Nick?

Oficer wzruszyła ramionami.

- Trzydzieści siedem patyków.

Reyes znów się wyszczerzył.

- Właśnie. To za jedno, prawda?

- Nie, za oba. - Kobieta nachyliła się trochę. - Słyszałam, że chirurgia rekonstruktywna jest bardzo nieprzyjemna, Franklin. Nie chciałbyś przez nią przechodzić.

- Właśnie, więc może dla odmiany zacząłbyś mówić do nas po angielsku.

- Reyes podkreślił słowa zsuwając dłoń z twarzy danołamacza, jakby ją wycierał. Ze zde gustowaniem wykrzywił twarz. - Bo wszyscy wiemy, że potrafisz. Po prostu na chwilę odpuść sobie ten wyżynny bulgot. Wysił się trochę, co? Może wtedy zostawię twoje *cojones* w jednym kawałku.

Cofnął się. Z Gutierrezza wydobył się cichy dźwięk. Sevgi z niedowierzaniem zrozumiała, że to śmiech. Danołamacz chichotał.

Reyes obrócił się i wbił w niego wzrok.

- Coś cię *bawi, pendejo?*

Gutierrez podniósł się ze stołu. Poprawił ubranie. Kiwnął głową, jakby właśnie usłyszał jakieś bardzo rozsądne wyjaśnienia. Sevgi wiedziała, że jego ucho musiało wyć niczym alarm przeciwpożarowy.

- Tylko rozmowa. - Jego angielski miał lekki akcent, ale poza tym był nienaganny. - Mówisz, że wsadziliście mnie tu na dłużej. Dobra, niech będzie. Nicki, weźmiesz swojego psa na smycz?

Reyes się spał, ale kobieta wykonała kolejny drobny gest głową i odpuścił. Gutierrez ostrożnie usiadł z powrotem na krześle, krzywiąc się przy

tym. Obmacał kieszenie, wyciągnął paczkę skrzel i wsadził sobie jednego do ust. Przekręcił koniec, oderwał go i się zaciągnął, wzbudzając reakcję. Wypuścił dym z ust i wciągnął go nosem. Sevgi uznała, że po prostu kupuje czas. W końcu wzruszył ramionami.

- To co chcecie wiedzieć?

- „Horkan’s Pride” - bezbarwnie wyjaśnił Reyes.

- Tak, wspominałeś już. Duży statek kosmiczny, w zeszłym roku poleciał do domu. Z tego, co słyszałem, rozbił się w morzu. - Wydmuchnął porcję dymu. - I co?

- To czemu to zrobiłeś?

- Czemu co zrobiłem?

Para policjantów wymieniła spojrzenie pełne teatralnej irytacji. Reyes zrobił dwa kroki do przodu, unosząc ręce.

- Czekał - rzuciła kobieta. Zabrzmiało to sztucznie, jak przygotowana reakcja na wymienione wcześniej spojrzenie.

- Właśnie, czekał - zgodził się Gutierrez. - Chcecie mnie zrobić w jakąś awarię systemu na pieprzonej innej planecie? No wiecie, kiedyś byłem dobry. Ale nie aż tak.

- Słyszałem coś innego - warknął Reyes.

- A dokładniej?

- Może to ty nam powiesz, *pendejo*?

Gutierrez przechylił głowę.

- Ja mam powiedzieć wam to, co wy właśnie usłyszeliście? Co, teraz jeszcze jestem telepatą?

- Słuchaj, gnojku...

Marsalis jęknął. Teraz on włożył w to teatralną irytację. Sevgi trudno było się z nim nie zgodzić. Kolonia pieprzyła to w niewyobrażalny sposób.

I tak obejrzeni całość. Przesłuchanie miało lepsze i gorsze chwile, ale generalnie z każdą chwilą poziom opadał. Gutierrez jakby powoli nabierał sił z każdą wciągniętą porcją dymu i przetrzymywał napady brutalności Reyesa. Nie ustąpił nawet na milimetr. Wyprowadzili go kulejącego, z rozbitymi ustami, podbitym okiem i skręconym nadgarstkiem. Na do widzenia posłał do kamer zakrwawiony uśmiech. Monitory czynności życiowych zgasły, gdy opuścił salkę, oficer prowadząca formalnie się wyrejestrowała. Ekran zgasł.

Marsalis westchnął.

- Zadowolona?

- Będę, jak podzielisz się ze mną swoim zdaniem.

- Moje zdanie? Myślę, że poza profesjonalnymi torturami z użyciem elektrod i psychotropów Gutierrez nie powie Kolonii niczego ciekawego. Kiedy to miało miejsce?

- Parę dni temu. Norton wysłał rozkaz aresztowania tej nocy, kiedy poleciliśmy do Stambułu.

- Cały czas nad nim pracują?

- Nie sądzę. To wszystko, co mamy. Chyba nie przejdą z nim na następny poziom, jeśli nie dostaną od nas czegoś konkretnego.

- Tak, a pewnie i tak marnowaliby tylko czas. Ziemia czy *Mars, familias* za dużo zainwestowały w gości takich jak on. Do tych dobrych biorą się bardzo wcześnie, dają im takie samo warunkowanie synaptyczne, jak w biotechu tajnych operacji. Po czymś takim mózg prędzej zmieni się w papkę, niż ujawni zakazane informacje.

- Myślisz, że on naprawdę nosi coś takiego? - zapytała poruszona Rovayo.

- Gdyby to dla mnie pracował, miałby to już od lat. - Marsalis ziewnął i przeciągnął się na fotelu. - Poza tym musisz pamiętać, że Gutierrez to danołamacz. Ci faceci żyją dla wirtuala, większość życia spędzają, wyłączając dokładnie tę rzeczywistość fizyczną, z którą związane są tortury. Jeśli są w czymś dobrzy, to właśnie w odrywaniu się od własnych ciał. Dawno temu, na początku, gdy technologia była jeszcze nowa i podłączenia były znacznie bardziej ryzykowne niż teraz, wielu danołamaczy ginęło od głupich rzeczy w rodzaju odwodnienia lub spalenia, bo nie usłyszeli alarmu pożarowego. Pamiętam, jak Gutierrez powiedział mi kiedyś: „Hej, ból to tylko sposób, w jaki ciało informuje cię, że to, co robisz, ma swoją cenę - po prostu idziesz i płacisz, wchłaniasz”. Na tym poziomie jest jednym z najtwardszych sukinsynów, jakich kiedykolwiek zobaczysz na sali przesłuchań. A mając za sobą *familias*, nie boi się też uszkodzeń fizycznych, bo wie, że można je naprawić.

- Choć pewnie boi się śmierci - odgryzła się Sevgi.

- Tak, i to jest część problemu. Widzisz, Kolonia to banda zbirów, ale nie mogą cię tak naprawdę zabić, chyba że naprawdę w wypadku. Ale ludzie, dla których Gutierrez pracuj *e, familias* - cóż, to zupełnie inna sprawa. Jeśli oni uznają, że mówił, albo że chociaż mógł się wygadać, to nie będą mieli problemu z usunięciem go. Najmniejszego, a on o tym wie. A więc owszem, Gutierrez boi się śmierci, jak każdy. Ale musisz być w stanie zrealizować groźbę.

Przez chwilę siedzieli przed wyłączonym ekranem LCLS. Sevgi spojrzała na Rovayo.

- Mogłabyś nam dać kilka minut? - poprosiła.

\* \* \*

- Nie - oświadczył, jak tylko zostali sami.

- Nie mówię...

- Doskonale wiem, co chcesz powiedzieć, i możesz o tym zapomnieć w cholere. Ertekin, oni są na Marsie. Myślisz, że z odległości dwustu pięćdziesięciu milionów kilometrów mogą przestraszyć Gutierrezę bardziej niż tamtych dwoje?

- Tak - odpowiedziała spokojnie. - Myślę, że możesz.

Potrząsnął głową. W głosie zabrzmiała irytacja.

- Na jakiej podstawie?

- Na podstawie faktu, że masz z nim wspólną historię. Marsalis, jestem gliną. Jedenaście lat doświadczenia, więc możesz mi trochę zaufać, co? Widziałam jak zareagowałeś, gdy jego nazwisko wyszło ze skanu n-dżina. Widziałam, jak przyglądałeś mu się teraz na ekranie. - Mocno wciągnęła powietrze, wypuściła je. - Gutierrez ustawił cię na obudzenie w pół drogi do domu na „Felipe Souzie”, prawda?

- Doprawdy? - Teraz w jego głosie nie było nic.

- Owszem. - Jego niewzruszona pozycja była dla niej dowodem. - To zbyt duży zbieg okoliczności, ty i Merrin. Moim zdaniem ubiłeś z Gutierrezem jakiś interes, żeby wygrać loterię, ale Gutierrezowi nie spodobał się jego udział. Wysłał cię do domu z drobnym prezentem na pożegnanie. Namieszał ci w głowie, obudził cię tam w nadziei, że może oszalejesz, zanim dotrze do ciebie ekipa ratunkowa. Tak to było?

Obrócił głowę w stronę kobiety siedzącej w rzędzie za nim, popatrzył na nią i nagle po raz pierwszy od kilku dni znów się go bała.

- Cóż, jesteś gliną - powiedział bezbarwnie. - Sama to sobie wszystko rozpracowałaś, więc do czego ci jestem potrzebny?

Zerwała się z miejsca, podeszła do ekranu i odwróciła się w jego stronę. Powiedziała sobie, że to nie ucieczka.

- Jesteś mi potrzebny do tego, żebyś popatrzył na Gutierrezę tak, jak właśnie spojrzałeś na mnie. Popatrz mu w oczy i powiedz, że go zabijesz, jeśli nie powie nam tego, co chcemy wiedzieć.

- To teraz standardowa procedura operacyjna nowojorskiej policji, co?

Wróciła do gry, w stanie Nowy Jork o świcie, czując smród

rozkładającego się ciała. Oceniający wzrok detektywów wydziału wewnętrznego.

- Pieprz się.

- Widzisz? Nawet ciebie nie mogę wystraszyć. A jesteś w jednym pokoju ze mną. Jak mam wystraszyć Gutierrezza na Marsie?

- Wiesz, o czym mówię.

Westchnął.

- Tak, wiem, o czym mówisz. O legendzie, prawda? Myślisz, że ponieważ Gutierrez jest zafascynowany trzynastkami, kupił też te wszystkie bzdury o nieprzejdanych genetycznych wojownikach, które nam towarzyszą. Ale to Mars, Sevgi. Dzielą nas od niego setki milionów kilometrów pustki, której nie da się pokonać bez licencji. Nie rozumiesz, co to robi z tymi wszystkimi imperatywami ludzkimi, o których tak rozpisuje się Jacobsen? Co to robi z miłością i lojalnością, zaufaniem i zemstą? Mars to nie jest tylko inna planeta, to inne cholerne życie. Cokolwiek się tam dzieje, zostaje tam. Wracasz i zostawiasz to za sobą. To jak sen, z którego się budzisz. Gutierrez pomógł w wysłaniu mnie do domu. Nawet za milion lat nie uwierzy, że wrócę tam tylko po to, żeby go zabić za to, co zrobił, a co dopiero, żeby nastraszyć go dla was.

- Może uwierzyć, że zamówisz wykonanie tego. Zapłacisz komuś innemu, żeby to zrobił z tamtej strony.

- Komuś, kto nie boi się *familias*?

Zawahała się chwilę.

- Są opcje, które...

- Tak, tak, wiem. Nie wątpię, że INKOL zdołałby zebrać dla mnie grupę uderzeniową, gdyby twój kumpel Norton wykonał właściwe telefony. Ale ja sam załatwiam swoje zabijanie i Gutierrez o tym wie. Nie mogę go w tym oszukać. I wiesz co, Sevgi? Nawet gdybym sądził, że mogę to zrobić - nie zrobię.

Ostatnie słowa zazgrzytały w jego ustach jak hamowanie na żwirze. Sevgi poczuła, jak tężeje jej twarz.

- Czemu nie?

- Bo to bzdura. Wszyscy jesteśmy tu prowadzeni za fiuta i nie ma to nic wspólnego z tym, co mogło albo nie mogło się stać na Marsie. Szukamy w niewłaściwych miejscach.

- Nie zamierzam wracać do Arequipy.

- W takim razie zacznijmy bliżej domu. Może na przykład uważniej

przyjrzymy się twojemu kumplowi Nortonowi.

W pokoju zapanowała cisza. Sevgi złożyła ręce na piersi i oparła się o ekran.

- I co to niby ma znaczyć?

Wzruszył ramionami.

- Sama wykombinuj. Kto jeszcze wiedział, gdzie śpię w Nowym Jorku tego dnia, gdy zaatakowali nas rolnicy? Kto zadzwonił do ciebie równo wtedy, gdy porywali nas w drodze do Arequipy? Kto przeciągnął nas całą drogę tutaj, żeby popatrzeć na utopionego cztery miesiące temu faceta, gdy właśnie zaczynaliśmy do czegoś dochodzić?

- Och. - Bezradnie machnęła rękami. - Odpieprz się, Marsalis. Coyle miał rację, to czysta paranoja trzynastek.

- Doprawdy? - Marsalis gwałtownie poderwał się z miejsca. Ruszył w jej stronę. - Pomyśl o tym, Ertekin. Wasze poszukiwania n-dżinnem zawiodły. Nie wyszło powiązanie między Wardem a Merrinem, nie wyszedł Gutierrez. Wszystko, co znaleźliśmy, od kiedy zacząłem potrząsać tym drzewem, wskazuje na tuszowanie faktów, a Norton jest ustawiony idealnie, żeby to przygotować. Jest do tego doskonały.

- Zamknij się w cholere, Marsalis. - Nagła furia. - Nic nie wiesz o Tomie Nortonie. Nic!

- Znam ludzi takich jak on. - Mówił jej wprost w twarz, tak blisko, że czuła bijące od niego ciepło. - Od kiedy tylko pamiętam, było ich pełno w projekcie Osprey. Dobrze się ubierają, mówią cichym głosem i uśmiechają się, jakby robili to dla gazet. A kiedy przychodzi czas, bez zmrużenia oka wysyłają na tortury i śmierć kobiety i dzieci, ponieważ w głębi nie obchodzi ich nic oprócz własnych celów. A wy, ludzie, oddajecie im kontrolę za każdym cholernym razem, ponieważ w sumie jesteście tylko bandą pieprzonego bydła szukającego właściciela.

- No cóż. - Gniew zmienił się w niej w coś innego. Odruch, może skutek lat spędzonych z Ethanem kazał jej go użyć, zachować głos spokojny i bez zaangażowania. - Jeśli kierowali Ospreyem, to powiedziałabym, że wy też całkiem gładko oddaliście im kontrolę.

To było jak pociągnięcie za spust.

*Czujesz dobry strzał, powiedział jej kiedyś na początku szkolenia instruktor broni palnej. Jakbyś razem z celem, bronią i pociskiem stanowiła element jednego mechanizmu. Strzelaj w ten sposób, a będziesz wiedzieć, że trafiłaś, jeszcze zanim facet poleci na ziemię.*



Właśnie w ten sposób. Z Marsalisa prawie w widoczny sposób odpłynęła złość. Choć w ogóle się nie poruszył, miała wrażenie, jakby zrobił krok do tyłu.

- Miałem jednaście hit - powiedział cicho.

A potem odszedł, nie oglądając się, i zamknął drzwi, zostawiając ją samą przed rzędami foteli.

## ROZDZIAŁ 35

- *Ona nie jest twoją mamą - mówi mu jasnooki wujek w garniturze.*  
- *Jest - odpowiada, wskazując nad łańcuchem w stronę Marisol. - Ona.*  
- *Nie. - Wujek ustawia się na linii wzroku Carla, opierając się na płocie tak, że ten się pochyła z chwiejnym, metalicznym dźwiękiem. Od morza wieje silny wiatr, a wujek podnosi głos, żeby być słyszalnym pomimo niego. - Żadna z nich nie jest mamą, Carl. One tu tylko pracują, opiekują się wami. To tylko ciocie.*

*Carl gniewnie patrzy na niego w górę.*

*- Nie wierzę panu.*

*- Wiem, że nie - zgadza się wujek i na jego twarzy pojawia się jakiś wyraz, jakby nie czuł się dobrze. - Ale uwierzysz. To dla ciebie ważny dzień, Carl. Wspięcie się na tę górę było tylko początkiem.*

*- Musimy tam iść jeszcze raz? - Próbuje zadać to pytanie swobodnym tonem, ale głos mu drży.*

*Góra była przerażająca, tak jak dotąd żadna z gier wujków. Nie chodziło tylko o to, że były tam kawałki, gdzie łatwo można było zlecieć i się zabić, a tym razem nie mieli lin - chodziło o to uczucie, że wujkowie przyglądali mu się uważnie w tych miejscach i że nie chodziło im o sprawdzenie, czy nic mu nie jest, że tak naprawdę nie obchodziło ich, czy nic mu nie jest, chcieli tylko wiedzieć, czy się boi. A to było jeszcze bardziej przerażające, bo nie wiedział, czy powinien się bać, czy nie. Nie wiedział, czy chcieli, żeby się bał (choć nie uważał tego za prawdopodobne). Zresztą robiło się już późno i choć Carl był przekonany, że mógłby się tam wspiąć jeszcze raz, nie sądził, żeby mógł dokonać tego po ciemku.*

*Wujek się uśmiecha.*

*- Nie. Nie dzisiaj. Ale musimy zrobić inne rzeczy. Musisz więc teraz wrócić do środka z innymi.*

*Po drugiej stronie płotu i splotów drutu kolczastego za nim Marisol idzie przez płytę lądowiska helikoptera, widzi ją więc pomimo wujka próbującego zasłonić widok. Patrzy na niego, ale nie podnosi ręki ani nie woła. Carl przypomina sobie, że tego ranka, zanim wujkowie po niego przyjechali, stanęła i go pocałowała, przytrzymała jego głowę w dłoniach i popatrzyła na niego z uwagą, tak jak czasem, gdy poranił się w walce. Potem pospiesznie*

go puściła i się odwróciła. Wydała cichy dźwięk z głębi gardła, sięgnęła ręką do góry i poprawiła włosy, jak gdyby się wysunęły, potem oczywiście się wysunęły, boje ruszała, i teraz naprawdę już musiała je poprawić jak zawsze...

Rozpoznaje sygnały. Jednak po prostu nie rozumie, jak tym razem doprowadził ją do płaczu. Przynajmniej od tygodnia nie bił się z żadnym innym dzieckiem. Nawet dłużej nie pyskował wujkom. W pokoju panował porządek, ze szkoły miał same złote gwiazdki ze wszystkiego oprócz matematyki i noży, a zarówno wujek Dawid, jak i pan Sessions mówili, że w nich też się poprawia. Przez większość wieczorów pomagał w kuchni, a gdy oparzył się wczoraj brzegiem patelni, odrzucił to od siebie, używając technik kontroli poznanych na lekcjach opanowania bólu cioci Chitry, i widział w oczach Marisol jak była z tego dumna.

Więc czemu?

Wyteżał mózg podczas drogi na górę, ale nie umiał znaleźć odpowiedzi. Marisol nie płakała często, nigdy nie płakała bez powodu poza tym jednym razem, gdy miał pięć czy sześć lat, przyszedł do domu pełen pytań o pieniądze, o to, czemu niektórzy ludzie mieli ich więcej niż inni, czy wujkowie mieli więcej niż ciocie, czy rzeczywiście koniecznie trzeba je mieć i czy zrobiłaby kiedyś coś, czego naprawdę, naprawdę nie chciałaby robić, żeby je dostać. Wtedy nagle i nieoczekiwanie się rozplakała, z początku wciąż mówiąc do niego ze łzami w oczach, a potem odwróciła się i je ukryła.

Wie, wiedział też wtedy, że matki płaczą czasem w taki sposób z powodów, których nikt nie potrafił rozpracować, i oczywiście matka Roda Gordona musiała w końcu wyjechać, bo wciąż to robiła. Ale on zawsze był pewien, że Marisol nie jest taka, że jest inna, tak jak on w tajemnicy dumny był z tego, jak ciemna jest jej skóra, jak błyszcząły bielą jej zęby, gdy się uśmiechała, z tego, jak śpiewała po hiszpańsku o domu. Wie, że Marisol jest kimś szczególnym. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy odkrywa strzępki wiedzy przyjmowanej za pewnik, przyjmowanej na wiarę, nagle zmienia się ona w solidny kawał wiedzy, obciążający pierś jak cios. Nagle całkowicie skupia się na niej. Widzi ją za płotem i drutem kolczastym, jakby zobaczył japo raz pierwszy.

Ona powoli unosi rękę, jakby znajdowała się na lekcji i nie była pewna, czy naprawdę zna odpowiedź. Macha do niego.

- Chcę z nią porozmawiać - mówi do wujka.

- Obawiam się, że nie możesz, Carl.

- Chcę.

Wujek prostuje się od plotu, marszczy czoło. Siatka odskakuje z kolejnym metalicznym drżeniem.

- Wiesz już, że nie powinieneś tak mówić. Twoje życzenia znaczą na tym świecie bardzo niewiele. Jesteś cenny z powodu tego, co potrafisz, nie tego, co chcesz.

- Gdzie ją zabieracie?

- Ona odchodzi. - Wujek staje nad nim. - Wszystkie odchodzą. Skończyła swoją pracę, więc wraca do domu.

W jakiś sposób już to wiedział, ale i tak słowa są niczym uderzenie wiatru w twarz, gwałtowne, pozbawiające oddechu. Czuje, jak jego nogi tracą siłę, postawa zmienia się nieznacznie na wydeptanym betonie pod stopami. Ma ochotę upaść, a przynajmniej usiąść gdzieś, ale ma dość rozsądku, by tego nie okazać. Kieruje wzrok ponad skupiska budynków osady Osprey Osiemnaście, domki w równych rzędach, szkoła i jadalnia, światła właśnie budzące się do życia w pojedynczych domkach, w miarę jak popołudnie chyli się ku wieczorowi. Ponure nierówności nadbrzeżnych wrzosowisk pod ciemniejącym, ołowianym niebem, odległe zarysy gór wygładzonych wiekiem. Od północy za tym wszystkim zimny Atlantyk.

- To jest jej dom - próbuje przekonać siebie samego.

- Już nie.

Carl spogląda nagle w twarz mężczyzny. Mając jedenaście lat, jest już wysoki jak na swój wiek, wujek przewyższa go zaledwie o pół głowy.

- Jeśli ją zabierzecie, zabiję cię - mówi, tym razem z przekonaniem równie głębokim jak nagła wiedza o Marisol.

Wujek ciosem powala go na ziemię.

To krótki, szybki cios, w twarz - później na kości policzkowej znajdzie pękniętą skórę - i samo zaskoczenie sprawia, że ląduje na ziemi. Ale kiedy zrywa się na nogi, jak go nauczono, wraca z pełną furią, wujek go blokuje i znów go bije, prawą pięścią pod żebra, pozbawiając oddechu. Zatacza się w tył, a wujek idzie za nim, uderza krawędzią lewej dłoni w podstawę szyi i powala go po raz drugi.

Pada na ziemię, dusząc się z braku powietrza. Wylądował piecami do lądowiska helikopterów i Marisol. Jego ciało wije się konwulsyjnie na asfalcie, próbując się obrócić, próbując oddychać. Jednak wujek zna jego wrażliwe punkty i trafia w nie dokładnie i bez wysiłku. Carl ledwie może drgnąć, nie ma szans na ruch. Myśli, że Marisol musi biec ku niemu, ale

*dzieli ich drut kolczasty i siatka, inne ciocie i wujkowie...*

*Wujek przykuca w jego polu widzenia i ocenia dokonane przez siebie obrażenia. Wydaje się być zadowolony.*

*- Nigdy więcej nie mów w ten sposób do żadnego z nas - mówi spokojnie.  
- Po pierwsze, bo wszystko, co kiedykolwiek miałeś, włącznie z kobietą, którą uważasz za swoją mamę, dostałeś od nas. Pamiętaj o tym, Carl, i wykaż odrobinę wdzięczności, trochę szacunku. Wszystko, czym jesteś, wszystko, czym się stałeś i czym się staniesz, zawdzięczasz nam. To pierwszy powód. Drugi powód jest taki, że jeśli kiedykolwiek ponownie odezwiesz się w taki sposób do któregoś z nas, osobiście dopilnuję, żeby za karę zbito cię tak, że to, co zrobiliśmy Rodowi Gordonowi, będzie się wydawało czułym głaskaniem. Rozumiesz?*

*Carl tylko patrzy na niego nabrzmiewającymi oczami. Wujek widzi to, wzdycha i się prostuje.*

*- Z czasem - mówi z wielkiej wysokości - zrozumiesz.*

*A z oddali dobiega cichnący warkot helikoptera transportowego, sunącego po jesiennym niebie niczym kombajn zbierający letni plon.*

*\* \* \**

Obudził się w nieznanym sobie łóżku, przykryty pościelą pachnącą kobietą. Na jego usta wypłynął lekki uśmiech, odsuwając gorzki posmak wspomnień z Ospreya.

- Zły sen? - zapytała Rovayo.

Siedziała w odległości kilku metrów na głębokiej sofie pod oknem, zwinięta i naga poza białymi figami, czytając z projekcyjnego zestawu nagłownego. Światło lamp z ulicy pokrywało miękkim blaskiem hebanowe krągłości jej ciała, linię uniesionych ud, kopułę kolana. Niczym ciężarówka uderzyły w niego wspomnienia - to samo ciało owinięte wokół niego, gdy klęczał wyprostowany na łóżku i trzymał w dłoniach jej pośladki niczym owoce, a ona unosiła się w górę i opuszczała na jego erekcję, wciąż wydając z siebie głęboki, gardłowy dźwięk, jak ktoś kosztujący idealnie przyrządzonej potrawy.

Usiadł. Zamrugał i spojrzał w ciemność za oknem. Poczucie dyslokacji - coś nie pasowało.

- Jak długo spałem?

- Niedługo. Może godzinę. - Ściągnęła zestaw nagłowny i nie wyłączając, położyła go na oparciu sofy. W ramkach jarzyły się maleńkie panele niebieskiego światła niczym surowe spojrzenie robota-przyzwoitki. Odsunęła

do tyłu włosy i uśmiechnęła się do niego. - Uznałam, że zasłużyłeś na odpoczynek.

- Pieprzone skoki wokół planety. - Pamiętał niewyraźnie ostatnią rzecz: długo po tym, jak jej dłonie i usta nie potrafiły już pobudzić go do działania, leżał z dłońmi złożonymi na jej udach i wdychał zapach jej łona, jakby było morzem. - Moje poczucie czasu poszło w diabły. Czyli wyglądało, jakbym miał zły sen, co?

- Prawdę mówiąc, wyglądało, jakbyś walczył z Haystackiem Harrisonem o tytuł mistrza Kalifornii. Rzucałeś się po całym łóżku. - Ziewnęła, przeciągnęła się i wstała. - Sama bym cię obudziła, ale mówią, że lepiej pozwolić czemuś takiemu na odegranie się do końca, żeby obrazy się w pełni wyładowały, czy jakoś tak. Nie pamiętasz, co ci się śniło?

Potrząsnął głową i skłamał.

- Nie tym razem.

- No cóż, może w takim razie to ja ci się śniłam. - Oparła dłonie na biodrach. Kolejny uśmiech. - Wiesz, z piątą rundą.

Odpowiedział uśmiechem.

- No nie wiem, chyba jestem już całkiem pokonany.

- Tak, pewnie jesteś - stwierdziła zamyślnym głosem. - Zdecydowanie sprawiałeś wrażenie faceta, który wie, czego chce.

Z tym nie mógł się spierać - wypadł z sali projekcyjnej przepelniony złością na Ertekin, stanął na środku przydzielonego im biura i gdy zobaczył Rovayo opartą o brzeg biurka i przyglądającą mu się, podszedł do niej jak igła ciągnąca na północ.

- Problemy? - zapytała neutralnie.

- Można tak powiedzieć.

Kiwnęła głową. Nachyliła się nad biurkiem do swojej konsoli i wystukała kod zakończenia. Obejrzała się na niego pytająco.

- Masz ochotę na drinka?

- Dokładnie tego chcę - przyznał ponuro.

Wyszli, pojechali windą do góry przez poziomy stacji Alcatraz, aż przez okna mogli zobaczyć niebo i wodę. Czuł się, jakby spadało z niego ciśnienie. Na górnych piętrach Rovayo zaprowadziła go do knajpy nazywającej się Lima Alpha, ze stolikami z widokiem na zatokę. Kupiła dla obojga duże drinki pisco sour, podała mu jednego i usiedli na przeciwległych fotelikach, patrząc na siebie badawczo. Spróbował koktajlu i musiał przyznać, że był całkiem dobry. Złość zaczęła wygasać. Rozmawiali o drobiazgach, pili i

pławili się w popołudniowym słońcu. W pewnym momencie przeszli z amangielskiego na hiszpański. Żadne z nich nie wykonało oczywistego ruchu.

W końcu telefon Rovayo zażądał uwagi. Skrzywiła się, wyciągnęła go i przystawiła do ucha, ustawiając tylko dźwięk.

- Tak, co? - Słuchała, potem znów się skrzywiła. - W drodze do domu. Czemu?

Z telefonu dobiegł męski głos, cichy i niewyraźny.

- Roy, nie byłam w domu od trzydziestu, nie, czekaj - spojrzała na zegarek - trzydziestu sześciu godzin. Nie spałam od dwunastu, a i to było raptem dziewięćdziesiąt minut na kozetce w gabinecie...

Trzeszczący protest. Rovayo się zjeżyła.

- Nie, to cholera nie...

Coyle zatrzeszczał jeszcze trochę. Przerwała mu.

- Słuchaj, Roy, nie próbuj mi mówić, ile spałam. Nie wiesz...

Znowu fala dźwięków.

- Tak, masz rację, wszyscy jesteśmy zmęczeni, a wiesz, Roy, co się robi w takim stanie? Idzie się spać. Nie zamierzam bawić się w maczo i zawałać kolejnej nocy tylko po to, żebyś mógł się bawić z Tsaiem w dobrego glinę. Poza tymi twoimi ulubionymi filmami z zeszłego tysiąclecia nikt już nie rozgryza spraw w ten sposób. Chcecie się bawić, jakby nigdy nie stworzono Nowej Matematyki, proszę bardzo. Ja idę do domu.

Kolejne trzaski w telefonie. Rovayo zerknęła na Carla i uniosła brew.

- Nie - rzuciła stanowczo. - Nie widziałam go. Nie ma telefonu? Nie? Trudno, w takim razie spróbuj w jego hotelu. Do zobaczenia rano.

Rozłączyła się.

- Szukają cię - wyjaśniła.

- Och.

- Właśnie. Chcesz dać się znaleźć?

- Nieszczególnie.

- Tak właśnie myślałam. - Dopija resztkę drinka w swoim szkle i znów posłała mu badawcze spojrzenie. - Cóż, powiedziałabym, że twój hotel chwilowo jest spalony. Chcesz jeszcze jednego drinka u mnie?

Odpowiedział jej analogicznym wzrokiem.

- Czy to podchwytliwe pytanie?

Alcatraz oferowało swoim pracownikom dostępne dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu automatyczne helikoptery,

latające na oba brzegi zatoki. Linia Oakland lądowała w kilku miejscach, skąd można było bez problemu dojść do mieszkania Rovayo. Poszli spacerkiem, dzieląc pisco sour i wspólne poczucie pójścia na wagary, śmiejąc się w porannym powietrzu. Zapytała go, skąd zna hiszpański - opowiedział jej trochę o Marisol, trochę więcej o Marsie i projektach wyżynnych. Jak wcześniej, zdawała się głodna szczegółów. Dotykali się, zdecydowanie więcej, niż można było przypisać normom kulturalnym jej hiszpańskiego pochodzenia. Sygnały przechodziły jasno i wyraźnie. Weszli po schodach do jej mieszkania na drugim piętrze, wymieniając w drzwiach znaczące uśmiechy.

Drzwi zamknęły się za nimi z głośnym trzaskiem i szmerem aktywacji elektronicznych zabezpieczeń.

Ich kontrola roztrzaskała się w głodnych kawałkach na podłodze.

\* \* \*

- To co chcesz teraz robić?

Wciąż stała przed nim, wypchnięte biodra, szeroki uśmiech. Mimo wszystko poczuł, jak jego spracowany i skurczony penis zaczyna nabrzmiwać.

- Myślałem, że jesteś zmęczona.

Wzruszyła ramionami.

- Ja też. To pewnie cykliczne. Poczekaj parę godzin, a znów będę.

- Nie ekstrasomujesz tu na mnie, co?

- Nie, nie ekstrasomuję na tobie. - Nagle w jej głosie zabrzmiała autentyczna złość. - Czy ja wyglądam, jakbym miała tego rodzaju pieniądze? Myślisz, że gdyby moi rodzice mieli forszę na poprawki, pracowałabym dla policji?

Zamrugął. Uniósł w jej stronę otwarte dłonie.

- W porządku, w porządku. Tak tylko spytałem. Wiesz, Stany Wybrzeża znane są z takich rzeczy.

Nie słuchała. Wskazała na siebie otwartą dłonią ruchem, który wyraz jej twarzy pozbawił wszelkiej zmysłowości.

- Mam to, z czym się urodziłam albo na co ciężko sobie zapracowałam. Wędrowałam po szczeblach, potrzebowałam ośmiu lat, żeby dorobić się stopnia detektywa, i nie szłam po drodze na żadne pieprzone skróty genetyczne. Nie miałam...

- Powiedziałem w *porządku*, detektywie.

To ją zatrzymało. Opadła z powrotem na sofę, siadła na brzegu z rękami



opartymi na udach i dłońmi zwisającymi pomiędzy. Uniosła głowę, by na niego spojrzeć, a na jej twarzy pojawił się ślad zaszczucia.

- Przepraszam - mruknęła. - Wszyscy tu jesteśmy trochę zmęczeni Asiami Badawi i Meredith Chang.

- Badawi jest nowojorską Sudanką - zauważył.

- Tak? Możesz zobaczyć dom, który kupiła sobie na wybrzeżu. Mnóstwo przestrzeni jak na obcokrajowca. Zresztą nie o to mi chodziło.

- Nie? - Nagle intymność odbytych stosunków zrobiła się zbyt ciasna, jak kajdanki na rękach i folia na twarzy. Rovayo zrobiła się nagle znów obcą osobą, którą zawsze była, tylko nagą i będącą zbyt blisko. Poczłł nieoczekiwaną głęboką tęsknotę za seksem z Sevgi Ertekin. - Czyli nie jesteś ogólnie fanką wspomagania?

Prychnęła.

- Myślisz, że spośród tych, którzy ich nie mają, ktokolwiek jest fanem ekstrasmów?

- Ja jestem. - Jednak w głębi duszy wiedział, że próbuje ją sprowokować.

- Myślisz, że siedziałbym w tym pieprzonym syfie, gdyby czterdzieści lat temu wypracowali działającą technologię sztucznych ludzkich chromosomów? Myślisz, że ganialibyśmy wkoło, szukając jakiegoś przestarzałego superzołnierza, któremu zeszło na kanibalizm, gdyby tendencje trzynastki można było załadować na nośnik i włączać i wyłączać według potrzeb? Dobrze mi się przyjrzyj, Rovayo. Jestem cholernym chodzącym ucieleśnieniem zeszło wiecznej, preekstrasomalnej genetyki doświadczalnej.

- Wiem.

- Poważnie w to wątpię. - Carl uniósł do twarzy czubki palców, przesunął nimi po kościach policzkowych. - Widzisz to? Kiedy jesteś wariantem, ludzie nie patrzą na takie rzeczy. Patrzą wprost przez skórę i widzą tylko to, co ci wpisano w podwójną helisę.

Policjantka z Wybrzeża wzruszyła ramionami.

- Może wolałbyś, żeby zatrzymali się na skórze. Z tego, co słyszałam o dawnych czasach, oboje mamy niewłaściwą barwę, żeby to była lepsza opcja. Naprawdę wolałbyś, żeby było tak jak wtedy? Dawka solidnej, staromodnej nienawiści rasowej?

- Miałem już swoją dawkę czegoś takiego. Przez prawie cztery miesiące siedziałem w więzieniu w Jezusowie, pamiętasz?

Szerzej otworzyła oczy. Nadało jej to przerażająco młody wygląd.

Pomyślał, że Ertekin uniosłaby tylko jedną brew.

- Siedziałaś tam cztery miesiące? Myślałam...

- Tak, długo by gadać. Rzecz w tym, że za łatwo przychodzi ci mówienie o takich sprawach, Rovayo. Do czasu, aż sama pożyjesz ze zmodyfikowanym i zablokowanym kodem genetycznym, nie będziesz miała pojęcia, jak to jest. Nie możesz wiedzieć, jak szczęśliwa byłabyś z przełącznika ekstrasomowego, na którym możesz polegać.

- Tak myślisz? - Rovayo pochyliła się, sięgnęła ręką do podłogi obok sofy, chwyciła porzuconą koszulę i naciągnęła ją na siebie. Przez cały czas nie spuściła wzroku z jego twarzy. Poczul się przez to niegodny zaufania, intruzem w jej domu. Kciukiem docisnęła statyczne zapięcie koszuli, nie do końca, ale dość, by ukryć piersi. - Co ty naprawdę o mnie wiesz, Marsalis? Co *naprawdę* wiesz?

Posmakował na języku beczelne odpowiedzi, przełknął je w milczeniu. Może to zauważyła.

- Tak, wiem, że się pieprzyliśmy. Powiedz mi, proszę, że twoim zdaniem to coś znaczy.

Wykonał gest rękami.

- Cóż, nie planowałem się oświadczać.

To wywołało u niej lekki uśmiech.

- Tak. Widzisz, Marsalis. - Wyprostowała się na sofie. - Jestem bonobo.

Popatrzył na nią.

- Nie. Za cholerę nie jesteś.

- Nie? A co myślałeś, że wszystkie jesteśmy owiniętymi w sari gospodyniami domowymi albo gejszami? A może spodziewałeś się modelu chichoczącej zdziry, jak z tych głupich kurewskich rancz, które mają w Teksasie?

- Nie, ale...

- Nie jestem pełnej krwi. Moja matka jest stuprocentowym modelem, pracowała jako dama do towarzystwa dla agencji w Panamie, poznała ojca, gdy pojechał tam na ryby. Przeszmugłował ją stamtąd przez granicę.

- W takim razie nie jesteś bonobo.

- Jestem w połowie. - Rzuciła to jak wyzwanie, zaciskając szczęki, patrząc mu w oczy. - Poczytaj swojego Jacobsena. „Odziedziczone cechy będą dla przyszłych pokoleń nieznanym czynnikiem”. Cytat, koniec cytatu.

Coś się stało w pokoju. Po jej słowach zapadła gęsta, ogłuszająca cisza, przelała się niczym fala.

- Coyle wie? - zapytał, szukając czegoś, by przełamać bezruch.

- A jak myślisz?

Znów cisza.

W końcu jej usta zmarszczyły się w jednym kąciku.

- Nie wiem - przyznała powoli. - Patrzę na to, czym jestem, na to, jak reaguję na różne rzeczy, a potem patrzę na nią i po prostu nie wiem. Mój staruszek twierdzi, że ona nigdy tam nie pasowała i nigdy nie była tak poddańcza, jak powinny być bonobo. Mówi, że różniła się od pozostałych, dlatego właśnie ją zauważył. Nie wiem, czy wierzyć w te bzdury, czy przypisać je pieprzonej postromantycznej nostalgii.

Carl sięgnął wspomnieniami do bonobo, które widział w obozach przejściowych w Kuwejcie i Iraku, do tych, od których nie można było się uwolnić w Tajlandii i na Sri Lance. Z niektórymi rozmawiał, zjedna czy dwoma się pieprzył. I w Londynie, przyjaciółka Zooly z klubu, Krystalayna, która zawsze twierdziła, że jest bonobo, ale nigdy nie udowodniła, że nie są to tylko jakieś zmyślane bzdury.

- Myślę - odezwał się ostrożnie - że musisz uważać, żeby nie pomylić wiernopoddańczości z uczuciami macierzyńskimi albo z brakiem skłonności do przemocy. Większość bonobo, z którymi miałem kontakt, wiedziała, jak zdobyć to, na co miały ochotę.

- Tak. - W jej głosie pojawiła się brutalność. - Sama też potrafię zrobić niezłego loda. Nie sądzisz?

- Nie o to mi chodziło.

- Wiesz, Marsalis, jakie to uczucie? Nieustannie porównywać swoje działania z jakąś teorią tego, jak twoim zdaniem powinieneś się zachowywać. Każdego dnia w pracy zastanawiać się, za każdym razem, gdy pójdziesz na kompromis, za każdym razem, gdy odruchowo ustąpisz któremuś z kolegów, kombinować, czy nie przemawia przez ciebie kod genetyczny. - Gorzki uśmiech w stronę Carla. - Za każdym razem, gdy uprawiasz seks, facet, którego do tego wybierzesz, nawet sposób, w jaki to robisz, wszystko, rzeczy, które masz ochotę zrobić, i te, które chcesz, żeby zrobiono tobie. Wiesz, jakie to uczucie kwestionować to wszystko przez cały czas?

Kiwnął głową.

- Oczywiście, że tak. Właśnie całkiem niezłe opisałaś moje życie.

- Jestem dobrą policjantką - zapewniła pospiesznie. - Nie utrzymasz się w tej robocie, jeśli tak nie jest. Zabiłam na służbie trzech ludzi i nie dręczą mnie z tego powodu wyrzuty sumienia. To znaczy, wtedy byłam chora, przeszłam

przez poradnictwo, jak wszyscy inni, ale później było w porządku. Mam rekomendacje, wczesną promocję do specjalnych spraw, dostęp do poufny...

- Rovayo, przestań. - Uniósł rękę, zaskoczony tym, jak bardzo zmęczyło go nieoczekiwane lustrzane odbicie młodszego siebie. - Mówiłem ci, wiem. Ale podchodzisz do tego od złej strony. Nie musisz się usprawiedliwiać przed nikim oprócz siebie. W sumie tylko to się liczy.

Znów uśmiechnęła się w wymuszony, pozbawiony radości sposób.

- Powiedział prawdziwy wariant trzynasty. To dość oczywiste, że nigdy nie musiałeś stawać przed biegłym predyspozycji genetycznych.

- Myślałem, że na Wybrzeżu...

- Tak, obywatele Stanów Wybrzeża mają tu sporo praw. Ale obywatel czy nie, wciąż muszę się trzymać swojej licencji Jacobsena. I zanim to powiesz, tak, to dane poufne, chronione przez Kartę. Ale wstępując do policji, zrzekasz się swoich praw do tej ochrony.

- I Coyle wciąż o tobie nie wie?

- Nie. Ocena stanowi element standardowej procedury weryfikacji oficerów. Nie ma mowy, żeby ktoś dowiedział się, że przeszłam przez coś więcej niż pozostali. Tsai wie, to mój przełożony, ma akta. I jest jeszcze paru innych na poziomie sztabowym, tych z komitetu weryfikacyjnego. Ale dopuszczenie do wypłynięcia takiej informacji kosztowałoby ich więcej niż tylko stanowisko.

- Myślisz, że gdyby Coyle wiedział, przejąłby się tym?

- Nie wiem. Mówisz przyjacielom, kim jesteś?

- Jestem trzynastką - odpowiedział z poważną twarzą. - My nie mamy przyjaciół.

Roześmiała się. Tym razem z prawdziwym rozbawieniem.

- To dlatego tu jesteś?

- Sądziłem, że moje powody przyjscia tutaj były dość oczywiste.

- Cóż. - Przechyliła głowę na bok. - Tak, chyba dość gruntownie mi je już wyjaśniłeś.

- Dzięki.

- Jednak pozostaje pytanie. - Jej postawa nieco się otworzyła. Założyła jedną nogę na drugą, poruszyła lekko stopą i rozłożyła ręce na oparciu sofy. - Co chcesz teraz zrobić?

Uśmiechnął się.

- Mam pomysł.

## ROZDZIAŁ 36

Widziany z opadającego autokoptera „Kot Bułhakowa” miał ścięty, masywny wygląd dryfującego na boku po oceanie, odciętego u podstawy i oświetlonego drapacza chmur. Światła zalewały każdy kawałek struktury fabrycznej tratwy, oświetlały anteny i talerze, podkreślały lądowiska i odsłonięte boiska sportowe na górnych poziomach. Carl zauważył boisko do baseballu, piłki nożnej, garść boisk do koszykówki i łagodnie podświetlone baseny, z których jakaś połowa była w użyciu. Jak większość jej pływających sióstr, tratwa reklamowała się życiem toczącym się dwadzieścia cztery godziny na dobę, pulsującym ośrodkiem produkcji, zatrudnienia i rozrywki, której zasilane reaktorem serce nigdy nie zwalniało tempa. Specjaliści od reklamy twierdzili, że mieszkało na niej trzydzieści tysięcy ludzi, nie licząc turystów. Samo spojrzenie na nią z góry wywołało w Carlu irytację i niechęć do tłumów.

Siedząca obok Alicia Rovayo ziewnęła rozdzierająco i posłała mu kwaśne spojrzenie znad postawionego kołnierza kurtki.

- Nie mogę uwierzyć, że dałam się na to namówić.
- Pytałaś, co chciałbym zrobić.
- Tak. - Nachyliła się nad jego kolanami, by wyjrzeć z kabiny. - Niezupełnie o tym wtedy myślałam.

Autokopter podleciał bliżej i wykonał grzecznościowe okrążenie przed lądowaniem, by jego oznaczenia mogły zostać odczytane również przez ludzi, nie tylko przez maszyny. Carl wyłowił poszczególne sylwetki na boisku do koszykówki, cienie poruszające się w spokojnych, falujących światłach basenów.

- Uznaj to za intuicyjny przeskok - rzucił bez zaangażowania.
- Uznaję to za popuszczenie wodzy paranoi. I dokładnie tak będę wyglądać, kiedy przyjdzie mi się rozliczać z czasu helikoptera. Mówiłam ci, Donaldson i Kodo byli tu wczoraj i rozmawiali z tymi ludźmi. W aktach masz raport i przesłuchania. Tracimy czas. Długi lot na próżno.
- Tak, to jeszcze coś, nad czym możesz się zastanowić. „Kot” jest wciąż o kilkaset kilometrów od optymalnego zasięgu do konserwacji instalacji Warda. Czemu się pośpieszyli i popłynęli tam teraz, zamiast poczekać do przyszłego tygodnia?

- A skąd do cholery mam wiedzieć? - warknęła. - Może znałbyś już odpowiedź, gdybyś zajrzał do pliku, zamiast upierać się przy osobistym przylocie tutaj.

- Tak, miałbym odpowiedź. Cokolwiek, co Daskeen Azul postanowił powiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Nie o to mi chodzi.

Rovayo przetoczyła oczami.

- Mówiłam. Pieprzony paranoik.

Autokopter odnalazł przydzielone mu lądowisko, wymienił elektroniczne pozdrowienia z systemami kontroli ruchu i opuścił się z charakterystyczną, nieludzką perfekcją. Otworzył się właz kabiny i Carl wyskoczył. Rovayo poszła za nim, wciąż buntowniczo.

- Tylko niczego nie rozbij - rzuciła.

\* \* \*

Daskeen Azul dysponował niepozornym biurem gdzieś na śródkręciu do kontaktów z klientami oraz kilkoma dostępnymi za pośrednictwem wind warsztatami w głębi kadłuba, w których trzymali sprzęt do łodzi podwodnych. Podnajmowali czas na lądowisku i wsparcie powietrzne od innej firmy, ale mieli własne jednostki powierzchniowe i podwodne, dokujące w przystani na sterburcie od rufy. Tyle Rovayo mogła mu powiedzieć z głowy, z informacji zapamiętanych z odprawy Donaldsona i Kodo. W pliku było tego więcej i teoretycznie mogli go wywołać za pośrednictwem czytnika autokoptera, ale policjantka z Wybrzeża wydawała się niechętna idei szerszego wykorzystania systemów maszyny - prawdę mówiąc, zdawała się żałować sposobu, w jaki zażądała transportu, korzystając z uprawnień wydziału specjalnego - a Carl nie przejął się tym szczególnie. Miał już dość danych na początek.

Zgłosili więc swój przylot na „Kota Bułhakowa” jako zwykłe uzupełnienie śledztwa, co z kolei autokopter przekazał komputerom tratwy fabrycznej, a protokoły policji Wybrzeża zajęły się resztą. Technicznie pojazdy w rodzaju „Kota” były autonomicznymi państwami-miastami, ale każde państwo-miasto utrzymujące się z niszowej roli pełnionej w hiperdynamicznej gospodarce Stanów Wybrzeża musiało pogodzić się z rzeczywistością polityczną wynikającą z różnych związków. „Kot Bułhakowa” swobodnie wkraczał do strefy jurysdykcji Wybrzeża i ją opuszczał, jego obywatele mieli prawo wstępu na ziemię Stanów, a ich kontrakty miały moc prawną w sądach Wybrzeża - ale za to wszystko trzeba było zapłacić twardą kolonialną cenę. Rovayo poprowadziła Carla

korytarzami i promenadami tratwy fabrycznej z pewnością siebie i autoryzowanym, naładowanym pistoletem pod kurtką. Gdyby sądzić po okazywanym przez nią napięciu, równie dobrze mogli się przechadzać po korytarzach stacji Alcatraz. Po wejściu na pokład z nikim nie rozmawiali, nikogo nie informowali o swoim przybyciu, nie podjęli żadnych kroków grzecznościowych na poziomie ludzkim. Gdzieś wewnątrz ścian maszyny rozmawiały o ich przybyciu w niezrozumiałych elektronicznych szeptach, ale poza tym weszli do biura Daskeen Azul niezapowiedziani.

- O tej porze, w nocy? - zaprotestował agent Daskeen Azul z ledwie ukrywaną irytacją. - To znaczy, nasze zwykłe godziny pracy...

- ... to nie mój problem - twardo zapewniła Rovayo. - Jesteśmy tu w sprawie kontynuacji śledztwa w sprawie zabójstwa prowadzonego przez policję Wybrzeża, a z tego, co słyszałam, „Kot Bułhakowa” chwali się obsługą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Widział pan moją legitymację, może więc pociągnie pan trochę z tej całodobowej obsługi i odpowie na moje pytania?

Agent przeniósł spojrzenie na Carla.

- A on?

- Robi się niecierpliwy - beznamiętnie rzucił Carl.

- Nie widziałem dokumentów - uparł się agent. Widać było, że jego dłonie pracowicie wystukują coś pod gładką powierzchnią blatu. - Muszę zobaczyć dokumenty obojga państwa.

Rovayo oparła się o blat.

- Mamusia załatwiła ci tę pracę? - zapytała z zainteresowaniem.

Agent zagapił się na nią, ze złości opuszczając szczękę do odpowiedzi, na którą nie był dość szybki.

- Bo wydaje mi się, że to robota, na której zbytnio ci nie zależy. Ten człowiek jest prywatnym konsultantem policji Wybrzeża i współpracuje ze mną, nie z tobą. Pokazałam ci moje cholerne dokumenty, synku, i za jakieś dziesięć sekund podsunę ci pod nos nakaz zatrzymania pod zarzutem podejrzenia o współudział. Albo zaczniesz odpowiadać na moje pytania, albo wyciągniesz do tego celu z łóżka kogoś lepiej opłacanego. Jest mi wszystko jedno, więc jak będzie?

Mężczyzna za blatem wzdrygnął się, jakby dostał w twarz.

- Już się tym zajmę - wymamrotał, naciskając kolejne przyciski na niewidocznym ekranie. - Proszę, uch, może proszę sobie usiąść.

- Dziękuję - rzuciła Rovayo z ciężką dawką ironii.

Usiedli na rzędzie prostych krzesełek naprzeciw blatu. Pracownik recepcji wcisnął do ucha słuchawkę telefoniczną i zaczął coś do niej mrużyć. Na zewnątrz, w szerokim korytarzu kompleksu handlowego przed frontami sklepów snuły się bez pośpiechu i wyraźnego celu grupki jaskrawo ubranych kupujących, przypominających lunatyków albo ofiary jakiejś sztuczki hipnotycznej. Carl próbował zastosować się do nauk Sutherlanda i nie czuć zwykłej pogardy. Nie było to łatwe.

*Na Marsie...*

*Jasne, jak cholera.*

*Na Marsie jest inaczej, bo musi tak być. Wchłaniaj. Krzywy uśmiech jakby zdradzał tajemnicę, której nie powinien dzielić. Ale to ściśle czasowe. Na dłuższą metę nie bardziej prawdziwe niż wszystkie te bzdury, które sprzedają w reklamach. Nadejdzie taki dzień, gdy będzie tu dokładnie jak w domu, tylko z mniejszym ciężeniem. To oni, Carl. To ludzie. Zabierz ich gdziekolwiek i daj im czas, a zbudują tam to samo podwórko co wszędzie. I to właśnie jest konstrukt, w którym musisz żyć, wchłaniać, niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie.*

Z drzwi na tyłach biura wyłoniła się szczupła, elegancko ubrana kobieta. Dopasowany żakiet i spodnie w kolorach oliwkowym i czarnym, cały strój elegancko sugerował nawiązania do kombinezonu roboczego. Uderzająca uroda, spora dawka chińskich genów, ale doprawiona czymś jeszcze. Nachyliła się do agenta, zamieniła z nim cicho kilka słów, potem znów spojrzała na nich. Carl popatrzył jej w oczy i zobaczył głębię panującego w nich spokoju, który powiedział mu, że właśnie awansowali na nowy poziom. W jej wzroku dostrzegł coś, co mogło być potwierdzeniem, potem się wyprostowała i obeszła blat, podchodząc do nich. Szła jak tancerka albo mistrzyni walki.

Carl odruchowo wstał, reagując tak samo, jakby ktoś wyciągnął przy nim broń.

Nowo przybyła zauważyła to i uśmiechnęła się lekko. Na obudzonej fali czujności uderzyło go, że była bardzo piękna, z typową dla Wybrzeża modną azjatycko-pacyficzną urodą, jaką widywało się u gwiazd filmowych z Freeport i ważniejszych postaci politycznych na całym Zachodnim Wybrzeżu. Wyciągnęła rękę najpierw w stronę Carla. Uścisk jej dłoni i towarzyszące mu spojrzenie były chłodne i oceniające. Uścisk dłoni z Rovayo był zdecydowanie czynnością poboczną, zwykłą formalnością, o której natychmiast zapomniała.



- Dobry wieczór - odezwała się. - Jestem Carmen Ren, pomocnik kierownika zmiany. Muszę przeprosić za sposób, w jaki zostali państwo przywitani. Wciąż jesteśmy trochę poruszeni naszym odkryciem w Ward Bio-Supply, ale oczywiście chcemy w pełni pomóc państwu w śledztwie. Proszę ze mną.

Poprowadziła ich przez drzwi, którymi sama wyszła, przez ciasny magazynek pełen półek ze sprzętem do nurkowania oraz innymi gratami. Po drugiej stronie półek Carl zauważył w bocznej ścianie dwa duże włazy wind. W powietrzu unosiła się delikatna wilgoć pachnąca morską solą. Z tyłu magazynu umieszczono kolejne drzwi wychodzące na niewielkie biuro, w którym Ren gestem zaprosiła ich do zajęcia dwóch widocznych krzeseł, a dla siebie otworzyła rozkładane siedzenie zamocowane do ściany. Usiedli, prawie dotykając się kolanami. Chinka popatrzyła na nich.

- No dobrze - odezwała się pogodnie. - Dano mi do zrozumienia, że pani koledzy zebrali wszystkie potrzebne im informacje, ale jednak wyraźnie nie miało to miejsca. Co mogę dla państwa zrobić?

Rovayo spojrzała na Carla i kiwnęła głową z ironiczną szczodrością. Wciąż była wyraźnie poirytowana przyjęciem w biurze i subtelnym zdegradowaniem przez Ren. Carl wzruszył ramionami i przejął pałeczkę.

- Uprawy Ward Bio-Supply znajdują się dobre dwieście kilometrów na północny zachód stąd - zauważył. - Bliżej trzystu, gdy popłynęliście tam dwa dni temu. Zechce nam pani powiedzieć, czemu nie poczekaliście, aż „Kot Bułhakowa” znajdzie się trochę bliżej?

- Cóż. - Carmen Ren wykonała przeproszający gest. - Nie byłam kierownikiem tamtej zmiany, więc nie mogę udzielić wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie. Jednak dość często w ten sposób zajmujemy się kontraktami przed czasem. To zależy bardziej od rotacji personelu, dostępnego sprzętu i tego rodzaju rzeczy, niż od faktycznej bliskości. Jak zapewne wie pan z naszych tekstów promocyjnych, Daskeen Azul ma zasięg operacyjny do pięciuset kilometrów, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba.

- A tu zaszła potrzeba.

- Tak, na to wygląda. Choć, jak mówiłam...

Rovayo włączyła się do gry.

- Tak, nie było pani na służbie. Słyszeliśmy. W takim razie kto był?

- Naprawdę musiałabym sprawdzić dzienniki, żeby mieć pewność. - W głosie Ren pojawił się cień wyrzutu. - Ale jestem umiarkowanie przekonana, że oficerowie, którzy odwiedzili nas wczoraj, dysponują już tą informacją.

Carl zignorował znaczące spojrzenie, którym poczęstowała go Rovayo.

- Nie interesuje mnie, co powiedzieliście Donaldsonowi i Kodo - oświadczył otwarcie. - Szukam Allena Merrina.

Ren zmarszczyła brwi w szczerym zdziwieniu lub doskonałym opanowaniu.

- Alana...?

- Merrina - uzupełniła Rovayo.

- Alan Merrin. - Ren poważnie kiwnęła głową, trzymając się błędnej wymowy imienia. - Obawiam się, że nie mamy pracownika o takim nazwisku. Ani klienta, przynajmniej o ile mi wiadomo. Mogłabym...

Carl się uśmiechnął.

- Nie jestem policjantem, Ren. Nie popełnij ze mną tego błędu. Przyleciałem tu po Merrina. Jeśli mi go nie oddasz, przejdę przez ciebie, żeby go dostać. Twój wybór, ale tak czy inaczej do tego dojdzie. Jeśli chce, może skakać po Ameryce i ukrywać się pośród cieląt, ale to go nie uratuje. Gra skończona. Kiedy następnym razem będziesz z nim rozmawiać, możesz mu to ode mnie przekazać.

Ren wydobyła z siebie cichy dźwięk zakłopotanej uprzejmości.

- Przepraszam, a kim pan właściwie jest?

- Nieistotne, kim jestem. Możesz mnie nazywać Marsalis, jeśli to ważne. Natomiast czym jestem... cóż. - Uważnie przyglądał się jej twarzy. - Jestem wariantem trzynastym, tak jak twój kumpel Merrin. Jeśli chcesz, to też możesz mu przekazać.

W kącikach ust kobiety pojawił się lekki uśmiezek. Jej spojrzenie przeniosło się na Rovayo, jakby w odwołaniu.

- Obawiam się, że naprawdę nie wiem, o kim pan mówi, odnosząc się do tego Merrina. I, detektywie Rovayo, muszę powiedzieć, że pani kolega ma zdecydowanie gorsze maniery niż oficerowie, którzy byli tu przed panią.

- To nie jest mój kolega - obojętnie odpowiedziała Rovayo. - I nie sądzę też, żeby przejmował się manierami. Na pani miejscu zaczęłabym współpracować.

- Współpracujemy już w pełni z...

- Po drodze tutaj wstąpiliście do Limy. Zgadza się? - zapytał Carl.

Tym razem jej zdziwienie było szczerze.

- „Kot Bułhakowa” bardzo rzadko gdzieś wstępuje, jak to pan ujął. Średnio raz na pięć lat wchodzimy do suchego doku w Angeline Freeport, ale poza tym...

- Nie mówię o „Kocie”. Mówię o Daskeen Azul. Masz przyjaciół na peruwiańskim wybrzeżu, prawda?

- Ja osobiście nie mam. Nie. Ale możliwe, że niektórzy nasi pracownicy owszem. Jak niewątpliwie zdaje pan sobie sprawę, „Kot Bułhakowa” posiada licencję na całe wybrzeże pacyficzne obu Ameryk. A Daskeen Azul z pewnością ma kontrakty na odcinku peruwiańskim, podobnie jak wiele podobnych nam firm na pokładzie. Ale to - to wszystko - jest ogólnie dostępną wiedzą i mógłby się pan tego dowiedzieć, korzystając z dowolnego rejestru handlowego dla tego rejonu.

- Widziałaś ostatnio Manco Bambarena? Albo Gretę Jurgens?

Kolejne eleganckie zmarszczenie nieskazitelnych brwi. Wydęcie warg, uprzejme potrząśnięcie głową. Jej długie, lśniące włosy przesunęły się w pękach.

- Przykro mi, ale żadne z tych nazwisk nie jest mi znane. I wciąż nie jestem pewna, o co - jeśli w ogóle - mnie pan oskarża.

- Ile ci płacą, Ren?

Milczenie. Znow uprzejmy uśmiech.

- Nie sądzę, panie Marsalis, by moja pensja była temą...

- Nie, pytam serio. Zastanów się nad tym chwilę. Myślę, że ludzie, których reprezentuję, wynagrodziliby ci zmianę stron. A sprawa i tak zaczyna ci się walić. Nie mamy jeszcze dość, ale będziemy mieć. A kiedy Merrin się spali i wyjdzie z ukrycia, będę czekał. Wierz mi, nie chcesz zostać złapana w tej wymianie ognia.

- Czy pan próbuje mi grozić, panie Marsalis?

- Nie, apeluję do twojego poczucia rzeczywistości. Nie sądzę, żeby łatwo można było cię wystraszyć, Ren. Ale myślę, że w gruncie rzeczy jesteś dość inteligentna, żeby zauważyć, kiedy należy odciąć linę i spływać. - Wytrzymał jej spojrzenie. - I ta chwila już nadeszła.

Znow uprzejmy, elegancki dźwięk.

- Naprawdę nie wiem, jak powinnam na to zareagować. Próbuje pan... mnie przekupić? - Kolejne zerknięcie na Rovayo. - Do czego, tak właściwie? Czy to obecnie standardowe procedury policji Wybrzeża?

- Mówiłem ci już, Ren, że nie jestem gliną. Jestem jak ty. Do wynajęcia i...

Ren zerwała się z miejsca płynnym i błyskawicznym ruchem, nie podpierając się ręką o żadne meble wokół. W ciasnej przestrzeni biura było to doskonałym przykładem precyzji ruchów. Ręce z luźno zaciśniętymi

pięściami uniosła do piersi w formalnej postawie świadczącej o szkoleniu w dojo.

- Dość tego! - wybuchła. - Skończyliśmy rozmowę. Detektyw Rovayo, starałam się współpracować najściślej, jak to możliwe, a w zamian otrzymałam pomówienia i obrazę. Nie pozwolę się w taki sposób porównywać do jakiegoś... wariantu. Proszę zabrać swojego niewychowanego, wspomaganego genetycznie przyjaciela i wyjść stąd. Jeśli będzie pani chciała jeszcze raz ze mną rozmawiać, proszę skontaktować się z naszym prawnikiem.

\* \* \*

- Myślisz, że to było szczerze? - zapytała Rovayo, gdy wracali na lądowisko. Wciąż obracała w palcach wręczoną jej przez Ren wizytówkę prawnika.

Carl potrząsnął głową.

- Chciała, żebyśmy sobie poszli, i skorzystała z najlepszej okazji, żeby nas szybko wyrzucić.

- Otóż to. Tak właśnie myślałam.

- Jeśli ona jest kierownikiem zmiany Daskeen Azul, to ja jestem pieprzonym bonobo. Widziałaś, jak się rusza?

Rovayo niechętnie kiwnęła głową.

- Nadal uważasz mnie za paranoika?

- Myślę, że...

I nagle znikąd, w rogu centrum handlowego, gdzie wciąż byli otoczeni klientami, wprost z luźnego tłumu, spośród sączącej się muzyki i rozmów, nagle rozległ się krzyk przestraszonego przechodnia, a potem w powietrze skoczyła postać, wysoka i szczupła, z twarzą zniekształconą krzykiem, oczami błyszczącymi nienawiścią i z błyskiem metalu opadającej maczety.

## ROZDZIAŁ 37

Scott Osborne widział i usłyszał już dość.

Prawie pięć miesięcy siedzenia na tyłku i czekania, ponieważ Carmen powiedziała mu, że tak musi być. Miesiące, podczas których „Kot Bułhakowa” pływał w górę i w dół wzdłuż wybrzeży obu Ameryk, z brzegiem zawsze tuż za horyzontem, jak okropności, których nadejście obiecywała mu Carmen, wciąż nieobecne. Miesiące dryfowania. Przed dotarciem na Wybrzeże Scott nigdy nie widział prawdziwego oceanu, a życie na jego środku tydzień za niekończącym się tygodniem nie wydawało się naturalne, nigdy nie mogło takie być. Znosił to, bo musiał i ponieważ gdy Carmen do niego przychodziła, wszystko wydawało się tego warte. Leżąc z nią potem, zdawał się wyczuwać nadciągającą burzę i akceptował ją z takim samym przyjemnym ssaniem, jakie czuł ostatniego lata przed wyjazdem do Bozeman i przedostaniem się przez płot. Wrażenie kończącego się czasu i nagłej wartości wszystkiego, co zazwyczaj przyjmuje się za oczywiste, wszystkiego, co wkrótce zostanie odebrane.

Jednak burza nie nadchodziła.

Zamiast tego czekali, a życie na pokładzie fabrycznej tratwy toczyło się tak samo ponuro, jak wszędzie, gdzie próbował przeżyć poza domem. Kręcił się w okolicach Daskeen Azul, szukając roboty i biorąc każdą pracę, jaką mu podsuwali. Starał się nie wchodzić w drogę obcemu - nawet teraz, gdy nauczył się już nazywać go Merrin i kolana nie drżały mu już za każdym razem, gdy spojrzał w puste oczy - i nie zadawał pytań, gdy Merrin i Carmen znikali razem na długie godziny. Coś jednak działo się z euforią, którą czuł na opuszczonym lotnisku wszystkie te miesiące temu, i było to coś złego.

Nie chciał wierzyć, że to znowu brak wiary. Modlił się, teraz więcej niż kiedykolwiek, nawet w domu, a w modlitwach prosił głównie o wskazówki, ponieważ to, co wtedy na lotnisku, ze świeżo rozbitą głową i świeżym strachem w sercu, wydawało się takie oczywiste, powoli, ale nieubłagane ustępowało masie sprzecznych głosów wypełniających tę samą głowę i serce. Wiedział, że nadchodzi dzień sądu, z początku miał pełne samozadowolenia poczucie wyższości wśród innych robotników i kupujących na pokładzie „Kota”, przyglądając się, jak w ignorancji przechodzą zapewne ostatnie miesiące swojego życia. Jednak to szybko wygasło. Teraz ta sama błoga

ignorancja ocierała go niczym źle dopasowany but, drażniła coś głęboko w środku, sprawiając, że miał ochotę chwycić ich za gardło gdy snuli się przed jaskrawymi wystawami sklepów lub siedzieli podczas przerw we wnętrznościach „Kota Bułhakowa”, rechocząc i pokrzykując jak niedorozwinięci o tym, co zrobiliby z tą suką Asią Badawi, gdyby kiedyś znaleźli się z nią sam na sam w windzie. Chciał ich dusić, bić po twarzach, stłamsić ich durne samozadowolenie, krzyżeć im w twarze: „Nie rozumiecie, już czas! On nadchodzi, nie widzicie? Wylądujecie na wadze i wasza pustka wyjdzie na jaw!”.

Tłamsił to, chował w głębi. Modlił się o cierpliwość, rozmawiał z Carmen.

Ale ostatnio nawet Carmen nie była już ucieczką, jaką zapewniała mu kiedyś. Gdy spali teraz razem, czasem czuł emanującą z niej niecierpliwość, jakby był jakąś utrudniającą ruchy płataniną wodorostów wokół boi na polach Warda. Parę razy po tym, jak się kochali, wrzasnęła na niego - zaraz oczywiście przeprosiła, mówiła, że żałuje, że jest zmęczona, tak, ona też miała dość czekania, ale tak musiało być, to była wąska ścieżka, uch, prawych.

I był jeszcze Merrin.

Teraz przerażenie niepewnej wiary opadło go na dobre, wędrując wzdłuż ramion i unosząc włosy upiorną pieszczotą. Wydusiło pot z dłoni i okryło zimnym strachem jak stanięcie nad przepaścią. *A co, jeśli się myli?* Co, jeśli Carmen się myli, jeśli wszyscy nie mają racji? Merrin tak często znikał, że Scott nie wiedział, co robił ze swoim czasem. Jednak kiedy był obok, nie miał wrażenia, że znajduje się w obecności Zbawcy, Króla Niebios, który powrócił w chwale. Bardziej przypominało to dzielenie czasu w wirtualu z ograniczonym konstruktem, jednym z tych podstawowych modeli, jakie można było kupić z półki i dostosować, tak jak robiły to dzieciaki, z którymi czasem dzielił dostęp we Freeport. Merrin rzadko się odzywał, jeszcze rzadziej odpowiadał na pytania i głównie osłaniał się własną ciszą, przy każdej okazji wpatrując się w morze. Zachowywał się, jakby nigdy wcześniej nie widział oceanu i przez jakiś czas wzbudzało to u Scotta ciepłe poczucie braterstwa. Myślał, że może to świadczyć o jego większej wartości.

Oczywiście miał dość rozsądku, by nie zaczepiać Merrina - Carmen była w tej kwestii bardzo stanowcza. Jednak czasami w ciasnych korytarzach i magazynach firmy Daskeen Azul zdarzało mu się spojrzeć w oczy obcego i to, co w nich widział, budziło w nim dreszcz. Nigdy nie powiedział Carmen,

nie odważył się, o tym, jak raz podszedł do Merrina wpatrującego się w ocean i odezwał się, głosem spokojnym i tak pełnym szacunku, jak tylko potrafił: „Tak, mnie też to tak poruszyło, gdy pierwszy raz go zobaczyłem. Wydawało się niemożliwe, tyle wody w jednym miejscu”. A Merrin wykręcił się do niego niczym jakiś barowy bandzior, któremu właśnie rozlał drinka, tylko szybciej, nieludzko szybko. I nic nie powiedział, zupełnie, tylko patrzył na niego tymi pustymi, zimnymi oczami z wrogością, jaką widywał czasem u Nocery, jednak przy tym inną, bo w jego oczach kryło się coś tak głębokiego, zimnego i odległego, że w cokolwiek Scott wierzył odnośnie tego człowieka, z całą pewnością wiedział, że jedna z rzeczy powiedzianych przez Carmen Ren jest prawdą: Merrin naprawdę pokonał pustkę, której nic ludzkiego nie mogło przebyć bez osłony. Spoglądał w te oczy przez kilka krótkich sekund i czuł bijące z nich zimno, jakby wzrok Merrina był otwartymi drzwiami do pustki, którą pokonał, by tu dotrzeć.

Scott skrzywił się i odwrócił, mruczając pod nosem nieskładne przeprosiny.

*Poruszał się jak wąż.*

Odchodząc, usłyszał, jak Merrin mówi coś, co brzmiało jak „cieplaki”, ale wiedział, że to nie mogło być to, próbował nie myśleć o spotkaniu. Jednak sposób, w jaki obcy się na niego rzucił, błyskawiczna prędkość i jad, nie chciały go opuścić. *Porusza się jak wąż*, wciąż na nowo przechodziło mu przez głowę i zatruwało myśli. Nie potrafił tego pogodzić z tym, w co chciał wierzyć.

*Sąd jest dokładnie tym, co mówi nazwa, zawsze ostrzegał ich pastor William. Myślicie, że Pan przyjdzie niczym jakiś słodziutki liberał z ONZ i sprawi, że wszyscy się pokochamy? O nie, On przyniesie sąd i zemstę dla tych, którzy wyrzekli się Jego darów. Jak napisano w samej Dobrej Księdze: - uniesiona w górę duża Biblia w czarnej oprawie - „Nie sądzcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz”. O tak, gdy Pan przyjdzie, będzie pełen gniewu i ci, którzy nie szli drogą prawości, poznają grozę Jego sprawiedliwości.*

Grozę Scott mógł z zaakceptować, mógł zrozumieć, ale czy Zbawca ludzkości naprawdę poruszał się jak wąż?

W jego głowie wciąż krążyły pytania nie dając mu spokoju, a Carmen oddalała się od niego, coraz chłodniejsza za każdym razem, gdy byli razem. Ostatnio zdarzało się, że po prostu go nie chciała, odtrącała go, używała coraz mniej przekonujących wymówek. Dostrzegając zbliżającą się chwilę, gdy...

A potem zamiast niej przyszedł czarny lud.

\* \* \*

- Nie mieszaj się do tego - warknęła Carmen, wciągając ubranie. - Nie rusz się, chyba że zadzwonię, dobra?

W drzwiach maleńkiego mieszkanka na dolnym pokładzie odwróciła się i złagodziła głos z wysiłkiem, który odbił się na jej twarzy.

- Przepraszam, Scott. Po prostu wiesz, jakie to trudne dla nas wszystkich. Pozwól mi się tym zająć. Wszystko będzie dobrze.

Zamiast tego przyglądał się więc monitorom i sam zobaczył czarny lud. Przestał wątpić, poczuł we krwi dudnienie pewności. Czarny lud, którego zdradzała arogancja. *Nie jestem policjantem, Ren. Nie popełnij ze mną tego błędu. Przyleciałem tu po Merrina. Jeśli go nie wydasz, przejdę przez ciebie, żeby go dostać. Twój wybór, ale tak czy inaczej dostanego.* Scott poczuł jak opadają wcześniejsze wątpliwości. Odzyskana wiara była czystą radością pulsującą w całym ciele.

Carmen nie okazywała strachu - jego serce nabrzmiało miłością i dumą - ale zdawał sobie sprawę z przerażenia, jakie musiała czuć, sama naprzeciw ciemności. Carmen, dość dzielna, by zachować milczenie pomimo gróźb czarnego luda, wytrzymać jego obecność, ale nie dość silna, by zrobić to, co konieczne.

*Masz w tym swoją rolę do odegrania, Scott. Masz swoją rolę.*

I wiedział, na czym ona polega.

Maczeta była przyczepiona samolepami pod łóżkiem. Nie powiedział o niej Carmen, ale wyobrażał sobie, jak to może wyglądać, wróg rozbijający drzwi jak pozbawiona twarzy policja ONZ w hełmach w „Czasów Ostatecznych”, tom I, zeszyt 56, wyciągająca ich z łóżka nagich i bezbronnych.

Nie podda się w ten sposób.

Ubrał się, założył średniej długości kurtkę pokładową z logo Daskeen Azul na plecach i ramionach. Uwolnił maczetę od samolepów i ukrył w kurtce pod ramieniem. Spojrzał w lustro i stwierdził, że ukrycie może nie wystarczy na pokonanie żadnych drzwi z ochroną, ale pośród pokładów sklepowych zdecydowanie nikt nie powinien niczego zauważyć.

Reszta była w rękach Boga.

Popatrzył na odbicie własnej twarzy, zobaczył w swoich rysach twardą determinację i przez chwilę poczuł się, jakby był Nim, Merrinem patrzącym zza oczu Scotta, udzielającym mu potrzebnej siły woli.



Scott odmówił krótką modlitwę dziękczynną i wyszedł, by zmierzyć się z czarnym ludem.

\* \* \*

Znów było jak z pieprzonymi saudyjskim psami bojowymi. Jak Dudeck i arianie. Carl zobaczył oczy, instynktownie skupił się na nich i zobaczył, że wypełniała je ta sama pusta nienawiść. Kto do diabła...

Brak czasu - maczeta poleciała w dół. Napastnik był duży, wysoki i z długimi rękami, reakcja sama się podsunęła. Carl rzucił się do przodu, wewnątrz łuku ostrza, zablokował i pchnął, rzucił walkę do parteru. Wbrew oczekiwaniom napastnik zaczął machać rękami jak przewrócony chrząszcz. Carl walnął go łokciem w twarz, chwyt tanindo za rękę z maczetą, wykręcił i broń zabrzęczała na podłodze. Cios kolanem trafił go w krocze, nie z pełną siłą, ale dość, by utracić część sił. Drugi mężczyzna krzyczał na niego, dziwne inwektywy brzmiące jak religijne inwokacje. Sięgnął rękami do gardła. Nie był to rodzaj walki, do jakiego Carl się przyzwyczał. Zrobił fintę, spodziewając się podstępu, ale zamiast niego dostał tylko słabą powtórkę. Wykonał oczywisty ruch, chwycił palec i szarpnął w bok. Inwokacja przeszła we wrzask. Kolejny cios długiej nogi, ale zablokował ją, nie puszczał złamanego palca, wykręcił bardziej. Jego przeciwnik znów krzyknął i zatrzepotał jak wyciągnięta z wody ryba. Carl miał czas znów spojrzeć mu w oczy, ale nie zobaczył tam poddania. Walnął z góry w bok szyi, w ostatniej chwili trochę wyhamował - musiał z nim porozmawiać.

Walka się skończyła.

Rovayo obesza go z wyciągniętym pistoletem wycelowanym w nieruchomą postać na podłodze. Carl stęknął z powodu bólu jąder i zerknął ironicznie na pistolet.

- Dzięki. Trochę za późno.

- Nie żyje?

- Jeszcze żyje. - Carl podniósł się na nogi, znów jęknął, rozejrzał się. Wokół zebrał się tłumek. - Tylko on, co?

- Na to wygląda.

Rovayo podniosła rękę, pokazała gapiom holo na dłoni.

- Policja Wybrzeża. - Zabrzmiało to jak wyzwanie. - Jest tu ktoś z ochrony?

Wahanie, potem przez tłumek przepchnął się masywny mundurowy o grubych rysach Samończyka.

- Ja.

- Dobrze, pomożesz mi. - Odczytała nazwisko z plakietki. - Suaniu. Zadzwoń i wezwij jakieś wsparcie. Reszta niech się odsunie.

Leżący na podłodze napastnik zakaszłał i się poruszył. Wszyscy na niego spojrzeli. Carl zauważył nagle, że był młody, nawet młodszy od Dudecka. Mógł nawet nie mieć dwudziestu lat. Rozejrzał się i dostrzegł kilka stołów i stadko fotelików z włókna węglowego przy barze sushi na prawo. Dźwignął chłopaka do góry za klapy i pociągnął go do najbliższego fotela. Tłumek rozstał się przed nim. Chłopak zamrugał. Carl opuścił go na siedzenie, posadził na nim i uderzył otwartą dłońią w twarz.

- Nazwisko?

Chłopak zacharczał i spróbował potrząść szyję w miejscu, w które trafił ogłuszający cios Carla. Murzyn znów go uderzył.

- Nazwisko - powtórzył.

- Nie może pan tak robić - rozległ się kobiecy głos z tłumu. Australijski akcent. Carl obrócił głowę, wypatrzył ją. Elegancka kobieta na zakupach, oliwkowa skóra, pięćdziesiąt lat, szczupła. Kilka siatek w różnych kolorach, błyskających reklamami sklepów i tajskimi napisami.

Wydął wargi.

- Nie ma pani jakichś butów do kupienia?

- Pieprz się, facet. - Nie chciała ustąpić. - To nie Wybrzeże. Nie możesz nas tak traktować.

- Dzięki, będę o tym pamiętał. - Carl wrócił do chłopaka na foteliku, wałnął wierzchem dłoni. Na wargach pojawiła się krew. - Nazwisko.

- Marsalis. - Obok niego stanęła Rovayo. - Wystarczy.

- Tak myślisz?

Jej głos przycichł do szeptu.

- Ona ma rację, to nie Wybrzeże. Są pewne granice, do których możemy się tu posunąć.

Carl rozejrzał się wokół. Samoński ochroniarz mówił do telefonu, ale oczy miał utkwione na chłopaku i stojącym nad nim murzynie. A choć gapie cofnęli się na polecenie Rovayo, nie zamierzali się rozchodzić. Carl domyślał się, że może jeden na dziesięciu faktycznie widział walkę, jeszcze mniej z nich atak maczetą. Można było dowolnie interpretować zdarzenia.

Wzruszył ramionami.

- Ty masz broń.

- Tak, mam. Ale nie zamierzam zacząć z niej strzelać do tych ludzi.

- Nie sądzę, żeby do tego doszło.

- Marsalis, zapomnij. Nie...

Mokre kaszlnięcie. Chłopak na foteliku skulił się w sobie, trzymając poręczę z włókien węglowych. Wbił wzrok w twarz Carla.

- Czarnuch. - Zabrzmiało to jak splunięcie.

Carl spojrzął z ukosa na Rovayo.

- Bystry sukinynek, nieprawdaż?

Policjantka z Wybrzeża skrzywiła się i stanęła między Carlem a fotelem. Pokazała chłopcu holo policji.

- Widzisz to? Wiesz, w jakie kłopoty się wpakowałeś, synu?

Chłopak popatrzył na nią z ogniem w oczach.

- Wiem, że dla niego kłamiesz. Władza z Babilonu i czarne kłamstwa, które osłaniają sługi Szatana. Wiem, kto jest twoim panem.

- Cudownie.

- Marsalis, zamknij się na chwilę. - Rovayo wyłączyła holo, schowała broń do kabury i oparłszy ręce na biodrach, obejrzała więźnia. - Jesteś z Jezusowa, tak? Płotoskoczek? Masz pojęcie, jak szybko mogę cię tam wysłać z powrotem?

- Nie odpowiadam wobec waszych praw. Nie kłaniam się Mammonowi i Belialowi. Zostałem wybrany. - W krystalicznym świetle centrum handlowego twarz chłopca była blada i mokra od potu. - Wyszedłem poza.

- Zdecydowanie - zmęczonym głosem zgodził się Carl.

- Marsalis!

- Hej, to nie ciebie zaatakował pieprzoną maczetą.

Chłopak spróbował wstać. Rovayo niecierpliwie pchnęła go w pierś, odpychając fotelik do tyłu, gdy młodzieniec opadł nań z powrotem.

- Siadaj - warknęła.

W jego oczach wybuchła furia. Głos nabrał siły.

- Jesteście fałszywymi sędziami. Fałszywymi prawodawcami, lichwiarzami pogrążonymi w śmierdzącym grzechu ciał i zepsuciu. - Wyglądało to tak, jakby wyrzucał z siebie coś od dawna tłumionego. - Nie sprowadzicie mnie z drogi, nie zwy...

- Mam go uciszyć?

- ... ciężycie, jestem ponad wasze pułapki. Nadchodzi...

- Nie, do cholery, nie chcę. Masz...

- ... dzień sądu. On jest tutaj! Żyje w ciele pośród nas! Znacie go jako Merrina, ale nie macie pojęcia, kim...

Tyrada przygasła nieco i utraciła część swojej mocy, gdy Carl i Rovayo z

nagłym zainteresowaniem zapatrzyli się na chłopca.

- ... naprawdę jest Dowódca legionów niebieskich - niepewnie dokończył chłopak.

- Merrin tutaj? - wyrwało się Carlowi. - Na pokładzie „Kota”? Teraz?

Chłopak zacisnął wargi. Carl wymienił spojrzenia z Rovayo. Sięgnęła po telefon.

- Możesz zablokować to miejsce?

- Już. - Wybierała właśnie numer. Przystawiła telefon do ucha i popatrzyła na niego, słuchając. - Alcatraz może autoryzować zablokowanie ruchu w obie strony. Może trzeba będzie do tego wyciągnąć paru ludzi z łóżek, ale...

Telefon zatrzeszczał protokołami szyfrowania, a potem głosem. Rovayo go uciszyła.

- Alicia Rovayo, wydział specjalny. Zweryfikuj głos, a potem połącz z oficerem dyżurnym Alcatraz.

Przerwa. Carl bardzo niespiesznie obrócił się plecami do chłopaka na foteliku. Zapytał niedbale.

- Da się to wymusić satelitarnie?

Rovayo kiwnęła głową.

- Coś musi być w górze. Jeden z naszych albo coś, na czym możemy kupić czas. Wydział specjalny zazwyczaj może. Halo? Tak, tu Rovayo, słuchaj...

- Hej! Nie!

Carl właściwie nie potrzebował anonimowego krzyku. Tanindo nauczane przez Sutherlanda wyrabiało wysoką czułość zmysłu zbliżeniowego, a siatka jeszcze ją podciągnęła. Poczul, jak chłopak zrywa się z krzesła, bez potrzeby obracania się i zobaczenia. Odwrócił się niespiesznie i kątem oka dostrzegł biegnącego dzięki tej samej świadomości otoczenia, która uratowała go przed atakiem maczetą. Chłopak przebił się już przez pierścień gapiów, biegnąc w stronę bocznego korytarza. Przebierał nogami z odrzuconą głową na fali desperackiego sprintu. Nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności.

Zobaczył, jak Rovayo sztywnieje, przerywa rozmowę z Alcatraz. Sięga po pistolet. Wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać, potrząsnął głową.

- Zostaw go. Ja się nim zajmę.

- Ale ty...

- Spokojnie. Zarabiam na życie ściganiem idiotów.

Odwrócił się. Chętnie wziąłby pistolet, ale raczej nie było czasu na

przekonywanie jej do tego...

- On ucieka! - krzyknęła Australijka.

Carl posłał jej mordercze spojrzenie, a potem ruszył. Powolny bieg przyspieszający do sprintu, nabierający prędkości i celu, doskonałe skupienie polowania.

Czas znaleźć Merrina i go wyłączyć.

## ROZDZIAŁ 38

W pełni obudzona, z zegarem biologicznym potrzaskanym na kawałki przez zmiany stref czasowych, siedziała w oknie pokoju hotelowego i patrzyła na zatokę. Przywileje INKOL - apartament na najwyższym piętrze, niezakłócony widok. Światełka wędrujące po moście nieuchronnie ściągały jej wzrok w stronę budynków oświetlonych pośrodku zatoki.

*Pieprzony gnojek.*

Norton chciał rozpocząć poszukiwania na skalę całego miasta z nakazem aresztowania, ale ani ona, ani Coyle nie byli zainteresowani. Oboje doskonale wiedzieli, gdzie jest Marsalis, a fakt, że technicznie rzecz biorąc oddalił się bez pozwolenia, był tu najmniej istotny. Rovayo nie odbierała telefonu, a znaczenie tego faktu odbiło się na twarzy gliniarza z Wybrzeża jak sińce po ulicznej walce. Sevgi nie była pewna, czy Coyle i Rovayo kiedykolwiek stanowili parę, ale byli partnerami, a to zazwyczaj sięgało dość głęboko. Wyższy poziom lojalności - ludzie, których wpuszczało się do łóżka, raczej nie musieli w dowolnej chwili ratować ci życia. Jeszcze w czasach nowojorskiej policji Sevgi zaznała porcji kiepskich związków w pracy, ale nigdy, nigdy nie przekroczyła tej granicy z żadnym swoim partnerem, i to nie dlatego, że jej nie kusilo, ale ponieważ byłoby to głupotą. Jak podpłynięcie jedną z dużych łodzi patrolowych na płytkie wody przy plaży turystycznej z białym piaskiem. Człowiek wiedział, że to po prostu musi się skończyć wylądowaniem na mieliźnie.

*Nie to, co teraz, co, Sev? - zadrwił z niej synd. To masz pod kontrolą, prawda? Głęboka woda i wszędzie równa stepka.*

*Och, zamknij się.*

Nie była pewna, jak długo tam siedziała, oderwana w światłach nocy, gdy ktoś zaczął pukać do drzwi.

- Sevgi?

Zamrugła. Głos Nortona, przytłumiony przez wyciszenie drzwi i lekko niewyraźny. Wcześniej przez jakiś czas siedzieli w hotelowym barze, ledwie tykając drinki i nie mając sobie wiele do powiedzenia. Przynajmniej sądziła, że nie tykali drinków, dopóki nagle, zupełnie nieoczekiwanie, nie odezwał się do niej cicho: *Jak z kokainą, nie? Żadnych naturalnych mechanizmów obronnych, za duże obciążenie dla serca.* Popatrzyła na niego, świadoma, że

w jakiś sposób ją trafił, choć nie potrafiła przypisać racjonalnego znaczenia jego słowom. *Nie wiem, o czym myślisz, Tom*, odpowiedziała sztywno. *Ale ja siedzę tutaj i myślę o Helenie Larsen i o tym, jak wciąż nie złapaliśmy sukinsyna, który ją zamordował.* Co było tylko połowicznym kłamstwem. Obietnica, którą złożyła sobie i okaleczonemu ciału w czerwcu, ciążyła jej za każdym razem, gdy miała gorszy dzień.

Uciekła więc z baru i zostawiła tam Nortona po lakonicznym pożegnaniu. Teraz wyglądało na to, że trochę tam posiedział.

- Sev. Jesteś tam?

Westchnęła i opuściła się z parapetu na podłogę. Podeszła do drzwi i je otworzyła. Norton opierał się ręką o framugę, nie aż tak pijany, jak się obawiała.

- Tak, jestem tu. Co jest?

Wyszczrzył się.

- Spodoba ci się to. Właśnie dzwonił Coyle.

- Tak? - Odwróciła się, zostawiając otwarte drzwi. - Wejdz. I co się stało? Wziął szturmem mieszkanie Rovayo i wyciągnął Marsalisa z jej łóżka?

- Niezupełnie. - Norton wszedł za nią do środka i poczekał, aż obróci się twarzą do niego. Wciąż się szczrzył. Złożyła ręce na piersi.

- No?

- Rovayo i Marsalis ruszyli wieczorem szturmem na „Kota Bułhakowa”, zdołali się wcisnąć do biura Daskeen Azul i narobili tam trochę hałasu. Ktoś się wkurzył i zaatakował Marsalisa maczetą.

- Co?

- Właśnie. Teraz Rovayo zarządziła blokadę policyjną całej tratwy, a Marsalis jest gdzieś w brzuchu bestii, goniąc gościa od maczety, bo uważa, że to wszystko element wielkiego spisku, który zaprowadzi go do Merrina.

- Chyba żartujesz.

- Chciałbym.

- No... a gdzie jest Coyle?

- Właśnie tu jedzie. Zamierza się przyłączyć do imprezy w towarzystwie oddziału policji Wybrzeża. Trochę nalegałem, żeby po drodze po nas wstąpił.

Sevgi porwała kurtkę z łóżka i wcisnęła ją na siebie.

- Już bym wołała, żeby się po prostu pieprzyli - mruknęła, po czym przypomniała sobie, że nie jest już sama.

Norton udał, że niczego nie usłyszał.

\* \* \*

W głębi „Kota Bułhakowa” Carl odczuł dziwną ulgę. Przynajmniej nie było tu tych cholernych sklepów.

Pamięć krótkotrwała podsunęła obrazy niekończących się gładkich podłóg i witryn w takich ilościach, że ich indywidualność ziała siew końcu w zauważalne wzorce atrakcyjności. Ubrania za szkłem, poważne niczym muzealne wystawy albo jaskrawe i głośne, w zależności od ofiary, którą miały przyciągać. Niewielkie elementy sprzętu podkreślone łagodnym światłem. Jedzenie i napoje wyłożone w holorealistycznych stertach obfitości mających naśladować jakieś śladowe wspomnienia targowych straganów. Psychotropowy wyświetlany na ekranach w takich wymiarach, że tabletki i cząsteczki, z których je zrobiono, zaczynały przypominać fetyszystyczne sprzęty w sklepach z elektroniką. Usługi i jakieś niemożliwości sprzedawane przez głębokie, ruchome obrazy niemające prawie żadnego związku z produktem. Poziom za poziomem tego wszystkiego, alejka za alejką, labirynt korytarzy, wind i schodów, wszystko jaskrawe i bez końca.

Odstroił to wszystko i ścigał chłopaka z maczetą tak blisko, jak pozwalały na to rzadkie skupiska kupujących.

Już dawno temu nauczył się, że uciekający ludzie bez szkolenia z początku często się oglądają, ale jeśli nie widzą pościgu, szybko nabierają pewności siebie. Przypuszczał, że była to skłonność zdobyta na drodze ewolucji - jeśli duży drapieżnik nie dorwał cię w ciągu pierwszych kilku minut, prawdopodobnie jesteś bezpieczny. W każdym razie sztuczka polegała na trzymaniu się z tyłu i pozwoleniu ofierze na nabranie tej pewności siebie, a potem zmniejszeniu dystansu i podążaniu za nią, aż doprowadziła myśliwego do celu. To rzadko zawodziło.

Oczywiście wolałby móc się lepiej ukryć. O tej porze kupujących było stosunkowo niewielu, a na dodatek stanowili mieszaną typową dla Wybrzeża, co znaczyło, że czarne i białe twarze były znacznie rzadsze od żółtych i latynoskich. A chłopak z maczetą zdawał się dziwnie reagować na kolor skóry Carla. To mógł być przejaw zwykłej, antycznej nienawiści rasowej - w końcu chłopak był z Jezusowa i pluł religijnymi bzdurami, więc wszystko było możliwe - ale nawet jeśli nie, chłopak mógł się oglądać za czarnymi twarzami, a tych nie było tu wiele. Carl potrzebował, by chłopak zobaczył kilka i odczuł falę paniki, a potem ulgi, rozpoznając, że to nie on. Im więcej razy by się to zdarzyło, tym słabsza musiałaby się stać adrenalinowa reakcja chłopaka na czarną twarz i tym bardziej się odpręży.

Trzymał się z tyłu i wykorzystywał lustrzane powierzchnie i odtwarzane



w pętłach narcystyczne nagrania centrum handlowego do obserwacji swojej ofiary, której gorączkowe tempo pełne oglądania się do tyłu wyhamowało do spokojniejszego, pospiesznego marszu w określonym kierunku. Pełne obroty ciała zmieniły się w częste zerknięcia przez ramię, potem i te stały się rzadsze. Carl zmniejszył dystans, wciąż trzymając się za grupkami klientów, i szedł ze zgiętymi kolanami, gdy nie było nikogo dość wysokiego, by go zasłonić.

Potem skończyły się sklepy.

Powoli ale zdecydowanie schodzili coraz niżej, korzystając z lśniących marmurowych schodów i czasem z błyszczącej klejnotami windy, cały czas w dół. Z początku Carl sądził, że mogą się kierować do biura Daskeen Azul, ale byli już na to za nisko, a nie sądził, żeby chłopak miał dość umiejętności i przytomności umysłu, by zostawiać fałszywy trop. Ceny na wystawach robiły się coraz mniejsze, a między sklepami pojawiły się puste lokale do wynajęcia. Holoobrazy zrobiły się nieostre, towary i sposób ich sprzedaży nabrały walorów imitacji, niezbyt dobrych kopii tego, co oferowały górne pokłady. Oferta usług stała się mniej kompleksowa, a przynajmniej nie tak elegancko przedstawiona. Na jakimś neonie zobaczył „Zabij sukę” - nie był pewien, do czego się to odnosiło, i chyba nie chciał wiedzieć. Gdzie indziej na witrynie pustego lokalu ktoś namalował farbą w sprayu wielki, pusty kwadrat i napisał w nim „Kupuj, konsumuj, giń - dodać ilustrację”. Nikt tego nie usunął.

Chłopak odbił w lewo od przechodniów i zszedł po kolejnych schodach. Tym razem były proste i metalowe, nie korzystał z nich nikt inny. Gdy Carl do nich doszedł, usłyszał kroki swojej ofiary odbijające się echem w korytarzu.

*Szlag.*

Odczekał, aż metaliczne odgłosy kroków ucichły, potem ruszył za nim, starając się unikać hałasu. Po zejściu ze schodów znalazł się w taniej sekcji mieszkalnej z prostymi, zielonymi drzwiami osadzonymi w szarych ścianach korytarza, na którym mazaje graffiti przynosiły oczom ulgę. Równomierne dudnienie przenikające strukturę sugerowało bliskość potężnych silników. Podłoga była brudna, pełna plam i trzeszczącego pod butami pyłu, z rzędami śmieci zgarniętymi na boki przez mechaniczne wózki czyszczące albo samych mieszkańców. Oczywisty dowód - gdyby jeszcze go potrzebował - że nanosystemy nie docierały tak nisko. Podobnie jak ludzie, którzy tu nie mieszkali albo nie mieli tu znajomych.

Co oczywiście czyniło z tego miejsca idealną kryjówkę dla Merrina.

Korytarz był opuszczony. W obie strony rzędy zamkniętych drzwi i nigdzie żadnego śladu chłopaka z maczetą. Korytarze na boki w prawo i w lewo, to samo dalej, gdy dotarł do nich i zajrzał w głąb. Podładowane siatką napięcie słabło powoli wraz z uświadomieniem sobie, że jego ofiara przypadła do ziemi. Zahamował to uczucie, na ile potrafił, i ruszył korytarzem w lewo, nastawiając ucha na dźwięki rozmowy albo kroków. Doskonale świadom - *wiem, do cholery, wiem* - że drzwi mogą być wyposażone w kamery i każde, które mijał, zwiększały ryzyko zauważenia go, jeśli jego ofiara skryła się za jednym z nich, obserwując ekran.

A jednak to zrobił. Może chłopaczek od maczety znalazł inną broń i gotów był jeszcze raz spróbować zabić murzyna.

Przy następnym skrzyżowaniu znalazł plan strefy przynitowany do ściany, przestudiował go, zrozumiał rozłożenie przestrzenne okolicy. Na ścianie obok mapy ktoś namalował śmiertelnie poważną legendę: „Obawiam się, że jesteś tutaj - radź sobie sam”. Wbrew sobie uśmiechnął się i ruszył z powrotem po własnych śladach, zamierzając rozpocząć poszukiwania od początku, we właściwy sposób. Musiał się czymś zająć do czasu, aż dotrze tu policja Wybrzeża. Będzie musiał mieć nadzieję, że blokada zadziała.

Z tyłu rozległ się metaliczny trzask zwalnianych zamków. Obrócił się, gotów do przyjęcia postawy bojowej, gdy zobaczył wychodzącą przez drzwi kobietę. Miała na sobie szary kombinezon z jakimś nieznanym mu logo, a poskręcane włosy zebrała ciasną gumką. Metyska barwa skóry, w kąciku ust niezapalony skręt. Zanim odwróciła się do końca, zdążył przybrać niedbałą pozę.

- Przepraszam.

Zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów.

- Co jest, zgubiłeś się?

- Prawie. - Posłał jej uśmiech. - Miałem się tu spotkać z jednym facetem, pracuje dla Daskeen Azul, ale chyba skręciłem nie tam, gdzie trzeba.

- Doprawdy?

Zdał sobie sprawę, że patrzy na jego kurtkę S(t)ygma(t). Może korporacja nie była tu znana, tak jak profil jej działalności, ale jeśli nie ignorowało się całkowicie wiadomości z kontynentalnej Ameryki, trudno było nie skojarzyć stylu kurtki i jaskrawych szewronów na ramieniu. Westchnął.

- Wie pani, szukam pracy - wyjaśnił, udając rezygnację. - Facet mówił, że może załatwi mi parę godzin.

Kolejna ocena spojrzeniem. Kiwnęła głową i wyjęła skręta z ust, obróciła się i wskazała nim w stronę rogu z mapą.

- Widzisz tam ten zakręt? Idź tam w prawo, dwa odcinki prosto i jeden w lewo. Wyjdiesz na sterburtowy dok ładowniczy. Daskeen ma tam chyba parę koi. Nie jesteś daleko - pewnie po prostu zszedłeś niewłaściwymi schodami.

- Racja. - Pozwolił, by pobudzona na nowo gotowość siatki zabrzmiała jak zapał. - Hej, wielkie dzięki.

- Żaden problem. Masz. - Wręczyła mu skręta. - Dostaniesz robotę, to poświęć sobie.

- Och, nie musisz...

- Bierz, stary. - Trzymała wyciągniętą rękę, dopóki tego nie zrobił. - Myślisz, że nigdy nie byłam na twoim miejscu?

- Dzięki. Dziękuję. Słuchaj, lepiej już...

- Jasne. Nie chcesz się spóźnić na rozmowę o pracę.

Uśmiechnęła się, gdy kiwnął głową, wykręcił i ruszył szybko z powrotem do rogu. Gdy tylko go wyminął, zaczął biec.

\* \* \*

- *Kto mówi?*

- *Tu Guawa Diament. Kontrola Pazura, jesteśmy spaleni. Powtarzam, jesteśmy spaleni. Wysłaniec niebios jest w najlepszym razie zagrożony, w najgorszym całkiem odkryty. Nie wiem, w co wy tam sobie do cholery gracie, ale to spadło znikąd. Nie mamy żadnej gwarantowanej strategii ucieczki. Żądam natychmiastowej ewakuacji.*

\* \* \*

Grodź była gładkim płatem nanowęglowej czerni, gładkim, lśniącym i tak odległym od szarości ścian sekcji mieszkalnej, jak jego kupiona w Hiltonie koszula od więziennej kurtki, pod którą ją ukrywał. Brzegi włazu oznaczono jaskrawożółtymi symbolami. Sądząc po wyglądzie, całą strukturę można było zablokować na poziomie molekularnym, zmieniając zawiasy i zamki w jedną całość z powierzchnią grodzi. Przeszedł przez nią, dźgnięty nagle wspomnieniami z Marsa. Uderzyło go, że od kiedy dotarł na dół z poziomów sklepowych, to miejsce kojarzyło mu się właśnie z tamtym. Życie na Marsie. Włącznie z koleżeństwem pomocnej Metyski i oferowanym przez nią skrętem.

*Nie sądzisz, żeby ci tego wszystkiego brakowało, uśmiechnął się do niego Sutherland. Ale będzie. Wchłaniaj. Czeka, a sam zobaczysz.*

Za grodzią znaj do wała się przystań towarowa.

Bywał już kilka razy na tratwach przemysłowych, ale zawsze łatwo było zapomnieć o skali tych budowli. Spojrzenie nad barierką pomostu, na którym się znalazł, przypominało spoglądanie na jakąś olbrzymi, fabryczny poziom testowy dla wózków linowych. Ładownię ograniczała pięćdziesięciometrowa pochylnia wychodząca z oceanu i olbrzymi dach z tego samego nanowłókna co grodz, spiętrzony tak wysoko, że prawie mógł być nocnym niebem. W podstawie wycięto tuzin lub więcej torów wózkowych prowadzących z wody do obsługiwanych przez nie hangarów dokowych. Nanowłóknowe kable lśniły w swoich kanałach niczym sznury lukrecji, nowe i mokre w świetle łuków LCLS. Stojące w różnych miejscach między wylotami hangarów a morzem ciężkie łoża zabezpieczały różnorodne pojazdy morskie na przynależnych im pochylniach. Kratownice stalowych pomostów i schodków oplatały boki pochylni i dźwigów, przylepione również do ścian zabudowań. Z pochyłej powierzchni wystawały żurawie i wsporniki. Wśród tego wszystkiego poruszały się drobne postacie, a w zimnym powietrzu pobrzmiwały krzyki. Carl przeskanował dachy hangarów w poszukiwaniu logo Daskeen Azul, znalazł je na szóstym w rzędzie i zerwał się do biegu.

\* \* \*

- *Guawa Diament?*

- *Czekam.*

- *Nie możemy udzielić pomocy, Guawa Diament. Powtarzam, nie możemy udzielić pomocy. Sugeru...*

- *Co takiego? Ty pieprzący bonobo gnoju, lepiej mi powiedz, że nie dostyszałam.*

- *Pojawiły się komplikacje z tej strony. Nie możemy działać. Przykro mi, Guawa Diament. Jesteś zdana na siebie.*

- *Cholernie pożałujecie, jeśli uda nam się stąd wydostać w jednym kawałku.*

- *Guawa Diament, powtarzam, nie możemy działać. Sugeruję natychmiastowe wprowadzenie Jaszczurki i ucieczkę z „Kota Bułhakowa „, póki to możliwe. Wciąż możesz mieć czas.*

*Chwila ciszy.*

- *Jesteś cholernym trupem, Kontrola Pazura.*

*Szum statyki.*

\* \* \*

Carl dobiegł prawie do budynku Daskeen Azul, gdy z sykiem ożyły

prowadzące do niego liny dźwigu. Błyski światła na nanowłóknistej czerni w kanale nadały temu wygląd płynnego przelewania się, a nie ruchu. Usłyszał zmianę dźwięku silnika, gdy liny obciążył ładunek. Gdzieś dalej osadzona na podwoziu miniłódź podwodna drgnęła i zaczęła się wspinać.

*No to jedziemy.*

Wciąż był na poziomie, na którym się znalazł po przejściu grodzi, trochę z tyłu i trzy metry nad dachami hangarów. Z pomostu, na którym stał, prowadziły między hangary długie schody łączące się z niższym pomostem otaczającym każdy z budynków. Ruszył w stronę poziomu z dostępem do włazów i drzwi prowadzących do wnętrza hangarów. Jeszcze niżej kolejne schody opuszczały się zygzakiem do pochyłości pokładu.

Na dachu hangaru Daskeen Azul znajdowały się włazy, ale najprawdopodobniej były zamknięte od środka, a nawet jeśli tak nie było, próba wejścia tamtędy była prostą receptą na strzał w tyłek. Carl zwolnił do truchtu, dobiegł do rogu hangaru i zaczął zbiegać po schodach wzdłuż jego boku. Przez ścianę obok dobiegał go dźwięk silnika windy. W falistej powierzchni ściany umieszczono kilka małych okienek, a u dołu schodów znajdowały się zamknięte drzwi. Brak łatwej drogi do środka. Zatrzymał się i ocenił dostępne możliwości. Nie miał broni i żadnego pojęcia o rozkładzie przestrzeni w środku. Żadnych wiadomości, ilu pracowników Daskeen Azul może mieć przeciw sobie i w co mogą być uzbrojeni.

*Jasne, czyli teraz się wycofujesz i czekasz na kawalerię Rovayo.*

Jednak wiedział już, że tego nie zrobi.

Podszedł pod jedno z okienek i ostrożnie przystawił do niego głowę, zerkając pod kątem do wnętrza po drugiej stronie ściany. Czysta podłoga, stojące obok siebie kadłuby łodzi i sterty jakiegoś sprzętu, panele LCLS rzucające światło ze ścian i sufitu. Przysadzista masa wyciągarki na końcu kanału i cztery zebrane postacie. Wyteżył wzrok - szkło było brudne, a wyciągarka blokowała sporą część światła. Cała czwórka miała na sobie kurtki Daskeen Azul, a jedyna twarz, którą widział wyraźnie, należała do obcego mężczyzny. Jednak profil postaci obok niego należał do chłopca z maczetą, gestykulującego gwałtownie do kobiety, którą na podstawie sylwetki i postawy uznał za Carmen Ren, jeszcze zanim dostrzegł jej twarz. W ręce trzymała telefon, opuszczony, nieużywany.

Czwarta postać, stojąca plecami do okna, miała długie włosy zebrane w luźny kucyk zwisający poniżej kołnierza kurtki. Carl popatrzył na niego i poczuł ciężar w piersiach. Nie musiał widzieć twarzy. Widział tę samą,

odwróconą plecami postać oczami umysłu n-dżinna „Horkan’s Pride”, oddalającą się cichym i martwym korytarzem statku kosmicznego. Widział, jak zatrzymuje się i odwraca, by spojrzeć w kamerę, poza nią, jakby wiedział o obecności Carla.

Obrócił się i teraz, jak zawołany.

Carl szarpnął głową z powrotem, ale zdążył jeszcze zobaczyć wymizerowane rysy twarzy, może trochę więcej ciała na kościach, ale wciąż to samo puste spojrzenie. Sprawdzał drzwi, poruszony intuicją, obudzoną ciężarem spojrzenia Carla.

Allen Merrin. Po powrocie z Marsa.

Carl cofnął się o krok, gotując się w środku. Gdyby miał pistolet Haag, broń Rovayo, właściwie dowolną broń, po prostu wpadłby do środka przez drzwi i skończył to. Siatka i odruchy trzynastki u Merrina, szkolenie bojowe Carmen Ren, nieznana jakość reprezentowana przez czwartego pracownika Daskeen Azul, broń, którą mogli dysponować - to wszystko nie miałoby znaczenia. Podczas wejścia wypełniłby powietrze pociskami, starając się uzyskać wiele trafień, później by posprzątał.

Bez broni zostanie trupem.

*Gdzie do cholery jest pieprzona policja Wybrzeża?*

Przypomniały mu się słowa Rovayo: „Alcatraz może autoryzować blokadę ruchu wchodzącego i wychodzącego. Może trzeba będzie do tego wyciągnąć paru ludzi z łóżek, ale... „

*Ale nic. Merrin z kumplami zmyją się stąd, zanim pieprzone szefostwo policji przetrze oczka i odbierze telefony...*

Pochyliła się i podjechała łódź podwodna.

I zatrzymała się.

Carl spojrział przez stalową siatkę podestu, na którym stał. Wózek dźwigowy był wciąż dobre dwadzieścia metrów w dół pochyłości. Silnik wyciągarki w hangarze dalej pracował, ale jego dźwięk uległ zmianie. Lukrecjowo czarne liny znieruchomiały w swoich korytach. Wyciągarkę odłączono.

Obejrzał się na resztę portu i zobaczył wszędzie to samo. Żadnego ruchu, nie działały żadne dźwigi.

Blokada. Był niesprawiedliwy wobec policji Wybrzeża.

Wyczuł to z minimalnym wyprzedzeniem. Przysunął się do ściany, zmienił pozycję na bojową, a potem trzy kroki od niego otworzyły się drzwi. Siatka pulsowała. Wyszła Ren, pozostali tłoczyli się za nią.

- ... przestaw blokadę wózka i spuść go na dół. Nie ma innej...  
Zobaczyła go. Skoczył.

Ich liczba zadziałała na jego korzyść. Wbił się w Ren, pchnął ją wzdłuż pomostu i na kratownicę. Chłopak od maczety ryknął i zamachnął się na niego, beznadziejnie szeroko. Carl zablokował, unieruchomił łokieć i pchnął chłopaka na pozostałych dwóch za nim. Wszyscy trzej polecili do tyłu przez drzwi. Anonimowy pracownik Daskeen Azul krzyknął i niezdarnie wycelował broń jedną ręką. Krzyczał „Zejdź mi z drogi, do cholery, zejdź z drogi!”. Carl rozpoznał strzelbę na rekiny i poczuł gęsią skórę. Pojechał z impetem ataku przez drzwi, wywracając całą trójkę. Chwycił rękę faceta z bronią i wykręcił, dociskając go do podłogi, poszedł za nim, kolanem w żołądek. Znalazł punkt nacisku w nadgarstku, wykręcił ponownie. Strzelba wypaliła przy akompaniamencie huku i metalicznych brzęków, wybijając mnóstwo poszarpanych dziur w dachu. Potem broń trafiła w jego rękę, a były właściciel młócił pod nim, rozbrojony. Carl wykręcił się, przyłożył i pociągnął za spust. Mężczyzna zmienił się nagle od pasa w górę w poszarpaną masę mięsa i kości. Krew i tkanka spryskała go od stóp do głów.

Zmysł zbliżeniowy zasygnalizował z lewej. Carl zerwał się i wykręcił z prędkością siatki, wciąż mruganiem usuwając krew z oczu. Chłopak od maczety biegł prosto na strzelbę, wrzeszcząc o obrzydliwościach i ogniu piekielnym. Tym razem Carl pociągnął za spust czysto odruchowo. Uderzenie rzuciło chłopaka z powrotem w stronę otwartych drzwi i rozerwało go w powietrzu. Krzyk ucięło na monosylabie, a ścianę i drzwi spryskała krew i strzępy tkanki. Carl zagapił się na zniszczenia spowodowane bronią...

... a Merrin uderzył go z boku. Zablokował broń dokładnie tak samo, jak Carl odebrał ją pierwotnemu właścicielowi. Carl stęknął i pozwolił, by atak drugiej trzynastki poniósł ich dalej. Trzymał wyszczerzoną lufę strzelby najdalej od siebie, jak potrafił. Spróbował rzutu tanindo, ale Merrin znał ten ruch. Znów się szarpnęli, stopy na skraju otwory w podłodze, którym biegło koryto wózka wyciągarki.

- Szukałem cię - wydusił Carl przez zęby.

Palce Merrina wbiły się w jego nadgarstek. Carl naparł i puścił strzelbę, pozwalając, by spadła przez dziurę w podłodze. Uderzyła z pochyłością i z głośnym klekotem poleciała niżej. Lepiej tak, niż miałyby ją podnieść i użyć Ren. Spróbował kolejnej techniki, żeby się uwolnić, wyciągnął stopę z otworu i wyprowadził cios łokciem w brzuch Merrina. Druga trzynastka stłumiła cios, zaczepiła piętą o kostkę Carla i ściągnęła obu do parteru.

Zarobił łokciem, z brutalną siłą w bok twarzy. Rozmazało mu się w oczach. Merrin wyładował na górze. Wyszczerył się do murzyna jak wilk.

- Nie przebyłem pustki, żeby dać się zabić jak cielę - wysyczał. - Zginać jak mięso na stole. Nie zrozumiałeś, kim jestem.

Wbił przedramię w gardło Carla, nacisnął i zaczął miażdżyć mu krtań. Carl, z wciąż zamglonym wzrokiem, skorzystał z jedynej pozostałej mu opcji: odepchnął się nogą, przetoczył i zrzucił ich obu z krawędzi.

Nie lecieli długo, od dna pochylni dzieliły ich najwyżej trzy metry. Jednak wstrząs uderzenia rozdzielił ich uścisk i osobno potoczyli się w dół pochyłości. Dwadzieścia metrów dalej na ich powitanie czekała stalowa masa zablokowanej podstawy. Uderzenie będzie bolesne.

Carlowi udało się ustawić nogami do przodu i spróbował zaczepić stopę w kanale liny. Podeszwa buta ślizgała się po nanowłóknach i trochę zwolnił, ale niewiele. Obok niego przeleciał Merrin, chwycił go i znów się oderwał. Carl kopnął, spudłował i pojechał za drugą trzynastką. Nadciągał wózek, z gładką krzywizną kadłuba łodzi podwodnej trzymanej w uścisku potężnych, stalowych kleszczy. Merrin uderzył, otrząsnął się z prędkości siatki i podciągnął się na nogi, chwytając za jedno z ramion. Obrócił się do Carla ze złowieszczym uśmiechem. Carl spanikował, mocno wbił buta w rynnę liny, spróbował usiąść, zginając kolano. Musiał trafić na kłamrę albo jakieś żebro. Jego spadek zatrzymał się o kilka metrów przed uderzeniem w wózek. Pęd pchnął go prawie do pionu, rzucił go na Merrina jak kiepskiego skejta walczącego o zachowanie pionu. Druga trzynastka zagapiła się zaskoczona: Carl leciał niemożliwie wysoko. Murzyn zacisnął pięść w odruchu, z którego istnienia nie zdawał sobie sprawy, i wbił ją w bok szyi Merrina z całą siłą lotu.

Prawie złamał sobie nadgarstek.

Poczuł, jak nadwyrężony staw trzeszczy od uderzenia, ale zgubiło się to w fali dzikiej radości, gdy Merrin zacharczał i się zatoczył. Wykręcił się po ciosie i uderzył w bok łodzi. Merrin spróbował bloku, ale słabo. Carl odbił go, chwycił głowę przeciwnika obiema rękami i z całej siły trzasnął nią o wspornik wózka. Merrin wydał stłumiony, wściekły dźwięk i zaatakował. Carl odbił cios i jeszcze raz uderzył głową trzynastki w metal - i jeszcze raz, i jeszcze...

W końcu poczuł, jak tamten przestaje się rzucać. Nie przestał uderzać.

Nie przestawał do chwili, aż nagle szarość kadłuba łodzi podwodnej spryskała krew, znów chlapiąc mu ciepłem po twarzy.



## ROZDZIAŁ 39

Sevgi zeszła po schodach z galerii w zalewie światła z paneli ekip śledczych i pośród ekspertów rozstawiających swój sprzęt. Policja obstawiła kordonem całą sterburtową przystań, zebrała wszystkich do przesłuchania, a potem zablokowała całe miejsce. Przy każdym wejściu stali mundurowi, a przy otwartym wylocie portu krążyła czarna łódź patrolowa. Mniejsze pontony kołysały się na falach przy skraju pochylni niczym pomarańczowe wodorosty, podpływając wraz z falami w górę i w dół pochyłości. Pod wysokim dachem panowało poczucie pustki, czegoś opróżnionego i skończonego.

Sevgi wyłowiła z kieszeni identyfikator INKOL i pokazała go oficer nadzorującej ekipę przy hangarze Daskeen Azul. Zaskoczyło ją luźne poczucie tęsknoty za czasami, gdy chodziła z wszczepioną w dłoń holograficzną odznaką policyjną. Za pracą gliniarza w dawnych czasach. Oficer popatrzyła na nią pusto.

- Tak, czego pani chce?

- Szukam Carla Marsalisa. Powiedziano mi, że wciąż jest tu na dole.

- Marsalis? - Kobieta przez chwilę patrzyła na nią, nie rozumiejąc, potem ją oświeciło. - Ach, mówi pani o świrze? O gościu, który narobił tu tego bałaganu?

Sevgi była zbyt wypluta, żeby zbesztać policjantkę za terminologię. Kiwnęła głową. Oficer wskazała w dół pochyłości.

- Siedzi tam, na pustym wózku, zaraz w następnej pochylni. Chciałam go siłą ściągnąć na przesłuchanie, ale zadzwonił tu jakiś ważniak z wydziału specjalnego i kazał dać mu spokój; mówił, że jeśli chce, to gość może siedzieć tu całą noc. - Ze zmęczeniem machnęła ręką. - Kim ja jestem, żeby się kłócić z wydziałem specjalnym, prawda?

Sevgi wymamrotała coś współczująco i ruszyła dalej w dół schodami obok pochylni Daskeen Azul. Kiedy zeszła na poziom pustego wózka na sąsiedniej pochylni, musiała niezgrabnie przejść po pochyłej powierzchni, raz czy dwa chwiejąc się i pochylając się mocno, by nie upaść. Dotarła do wózka i z ulgą oparła się o jeden ze wsporników.

- Cześć - odezwała się niezdarnie.

Marsalis zerknął w dół, najwyraźniej zdziwiony jej widokiem. Był to

pierwszy raz, gdy widziała go tak nieświadomego otoczenia, i wstrząsnęło ją to bardziej, niż zaskoczenie poruszyło Carlem. Przez chwilę zastanawiała się, czy jest w szoku. Ubranie miał pokryte wysychającą krwią w dużych, nierównych plamach, miał też jej ślady na twarzy - wyraźnie ją mył, ale nie wyszorował dość dokładnie.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Kilka siniaków. Nic poważnego. Kiedy tu dotarłaś?

- Chwile temu. Byłam na górze, wrzeszcząc na zarząd Daskeen Azul. - Sevgi podciągnęła się na wspornik, usiadła na rozwidleniu obok niego i wysunęła nogi przed siebie. - No tak. Wygląda na to, że jednak miałeś rację.

- Tak. Paranoja trzynastek.

- Nie przechwalaj się, Marsalis. To niezbyt atrakcyjne.

- Cóż, nie próbuję się wpychać do łóżka.

Puściła mu spojrzenie z ukosa.

- Tak pewnie miałeś już dość na jedną noc.

Znów wzruszył ramionami, nie spojrział na nią.

- Daskeen Azul wypiera się wiedzy - stwierdziła. - Jeśli o nich chodzi, Merrin, Ren i Osborne byli zwykłymi pracownikami z kontraktami odnawianymi automatycznie co miesiąc, chyba że był jakiś problem, a nigdy go nie było. Oczywiście kłamią, ale nie wiem, czy Wybrzeże będzie w stanie im to udowodnić.

- Osborne?

- Facet, który zaatakował cię maczetą. Scott Osborne, płotoskoczek z Jezusowa. Według ekipy śledczej był jednym z pracowników Ward Bio-Supply, który uciekł po pojawieniu się tam Merrina. DNA pasuje do śladów genetycznych z tamtego miejsca.

Kiwnął głową.

- A Ren?

- Tu jest gorzej. Nie było po niej żadnych śladów genetycznych w firmie Warda, wygląda więc, jakby ktoś jeszcze tam był i posprzątał po ich ucieczce. Ale pracujemy z obrazami na podstawie zeznań świadków i tak, wygląda na to, że ona też tam była.

- A co ze śladem genetycznym tutaj. Sprawdzili to?

- Jeszcze nie. - Znów spojrziała na niego z zainteresowaniem. - Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwego.

- Nie jestem.

Zmarszczyła brwi.

- Marsalis, już po wszystkim. Możesz wracać do domu. Wiesz, do Londynu i swojej europejskiej strefy komfortu społecznego.

Uniósł jedną brew, wbił wzrok w wodę.

- Ale ze mnie szczęściarz.

Nagle poczuła lekki ścisk w gardle i przyspieszone bicie serca. Spróbowała zamaskować je ironią.

- Co, będziesz za mną tęsknił?

Obrócił się do niej.

- Sevgi, to jeszcze nie koniec.

- Nie? - Poczuela, jak w jej głos wdziera się makabra sceny zbrodni. - No cóż, mnie byś oszukał. No wiesz, właśnie wszystkich pozabijałeś. Osborne i ten drugi rozsmarowani po ścianach i podłodze. Merrinowi po prostu rozbiłeś łeb. Powiedziałabym, że dość gruntownie to wszystko skończyłeś, nie sądzisz?

- A Ren?

Sevgi lekceważąco machnęła ręką.

- Znajdziemy ją, prędzej czy później.

- Tak? Podobnie jak zrobiliście to po tym, jak znikła z Ward Bio-Supply?

- Marsalis, psujesz tu paradę zwycięstwa. Ren to pokłosie, w najlepszym razie szczegół. Merrin nie żyje, to się liczy.

- Tak. Pewnie powinniśmy świętować, co?

- Zgadza się, powinniśmy.

Kiwnął głową i sięgnął do kieszeni swojej więziennej kurtki. Wyciągnął z niej dobrze zrobionego skręta i wyciągnął w jej stronę.

- Chcesz trochę?

- Co to?

- Nie wiem. Dostałem od kogoś. Na wypadek, gdybym miał co świętować. - Wsadził skręta do ust i zmiażdżył końcówkę, zapalając go. Zaciągnął się, zakaszlał lekko. - Masz, spróbuj. Niezły.

Wzięła go i zaciągnęła się. Dym był słodki i gęsty, wzmocniona trawka i coś jeszcze. Zatrzymała go w płucach, wypuściła. Poczuela chłodne rozleniwienie prochów ogarniające kończyny. Wszystkie węzły w głowie zaczęły się rozluźniać. Znów się zaciągnęła, tym razem wypuściła dym szybciej i oddała mu skręta.

- To powiedz mi, czemu nie jesteś zadowolony.

- Bo nie lubię być wykorzystywany, a to wszystko tutaj od początku było

ustawione. - Palił przez chwilę w ponurej ciszy, a potem podniósł skręta i obejrzał żarzący się koniec. - Pieprzone mity o potworach.

- Hm?

- Potwory - rzucił gorzko. - Superterroryści, seryjni zabójcy, geniusze zbrodni. To zawsze takie samo pieprzone kłamstwo. Równie dobrze można by mówić o wilkołakach i wampirach, żadna różnica. Jesteśmy dobrymi, cywilizowanymi ludźmi. Stuleni w przytulnym świetle ogniska, w naszych miastach i domach, a tam - szeroki gest, dał się ponieść własnym słowom - w mroku, krąży potwór. Wielkie zło, Groźba dla plemienia. Zabić bestię, a wszystko będzie dobrze. Nie przejmuj się...

- Będziesz to palił czy nie?

Zamrugął.

- A tak, przepraszam. Proszę.

- Czyli myślisz, że nie zabiliśmy bestii?

- Jasne. Zabiliśmy. I co z tego? To nam nie daje żadnych odpowiedzi. Wciąż nie wiemy, czemu Merrin wrócił z Marsa ani jaki był sens tych wszystkich śmierci.

- Było go zapytać.

- No cóż. Wiesz, jakoś nie miałem wtedy do tego głowy.

Popatrzyła na czubki własnych butów. Zmarszczyła brwi.

- Słuchaj, może masz rację. Może nie mamy jeszcze odpowiedzi. Ale fakt, że nie wiemy, o co tu chodziło, nie znaczy, że nie powinniśmy się cieszyć z zatrzymania tego.

- Nie zatrzymaliśmy. Już ci mówiłem, to wszystko było ustawką.

- Och, daj spokój. Niby jak? Rovayo mówi, że wzięłaś Daskeen Azul kompletnie przez zaskoczenie. Nie spodziewali się niczego takiego.

- Przylecieliśmy za wcześnie.

- Co?

Wziął od niej skręta.

- Byliśmy tu za wcześnie. Nie spodziewali się, że będę tak mocno naciskał, pewnie chcieli to rozegrać gdzieś w przyszłym tygodniu.

- Co rozegrać w przyszłym tygodniu? - Złość rozmyta nieco palonymi prochami. - Myślisz, że Merrin zaplanował, że pozwoli ci się zabić?

- Nie wiem - przyznał z namysłem. - Zdecydowanie walczył tak twardo, jak się spodziewałem. To znaczy, na koniec miałem szczęście, ale cała ta walka sprawiała wrażenie, nie wiem... Ospałej. W każdym razie nie to jest najważniejsze. Ren w każdej chwili mogła się wtrącić i przechylić szalę. Nie

była ranna, ja ją tylko odepchnąłem.

- I co? Po prostu pogodziła się ze stratą, uciekła, gdy jeszcze mogła.

- Po tym, jak współpracowała z tym gościem przez ostatnie cztery miesiące? Nie sądzę. Ren była zawodowcem, to z niej biło. To, jak się ruszała, sposób, w jaki stała. Jak patrzyła na ciebie. Ktoś taki nie panikuje. Nie myli jednego nieuzbrojonego faceta z inwazją policji.

- Powiedziałeś jej, że jesteś trzynastką?

Posłał jej znużone spojrzenie.

- No? Powiedziałeś?

- Tak, mówiłem, ale...

- No to masz. - Zgięła nogę, wykręciła się trochę, żeby siaść twarzą do niego. - To ją wystraszyło. Słuchaj, Marsalis, byłam koło ciebie, gdy zaczyna się walka, i mnie to przeraża. A ja wiem, czym naprawdę jest trzynastka.

- Ona też. Pamiętaj, że zajmowała się jedną przez ostatnie cztery miesiące.

- To nie to samo, co spotkanie z kimś takim w walce. Musi mieć standardową ludzką reakcję na to, standardowe...

- Nie ta kobieta.

- Och, to teraz masz się za eksperta od kobiet, co?

- Sevgi, jestem ekspertem od żołnierzy. A tym właśnie była Ren. Jest czyimś żołnierzem, tej samej osoby, która ściągnęła Merrina z Marsa. I ktokolwiek to był, jakimikolwiek kieruje się powodami, szykowali się do sprzedania go. Może dlatego, że spełnił swoje zadanie, może dlatego, że w Cuzco za bardzo zbliżyliśmy się do prawdy. Tak czy tak, to - kiwnął głową w stronę ekipy śledczej pracującej na pochyłości nad nimi - wszystko to było zaplanowanym wynikiem. INKOL z butem na ciele bestii, szerokie uśmiechy do kamery, wszyscy sobie gratulują. Szczęśliwe zakończenie i napisy końcowe.

- Dla mnie brzmi całkiem nieźle - mruknęła.

- Naprawdę? - Wydmuchnął dym w stronę nanomateriałowego sufitu. - A ja myślałem, że jesteś gliną.

- Byłą gliną. Mylisz mnie z Rovayo. Naprawdę powinieneś pilnować porządku z kobietami, z którymi się pieprzysz.

Wyrwała mu z ręki skręta. Przez kilka chwil w ciszy przyglądał się, jak pali. Udawała, że nie zauważa.

- Sevgi - odezwał się w końcu. - Nie przekonasz mnie, że możesz się z tym pogodzić, wiedząc, że zostaliśmy wykorzystani.

- Nie mogę? - Spojrzała mu w oczy. Wydmuchnęła na niego porcję dymu. - Mylisz się, Marsalis. Mogę odejść od tego szczęśliwa, bo popieprzony psychol, który pociął na kawałki i zjadł Helenę Larsen, nie żyje. Pewnie przynajmniej za to powinnam ci podziękować.

- Drobiazg.

- Jasne. I może nie wiemy, czemu Merrin wrócił, może nigdy się nie dowiemy. Ale mogę z tym żyć, tak samo jak żyłam w policji z większą liczbą nierozwiązanych spraw, niż możesz sobie wyobrazić. Nie zawsze uda się wszystko wyjaśnić. Życie nie jest eleganckie, zbrodnia też. Czasami po prostu cieszysz się, że udało ci się złapać sprawcę, i dajesz spokój reszcie.

Odwrócił się w stronę morza.

- Cóż, to musi być ludzka reakcja.

- Tak. Musi.

- Norton się ucieszy.

Przekręciła głowę na bok, wydmuchnęła dym, wbiła w niego kolejne spojrzenie.

- Nie będziemy rozmawiać o Tomie Nortonie.

- Dobrze. Nie będziemy rozmawiać o Nortonie, nie będziemy rozmawiać o Ren. Nie będziemy w ogóle rozmawiać o niczym niewygodnym, bo dostałaś swojego potwora i tylko to się liczy. Chryste, nic dziwnego, że wy, ludzie, siedzicie w takim bajzlu.

W jej oczach rozbłysła złość.

- My, ludzie? Pieprz się, Marsalis. Wiesz co? My, ludzie, mamy spokojniejszą planetę niż rasa ludzka widziała w całej swojej pieprzonej historii. Mamy dobrobyt, tolerancję, sprawiedliwość...

- Na Florydzie nie zauważyłem.

- Och, czego chcesz? To Jezusowo. Globalnie sytuacja się poprawia. Nie ma już walk na Bliskim Wschodzie...

- Chwilowo.

- ... nie ma głodu w Afryce, wojny z Chinami...

- Tylko dlatego, że nikt nie ma dość odwagi, żeby im dokopać.

- Nie. Bo nauczyliśmy się, że dokopanie im jest skazane na porażkę. Nikt nie wygrywa już wojen. Zmiany są powolne, muszą wyjść od środka.

- Powiedz to uciekinierom z czarnych laboratoriów.

- Och, oszczędź sobie cholernej pseudoempatii. Tak jakbyś się przejmował jakimś chińskim uciekinierem, którego nigdy nie spotkałeś. Marsalis, znam cię. niesprawiedliwość jest dla gości twojego pokroju czymś

osobistym - jeśli nie przydarzyła się tobie lub komuś, kogo uważasz za swoją własność, to w ogóle cię nie rusza. Ty nie...

- To, do kurwy nędzy, przydarzyło się mnie!

Krzyk wyrwał się z niego, odpłynął w ogrom sklepionej przestrzeni. Zaciekawilo ją, czy usłyszeli go policjanci z ekipy śledczej. Chwycił ją za ramiona, wbił palce w ciało, głowę pochylił blisko, wbił spojrzenie w oczy. Nie byli tak blisko, od kiedy się kochali, i coś głęboko ukrytego, jakaś antyczna procedura w jej genach obudzona bliskością wysłała stare, zdeorientowane sygnały.

Tej części siebie najbardziej nienawidziła.

Wytrzymała jego spojrzenie. Sięgnęła w górę i dźgnęła żarzącym się końcem skręta w wierzch jego dłoni.

Coś wybuchło w jego oczach, znikło równie szybko. Z trzaśnięciem palców oderwał ręce od jej ramion. Cofnął się powoli. Odepchnęła go spojrzeniem.

- Nie dotykaj mnie - wysyczała.

- Myślisz...

Chrapliwie. Urwał, przełknął i zaczął jeszcze raz.

- Myślisz, że nie mogę czuć empatii z kimś z czarnych laboratoriów, z jakimś ucieleśnionym eksperymentem genetycznym? Sevgi, ja właśnie nim jestem. Jak myślisz, czym był Osprey? Jestem pieprzonym eksperymentem. Dorastałem w kontrolowanym otoczeniu, zarządzanym i kontrolowanym przez facetów w pieprzonych garniakach. Straciłem...

Znów urwał. Tym razem uciekł od niej spojrzeniem. Na jego czole pojawiły się lekkie zmarszczki. Przez ułamek sekundy sądziła, że się rozplacze, i ze współczucia coś ścisnęło ją w gardle.

- Skurwysyn - powiedział cicho.

Czekała, w końcu musiała go zapytać.

- Co?

Marsalis popatrzył na nią a z jego oczu całkowicie zniknęła złość. Nadal mówił cicho.

- Bambaren. Pieprzony Manco Bambaren.

- Co z nim?

- Tam na Sacsayhuaman starał się mnie wkurzyć. Myślał, że zabrali Marisol - moją matkę zastępczą - gdy miałem czternaście lat. Ale tak było w Stróžu Prawa. W Ospreyu zrobili to, gdy mieliśmy jedenaście. Inna teoria psychologiczna.

- I co?

- I to, że za dobrze znał szczegóły. Nie chodziło tylko o wiek, o inne rzeczy. Mówił o facetach w mundurach, o odprawach w stalowych barakach. W Osprey wszyscy nosili garnitury. I nigdy nie mieliśmy żadnych baraków, wszystko było zbudowane specjalnie dla nas, trwałe.

Wzruszyła ramionami.

- Może o tym czytał. Widział jakieś filmy.

- Nie tak to brzmiało, Sevgi. To było bardzo osobiste. Jakby był w to zaangażowany. - Westchnął. - Wiem. Paranoja trzynastek, co?

Zawahała się.

- To trochę mało konkretne.

- Tak. - Odwrócił od niej wzrok. Wyglądał, jakby się do czegoś zbierał: zobaczyła, jak zaciska usta. Znów spojrzał jej w oczy. - Przepraszam, że cię tak chwyciłem. Myślałem, że mam to pod kontrolą.

- W porządku. Po prostu nie rób tego więcej. Nigdy.

Wziął od niej skręta, bardzo łagodnie. Został już tylko ogryzek, i to żarzący się nierówno w miejscu, w którym go przypaliła. Zaciągnął się resztkami.

- I co teraz będzie? - zapytał głosem napiętym od powstrzymywania dymu.

Skrzywiła się.

- Jak mówiłam, pokłóście. Miesiącami będziemy wyjaśniać szczegóły, ale zaczną zabierać sprawie priorytetowy status. Ktoś gdzieś znów wymyśli sposób na zwinięcie większego kawałka marstechu i przerzucą nas do tego. Merrina odłożymy na deszczowy dzień.

- Tak właśnie myślałem.

- Słuchaj, Carl, daj temu spokój. - Kierując się impulsem, sięgnęła i ujęła jego dłoń, tę samą, którą przypaliła. - Po prostu odpuść i daj temu spokój. Możesz wracać do domu. Przyjrzymy się tej sprawie z *familią*, kto wie, może nawet gdzieś z tym dojdziemy.

- Polecicie tam beze mnie, a jedynym efektem będzie to, że was pozabijają. - Jednak uśmiechał się przy tym. - Widziałas, co się stało ostatnim razem.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Cóż, może nie będziemy stosować takiego frontального podejścia.

Prychnął. Wystawił pytająco gasnący niedopalek. Potrząsnęła głową, a Carl po prostu trzymał go przez chwilę między nimi. Potem wzruszył



ramionami, zaciągnął się po raz ostatni i rzucił go między metalowymi wspornikami po długiej pochyłości do wody.

- Zajmijcie się tym pokłosem - rzucił.

- Zajmiemy się.

Ale poza komorą sterburtowej przystani towarowej fale zaczynały już się rozjaśniać, przechodząc od czerni do metalicznej szarości w miarę budzenia się nowego dnia.

## ROZDZIAŁ 40

Po powrocie do hotelu ustawił nieprzezroczystość okien, by obronić się przed nadejściem świtu. Do łóżka odprowadziło go zmęczenie po zmianie stref czasowych w towarzystwie bólu ciała poobijanego w walce. Rzucił ubranie na podłogę i stanął, patrząc na nie. S(t)ygma(t), przypomniawszy mu jaskrawym pomarańczem więzienną kurtkę. W jego myślach stała Sevgi Ertekin, machając ręką - odprowadziła go do lądowiska helikopterów na „Kocie Bułhakowa” i pożegnała. Wciąż stała tam z uniesioną ręką, gdy „Kot” skurczył się pod startującym autokopterem, rozmazując szczegóły.

Skrzywił się, spróbował odrzucić wspomnienie.

Szarpnięciem odsłonił pościel, wpełzł na łóżko i naciągnął kołdrę na ramię.

Sen przyszedł i go pochłonał.

\* \* \*

Telefon.

Przeturlał się, obudzony we wciąż ciemnym pokoju i przekonany, że dopiero zamknął oczy. Spokojny, niebieski blask cyfr przy łóżku zaprzeczył wrażeniu: 17:09. Przespał cały dzień. Uniósł rękę, patrząc z otępieniem na zegarek, którego zapomniał zdjąć, jakby zegar hotelowy mógł się mylić. Nadgarstek bolał od ciosu, jakim poczęstował Merrina. Obrócił go, trochę napinając. Mógłby nawet...

*Telefon. Odbierz ten pieprzony...*

Sięgnął do niego ręką, przystawił słuchawkę do ucha.

- Tak?

- Marsalis? - Głos, który powinien znać, ale rozespany nie rozpoznał. - To ty?

- Kto mówi, do cholery?

- Ach, czyli to ty. - Nazwisko nadeszło tuż przed spóźnionym rozpoznaniem spokojnego głosu. - Mówi Gianfranco di Palma. Biuro w Brukseli.

Carl wyprostował się na łóżku, marszcząc brwi.

- Czego pan chce?

- Właśnie rozmawiałem z agentem Nicholsonem z Nowego Jorku. - Ze słuchawki rozbrzmiewały uprzejme tony idealnej, ledwie akcentowanej

angielszczyzny ONZ. - Rozumiem, że INKOL nie potrzebuje już twoich usług i dopilnowali, żeby w Republice wycofano wszelkie zarzuty wobec ciebie. Wygląda na to, że wkrótce wrócisz do Europy.

- Tak? To dla mnie nowość.

- Cóż, nie sądzę, żebyśmy musieli czekać na dopełnienie formalności. Wyślę dziś wieczór prom ONZALG do San Francisco. Gdybyś był uprzejmy zjawić się w terminalu suborbitalnym około północy...

- Nie, nie byłbym.

- Przepraszam?

W jego głowie zawirowało więzienie stanowe Południowej Florydy jak brudna woda cofająca się z zablokowanego ścieku. Chwyciła go nagła decyzja, jaskrawa jak litery na jego kurtce S(t)ygma(t).

- Powiedziałem, że możesz się odwalić, di Palma. Dokładnie. Się. Odpieprzyć. Pozwoliłeś mi siedzieć w tym jezusowskim więzieniu przez cztery miesiące i nadal bym tam był pomimo twoich pieprzonych prób wyciągnięcia mnie stamtąd. I wciąż jesteś mi winien za wydatki z pieprzonego stycznia. - I tak po prostu, znikąd opanowała go nagła furia. - Nie myśl więc sobie choć przez chwilę, że będę greczny tylko dlatego, że w końcu wyciągnąłeś fiuta z własnej dupy. Jeszcze tu nie skończyłem. Jeszcze dużo mi tu brakuje do końca i wrócę do domu, gdy będę gotowy i zadowolony.

Na drugim końcu linii zapanowała sztywna cisza.

- Zakładam, że rozumiesz - aksamitnym tonem odezwał się di Palma - że nie masz autoryzacji do działania bez jurysdykcji ONZALG. Oczywiście sam dysponujesz swoim czasem, ale nie możemy zgodzić się na to, żebyś utrzymywał dalsze kontakty zawodowe z INKOL lub Korpusem Bezpieczeństwa Stanów Wybrzeża. W interesie...

- Co z tobą, di Palma? Nie masz tam długopisu? Powiedziałem ci, żebyś się odpieprzył. Mam przeliterować?

- Usilnie zalecam niestosowanie takiego podejścia.

- Tak? A ja usilnie zalecam, żebyś zrobił sobie lewatywę środkiem do czyszczenia rur. Zobaczymy, który z nas lepiej przyjmuje rozkazy, co?

Rozłączył się. Przez chwilę wpatrywał się w słuchawkę.

*No tak. Zamierzasz sam zapłacić sobie za bilet suborbitalny, co? I po powrocie poszukać nowej pracy?*

*Nie dojdzie do tego. Potrzebują mnie bardziej niż dotkniętej dumy di Palmy.*

*Nie potrzebują cię bardziej niż złamania Porozumień. A to właśnie zrobisz, jeśli jeszcze raz weźmiesz ten telefon i zadzwonisz do Sevgi Ertekin. Słyszałeś go. Żadnych dalszych kontaktów zawodowych.*

Telefon ciążył mu w dłoni.

*Jedź do domu, Carl. Dałeś im ich potwora, masz kolejne nacięcie napasie, zaraz obok Graya. Likwidator trzynastek, najgroźniejsza zwierzyna. Weź to i jedź do domu, może po powrocie wyciągniesz z nich podwyżkę.*

Telefon.

*Daj spokój, zostaw ją. Nie przysłużysz jej się, pchając tę sprawę. Niech sobie odejdzie, jeśli tego chce.*

*Może ona tak naprawdę wcale nie chce odejść.*

*Och, jakie supersamcze podejście. Co dalej, stworzysz zespół dla upamiętnienia Młodego Gniewnego? Ludzie muszą sami kierować swoim życiem, Carl.*

Zacisnął palce na gładkim plastiku słuchawki. Przystawił ją do głowy. Nagle zdał sobie sprawę, że boli go całe ciało, tuzin drobnych, bolesnych przypomnień o walce z Merrinem.

*Merrin jest już załatwiony, Carl. Na dobre.*

*Wciąż jest jeszcze Norton. Kłamiwy gnojek próbował cię zabić w Nowym Jorku, może w Peru też.*

*Nie wiesz tego.*

*Wciąż jest tuż obok niej. Zacznie zadawać niewygodne pytania, może ją załatwić tak samo, jak próbował z tobą.*

*Nie wiesz, czy to zrobił. Zresztą ma zbyt maślane oczy koło Sevgi Ertekin, żeby pozwolił zrobić jej krzywdę, i wiesz o tym.*

Prychnął. Opuścił telefon i znów się na niego zapatrzył.

*Daj spokój, Carl. Szukasz po prostu wymówki, żeby wrócić do czegoś, w czym nigdy nie chciałeś brać udziału. Daj spokój i wróć do domu.*

Skrzywił się. Wystukał numer z pamięci.

\* \* \*

Sevgi odebrała telefon w drodze przez pozornie nieskończone centrum handlowe. Późno-popołudniowe tłumy zapychały korytarze i sklepy, ograniczając jej tempo do spaceru. Musiała iść ostrożnie i przepychać się obok rodzin i grupek guzdrzącej się młodzieży. Stać w kolejkach do schodów pełznących w żółtym tempie w górę i w dół katedralnych przestrzeni centrum. Musiała przeciskać się przez skupiska polujących na okazje przy holoznakach krzyczących o przecenie, przecenie, przecenie do.

Wszędzie było tak samo, przez cały cholerny dzień, gdziekolwiek poszła na górnych poziomach „Kota Bułhakowa”. Przez cały czas kusiło ją, żeby wyciągnąć odznakę i pistolet, by zrobić sobie przejście w tłumie.

- Tak, Ertekin.

- Tu stacja Alcatraz. Mam dla pani połączenie telefoniczne, przyjmie je pani?

- Połączenie? - Zmarszczyła czoło. - Skąd?

- Podobno z Nowego Jorku. Detektyw Williamson?

Poszukała w pamięci - ponownie zobaczyła wysokiego, kościstego murzyna w otoczeniu mundurów i barierek oraz zawiniętych w plastik ciał pod jej domem. Marsalis, siedzący na schodkach, przyglądający się temu niczym turysta, jakby trupy nie miały z nim nic wspólnego. Rześkie powietrze października i nigdy niegasnące dźwięki miasta z własnym życiem. Nowy Jork wydał się jej nagle równie odległy co Mars, a strzelanina elementem bardzo dawnej historii.

- Tak, przyjmę je.

Rozległ się głos Williamsona, chwiejny od przekazu.

- Pani Ertekin?

- Tak jest. - Trochę zdyszana od marszu przez księgarnię z litościwie małą ilością klientów.

- Nie przeszkadzam?

- Raczej nie. Co mogę dla pana zrobić, detektywie?

- Chodzi raczej o to, co ja mogę zrobić dla pani, pani Ertekin. Dotarliśmy do informacji, które mogą się pani przydać. - Zawahał się na chwilę. - Spotkałem Larry’ego Kasabiana. Bardzo panią ceni.

W jednej chwili wróciła do wytłumionych mgłą dźwięków robota kopiącego wydziału wewnętrznego, pola o świcie i nagłego smrodu trupów. Kasabian u jej boku, masywny i cichy, od czasu do czasu błyski spojrzeń spod zmarszczonych brwi. Raz kiwnął jej ponuro głową w jakimś ledwie zrozumiałym połączeniu solidarności i zmęczenia, ale się nie odezwał. Od tygodni już bardzo uważali na swoje słowa. Wydział wewnętrzny był wszędzie i kto wie, gdzie założył elektroniczne uszy.

- To bardzo miło ze strony Larry’ego. - Wpadła na stado klientów żerujących w męskiej odzieży, zatrzymała się i obesła ich. - I miło, że pan do mnie dzwoni. Co macie?

- Otóż, pani Ertekin, mamy trzeciego napastnika na Alvaro Ortiza.

Prawie znów stanęła na pustej przestrzeni.

- Żyje?

- Zdecydowanie. Ma dziurę w ramieniu, ale poza tym nic mu nie będzie. Wdał się w bójkę w barze na Brooklynie, wyciągnął gnata i okazało się, że pełno tam gliniarzy po służbie. - Williamson zachichotał. - Wierzy pani w takie szczęście?

- Czyli nikt miejscowy?

- Nie, jest z Republiki, gdzieś z zachodu. Dirk Shindel. Prawo do przebywania w Unii, ma dziadka gdzieś w Maine, ale bez oficjalnego obywatelstwa. Nie możemy mu udowodnić udziału śladami genetycznymi, ale i tak się do tego przyznał.

- Jak się wam to udało?

- Dość mocno go przycisnęliśmy - swobodnie przyznał Williamson. - Posadziliśmy do tego jeden z zespołów psychologów z wydziału zabójstw. Rzecz w tym, że nasz drogi Dirk był naćpany po uszy hormonami i ulicznym syndem, gdy wpakował się w tę sprawę na Brooklynie. Wie pani, co robi taki koktajl. Facet gada jak nawiedzony.

Sevgi poczuła wzdłuż nerwów delikatne dudnienie jej dawki zdecydowanie nieulicznego syndu. Zaśmiała się uprzejmie.

- Tak, widywałam to już. To co powiedział o Ortizie?

- Całe mnóstwo, mogę to pani przesłać, jeśli pani chce. Sprowadza się do tego, że został wynajęty w Houston przez jakiegoś gościa, którego nigdy nie widział, kumpla szefa ekipy. Całkiem spore pieniądze, czego pewnie należałoby się spodziewać przy ataku na faceta w rodzaju Ortiza, ale nie tłumaczy, czemu taki niski poziom zabójców. Shindel mówi, że już załatwiał ludzi, w Republice, ale psychologowie twierdzą, że kłamie. Ich zdaniem w najlepszym razie był kierowcą albo w rezerwie.

- Co z pozostałymi?

- Tak. Leroy Atkins. To gość, którego pani, uch, wspomagany przyjaciel załatwił pistoletem maszynowym. Okazuje się, że ma kartotekę w Republice, ale wyłącznie sprawy typu atak-ucieczka. Gliniarz z Houston, z którym rozmawiałem, mówił, że jego zdaniem Atkins w ciągu ostatnich paru lat trochę awansował, wyjeżdżał na robotę ze stanu. Nie mieli na niego nic konkretnego, tylko pogłoski i implikowane powiązania Yaroshanko z jakimś n-dżina z Zachodniego Wybrzeża, na którym policja Houston kupiła czas. To samo z trzecim gościem, uch, Fabiano, Anzelem Fabiano. Mieszkaniec Houston, jakieś powiązania z tamtejszymi gangami. Od dziecka zwiedzał więzienia, ale nigdy nie wsadzili go za nic gorszego niż posiadanie

środków poronnych z zamiarem sprzedaży i jakiś napad. Ale Houston uważa, że on też mógł awansować. To znany kumpel Atkinsa.

- Dobra. - Obudziła się w niej niełojalność wobec Nortona, dość mocno, by wymusić grymas na twarzy. I tak zapytała. - Czy Shindel miał coś do powiedzenia o Marsalisie?

- O Marsalisie? Tej trzynastce? - Chwila przerwy, Williamson prawdopodobnie przeglądał raport. - Nie. Nie ma tu nic oprócz „Załatwilibyśmy całą sprawę, gdyby nie było tam tego pieprzonego świrniętego czarnucha. Bez urazy”.

- Bez urazy?

- Tak. - W głosie Williamsona zabrzmiało rozbawienie. - Jeden z psychologów jest tego samego koloru co ja. Mamy tu do czynienia z bardzo wrażliwym Jezusowcem.

Sevgi prychnęła.

- To pewnie synd. Powiedział panu, jak trafili przed moje drzwi?

- Tak, wkurzał się z tego powodu. Powiedział nam, że od tygodni obserwowali Ortiza, śledząc jego ruchy. Wygląda na to, że zawsze wstępował do ulubionej kawiarni na Dziewięćdziesiątej Siódmej Zachodniej - zamierzali podjechać na rolkach i załatwić go na zewnątrz. Rolki to ponoć typowy trik *sicario* w Houston. Dobrze do ataków w centrum miasta, gdzie jest duży ruch z małą prędkością. W każdym razie, jak twierdzi Shindel, tego dnia Ortiz nagle zrezygnował ze zwyczaju i pojechał do centrum - pognali za nim, ale nie bardzo potrafili nadażyć. Zanim dotarli do Sto Osiemnastej, dyszeli jak psy i chcieli to po prostu załatwić.

- Bardzo profesjonalne podejście. - Słyszała lekkość własnego głosu. Potwierdzenie słuszności działań Nortona wypełniło ją niczym morską bryza. Zdołała się nawet uśmiechnąć do jakiegoś durnia, który wpadł na nią zza kolumny, po czym wycofał się pełen przeprosin i uśmiechów.

- Właśnie - zgodził się Williams. - Wygląda na to, że nie jest to śmietanka Houston.

- Nie.

- Właśnie. - Nowojorski detektyw znów się zawahał. - No tak, jak wspominałem, rozmawiałem z Kasabianem. Powiedział mi, że będzie chciała pani wiedzieć. Zamierzałem poczekać z tym, aż wróci pani do miasta, ale dziś rano zauważyłem panią w wiadomościach z Wybrzeża. Pomyślałem więc, że Ortiz jest właśnie stamtąd, może to ma jakiś związek z tym, co pani tam robi.

Konferencja prasowa, zwołana pospiesznie w ogrodzie na poziomie rządowym śródokręcia, jej suchy raport o braku postępów buforowany drewnianymi wyznacznikami o skoordynowanym wysiłku Ochrony Wybrzeża i służb ochrony „Kota”, krótkie, dźwięczne oświadczenie lokalnego polityka - wszystko odeszło w przeszłość z olbrzymią prędkością. Znowu poczuła to, co na drodze prowadzącej z Cuzco, wrażenie czasu przesypującego się przez palce. U jej boku Marsalis niczym ciemna skała, o którą może mogła się zaczepić. Skrzywiła się. Ramieniem odepchnęła wspomnienie niczym kolejnego niezdarnego klienta wchodzącego jej w drogę.

- No cóż, detektywie. Doceniam, że zadał pan sobie trud i przekazał mi to wszystko. Zobaczmy, czy kiedyś będę się mogła odwdziżyć.

- Nie ma potrzeby. Jak mówiłem, widziałem wiadomości. Ostatnio sporo mówi się o współpracy amerykańskich agencji, naprawdę sporo. Pomyślałem, że może już czas naprawdę coś w tej sprawie zrobić.

- Słyszałam. Może pan przesłać plik Shindela do Ochrony Wybrzeża w Alcatraz? Odbiorę go później.

- Zrobi się. Mam nadzieję, że to pomoże.

Połączenie z Nowym Jorkiem zostało przerwane, zabierając ze sobą akcent Williamsona i zimowe miasto. Zostawiło ją z delikatnym szumem połączenia satelitarnego, a potem bez niczego.

\* \* \*

- Nic. Przecież ci mówię.

Carl z irytacją potrząsnął głową.

- Matthew, mówiłem ci, ten facet mi śmierdzi. Jesteś pewien?

- Więcej niż pewien, Carl. Jestem matematycznie dokładnie. Zestaw powiązań Toma Nortona jest tak bliski idealnie zachowującemu się obywatelowi, jak tylko człowiek może osiągnąć. Najgorsze, co na niego znalazłem, to sugestia, że brat mógł mu pomóc w dostaniu roboty w INKOL. Ale chodzi o dobre słowo do właściwych uszu, nie o czysty nepotyzm. I to było lata temu, brak śladów ciągłych wpływów.

- Jesteś tego pewien?

- Tak, jestem. Prawdę mówiąc, dane sugerują, że wcale nie układa im się za dobrze z bratem. Stosunki braterskie często opierają się na współzawodnictwie, a w tym przypadku Norton wydaje się rozwiązywać problem przez mieszkanie na drugim końcu kontynentu.

Carl zapatrzył się za okno hotelu, gdzie wieczór zaczynał już wyłączać niebo. Popatrzyło na niego odbicie w szybie. Oparł się łokciem o taflę i



nachylił się z przedramieniem nad głową, przeczesując palcami włosy. Marisol robiła to...

- A atak w Nowym Jorku? Fakt, że był jedyną osobą, która wiedziała, gdzie śpię?

- Przypadek - rześko rzucił Matthew.

Spojrzał w oczy swojego odbicia we szkle.

- Cóż, z mojego punktu widzenia to wcale nie sprawia takiego wrażenia.

- Zawsze tak jest z przypadkiem. Ludzka genetyka nie chce go zaakceptować. Jako trzynastka musisz sobie jeszcze poradzić ze zwiększonymi predyspozycjami do paranoi.

Carl się skrzywił.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, Matt, że...

- Matthew.

- Tak, Matthew, przepraszam. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że dla trzynastki, dla kogoś, kto nie wpasowuje się dobrze w dynamikę grupy, paranoja może być dość przydatną cechą?

- Tak, na dodatek o znaczeniu ewolucyjnym. - Dydaktyczny ton danołamacza nie uległ zmianie. Prawie nigdy się tak nie działo: dydaktyka była elementem osobowości Matthew. - Ale nie w tym rzecz. Ludzka intuicja jest zwodnicza, bo nie zawsze jest spójna. I niekonieczne dobrze pasuje do środowisk, w których obecnie żyjemy, albo do matematyki, która za nimi stoi. Gdy faktycznie odbija formę matematyczną, stanowi wyraźne wskazanie wrodzonej zdolności wykrywania ukrytej logiki.

- Ale nie wtedy, gdy są ze sobą sprzeczne. - Carl oparł czoło o szkło. Ćwiczyli już tę dyskusję niezliczoną ilość razy. - Prawda?

- Nie, kiedy są ze sobą sprzeczne - zgodził się Matthew. - W takim wypadku to matematyka ma rację. Intuicja wskazuje po prostu niezgodność wyewoluowanych zdolności ze zmiennym środowiskiem.

- Czyli Norton jest czysty?

- Czysty.

Carl odwrócił się plecami do odbicia. Oparł się o okno i rozejrzał po więzającym go pokoju. Rozpoznał odruch - poszukiwanie wyjść. Głupi, przecież miał drzwi, wprost przed sobą.

*To ich użyj, durniu.*

- Czy to cię w ogóle martwi? - zapytał w słuchawkę.

- Co mnie martwi, Carl?

- To wszystko. - Machnął ręką, jakby Matthew mógł go widzieć. -

Jacobsen, pieprzone Porozumienia, Agencja i jej polityka. Konieczność posiadania licencji niczym jakaś pieprzona niebezpieczna substancja.

- Do poziomu, na którym nasze osobiste akta stanowią formę społecznego licencjonowania, wszyscy mamy licencję, warianty i zwykli ludzie po równo. Jeśli rodzaj licencjonowania odbija pewne stopniowanie ryzyka społecznego, czy coś w tym złego?

Carl westchnął.

- Dobra, zapomnij. Pytam niewłaściwą osobę.

- A dokładniej?

- Bez obrazy, ale jesteś pojęb. Cały profil masz postautystyczny. Mówimy tu o emocjach.

- Mój zakres emocjonalny został zrównoważony i rozszerzony psychochemicznie.

- Jasne, przez n-dżina. Przepraszam, Matthew, nie wiem, czemu zwałam ci na głowę te rzeczy. Nie jesteś bardziej normalny ode mnie.

- Odkładając chwilowo na bok pytanie, jak dokładnie chciałbyś zdefiniować normalnego człowieka, czemu sądzisz, że uzyskałbyś od niego bardziej trafną odpowiedź? Czy normalni ludzie są szczególnie dobrzy w odkrywaniu złożonych prawd etycznych?

Carl zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Jakoś nie zauważyłem - przyznał ponuro. - Nie.

- Czyli mój odbiór porządku post-Jacobsenowego prawdopodobnie nie jest ani bardziej, ani mniej przydatny niż innego racjonalnego człowieka.

- Tak, ale masz tu wielką, grubą istotę sprawy. - Carl się wyszczerzył. Czerpał prawdziwą przyjemność z drażnienia danołamacza i jego hiperzrównoważonego umysłu, głównie dlatego, że nieczęsto miał do tego okazję. - Tu nie chodzi o racjonalnych ludzi. Raport Jacobsena nie dotyczył racjonalnej reakcji na licencjonowanie genetyczne, chodziło o grupę racjonalnych ludzi próbujących zawrzeć umowę z jazgoczącą masą irracjonalnej ludzkości. Fanatycy religijni, puryści rasowi, cała ekipa zagłady cywilizacji. - Przez chwilę patrzył pustym wzrokiem w róg pokoju. - No wiesz, nie pamiętasz tych wszystkich rzeczy z '89 i '90? Demonstracji? Jadu w wiadomościach? Tłumów przed placówkami i bazami wojskowymi, niszczących płoty?

- Tak, pamiętam. Ale mnie to nie martwiło.

Carl wzruszył ramionami.

- Cóż, ciebie się nie bali tak jak nas.

- A jednak Jacobsen nie był poddaniem się opisywanym przez ciebie siłom. Raport jest krytyczny wobec reakcji racjonalnych i uproszczonego myślenia.

- Tak. Ale zobacz, kto wylądował w obozach.

Matthew nie odpowiedział. Carl przypomniał sobie wilczy uśmiech Stéphane'a Néventa i potarł oczy, by go odgonić.

- Słuchaj, Matt, dzięki...

- Matthew.

- Przepraszam. Matthew. Dzięki za sprawdzenie Nortona. Niedługo porozmawiamy.

Rozłączył się. Rzucił telefon na łóżko i ubrał się szybko w najmniej używane i zakrwawione rzeczy ze swojej ograniczonej garderoby. Wyszedł z pokoju hotelowego, zatrzymał się na chwilę przed drzwiami Sevgi Ertekin, potem sapnął z irytacją i ruszył dalej. Odczekał dziesięć długich sekund na windę, potem pchnął ręką drzwi na schody awaryjne i zbiegł na dół, pokonując po dwa stopnie naraz. Szybkim krokiem przeszedł hol i wyszedł na miasto. Przebył jedną przecznicę, żeby poczuć wieczór, a potem wezwał autotaksówkę.

Wnętrze było przytulne i ciepło oświetlone, kosztowna pseudoskórzana kabina z wąskimi okienkami na mijane ulice. W słabym blasku przedniego panelu obudził się do życia opancerzony ekran, wyświetlając dość wyidealizowany kobiecy interfejs kierowcy. Typowa uroda Wybrzeża, klasyczna mieszanka hiszpańsko-azjatycka. Upięte, lekko pofalowane ciemne włosy, elegancki zakiet z wysokim kołnierzem. Coś z Carmen Ren w rysach i postawie, ale wypolerowane maszynowo do ludzkiego ideału. Głos był podróbką Asii Badawi.

- Dobry wieczór. Witamy w Cable Cars. Gdzie zechce się pan udać tego wieczoru?

Zawahał się. Wiedział, że Sutherland nie byłby z tego zadowolony.

*Sutherland jest na pieprzonym Marsie.*

- Zawieź mnie gdzieś, gdzie będę miał okazję do mordobicia - powiedział.

\* \* \*

Wciąż nie do końca przytomny i nieostrożny po wczorajszej walce, długim śnie i rozregulowaniu nie zauważył postaci na rogu, która obserwowała, jak opuszcza hotel, ani niewyróżniającej się łzy, wyjeżdżającej z parkingu po drugiej stronie ulicy i włączającej się do ruchu w ślad za

taksówką.

## ROZDZIAŁ 41

Tydzień Dougiego Kwanga układał się paskudnie, od kiedy tylko się zaczął, a dzisiejszy wieczór nie zapowiadał się ani trochę lepiej. Już trzykrotnie przegrał z Valdezem obchodząc stół i uderzając brutalnie z trzaskiem kul, by o tym nie myśleć. Jego technika - jeśli można to tak w ogóle nazwać - przeważnie tylko rzucała bilami o bandy przy luzach i częściej się odbijały, niż wpadały do środka. Zdawał sobie sprawę, że przegrywa właśnie z powodu złości, ale nie potrafił się jej pozbyć. Zbyt wiele rzeczy wokół się sypało.

Przesyłka Wundawari nie dotarła przez MTC w Dżakarcie, sama Wundawari siedziała teraz w indonezyjskim więzieniu pod durnymi zarzutami, dopóki jakiś śliski adwokat z Seattle, z którego usług korzystała, nie zdoła się połączyć i jej wyciągnąć. Pieniądze przepadły. *Spisz je na straty*, doradził sucho facet z Seattle przez telefon, *odszkodowanie, które mógłbyś wywalczyć od gości z tranzytu morskiego, musiałbyś mi oddać jako honorarium*. Dougie mógł go tutaj przycisnąć, ale Wundawari nie zniosłaby więzienia i obaj o tym wiedzieli. Była zbyt miękka, pochodziła z bogatej rodziny z Kuala Lumpur i miała mnóstwo bogatych znajomych we Freeport. Zapłaci, ile gość będzie chciał.

Sytuacja na ulicach nie była ani trochę lepsza. Stacja Alcatraz ciskała się ostro po całej okolicy, wsadzając nos na poziomie, którym zazwyczaj nie zawracali sobie głowy. Wciąż nie potrafił odkryć powodów. Jakieś bzdury o aresztowaniu na tratwie fabrycznej zeszłej nocy i o skutkach, ale żadna z jego płatnych wtyczek w maszynie безпеki nie siedziała dostatecznie wysoko, by wiedzieć coś więcej. Co ważniejsze, zbyt się bali Alcatraz, żeby próbować niuchać. Efekt końcowy był taki, że nie mógł sprzedawać towaru nigdzie na północ od Selby ani na zachód od Boulevard, a nawet w stoczniach na Hunter Point robili mu trudności, których nie potrzebował. A granica już od miesiący zrobiła się nie do przebycia - żaden ze znanych mu gangów nie potrafił przerzucić przez nią więcej niż czasem jakiegoś skoczka, przeważnie purytańskie białe dziewczyny z Dakoty, które łamało się przez całą wieczność, a nawet potem niezbyt pasowały klienteli.

Mama wciąż kaszlała. Nie chciała łykać cholernych leków.

Teraz Valdez szykował się po kolejnym zbyt mocnym i zbyt szybkim

uderzeniu, dwie bile stojące elegancko blisko otwartych luz, czyste kąty z każdej strony, a potem ósemka odbije się od bandy. Jedna z ulubionych sztuczek Valdeza - gdyby chciał, mógłby to zrobić z zamkniętymi oczami. Kolejne pięćdziesiąt docłów. Będzie...

Jednak Valdez zamiast tego zmarszczył brwi i podniósł głowę znad kija. Wyprostował się i obszedł stół, ze zmrużonymi oczami podchodząc do Dougiego.

- *Hej, pengio mio*. Mówiłeś, że Elvira dzisiaj nie pracuje? - Kiwnął w stronę baru. - Bo jeśli to nie praca, to masz problem.

Dougie posłał więc spojrzenie przez mrok w kierunku wskazanym przez Valdeza i jakby to wszystko nie wystarczyło, proszę bardzo, Elvie siedziała na stołku plecami do baru, oparta łokciami i wypychała cycki w tym czerwonym topie, który kupił jej w maju, poruszając nogami na wszystkie strony dla dużego murzyna siedzącego obok i patrzącego na nią, jakby była jakimś owocem na straganie.

Tego mu było za wiele.

Zważył kij bilardowy w ręce, trzymając go blisko grubszego końca, odwrócił uchwyt i opuścił go nisko przy boku, ruszając w stronę baru. Elvira zauważyła, że nadchodzi, zrobiła tę swoją kretyńską minę i przestała paplać. Dougie pozwolił ciszy pracować dla siebie, przeszedł jeszcze kilka kroków i zatrzymał się o półtora metra od ramienia murzyna.

- Popełniasz błąd, koleś - odezwał się z naciskiem. Przez głos przebiła się złość niczym farba rozmazana na tanim logo. - Widzisz, Elvira dzisiaj nie pracuje. Chcesz jakieś taniej cipki, to lepiej przyjdź tu cholernym innym razem. Dotarło?

- Tylko rozmawiamy. - Głos murzyna był cichy i rozsądny, prawie znudzony. Do tego cholernie dziwny akcent. Nawet nie spojrzął na Dougiego. - Skoro Elvira nie pracuje, to pewnie może to robić, nie?

Dougie poczuł opadający na niego ciężar całego dnia.

- Chyba mnie nie słuchasz - powiedział napiętym głosem.

I wtedy czarny facet spojrzął na niego, nagły przerzut oczu, tak że jego spojrzenie przechwyciło wzrok Dougiego jak trzecia baza strzelająca niską piłkę w Monster Park.

- Ależ słucham.

Zatrzymało to Dougiego na sztywno, odrzuciło i utrzymało kij przy boku, bo na jakimś nie do końca sprecyzowanym poziomie wiedział, że facet szukał tego, co miało być dalej. Wrażenie podobne do poślizgu, jak lód pod

kołami, gdy najmniej się go spodziewał. Wiedział, że musi brnąć dalej, w lokalu nie było wielu ludzi oprócz Valdeza, barmana i paru innych, ale cokolwiek się wydarzy, do rana o wszystkim będzie wiedziała cała ulica. Po prostu musiał załatwić gościa, ale grunt pod stopami się poruszał, nie był już bezpieczny, nie mógł do cholery odczytać tego gościa ani przewidzieć, co zrobi.

Mocniej zacisnął dłoń na kij.

- Spróbuj mnie tym uderzyć - łagodnie powiedział murzyn - a cię zabiję.

Serce Dougiego szarpnęło się w piersi. Poczł wybuch zbyt długo powstrzymywanej furii. Gdzieś w głębi cichy, niewyraźny głos z ostrzeżeniem. Wciągnął powietrze, stłumił wiedzę.

- Tam są drzwi - powiedział. - Po prostu wyjdź stąd w cholere.

- Nogi mnie bolą.

Tak więc Dougie po prostu machnął cholernym kijem, tak jak od początku wiedział, że będzie musiał. Odciągnął wargi w dzikim warknięciu na fali zbyt długo powstrzymywanej adrenaliny.

Co jeszcze, do cholery, mógł zrobić w takiej sytuacji?

\* \* \*

Nawet w chwili wybuchu walki Carl czuł w głębi duszy lekkie rozczarowanie. Ten napuszony gangsterzyna przed nim może miał trochę więcej rozsądku niż większość alfonsów, ale w sumie nie stanowił wyzwania, żadnego prawdziwego zagrożenia.

*Jasne, jakbyś spodziewał się tu czegoś innego, tani bar w biednej okolicy, na obrzeżu prawie w pełni zautomatyzowanego portu. Przedyskutował to starannie z automatyczną taksówką, dość długo wędrował opuszczonymi ulicami w poszukiwaniu. Staw temu czoło, wchłaniaj, to dokładnie to, czego szukałeś. Tego chciałeś. Dobrej zabawy.*

Walkę miał tak doskonale zaplanowaną w głowie, że wyglądała prawie jak ustawiona. Zdjął już ciężar ciała z zajmowanego stołka, część przenosząc na przedramię, którym opierał się o bar, więcej na nogi. Dostrzegł drgnięcie ręki faceta, chwycił nogę stołka i brutalnie szarpnął nim do góry. Nogi trafiły w twarz i klatkę piersiową. Przesunięcie impetu zamachu w obrót siedzenia umożliwiło całkowite zablokowanie kija bilardowego - uderzenie nie wzniosło się nawet powyżej pasa. Puścił, zrobił krok do przodu za zataczającym się do tyłu alfonsiem, ręce wzniesione, by rzucić mu się do twarzy. Stołek odleciał na bok. Carl z całej siły wyprowadził długi cios w nieosłoniętą stronę gardła. Bandzior padł na podłogę, najprawdopodobniej

martwy. Elvira wrzasnęła.

Przy stole bilardowym stał nieruchomo zszokowany, ogolony na łyso kumpel alfonsa, z kijem trzymanym obronnie w obu dłoniach. Carl zrobił kilka kroków w jego stronę, ze zmysłem zbliżeniowym nastawionym na resztę sali.

- No? - warknął.

Znalazł się nie dalej niż sześć metrów od niego - gdyby łysoł miał pistolet, nie będzie miał czasu wycelować, zanim Carl go dopadnie. Dostrzegł w jego twarzy, że zdaje sobie z tego sprawę.

Z lewej, na skraju pola widzenia. Barman sięgający po coś, telefon albo broń. Carl wyciągnął rękę z wystawionym palcem.

- Nie.

Alfons na podłodze jęknął i się poruszył. Carl sprawdził wszystkie twarze na sali, ocenił możliwe reakcje, po czym kopnął leżącego w głowę. Jęk ucichł.

- Jak się nazywa? - zapytał sali.

- Uch, to Dougie. - Barman. - Dougie Kwang.

- Dobra. No cóż, jeśli są tu jacyś bliscy przyjaciele Dougiego Kwanga i chcą zostać tutaj i przedyskutować to ze mną, proszę bardzo. Reszta lepiej niech się wynosi.

Pospieszne szuranie stóp, zgrzyt odsuwanych pospiesznie krzeseł. Niewielki tłumek przepychający się do wyjścia. Otworzyli drzwi. Z tyłu szyi poczuł wiejący od nich nocny chłód. Została z nim Elvira, która zaczęła się zalewać łzami na podłodze obok Dougiego, i łysoł, prawdopodobnie niewierzący w to, że zostanie przepuszczony do drzwi. Carl posłał mu lodowaty uśmiech.

- Naprawdę chcesz, żebym coś z tym zrobił?

- Nie, nie chce. Popatrz na jego twarz. Przestań zachowywać się jak dupek i puść go.

Opanowanie i siatka powstrzymały go przed błyskawicznym obróceniem się w stronę głosu mówiącego z chłodnym rozbawieniem i stalową pewnością. Z tonu wiedział już, że wycelowano w niego broń. Jedyne, czego nie rozumiał, to fakt, że nie leżał jeszcze na podłodze obok Dougiego, martwy lub umierający.

Odłożył na bok zdumienie, odsunął się z ironiczną uprzejmością i gestem zaprosił łysoła do przejścia obok siebie. Przebłysk wspomnień z kapeli w więzieniu stanowym Południowej Florydy, drwiący biały suprematysta



przechodzący obok niego między ławkami. Nagle miał dość tego wszystkiego, tanich ruchów i postaw, ciężkich spojrzeń, całej pieprzonej mechanicznej przewidywalności ludzkich zachowań.

- No, ruszaj - rzucił bezbarwnie. - Wygląda na to, że dostałeś darmowy bilet. I lepiej zabierz ze sobą Elvirę.

Obserwował, jak kumpel Dougiego Kwanga puszcza trzymany kij bilardowy i z wahaniem rusza do przodu. Jego spojrzenie przeskakiwało między Carlem i nowo przybyłym. Na jego twarzy odbijała się niemożność nadażenia za sytuacją. Przyklęknął obok dziwki i próbował podciągnąć ją na nogi. Otrząsnęła się i łkała, nie chciała wstać, obejmując bezwładne ciało Dougiego i przesuwając po jego twarzy długimi, skręconymi włosami. Lamentowała i łkała, jakieś niezrozumiałe słowa w jakiejś hiszpańsko-azjatyckiej mieszance, której Carl nie łapał.

*Cieszymy się ze swojego dzieła, co?*

Przez chwilę naszło go pytanie, czy gdy przyjdzie czas, będzie jakaś kobieta, która zapłaci nad nim w ten sposób.

- Nie mamy całej nocy - odezwał się głos za jego plecami.

Carl obrócił się powoli, ze strachem przed pociskiem podnoszącym włosy na karku. Czas się przekonać, co się do cholery stało.

*Jasne. Jakbyś jeszcze nie wiedział.*

Przy drzwiach stał wysoki facet.

Jeszcze kilku innych, żaden nie był drobny, ale to on przyciągał uwagę jak kolorowa plama w szarym krajobrazie. Wyostrzone siatką zmysły Carla skupiły się na ciężkim, srebrnym rewolwerze w uniesionej ręce i czarnej rękawiczce na dłoni, dziwnym i świadomie staroświeckim przekazie, jaki z tego emanował, ale to nie było to. Nie oleiste, gładkie czarne włosy ani lekki połysk opalanej i pobrużdżonej twarzy, ewidentne ślady maskującego komórki żeluzna na twarzy i włosach zabójcy, który nie zamierzał zostawiać w miejscu przestępstwa żadnego śladowego materiału genetycznego. Carl dostrzegł to wszystko i odsunął znaczeni na bok.

Chodziło o sposób, w jaki mężczyzna stał, jak patrzył na salę, jakby była sceną przygotowaną specjalnie dla niego. To było w sposobie, w jaki jego ciemne ubranie układało się na ciele, jakby porwane wiatrem, jakby nie obchodziło go, czyje nosi, czy nie. Sposób, w jaki jego opalona twarz wzbudzała wrażenie, że gdzieś kiedyś musiał już go widzieć i wtedy to było ważne.

*Trzynastka.*

Musiał nią być. Paranoja potwierdzona. Ekipa wsparcia Merrina, przyszli się zemścić. Nie było po wszystkim.

Bilardzista obok Carla przemówił z naciskiem do Elviry, w końcu zdołał zmusić ją do wstania i poprowadził obok Carla z ręką na jej trzęsących się ramionach. Na jego twarzy wciąż rysowała się ta sama mieszanina szoku i niezrozumienia, co wcześniej. Carl kiwnął mu głową na pożegnanie, po czym powoli obrócił się, obserwując, jak prawie wynosi Elvirę przez drzwi. Nowo przybyli odsunęli się i pozwolili parze wyjść, zamykając za nimi drzwi. Srebrny pistolet przez cały czas nie poruszył się nawet na milimetr.

Carl posłał jego właścicielowi sardoniczny uśmiech i zrobił kilka niedbałych kroków do przodu. Mężczyzna przyglądał się, jak podchodzi, ale nie ruszył się ani nie zaprotestował. Carl odetchnął. Wyglądało na to, że jeszcze nie zostanie zastrzelony.

*Ale to kwestia czasu.*

Przechwycił jasną iskrę strachu, zgasił ją i odłożył. Siatka i ciągła chęć niszczenia zapulsowały jaśniejszym blaskiem.

*Napieraj, zobaczymy, jak daleko dojdiesz.*

Doszedł prawie na wyciągnięcie ręki.

Wysoki mężczyzna pozwolił mu podejść tak blisko, nawet posłał mu łagodny, zachęcający uśmiech niczym pobłażliwy rodzic obserwujący, jak dziecko pod jego opieką robi coś śmiałego. Dostatecznie blisko, by Carlowi ocena sytuacji zaczęła się sypać, zostawiając go nagle w niepewności, jak to rozegrać. Jednak o parę metrów od lufy rewolweru uśmiech faceta poruszył się i choć nie zniknął całkowicie, zmienił się w coś czujnego i twardego.

- To wystarczy - powiedział cicho. - Nie jestem aż tak nieostrożny.

Carl kiwnął głową.

- Nie wyglądasz na to. Czy ja cię skądś znam?

- Nie wiem. Znasz?

- Jak się nazywasz?

- Możesz mnie nazywać Onbekend.

- Marsalis.

- Tak, wiem. - Wysoki mężczyzna kiwnął głową w stronę pobliskiego stołu. - Usiądź. Mamy chwilę czasu.

*Czyli.* Chłodny powiew potwierdzenia wzdłuż kręgosłupa, do mięśni przedramion.

- Sam siadaj. Mnie tu dobrze.

Trzask kurka rewolweru.

- Usiądź albo cię zabiję.

Carl spojrział mu w oczy, nie znalazł w nich ani śladu ustępstwa, nawet na pyskątą odpowiedź: *Wygląda na to, że i tak to zrobisz*. Ten człowiek zastrzeliłby go tu i teraz. Wzruszył ramionami i podszedł do stołu, usiadł na jednym z porzuconych krzeseł. Wciąż było ciepłe po poprzednim gościu. Odchylił się do tyłu i szeroko rozstawił stopy, na tyle, na ile się odważył. Onbekend zerknął na jednego ze swoich pomocników, kiwnął w stronę drzwi. Mężczyzna cicho wyszedł na zewnątrz.

Pozostały pomocnik stał nieruchomo, wbijając w Carla zimne spojrzenie i składając ręce na piersiach. Onbekend sprawdził go jeszcze jednym spojrzeniem, po czym podszedł i usiadł po drugiej stronie stołu.

- Ty jesteś tym gościem z loterii, co?

Carl westchnął. Nie do końca musiał to udawać.

- Tak, to ja.

- Tym, który obudził się w pół drogi do domu?

- Właśnie. Chcesz dostać autograf?

Krzywy uśmiech.

- Jestem ciekaw. Jak to jest, być tam uwięzionym tak długo i czekać?

- Świetna zabawa. Powinieneś kiedyś spróbować.

Onbekend nie zareagował bardziej niż kamień. Wrażenie znajomości nasilało się - Carl był pewien, że miało jakieś podłoże. Znał tę twarz albo jakąś bardzo do niej podobną.

- Czułeś się opuszczony? Jakbyś znów miał czternaście lat?

*Czternaście?*

Carl uśmiechnął się szeroko. Strzęp przewagi podbił poziom adrenaliny w żyłach. Przechylił głowę, świadomie niedbale.

- Czyli byłeś Stróżem Prawa, co? Ostatni zestaw siewców wiatru z Południa zbiera burzę w Twierdzy Ameryka.

Dostrzegł to, maleńki, ledwie widoczny, ale realny błysk w kąciку oczu Onbekenda. Utrata spokoju, fala złości. Na moment Carl zmusił go do cofnięcia się.

- Myślisz, że mnie znasz? Nie próbuj mnie wkurzać, przyjacielu.

- Nie jestem też twoim pieprzonym kumplem - spokojnie stwierdził Carl.

- No i proszę. Wszyscy popełniamy błędy. Czego tak dokładnie ode mnie chcesz?

Przez chwilę tak krótką, że minęła, jeszcze zanim ją zarejestrował, Carl sądził, że zginął. Lufa rewolweru nie drgnęła, ale zdawała się zajarzyć

zamiarem w dolnej części jego pola widzenia. Onbekend trochę mocniej zacisnął usta, z oczu błysnęła silniejsza dawka nienawiści.

- Mógłbyś zacząć od powiedzenia mi, jakie to uczucie polować na inne trzynastki dla cielaków z ONZ.

- Opłacalne. - Carl beznamiętnie wpatrywał się w zwężone oczy trzynastki. Jeden z nich musiał zginąć w tym barze. - To bardzo opłacalne. A czym ty zarabiasz na chleb?

- Przeżyciem.

- Och. - Kiwnął głową z ironicznym współczuciem. - Bawimy się w bandytę?

- Nie pracuję dla cielaków, jeśli o to ci chodzi.

- Ależ oczywiście, że tak. - Carl ziewnął: nagle, wzbudzone napięciem żądanie tlenu, znikąd, ale tak doskonale pasowało do gry, że mógłby pisać z zachwytu. - Wszyscy pracujemy dla cielaków, w taki czy inny sposób.

Onbekend napiął szczęki. Lekko przechylił głowę, jak wilk albo pies słuchający czegoś odległego.

- Bardzo lekko przychodzi ci mówienie o cudzych kompromisach. Jak mówiłem, w ogóle mnie nie znasz.

- Wiem, że kupowałeś dziś jedzenie. Wiem, że przyjechałeś tu w jakimś wyprodukowanym pojeździe po ulicach miasta, zbudowanych i opłaconych w jakiejś formie przez lokalnych obywateli. Wiem, że trzymasz pistolet, którego nie zrobiłeś z blachy w wolnym czasie.

- To? - Onbekend uniósł lekko rewolwer, odrobinę odsuwając lufę od celu. Wydawał się rozbawiony. Carl zmusił się do tego, by nie przyglądać się poruszanej broni. - Zabrałem tę broń człowiekowi, którego zabiłem.

- Och, to świetny model wymiany. Zabiłeś też faceta, który podał ci dzisiaj śniadanie, żebyś za nie też nie musiał płacić? Zabijesz każdego człowieka, który sprzeda ci lub wynajmie środek transportu, i właściciela lokalu, w którym będziesz dziś spał? Masz plany dotyczące kierowników i właścicieli, wszystkich ludzi, którzy dla nich sprzedają i od nich kupują? - Carl nachylił się do przodu, uśmiechając się szeroko pomimo lodowatej bliskości śmierci. Przypominało to wgryzanie się. - Do cholery, nie rozumiesz tego? Cielaki są wszędzie wokół nas. Nie możesz przed nimi uciec. Nie możesz się od nich odciąć. Za każdym razem, gdy konsumujesz, pracujesz dla nich. Za każdym razem, gdy podróżujesz. Na Marsie bierzesz w tym udział każdym cholernym oddechem.

- Cóż. - Onbekend poczęstował go własnym uśmiechem. - Dobrze

opanowałaś tę lekcję. Ale pewnie jeśli dość długo okładać psa, zawsze tak będzie.

- Och, daj spokój. Wiesz co? Chcesz udawać, że jest jakiś inny sposób? Chcesz uciec do jakiegoś mitycznego złotego wieku sprzed ograniczeń męskości, to przeprowadź się do Jezusowa, gdzie wciąż wierzą w te bzdury. Byłem tam w zeszłym tygodniu, kochają facetów w naszym typie. Spaliliby nas na słupie po pierwszym spojrzeniu. Nie rozumiesz? *Nie ma już miejsca na to, czym jesteśmy.* - Słowa Sutherlanda zdawały się go wypełniać. Cichy, pełen rozbawienia głos Sutherlanda brzmiały niczym grzmot, jak czysta siła. - Zabili nas dwadzieścia tysięcy lat temu widłami za cichym przyzwoleniem hierarchii. Oni wygrali, Onbekend, a chcesz wiedzieć czemu? Wygrali, bo to zadziałało. Współpraca grupowa i posłuszeństwo wobec jakiegoś zbira z brodą sprawdziło się lepiej niż samotność, w której zawsze musiały tkwić trzynastki. Pogonili nas w łachmanach, Onbekend, ze swoimi tłumami, przywódcami i pieprzoną siłą w jedno. Wyniszczyli nas, wybili i w nagrodę dostali przyszłość. A teraz proszę, stoimy w ogrodzie na dachu sukcesu cielaków i mówisz mi, że nie, nie skorzystałeś z windy ani schodów, po prostu wleciałeś całą drogę samodzielnie, korzystając ze swoich pieprzonych skrzydeł. Jesteś czystym zakłamaniem.

Onbekend nachylił się do przodu, z błyskiem w oczach powtarzając gest Carla. Ruch był instynktowny, wzbudzony złością. Rewolwer przesunął się odrobinę w dłoni, umożliwiając zmianę pozycji. Odchylił się nieco w bok. Carl zauważył to i stłumił gotowość siatki. *Jeszcze nie, jeszcze nie.* Spojrzał w oczy mężczyzny, zobaczył w nich własną śmierć i nie przejął się. Narastała w nim furia, którą ledwie rozumiał. Słowa utrzymywały go przy życiu, rozgrzewały go, jak długo mógł je z siebie wyrzucać.

- Oni nas zbudowali, Onbekend, po prostu zbudowali. Ożywili cholerne trupy dla jednej rzeczy, w której jesteśmy dobrzy. Dla przemocy. Rzezi. Ty. Ja. - Machnął otwartą ręką w geście zdegustowania. - My wszyscy, każdy z nas. Jesteśmy dinozaurami. Potworami przywołanymi z odległej, mrocznej przeszłości, by ochronić jasne światła i przywileje sklepowe cywilizacji Zachodu. I zrobiliśmy to dla nich, tak jak chcieli. Masz ochotę porozmawiać o cielakach, o tym, jak kłaniają się i ustępują władzy, jak poddają się dyktatowi grupy? Powiedz mi, że jesteś inny. Pieprzony projekt Stróż Prawa? Jak to twoim zdaniem brzmi?

- Tak, bo oni nas wyszkolili. - Głos Onbekenda po raz pierwszy wzniósł się prawie do krzyku, prawie bolesnego. Znów go opanował, błyskawicznie,

stłumił do lodowatej złości. - Odcięli nas od cholernego dzieciństwa, Marsalis. Stłukli warunkowaniem. Wiesz o tym, Osprey musiał być taki sam. Jak mieliśmy...

- Robiliśmy, co, nam, kazano! - Carl robił odstępy między słowami, opierał się na nich niczym na łomie wbijanym między cegły. - Tak samo jak oni, tak samo jak cielęta. Zawiedliśmy, tak samo jak dwadzieścia tysięcy lat temu.

- To było wtedy - warknął Onbekend. - A teraz jest teraz. I niektórzy z nas zeszli już z tej ścieżki.

- Och, nie rozśmieszaj mnie. Mówiłem ci już, wszystko w tobie jest częścią świata cielaków. Jeśli nie dojdiesz do jakiegoś porozumienia z tą wiedzą, możesz równie dobrze strzelić sobie w łeb.

Na twarzy Onbekenda pojawił się cień uśmiechu.

- Zostałem wysłany, żeby zaaranżować twoje samobójstwo, Marsalis. Nie własne.

- Wysłany? - Carl zadrwił, nachylił się w oddzielającą ich przestrzeń. - Wysłany? Och, najmocniej przepraszam, myliłem się.

- Trzynastki miały nieprzyjemną skłonność do ginięcia z własnej ręki. - Głos mężczyzny zabrzmiał głośno, pospiesznie, tłumiąc pogardę Carla, próbując wygrać coś, co nie poszło zbyt dobrze. - Gwałtowne samobójstwa w obozach i rezerwatach. A trzynastka tak obciążona poczuciem winy jak ty...

- Winy? No, kurwa, odpuść sobie. Teraz jeszcze mówisz jak oni. Wariant trzynasty nie czuje winy, to cecha cieląt.

- Tak, wszyscy ci, których wytropiłeś, zamordowałeś lub sprowadziłeś do vegetacji w obozach internacyjnych. - Jednak Onbekend trochę się uspokoił, przyciszył głos. - Nic dziwnego, że nie mogłeś z tym żyć w nieskończoność.

- Zdziwiłbyś się.

Ponury uśmiech.

- Na szczęście nie muszę. A co do samobójstwa, to sam ułatwiłeś mi zadanie.

- Doprawdy? - Carl teatralnie rozejrzał się wokół. - Nie wygląda mi to na miejsce do samobójstwa.

Jednak w głębi zrozumiał już plan i zmroziło go coś bardzo podobnego do paniki. Zagrał już wszystkie karty, a Onbekend po prostu nie stracił ich dosyć. Druga trzynastka znów uważnie mu się przyglądała, znów z chłodnym opanowaniem, jak na początku. Zmaterializowała się wokół niego świadomość miejsca, w którym siedzieli - antyczne, brudne okucia, długi blat

baru, blizny i plamy błyszczące w słabym świetle i ustawione za nim szkło i butelki. Spracowane stoły bilardowe oświetlone nisko zawieszonymi lampami. Dougie Kwang twarzą do podłogi, głowa przekrzywiona w bok, oczy zaczęły się otwierać w jego stronę. Czekaający na towarzystwo, na kogoś, kto dołączy do niego w kurzu i lepkich plamach.

- Trudno byłoby tu upozorować samobójstwo - zgodził się Onbekend. - Trudniej, gdziekolwiek byśmy to zrobili. Ale byłeś na tyle uprzejmy, żeby dopuścić do głosu swoją lepszą część i proszę, bezsensowna bójka barowa w taniej okolicy z tanimi zbirami - i wygląda na to, że Carl Marsalis pomylił się w liczeniu szans. Cholernie głupi sposób na śmierć, ale cóż. - Wzruszenie ramion. W głosie Onbekenda nagle zabrzmiała pogarda. - Uwierzą w to. Nie dałeś im żadnego powodu, żeby tego nie robić.

Implikowane oskarżenie zabolowało. W głębi duszy przyklasnął mu Sutherland. *Jeśli rządzi nami nasze warunkowanie genetyczne, to każdy fanatyczny, oparty na nienawiści strach przed nami staje się prawdą.*

*Ertekin może tego nie kupić.*

*Owszem, ale też może. Nie zawsze wszystko udaje się wyjaśnić, Marsalis. Pamiętajasz? Życie jest paskudne, przestępstwa też.*

Kwang jakby mrugnął do niego z podłogi.

*Możliwe, że to będzie dla niej dostatecznie paskudne. Wchłaniaj.*

Jakby nie wystarczyło mu bicie własnych myśli, Onbekend wciąż parł dalej.

- Uwierzą, że byłeś zbyt głupi, by pokonać własne programowanie - powiedział rzeczowo, jakby też słyszał zadumane słowa Sutherlanda. - Bo jesteś. Uwierzą, że poszedłeś szukać kłopotów, bo dokładnie to zrobiłeś, i uwierzą, że znalazłeś ich trochę za dużo, żeby samemu sobie z tym poradzić. Zaczną więc niedbałe śledztwo, pogadają z paroma ludźmi i w końcu uznają, że zostałeś zastrzelony z małej odległości z niewyróżniającego się pistoletu, który nigdy nie zostanie znaleziony, przez jakiegoś bezimiennego ulicznego zbira, którego też nigdy nie znajdą, i porzucą sprawę, Marsalis, porzucą, ponieważ doskonale wpasuje się to w tę głupotę, którą spontanicznie dla nas wygenerowałeś. Sam nie potrafiłbym tego lepiej przygotować.

Carl machnął dłonią.

- Trudno to nazwać niewyróżniającym się pistoletem.

- To? - Onbekend znów uniósł rewolwer, zważył go w dłoni. - To jest...

*Teraz.*

Nie było tego wiele - odrobinę obniżone odruchowe reakcje u

przeciwnika, neurochemiczne iskry osłabione i przygaszone przez wcześniejsze gesty Carla i spokój nastający po wszystkich wrzaskach. Potem lekkie odchylenie lufy rewolweru, kilka stopni i chwilowy brak napięcia na spuście. Do tego standardowe poczucie wyższości Onbekenda, dziwna potrzeba wygadania się. Nie było tego wiele.

Bardzo niewiele.

Carl eksplodował z krzesła z dłońmi na krawędzi stołu, unosząc go i przewracając. Onbekend strzelił w bok, a potem zatoczył się do tyłu, próbując zerwać się z krzesła na równe nogi. Pomocnik przy drzwiach krzyknął i ruszył. Carl pokonał pustą przestrzeń po stole i rzucił się na Onbekenda, kant dłoni i cios łokciem, w obrocie, próbując sięgnąć po broń, wchodząc w zwanie, zbyt blisko, by można było do niego strzelić. Chwycił ramię trzynastki obiema rękami, wykręcił pistolet w górę i w bok, szukając mężczyzny przy drzwiach. Sięgnął do spustu. Onbekend wyciągnął palec, zablokował próbę, ale to nie miało znaczenia. Mężczyzna znów krzyknął i uskoczył przed spodziewanym pociskiem. Drzwi poleciały do środka na zawiasach, wpadł przez nie drugi pomocnik Onbekenda. Carl szarpnął rewolwer, ale nie zdołał go uwolnić. Nowo przybyły nie popełnił tego samego błędu, co jego towarzysz. Ruszył z uśmiechem.

- Przytrzymaj go tak, Onbee.

Carl w desperacji walnął w bok stopą, próbując ściągnąć walkę do parteru i wyrwać rewolwer z upartego uchwytu Onbekenda. Druga trzynastka szepiła się z nim kostkami i to Carl się zachwiał, wytrącony z równowagi przez własną masę i nieudany ruch tanindo. Onbekend dobrze odmierzył, zrobił szeroki krok i rzucił go niczym ciężki plecak. Carl poleciał na ziemię, sięgając po rewolwer, nie złapał go. Onbekend kopnął go w krocze. Zwinął się wokół bólu, gorączkowo próbował się przetoczyć, wstać...

Onbekend opuścił pistolet.

Świat znieruchomiał, pochylił się, by patrzeć.

W tej chwili nierealnego bezruchu poczuł uderzenie, zanim nadeszło, a wiedza była przerażająca, bo była niczym wolność. Poczuł, jak się na nią otwiera niczym rozkładanie skrzydeł, jak warkot. Wbił wzrok w oczy Onbekenda. Wyszczерzył się i wypluł ostatnie wyzwanie.

- Ty mały smętny gnojku.

A potem strzały, ostateczny głos w ciszy - znów, i znów i znów, jak powtarzające się trzaskanie drzwiami na wietrze.



## ROZDZIAŁ 42

Marstechową berettę wyposażono w funkcję strzału seriami, w której każde naciśnięcie spustu powodowało oddanie trzech strzałów. Sevgi Ertekin pokonała drzwi, włączywszy ją, z bronią uniesioną w obu dłoniach i nacisnęła spust dwukrotnie dla każdej sylwetki, którą namierzyła muszką. Nie było czasu na uprzejmości: zobaczyła przez okno, co się szykowało. Wybuchowe pociski wydawały mało ciekawy, trzaskający dźwięk przy strzale, ale rozrywały cele, jakby zrobiono je z kartonu.

Trafione ciała poleciały na bok. Dwóch załatwionych.

Trzeci obracał się z tygrysią szybkością i pierwsza seria go nie trafiła. W jego dłoni poruszał się duży i ciężki srebrny rewolwer. Znów nacisnęła spust, a on skoczył do tyłu jak w cyrkowej sztuczce.

Marsalis wywinął się na podłodze, próbując usiąść. Nie widziała, czy już dostał. Weszła w głąb sali, zgodnie z procedurą kryjąc bronią kąty pomieszczenia. Zerkając w dół na mężczyzn, których właśnie trafiła, nie, zaraz...

Przyjrzała się pustym oczom i zgarbionym, niezgrabnym pozycjom, jeden z nich opadł prawie komicznie, obejmując rękami krzesło, z nogami rozsuniętymi szeroko niczym jakaś dziecięca lalka.

... na mężczyzn, których właśnie zabiła. Pistolet Marstechu i jego pociski, nieprzejednany w swoich wyrokach jak sędzia z Jezusowa.

Trzeci uderzył ją z boku. Mignięcie zakrwawionej twarzy zniekształconej furją. Wylądowała na podłodze z rękami rozrzuconymi, by zahamować upadek, przy uderzeniu wypuściła cholerną berettę. Mężczyzna przez moment stanął nad nią spięty, odsłaniając zęby w drapieżnym uśmiechu, zakrzywiając palce niczym szpony. Spojrzenie miał dzikie, pozbawione jakichkolwiek elementów człowieczeństwa. Poczwała, jak budzi się w niej przerażenie.

Zauważył upuszczony pistolet. Przeszedł nad nią po niego.

- Onbekend!

Napastnik wykręcił się, zgięty w pół drogi do beretty, i zobaczył to samo co ona - Carl Marsalis oparty na jednej ręce, w drugiej trzymał duży rewolwer.

Onbekend wykręcił się i kula nie trafiła. Głęboki grzmot strzału z broni

dużego kalibru. Marsalis warknął coś, przechylił się i strzelił ponownie. Za jego przeciwnikiem zatrzasnęły się drzwi.

Sevgi chwyciła swój pistolet.

- Nic ci nie jest?

Ponure kiwnięcie głową. Niepewnie podnosił się na nogi. Posłała mu napięty uśmiech i ruszyła do drzwi. Otworzyła je lekko i wyjrzała na zewnątrz. Kropla, za którą jechała taksówką z hotelu, wciąż stała po drugiej stronie opuszczonej, podniszczonej ulicy. Ranny mężczyzna otwierał właśnie jej drzwi. Brak czasu. Przebiegła przez drzwi i przyjęła pozycję strzelecką na chodniku. Tysiące wspomnień z ulic i zaułków Queens i Manhattanu, jedenaście lat pościgów i aresztowań - wszystko pulsowało w niej, zakotwiczyło ją, usztywniło ręce.

- Policja! Podnieś ręce nad głowę i połóż się na ziemi!

Wyglądał, jakby klęknął przy otwartych drzwiach samochodu. Podbiegła bliżej.

- Powiedziałam, ręce nad głowę...

Wykręcił się, wyszarpując skądś broń. Od razu strzelił. Odpowiedziała ogniem. Seria trzech pocisków - zobaczyła, jak rzuca go na lśniący bok pojazdu, ale równocześnie wiedziała, że strzeliła za wysoko. Poczowała, jak coś wali ją w lewe ramię, zatoczyła się i oparła plecami o ścianę baru. Jedna noga wysunęła się spod niej i nie zdołała nie zjechać na ziemię. Oparła się o ścianę, zobaczyła, jak mężczyzna podnosi się z boku samochodu, zostawiając na nim smugi krwi, zatacza się i pada do wnętrza. Spróbowała się wyprostować, widziała, jak tamten wyciąga rękę, by zamknąć za sobą drzwi, wiedziała, że nie zdąży. Podniosła berettę jedną ręką i nacisnęła spust. Krótka seria dawała zbyt duży odrzut, by utrzymać broń w ten sposób, strzały trafiły w samochód, ale nie w przeciwnika. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, który odbił się echem po ulicy. Natychmiast obudził się do życia silnik. Zachwiała się do przodu, próbując się wyprostować, pomimo bezwładu w ramieniu wycelować w ruszającą kroplę.

Trzykrotnie nacisnęła spust. Dziewięć strzałów, za każdym razem solidny, pulsujący kop w ranne ramię z przybranej dwuręcznej pozycji strzeleckiej. Samochód zatoczył się z boku na bok, potem się wyprostował, dotarł do rogu i przyspieszył, z piskiem opon znikając z pola widzenia. Pozwoliła rękom opaść, wypuściła powietrze i przez chwilę po prostu stała.

- Pieprzyć to - rzuciła w końcu. Na opustoszałej ulicy jej głos zabrzmiał niespodziewanie głośno. - Dwóch z trzech, ktoś ma z tym problem?

Najwyraźniej nikt nie miał.

Zawróciła do baru, pchnęła drzwi i oparła się o framugę, oceniając zniszczenia. Marsalis zdołał wstać, trzymał w dłoni rewolwer. Szarpnął się, gdy wchodziła, potem po prostu stanął, patrząc na nią. Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Zakładam, że nie ma nikogo w kiblu.

- Słusznie zakładasz.

- To dobrze. Jestem zmęczona. - Schowała berettę do kabury pod pachą, krzywiąc się z powodu wywołanego ruchem bólu.

- Nic ci nie jest?

Popatrzyła na swoje lewe ramię, gdzie trafił ją pocisk. Krew ściekała powoli rękawem zniszczonej kurtki. Odęty ból przechodził w solidny, pulsujący ból. Zaciśnęła lewą dłoń, uniosła ją i skrzywiła się z bólu.

- Tak, trafił mnie. Powierzchnowa rana, przeżyję.

- Mam to obejrzeć?

- Nie, do cholery, nie masz tego oglądać. - Zawahała się, zrobiła gest, który mógł być przeprosinami. Jej głos złagodniał. - Bezpieka już tu jedzie. Poczekam.

- Słyszałem samochód. Uciekł?

Skrzywiła się.

- Tak. Trafiłam go kilka razy, ale nie wystarczyło, żeby go powalić. Trzynastki, co?

- Tak. Wiesz, jesteśmy twardymi sukinsynami.

Po tych słowach z Marsalisa uszło powietrze, jakby go przebito. Podeszedł do baru, obszedł go i ostrożnie położył rewolwer na zniszczonym blacie.

- Bogu dzięki, że już po wszystkim - powiedział z uczuciem. - Potrzebujesz drinka.

- Nie, nie potrzebuję cholernego drinka. On uciekł.

Marsalis obrócił się, by obejrzeć kolekcję butelek za plecami. Spojrzał w oczy jej odbicia w lustrze.

- Tak, ale spójrz na to z dobrej strony. Oboje żyjemy, co jest cholerną poprawą w stosunku do tego, czego spodziewałem się dziesięć minut temu.

Zadygotała lekko. Strząsnęła to z siebie. Marsalis wybrał butelkę i wyciągnął spod blatu dwie szklaneczki. Postawił je na barze i nalał do nich bursztynowego płynu.

- Słuchaj, zrób mi przyjemność. Za uratowanie życia mogę ci chociaż postawić kilka kolejek kradzionej whiskey. A ty wyglądasz, jakby ci się

przydało trochę.

- Och, hej, wielkie dzięki. Ratuję ci to twoje cholerne życie, a ty mi mówisz, że źle wyglądam?

Wykonał falisty ruch odwróconą do góry dłonią.

- Powiedzmy, że trochę blado.

- Pieprz się. - Podniosła szklaneczkę.

Poszedł w jej ślady, bardzo delikatnie stuknął w jej szkło. Odezwał się bardzo cicho.

- Jestem twoim dłużnikiem, Sevgi.

Napiła się.

- Jesteśmy kwita za rolkarzy. Nic mi nie jesteście winien.

- Och, ależ tak. Ci faceci w Nowym Jorku próbowali zabić i ciebie, i mnie. To była samoobrona. Tu było inaczej. Twoje zdrowie.

Oboje osuszyli szklaneczki. Sevgi oparła się o bar naprzeciw niego i napawała się ciepłem wędrującym w głąb ciała. Pytająco uniósł butelkę. Potrząsnęła głową.

- Jak mówiłam, lada chwila będzie tu policja Wybrzeża. Wezwałam ich, jak twoi kumple weszli do środka. Wpadłabym trochę wcześniej, ale miałam nadzieję na wsparcie.

- Cóż. - Spojrzał na swoje dłonie a ona zauważyła, że trochę się trzęsą. Ten widok wywołał w niej dziwne uczucie. Znów podniósł wzrok, uśmiechnął się. - W każdym razie cholernie dobre wyczucie czasu. Skąd się tu u diabła wzięłaś?

- Widziałam jak wychodzisz z hotelu. Właśnie przyjechałam. - Kiwnęła głową w stronę leżących na podłodze ciał. - Zobaczyłam, że kropla z tymi facetami rusza za twoją taksówką. Potrzebowałam paru sekund, żeby znaleźć drugą dla siebie, a potem, kiedy tu dotarłam, zobaczyłam, jak siedzą przed barem i czekają. Nie wiedziałam, co się tu dzieje, co zamierzałeś robić w takiej dziurze, czy ci goście są z tobą, czy nie. Wyjaśniło się dopiero, gdy usłyszałam strzały, wtedy weszłam. A skoro już przy tym jesteśmy: co ty do cholery tu robiłeś?

Spuścił wzrok, popatrzył gdzieś w kąt.

- Szukałem mordobicia.

- Tak? Wygląda na to, że znalazłeś całkiem niezłe.

Nie odpowiedział.

- To kim byli?

- Nie wiem.

- Jakoś go nazwałeś. - Nagle obudziła się w niej policjantka, zniszczyła chwilę wątpliwościami. - Kiedy sięgał po pistolet. Słyszałam. On-coś.

- Tak, Onbekend. Tak się nazywał. Przedstawił się, gdy się szykował do zabicia mnie. - Marsalis zmarszczył czoło. - To trzynastka.

- Powiedział ci to?

- Tak, wyszło podczas rozmowy.

Znów zadygotała.

- Dziwny zbieg okoliczności.

- Prawda? A skoro o tym mowa, co ty robiłaś w hotelu, obserwując mnie?

- Ach tak, to. - Kiwnęła głową, pozwalając, by zadowolenie ze słusności własnych wniosków przekształciło się w uśmiech. - Szłam ci powiedzieć. Nowojorska policja złapała trzeciego rolnika. Mówi, że ich celem był Ortiz, nie ty.

- Ortiz? - Marsalis zamrugął.

- Tak. Wygląda na to, że my po prostu weszliśmy im w drogę. Tak jakby oczyszcza Nortona z podejrzeń, co? Znaczą, pomijając paranoję.

- Jesteś tego pewna? To znaczy, czy oni sprawdzili, czy...

- Marsalis, do cholery, daj temu spokój. - Jej zmęczenie przybierało na sile. Albo whiskey była złym pomysłem. W każdym razie zaczynały ją piec oczy. - A jeszcze lepiej pomyśl o przeprosinach, jeśli wiesz, jak to się robi. Myliłeś się. Koniec pieprzonej sprawy.

- Nie przechwalał się, Ertekin. To niezbyt atrakcyjne, pamiętasz?

Musiała się roześmiać nawet pomimo obezwładniającego ciężaru zmęczenia. W oddali usłyszała zbliżające się policyjne syreny.

- Nie zamierzam się wpychać do łóżka - powiedziała.

- Owszem, zamierzasz.

Zaśmiała się.

- Nie.

- Ależ tak.

- Nie, ty...

Zakaszła ciężko, zaskoczona nagłą gwałtownością ataku. Potrząsnęła głową i odkryła, że oczy ma pełne łez. Usłyszała śmiech Marsalisa.

- Cóż, może i nie. Nie chciałbym...

Przebiegł przez nią kolejny dreszcz, silniejszy. Po kaszlu nagle zaczęła ją boleć głowa. Zmarszczyła brwi i przyłożyła dłoń do skroni.

- Sevgi?

Podniosła wzrok, posłała mu zmieszany uśmiech. Wciąż dygotała, nie

pozbyła się dreszczy. Dźwięk syreny robił się coraz głośniejszy, ale zdawał się dochodzić z wnętrza jej głowy, drażniąc nerwy.

- Nie czuję się za dobrze.

Jego twarz zbladła w szoku.

- Sevgi, z czego do ciebie strzelił?

- Nie wi...

- Widziałaś pistolet, z którego strzelał?

Obszedł bar, stanął obok niej. Sennie potrząsnęła głową.

- Nie. Mówiłam. Uciekł.

Obrócił ją, objął jej twarz dłońmi. Odezwał się głosem pełnym napięcia i nacisku.

- Posłuchaj mnie, Sevgi. Musisz zostać przytomna. Za chwilę zaczniesz się czuć bardzo zmęczona...

- Zacznę? - Zaśmiała się. - Cholera, Marsalis, mogłabym przespać miesiąc tutaj, na tej cholernej podłodze.

- Nie, nie możesz spać. - Potrząsnął jej głową. - Słuchaj, oni już jadą, zaraz tu będą. Zabierzemy cię do szpitala. Tylko mi tu do cholery nie mdlej.

- O czym ty mówisz? Nie zamierzam...

Urwała, bo zauważyła ociężałe, że w jego oczach też pojawiły się łzy. Zmarszczyła brwi, a jej własna skóra wydała się gorąca, cienka i sztywna, musiała z wysiłkiem odbić na niej emocje. Przypominało to wpychanie dłoni w nową, sztywną rękawiczkę. Wydała cichy, zdumiony dźwięk.

- Hej, Marsalis - wymamrotała. - Co jest? Ty też się źle czujesz?

\* \* \*

Ekipa medyczna policji wyniosła ją na noszach i zabrała do helikoptera. Nie była do końca pewna, jak do tego doszło - w jednej chwili Marsalis tulił ją w pełnym trupów, nędznym barze, w następnej byli na chłodnym powietrzu i patrzyła wprost na gwiazdy. Świadomość była płachtą powiewającą luźno gdzieś za oczami, pojawiała się i znikwała. Próbowwała zgiąć kark i zobaczyć, co się dzieje wokół niej, ale wszystko było wielką plamą krzyków, świateł i spieszących się postaci. Hurgot wirników helikoptera tylko dodawał się do narastającego bólu głowy.

- Sevgi?

Ach, Marsalis. Był tutaj.

- Wszystko w porządku, proszę pana. Teraz my się nią zajmiemy.

- Powiedźcie im, że to pocisk Haag. - Nie rozumiała, czemu krzyczał, chyba że z powodu hałasu wirnika. Nic nie miało sensu. Pomyślała, że może

jednak straciła za dużo krwi. - Powiedzcie im, że muszą jej natychmiast podać najlepsze środki antywirusowe.

- Wiemy o tym, sir. Już dzwoniśmy.

Zmrużyła oczy przed blaskiem reflektorów helikoptera. Kosztowało ją sporo wysiłku. Udało jej się dostrzec sylwetkę Marsalisa. Trzymał jednego z sanitariuszy za ramiona i nim potrząsał.

- Nie pozwól jej umrzeć! - wrzeszczał. - Bo zabiję ciebie i wszystkich, na których ci zależy!

Jakieś ruchy. Helikopter się poruszył, wystartował i odleciał. Mnóstwo świateł pokrywających wzgórza miasta, ich unoszenie się i opadanie, chwiejny horyzont. Jakby jeszcze nie dość kręciło jej się w głowie.

Zdawało jej się, że wisi przez całą wieczność. Nie tylko to świństwo, cokolwiek to było, cała sprawa „Horkan’s Pride”. Cała ta cholerna sprawa z Marsalisem, bezsensowne próby zbudowania czegoś na niej. Telefony do ojca, uprzejme rozmowy pełne starannie dobieranych słów i bariera, której nie potrafiła już przebić. Wspomnienia o Ethanie, walka o areszt i ponowną implantację dziecka, nieskończone szeregi prawników z ich cholernymi poczekalniami. Walka o zachowanie wiary, powrót do meczetu i odkrycie tego, co wypływało z poezji Rabii i pism Nazli Valipour, radosna cierpliwość Meltem. Poszukiwania powodów dalszego życia, które nie przychodziły w butelkach i foliowych listkach.

Wszystko to maszerowało przez jej głowę w jarmarcznej procesji i nagle miała dość tego wszystkiego, dość wysiłków. Lepiej po prostu przyglądać się przemykającym w dole światłom miasta, polecieć tam, gdzie ją zabierali, słuchać wirników powtarzających swój uparty refren, niczym leżenie przy wodospadzie pachnącym delikatnie olejem i rozgrzanym metalem. Chwiejące się nocne niebo, złudzenie morza, płaskiego i czarnego. Nie takie złe, jeśli się nad tym zastanowić. Nie tak złe.

Zrezygnowała z myślenia chwilę później, po prostu odpuściła i zjechała po zboczu potężnego zmęczenia.

# CZEŚĆ V

## TEN ZBIERA BURZĘ

Poruszane tu problemy dotyczą ogółu ludzkości. Żaden poziom rezygnacji z przywilejów, segregacji czy hierarchicznych wykluczeń nie wystarczy do odseparowania nas od skutków procesu, który już się rozpoczął. Jeśli będziemy aroganccy, jeśli nie przyjmujemy do wiadomości tego faktu i nie podejmiemy działań, gdy to jeszcze możliwe - to cena, jaką zapłacimy za porażkę, będzie potworna i spadnie na nas wszystkich.

RAPORT JACOBSENA

*Sierpień 2091*



## ROZDZIAŁ 43

Świt nadchodził nad campus Stanforda niczym ostrożny malarz, dodający barwy do monochromatycznego mroku w górze, rozjaśniającego się przez odcienie szarości do jasnego porannego błękitu, kładący beż z powrotem na piaskowce budynków szpitala po jednej bladej warstwie na raz, pracujący od góry do dołu. W ogrodach drzewa i krzewy odzyskały swoją zielen, a żwirowanymi ścieżkami pojedynczo i parami zaczęli maszerować ludzie. Niektórzy spoglądali na murzyna siedzącego samotnie na ławce, ale nikt się nie zatrzymał. Emanował z niego dziwny bezruch, który hamował wszelkie impulsy ludzkiego kontaktu i uciszał rozmowy nadchodzących. Pracujący w oddziałach intensywnej opieki od jednego spojrzenia rozumieli znaczenie bezruchu. Ten człowiek przechodził operację bez znieczulenia - powolne odcinanie się piłą od innej istoty ludzkiej przebywającej gdzieś wewnątrz szpitala.

Dochodzące z rzadka dźwięki nocnych pojazdów na autostradzie 101 zmieniły się w równomierny pomruk. Jego kontrapunktem stały się śpiewy ptaków chwalaących poranek, niczym garść kolorowych kryształów rzucanych na szarą płaszczyznę chodnika. W przerwach wciskały się między nie coraz częstsze i głośniejsze ludzkie głosy, zgrzyt żwiru pod stopami niczym dźwięki kopania grobu. Dzień szturmował ściany, którymi Carl obudował się w zimnych godzinach nocy, zniszczył i obalił prostotę jego czuwania. Podniósł wzrok znad gruzów z cichą i nieprzejednaną nienawiścią do wszystkiego, co widział i słyszał.

- Zadowolony?

Stał przed nim Norton, poza zasięgiem. Spał gdzieś w ubraniu, nawet marstechowe jeansy wyglądały na wygniecione.

Wyglądał, jakby naprawdę czekał na odpowiedź.

- Nie. A ty?

Po drugiej stronie ścieżki stała kamienna ławka, bliźniak tej, na której siedział Carl. Norton opuścił się na nią.

- Nie wymigasz się z tego - powiedział drewnianym głosem. - Wyślę cię za to z powrotem do więzienia Południowej Florydy. Zamierzam zesłać cię do Cimarron albo Tanany na resztę twojego pieprzonego życia.

Sądząc po wyglądzie, płakał. Carl poczuł krótkie ukłucie zazdrości.

- Co z nią? - zapytał.

- Oczywiście żartujesz. Ty pizdo.

Siatka zapulsowała z przygnębienia. Uniósł chwiejną, luźno zaciśniętą dłoń, wystawił palec.

- Nie napieraj, Norton. Dobrze by mi teraz zrobiło zabicie kogoś i równie dobrze to możesz być ty.

- Wyjąłeś mi te słowa prosto z ust. - Norton popatrzył na swoje dłonie, jakby sprawdzał, czy nadają się do tego zadania. - Ale to nie pomoże Sevgi.

- Nic nie pomoże Sevgi, ty pieprzony dupku! - Gdzieś w wykrzyczanych słowach kryła się brutalna przyjemność, jak zaciśnięcie zębów na wrzodzie, aż ten pęknie i się rozkrwawi. - Nie powiedzieli ci tego? To nabój Haag.

- Tak, powiedzieli mi. Powiedzieli mi też, że Stanford ma najlepszą klinikę napraw systemu immunologicznego na całym Zachodnim Wybrzeżu. Najnowsze technologie.

- To nie ma znaczenia. To Falwell. Tego sukinsyna nie zatrzyma nic oprócz śmierci.

- Świetnie, poddaj się, czemu nie? Cholernie brytyjskie.

Carl patrzył na niego przez kilka sekund, wydobył z siebie odgłos zde gustowanego charknięcia i odwrócił wzrok. Przeszła obok nich młoda kobieta prowadząca rower. Do plecaka miała przyczepioną małą buźkę z uśmiechem mrugającym w porannym świetle jaskrawą żółcią. *Kimkolwiek jesteś*, głosił radosny napis nad obrazkiem, *bądź tym dobrym*.

- Norton - odezwał się cicho. - W jakim ona jest stanie?

Pracownik INKOL potrząsnął głową.

- Ustabilizowali ją. Tyle wiem. Zaprzęgli n-dżina do mapowania zmian wirusowych.

Carl kiwnął głową. Siedział w milczeniu.

W końcu Norton zadał pytanie.

- Ile ma czasu?

- Nie wiem. - Carl wciągnął powietrze. Wypuścił je drobnymi porcjami. - Niedużo.

Znów cisza. Przeszli między nimi kolejni ludzie, rozmawiając o błahostkach. Żyjąc.

- Marsalis, jak do cholery ten facet w ogóle zdobył pistolet Haag? - W głosie Nortona pojawiła się wysoka nuta desperacji, jak dziecko protestujące przeciw niesprawiedliwej karze. - Są nielegalne we wszystkich znanych mi krajach i potwornie drogie na czarnym rynku. Śmiertelnie niebezpieczne w

niewłaściwych rękach. Na całej planecie nie może być więcej niż kilkaset osób z pozwoleniem na nie.

- Tak, opisałeś właśnie idealny obiekt pożądania dla każdego z silniejszymi tendencjami męskimi. - Carl skupił się na pobocznych szczegółach niczym na gasnących węglach ogniska, kuląc się w oferowanym przez nie ciepłe i oderwaniu. - Haag to pistolet nieskończenie atrakcyjny dla każdego, kto choćby luźno interesuje się bronią. Poznałem kiedyś w Teksasie faceta, który zaoferował mi za mojego pół miliona dolarów. Gotówka w walizce.

- Dobra, słuchaj. - Detektyw INKOL potarł dłońmi po twarzy. Podniósł głowę znad rozsuniętych palców. - Powiedzmy, że ten facet, ten Onbekend jakoś zdobył pistolet Haag, bo mu od tego sztywnieje. Zabiera go ze sobą w sytuację, w której grozi mu aresztowanie lub strzelanina z policją, i tuż przed rozpoczęciem zostawia go w samochodzie? To nie ma najmniejszego sensu.

- Owszem, ma. - Miał całą noc na przemyślenie tego, gdy siedział na krześle przed salą na oddziale intensywnej terapii i składał sobie nieodwracalny przebieg zdarzeń, który umieścił Sevgi Ertekin w kokonie po drugiej stronie hermetycznych drzwi. Znalazł rozwiązanie jeszcze przed świtem - spojrzęło mu prosto w twarz niczym czaszka, wyгнаło go z nieskazitelnych korytarzy do ogrodów i szarości przedświt. - Onbekend wziął haaga na mnie, bo myślał, że będzie musiał użyć go do wyprowadzenia mnie z hotelu i zaprowadzenia gdzieś, gdzie zdoła upozorować moje samobójstwo. Nie mogli sobie pozwolić na morderstwo, próbują teraz działać w ukryciu. A Onbekend nie mógł sobie pozwolić na uśpienie mnie, bo to mogłoby wyjść w autopsji. Chciał mnie zmusić do posłuszeństwa, gdy byłem w pełni przytomny, a to nie jest proste z trzynastką. Niełatwo nas przestraszyć i raczej nie boimy się śmierci. Ale umrzeć można na różne sposoby. Mógłbym spróbować walki z prawie każdą zwykłą bronią, nawet nie mając szans. Ale nie z haagiem.

- Powiedział ci to? Że planował upozorować twoje samobójstwo?

- Tak, powiedział. - Carl znów zapatrzył się we wspomnienia. - Poza wszystkim, do czego go wynajęto, Onbekend mnie nienawidził. Jestem do tego przyzwyczajony u innych trzynastek, to standard. Ale tu było coś więcej. Chciał mnie przed śmiercią upokorzyć. Uświadomić mi, jak byłem głupi, jak bardzo mnie przewyższa. Jak żałośnie będę wyglądał z mózgiem rozwalonym na ścianie.

- Ale zrezygnowali z samobójstwa.

- Tak. - Carl znów odetchnął głęboko. Zapamiętana pogarda Onbekenda dotknęła go do głębi. - Nie potrzebowali go już. Poszedłem na spacer i plan się zmienił. Wystarczyło upozorować śmierć na ulicy. Nie ma potrzeby grozić haagiem, a byłaby to bardzo niewłaściwa broń do zabicia mnie. Onbekend zostawił ją w kropli i użył jej na Sevgi tylko dlatego, że nie miał pod ręką nic innego.

Norton popatrzył na niego.

- Z pewnością będzie to dla niej pociechą.

Carl popatrzył na niego ze zmęczeniem.

- Chcesz mnie za to winić, Norton? Szukasz celu dla bezsilnej męskiej złości? Proszę bardzo, wal śmiało. Przywykłem do tego, nie zauważę dodatkowego obciążenia. Tylko nie przeginaj, bo jestem zmęczony i złamię cię na pół, jeśli przekroczysz granicę.

- Gdybyś...

- Gdybym nie wyszedł, byłoby inaczej. Wiem. Dostaliby mnie w hotelu, wyprowadzili, a Sevgi Ertekin i tak byłaby przy tym, bo widzisz, Norton, właśnie szła, żeby mnie odwiedzić. Może to właśnie tak naprawdę cię dręczy, co?

- Och, pieprz się. - Jednak powiedział to zmęczonym głosem i odwrócił wzrok.

- Chcesz znać prawdę, Norton? Czemu szła mnie odwiedzić?

- Nie, nie chcę.

- Przyszła oczyścić twoje nazwisko.

Pracownik INKOL popatrzył na niego, jakby Carl właśnie trzasnął go w policzek.

- Co?

- Nie ufałem ci, Norton, nie bardziej niż prezydenckiej mowie wyborczej z Jezusowa. Ci rolnicy trafili tego ranka przed mieszkanie Sevgi, a ty byłeś jedyną osobą, która wiedziała, że tam jestem. Uznałem, że miałeś jakiś cel, dla którego ważne było usunięcie mnie.

- Co? To ja, do cholery, wyciągnąłem cię z tego pieprzonego więzienia, Marsalis. To był mój pomysł, moja inicjatywa. Czemu u diabła miałbym...

- Hej, nazwij to paranoją trzynastki. - Carl westchnął. - W każdym razie wychodzi na to, że zeszłej nocy Sevgi dostała telefon z nowojorskiej policji: złapali trzeciego rolnika, puścił farbę. To nie ja byłem celem, tylko Ortiz. Sevgi szła, żeby mi o tym powiedzieć, bo nie mogła znieść myśli, że oszkalowałem twoje imię.

Norton nie odpowiedział.

- Lepiej ci?

- Nie. - Szept.

- I tak nigdy nie przyjęła takiej realnej możliwości. Strzaskała mnie, gdy próbowałem jej to sprzedać. Nie wiem, czy byliście kiedykolwiek parą...

- Nie byliśmy. - Ostre warknięcie.

- No cóż, cokolwiek było między wami, najwyraźniej sięga dość głęboko.

Długa cisza. Norton rozejrzył się po ogrodzie, jakby mógł znaleźć jakieś wyjaśnienie wiszące na krzaku albo błyszczące przy fontannie.

- Ona była policjantką - wymamrotał w końcu. - Dwa i pół roku w INKOL, ale wątpię, żeby tak naprawdę się zmieniła.

- Tak, była policjantką. To dlatego cię wspierała, swojego partnera, wbrew wszystkiemu, co próbowałem jej sprzedać. I to dlatego wyszła na ulicę za Onbekendem i dlatego została trafiona.

Znow cisza. Promienie słońca dotarły do podnóża budynków, przesunęły się po żwirze. Dzień zaczynał się wypełniać prawdziwym ciepłem. Pospiesznie przeszła grupa studentów spóźnionych na jakieś zajęcia. Od strony budynku intensywnej opieki szła w ich stronę kobieta w niebieskim stroju lekarza.

- Który z was to Marsalis? - zapytała stanowczo. Jej azjatyckie rysy pod krótko przyciętymi włosami rozmazało zmęczenie.

Carl uniósł rękę. Lekarka kiwnęła głową.

- Lepiej chodź. Poprosiła o ciebie.

Norton odwrócił wzrok.

\* \* \*

Wirtualny format był najwyższej klasy i potrzebował mniej czasu, niż się spodziewał, by ukoić jego system nerwowy trzynastki do odprężenia i zaakceptowania iluzji. Pojawił się za sięgającymi od podłogi do sufitu przesuwными drzwiami ze szkła. Za nimi znajdował się ogród, mniej suchy i stylizowany od tego, w którym siedział w rzeczywistym świecie. Tutaj pełno było jaskrawej zieleni na dobrze utrzymanym trawniku, kiwających się paproci i wysokich, prostych drzew za nimi. Na środku ustawiono parę prostych, drewnianych foteli.

Sevgi Ertekin siedziała na jednym z nich, owinięta luźno w kremowo-niebieskie kimono z wyszytymi arabskimi literami. Czekwała. Na jej kolanach leżała książka, ale zamknięta, z palcem niedbale wsuniętym między strony. Uniosła głowę, słuchając. Patrzyła na coś innego, jakby ktoś już stał tam po

drugiej stronie ogrodu i też czekał.

Szkoło odsunęło się bezdźwięcznie i wyszedł na zewnątrz. Dostrzegła ruch lub system poinformował dźwiękiem o jego przybyciu. Zobaczyła go, podniosła rękę na powitanie.

- Ładne, prawda? - zawołała. - Wiesz, nie szcędzą żadnych wydatków na umierających oficerów INKOL.

- Widzę. - Podeszedł do niej, stanął, patrząc na jej twarz. System nie wpuścił do wirtuala żadnych śladów jej choroby.

Zaprosiła go gestem na fotel.

- No chodź. Siadaj, wchłaniaj.

Usiadł.

- Pewnie wyglądam tu o wiele lepiej niż w rzeczywistości - zauważyła pogodnie, śledząc jego myśli z precyzją, od której zamrugał. - Prawda?

- Nie wiem. Jeszcze mnie do ciebie nie wpuścili.

- Cóż, mnie też nie pokazali lustra. Z drugiej strony nie prosiłam o nie. Pewnie pomysł polega na tym, żeby człowiek nabrał jak najlepszego mniemania o sobie w nadziei, że natchnie go to chęcią życia, wzmocni system immunologiczny i wyciągnie z ich kosztownych systemów podtrzymywania życia najszybciej, jak to możliwe. - Urwała gwałtownie jak wyłączona i po raz pierwszy zobaczył, jak naprawdę jest przerażona. Oblizwała wargi. - Oczywiście ta dynamika mnie nie dotyczy.

Nic nie powiedział, nie przychodziło mu do głowy nic rozsądnego. Strumyk bulgotał cicho gdzieś za roślinami. Na trawie wylądowała para małych ptaszków, bliżej ludzi, niż mogłyby to zrobić w rzeczywistym świecie. Przez drzewa przebiło się światło słońca.

- Mój ojciec leci tu z Nowego Jorku - powiedziała i westchnęła. - Nie powiem, żebym się z tego cieszyła.

- On chyba też nie.

Zaśmiała się, ledwie minimalnie głośniejsze niż bulgotanie strumyka.

- Owszem, pewnie nie. Nie układało nam się najlepiej przez ostatnie kilka lat. Nie widzimy się za często, właściwie nie rozmawiamy. Nie tak, jak kiedyś. - Kolejny cień uśmiechu. - Pewnie będzie myślał, że zrobiłam to, by ściągnąć jego uwagę. Pojednanie na łożu śmierci. Cholernie dramatyczne, co?

Carl poczuł, jak zaciskają mu się usta, zęby szczepiają się z mimowolną siłą. Nieodwrócenie spojrzenia kosztowało go więcej wysiłku, niż sądził.

- Jest tu Norton? - zapytała.

- Tak. - Próbował się uśmiechnąć. Miał wrażenie, że zapomniał, których mięśni do tego użyć. - Chyba dotknęło go, że najpierw poprosiłaś o spotkanie ze mną.

Ertekin się skrzywiła.

- Cóż. Będzie czas dla wszystkich, przecież nie mam za wielu przyjaciół. Zainteresował się jednym z jaskrawo ubarwionych ptaków pod stopami.

- Marsalis?

Niechętnie podniósł wzrok.

- Tak?

- Ile mam czasu?

- Nie wiem - odpowiedział szybko.

- Ale wiesz, jak działa system Haag. - W jej głosie zabrzmiało coś podobnego do błagania. - Używałeś tego dość często, musisz mieć jakieś pojęcie.

- Sevgi, to zależy. Leczą cię tu najnowszymi środkami antywirusowymi...

- Jasne, tak jak cholerną Nalan.

- Przepraszam?

Potrząsnęła głową.

- Nieważne. Słuchaj, nie wystraszysz mnie bardziej, niż już się boję. Nie mogą tego zatrzymać, prawda?

Zawahał się.

- Carl, powiedz mi cholerną prawdę. Spojrzał jej w oczy.

- Nie. Nie mogą tego zatrzymać.

- Dobrze. Teraz powiedz mi, ile mam czasu.

- Nie wiem, Sevgi. Szczerze. Przypuszczalnie z tym, co tu mają, mogą to cofnąć, może wymodelować to dostatecznie, by...

Zobaczył wyraz jej twarzy i umilkł.

- Tygodnie - wyjaśnił. - W najlepszym razie kilka miesięcy.

- Dziękuję.

- Sevgi, ja...

Podniosła rękę, posłała mu uśmiech. Wstała z fotela.

- Idę się przejść do rzeki. Pójdziesz? Powiedzieli mi, że nie powinnam się przemęczać, nawet tutaj. Sprzężenie stymulacji ponoć wpływa na system nerwowy prawie jak prawdziwe. Ale chyba chciałabym trochę pospacerować, póki jeszcze mogę. - Podniosła książkę. - Wiesz, istnieje ograniczona dawka piętnastowiecznej poezji, jaką człowiek może przyjąć bez przerwy.

Odczytał tytuł z antycznej brunatno-zielonej kładki: „Ogród zapachów”,

Ibn Muhammad al-Nafzawi.

- Coś dobrego?

- Przepisy na afrodyzjaki są wątpliwe, ale reszta owszem, całkiem niezła. Zawsze obiecywałam sobie, że kiedyś zabiorę się za przeczytanie tego. - Znów błysk strachu w jej oczach, szybko stłumiony. - Lepiej późno niż wcale, nie?

Znów nie wiedział, co odpowiedzieć, nie na to, co powiedziała, ani na to, co zobaczył w jej oczach. Poszedł z nią przez trawnik w stronę, z której dobiegały odgłosy wody, i pomógł jej odsunąć gałęzie blokujące drogę. Przeszli pod nimi zgięci i stanęli pośród oświetlonej słońcem roślinności na brzegu płytkiego strumienia. Sevgi przez chwilę przyglądała się płynącej wodzie.

- Muszę cię poprosić o parę przysług - odezwała się cicho.

- Jasne.

- Chciałabym, żebyś tu został. Wiem, że mówiłam, że możesz odejść, w zasadzie cię odesłałam, ale...

- Nie martw się. - Jego głos nabrał mocy. Musiał stłumić falę furii. - Nie zamierzam tego po prostu zostawić. Onbekend jest chodzącym trupem. Tak samo jak ten, kto go wysłał.

- Dobrze. Ale nie o to mi chodziło.

- Nie?

- Nie. Przy tym, co się tu teraz dzieje, jest dość materiału, żeby nie zamykać sprawy. Byłoby dobrze, gdybyś mógł pomóc w tej sprawie po tym, jak... - Słabo machnęła ręką w stronę wody. - Ale nie o to chciałam cię prosić. To coś, cóż, bardziej samolubnego.

- Żyję tylko dzięki tobie, Sevgi - powiedział bezbarwnie. - To ci kupiło mnóstwo pobłażliwości.

Obróciła się. Dotknęła jego dłoni.

Towarzyszył temu krótki, głęboki wstrząs - kontakt dotykowy był jedną z rzeczy, których technika wciąż jeszcze nie wyprostowała i etykieta formatów raczej na niego nie pozwalała. Poza prymitywnymi i dziwnie niesatysfakcjonującymi wirtualami pornograficznymi, których używał w bazach wojskowych, wątpił, by dotknął kogoś w wirtualach więcej niż pół tuzina razy przez całe życie, a i z tego większość była wynikiem przypadkowych kolizji. Teraz poczuł dłoń Sevgi Ertekin jakby przez rękawiczki i w miejsce gasnącego gniewu pojawiła się irytująca frustracja.

- Chcę, żebyś został ze mną - powiedziała. Spojrzała w dół, gdzie stykały



się ich dłonie, jakby próbując sprawdzić jakiś szczegół, którego nie była pewna. - To będzie trudne. Murat - mój ojciec - będzie zbyt dotknięty. Norton jest zbyt skonfliktowany. Wszyscy inni są zbyt odlegli, po Ethanie za bardzo ich odsunęłam. Nie wiedziałabym, co im powiedzieć. Zostajesz ty, Carl. Jesteś czysty. Chciałabym, żebyś pomógł mi to zrobić.

*Czysty?*

- Mówiłaś o dwóch przysługach - przypomniał jej.

- Tak. - Puściła jego rękę, wróciła do przyglądania się płynącej wodzie. -  
Myślę że wiesz, jaka będzie ta druga.

Stał obok niej i też zapatrzył się w wodę.

- Dobrze - powiedział.

## ROZDZIAŁ 44

Czekał na Nortona na korytarzu przed salą ze stanowiskami wirtualnych formatów. Dyrektor INKOL wyszedł z opuchniętymi oczami, mrugając, jakby światło w korytarzu było zbyt ostre dla jego oczu.

- Muszę z tobą porozmawiać - odezwał się do niego Carl.

Przez twarz Nortona przebiegł grymas.

- I myślisz, że teraz jest dobra okazja?

- Norton, jej stan się nie poprawi. Lepiej przyzwyczaj się do działania w tych warunkach.

- Czego chcesz?

- Czytałeś zeznanie, które złożyłem policji Wybrzeża?

- Nie, ja... - Norton na chwilę zamknął oczy. - Tak, przejrzałem je. I co?

- Ktoś wysłał Onbekenda, żeby mnie załatwić. Prawdopodobnie ten sam ktoś, kto zatrudnił Carmen Ren do opieki nad Merrinem i sprowadził samego Merrina z Marsa. Nie skończyliśmy tu jeszcze, nie jesteśmy nawet w połowie drogi.

Norton westchnął.

- Tak, właśnie spędziłem dwadzieścia minut z Sevgi mówiącą mi to samo. Nie musicie mnie do tego przekonywać. INKOL przycisnie sprawę, tutejsza policja już obstawia bazy. Choć chwilowo...

- Nie wrócę do domu, dopóki to nie zostanie załatwione.

- Tak, to też Sevgi dość jasno dała mi do zrozumienia. - Norton próbował przepchnąć się obok niego. Carl stłumił ochotę chwycenia go za ramię i wykrcenia. Zamiast tego zrobił kilka szybkich kroków do tyłu i zablokował korytarz, wyciągając rękę do ściany tak, że dyrektor INKOL musiał się zatrzymać. Norton zgrzytnął zębami i zacisnął pięści przy bokach.

- Czego ode mnie chcesz, Marsalis?

- Dwóch rzeczy. Po pierwsze, musisz dostać się do Ortiza i zmusić go do zablokowania mojego zwolnienia pod jurysdykcję ONZALG. Zeszłej nocy miałem telefon z biura w Brukseli, nie mogą się doczekać, żeby mnie ściągnąć do domu.

- Ortiz ledwie wyszedł z intensywnej opieki. Nie jest w stanie...

- Więc pogadaj z właściwą osobą. Nie chcę być zmuszony do walki z tym, kto steruje Onbekendem, i równocześnie z ONZALG.

Norton sapnął.

- Dobrze. Przekażę to Nicholsonowi, gdy będę z nim dzisiaj rozmawiał.  
Co jeszcze?

- Chcę, żebyś nacisnął na Kolonię. Chcę rozmawiać z Gutierrezem.

\* \* \*

INKOL posiadał niewielką placówkę administracyjną na przedmieściach Oakland z infrastrukturą do połączenia z Marsem. Norton załatwił autokopter policyjny, który przewiózł ich nad zatoką, i limuzynę INKOL czekającą na lądowisku. Wszystko to zrobił ze swobodnym brakiem zaangażowania człowieka jadącego znaną drogą do domu. W limuzynie zadzwonił do technika łączności, żeby przygotował połączenie.

Sevgi płonęła w jego głowie jak piętno, z suchymi oczami na brzegu strumienia, wszystkie te rzeczy, których nie powiedziała. I których on też nie powiedział.

Biurokratyczne blokady ze strony administracji policyjnej Kolonii na Marsie były potężne. Aresztowanie i przesłuchanie Gutierrezza było przy tym dziecinnie proste - na swój niezdamny sposób Kolonia wiedziała, jak to zrobić. Jednak autoryzowana komunikacja pozaplanetarna z aresztu z personelem spoza INKOL była najwyraźniej czymś zbyt egzotycznym, by dysponowali precedensem lub ustaloną procedurą. Trzeba było trzech poziomów władzy, zanim dotarli do kogoś, kto wykonał polecenia. Nie pomagała też odległość - Mars był aktualnie odległy o niecałe 250 milionów kilometrów i opóźnienie przekazu wynosiło trzynaście i pół minuty w każdą stronę. Prawie pół godziny między poszczególnymi aktami komunikacji. Zdawało się to być na swój sposób symboliczne.

Marsalis krążył na zewnątrz sali, widoczny chwilami przez znajdujące się na wysokości głowy okienka w drzwiach. Czerpał drobną, złośliwą przyjemność z wykluczenia trzynastki z wczesnych procedur, co było spowodowane impulsem niemal równoznacznym z oznaczaniem swojego terytorium przez kocura.

Norton był zbyt zmęczony, by zwalczyć to pragnienie, i zbyt wściekły, by czuć z jego powodu zawstyżenie. Przełamał biurokratyczny opór Kolonii zimną, kontrolowaną furją, o zdolność do której nigdy się nie podejrzewał, odwoływaniem się do rozsądku, gdy było to możliwe, oraz groźbami tam, gdzie nic innego nie działało. W ciszy przeczekiwał długie przerwy opóźnień, siedząc z cierpliwością automatu. Nic z tego nie miało znaczenia oprócz sposobu na odsunięcie od siebie świadomości, że Sevgi umrze, że już umiera

po kawałku, w miarę jak jej układ odpornościowy ustępuje przez powtarzającymi się ciosami wirusów Falwell z ich mutacjami.

W końcu wpuścił Marsalisa. Oddał mu miejsce operatora i skulił się na fotelu poza zasięgiem kamery, pod boczną ścianą pomieszczenia. Wbił puste spojrzenie w siadającą trzynastkę.

- Myślisz, że to naprawdę zadziała?

W jego uszach własny głos zabrzmiał niechlujnie i niedbale, spłaszczony przeładowaniem emocjonalnym.

- To zależy - stwierdził Marsalis, studiując zegar nad baterią kamer i ekranów przed sobą.

- Od czego?

- Czy Franklin Gutierrez chce dalej żyć, czy nie.

Na wyświetlaczu mignęły ostatnie cyfry, zabręczał sygnał odbioru i na ekranie pojawił się obraz podobnej sali transmisyjnej na Marsie. Siedział tam Gutierrez, wymyty po przesłuchaniu obserwowanym ostatnio przez Nortona. Uszkodzona dłoń owinięta była czystym białym bandażem, a siniaki na twarzy i pod okiem potraktowano środkiem przeciwzapalnym. Zmarszczył się lekko do kamery, zerknął w bok na kogoś poza kamerą, po czym odchrząknął i nachylił się do przodu.

- Nie powiem nic, dopóki nie zobaczę, kto do cholery siedzi z drugiej strony tego czegoś. Rozumiesz? Zmusisz tych kretynów do pokazania pazurów, dobra, może się jakoś dogadamy, ale najpierw muszę zobaczyć twoją gębę, nie wcześniej.

Cofnął się na oparcie. Na ekranie pojawiło się zielone, maszynowe oznaczenie blokady transmisji i obraz znieruchomiał. Kontrolka transmisji zaświeciła na pomarańczowo. Marsalis siedział, patrząc w ekran, i nie ruszał się bardziej niż trup.

- Cześć, Franklin - powiedział bezbarwnie. - Pamiętasz mnie? Myślę, że owszem. Skoro już wiesz, kto jest po drugiej stronie, posłuchaj mnie uważnie. Powiesz mi wszystko co wiesz o Allenie Merrinie i czemu pomogłeś wysłać go do domu. Masz na to tylko jedną szansę. Nie rozczaruj mnie.

Trzasnął ręką w przełącznik i przerwał nagranie, wysyłając transmisję. Nad ich głowami komputer ponownie rozpoczął odliczanie.

- Wybacz, ale na razie nie zrobiłeś na mnie wrażenia - odezwał się Norton.

Marsalis prawie się nie poruszył, ale jego spojrzenie przesunęło się i

nagle, przez zmęczenie i żal, Norton zobaczył w nim coś, co wysłało zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa, niczym lodowaty strumyczek wody.

Przeczekali odliczanie. Cyfry doszły do zera, zaczęły odliczać ponownie czas użyty na nagranie z drugiej strony.

- Hej, loteryjniak! - Gutierrez pojawił się z szyderczym uśmiechem, ale Norton dostrzegł za nim strach, ten sam dreszcz, który sam odczuł, patrząc w oczy Marsalisa pół godziny temu. A licznik opowiadał własną historię błyszczącymi, zielonymi cyframi. Mieli dwie i pół minuty opóźnienia w stosunku do bazowego czasu transmisji i odbioru i jeśli danołamacz nie wykonał przemowy do kamery, ten czas został zużyty na wahanie. Gutierrez się zablokował, musiał stracić czas na przygotowanie odpowiedzi. Jego brawura brzmiała fałszywie niczym etykieta marstechu z Tennessee. - Jak tam twoje szczęście w domu, Marsalis? Jak się miewasz? Brakuje ci dziewczyn z klubu Dwunastki?

Po tych słowach Gutierrez przerzucił się na quechua. Na ekranie pojawiły się podpisy z tłumaczeniem. *Jesteś trzysta milionów kilometrów stąd. To cholernie daleko na groźby. Co zrobisz, pójdziesz spać? Wrócisz aż tutaj tylko po to, żeby mnie zabić? Już się ciebie nie boję, Marsalis. Jesteś śmieszny.* Mówił tak jeszcze dłuższą chwilę, zbierając odwagę. Wszystko to sprowadzało się do *odwal się i giń.*

Nadal brzmiało to fałszywie.

Marsalis przyglądał się temu z lekkim, zimnym uśmiechem.

Kiedy transmisja dobiegła końca, nachylił się do kamery i zaczął mówić, również w quechua. Norton nie znał języka Altiplano poza podstawowymi liczebnikami i garścią nazw obiektów spożywczych, ale nawet przez zasłonę niezrozumienia czuł lodowate zimno emanujące z murzyna i jego słów. Słowa z jego ust wybiegały z szelestem, chrzęszcząc niczym insekty albo coś gadziego wykluwającego się z jaja. W oparach senności ogarniającej z wolna jego zmysły Norton doświadczył chwili zrozumienia tak czystego, że wiedział, iż musi być kłamstwem, jednak w tej chwili miał wrażenie, że to ktoś inny mówi przez Marsalisa, coś starożytnego i niehumanicznego używa jego ust i twarzy jako maski i punktu zaczepienia, by rzucić się poprzez przestrzeń oddzielającą światy, sięgnąć i chwycić Franklina Gutierrez za gardło i serce, jakby siedział po drugiej stronie stołu, a nie o ćwierć miliarda kilometrów pustego kosmosu stąd.

Cokolwiek to było, powiedzenie tego zajęło trochę ponad minutę, ale dla Nortona wszystko zdawało się toczyć poza rzeczywistym czasem. Gdy

Marsalis skończył mówić, dyrektor INKOL otworzył usta, by coś powiedzieć - cokolwiek, by przerwać trzeszczącą ciszę po tym, co opuściło budynek - ale urwał, bo zobaczył, że Marsalis jeszcze nie nacisnął klawisza transmisji. Komunikat wciąż był nagrywany, wciąż czekał na przypieczętowanie i przez chwilę, która zdawała się wiecznością, czarny mężczyzna po prostu patrzył w soczewkę i nic nie mówił. Patrzył.

Potem wcisnął klawisz i w jakiś niemożliwy do zdefiniowania sposób zdał się skurczyć w sobie.

Minęła pełna minuta, zanim Norton zdołał znaleźć jakieś słowa.

- Co powiedziałeś? - zapytał suchymi wargami.

Marsalis drgnął, jak ktoś obudzony z drzemki. Posłał mu normalne, ludzkie spojrzenie. Wzruszył ramionami.

- Powiedziałem mu, że jeśli nie powie mi tego, co chcę wiedzieć, wrócę na Marsa i go znajdę. Zapewniłem, że INKOL zapłaci za bilet tam i z powrotem. Że zabiję jego i wszystkich, na których mu zależy.

- Myślisz, że to kupi?

Uwaga murzyna przeniosła się na ekran. Norton nagle zdał sobie sprawę, że on też musi być bardzo zmęczony.

- Tak, kupi to.

- A jeśli nie? Jeśli sprawdzi twój bluff?

Marsalis znów na niego spojrzał i Norton zrozumiał, jak zabrzmiała odpowiedź, jeszcze zanim w sali padły ciche, rzeczowe słowa.

- To nie jest bluff.

\* \* \*

Czekali do zera na świecącym zegarze i na kolejne minuty odliczane do przodu. Żaden z nich nic nie powiedział, przynajmniej Norton nie wiedział, co miałyby rzec. Ale cisza była prawie pożądana. Marsalis spojrzał mu w oczy raz czy dwa i kiwnął głową, jakby dyrektor INKOL coś powiedział, tak pewnie, że Norton zaczął się zastanawiać, czy w swoim smutku i zmęczeniu nie wypowiedział jakiejś przypadkowej myśli.

Jeśli tak zrobił, nie pamiętał ani słowa.

Cisza w salce otuliła ich niczym koc, rozgrzewając i uspokajając, zapraszając do ucieczki, oderwania się od świata i żalu, zjazdu w ciche zapomnienie długo odsuwane snu...

Obudził się.

Brzęk sygnału odbiornika i ból zeszywniałego karku.

Ponownie ożył ekran.

Pojawił się na nim Gutierrez, przerażony i bełkoczący.

## ROZDZIAŁ 45

*Jesteś czysty.*

Nie potrafił zrozumieć, co to znaczy, nie do końca. Próbował. Szarpał ciasne sploty słów, siedząc równocześnie w plamie światła lampy w wyciemnionym biurze INKOL, i odtwarzał transkrypt zeznania Gutierrez. Zrezygnowany dał spokój, zostawił to. Wrócił i spróbował jeszcze raz.

*Zostajesz ty, Carl. Jesteś czysty.*

Próbował obmacać brzegi, ale przypominało to szukanie uchwytów na jednej z niemożliwie stromych ścian urwisk masywu Verne. Palce mówiły człowiekowi, że coś tam jest, dawały mu coś, czego można się trzymać lub na czym się dźwignąć, ale była to tylko chwilowa dostępność, a nie kształt całości. Nie było to zrozumienie. Znał nadchodzące ruchy, wiedział, co słowa *Zostajesz ty, jesteś czysty* znaczą w kategoriach tego, co Sevgi chciała, by zrobił, ale nie mówiło mu to niczego więcej o tym, w co o nim wierzyła, czym jej zdaniem dla siebie byli - nie więcej niż udana sekwencja ruchów na tamtej skale Verne dawała pojęcie o topografii urwiska.

Przypominało to powrót do wioski Osprey i zastanawianie się nad jednym z dziwniejszych koanów cioci Chitry.

*Jesteś czysty.*

Słowa tykały mu w głowie niczym bomba.

\* \* \*

Norton wyszedł, zapewne żeby się przespać, zanim całkiem padnie. Nie zaoferował żadnego komentarza poza „Zobaczymy się rano”. Ton głosu sugerował wahanie, jeśli nie przyjacielskie, to coś podobnego, mocno złagodzone przez wyczerpanie. Gdzieś w ciągu ostatnich kilku godzin napięcie między nimi zmieniło się w jakiś niezdefiniowany sposób i w jego miejsce pojawiło się coś innego.

Carl siedział w pustym biurze, wciąż na nowo słuchając transkryptu i patrząc w przestrzeń, aż piętro, na którym przebywał, zaczęło się zamykać na noc. Światła sufitowe gasły panel za panelem i czerń za oknami cicho wpłynęła, wypełniając pomieszczenia jak ciemna woda. Nieużywane układy przeszły w tryb gotowości, ekrany zgasły, zostawiając tylko logo INKOL i małe, czerwone kontrolki świecące w mroku. Nikt nie przyszedł sprawdzić, co robi. Podobnie jak większość biur INKOL, te w Oakland pracowały na



okrągło, ale w nocy personel ograniczony był do minimum, plus inteligentne systemy w podziemiach. Ochrona też się nie pofatygowała - Norton musiał im powiedzieć, żeby dali mu spokój.

Wyznania Gutierrez, pospieszne i nieskładne, pełne poprawek i pewnie kłamstw wymyślanych po drodze. Mimo wszystko wyłonił się z tego jakiś obraz.

*... ktoś w familias... prędzej czy później musiał się wylamać... ta wojna jest cholernie głupia...*

*... nie wiem, Marsalis, nie powiedzieli mi aż tyle... po prostu miałem przepchnąć faceta, wiesz, to robię... W którymś momencie przydługiego przesłuchania z półgodzinnymi przerwami coś się przełamało w Gutierrezie. Strach, podsunięta obietnica ochrony INKOL, może jakieś poczucie zdrady z powodu czasu spędzonego w więzieniu, czekanie na ratunek ze strony rodziny, który nie nadszedł - uraza narosła z iskry i dymu, wybuchając w końcu otwartym płomieniem buntu - *Śłuchaj, stary, jestem pieprzonym kormoranem, kablem do wynajęcia, przecież nie mam z nimi więzów krwi, czemu mieliby mi mówić cokolwiek, czego nie muszą...**

*... cóż, w oczywisty sposób ktoś, kto zyska na zrezygnowaniu z wrogości wobec Marsa... nie muszę ci tego przecież mówić, nie?*

*... tak, tak, obejść protokoły dokowania, wysadzić gościa przy wybrzeżu Kalifornii...*

*... nie, nie powiedzieli czemu... jak mówiłem... tak, oczywiście, że pokazałem mu, jak uaktywnić żel kapsuły kriogenicznej... jak inaczej miałby przeżyć wodowanie...*

Wraz z rozbudzonymi urazami szeroki strumień uzalania się nad sobą i samousprawiedliwiania: *... tak, cholerna racja, to był wypadek. Myślisz, że zaplanowałem wysłanie go obudzonego w taki sposób? Myślisz, że zrobiłbym coś takiego z wyboru? Powinien był się obudzić dwa tygodnie od domu, nie od Marsa... i, do cholery, tak by było, gdyby stanęło na moim. Powiedziałem im, że to ryzykowne, zabicie n-dżina dwa tygodnie po starcie, mówiłem im, że to może też uaktywnić inne rzeczy, ale hej, po co do diabła słuchać eksperta, co on może wiedzieć...*

*... bo jeśli wyłączysz n-dżina dwa tygodnie od domu, INKOL wysyła z Ziemi statek ratunkowy żeby sprawdzić, co się do cholery stało. Gwarantowane. Nie chcą ryzykować spieprzenia czegoś przy dokowaniu, nie mogą sobie pozwolić na taki rozgłos w mediach. Ale jeśli zrobisz to dwa tygodnie po starcie, a potem statek leci cicho, ale gładko całą drogę do*

*domu, to zaufają automatycznym systemom i odpuszczą. Wiesz, jakie te sukinsyny mają podejście do kosztów...*

Było tego kilka godzin, nawet jeśli wycięło się opóźnienia transmisji. Opór danołamacza zniknął niczym pękająca tama. Carl odtwarzał to wszystko wciąż na nowo, bo alternatywą było myślenie o Sevgi Ertekin. Słuchał, aż słowa Gutierrezza zaczęły gładko przemykać przez jego głowę, aż wszystko zrobiło się tylko białym szumem, który więcej znaczenia niż odbite w geometrii światła i ciemności okien, zapalonych lub nie, w innych budynkach za oknem.

Znów zobaczył, jak wraca przez drzwi baru, z grymasem na twarzy i leniwym strumyczkiem krwi na ramieniu i rękawie. Zaciśnięcie gardła na ten widok, ulga, gdy powiedziała, że nic jej nie jest, że...

*... krew, po raz kolejny zabrzmiało w nagraniu... przecież nie mam więzów krwi z żadnym z nich...*

Zmarszczył brwi. Zatrzymał, przewinął. Słowa zabrzmiały ponownie.

Gutierrez jeszcze raz strzelił focha. *Słuchaj, stary, jestem pieprzonym kormoranem, kablem do wynajęcia, przecież nie mam z nimi więzów krwi.*

Usłyszał głos swój i Bambarena zniekształcony przez wiatr wiejący na Sacsayhuaman.

*Moich familiares łączy wspólna niechęć do twojego rodzaju, Marsalis. Musisz zdawać sobie z tego sprawę.*

*Tak. Łączy was również silny sentyment do więzów krwi, ale to...*

Wyprostował się nagle na krześle. Odtworzył to jeszcze raz, po raz kolejny wysłuchał zestawienia, którego nigdy wcześniej nie zauważył.

To musi być to.

Cofnął się trochę bardziej, przegrzebał przez wyznania danołamacza... w oczywisty sposób ktoś, kto zyska na zrezygnowaniu z wrogości wobec Marsa... nie muszę ci tego przecież mówić, nie?

Do cholery, to musi być to. Wpatrzył się w objawienie rozwijające się w blasku biurkowej lampy LCLS. Głęboka znajomość szczegółów procedur projektu Stróż Prawa u Bambarena. Greta Jurgens z przechwałkami, uprzejme potwierdzenie z ust Bambarena, gdy został przyduszony. Dwie sprawy zderzyły się w jego głowie.

*To znaczy, że zrobiłeś niszową karierę na koegzystencji z Inicjatywą i z tego, co mówiła Greta, całkiem nieźle ci się powodzi.*

*Nie wierzę, żeby Greta Jurgens rozmawiała z tobą na temat moich partnerów biznesowych.*

*Nie, ale próbowała mnie nimi straszyć. Implikując, że masz teraz znacznie potężniejszych przyjaciół i trzymasz się bliżej nich.*

*... ktoś, kto musi zyskać... sentymentalne przywiązanie do więzów krwi...*

To, kurwa, musi być to.

Zrozumienie, jak blisko rozwiązania tajemnicy wtedy się znalazł, przebiło się przez fale zmęczenia i przyprawiło go o zawrót głowy.

*Przez cały czas, przez cały cholerny czas byliśmy tak blisko. Niech no tylko powiem...*

*Sevgi.*

I nagle to wszystko znów nie było nic warte, została mu tylko furia.

\* \* \*

Sprawdził pliki, zadzwonił z nimi do Matthew.

- Gayoso. - Danołamacz zdawał się smakować nazwisko. - Dobra, ale to chwilę potrwa, zwłaszcza jeśli ludzie ukryli te rzeczy tak, jak twierdzą.

- Nie spiesz mi się.

Chwila wahania po drugiej stronie linii.

- To do ciebie niepodobne, Carl.

- Owszem. - Popatrzył na własne odbicie w szybie biurowego okna. Skrzywił się. - Pewnie nie jest.

Znów cisza. Matthew nie lubił zmian, przynajmniej pośród swoich ludzkich kolegów. Carl czuł, jak jego niepokój przenika przez linię.

- Przepraszam, Matt. Jestem trochę zmęczony.

- Matthew.

- Tak, Matthew. Znów przepraszam. Jak mówiłem, jestem zmęczony. Czekam na wyjaśnienie się paru spraw po tej stronie, więc nie spiesz mi się z tymi rzeczami. Tylko to chciałem powiedzieć.

- W porządku. - W głosie Matthew znów zabrzmiała radość, jakby przestawił przełącznik. - Słuchaj, chcesz poznać sekret?

- Sekret?

- Tak. Tajne dane. Chciałbyś je poznać?

Carl zmarszczył brwi. Nieczęsto korzystał z wideo podczas rozmowy z Matthew - danołamacz nie lubił go zbyt, a poza tym połączenia zazwyczaj miały czysto utylitarny charakter, więc wydawało się to pozbawione sensu. Teraz jednak po raz pierwszy żałował, że nie widzi jego twarzy.

- Tajne dane zazwyczaj właśnie są powodem, dla którego do ciebie dzwonię - powiedział ostrożnie. - A więc tak, chcę. Posłuchajmy.

- No cóż, masz kłopoty z biurem w Brukseli. Gianfranco di Palma jest

bardzo zły na ciebie.

- Powiedział ci to?

- Tak. Kazał mi nie komunikować się z tobą do czasu, aż wrócisz z Wybrzeża.

We wnętrznościach Carla obudził się strumyczek złości.

- Doprawdy?

- Owszem.

- Zauważyłem, że nie wypełniasz jego polecenia.

- Oczywiście, że nie - pogodnie odpowiedział Matthew. - Nie pracuję dla ONZALG, jestem współpracownikiem międzyagencyjnym. A ty jesteś moim przyjacielem.

Carl zamrugał.

- Dobrze wiedzieć - stwierdził w końcu.

- Myślałem, że się ucieszysz.

- Posłuchaj, Matthew. - Złość zmieniała kształt, zabarwiona czymś znacznie mniej wyraźnym. Wcześniejsza fala zrozumienia zdawała się cofać, rozmyta nowymi czynnikami. - Jeśli di Palma znów się do ciebie odezwie...

- Wiem, wiem. Nie mówić mu, że sprawdzałem dla ciebie Gayoso.

- Tak, zgadza się. - Ogarniało go pełzające poczucie niepokoju. - Ale powiedz mu też, że jesteśmy przyjaciółmi. Że jesteś moim przyjacielem.

- On to już będzie wiedział, Carl. To oczywiste, jeśli spojrzeć na dane...

- Tak, cóż, problem w tym, że on mógł nie przyglądać się danym, wiesz. Powiedz mu, że jesteś moim przyjacielem. Powiedz mu, że ja tak powiedziałem i że kazałem ci to powtórzyć. - Carl popatrzył złowieszczo w noc na zewnątrz. - Żeby to było jasne.

\* \* \*

Niedługo później wyszedł z budynku, rozglądając się za taksówką, która zawiozłaby go do hotelu. Szedł przez chłód wieczoru po kolejnych dużych prostokątach światła z ulicznych latarni LCLS w górze. Przypominało to przechodzenie serii małych scen teatralnych, każda oświetlona dla przedstawienia, którego wykonania odmawiał. Jego zmysły przyćmiewał brak snu. W głowie wirowały zmęczone spekulacje, które nie chciały odpuścić, wciąż walcząc o miejsce z rozpychającym się gniewem.

*Pieprzony di Palma.*

Nie zdawał sobie sprawy z tego, ile furii musiało odbijać się na jego twarzy do czasu, aż wpadł na uliczną artystkę idącą w przeciwną stronę i obładowaną pozornie przypadkowymi śmieciami. Zderzyli się ramionami i

jego masa posłała ją na ziemię. Niesione przez nią rzeczy rozsypały się po chodniku. Stalowe koło z dziecięcego rowerka potoczyło się, błyskając w świetle paneli, uderzyło w krawężnik i wywróciło się w ścieku. Kobieta spojrzała na niego z ziemi z ponurym wyrazem umalowanej twarzy.

- Może być tak...

I umilkła.

Stał przez dłuższą chwilę, patrząc w dół na jaskrawą twarz kłowna i jej perukę, potem zdał sobie sprawę, że zaciska usta i napina mięśnie szczęk w wyniku złości nagromadzonej na di Palmę, Onbekenda i całą serię cienistych postaci, których nie potrafił rozpracować.

*Tak, ale żaden z nich nie jest tą dziewczyną. Opanuj się, Carl.*

Parsknął i wyciągnął rękę.

- Przepraszam. Nie uważałem. To moja wina.

Pomógł jej wstać. Strach nie zniknął z jej oczu i puściła jego dłoń, jak tylko wstała. Ruszył, by pomóc jej pozbierać porzucane rzeczy, i zobaczył, jak drgnęła, wciąż bojąc się potężnego, czarnego mężczyzny na opuszczonej ulicy. Rozbłysła w nim fala zgrzytliwej irytacji.

- Nie będę przeszkadzał - powiedział uprzejmym tonem.

Miał wrażenie, że obserwuje go z ukosa, gdy odchodził. Coś mu nie pasowało w tym spotkaniu, ale nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Na skrzyżowaniu przed nim pojawiła się taksówka, krzyknął więc i zamachał. Czujniki go zarejestrowały i taksówka wykonała zgrabny, maszynowo-perfekcyjny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, zatrzymując się, by go wpuścić. Otworzyły się drzwi.

Wsiadł: słabe światła, skośne okienka i pseudoskórzana tapicerka. Zalała go fala wspomnień z jazdy poprzedniego wieczoru, tej, podczas której Sevgi Ertekin zauważyła, że jest śledzony. Coś w nim zabolalo.

Odezwał się przeciętny kobiecy głos.

- Witamy w taksówce firmy Merritt. Gdzie...

- Red Sands International - rzucił ostro.

- Hotele sieci Red Sands znajdują się po obu stronach zatoki, którą stronę pan woli?

- San Francisco.

- W drodze - gładko poinformowała maszyna. Spokojne rysy na ekranie, znów pomyślał o Carmen Ren i jej urodzie Stanów Wybrzeża, gładkiej...

*Klown.*

*Pieprzony clown.*

- Zatrzymaj taksówkę - warknął.

Pojazd stanął. Zaczął szarpać drzwi.

- Może byś mnie do cholery wypuściła?

- Czekam na wyrównanie opłaty za kurs - obojętnym tonem wyjaśniła taksówka. - Niezależnie od trasy firma Taksówki Merritt zastrzega...

- Wrócę, do cholery, wrócę tu. Poczekaj tu na mnie.

Drzwi trzasnęły zamkiem i się otworzyły. Wypadł na zewnątrz, pobiegł z powrotem do rogu ulicy. Zanim do niego dotarł, wiedział już, co znajdzie. Mimo wszystko nie zatrzymał się, pobiegł długim rzędem płam światła z powrotem w stronę budynku INKOL.

Ulica była pusta, dokładnie tak, jak się spodziewał. Różne elementy sprzętu leżały rozrzucone dokładnie tam, gdzie upadły. Koło rowerowe połyskiwało z rynsztoka. Kobieta z pomalowaną twarzą znikła.

Wykręcił się, przeskanował ulicę w obu kierunkach.

Blade, krystaliczne sceny oświetlone do przedstawień rzędami w obu kierunkach. Stał w świetle LCLS kompletnie sam. Naszło go wrażenie odrealnienia. Przez krótką chwilę spodziewał się zobaczyć Elenę Aguirre sunącą ku niemu przez wąskie pasma mroku oddzielające płamy światła.

Przychodzącą, by w końcu go zabrać.

## ROZDZIAŁ 46

Omówili to w ogrodzie.

Wyboru dokonała Sevgi: nie chciała zostać wykluczona z odpraw. *To wciąż moja cholerna sprawa*, powiedziała ostro, gdy Norton zaprotestował. Carl przypuszczał, że to musiało być dla niej lepsze niż kontemplacja tego, co nadchodziło, i wyglądało na to, że albo skończyła al-Nafzawiego, albo miała go już dość. Siedzieli więc na drewnianych fotelach w ciepłym świetle słońca, słuchając szmeru strumienia, i zachowywali się, jakby Sevgi nie miała umrzeć.

- Pieprzony makijaż - wybuchła, gdy Carl opowiedział im o swoim spotkaniu zeszłej nocy. - Ta suka zrobiła dokładnie to samo na „Kocie Bułhakowa”. Wpadła na mnie, gdy obchodziłam słup. To musiała być ona. Czemu u diabła miałyby to robić?

- Podśluchiwała - wyjaśnił Carl. - Natychmiast po spotkaniu z nią zeszłej nocy pojechałem do Alcatraz. Włączyłem wszystkie alarmy w budynku, gdy próbowałem zejść do ekranowanych pomieszczeń. Znaleźli na mojej kurtce mikrofon wielkości okruszka, kameleonowa obudowa. Przykleja się do celu, praktycznie niewyczerpana bateria.

- To znaczy, że ja też mam coś takiego na ubraniu.

- Pewnie tak, owszem.

- Czyli ta Ren wciąż działa? - Norton zmarszczył czoło. - To nie ma zbyt wiele sensu. Sądziłem, że będzie uciekać. Do Freeport, zdobyć nowe dokumenty i zmienić twarz.

Carl potrząsnął głową.

- Jest na to za bystra. Czemu iść na poważną operację, skoro wystarczy warstwa farby i peruka?

- Tak - kwaśno rzuciła Sevgi. - Wiecie, ile w tym mieście musi być ulicznych błaznów. Widać ich na każdym cholernym rogu.

- To nie wyjaśnia, co ona robi, kręcąc się po okolicy - zauważył Norton. - Jeśli jej oryginalnym zadaniem było wspieranie Merrina, to powiedziałbym, że straciła pracę.

- Mówiłem wam, że to jeszcze nie koniec - przypomniał Carl. - Załatwiliśmy Merrina trochę za wcześnie, ale poza tym ktokolwiek przygotował to wszystko, działa dokładnie według planu.

Norton posłał mu powątpiewające spojrzenie.

- Tak, ale według jakiego planu? - zapytała Sevgi. - Mówisz, że Gutierrez twierdzi, że wysłał Merrina na Ziemię jako egzekutora *marsjańskich rodzin*: zabójstwa z zemsty za wojnę w latach siedemdziesiątych. Manco Bambaren wchodzi na scenę, bo chętnie skorzystałby ze zmiany na szczytach, złapał szansę na lepsze wykorzystanie swoich dojsć do korporacji Inicjatywy. A potem zamiast załatwić szefów w Limie, Merrin idzie w świat i zabija kilka tuzinów przypadkowych obywateli Jezusowa i Wybrzeża. To nie ma najmniejszego sensu.

- Gutierrez myślał, że wysłał z Marsa *zabójcą rodzin*. - Carl przygotował się do objawienia. - Ale w oczywisty sposób chodziło tu o coś innego. Po pierwsze, Bambaren jest z tym związany czymś znacznie poważniejszym niż tylko interesy.

Kolejne krzywe spojrzenie Nortona.

- To znaczy?

- To znaczy, że genetyczna matka Merrina, Isabela Gayoso, jest również prawdziwą matką Manco Bambarena. Bambaren i Merrin byli braćmi. No, przyrodni.

Sevgi wyprostowała się na krześle, przejęta.

- O żeż kurwa.

- Obawiam się, że tak. Isabela Riviera Gayoso, matka ze slumsów w Arequipie, oddała materiał genetyczny przejezdnej jednostce medycznej armii USA, która zbierała tam jajeczka razem z Elleniss Hall Genentech. Zapłacili jej chyba pięćdziesiąt dolarów. Podała nazwisko swojej matki, pewnie dlatego, że się wstydziła. Prawdopodobnie też podała fałszywe dane, bo te w kartotekach Elleniss Hall to ślepa uliczka. Albo po prostu je jakoś zaszyfrowali. Wydaje mi się, że wtedy nie przejmowali się po prostu tak bardzo ścisłymi danymi, bo cały projekt i tak był tajny. Na papierze projekt Stróż Prawa w ogóle nie istniał.

- Nie wierzę w to - bezbarwnie skomentował Norton. - To powinno wypłynąć w wynikach poszukiwań n-dżinna.

- No cóż, owszem, mogłoby, gdyby przez cały czas nie stosowano tak intensywnego ukrywania danych. Jak wam powiedziałem po dołączeniu do ekipy, Sevgi, wtedy wszyscy byliśmy duchami. Żadnych konkretów, nic, co mógłby wydlubać jakiś nadgorliwy dziennikarz. I do ukrywania danych użyli wczesnych technologii n-dżinnów, więc zrobiono to solidnie. Kiedy przyszedł Jacobsen, zdjęto część blokad, ale większość zapisów projektu



Stróż Prawa wciąż należała do Skonfederowanej Republiki, a oni nie byli zbyt chętni do współpracy, gdy powoływano ONZ ALG. Nasi goście od grzebania w bazach danych co chwila odkrywają jakiś sekret zakopany gdzieś i zapomniany przez armię USA.

- Jeśli to prawda, to jak u diabła sam się tego dowiedziałeś?

- Poprosiłem jednego z naszych gości od grzebania w bazach danych. Pogrzebał dla mnie zeszłej nocy - w Europie to był dzień - i dziś rano oddzwonił do mnie tuż przed pójściem do łóżka. Mówi, że jego zdaniem z drugiej strony też próbowano ukrywać dane, robota taniego danołamacza, pewnie Bambaren próbował zakopać nieprzyjemną historię rodziny, gdy tylko zdobył trochę wpływów. Posiadanie matki, która współpracowała z wojskiem gringo i rozsunała dla nich nogi po same jajniki - cóż, to nie najlepsze referencje, jeśli planuje się zostać grubą rybą. w *familias*.

Norton zeszywniał.

- Wciąż nie rozumiem, jak ten twój gość mógł zrobić coś, co nie udało się naszym n-dżinnom.

- Cóż, jest kilka powodów. Pierwszym jest fakt, że podszedłem do tego od drugiego końca. Coś, co powiedział mi Bambaren, coś o krwi, po prostu przecucie. Zacząłem od tego założenia i poprosiłem mojego spec'a o wyśledzenie Gayoso. Miałem już swoje powiązanie. Wasze n-dżinny pracowały w drugą stronę, pewnie na szerokopasmowym dryfie przez ogólne strumienie danych z Merrinem jako punktem początkowym i filtrowaniem po znaczeniu i bardziej szczegółowych wątkach. N-dżinny to nie ludzie, nie robią skoków skojarzeniowych tak jak my. Jak mówiłem w zeszłym tygodniu, intuicja Yaroshanko to cudowna rzecz, ale trzeba mieć coś, o co może się zaczepić. Poszukiwania waszego n-dżina są warte tylko tyle, co wybrane filtry, a przypuszczam, że związane były z Marsem albo Stanami Wybrzeża.

- Tak, i ze Stróżami Prawa.

- Jasne, i ze Stróżami Prawa. Ale pomyśl, co to znaczy - naprawdę myślisz, że n-dżin natykający się na protokoły projektu Stróż Prawa zwróci uwagę na genetyczny materiał źródłowy? Mówimy o ludziach, którzy nigdy nie spotkali swojego potomstwa, nigdy nie mieli z nim nic do czynienia. W przypadku Gayoso mowa o kimś, kto nigdy nie był nawet w tym samym kraju, nigdy nie zbliżył się na tysiąc kilometrów do tego, co zrobiono z jej jajeczka. Materiał genetyczny jest tani jak diabli, nawet przy obowiązującym Jacobsenie. W tamtych czasach znaczył mniej niż nic. Żadna maszyna nie

zobaczy w tym tropu wartego śledzenia, to nigdy nie przeszłoby przez filtry analityczne. Musisz wcześniej wiedzieć, że geny, które Isabela Gayoso przekazała swojemu synowi, są ważne, dopiero wtedy możesz kazać n-dżinnowi szukać powiązań. A jak powiedziałem, ona nigdy się do niego nie zbliżyła.

Norton zmarszczył brwi.

- Chwilę. Była jakaś misja w Boliwii, prawda? W 2088 czy 2089?

- Osiemdziesiąty ósmy - uściśliła Sevgi. - Argentyna i Boliwia. Ale to nie jest jasne, według części źródeł mogło ich tam wcale nie być. Mniej więcej w tym samym czasie mamy go jako dowódcę plutonu w Kuwejcie.

- Tak, ale jeśli on faktycznie tam był - ożywił się nagle Norton - to mogła być okazja do kontaktu. Może wtedy Bambaren się dowiedział, że ma brata i...

- I co, Tom? - Sevgi z irytacją potrząsnęła głową. - Spotkali się, wypili kilka piw i Merrin pojechał na misję pacyfikacyjną na Wybrzeżu. Sześć lat później leci na Marsa, a dwanaście lat potem jakiś szef *familii* na Marsie wymyśla szalony plan mordów z zemsty, wybiera do tej roboty Merrina, a ten odwraca się i mówi: „Hej, mam na Ziemi przyrodniego brata, który może nam w tym pomóc”. Daj spokój, to nie to. Tu musi być coś jeszcze, coś, co wiąże to wszystko trochę mocniej.

- I prawdopodobnie jest - wtrącił się Carl. - Powiedziałem, że jest kilka powodów, dla których wasz n-dżinn nie zdołał znaleźć tych powiązań, co mój człowiek. No cóż, drugi powód jest taki, że prowadzono tu znacznie więcej zamazywania danych, i to zdecydowanie niedawno w stosunku do tak antycznej historii. Ktoś tam wciąż bardzo się stara, żeby to wszystko pozostało tajemnicą.

- Ktoś, kto używa Carmen Ren - zasugerowała Sevgi. - Utrzymuje ją w grze.

- To jedna z opcji - przyznał Carl.

- Zniszczyli twoją pluskwę?

- Nie, wciąż ją mają. Pewnie moglibyśmy spróbować ją wykorzystać. Zobaczyć, czy uda się nam ściągnąć Ren. Ale nie bardzo sobie wyobrażam, żeby to zadziałało, jest na to za bystra. Po tak długiej ciszy będzie wiedziała, że została namierzona.

- To co nam zostaje w tej sytuacji? - zapytał Norton.

- Zostaje nam Bambaren - ponuro odpowiedział Carl. - Lecimy tam i depczemy po nim, aż powie nam, co chcemy wiedzieć.

- A Onbekend? - zapytała Sevgi z dziwnym błyskiem w oku.

Cisza. Norton próbował ją wypełnić.

- Wczoraj to sprawdziłem. Rozmawiałem z Coyle'em. Żadnych akt, które pasowałyby do podanego przez was rysopisu. Ale Onbekend to imię z Holandii, ponoć było to nazwisko nadawane przez urzędy osobom, które nie posiadały własnego nazwiska rodowego na dokumentach. - Skrzywił się. - Znaczy „nieznany”.

Sevgi parsknęła.

- Doskonale.

- Tak, w zeszłym wieku nazwali tak sporo Indonezyjczyków, bo nie mieli nazwisk rodowych zgodnych z holenderskim rozumieniem tego pojęcia. Jest teraz dość powszechne na całym wybrzeżu Pacyfi...

Urwał, bo kaszel Sevgi nie ustawał. Przybrał na sile, nabrał mocy, aż zaczął nią trząść, sprzężenie stymulacji formatu wzbudzone rzeczywistą reakcją na szpitalnym łóżku. Siła kaszlu zgięła ją prawie na pół w fotelu, a potem Sevgi na chwilę znikła, tracąc skupienie. Carl i Norton wymienili milczące spojrzenia.

Zamigotała ponownie, potem znów się zestaliła. Sapnęła i zdawała się odzyskać panowanie nad sobą.

- Dobrze się czujesz, Sev?

- Nie, Tom, nie czuję się dobrze. - Odetchnęła głęboko. - Ja, do cholery, umieram, rozumiesz? Przepraszam, jeśli to sprawia problemy.

Carl znów spojrział na Nortona, zaskakując się nagłą falą sympatii, jaką odczuł do mężczyzny.

- Może zrobimy sobie przerwę - zasugerował cicho.

- Nie, to... - Sevgi zamknęła oczy. - Przepraszam, Tom. To było niewybaczalne. Nie miałam prawa tak się na ciebie wydzierać. Już mi lepiej. Wróćmy do Onbekenda.

Zrobili to, w pewien sposób, ale incydent zawisł między nimi niczym jeszcze jedna osoba. Rozmowa sienie kleiła, urywała się, w końcu stracili wątek. Sevgi nie chciała spojrzeć Nortonowi w oczy, po prostu siedziała i wykrecała palce na kolanach, aż w końcu dyrektor INKOL odchrząknął i wytłumaczył się pretekstem telefonu do Nowego Jorku. Zniknął z formatu z zauważalną ulgą. Carl siedział i czekał.

Znów skręcenie palców. W końcu popatrzyła na niego.

- Dzięki, że zostałeś - odezwała się cicho.

Machnął głową na otoczenie.

- To lepsze od ogrodu na zewnątrz. Za suchy, zbyt wystylizowany. Ten jest bardzo brytyjski, czuję się tu jak w domu.

To wzbudziło jej śmiech, ale tym razem ostrożny.

- Twój ojciec przyjechał?

- Tak. - Kiwnięcie. - Był tu rano, zanim przyszedliście z Tomem. Naprawdę, w szpitalu. Dali mu apartament w budynku dla personelu. Uprzejmość zawodowa.

- Albo wpływy INKOL.

- No cóż, tak. To też.

- To jak ci z nim poszło?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Wiesz, sporo płakał. Oboje płakaliśmy. Przepraszył za wszystkie awantury o Ethana, dystans. I mnóstwo innych rzeczy. Ale...

- Właśnie.

- Naprawdę się boję, Carl. - Popatrzyła na niego.

- Chyba masz do tego prawo.

- Ja, wiesz, wciąż mam te sny, w których to wszystko jest pomyłką. Tak naprawdę to nie jest pocisk Haag. Albo nie jest tak źle, jak myśleli, mają środki antywirusowe, które mogą to wyleczyć. Albo to wszystko jest tylko snem i budzę się w Nowym Jorku, słyszę targ na zewnątrz. - W jej oczach pojawiły się łzy, a w głosie zabrzmiała desperacja. - A potem budzę się naprawdę i jestem tutaj, na cholernym łóżku z kroplówkami, monitorami i całym tym cholernym sprzętem wokół mnie, niczym krewni, których nie mam ochoty oglądać. I umieram, do cholery, umieram, Carl.

- Wiem - powiedział pusto, a własny głos zabrzmiał mu głupio. Brakowało mu czegoś do powiedzenia, pocieszenia jej.

Przełknęła ślinę.

- Zawsze myślałam, że to będzie jak drzwi, przez które musisz przejść. Ale to nie tak. To jak cholerna ściana pędząca na mnie, a ja jestem przypięta do fotela i nie mogę się ruszyć, nie mogę sięgnąć przycisków i się wydostać. Będę tu po prostu leżeć i umrzeć.

Zacisnęła zęby na ostatnim słowie. Popatrzyła pusto przez ogród na roślinność na skraju trawnika. Zacisnęła dłonie w pięści. Rozluźniła, znów zacisnęła. Przyglądał się jej i czekał.

- Nie chcę, żebyś pojechał tam za Bambarenem i Onbekendem - powiedziała cicho. Wciąż wpatrywała się w oświetlone słońcem paprocie. - Nie chcę, żebyś skończył jak ja, w taki sposób.

- Sevgi, prędzej czy później wszyscy skończymy w ten sposób. Po prostu cię dogonię.

- Jasne, ale są inne sposoby nadgania. Nie zalecam metody z pociskiem Haag.

- Poradzę sobie z Onbekendem.

- Jasne, że tak. - Jej spojrzenie przeniosło się na niego. - Z tego, co pamiętam, kiedy ostatni raz miałeś z nim do czynienia, musiałam wpaść i uratować ci życie.

- No cóż, tym razem będę ostrożniejszy.

Wydobyła z siebie ściśnięty dźwięk, który mógł być śmiechem.

- Nie rozumiesz, co? Nie boję się, że Onbekend może cię tam zabić. To samolubne, Carl. Boję się, że nie wrócisz. Boję się, że mnie tu zostawisz, umierającą w cholernych kawałkach i z nikim do pomocy.

- Powiedziałem ci już, że zostanę.

Nie słuchała. Nie patrzyła już na niego.

- Widziałam, jak moja kuzynka umiera w ten sposób, kiedy jeszcze byłam dzieckiem. Wirus płciowy, jeden z tych hiperewolucyjnych, złapała go od żołnierza na Wschodzie. Nie mogli nic zrobić. Nie zamierzam przez to przechodzić. Nie tak, jak ona.

- Dobra, Sevgi. Dobra. Nigdzie nie pojedę. Jestem tu. Ale chyba już czas, żebyś pozwoliła mi się zobaczyć naprawdę. W rzeczywistości, w sali.

Zadygotała. Potrząsnęła głową.

- Nie, jeszcze nie. Nie jestem jeszcze na to gotowa.

- Pozostawanie w wirtualnym formacie mocno obciąża twój system nerwowy. Mnóstwo stresu.

Sevgi prychnęła.

- Cholernie mądre słowa. Chcesz wiedzieć, czym jest stres? Powiem ci. Stres to leżenie tam na pieprzonym łóżku, wpatrywanie się w sufit i słuchanie maszyn, do których mnie podpięli, czując, jak moje płuca się zalewają i te wszystkie igły, które mi powbijali, ból w każdym pieprzonym miejscu i żadnej możliwości ruchu, chyba że ktoś przyjdzie i zrobi to dla mnie. W porównaniu z tym - machnęła słabo w stronę ogrodu - to jest cholerny raj.

Przez chwilę w milczeniu przyglądała się gałęziom drzew.

- Mówią, że to ogród - mruknęła. - Wiesz, raj. Ogród pełen owoców i dźwięków wody.

- I dziewic. Nie? Siedemdziesiąt dziewic dla każdego czy jakoś tak?

- Nie, jeśli jesteś kobietą. Zresztą to i tak dla męczenników. - Skrzywiła

się. - Zresztą to kupa bzdur. Prostoduszna, pustynna, postkoraniczna propaganda. Nikt w nowoczesnym świecie muzułmańskim, kto ma choć dwie komórki mózgowe, już w to nie wierzy. Zresztą kto w ogóle chce pieprzonych dziewczyc? Musisz ich wszystkiego nauczyć. Jak seks z cholernym manekinem ze spalonymi obwodami ruchowymi.

- Mówisz, jakbyś miała jakieś doświadczenie w temacie. - Skorzystał ze zmiany tematu, zadowolony z okazji.

To wywołało u niej krzywy uśmiech.

- Zdarzyło mi się z jednym czy dwoma. A ty?

- O żadnej nie wiem.

- Nie wykazałeś się społecznym podejściem. Ktoś musi to robić.

Wzruszył ramionami.

- Wiesz, może wciąż jeszcze przyjdzie do tego i odrobnię swoje.

Jej uśmiech zbladł, zniknął z twarzy na wspomnienie o przyszłości, jak chmura przesłaniająca oświetlony trawnik. Zadygotała i skurczyła się trochę na fotelu. Przeklął się w duchu za głupotę.

- Czytałam gdzieś - odezwała się cicho. - Spodziewają się, że za jakieś trzydzieści albo czterdzieści lat będą mieć wirtualne formaty tak potężne, że będzie można żyć w ich wnętrzu. Wiesz, n-dżinn po prostu kopiuje twój cały stan umysłu do konstrukt i puszcza cię jako element systemu. Usypiasz po prostu ciało i przechodzisz. Mówią, że będzie można żyć w nich nawet po śmierci ciała. Za czterdzieści lat, a może nawet nie aż tyle. - Uśmiechnęła się z desperacją. - Choć to trochę za odległe dla mnie, co?

- Hej, nie będziesz tego potrzebować. - Gorączkowo szukał odpowiedzi. - Idziesz do nieba, prawda? Raj, sama mówiłaś.

Potrząsnęła głową.

- Chyba tak naprawdę nie wierzę w raj, Carl. Jeśli chcesz znać prawdę, to chyba żaden z nas tak naprawdę nie wierzy. Gdzieś tam głęboko w głębi, gdzie to się liczy, chyba wszyscy wiemy, że to kupa bzdur. To dlatego wszyscy tak jesteśmy zdeterminowani, żeby głosić dobrą nowinę, żeby wcisnąć ją innym do gardeł. Bo jeśli przekonamy innych do uwierzenia w to, łatwiej nam stłumić własne wątpliwości. A one są lodowate. - Mówiąc to, popatrzyła na niego i zadrżała. Jej głos opadł do szeptu. - Wiesz, jak listopad w parku. Jak nadchodząca zima.

Wstał, podszedł do jej fotela i spróbował ją objąć. Przygłuszone wrażenie jak w rękawiczkach, jak garście pełne aksamitu, nic rzeczywistego. Żadnego ciepła, ale gdy znów zadygotała, i tak przyciągnął ją bliżej i przytrzymał jej

głowę przy swojej piersi, żeby nie zobaczyła, jak zaciska szczęki, a na twarzy odbija się furia.

*Jak nadchodząca zima.*

## ROZDZIAŁ 47

Sevgi żyła jeszcze cztery dni.

To były najdłuższe dni, jakie pamiętał od czasu czekania na powrót Marisol, gdy wbrew wszystkim zapewnieniom wujków wierzył, że to zrobi. Przesiadywał wtedy ponuro, tak jak teraz w szpitalu, oderwany całymi godzinami, wpatrując się w przestrzeń na zajęciach, w których wcześniej był świetny. Ze stoickim brakiem reakcji przyjmował karne bicia od wujków, prawie na granicy katatonii - wiedział, że walka nie była dobrym rozwiązaniem, zapewniłaby mu tylko cięższe razy. Szkolenie kontroli bólu cioci Chitry przyszło akurat na czas.

Wiele lat później zastanawiał się, czy ten kurs nie został świadomie przygotowany na miesiące prowadzące do pozbawienia ich przybranych matek. W Osprey Osiemnaście niewiele działało się bez starannego planowania. A przecież ból, jak mówiła na początku swoich zajęć Chitra, miał wiele odmian. *Bólu nie da się uniknąć*, mówiła z łagodnym uśmiechem do grupy, po formalnym uściśnięciu każdemu dłoni. Była czymś nieznanym po innych nauczycielach, drobna kobieta o jastrzębich rysach ze skórą o barwie osmalonej miedzi, krótkimi czarnymi włosami, sylwetką, która wysyłała niezrozumiałe jeszcze sygnały do ich dojrzewających hormonów, i dłońmi ze stwardnieniami, które informowały te hormony o tym, jak należy się przy niej zachowywać. Miała pewny uścisk, spojrzenie bezpośrednie i oceniające. *Ból jest wszędzie wokół nas. Przybiera wiele form. Moim zadaniem będzie nauczenie was rozpoznawania wszystkich jego postaci, zrozumienie ich i zapobiegnięcie, by któraś z nich powstrzymała was przed spełnieniem waszego zadania.* Carl dobrze opanował jej lekcje. Radził sobie ze staranną brutalnością wujków dokładnie tak, jakby była jednym z roboczych przykładów Chitry. Wiedział, że nie uszkodzą go nieodwracalnie, bo wszystkim dzieciom w Osprey Osiemnaście nieustannie powtarzano, że są niezwykle cenne. Wiedział też, że wujkowie woleliby nie używać tak intensywnej przemocy fizycznej. To nigdy nie była preferowana metoda karania w Osprey, używano jej tylko do karania przypadków poważnego naruszenia szacunku i posłuszeństwa, a i wtedy tylko w ostateczności. Ale w tamtym tygodniu Carl po prostu odmawiał wykonania wszelkich zadań, które przydzielano mu za karę. Co gorsza, rzucał im odmowę prosto w twarz,



smakując nieposłuszeństwo niczym ból przy wspinaczce na urwisko. A kiedy przychodziła odmierzona przemoc, przyjmował ją, odziany w szkolenie Chitry niczym w pancerz, i odpowiadał wujkom pustą furją, której nie umieli sprostać.

W końcu to Chitra odblokowała jego wysiłki, tak jak wcześniej dała mu narzędzia do ich powstrzymania. Przyszła do niego któregoś ponurego popołudnia, gdy siedział, posiniaczony i krwawiący z ust, opierający bolące plecy o szopę koło lądowiska helikopterów. Stała przez chwilę bez słowa, potem weszła w jego pole widzenia z rękami w kieszeniach kombinezonu. Spróbował patrzeć za nią, przesunął się bok, ale utrzymanie pozycji kosztowało za dużo bólu. Nie poruszyła się.

W końcu musiał spojrzeć jej w twarz.

*Jaki masz cel, Carl?* - zapytała cicho. W jej głosie i twarzy nie było osądu, tylko szczerą ciekawość. *Rozumiem twój ból, rozumiem, jak próbujesz go uzewnętrznić. Ale jaki masz w tym cel?*

Nie odpowiedział. Prawdopodobnie wcale tego nie oczekiwała. Ale kiedy poszła, zdał sobie sprawę - pozwolił sobie na to - że Marisol naprawdę nie wróci, że wujkowie mówili prawdę i że tracił swój czas, tak samo jak ich.

Czekanie z Sevgi było inne. Miał ją ze sobą. Miał cel.

Ale i tak, do cholery, miał ją stracić.

\* \* \*

Spotkał się z jej ojcem w ogrodzie. Duży, siwowłosy Turek z szerokimi barami i takimi samymi tygrysimi oczami jak córka. Nie nosił wąsów, ale na jego policzkach widać było odrastający, nieogolony zarost, z wiekiem nie stracił włosów. W młodości musiał być bardzo przystojny i nawet teraz - Carl ocenił, że musiał być po sześćdziesiątce - nawet siedząc na beżowej kamiennej ławeczce, wpatrzony uparcie w fontannę, emanował cichą, charyzmatyczną władzą. Ubrany był w prosty czarny garnitur, pasujący do grubej wełnianej koszuli i fioletowych śladów zmęczenia pod oczami.

- Pan jest Carl Marsalis - odezwał się, gdy Carl podszedł do ławki. To nie było pytanie. Głos zabrzmiał nieco chrapliwie, ale z żelazną pewnością. Jeśli płakał, dobrze to ukrył.

- Tak, to ja.

- Jestem Murat Ertekin. Ojciec Sevgi. Proszę, niech pan usiądzie. - Wskazał na puste miejsce na ławce obok siebie i poczekał, aż Carl usiądzie. - Moja córka dużo mi o panu opowiedziała.

- Zechce pan podać jakieś szczegóły?

Ertekin zerknął na niego z ukosa.

- Powiedziała, że niełatwo zdobyć pańską lojalność.

To go zatrzymało. Powszechna wiedza o trzynastkach głosiła, że w ogóle byli lojalni wyłącznie wobec siebie samych. Zaciekawilo go, czy Ertekin zacytował samą Sevgi, czy przyłożył własną interpretację do jej słów.

- Powiedziała panu, czym jestem?

- Tak. - Kolejne spojrzenie z ukosa. - Spodziewał się pan dezaprobaty z mojej strony? Może nienawiści lub strachu? Standardowych uprzedzeń?

- Nie wiem - bezbarwnie odpowiedział Carl. - Poza faktem, że się nie dogadujecie z Sevgi i że opuścił pan Turcję z powodów politycznych, praktycznie nic o panu nie wiem. Nie znam pańskiego podejścia do mojego rodzaju. Choć odniosłem wrażenie, że nie był pan zbyt zadowolony z ostatnich kontaktów Sevgi z wariantem trzynastym.

Ertekin siedział sztywno. Potem zapadł się w siebie. Zacisnął oczy, znów otworzył je na świat.

- To moja wina - powiedział cicho. - Zawiodłem ją. Przez całe nasze wspólne życie zachęcałem Sevgi, by pokonywała granice. A potem, gdy w końcu poszła na tyle daleko, że przestało mi się to podobać, zareagowałem niczym jakiś wioskowy mułła, który nigdy w życiu nie widział mostu na Bosforze i nie zamierzał go oglądać. Zareagowałem dokładnie tak, jak mój cholerny brat.

- Pański brat jest mułłą?

Murat Ertekin roześmiał się gorzko.

- Nie, nie mułłą. Choć być może minął się z powołaniem, wybierając karierę prawnika. Mówiono mi, że nigdy nie był w tym zbyt dobry. Ale przekonanie o własnej nieomyślności, bycie świadomie ignoranckim męskim suprematystą? Och tak. W tym Bulent zawsze był dobry.

- Mówi pan o nim w czasie przeszłym. Zginął?

- Dla mnie tak.

Po tym stwierdzeniu rozmowa gwałtownie wyhamowała. Siedzieli przez chwilę, wpatrując się w miejsce po niej. Murat Ertekin westchnął. Mówił, jakby zbierał kawałki czegoś potrzaskanego, jakby każde schylenie się po fragment przeszłości było wysiłkiem zmuszającym do głębokiego oddechu.

- Musi pan zrozumieć, panie Marsalis, że moje małżeństwo nie było udane. Ożeniłem się młodo i w pośpiechu z kobietą, która bardzo poważnie traktowała swoją wiarę. Gdy oboje byliśmy jeszcze studentami medycyny w Stambule, uznałem tę wiarę za siłę charakteru, ale myliłem się. Gdy

przenieśliśmy się do Ameryki, takiej, jaką wciąż wtedy była, Hatun nie potrafiła sobie z tym poradzić. Tęskniła za domem, a Nowy Jork ją przerażał. Nigdy się nie dostosowała. Mieliśmy Sevgi, bo w takich chwilach mówią ludziom, że posiadanie dziecka znów ich do siebie zbliży. - Grymas. - To dziwny mit: wiara, że bezsenne noce, brak seksu, mniejsze dochody i ciągły stres opieki nad bezradnym, nowym życiem w jakiś sposób osłabia naciski na już nadwyrężony związek.

Carl wzruszył ramionami.

- Ludzie wierzą w dziwne rzeczy.

- Cóż, w naszym przypadku to się nie sprawdziło. Moja praca cierpiała, kłóciliśmy się jeszcze bardziej, a w Hatun narastał strach przed miastem. Uciekła w wiarę. Już wcześniej wychodziła na ulicę z osłoniętą głową, teraz zaczęła nosić pełny czador. Nie przyjmowała gości w domu, jeśli nie była w pełni zasłonięta, i oczywiście już wcześniej zrezygnowała z pracy, żeby zajmować się Sevgi. Odseparowała się od byłych przyjaciół i znajomych ze szpitala, rujnowała ich próby pozostania w kontakcie, w końcu zmieniła meczet na jakieś nauczanie antycznych wahabickich bzdur. Sevgi ciążyła w moją stronę. Myślę, że to i tak naturalne u małych dziewczynek, ale w tym przypadku dochodziła samoobrona. Co Sevgi miała robić ze swoją matką? Dorastała jako bystry dzieciak na ulicach Nowego Jorku, znała dwa języki, a Hatun nie chciała jej nawet pozwolić na lekcje pływania z chłopcami.

Ertekin popatrzył na własne dłonie.

- Zachęcałem ją do buntu - przyznał cicho. - Nienawidziłem tego, jak zmieniała się Hatun, może wtedy już nawet samej Hatun. Zaczęła krytykować moją pracę, nazywając ją sprzeczną z islamem, obrażała naszych liberalnych muzułmańskich lub niewierzących przyjaciół, z każdym rokiem stając się coraz sztywniejsza. Byłem zdeterminowany, by Sevgi nie stała się taka sama. Byłem zachwycony, gdy zaczęła zadawać matce te proste dziecięce pytania o Boga, na które nikt nie potrafi odpowiedzieć. Cieszyłem się, gdy była silna, zdeterminowana i bystra wobec pustych, wyuczonych na pamięć dogmatów Hatun. Popychałem ją i zachęcałem do ryzykowania i zwycięstw, broniąc ją przed matką przy każdej okazji - nawet gdy się myliła i rację miała Hatun. A kiedy sytuacja stała się w końcu nie do zniesienia i Hatun opuściła nas, wracając do domu - chyba się cieszyłem.

- Czy jej matka wie, co się stało?

Ertekin potrząsnął głowę.

- Już się z nią nie kontaktujemy, ani Sevgi, ani ja. Hatun dzwoniła do nas

tylko żeby nas gromić albo próbować namówić Sevgi na powrót do Turcji. Sevgi przestała odbierać jej telefony, gdy miała piętnaście lat. Nawet teraz poprosiła mnie, żebym nie mówił matce. I tak chyba jest lepiej. Hatun by nie przyjechała, a gdyby to zrobiła, to po to, żeby urządzić scenę, lamentując i domagając się sądu nad nami.

Słowo „sąd” uderzyło w Carla jak poruszona struna.

- Nie jest pan wierzący, prawda? - zapytał go Ertekin.

To prawie było warte uśmiechu.

- Jestem trzynastką.

- A tym samym genetycznie niezdolnym do wiary. - Ertekin kiwnął głową. - Powszechna wiedza. Wierzy pan w to?

- A jest jakieś inne wyjaśnienie?

- Kiedy byłem młodszy, nie byliśmy tak zapatrzeni w czynniki genetyczne. Mój dziadek był komunistą. - Cierpka mina. - Wie pan, co to?

- Tak, czytałem o nich.

- Wierzył, że człowiek może zostać, kim tylko zechce. Że ludzie mogą zostać, kim tylko zechcą. Że wszystko zależy od środowiska. Nie jest to już modne podejście.

- Bo łatwo dowieść, że to nieprawda.

- A jednak byliście - wszystkie odmiany wariantu trzynastego - gruntownie warunkowani środowiskowo. Nie zaufali waszym genom, żeby dostać żołnierzy, których potrzebowali. Od kołyski był pan wychowywany w brutalności, jakby była częścią życia.

Carl pomyślał o Sevgi, igłach, rurkach i słabnącej nadziei.

- Brutalność jest cholerną częścią życia. Nie zauważył pan?

Ertekin poruszył się na ławce, obrócił się w jego stronę. Carl wyczuł, że męczyzna jest bliski sięgnięcia, ujęcia dłonią jego ręki.

Szukał czegoś.

- Naprawdę wierzy pan, że stałby się tym, że takie było pańskie genetyczne przeznaczenie niezależnie od tego, jak wychowywano by pana jako dziecko?

Carl niecierpliwie machnął ręką.

- Nie jest ważne to, w co wierzę. Stałem się tym, a sposób dotarcia do tego punktu jest kwestią akademicką. Niech sobie naukowcy dyskutują na ten temat, piszą artykuły i je publikują, niech żyją z mieszania. Tak naprawdę nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

- Owszem, ale może mieć dla innych podobnych panu, w przyszłości.

Teraz przekonał się, że potrafi się uśmiechnąć - twardym uśmiechem prawdziwego rozbawienia.

- W przyszłości nie będzie takich jak ja. Nie na tej planecie. Jeszcze pokolenie i znikniemy.

- To dlatego pan nie wierzy? Czuje się pan opuszczony?

Uśmiech przeszedł w coś w rodzaju śmiechu.

- Chyba mógłby pan sprawdzić, doktorze Ertekin, że techniczny termin na coś takiego to „przeniesienie”. To pan czuje się opuszczony. Ja nigdy nie spodziewałem się niczego więcej niż bycia samotnym, więc nie martwi mnie, gdy okazuje się to prawdą.

W jego głowie obudziła się Marisol, nazywając go kłamcą. Obok przemknęła Elena Aguirre, szepcząc. Stłumił dreszcz, zagłuszył go słowami.

- I gubi pan dość istotny punkt dotyczący mojego braku przekonań religijnych. Aby być wyznawcą, trzeba nie tylko wierzyć, trzeba także chcieć czegoś dużego i patriarchalnego, co zaopiekowałoby się pańskimi sprawami. Musi pan być skłonny do oddawania czci. A trzynastki nie oddają czci, nikomu ani niczemu. Nawet gdyby zdołał pan przekonać wariant trzynasty wbrew wszelkim dowodom, że istnieje Bóg, dostrzegłby w nim tylko zagrożenie, które należy wyeliminować. Gdyby dało się dowieść realności Boga? - Spojrzał w oczy Ertekina. - Faceci tacy jak ja zaczęliby po prostu szukać sposobu na znalezienie go i zniszczenie.

Ertekin drgnął i odwrócił wzrok.

- Dobrze pana wybrała - wyszeptał.

- Sevgi?

- Tak. - Wciąż patrząc w inną stronę, sięgnął do kieszeni marynarki. - Będzie pan potrzebował tego.

Podał Carlowi małe opakowanie, szczelnie zamknięte śliską, antyseptyczną bielą z pomarańczowymi napisami ostrzegawczymi. Tekst w nieznanym mu języku kojarzącym się z niemieckim. Carl zważył je na dłoni.

- Proszę, niech pan to schowa. - Ogród zaczął się wypełniać studentami i pracownikami szpitala wychodzącymi na przerwę obiadową.

- To bezbolesne?

- Tak. Z duńskiej firmy, która specjalizuje się w takich rzeczach. Potrwa to około dwóch minut od podania.

Carl schował opakowanie.

- Skoro pan to przywiózł - odezwał się cicho - do czego jestem panu potrzebny?

- Ponieważ nie mogę tego zrobić - wyjaśnił prosto Ertekin.  
- Dlatego, że jest pan muzułmaninem?  
- Dlatego, że jestem lekarzem. - Znów popatrzył na swoje ręce. Zwisają bezwładnie na kolanach. - I ponieważ nawet gdybym nie złożył przysięgi, nie sądzę, żebym potrafił pozbawić życia własną córkę.  
- Ona tego właśnie chce. Prosiła o to.  
- Tak. - W oczach Ertekinina pojawiły się łzy. - A teraz, gdy to ma największe znaczenie, okazuje się, że nie mogę jej dać tego, czego pragnie.  
Nagle chwycił dłoń Carla. Jego uścisk był suchy i mocny. Spojrzenie tygrysiich tęczyówek wpiło się w Carla, mruganiem pozbywając się łez spływających po suchej skórze.  
- Wybrała pana. I w głębi mojej hipokrytycznej, wątpiącej duszy składam Allahowi dzięki, że pan przyszedł. Sevgi znów staje się gotowa do przekroczenia granicy, przekroczenia wyznaczonych przez innych barier, których nie będzie już potrzebować. I tym razem jej nie zawiodę, jak zrobiłem to cztery lata temu.  
Szybkim, niecierpliwym gestem startł łzy.  
- Tym razem zostanę przy mojej córce - oświadczył. - Ale musisz mi pomóc, trzynastko, jeśli nie mam jej znów nie zawieść.

\* \* \*

*Kompleks wirusa Haag niszczy ciało Sevgi jak próżnia w nagle przebitym statku kosmicznym. Komórki pękają, wylewając swoją zawartość. Wszędzie pełno strzępków, jej system odpornościowy nie wyrabia, pobudza się do gorączkowej aktywności, chwytając dostarczane przez Stanford środki antywirusowe, ale i tak zawodzi. Jej płuca zaczynają się wypełniać płynem. Czynności nerek zwalniają i wymagają sztucznego wspomagania. Rurki wlotowe, rurki wylotowe. Przepływ produktów rozpadu przez układ zaczyna boleć.*

*Coraz trudniej jest jej na dłużej zachować jasność umysłu.*

\* \* \*

Dopiero gdy wirtualny format nie był już możliwy, gdy wypadała z niego co chwila jak niezainteresowany niczym duch, dopiero wtedy pozwoliła mu się zobaczyć w rzeczywistości.

W szoku usiadł przy łóżku.

Choć przygotował się na to, widok jej wymizowanego ciała, zapadniętych oczu i wychudzonych policzków był dla niego prawie fizycznym ciosem. Próbował się do niej uśmiechnąć, ale ten wyraz zniknął z

jego twarzy, tak samo jak ona znikwała z wirtuala. Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się do niego pewnym uśmiechem niczym lampa świecąca przez rozciągniętą tkaninę jej twarzy.

- Paskudnie wyglądam - odezwała się słabo. - Prawda?

- Znow nie jadłaś obiadów, co?

Roześmiała się, przeszła w kaszel. Ale zobaczył wyraz jej oczu, dostrzegł jej wdzięczność. Próbował się tym ucieszyć.

Usiadł obok łóżka.

Ujął jej dłoń.

\* \* \*

- Zdradź mi sekret.

- Co? - Miał wrażenie, że usnął. Mały pokój był ciemny i nieruchomy, dryfował w głębszej ciszy pogrążonego w nocy szpitala. Ciemność napierała na szyby okien, wsiąkała do wnętrza pokoju. Urządzenia mrugały do nich małymi czerwonymi i bursztynowymi oczami, szeptały i klekotały do siebie, wyświetlały niezrozumiałe prezentacje graficzne, w chłodnych odcieniach błękitu i zieleni, przedstawiając zachodzące w niej procesy. Lampka nocna rzucała złoty krąg na łóżko w miejscu, w którym Sevgi unosiła pościel. Jej twarz kryła się w cieniu.

- No dalej - zaskrzeczała. - Słyszałeś. Powiedz mi, co naprawdę stało się na Marsie. Co ci zrobił Gutierrez?

Zamrugał, oczyścił oczy z długiego, pustego wpatrywania się w mrok.

- Myślałem, że sama już to rozpracowałaś.

- No cóż, powiedz mi. Rozpracowałam?

Przyjrzał się temu, elementom własnej przeszłości, z których od lat niczego nie próbował budować. *To inny świat, inny czas*, powiedział kiedyś Sutherland. *Musisz się nauczyć odpuszczać.*

- Byłaś blisko - przyznał.

- Jak blisko? Marsalis, no powiedz. - Wypłynął z niej śmiech jak echo ze studni. - Spełnij ostatnie życzenie umierającej kobiety.

Zacisnął usta.

- Gutierrez nie ustawił mi loterii - stwierdził. - Jest za dobrze chroniona, za dużo obecności n-dzinnów. I trudno zrobić coś takiego: ustawić zdarzenie losowe tak, żeby osiągnąć własny cel i żeby to nadal wyglądało na przypadek. W czymś takim trzeba znaleźć słaby punkt.

- Którym był...?

- Tak jak zawsze. Czynniki ludzkie.

- Ach, ludzie. - Znow się roześmiała, tym razem z trochę większą siłą. - Pewnie to ma sens. Nie można żadnemu z nich zaufać bardziej niż jezusowskiemu kapłanowi z chórzystką, co?

- Właśnie. - Uśmiechnął się.

- To którego dokładnie człowieka zdołałeś wywieść w pole?

- Neila Delaneya. - Lekka fala zapamiętanej pogardy, ale osłabiona przez lata prawie do rozbawienia. - Był wtedy administratorem obozu Bradbury.

- Teraz jest w radzie nadzorczej.

- Tak, wiem. Niektórym ludziom Mars służy. - Carl poczuł, że się rozluźnia. Słowa łatwiej wypływały z ust tu, w słabym świetle przy jej łóżku, tylko oni w mroku i ciszy. - Delaney sprzedawał Chińczykom. Obniżał wyniki ocen różnych punktów badawczych, spisywał je jako mające niski potencjał, żeby INKOL nie zawracał sobie głowy podejmowaniem działań. Dzięki temu ekipy Nowej Republiki Ludowej mogły docierać tam i zgłaszać roszczenia bez konieczności finansowania własnych badań.

- Skurwysyn! - Jednak był to tylko szeptany cień złości, słysząc było, że nie ma siły na rzeczywistą reakcję.

- No cóż. Możesz pomyśleć o tym jak o zleceniu dla innej firmy: Chińczycy pod stołem kupują ekspertów INKOL, pewnie taniej niż kosztowałoby ich samodzielne wysłanie ekip. W kategoriach rynkowych ma to sens. Jest tam kawał planety do zbadania i niewielu ludzi do zrobienia tego. A Chińczycy robili po prostu to, co zawsze - wpychali dość dolarów do właściwych kieszeni, żeby zdusić korporacyjne skrupuły Zachodu.

- Jakoś nie sądzę, żeby dziennikarze też tak na to spojrzeli.

- Owszem. I tak właśnie przedstawiłem to Delaneyowi. - Carl zbadał własne uczucia i stwierdził, że wciąż nie do końca ostygły. - To był dobry cios. Kompletnie się złamał. Dał nam wszystko, czego chcieliśmy.

- Wysłał cię do domu.

- Cóż, rozluźnił dla nas ochronę systemu loterii. Dał Gutierrezowi furtkę. I owszem, wygrałem loterię.

- A co dostał Gutierrez?

Carl wzruszył ramionami.

- Gotówkę. Przysługi. Mieliśmy w ekipie jeszcze paru graczy, wszyscy zostali opłaceni.

- Ale tylko ty wróciłeś do domu.

- No cóż. Wiesz, tylko jedna kapsuła do wzięcia. I to był mój numer, od samego początku moja operacja. Ja zebrałem ekipę i od razu wyjaśniłem, co



chcę osiągnąć.

- No tak. - Zacharczała lekko. Sięgnął po szklanę, przytrzymał przy jej ustach i podparł głowę. Ruchy wykonał gładko z przyzwyczajenia. - Dzięki, tak lepiej. Myślisz, że Gutierrez zrobił się zazdrosny i popsuł trochę, żeby się zemścić?

- Może. Albo poprosił go o to Delaney w nadziei, że mi odbije, zanim dotrze tam statek ratunkowy. Pamiętasz tego gościa, który obudził się w drodze powrotnej z misji badawczej na księżycy Jowisza, jeszcze w latach osiemdziesiątych? Spitz czy jakoś tak?

- Specht. Erie Specht. Owszem, pamiętam.

- Oszalał, czekając na ratunek. Może Delaney miał nadzieję, że ze mną będzie tak samo. Kto wie?

- A ty nie wiesz?

- Wiem, że Gutierrez wysłał mi pełen przerażenia list, gdy już dotarłem na Ziemię - twierdził, że nie miał z tym nic wspólnego. Może faktycznie to była awaria. A może Delaney wynajął innego danołamacza. Z drugiej strony Gutierrez zawsze był kłamliwym sukinsynem, więc w sumie, kto wie?

- Nie obchodzi cię to?

Przekręcił się lekko na krześle, uśmiechnął się do niej.

- Nie ma sensu się przejmować, Sevgi. To inna planeta. Inny świat, inny czas. Co miałem zrobić - wrócić tam? Tylko dla zemsty? Cały swój ostatni rok na Marsie poświęciłem na zdobycie biletu z powrotem na Ziemię. Wiesz, czasami po prostu musisz odpuścić.

Skurczyła się lekko pod kocem.

- Tak - wyszeptała. - Pewnie tak jest.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Sięgnęła po jego dłoń. Podsunął ją.

- Czemu wróciłeś, Carl? - zapytała go cicho.

Uśmiechnął się krzywo w mroku.

- Posłuchaj tego, co mówią ludzie z Najpierw Ziemia, Sevgi. Mars to zadupie.

- Ale byłeś tam wolny. - Puściła jego dłoń, słabo machnęła. - Musiałeś wiedzieć, że ryzykujesz tu internowanie po powrocie. Miałeś cholerne szczęście, że nie wsadzili cię tam prosto z windy.

- Niezupełnie. Zanim doszło do tego wszystkiego, kupiłem trochę czasu maszynowego, zanim zmontowałem numer z Delaneyem. Poprosiłem n-dżina o sprawdzenie sposobu, w jaki traktowano po powrocie do domu zwycięzców loterii, a potem ekstrapolowanie dla trzynastki. Maszyna dała mi

siedemdziesiąt trzy procent szans, że wymyślą dla mnie jakiś wyjątek ze względu na mój status gwiazdy. - Wzruszył ramionami. - Całkiem spore prawdopodobieństwo.

- A gdyby n-dzin się pomylił? - Dźwignęła się do przodu na łóżku, prawie siadając. Jej twarz oświetliło bladozłote światło. W jego oczy wbiło się jej płonące spojrzenie. - Gdyby po prostu się nie przejęli i mimo wszystko wsadzili cię do obozu?

Kolejne wzruszenie ramion, kolejny krzywy uśmiech.

- Wtedy pewnie musiałbym stamtąd uciec. Tak jak wszyscy inni.

Położyła się z powrotem na poduszce, dysząc z powodu wysiłku.

- Nie wierzę ci - oświadczyła, gdy odzyskała oddech. - Całe to ryzyko tylko dlatego, że Mars to zadupie? Nie ma mowy. Mogłeś wziąć forszę. Wydoić Delaneyę na cokolwiek tam chciałeś. Ustawić się. Carl, daj spokój. Czemu naprawdę wróciłeś?

Zawahał się.

- To nie jest takie ważne, Sevgi.

- Dla mnie jest.

Kroki na korytarzu na zewnątrz. Ciche, oddalające się głosy. Westchnął.

- Sutherland - powiedział.

- Twój sensei.

- Tak. - Położył ręce na własnych udach, próbując to sobie ustawić. - Widzisz, jest punkt, do którego docierasz z tanindo. Poziom, na którym przestaje chodzić o to, jak to robić, ważne zaczyna być, czemu. Czemu ćwiczysz, czemu się uczysz. Po co żyjesz. I nie mogłem się tam dostać.

- Nie wiedziałeś czemu? - Roześmiała się bezdźwięcznie. - Hej, witaj w klubie. Myślisz, że ktokolwiek z nas wie, czemu to wszystko robi?

Carl pozwolił, by echo jej rozbawienia wylądowało na jego ustach, ale bezdźwięcznie. Patrzył na ocienione łóżko i jej postać na nim, jakby były elementami krajobrazu.

- Sutherland mówi, że zwykłym ludziom przychodzi to łatwiej - stwierdził nieobecny głosem. - Tworzycie lepsze metafory, głębiej w nie wierzycie. Powiedział, że muszę znaleźć coś innego. I że dopóki mi się to nie uda, będę zablokowany.

- Sutherland też jest trzynastką, prawda?

- Tak.

- To jak jemu się to udało?

Carl kiwnął głową.

- Właśnie. Podsunął mi drogę. Funkcjonalny odpowiednik wiary.

- Mianowicie?

- Powiedział mi, żebym sobie zrobił listę, zatrzymał ją dla siebie i skupił się na niej. Jedenaście rzeczy, które chciałbym zrobić w którymś momencie swojego życia. Rzeczy, które są dla mnie ważne, mają znaczenie.

- Nie zaokrągliliście do tuzina?

- Liczba nie jest istotna. Jedenaście, dwanaście, dziewięć, to nie ma znaczenia. Lepiej nie robić zbyt długiej listy, to psuje cel ćwiczenia, ale poza tym możesz wybrać dowolną liczbę i przygotować listę. Ja wybrałem jedenaście. - Znów się zawahał i popatrzył na nią prawie przeprasząco. - Zdałem sobie sprawę, że dla dziewięciu z nich muszę wrócić na Ziemię.

Znów otoczyła ich szpitalna cisza. W mroku dostrzegł, że obróciła się, by wyjrzeć za okno.

- Udało ci się już wszystko zrealizować? - zapytała cicho.

- Nie. Jeszcze nie. - Odchrząknął, zmarszczył czoło. - Ale posuwam się naprzód. I to działa. Sutherland miał rację.

Przez chwilę zdawała się nie słuchać, wyglądała, jakby zatraciła się w ciemności za szybą. Potem suche poruszenie jej włosów na poduszce, głowa obróciła się ponownie w jego stronę.

- Chcesz poznać moją tajemnicę?

- Jasne.

- Trzy lata temu zaplanowałam czyjeś morderstwo.

- Tak?

- Tak, wiem. Wszyscy myślą czasem o zabiciu kogoś. Ale to było naprawdę. Usiadłam i wszystko rozpracowałam. Znałam wtedy ludzi, gliniarzy i byłych gliniarzy, którzy byli mi sporo winni. Był taki wypadek z przypadkową śmiercią w czasach, gdy byłam jeszcze oficerem patrolowym, ledwie parę lat od rozpoczęcia pracy, wielkooka i niewinna. - Zakaszłała. - Och, to długa historia, nie będę cię zanudzać szczegółami. Po prostu przesłuchanie raz przekroczyło granicę. Byłam tam, widziałam to. Pewnie można by powiedzieć, że byłam współwinna. W każdym razie wydział wewnętrzny zdecydowanie tak chciał to widzieć. Naciskali, żebym puściła farbę w zamian za nietykalność. Ale nie mogli dowieść, że byłam w pokoju i nie puściłam pary. Na tym załamała się ich sprawa. Tak więc dziewięć lat później, czyli trzy lata temu, jak mówiłam, w całym Nowym Jorku byli faceci z blachą, którzy byli mi coś winni. Inni, którzy nie poszli do więzienia, gdy powinni. Mogłam to zrobić, Carl. Mogłam wszystko puścić w ruch.

Znów zaczęła kaszleć. Podniósł ją, przystawił chusteczkę do warg, aż udało się jej usunąć paskudztwo siedzące w płucach, oczyścił jej wargi. Podał jej wodę, delikatnie odłożył na poduszkę. Kolejną chusteczką starł z czoła pot po wysiłku, odczekał, aż ustabilizował się jej oddech.

Nachylił się bliżej.

- To kogo chciałaś zabić?

- Pieprzoną Amy Westhoff - rzuciła gorzko. - Cholerną sukę, która zabiła Ethana.

- Mówiłaś, że Ethana załatwił oddział SWAT.

- Tak. Ale ktoś musiał im puścić farbę, ktoś musiał odkryć, czym jest Ethan, i poinformować łącznika ONZALG w ratuszu. Pamiętasz, jak mówiłam ci w Stambule, że Ethan spotykał się z czirliderką z przestępczości elektronicznej?

- Luźno.

- To była Westhoff. Pojawiła się na korytarzu przed moim biurem w tygodniu, w którym Ethan się do mnie przeprowadził, wyrzaskując obelgi i gadając, że nie wiem, w co się pakuję. Grożąc, że utrudni życie moje i Ethana, jeśli się nie wycofam.

- Myślisz, że wiedziała, kim jest?

- Nie wiem. Wtedy raczej jeszcze nie. Gdyby wiedziała, chyba użyłaby tego przeciw niemu, gdy się wyprowadzał.

- Może to zrobiła, a on ci nie powiedział.

To ją zatrzymało, unieruchomiło na dłuższą chwilę, podczas której analizowała sprawę. Przekręcił głowę, próbując rozluźnić skurcz w karku.

- Nie sądzę, żeby wtedy wiedziała - stwierdziła w końcu Sevgi. - Może coś podejrzewała. Jeśli mam być szczerą, mnie się też zdarzało, jeszcze zanim pojawił się Keegan i wszystko spalił. Wiesz, jeśli jesteś kobietą, to jest jedna z tych rzeczy, o których czasem nie możesz nie myśleć. No wiesz, tyle się opowiada strasznych historii. Wszystkie te ostrzeżenia, panika za każdym razem, gdy ktoś ucieknie z Cimarron albo Tanany. „Prawda o trzynastkach”, jak takiego rozpoznać, jacy to niby jesteście, jak wasze zachowanie różni się od zwykłych facetów. Znaki ostrzegawcze, bezpłatne telefony dla donosicieli, plakaty informacyjne, a potem za każdym razem cholerne dyskusje w mediach. Wiesz, kiedyś czekając u prawnika, widziałam artykuł w prasie kobiecej. „Czy sypiasz z trzynastką - trzynaście cech, które to wyjaśnia. „Cholerne bzdury tego typu.

Frustracja zatrzęsała nią na łóżku. Przez chwilę miała trudności z

oddechem. Mówiła ze zniecierpliwieniem.

- W każdym razie czy wiedziała wtedy, czy nie, cholernie dobrze wiem, że miała Ethana cały czas na oku. A potem, gdy spieprzyliśmy, gdy zrobiliśmy się nieostrożni po Keeganie, dostała swoją szansę.

- Wiedziała o ciąży?

- No cóż, nie ukrywaliśmy tego. Zaczęło być po mnie widać w trzecim miesiącu, w czwartym zredukowałam obowiązki. Oczywiście, że wiedziała, wtedy już wszyscy wiedzieli. - Sevgi urwała, odczekała, aż jej oddech wróci do normy. - To nie było to. Kiedy zaszłam w ciążę, coś się zmieniło w Ethanie. To wtedy próbował odszukać swoją genetyczną matkę. Zawsze mówił, że kiedyś to zrobi, ta chęć dowiedzenia się, kim była jego prawdziwa matka, ale z dzieckiem...

- Czyli wtedy już nie zastępcza?

- Nie. Tamto było zamkniętą sprawą, przynajmniej dla niego. Nigdy nie chciał już jej więcej widzieć. Nigdy ze mną o niej nie rozmawiał. Ale ciągle chciał odnaleźć Patti. Dziecko naprawdę dało mu impuls do działania.

Carl dostrzegł powiązanie.

- Myślisz, że poszedł do Westhoff, żeby poszukała?

- Nie wiem. Ale był w przestępstwach komputerowych, to wiem, bo mówił mi, że się tam wybiera. Mają najlepsze w mieście maszyny do tego rodzaju roboty, a on znał tam całkiem sporo osób, nie tylko Amy. - Zauważył, jak zaciska pięści na pościeli. - Ale Amy wiedziała. Podeszła do mnie na ulicy, pogratulowała dziecka, rzuciła coś o tym, jak miło, że Ethan szuka swojej rodziny. Mówiłam o tym Ethanowi, ale... - obróciła głowę na poduszce - jak wspominałam, zrobiliśmy się tak cholernie nieostrożni.

- Są jakieś twarde dowody na to, że to Westhoff sprzedała go ONZALG?

- Dość twarde, żeby iść przed sąd? - Miał wrażenie, że się uśmiechnęła. - Nie. Ale pamiętasz może, jak mówiłam, że ktoś z wydziału ostrzegł Ethana, że po niego idą?

- Tak, mówiłaś coś o numerze ze śródmieścia.

- Właśnie. - Uśmiechała się ponuro. - Przestępstwa komputerowe są w śródmieściu. Rozmawiałam z ich sierżantem, mówił, że Amy Westhoff cały dzień dziwnie się zachowywała. Była czymś zdenerwowana, ciągle wychodziła i wracała do biura. Zadzwonili z innego piętra budynku, z pustego biura na piątym, ale mogła się tam bez problemu dostać.

- Mogła. Mówiłaś, że miał sporo znajomych w komputerowych.

- Nikt nie wiedział o wysłaniu antyterrorystów. Nikt oprócz osoby, która

im go sprzedała.

- Czy Ethan miał jakichś przyjaciół w strukturach antyterrorystów? Może w ratuszu?

- Jasne, i czekali do rana, kiedy to miało nastąpić, zanim zadzwonili. I jeszcze przejechali do tego przez całe miasto, do śródmiejskiej komendy policji i biura na piątym piętrze, które akurat miało być puste. Carl, no wiesz. Dałbyś sobie z tym spokój.

- I nikt inny się tym nie zainteresował?

Kolejny słaby uśmiech.

- Nikt nie chciał. Po pierwsze, to nie zbrodnia oddać trzynastkę władzom. Wciąż natyka się człowiek na reklamy zachęcające do tego obywateli za każdym razem, gdy ktoś wyrwie się z Cimarron albo Tanany. Do tego dochodzi fakt, że Ethan był gliną i wszystko sugerowało, że zdradził go inny gliniarz. Większość ludzi w wydziale wolałoby raczej zapomnieć, że coś takiego kiedykolwiek miało miejsce.

Kiwnął głową. Miał wrażenie, że na zewnątrz zaczęło się przejaśniać.

- A więc zaplanowałaś zabicie jej. Że ktoś to robi. Co cię powstrzymało?

- Nie wiem. - Zamknęła oczy. Głos miała słaby i zmęczony od podejmowanego wysiłku. - W sumie nie potrafiłam się do tego zmusić, wiesz.

Na służbie zabijałam ludzi, musiałam, żeby sama zostać przy życiu. Ale to było inne. Zimne. Musisz być do tego tak cholernie wyrachowany.

Noc za oknem zdecydowanie zaczęła ustępować. Carl wyraźniej widział twarz Sevgi, dostrzegł malującą się na niej samotność. Nachylił się i delikatnie pocałował ją w czoło.

- Spróbuj teraz trochę odpocząć - zasugerował.

- Nie mogłam - wymamrotała, jakby próbując się usprawiedliwić przed sędzią, a może przed Ethanem Conradem. - Po prostu nie mogłam tego zrobić.

\* \* \*

Pojawiła się Rovayo, po służbie i z kwiatami. Sevgi była ledwie uprzejma. Rzucane przez nią chrapliwym głosem żarty o niezobowiązującym seksie nie były śmieszne i nikt się nie śmiał. Rovayo wytrzymała wszystko, przesiedziała tyle, ile na początku oświadczyła, że może poświęcić, niezdarnie obiecała wrócić. Wyraz oczu Sevgi sugerował, że wcale jej na tym nie zależało. Na korytarzu, po wizycie, policjantka z Wybrzeża skrzywiła się do Carla.

- Zły pomysł, co?

- To była miła myśl. - Zmienił temat, osłaniając przed prawdą za drzwiami do pokoju. - Masz coś ciekawego z miejsca zbrodni?

Rovayo potrząsnęła głową.

- Nic, co nie należy do ciebie, trupów lub tuzina nieistotnych opryszków z Bayview. Ten Onbekend musiał być naprawdę dobrze nasmarowany.

- Owszem, był. - Carl przywołał wspomnienia, zaskakując się falą furii, jaką wzbudziła w nim na wpół znajoma twarz mężczyzny. - Było widać w świetle, nawet włosy lśniły cholernie grubą warstwą. Nie zamierzał zostawiać żadnych śladów dla waszych gości z ekipy śledczej.

- Właśnie. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czemu Merrin nie robił tego samego. Zamiast zostawiać swoje cholerne ślady na wszystkim, żebyśmy mogli go namierzać.

- Tak, pewnie dlatego właśnie tak łatwo poszło złapanie go.

Rovayo zamrugła.

- Widzę, że jesteś w świetnym nastroju.

- Przepraszam. Nie spałem zbyt wiele. - Zerknął na zamknięte drzwi do pokoju Sevgi. - Chcesz się napić kawy na dole?

- Jasne.

Gdy siedzieli naprzeciw siebie przy podniszczonym plastikowym stoliku w kafeterii na dole, zapytał mechanicznie o nalot na „Kota Bułhakowa”. Nie było tego wiele. Daskeen Azul nie zmienił pozycji. Merrin, Ren i pozostali byli pracownikami, którzy wykorzystali politykę i zakres działania firmy dla własnych, nielegalnych korzyści. Wszelkie próby obciążenia właścicieli lub kierownictwa wywołają reakcję prawną i wejście na drogę sądową. Nakazy aresztowania wydano, opłacono kaucje, trwają walki prawników.

- I pewnie przegramy - kwaśno oceniła Rovayo. - Tego samego dnia, gdy dokonaliśmy aresztowań, zgłosili się grubego kalibru prawnicy z Freeport. Tsai i tak zamierza z nimi walczyć, jest cholernie wkurzony. Ale nikt nic nie mówi - albo za bardzo się boją, albo są zbyt pewni siebie. Jeśli ktoś z ich strony nie przejdzie na naszą, i to szybko, wylądujemy w martwym punkcie.

- Jasne. - powiedział to bez przekonania. Nie potrafił się zmusić do zaangażowania.

Rovayo napiła się kawy, przyjrzała mu nad stołem.

- Zapytam tylko raz, bo wiem, że to głupie. Czy oni są całkiem pewni, że tego nie da się wyleczyć?

- Tak, są pewni. Wirus mutuje za szybko, bawimy się po prostu w

gonienie go. Nie zbudowano jeszcze n-dżina, którego zdolność modelowania chaosu pozwoliłaby to pokonać. System Haag został zaprojektowany do powalenia trzynastki, a mój system odpornościowy jest mniej więcej dwukrotnie wydajniejszy od twojego, więc musieli stworzyć coś nie do powstrzymania.

Rovayo prychnęła.

- Nic się nigdy nie zmienia, co?

- Przepraszam?

- Przemysł zbrojeniowy utrzymuje się ze straszenia nas wszystkich. Wiesz, że kilkaset lat temu stworzyli zupełnie nową kategorię pocisków, ponieważ myśleli, że zwykle nie powstrzymają murzyna na haju kokainowym?

- Murzyna?

- Tak, murzyna. O czarnej skórze, jak ty i ja. Najpierw powiązali przyjmowanie kokainy ze społecznością czarnych i zrobili z tego kwestię rasową. Potem uznali, że potrzebują grubszego kalibru do załatwienia nas, bo wszyscy jesteśmy naćpani. - Policjantka z Wybrzeża sparodiowała teatralny gest prezentacji. - Proszę państwa, oto pocisk kaliber .357 magnum.

Carl zmarszczył brwi. Terminologia była mu tylko luźno znajoma.

- Mówisz o czymś z Jezusowa, prawda?

- Wtedy to się tak jeszcze nie nazywało. Mówię o pocisku z łuską. Jakies dwieście lat temu.

Kiwnął głową i potarł oczy palcami.

- A tak, przepraszam. Faktycznie. Zapomniałem.

- To samo działa się kolejne kilkaset lat wcześniej. Tym razem ogień automatyczny. - Rovayo napiła się kawy. - Niejaki Puckie opatentował mechaniczny karabin maszynowy na stojaku przeznaczony do strzelania kanciastymi pociskami przeciwko tureckim hordom.

Carl się wyprostował.

- Nabierasz mnie.

- Nie. To miało strzelać zwykłymi kulami, jeśli walczyłeś z chrześcijanami, a kanciastymi, jeśli zabijałeś niewiernych.

- Daj spokój! Nie ma mowy, żeby ktoś wtedy zdołał zbudować coś takiego.

- Och tak, oczywiście, że nie mogli. To po prostu nie działało. - Głos policjantki nabrał ostrych tonów. - Ale magnum .357 działało. Tak samo jak Haag.



- Potwory, co? - cicho skomentował Carl. - Skąd o tym wszystkim wiesz, Rovayo?

- Czytałam sporo historii - wyjaśniła murzynka. - Widzę to tak, że jeśli nie znasz przeszłości, nie masz przyszłości.

\* \* \*

*Odsysają jej płyn z płuc, próbując przywrócić oddychanie. Ona po prostu leży, gdy to robią, przed, w trakcie i po, rozłożona na łóżku własnym brakiem sił. Cały proces przypomina kopanie w średnio zaawansowanej ciąży, tylko wyżej i znacznie częściej, jakby w drobnej, histerycznej furii.*

*Wspomnienie wzbudza łzy, ale wypływają z jej oczu tak powoli, że uczucie gaśnie, jeszcze zanim przestają. Nie ma zbyt wielu płynów na zbyciu.*

*Ma wyschnięte usta. Skórę suchą jak papier.*

*Dłonie sprawiają wrażenie obrzmiałych i coraz bardziej zdrętwiałych.*

*Kiedy kończą się podawane jej endorfiny, czuje przepływ własnego moczu na podstawie drobnych fal bólu, gdy przeciska się przez cewnik.*

*Żołądek boli ją z głodu. Cały czas odczuwa mdłości.*

*Gdy przychodzi nowa dawka endorfin, czuje się, jakby wróciła do ogrodu albo jak podczas nocnej jazdy promem przez Bosfor na azjatycką stronę. Czarna woda i radosne światła miasta. Raz doświadcza bardzo wyraźnej halucynacji, wraca do portu na Kadiköy i widzi czekającego tam na nią Marsalisa. Cisza i mrok pod latarniami.*

*Sięga do jego dłoni.*

*Spod leków budzi się ból, ściągając ją z powrotem niczym zardzewiałymi kablami, i z nagłym, obrzydliwym strachem przypomina sobie, gdzie się znajduje. Leży podpięta do rurek, które powoli przetaczają przez nią płyny. Zatęchła pościel i surowi strażnicy otaczającej ją maszynierii. I przenikająca przez to wszystko złość na ciało, do którego wciąż jest uwiązana.*

\* \* \*

Próbował pracować.

Sevgi przez większość czasu spała po endorfinach, odpływając w coś, co przypominało spokój. Przekonał się, że mógł wtedy wychodzić i zostawiać ją samą, rozmawiając cicho z Nortonem w poczekalni lub opierać się o ściany w cichych nocą szpitalnych korytarzach.

- Dzisiaj po południu coś mi się przypomniało - powiedział dyrektorowi INKOL. - Jak siedziałem tu i przewalało mi się to wszystko przez głowę. Kiedy pojechaliśmy z Sevgi rozmawiać z Manco Bambarenem, poznał tę kurtkę.

Norton zerknął na wyciągnięte przez Carla ramię z pomarańczowymi szewronami błyskającymi wzdłuż rękawa.

- Tak? Standardowy ciuch z republikańskiego więzienia, pewnie każdy bandzior na zachodniej półkuli wie, jak to wygląda.

- Nie jest całkiem standardowy. - Carl obrócił się, żeby pokazać Nortonowi litery na plecach. Dyrektor INKOL wzruszył ramionami.

- Sigma. Jasne. Wiesz, ile kontraktów więziennych mają ci goście w Jezusowie? To musi być druga albo trzecia co do wielkości korporacja w przemyśle więziennym. Stają do przetargów nawet na niektóre rzeczy tu, na wybrzeżu.

- Tak, ale Manco powiedział mi, że ma kuzyna, który siedział właśnie w więzieniu stanowym Południowej Florydy. Może nie zdołamy tak łatwo przebić się przez zasłonę dymną wokół danych o Isabeli Gayoso, ale powinniśmy móc przegrzebać kartoteki więzienne i może wygrzebać tego gościa. Może powie nam coś, co się nam przyda.

Norton kiwnął głową i potarł oczy.

- No dobrze, możemy sprawdzić. Bóg wie, że przyda mi się teraz coś do oderwania uwagi. Masz jakieś nazwisko?

- Nie. Może Bambaren, ale wątpię. Sądząc z wypowiedzi Manco, to raczej nie był nikt bliski domu.

- I nie wiemy, kiedy tam siedział?

- Nie, ale przypuszczam, że niedawno. Sigma dostała ten kontrakt nie więcej niż pięć, sześć lat temu. Kurtka Sigmy, więc wystarczy się ograniczyć do tego okresu.

- Albo Bambaren źle zapamiętał i jego kuzyn siedział w jakimś innym więzieniu Sigmy, gdzie indziej w Republice.

- Nie sądzę, żeby coś było nie tak z pamięcią Manco Bambarena. Ci goście nie są dobrzy w zapominaniu i wybaczeniu, zwłaszcza gdy chodzi o rodzinę.

- No dobra, zostaw to mnie. - Norton zerknął w głąb korytarza, w stronę pokoju Sevgi. - Słuchaj, jestem na nogach od wczorajszego rana, muszę się trochę przespać. Możesz z nią zostać?

- Jasne. Po to tu jestem.

Norton z napięciem spojrział mu w twarz.

- Zadzwoń do mnie, gdyby...

- Jasne. Zadzwonię. Idź odpocząć.

Przez chwilę coś niezdefiniowanego przemknęło między nimi w słabo

oświetlonym korytarzu. Norton kiwnął głową, zacisnął usta i ruszył.

Carl przyglądał mu się z założonymi ramionami.

\* \* \*

Później, gdy siedział przy jej łóżku w niebieskawym blasku lampek, otoczony przez ciche maszyny, pomyślał, że poczuł, jak do pokoju za nim wsuwa się cicho Elena Aguirre. Nie obrócił się. Dalej przyglądał się wyblakłej i wymizerowanej twarzy Sevgi na poduszce, ledwie zauważalnemu unoszeniu i opadaniu piersi pod pościelą. Uznał, że Aguirre jest już dość blisko, by położyć chłodną dłoń na jego karku.

- Zastanawiałem się, kiedy się pojawisz - powiedział cicho.

\* \* \*

Sevgi obudziła się samotna, wyrzucona na brzeg przez cofającą się falę endorfin i z dziwną jasnością zrozumiała, że przyszedł czas. Przyprawiające o zawrót głowy przerażenie znikło, załamało się z braku energii na podtrzymywanie go. W końcu była bardziej zmęczona, żałośnie zła i bardziej cierpiąca niż przerażona.

To na to właśnie czekała.

*Czas odejść.*

Zza okien jej pokoju do środka próbował się dostać poranek. Słabe krechy światła przebijały się przez ręcznie zaciągnięte zasłony. Czekanie pośród fal endorfin na odejście nocy było niczym ćmiący ból, który nie chce ustać. Leżała jeszcze chwilę, przyglądając się jasnej plamie światła pełznącej na łóżku przy jej stopach i zastanawiając się, bo chciała być pewna.

Gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Carl Marsalis, była już całkowicie pewna swojej decyzji.

- Cześć - powiedział cicho. - Poszedłem pod prysznic.

- Pieprzony szczęściarz - odpowiedziała chrapliwie i zgorszyła się stopniem, w jakim pozazdrościła mu tej prostej przyjemności. W porównaniu z tym jej uczucia do Rovayo wydały się nieznaczące.

*Czas odejść.*

Uśmiechnął się do niej: może nie usłyszał złości w jej głosie, może usłyszał i odpuścił.

- Mogę ci coś podać? - zapytał.

To samo pytanie, które zadawał za każdym razem. Wytrzymała jego spojrzenie i zdobyła się na stanowcze skiniecie.

- Tak, możesz. Ściągnij tu mojego ojca i Toma, dobrze?

Z jego twarzy zniknął uśmiech. Przez chwilę stał w kompletnym

bezruchu, patrząc na nią. Potem kiwnął głową i wyszedł.

Gdy tylko zniknął, jej puls zaczął walić jak szalony, przez gardło wprost do skroni. Czuła się jak podczas pierwszych kilku razy, gdy na patrolu wyciągnęła broń - nagle, gwałtowne zrozumienie, gdy sytuacja na ulicy robiła się paskudna. Przerazenie ostatnich uciekających sekund, smak nieodwołalnego zaangażowania.

Jednak gdy wrócił z pozostałymi dwoma, zdążyła to już opanować.

- Mam tego dość - powiedziała im suchym szeptem, ledwie głośniejszym w pokoju niż w jej własnej głowie. - To już to.

Nikt z nich się nie odezwał. Raczej nie było to niespodzianką.

- Baba, wiem, że zrobiłbyś to dla mnie, gdybyś mógł. Tom, wiem, że ty też. Wybrałam Carla, bo on może, po prostu.

Boleśnie przełknęła. Odczekała, aż przycichnie spowodowany tym ból. W ciszy wyraźnie słychać było syk i kliki urządzeń. Na korytarzu budził się do życia szpitalny dzień.

- Powiedzieli mi, że mogą mnie utrzymywać przy życiu jeszcze przez miesiąc. Baba, to prawda?

Murat opuścił głowę. Wydobył z siebie jakiś zduszony dźwięk. Skinął na potwierdzenie. Na pościel spadły jego łzy. Nagle odkryła, że żałuje go bardziej niż siebie. I zdała sobie sprawę, że jej strach odszedł, usunięty z horyzontu przez ból, zmęczenie i zwykłą irytację na to wszystko.

*Czas odejść.*

- Nie chcę ciągnąć tego w ten sposób przez miesiąc - wychrypiała. - Nudzę się, jest mi niedobrze i jestem zmęczona. Carl, mówiłam ci, że to jak z pędzącą na mnie ścianą?

Kiwnął głową.

- Teraz już nie pędzi. Zwolniła do ślimaczego tempa. Siedzę tu, patrząc na to, gdzie muszę iść, i wszystko wygląda jak odległe o cholerny kilometr czołgania się po ziemi. Nie chcę tego. Nie chcę już dłużej grać w tę cholerną grę.

- Sev, czy ty... - zaczął Norton.

Uśmiechnęła się do niego.

- Tak, jestem pewna. Dość długo się nad tym zastanawiałam. Jestem zmęczona, Tom. Mam już dość spędzania czasu na prochach albo budzenia się z bólu, by uświadomić sobie, że wciąż nie umarłam, że wciąż mam to przed sobą. Już czas dać sobie z tym spokój, po prostu to załatwić.

Znów zwróciła się do Carla.

- Masz to?

Wyciągnął z kieszeni białe, śliskie opakowanie i wysunął w jej stronę. Światło przybierającego na sile poranka odbiło się od gładkiego plastiku. Najtrudniejsze będzie zrezygnowanie ze światła. Słońce wdzierało się do środka i tańczyło w pokoju każdego ranka, gdy odciągali zasłony, i z tego powodu prawie warto było nie umierać. Tego właśnie trzymała się podczas męczących snów i pobudek każdej nocy. Dlatego wytrzymała tak długo. Mogłaby nawet wytrzymać trochę dłużej, jeszcze kilka poranków, gdyby nie była tak cholernie zmęczona.

- Baba. - Głos miała cichutki, musiała walczyć, by zachować w nim spokój. - Czy to będzie bolało?

Murat odchrząknął chrapliwie. Potrząsnął głową.

- Nie, *canim*. To będzie jak... - Zaciśnięła zęby, żeby się nie rozpląkać. - Jak uśniecie.

- To dobrze - wyszeptała. - Przydałoby mi się trochę porządnego snu.

Odszukała wzrokiem Carla. Kiwnęła głową i przyglądała się, jak otwiera opakowanie. Jego ręce poruszały się spokojnie, układając elementy zestawu. Zdawał się ledwie świadomy czynności - przypuszczała, że robił już takie rzeczy w przeszłości, na polach bitew. Zerknęła na Toma Nortona i przekonała się, że płacze.

- Tom - poprosiła łagodnie. - Chodź tu i potrzyj mnie za rękę. Baba, ty chodź tutaj. Nie płacz, baba. Proszę, nie płaczcie. Powinniście się cieszyć, że już nic mnie nie będzie bolało.

Spojrzała na Carla. Żadnych łez. Jego twarz była czarnym kamieniem. Przygotował igłę, przytrzymał ją jedną ręką, a drugą, ciepłą i o stwardniałych palcach, dotknął zgięcia jej ręki. Spojrzał jej w oczy i skinął.

- Powiedz kiedy.

Jeszcze raz popatrzyła po ich twarzach. Uśmiechnęła się do każdego, ścisnęła ich dłonie. Potem znów spojrzała na niego, wpiła się wzrokiem.

- Jestem gotowa - wyszeptała.

Nachylił się nad nią. Delikatne ukłucie zimna w ramię, zatrzymane na chwilę przez ciepło palców, potem znikło. Przetarł wacikiem, potem przyłożył coś chłodnego i przycisnął. Wygięła szyję, by zbliżyć się do niego, przesunęła suchymi jak papier wargami po nieogolonym policzku. Wciągnęła jego zapach i położyła się z powrotem, gdy przez jej ciało rozlało się cudowne ciepło, przeganiając ból.

Czekała na to, co będzie dalej.

\* \* \*

Słońce na zewnątrz.

Chciała spojrzeć w bok na jego ukośne promienie, ale była już zbyt śpiąca, by zdobyć się na ten wysiłek. Jakby jej oczy nie chciały już się poruszać. Wrażenie podobne do weekendu z młodości w Cjueens.

*Wpełzanie w niedzielny poranek tuż po brzasku, zmęczona po długiej nocy w klubach za rzeką. Jazda taksówką do domu, dziewczęce rozbawienie ustępujące refleksyjnemu zmęczeniu w trakcie jazdy przez ciche ulice, gubiące się gdzieś po drodze. Ociężałe podejście do domu, przejechanie dłonią po zamku i oczywiście za drzwiami stoi Murat w piżamie, już obudzony i w kuchni, próbuje wyglądać na zgorszonego, co mu nie wychodziło. Sevgi uśmiecha się szelmowsko, kradnie mu z talerza kawałek sera i oliwki, łyk herbaty ze szklanki. On przeczesuje dłonią jej włosy, mierzwi je i łagodnie ją przytula. Mocny uścisk, jego zapach i drapanie zarostu na twarzy. Potem wspinaczka po schodach do pokoju przy akompaniamencie potężnego ziewania, prawie potykając się o własne stopy. Zatrzymuje się na górze, ogląda, a on stoi tam, u dołu schodów, przyglądając się jej z taką dumą i miłością na twarzy, że nagle opuszczają całe zmęczenie i budzi się do życia serce.*

- Lepiej się prześpij, Sevgi.

*Wciąż obolała kładzie się do łóżka, wciąż w ubraniu. Zastony nie do końca zaciągnięte, słońce wdziera się pod kątem, ale nie ma mowy, żeby powstrzymało ją to przed snem, gdy już się położyła. Nie ma mowy...*

Słońce na zewnątrz.

Ból i ćmienie zapomniane. Długa, ciepła jazda bez zmartwień.

A pokój i wszystko w nim oddalają się łagodnie, jak Murat zamykający drzwi jej sypialni.

\* \* \*

Kiedy jest po wszystkim, kiedy jej oczy w końcu się zamknęły i przestała oddychać, gdy Murat Ertekin nachylił się nad nią, łkając, sprawdził puls na jej szyi i kiwnął głową, gdy było już po wszystkim i w końcu nie miał już nic do zrobienia, Carl wyszedł.

Zostawił Murata Ertekina siedzącego ze swoją córką. Zostawił Nortona stojącego i trzęsącego się niczym ochroniarz z gorączką, ale wciąż na służbie. Zostawił ich i samotnie pomaszerował korytarzem. Uczucie było takie, jakby brodził po pas w wodzie. Mijali go ludzie, idąc obok niego, błyskając pustymi twarzami i zmianą tempa. Jego wyjściu nie towarzyszyła panika ani

gorączkowa aktywność - Murat wiedział, jak obejść urzędzenia, by nie wezwały pomocy, gdy ustały objawy funkcji życiowych Sevgi.

I tak wkrótce się dowiedzą. Norton obiecał się tym zająć. To była jego działka - Carl zrobił to, w czym był najlepszy.

Odszedł.

Wspomnienia pognały jego śladem, nie chcąc zostać z tyłu.

*- Nie wiem, co będzie dalej - mówi, uśmiechając się, gdy środek zaczyna działać. - Ale jeśli choć trochę podobnie do tego, to może być.*

*A potem, gdy zaczynają opadać jej powieki:*

*- Pewnie zobaczymy się znów w ogrodzie.*

*- Tak, z wszystkimi tymi owocami i strumieniem płynącym za drzewami - Carl odpowiada ustami, które straciły czucie. Głos nagle ochrypły. Teraz tylko on do niej mówi. Norton milczy, sztywno u jego boku, bezużyteczny. Murat Ertekin opadł na kolana przy łóżku, z twarzą przyciśniętą do dłoni córki, powstrzymując łzy z wysiłkiem, od którego drży przy każdym oddechu. Carl przywołuje siłę, by mówić dalej. Ścisną jej dłoń. - Pamiętaj o tym, Sevgi. I promienie słońca przez gałęzie.*

*Odpowiada ledwie wyczuwalnym uściskiem. Chichocze, delikatne sfałdowanie powietrza wychodzącego przez jej usta, ledwie słyszalny dźwięk.*

*- I dziewczice. Nie zapomnij o nich.*

*Gwałtownie przełyka ślinę.*

*- A tak, zostaw mi jedną. Zgłoszę się, Sevgi. Dogonię cię. Wszyscy dogonimy.*

*- Pieprzone dziewczice - mamrocze sennie. - Komu to potrzebne? Wszystkiego trzeba ich uczyć...*

*A potem, w końcu, chwilę przed tym, jak przestaje oddychać:*

*- Baba, to dobry człowiek. Jest czysty.*

Z trzaskiem otwiera drzwi izolatki, sunie korytarzami, a ludzie schodzą mu z drogi. Znalazł schody, zbiega po nich, szukając wyjścia.

Wie, że go nie znajdzie.

## ROZDZIAŁ 48

Dyrektor INKOL przyszedł później odszukać go w ogrodzie. Carl nie powiedział, że tam idzie, ale pewnie nie trzeba było detektywa, żeby się domyślić. Ławki przy fontannie stały się w ciągu ostatnich kilku dni ulubionym miejscem spotkań ich wszystkich, znajomym od ciągłego wykorzystywania. Tam właśnie szli, gdy za bardzo przyciskał ich szpital, gdy pachnące antyseptykami i nanooczyszczone powietrze stawało się zbyt suche i ciężkie, by nim oddychać. Norton zwałił się na ławkę obok niego jak ktoś wracający do wspólnego domu i padający na sofę. Zapatrzył się w oświetlone słońcem strumienie fontanny i nie odzywał się. Doprowadził się do ładu, ale jego twarz wciąż wyglądała na rozgorączkowaną po płaczu.

- Jakieś problemy? - zapytał Carl.

Norton tępo potrząsnął głową. Jego głos zabrzmiał mechanicznie.

- Robią trochę szumu. Mandat INKOL powinien to załatwić. Ertekin z nimi rozmawia.

- Czyli jesteśmy wolni.

- Woln...? - Dyrektor zmarszczył brwi, nie rozumiejąc. - Cały czas byłeś wolny, Marsalis.

- Nie o to mi chodziło.

Norton przełknął.

- Słuchaj, będzie pogrzeb. Przygotowania. Nie wiem, czy...

- Nie interesuje mnie, co zrobią z ciałem. Zamierzam znaleźć Onbekenda. Zamierzasz mi w tym pomóc?

- Marsalis, słuchaj...

- To proste pytanie, Norton. Widziałeś, jak ona tam umiera. Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

Dyrektor INKOL z drzeniem wciągnął powietrze.

- Myślisz, że zabicie Onbekenda coś naprawi? Myślisz, że to ją ożywi?

Carl popatrzył na niego.

- Zakładam, że to pytanie retoryczne.

- Nie masz jeszcze dość?

- Dość czego?

- Dość zabijania wszystkiego, na czym zdołasz położyć swoje cholerne łapy. - Norton zerwał się z ławki, stanął przed nim. Słowa wypadały z niego z



sykiem, jakby wypuszczał trujący gaz. - Właśnie odebrałeś życie Sevgi, a wszystko, o czym możesz myśleć, to szukanie kolejnej osoby do zabicia? Tylko to, do jasnej cholery, potrafisz robić?

Ludzie w ogrodzie zaczęli patrzeć w ich stronę.

- Usiądź - ponuro rzucił Carl. - Zanim skręcę ci ten cholerny kark.

Norton wyszczerzył zęby. Przysiadł w kucki, twarz ustawił na poziomie głowy Carla.

- Chcesz skrócić mój cholerny kark. - Wskazał ręką. - Proszę bardzo, przyjacielu. Oto on.

Mówił poważnie. Carl zamknął oczy i westchnął. Otworzył je i popatrzył na Nortona, wolno kiwnął głową.

- No dobra. - Odchrząknął. - Można na to spojrzeć na dwa sposoby, *przyjacielu*. Widzisz, możemy podejść do tego w cywilizowany, sfeminizowany, konstruktywny sposób i poprowadzić długie, zgodne z przepisami śledztwo, które może, ale nie musi, doprowadzić nas w końcu z powrotem do Manco Bambarena, Altiplano i Onbekenda. Możemy też wziąć twoje upoważnienie INKOL, trochę sprzętu, polecieć tam i podłożyć ogień pod maszynę Manco.

Norton z powrotem się wyprostował. Potrząsnął głową. - I myślisz, że to go skłoni do poddania się? Tak po prostu?

- Onbekend to trzynastka. - Carl przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien bardziej postarać się z Nortone, tchnąć w głos coś więcej niż tylko pustkę, którą w nim słyszał. - Manco Bambaren mógł go wynająć albo tylko prowadzić interesy z ludźmi, którzy to zrobili, ale niezależnie od powiązania to nie krew, którą dzielił z Merrinem. Manco będzie patrzył na Onbekenda i mnie jak na dwóch przedstawicieli tego samego gatunku, potwory, które może napuścić na siebie dla uzyskania jak najlepszych wyników. Trzy lata temu dał mi Névanta, żeby się mnie pozbyć, i z tego samego powodu dał mi Onbekenda. W gruncie rzeczy to biznesmen i robi to, co dobre dla interesów. Jeśli sprawimy, że trzymanie go będzie dostatecznie kosztowne, wyda go nam.

- My?

- Przejęzyczenie. W każdym razie ja lecę. Możesz polecieć ze mną albo nie, w zależności od decyzji twojego nietrzynastkowego sumienia. Byłoby mi łatwiej, gdybyś się przyłączył, ale jeśli nie, cóż. - Wzruszył ramionami. - Obiecałem Gutierrezowi, że wrócę na Marsa, żeby go zabić, i mówiłem poważnie. Altiplano jest znacznie prostsze.

- Mógłbym cię powstrzymać.

- Nie, nie mógłbyś. Przy pierwszych oznakach kłopotów z twojej strony zwiewam stąd z pomocą ONZALG. Prawie próbowali mnie zaciągnąć na prom w zeszłym tygodniu i bardzo się ucieszą, jeśli do nich zadzwonię. Potem po prostu wrócę do Peru na własnym bilecie.

- INKOL mógłby ci tam bardzo utrudnić życie.

- Tak, zazwyczaj to robią. Ryzyko zawodowe. Nigdy jeszcze mnie to nie powstrzymało.

- Twardziel, co?

- Trzynastka. - Carl popatrzył na niego twardo. - Norton, tak jestem zbudowany, w tym właśnie dobra jest chemia mojego ciała. Zamierzam zbudować Sevgi Ertekin pomnik z krwi Onbekenda i zniszczę każdego, kto stanie mi na drodze. Włącznie z tobą, jeśli mnie zmusisz.

Norton usiadł z powrotem na ławkę.

- Myślisz, że to tylko ty? - mruknął. - Myślisz, że my nie mamy teraz na to ochoty?

- Nie wiem. Ale ochota i działanie to dwie różne rzeczy. Właściwie to na Marsie jest gość, niejaki Sutherland, który twierdzi, że ludzie zbudowali całą swoją cywilizację na tej różnicy. Co do tego też nie mam zdania. Natomiast wiem, że godzinę temu tam - Carl wskazał w stronę szpitala - Murat Ertekin czuł, że chce oszczędzić córce tego cierpienia. Ale nie potrafił albo nie chciał tego zrobić. Nie będę go za to sądził, tak samo jak nie osądzę ciebie za to, że ze mną, jeśli takiego dokonasz wyboru. Może po prostu nie macie tych rzeczy wbudowanych dość głęboko. Przynajmniej tak mówili nam w Osprey. Że jesteśmy szczególnie, bo potrafimy robić to, do czego nie miało już odwagi społeczeństwo, które nas stworzyło.

- Jasne - gorzko rzucił Norton. - Uwierz we wszystko, co napisali na plakacie reklamowym, proszę bardzo.

- Nie mówiłem, że wierzę, tylko że tak nam mówili. Nie twierdzą, że mieli rację. To jedno jest pewne - zdecydowanie nie sprawdziło się to ani dla nas, ani dla was. - Carl westchnął. - Słuchaj, Norton, nie wiem. Może fakt, że nie potrafisz się już zdobyć na zdeterminowaną rzeź, fakt, że zapomniałeś już, jak się to robi - może to coś dobrego, Może jesteś przez to lepszą istotą ludzką niż ja, lepszym członkiem społeczeństwa, nawet lepszym mężczyzną. Nie wiem i nie obchodzi mnie to, bo dla mnie to nie ma znaczenia. Zamierzam zniszczyć Onbekenda i każdego, kto stanie mi na drodze. To jak, jedziesz ze mną czy nie?

\* \* \*

W hotelu czekały na niego przyziemne zadania. Ostatnie cztery dni egzystencji Sevgi praktycznie zamroziły jego życie, nie robił nic oprócz siedzenia przy niej i czekania. Miał na sobie wciąż to samo ubranie co w nocy, gdy została postrzelona, i nawet tkanina marstechowa zaczynała wyglądać na sfatygowaną. Zwinął ubranie w kłębek i wysłał je do prania. Zamówił coś podobnego z hotelowego katalogu i ubrał się przed wyjściem na ulicę, gdy udał się szukać telefonu. Przypuszczał, że bez problemu mógłby zamówić telefon w hotelu, razem z ubraniami, ale powstrzymała go zwyczajowa ostrożność. Zresztą musiał się przejść. Z dała od albo w stronę, nie był pewien, ale potrzeba narastała w nim niczym wzbierająca frustracja.

- Kuzyn Bambaren jest spalony - powiedział mu Norton w drodze do miasta. Dyrektor INKOL siedział w taksówce bezwładnie, jakby miał połamane stawy. - Jeśli szukasz wejścia, to nie to. Mamy nazwisko, Suerte Ferrer, na ulicy znany jako Maldicion, seria drobnych przestępstw na obrzeżach jezusowskich *familias*. Przesiedział trzy lata w stanowym za związki z gangiem, ale teraz wyszedł i zapadł się pod ziemię.

- N-dżinny go nie znajdują?

- Przywarł do ziemi gdzieś w Republice, a nie mogę tam wysłać n-dżina na poszukiwania bez wywoływania poważnego incydentu dyplomatycznego. Nie jesteśmy szczególnie popularni, od kiedy wyciągnęliśmy cię ze stanowego Południowej Florydy.

- Nie spodziewasz się, żeby dało się skłonić do współpracy lokalną policję?

- Którą? - Norton wyjrzał pusto za okno. - Z tego, co wiemy, Ferrer może być w każdym z tuzina różnych stanów. Zresztą policja Jezusowa nie ma pieniędzy na puszczanie własnych n-dżinnów.

- A więc wynajmują je z Wybrzeża.

- Tak, robią to. Ale mówisz o poważnym wydatku, a połowa z ich komisariatów ma problemy z funduszami na wypłaty i utrzymaniem sprawnego wyposażenia taktycznego. Masz tam do czynienia z dekadami cięć finansowych w służbach publicznych. Nie ma mowy, żebym w tym klimacie zaczął dzwonić do starszych detektywów w Republice i prosić ich o kupienie czasu n-dżinna, żeby znaleźć jakiegoś drobnego bandziora, o którym nigdy nie słyszeli, na dodatek bez nakazu i podejrzenia o coś więcej niż powiązanie z kimś, kogo nie lubimy.

Carl skinął. Od opuszczenia szpitala zaczął myśleć z lekko adrenalinową

jasnością, która przypominała kopa synadynowego. Sevgi odeszła, schowana w jakimś miejscu, które mógł otworzyć później, jeśli będzie potrzebował furii, a pod jej nieobecność ogarnął go spokój zdefiniowanego celu. Cofnął się do łańcucha powiązań Ferrera i znalazł dojście, którego potrzebował.

- Norton.

Dyrektor INKOL burknął.

- Jak trudne byłoby dla ciebie uzyskanie dostępu do nieupublicznego marstechu?

Na północnych obrzeżach Chinatown w zasadzie przypadkowo wybrał niewyróżniającą się wystawę z wyświetlonym na szybie z paneli LCLS słowami „czysty telefon”. Wszedł do środka i kupił paczkę jednorazowych telefonów audio, wyszedł na zewnątrz i stanął w chłodnym, wieczornym powietrzu, nagle sam. W czasie, który spędził w sklepie, wszyscy przechodnie znaleźli nagle powody, by opuścić ulicę. Naszło go silne wrażenie odrealnienia, pragnienie powrotu do sklepu i sprawdzenia, czy obsługująca go kobieta również zniknęła, czy może ustąpiła miejsca za ladą uśmiechniętej Elenie Aguirre.

Skrzywił się i rozejrzał się wokół, zauważył na horyzoncie wzgórze Telegraph Hill z masywnym palcem Coit Tower. Zaczął iść w tamtą stronę. Wieczne niebo ściemniało i wszędzie zaczęło się włączać oświetlenie. Dotarł do Columbus Avenue i nagle jakby miasto wokół niego z powrotem ożyło. W obu kierunkach pędziły krople, uszy wypełniał stłumiony szum silników. Dołączył do innych istot ludzkich na chodniku, czekał wraz z nimi na przerwę w ruchu, pospieszył w tłumie, gdy nadeszła, przeszedł na Washington Square. Tam jeszcze więcej życia, więcej istot żywych. Na środkowym trawniku ludzie zbierali się właśnie po meczu softballu. Wysoki, wychudły mężczyzna ubrany w czarne łachmany zatrzymał go i wyciągnął żebraczą miskę trzymaną w trzęsącej się ręce. Do koszuli miał przypiętą kartkę z chińskimi literami. Carl posłał mu standardowe spojrzenie pod tytułem „zejdź-mi-z-drogi-do-cholery”, ale nie zadziałało.

- Bariant - powiedział mężczyzna chrapliwym głosem, podsuwając mu miskę. - Bariant.

Spojrzał w oczy zapadnięte w rozciągniętej, papierowej twarzy. Z wysiłkiem stłumił falę wściekłości.

- Nie rozumiem cię - odpowiedział włóczędze bezbarwnie. Dźgnął palcem w chiński tekst. - Nie potrafię tego przeczytać.

- Bariant. Jak ty. Needy Nero.

Oczy były ciemne i inteligentne, ale nieustannie skakały na boki. Przypominało to bycie obserwowanym przez coś ptasiego. Znowu wróciła miska.

- Bariant. Z czarnego rabu.

Zrozumienie spłynęło na Carla niczym strumyczek lodowatej wody wzdłuż kręgosłupa, jak dotyk Eleny Aguirre. Mężczyzna kiwnął głową. Dostrzegł jego reakcję.

- Tak. Z czarnego rabu. Bariant. Jak ty.

Nieoczekiwanie zmrożony i w jakiś nieokreślony sposób wydymany Carl sięgnął do kieszeni i wyciągnął losowy wafel. Wrzucił go do miski, nie sprawdzając nominału. Potem przepchnął się obok mężczyzn i odszedł szybkim krokiem w stronę wyniosłości Telegraph Hill. Kiedy wyszedł z parku, obejrzał się na mężczyznę który patrzył za nim z jedną ręką uniesioną niezdarnie niczym jakiś ożywiony strach na wróble. Carl potrząsnął głową, nie wiedząc, czemu zaprzecza, i uciekł w stronę wieży.

Dotarł na szczyt zdyszany z powodu prędkości wspinaczki.

Wieża była zamknięta - miał całe miejsca dla siebie, jeśli nie liczyć jakiejś parki opartej w objęciach pod ścianą widokową od strony morza. Przyglądał im się przez chwilę, zastanawiając się, na ile w ich oczach to on wygląda jak strach. W końcu zrobiło im się nieswojo i dziewczyna pociągnęła chłopaka w stronę schodów. Chłopak był muskularny, wysoki i przystojny, w typie nordyckim i z początku nie zamierzał odejść. Wbił wzrok w Carla, z błękitnymi oczami pełnymi napięcia. Carl skupił się na niezabijaniu go.

Dziewczyna przechyliła się do niego, wyszeptała coś do ucha blondyna i chłopak zadowolony się prychnięciem, po czym wyszli.

We wnętrzu Carla coś kliknęło i pękło jak lód na szkle.

Podszedł do brzegu tarasu i popatrzył na wodę. Przyglądał się światłom błyszczącym na stacji Alcatraz, na długim moście, po drugiej stronie, na wybrzeżu od strony Marin. We wszystkim tym była Sevgi, tysiąc wspomnień, których nie chciał ani nie potrzebował. Sapnął mocno przez nos, wyciągnął jeden z telefonów z paczki i wystukał numer, którego nie spodziewał się nigdy użyć.

- Dom Sigma Frat - zabrzmiał szydery glos. - I nie jest to pora na telefony, więc zostaw wiadomość i lepiej, żeby była cholernie dobra.

- Danny? Daj mi Gwatemalczyka.

Szydery glos wszedł skalę wyżej.

- Gwatemalczyk śpi, skurwielu. Zadzwoń w godzinach pracy, słyszysz?

- Danny, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Jeśli nie pójdziesz i nie obudzisz gwatemalczyka w tej chwili, rozłączę się. A kiedy on usłyszy, że całkiem sam podjąłeś jakąś spierdoloną decyzję na temat tego, co powinien, a czego nie musi usłyszeć, w nagrodę da ci pryczę z arianami, mogę ci to zagwarantować.

Pełna niedowierzania cisza.

- Marsalis. Trzynastka. Parę tygodni temu poszedłem z twoją kosą do kaplicy po Dudecka, pamiętasz? Potem wyszedłem frontową bramą. Mam tu coś, co spodoba się Gwatemalczykowi. Idź go obudzić i powiedz mu to.

Głos z drugiej strony ucichł. W pozostawionej przez niego przestrzeni brzmiały ciche szумы więziennych ścian. Carl patrzył w przymglone powietrze zatoki, zacisnął oczy i wytarł kciukiem wyciśniętą z jednego łzę. Jakies glosy w tle, potem stuk ręki chwytającej telefon. W głośniku zagrzemiał Gwatemalczyk, rozbawiony i może trochę naćpany.

- Eurośmieć? To ty?

- Tak jak mówiłem Danny'emu, owszem. - Carl starannie przygotował otwarcie. - Dudeck wyszedł już ze szpitala?

- Owszem, wyszedł. Chociaż chwilowo porusza się dość powoli. Dobrze się spisałeś, eurośmieciu, to muszę ci przyznać. Chodzi ci o Dudecka? Zebrało ci się na nostalgię i wspomnienia o starych czasach?

- Niezupełnie. Pomyślałem, że moglibyśmy ubić interes. Wymienić trochę danych. Mówią, że jesteś do tego właściwą osobą. Muszę się dowiedzieć pewnej rzeczy, może mógłbyś mi w tym pomóc.

- Dane? - Jego rozmówca zachichotał. - Wydaje mi się, że mówiłeś coś o podpięciu się do Inicjatywy Kolonizacyjnej. Mówisz mi, że mam dane, których nie ma INKOL?

- Owszem, to właśnie mówię.

Zapadła dłuższa cisza.

- Powiesz mi, eurośmieciu, co ja miałbym z tego mieć?

- Najpierw zobaczmy, co masz. Pamiętasz szeregowego bandziora *familii*, który przeszedł przez stanówkę na trzyletnim kursie, wyszedł parę lat temu?

Kolejny grzmiący śmiech.

- Czarnuchu, pamiętam cały cmentarz tych chłopaczków *andinos*. Wylażą stąd i wskakują z powrotem, jakby się przywiązali na gumie. Są tacy dumni wobec braci, arian i wszystkich pozostałych, którzy spojrzą im w oczy, ale szybko ich rozciągają. To którą to konkretnie czaszkę chcesz wykopać?

- Nazywa się Ferrer, Surete Ferrer. Lubi nazywać się Maldicion. Wyszedł na własnych nogach, więc jest twardszy albo bystrzejszy od przeciętnej. To powinno dać do myślenia.

- Tak, Maldicion. Bystry, tego bym nie powiedział, ale zdecydowanie twardy. Jasne. Chyba mógłbym go sobie przypomnieć.

- Dobrze. Myślisz, że dałbyś się namówić na powiedzenie mi, gdzie jest teraz?

- Mówisz o tym, gdzie jest poza murami?

- Tak, na to wygląda.

W telefonie znów zapadła pełna namysłu cisza. Carl czuł emanujący z niej brak zaufania. Gdy znów się odezwał, w głosie Gwatemalczyka słychać było ostrożność.

- Siedzę tu dziewięć długich lat, eurośmieciu. Terror i zorganizowana przestępczość, wsadzili mnie za oba. Czemu myślisz, że mam możliwość dowiedzenia się czegokolwiek o tym, co dzieje się na zewnątrz?

Carl wyostrzył ton głosu.

- Nie udawaj ze mną głupka, nie jestem w nastroju. Dobiłem targu z INKOL, nie z policją antynarkotykową ani komitetem moralnym. To nie jest jakaś wyszukana pułapka jezusowskiej policji. Chcę znalezienia i w miarę możliwości dostarczenia Ferrera przez płot na Wybrzeże. Jestem gotów zapłacić za usługę stawki INKOL. Możemy się sobie przysłużyć czy nie?

Gwatemalczyk stracił tempo, ale tylko minimalnie.

- Słyszałem o... stawkach INKOL?

- Owszem, słyszałeś.

Kolejna przerwa, tym razem pełna napięcia. Prawie słyszał zgrzyt trybików podczas obliczeń i kalkulacji Gwatemalczyka.

- Ruchy na zewnątrz kosztują dużo więcej niż ruchy populacji w murach - powiedział w końcu cicho.

- Tak przypuszczałem.

- A dostarczenie przez granicę, cóż. - Gwatemalczyk głośno wciągnął powietrze z dźwiękiem przypominającym świst czajnika. - To już dopełnia listę przysług, eurośmieciu. Duże ryzyko, bardzo wysokie stawki.

- Nieupubliczny marstech. - Carl wrzucił słowa do basenu oczekiwań po drugiej stronie. - Słyszałeś, co mówię?

- Nie przyda mi się tu zbytnio. - Jednak słychać było podniecenie ukrywane za niedbałym tonem Gwatemalczyka.

- W takim razie pewnie będziesz musiał wydać to gdzie indziej. Może

kupić sobie jakieś plecy w senacie. Może odłożyć trochę tu i tam na przyszłość. Człowiek twojego pokroju z pewnością lepiej ode mnie wie, jak zainwestować taki kapitał. To jak, znajdziesz mi tego Maldiciona, czy nie?

Znów cisza, pełna własnych obietnic. Carl posłał nagłe spojrzenie przez ramię, poczucie zagrożenia. Za plecami mrok aż do schodów prowadzących na wieżę. Ciemne krzewy i kwiaty. Nikogo. Poruszał ramionami i poczuł uwięzione w nich napięcie ostatnich dni. Gwatemalczyk podjął decyzję.

- Zadzwoń do mnie za dwa dni - powiedział spokojnie. - I pomyśl o bardzo dużej liczbie.

Rozłączył się.

Carl złożył telefon i wsłuchał się w ciche trzaski topiących się obwodów wewnętrznych. Odetchnął głęboko i oparł się o ścianę z opuszczonymi ramionami. Napięcie chwyciło go za kark niczym silne palce. Po drugiej stronie zatoki wznosiły się łagodne wypukłości wybrzeża Marin. Zapatrzył się na ostatnie pomarańczowe pozostałości dnia, czując dziwne pragnienie, którego nie potrafił zdefiniować. Telefon ze stopioną elektroniką przyjemnie grzał w dłoń, ostro kontrastując z chłodnym powietrzem.

- Szukasz w niewłaściwych miejscach, trzynastko.

Zawirował w postawie bojowej, trzymając w dłoni telefon, jakby mógł posłużyć za broń.

Stała na skraju drzew i zrozumiał, że wcześniejszy dreszcz był spowodowany tym, że go obserwowała. Wyszła do przodu z rozsuniętymi rękami, pustymi dłońmi otwartymi wnętrzem do góry. Znał ten głos, znał sposób poruszania się. Poszukał farby na twarzy i przekonał się, że tym razem nie zawracała sobie głowy.

- Cześć, Ren.

- Dobry wieczór, panie Marsalis.

Carmen Ren zatrzymała się jakieś trzy metry od niego. Rozsunięte na wiecznobetonie stopy w butach na grubej podeszwie, obiecujących stał pod krzywizną palców. Czarne spodnie z zapiętymi kieszeniami, prosta, szara kurtka z wysokim kołnierzem podchodzącym pod płaszczyzny jej twarzy, włosy zebrane prosto z tyłu głowy. Przyjrzał się jej uważnie w poszukiwaniu broni, ale nie zauważył żadnej, której mogłaby szybko użyć.

Zrezygnował z pozycji bojowej, prostując się.

- Bardzo słusznie - odezwała się. - Przyszłam pomóc.

- To pomóż. Usiądź ze skrzyżowanymi nogami i rękami na karku, a ja zadzwonię po policję.



Posłała mu krótki uśmiech.

- Obawiam się, że nie będę aż tak hojna.

- Nie twierdziłem, że masz jakiś wybór.

Coś poruszyło się w jej oczach, w oddechu. Uśmiech znów pojawił się na jej twarzy, ale tym razem podbity adrenaliną, wstęp do walki lub ucieczki. Przekazała mu to wszystko z dziwnym, niedbałym oderwaniem, dziwnie podobnym do pokazania pustych dłoni. Nagle przestał być pewien, że będzie w stanie ją pokonać.

Odchrząknął.

- Niezłe. Jak to robisz?

- Praktyka. - Uśmiech znowu zgasł, schowany do późniejszego użycia. - Będziemy rozmawiać czy zamierzasz pójść w genetykę?

Sięgnął myślami do Névanta. Rozbite szkło i krew. Nocne ulice Sztambułu, maszerowanie wzdłuż Mody i...

Założył na to opaskę, mocno przekręcił. Skrzywił się.

- O czym chcesz rozmawiać?

- Co byś powiedział, gdybym dała ci tę sprawę w pudełku z kokardką?

- Już ci mówiłem, że nie jestem gliną. Zresztą czemu miałabyś to robić?

Jak ostatnio sprawdzałem, grałaś w zespole Manco Bambarena.

Przyglądał się jej twarzy. Nazwisko nie wywołało nawet najlżejszego drgnięcia.

- Ludzie, dla których pracowałam, wystawili mnie do wiatru - wyjaśniła.

- Nie zdziwiłeś się, że zostawiłam ciebie i Merrina, żebyście sami rozstrzygnęli walkę?

Wzruszył ramionami.

- Przyjąłem, że opuściłaś okręt w swojej szczurzej tratwie ratunkowej.

- Źle przyjąłeś.

- Poprzesz to jakoś? No wiesz, dowodami?

- Tutaj. - Poklepała się po kieszeni kurtki. - Dojdziemy do tego za chwilę.

Najpierw może byś mi odtworzył kolejność wydarzeń w porcie, co? Przemyśl to.

- Chyba raczej wolałbym zobaczyć te dowody.

Krzywy uśmiech.

- Powaliłeś mnie, pchnąłeś pozostałych do środka i wykorzystałeś przeciw nim ich liczbę. - Wycelowwała z wyobrażonej broni. - Odebrałeś Hunagowi strzelbę na rekiny, użyłeś jej na Scottym; dla ciebie to Osborne, dzieciak z Jezusowa. Słyszę, że obaj giną, gdy wciąż leżę na podłodze, ale

tyle czasu mi potrzeba, żeby zerwać się na nogi, i proszę, mieszasz to wszystko z Merrinem i tymi marsjańskimi bzdurami tanindo. I co, naprawdę myślisz, że nie miałam czasu wpaść tam i ściągnąć cię z niego? Marsalis, wysił się. Pogoń szare komórki. Miałam mnóstwo czasu, a moja praca polegała na utrzymaniu Merrina przy życiu.

Lekki niepokój.

- Utrzymanie Merrina przy życiu?

- Tak właśnie powiedziałam.

- Ktoś ci płacił, żebyś szła jego śladem?

- Szła śladem? - Uniosła zadbaną brew. - Nie, po prostu wsadziła na pokład „Kota”. Ukryła go w Daskeen Azul i trzymała go tam, opiekując się do czasu uzyskania dalszych poleceń.

Wąskie pęknięcie niepokoju otworzyło się w bezdenną głębię zmieszania.

- Twierdzisz... chcesz mi powiedzieć, że przez ostatnie cztery miesiące Merrin siedział zamknięty na „Kocie Bułhakowa”? Nigdzie indziej?

- Jasne. Dostarczenie go tam od Warda zajęło nam około tygodnia, ale później? Tak. Po prostu siedział na tyłku. Czemu?

Nagle niczym wulkan wybuchła suma posiadanej wiedzy. Ekspłodowała od środka kolejnymi erupcjami, niszcząc skały i rycząc, unosząc chmurę pyłu. Spojrzał na zmieniony krajobraz, nowo odsłoniętą powierzchnię.

Twarz Onbekenda.

Dziwnie znajome rysy, przekonanie, że skądś go zna, że gdzieś już go musiał widzieć.

W jego głowie znów zabrzmiały słowa Rovayo. *Ten Onbekend musiał być naprawdę dobrze nasmarowany.*

*Owszem, był. Było widać w świetle, nawet włosy lśniły cholernie grubą warstwą. Nie zamierzał zostawiać żadnych śladów dla waszych gości z ekipy śledczej.*

*Właśnie. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czemu Merrin nie robił tego samego. Zamiast zostawiać swoje cholerne ślady na wszystkim, żebyśmy mogli go namierzać.*

Ogrom tego wszystkiego, niczym bezmiar niebios.

*Widziałam dane - powiedziała Sevgi pierwszego dnia, kiedy ją poznał - według których ten Merrin walczył tego samego dnia w miejscach odległych o setki kilometrów, zeznania naocznych świadków o ranach, których nie widać w żadnych rejestrach medycznych, na dodatek części z nich nie miał prawa przeżyć. Sevgi w więziennej sali spotkań. Pamiętał jej zapach i*

ścisnęło go w gardle. Jej głos w głowie brzmiał dalej, nie potrafił go uciszyć. *Nawet ta misja w Ameryce Południowej za bardzo nakłada się z innymi, żeby być w pełni prawdziwa. Był w Tadżykistanie, nie, nie było go tam, wciąż był w Boliwii. Walczył solo, nie, dowodził plutonem Stróżów Prawa w Kuwejcie. - Zdegustowane prychniecie. - Mowie panu, ten facet to cholerny duch.*

Bezsensowny wzór zabójstw. Śmierć w rejonie Los Angeles, potem Teksas i dalej, parę miesięcy później znowu Wybrzeże. Żadnego sensu w powracaniu, chyba że...

Chyba że...

- Onbekend - rzucił napiętym głosem. - Znasz go?

- Słyszałam nazwisko. - Ślad rozbawienia w kąciku ust. - Ale to znaczy...

- Wiem, co to znaczy. Pracujesz z kimś, kto nosi to nazwisko?

- Nie. Pracowałam z niejakimi Emilem Nocerą i Ulyssesem Wardem, zanim Merrinowi rzuciło się na geny i ich zamordował. Później użyłam Scotty'ego do pomocy i wyciągnęłam inne kontakty.

- Jakie kontakty?

- Po prostu kontakty. Nie widzę powodu, żeby ci je sprzedawać. Są drugorzędne, nie liczą się. Wtyczki na Wybrzeżu ludzi, którzy mnie wynajęli.

Carl cofnął się myślami do chłopaka z maczetą, do wykrzykiwanych haseł religijnych.

- Sprzedałaś Osborne'owi jakąś historię na mój temat?

- Właściwie nie. - Ren zaczęła nagle wyglądać na zmęczoną. - Powiedziałam mu, że Merrin jest, jak się to nazywa, ponownym zstąpieniem? Chrystusem, który powrócił i ukrywa się, bo czarny lud czai się na niego i chce go skrzywdzić. Mieszanka różnych obrazów zebrana z tego, co wiedziałam o ideologii Jezusowa i paplania Osborne'a.

*Bardzo Chrystusowy, przypomniał sobie własną reakcję na zdjęcie Merrina. Wprost z kanału satelitarne kościoła.*

- Rozumiem, jak to mogło działać. - Kiwnął głową.

- No cóż. Wiesz, chłopak z Jezusowa. Wydawał się dostatecznie miły, żeby go zatrzymać, ale wiesz, co robią z człowiekiem religie. Nietrudno było mu sprzedać koncepcję, połowa z tych ludzi całe życie czeka na powrót ich Zbawcy. Natychmiast skorzystałby z okazji wskoczenia we właściwą rolę. - Wzruszyła ramionami, idealny gest. - Do tego był strasznie na mnie napalony i miał wstrząs mózgu po walnięciu, którym Merrin poczęstował go u Warda. Gnojek nie miał nawet cienia szansy.

- Czyli jestem czarnym ludem.

Skrzywiła się.

- Tak, pojawiłeś się i trochę za dobrze wpasowałeś się w rolę.

- Mów mi jeszcze. - Carl ponownie odtworzył obrazy, walkę w centrum handlowym. - Nie wysłałaś go za mną?

- Nie, to był jego pomysł. - Mówiła cierpkim tonem. - Wszystko sam wymyślił, a mnie tam nie było, żeby go powstrzymać. Gdyby nie to, moglibyśmy się wszyscy po cichu wynieść z „Kota”, podczas gdy policja wciąż próbowałaby nas zablokować.

- Masz jakieś pojęcie, czemu miałaś ochraniać Merrina?

- Żadnego. Jestem do wynajęcia. Dostałam wiadomość, że przylatuje, wodowanie awaryjne i Ward wypływa, żeby go odebrać. Ja miałam tylko przetrzymać go bezpiecznie przez kilka miesięcy, mieli go potrzebować później. Chcieliśmy do usadzić u Warda, ale wygląda na to, że Merrin miał pewne problemy z zaufaniem po tym, przez co przeszedł na pokładzie „Horkan’s Pride”.

- Tak. Zrozumiałe. Jak udało ci się go przekonać?

- Początkowo? - Ren się uśmiechnęła. - Dzięki ninjutsu.

- A później?

Uśmiech nie zniknął.

- A jak myślisz?

- Naprawdę? Osborne i Merrin? Jak ci się to udało?

Znów elegancki ruch ramion osłoniętych szarą kurtką.

- Odgrywając oblubienicę Pana, mogłam w oczach Scotty’ego robić praktycznie co chciałam. A przynajmniej sprzedawał to sobie w ten sposób najdłużej jak mogł, bo nie chciał odpuścić reszty. Może tak naprawdę to właśnie nawaliło, gdy się pojawiłeś. Kto wie?

- A Merrin?

- Cóż, powiedziałabym, że Merrin tak naprawdę nigdy do końca nie wrócił z tej drogi, którą przebył do domu na „Horkan’s Pride”. Kiedy przyleciał, szykowałam się na zwykłe aroganckie bzdury trzynastek. - Potrząsnęła głową. - Nie było po nich ani śladu. Nie powiem, że się złamał, ale nie jestem też pewna, czy tak do końca kojarzył, co naprawdę się dzieje. Za każdym razem, gdy zaczynał się burzyć, wbijałam mu do głowy, że spali kryjówkę, i chyba był dość bystry, żeby to zrozumieć. Miał szkolenie z tajnych misji, prawda?

- Tak, i doświadczenie polowe.

- Proszę. Czyli miał się do czego odwołać.

Carl znów odtworzył w głowie przebieg walki. Niezdarne tanindo, niedbałe wrażenie sprawiane przez ruchy, brak siły. Prawie jakby Merrin wciąż był w pół drogi z Marsa i żył w słabszym ciężeniu. Jakby tak naprawdę nigdy nie dotarł do domu.

- A ty miałaś jakieś doświadczenie bojowe? - zapytał Ren.

- Nie w takiej formie.

- Nie w takiej formie, co? - Carl zerknął przez zatokę na Marin. Światło prawie już zniknęło. - Kim ty do cholery jesteś, Ren?

- To nie ma tu znaczenia.

- Myślę, że ma.

Przyglądała mu się przez kilka sekund w mroku. Niedbale machnęła ręką.

- Jestem po prostu kimś, kogo wynajęli.

- Kimś do wynajęcia. Jasne. Ze znajomością ninjutsu wystarczającą, by pokonać byłego Stróża Prawa. Spróbuj jeszcze raz. Kim jesteś?

- Słuchaj, to proste. Zapomnij o umiejętnościach, które podłapałam, podróżując wokół Wybrzeża Pacyfiku. Tu, w Kalifornii, zostałam wynajęta, żeby zaopiekować się gościem, bo tym się właśnie zajmuję. Wykonałam swoją robotę, zajęłam się wszystkim, gdy Merrin nie zdierżył, i trzymałam go w ukryciu. Potem, gdy znów zrobiło się gorąco, mój główniany klient odciął się ode mnie. A teraz szukam zemsty.

- Myślałem, że przyszłaś tu z pomocą.

- Owszem. Moją zemstą będzie wydanie ci ludzi, którzy mnie wystawili.

- Nie wystarczy.

- Przykro mi, ale będzie musiało.

- W takim razie idź się wyżalać komuś innemu.

Odwrócił się do niej plecami i oparł na murku od strony morza. Zapatrzył się na światła za wodą, z wysiłkiem spróbował nie myśleć o Stambule, nie udało mu się. W pewnych szczególnych okolicznościach oba miasta miały w sobie coś bardzo podobnego. Oba obciążało to samo przedestylowane marzenie o wybrzeżu, wzgórzach i potężnych mostach, to samo zamglone, rozświetlone słońcem powietrze i gwar w dzień, blask wody wieczorem, gdy promy przecinały mrok, a ruch przepływał czerwienią i bladym złotem przez mosty i utkane ulicznymi lampami żyły miasta. To, co unosiło się tu w powietrzu, było i tam, poczuł, jak łapie go za gardło.

Usłyszał jej kroki za sobą. Ciche tupanie na wiecznobetonie, zmniejszanie dystansu. Spojrzał na blask świateł.

- Jesteś dziś trochę nieostrożny, co? - Oparła się rękami o murek,

naśladować jego pozę jakiś metr w lewo.

Wzruszył ramionami, nie spojrział na nią.

- Skoro chcesz mi przekazać jakieś informacje, to nie oplaca ci się mnie załatwiać. Gdybyś miała takie plany, mogłaś to zrobić chwilę temu.

- Słuszna analiza. Mimo wszystko, ryzyko.

- Chwilowo nie odrzuca mnie od ryzykowania.

- Tak, ale jesteś cholernie wybredny odnośnie tego, od kogo chcesz przyjąć tropy. Zechcesz mi zdradzić powody?

Zerknął na nią z ukosa.

- A może po prostu dlatego, że nie ufam ci bardziej niż jezusowskiemu pastorowi z chórzystką? Ren, wręczasz mi coś, co wygląda na pół rozwiązania. A to nie pasuje do innych moich wiadomości. Śmierdzi mi zmyłką. Chcesz, żebym uwierzył, że naprawdę jesteś gotowa sprzedać swojego szefa? Powiedz mi, kim jesteś.

Cisza. Oddech miasta. Drzenie światła odbitego na wodzie.

- Jestem taka jak ty - wyznała.

- Jesteś wariantem?

Zerknęła na kant swojej wyciągniętej dłoni.

- Zgadza się. Produkt czarnych laboratoriów z Harbin. Tylko najwyższa jakość.

- Jakiś rodzaj bonobo?

- Nie, nie jestem jakimś rodzajem pieprzonego bonobo. - W sposobie, w jaki podniosła głos, kryło się kilka gramów prawdziwej złości. - Uprawiałam seks z Merrinem i Scottym dla moich korzyści operacyjnych, nie dlatego, że nie mogłam się na nich nie rzucić.

- Wiesz co? - mówił przeciągle, z jezusowskim akcentem, nie do końca pewny, czemu naciska, po prostu poddając się intuicyjnemu impulsowi by karmić złość i trzymać Ren wytraconą z równowagi. - Prawdziwe samice bonobo, te karłowate szympansy z Afryki, one też to robią przez większość czasu. Pieprzą się, żeby uspokoić samców, robić z nimi porządek. Pewnie można to nazwać korzyścią operacyjną, przynajmniej z punktu widzenia społeczeństwa.

Oderwała się od ściany i stanęła twarzą do niego.

- Jestem pieprzoną trzynastką, Marsalis. Trzynastką, jak ty. Dotarło?

- Bzdura. Nigdy nie zbudowali kobiet trzynastek.

- Jasne. Powtarzaj to sobie, jeśli poczujesz się z tym lepiej.

Stała o metr od niego i zobaczył, jak siłą tłumi gniew, eliminuje go z

postawy i odkłada na bok. Dreszcz niechcianego poczucia braterstwa na ten widok. Znow oparła się o murek, a jej głos zabrzmiał spokojnie i konwersacyjnie.

- Zastanawiałaś się może kiedyś, Marsalis, czemu projekt Stróż Prawa tak spektakularnie zawiódł? Nie przyszło ci do głowy, że może upychanie wzmocnionej genetycznie skłonności do przemocy we wzbogacone genetycznie ciało samca jest lekkim przeładowaniem wielbłąda?

Carl potrząsnął głową.

- Nie, nie przyszło mi to do głowy. Byłem przy tym, gdy Stróż Prawa się rozsypał. Źle poszło to, że trzynastki nie lubią robić tego, co się im każe, i jak tylko strzełyły zwykłe ograniczenia, przestali to robić. Nie da się zrobić z trzynastek dobrych żołnierzy. Tak po prostu.

- Tak jak mówiłam. Przeładowanie wielbłąda.

- Albo niezrozumienie koncepcji żołnierza. - Prześledził zarys przyłądka Marin na tle nieba, przyglądał się schludnemu przepływowi czerwonych kropek przez most oraz ich znikaniu wśród wzgórz. - W każdym razie skoro mowa o żołnierce, jeśli poskładali cię w Harbin, dali ci geny i ninjutsu, muszę założyć, że to oznacza twoją przynależność do Wydziału Drugiego.

Miał wrażenie, że lekko zadrżała.

- Już nie.

- Zechcesz to wyjaśnić?

- Hej, zapytałeś, kim jestem. Nikt nic nie mówił o pełnym pieprzonym życiorysie.

Stwierdził, że się uśmiecha.

- Streść mi to. Tylko zarys, tyle, żeby przekonać. Jedno, czym nie chcę się stać, to pionkiem chińskich służb bezpieczeństwa.

- Zaczynasz mnie wkurzać, Marsalis. Powiedziałaś ci, że już się tym nie zajmuję.

- Tak, ale z natury jestem nieufnym sukinsynem. Chcesz, żebym zabił dla ciebie szefa? Zaspokój moją ciekawość.

Usłyszał, jak z sykiem wypuszcza powietrze przez zęby.

- Pod koniec dziewięćdziesiątego szóstego pracowałam pod przykryciem, żeby rozbić operację handlu żywym towarem Triady w Hongkongu. Kiedy w końcu na nich uderzyliśmy, zrobiło się krwawo. Wydział Drugi nie przejmuje się zbyt niewinnymi świadkami.

- Tak, słyszałem.

- No cóż, skorzystałam z okazji przy tej lejącej się krwi i wrzaskach i

ulotniłam się po cichu. Znikłam, przeszłam przez granicę. Użyłam wcześniejszych kontaktów, żeby dotrzeć do Kuala Lumpur, a potem na południe. - W jej głos wkradło się zmęczenie. - Przez chwilę byłam żołnierzem w Dżakarcie, brałam udział w wojnach terytorialnych, które toczą się tam z jakuzą, wyrobiłam sobie reputację na całą Indonezję. Potem dalej na południe. Sydney, Auckland. Korporacyjni klienci. W końcu Stany Wybrzeża, bo tu są prawdziwe pieniądze. I proszę. To wystarczy na zaspokojenie twojej ciekawości?

Kiwnął głową, znów zaskoczony przez odczuwane braterstwo.

- Tak, to wystarczy za życiorys. Ale mam jeszcze jedną sprawę, którą mogłabyś mi naświetlić.

Zmęczone westchnięcie.

- Mianowicie?

- Czemu zawracać sobie głowę mną? Jesteś zabójcza jak cholera, masz dobre dojścia. Cały czas o krok przed bezpieczeństwem Wybrzeża i wyglądasz, jakby to było proste. Czemu nie pójdziesz i sama nie załatwisz wiarołomnego sukinsyna? Przecież wiesz, gdzie go znaleźć, prawda?

Przez chwilę milczała.

- To proste pytanie, Ren.

- Wydaje mi się, że powiedziałam ci już dość. W końcu jesteś łowcą nagród ONZALG. Zdejmiesz mnie, będzie za co kupić obiad.

- I tak wiem już, czym jesteś - przypomniał. - Widzisz, żebym sięgał po Haaga?

Głos nie do końca spokojny nawet przy ostatnich słowach. Przechyliła głowę, jakby może wyłapała drżenie. Znów obejrzała kant własnej dłoni.

- Zrobiłeś karierę na zdradzaniu swojego rodzaju. Jest jakiś powód, dla którego teraz miałbyś przestać?

- Ren, powiem ci coś. Nie jestem nawet pewien, czy wciąż mam swoją licencję. - Przez głowę przemknęły wspomnienia di Palmy, napuszonej biurokratycznej wyższości Agencji. - A nawet jeśli mam, to pierwszą rzeczą, jaką planuję zrobić po powrocie, jest oddanie jej.

- Zmieniłeś zdanie? - Nie do końca drwiąco.

- Coś w tym stylu. Odpowiedz na pytanie. Czemu ja?

Znów cisza. Pierwszy raz zauważył chłód powietrza. Jego spojrzenie wciąż wracało do wzgórz Marin, znikającego w nich strumienia samochodów jadących na północ. Jakby coś tam na niego czekało. Ren zdawała się coś sobie kalkulować.



- Dwa powody - wyznała w końcu. - Po pierwsze, prawdopodobnie się mnie spodziewa. Nie ma powodu, żeby uważać na ciebie.

- Gdybym stał na twoim miejscu, takie ryzyko nie wystarczyłoby, żebym przekazał sprawę pośrednikowi.

- Wiem. Ale ty jesteś męską trzynastką. Ja jestem trochę bystrzejsza. Mnie wystarczy wiedza, że to zostanie załatwione. Nie muszę być przy tym i poczuć krwi.

- Może jestem bystrzejszy niż sądzisz. Może tego nie zrobię.

Zobaczył jej uśmiech.

- No cóż, zobaczymy.

- Mówiłaś o dwóch powodach.

- Zgadza się. - Teraz to ona patrzyła nad wodą. Głos nabrzmiał czymś, co mogło być zakłopotaniem, może nawet dumą. - Wygląda na to, że jestem w ciąży.

Cisza zdawała się ich poganiać jak ciemna mgła nadciągająca od zatoki. Odgłosy miasta, już wcześniej słabe, przygasły poniżej progu percepcji. Carl położył dłonie płasko na kamiennym murku, spojrzał w dół.

- Gratuluję.

- Jasne, dzięki.

- To Merrina? Czy chłopaczka z maczetą?

- Nie wiem i w zasadzie mnie to nie obchodzi. Podobnie jak twoich przyjaciół z Agencji. Wystarczy, że matka jest certyfikowaną trzynastką, nie muszę się jeszcze martwić ojcem. Wyślą za mną wszystko, co mają. Muszę się zmyć, Marsalis. Schować się w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Jasne. - Złożył ręce z chłodu, obrócił się twarzą w jej stronę. - Z drugiej strony masz jedną znaczącą przewagę nad Agencją.

- A mianowicie?

- Oni nie wiedzą o twoim istnieniu.

I gdzieś w jego głowie głos Sevgi Ertekin.

*Baba, to dobry człowiek. Jest czysty.*

Carmen Ren przyjrzała mu się czujnie.

- Zgadza się. W tej chwili nie wiedzą o moim istnieniu.

Carl znów spojrzał w stronę zatoki. Coś ścisnęło go za gardło. Sevgi, Névant i pozostali. Całe jego życie zdawało się pulsować smutkiem.

- Ode mnie się nie dowiedzą.

## ROZDZIAŁ 49

Fizyczne wejście do biur Fundacji Koszt Ludzki było dziwnym uczuciem. Wspomnienia z wirtualnego formatu zderzały się z faktycznym wystrojem recepcji i prowadzących z niej korytarzy. Nie siedziała tam Sharleen, właściwie w poczekalni nie było nikogo, a ściany były bledsze, w chłodniejszym odcieniu błękitu. Na ścianach nie wisiały zapamiętane dzieła sztuki, a zajmujące ich miejsce plakaty Najpierw Ziemia sprawiały wrażenie brudnych i wyświechtanych. Kiedy na ich powitanie wyszedł Jeff, wyglądał na równie zmiętego.

- We własnej osobie - odezwał się, obejmując Nortona w krótkim uścisku. - Miła niespodzianka.

Norton odpowiedział uściskiem.

- Tak, choć obawiam się, że czysto służbowo. Przyszedłem znowu skorzystać z twojej profesjonalnej wiedzy. To jest Carl Marsalis. Marsalis, mój brat Jeff.

Jeff bez mrugnięcia okiem uściśnął dłoń trzynastki.

- Oczywiście. Powinienem był rozpoznać pana ze zdjęć w wiadomościach. Wejdziecie?

Poszli innym korytarzem, niż Norton zapamiętał z wirtualnych biur, i oczywiście ten nie rozmył się tak, jak to się działo w formacie. Mijali drzwi z prostymi plastikowymi tabliczkami, zdradzającymi nieco z codziennej działalności fundacji: poradnictwo urazowe, przedstawiciel straży przybrzeżnej, reakcje na molestowanie, wsparcie... Przez jedno z otwartych drzwi Norton dostrzegł masywną Azjatkę, wpatrującą się gdzieś w przestrzeń znad styropianowego kubka z kawą. Uniosła lekko rękę na powitanie, ale nic nie powiedziała. Poza nią miejsce zdawało się być opuszczone.

- Cicho tu o poranku - zauważył Marsalis.

Jeff obejrzał się przez ramię.

- Tak. Cóż, jeszcze wcześniej. Jesteśmy na świeżo po poważnym kryzysie dotyczącym finansowania, więc wysłałem wszystkich do domu z przykazaniem uczczenia sukcesu i przyjścia dziś później. Tutaj.

Wpuścił ich do biura opisanego prostą tabliczką „Dyrektor” i starannie zamknął za nimi drzwi. Tutaj też widać było różnice w stosunku do wirtuala: wystrój w agresywniejszych odcieniach czerwieni i szarości, ta sama sofa, ale

plecami do okna i nie było miejsca na obejście jej z tyłu, przed nią niski stolik do kawy. Drobiazgi poprzestawiano albo wymieniono. Z biurka zniknęła fotografia Megan, zastąpiło ją zdjęcie dzieci. Jeff gestem wskazał na sofę.

- Siadajcie. Jak traktuje pana INKOL, panie Marsalis?

Trzynastka wzruszyła ramionami.

- Cóż, wyciągnęli mnie z więzienia w Jezusowie.

- Tak, to pewnie można uznać za całkiem niezłe otwarcie. - Jeff obszedł sofę i usiadł naprzeciw nich. Na jego twarzy pojawił się zmęczony uśmiech. - To co mogę dla was zrobić?

Norton poruszył się niespokojnie.

- Jeff, co wiesz na temat czarnych laboratoriów Harbin?

Uniesione brwi. Jego brat westchnął głęboko.

- Cóż, nie za wiele. Dość mocno pilnują swoich okolic. Daleko na północ, daleko od morza. Bardzo silne zabezpieczenia. Z tego, co udało się nam zebrać, wynika, że to stamtąd wychodzi produkt najwyższej jakości.

- Spotkał pan kiedyś wariant z laboratoriów Harbin? - zapytał Marsalis. - Koszt Ludzki miał kiedyś z jakimś do czynienia?

- Chryste, nie. - Jeff cofnął się na oparcie i oparł głowę na rękę. Wyglądał, jakby się nad tym zastanawiał. - Cóż, w każdym razie z pewnością nie od kiedy zaczęliśmy działać w obecnej formie. To znaczy, zanim zaczęliśmy dostawać fundusze stanowe, jeszcze zanim podjąłem tu pracę, to możliwe, mógłbym sprawdzić kartoteki. Ale wątpię. Większość uciekinierów, którzy do nas docierają, to nieudane warianty z obozów doświadczalnych. Nie za bardzo ich puszczają, ale też nie bardzo się przejmują tym, co się z nimi stanie, więc łatwiej im jest się wymknąć, dostać na łódź rybacką czy coś podobnego, może gdzieś się ukryć. Za to ktokolwiek, kto wyszedłby z Harbin, byłby bardzo cenny i pewnie też bardzo lojalny. Wątpię, żeby byli zainteresowani ucieczką, nawet gdyby ochrona była na tyle niedbała, żeby ich wypuścić.

- Spotkałem kogoś takiego zeszłej nocy - poinformował Marsalis.

Jeff zamrugał.

- Wariant z Harbin? Gdzie?

- Tu. W mieście.

- Tutaj? Jezu. - Jeff spojrzał na Nortona. - Ty też przy tym byłeś?

Norton potrząsnął głową.

- Cóż. - Jeff rozłożył dłonie. - To znaczy, to cholernie poważna sprawa,

Tom. Jeśli jest tu ktoś z Harbin, istnieje spora szansa, że pracuje dla Wydziału Dwa.

- Nie. - Marsalis wstał i podszedł do okna. - Odbyłem z nią całkiem długą rozmowę. Już jakiś czas temu urwała się z Wydziału Dwa.

- Hm. - Jeff zmarszczył brwi. - Dla kogo teraz pracuje?

- Pracuje dla ciebie, Jeff - oświadczył murzyn.

Słowa zawisły w powietrzu, trzasnęły i obróciły się niczym trup na linie. Norton patrzył w oczy brata i było w nich wszystko, czego potrzebował. Potem Jeff uciekł spojrzeniem, wykręcił się, spojrzął na Marsalisa. Trzynastka nie odwróciła się od okna. Jeff popatrzył na szerokie plecy, kurtkę z napisem S(t)ygma(t), brak ruchu. Znów obrócił się do brata.

- Tom?

Norton sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon. Spojrzął na twarz brata i kciukiem włączył odtwarzanie.

- *Guawa Diament?*

- *Czekam.*

- *Nie możemy udzielić pomocy, Guawa Diament. Powtarzam, nie możemy udzielić pomocy. Sugeru...*

- *Co takiego? Ty pieprzący bonobo gnoju, lepiej mi powiedz, że nie dostyszałam.*

- *Pojawiły się komplikacje z tej strony. Nie możemy działać. Przykro mi, Guawa Diament. Jesteś zdana na siebie.*

- *Cholernie pożałujecie, jeśli uda nam się stąd wydostać w jednym kawałku.*

- *Guawa Diament, powtarzam, nie możemy działać. Sugeruję natychmiastowe wprowadzenie Jaszczurki i ucieczkę z „Kota Bułhakowa”, póki to możliwe. Wciąż możesz mieć czas.*

*Chwila ciszy.*

- *Jesteś cholernym trupem, Kontrola Pazura.*

*Szum statyki.*

Przez kilka chwil wszyscy wsłuchiwali się w pustkę szumu, jakby usłyszeli właśnie ostatnią transmisję samolotu spadającego do oceanu. Norton wyłączył telefon.

- To ty, Jeff? - zapytał cicho. - Powiedz mi, że nie.

- Tom, wiesz, że głos można podrobić równie łatwo jak...

Urwał gwałtownie, gdy z tyłu na jego ramiona opadły ciężko ręce murzyna. Marsalis nachylił się nad nim.

- Nie - powiedział.

Jeff popatrzył na Nortona.

- Tom? Tom, do cholery, jestem twoim bratem.

Norton kiwnął głową.

- Tak. I lepiej powiedz nam wszystko, co wiesz.

- Tom, nie możesz poważnie...

- Sevgi zginęła! - Nagle zaczął krzyczeć, drżąc z gardłem nabrzmiętym siłą tego wszystkiego, z wirującymi wspomnieniami szpitala. - Ona zginęła, Jeff, bo ukryłeś to przede mną. Ona nie żyje!

Dłonie Marsalisa nie drgnęły na milimetr. Norton zacisnął zęby, spróbował opanować drżenie. Mocno zacisnął usta, ciężko oddychając.

- Pieprzący bonobo gnojek - wydusił z siebie. - Dobrze cię nazwała, Jeff. Dobrze cię znała.

- Tom, nie rozumiesz.

- Owszem, jeszcze nie rozumiemy - zgodził się Marsalis. Uniósł jedną dłoń, zachęcająco klepnął Jeffa w ramię. - Ale ty nam wszystko wyjaśnisz.

- Ja. - Jeff potrząsnął głową. - Nie rozumiecie, nie mogę.

Marsalis uniósł głowę i spojrzał wprost na Nortona. Ten poczuł, jakby go kopnięto w brzuch, coś, co przyprawiło go o mdłości, ale równocześnie jakoś mu ulżyło. Kiwnął głową.

Murzyn przycisnął ręką gardło Jeffa Nortona, przycisnął go do sofy. Wbił palce. Drugą ręką owinął klatkę piersiową Jeffa, blokując mu rękę i unieruchamiając. Jeff wydał zszokowany, zdławiony dźwięk, szarpnął się, chwycił trzynastkę wolną ręką. Marsalis chwycił jego rękę w nadgarstku i unieruchomił. Jeff próbował się wyszarpnąć, nie zdołał.

- To ty nie rozumiesz - zimno oświadczył Marsalis. Był to ten sam ton, który Norton usłyszał u niego w quechua, gdy mówił do Gutierrezza. - Ktoś musi zapłacić za Sevgi Ertekin. Ktoś zginie. W tej chwili mamy ciebie. Jeśli nie dasz nam kogoś innego, ty zapłacisz. Spróbuj ukrywać przede mną to, co wiesz, a policja znajdzie w zatoce trupa z połamanymi wszystkimi kośćmi i z wydłubanymi oczami.

Norton patrzył, zmusił się do patrzenia. Z siniejącej twarzy wbiło się w niego błagalne spojrzenie Jeffa. Jednak w jego głowie tłoczyły się obrazy gasnącej Sevgi, unieruchamiając go w miejscu i zmuszając do patrzenia.

- Zabiłeś ją, Jeff - powiedział cichym, rozsądnym głosem, w którym budziły się nutki szaleństwa. - Ktoś musi za to zapłacić.

- Onbekend!

Zdławione stęknięcie, ledwie rozpoznawalne. Marsalis złapał to, gdy Norton wciąż składał znaczenie zdławionych sylab. Zwolnił chwyt z gardła i piersi Jeffa, pociągnął rękę trzymaną w nadgarstku i obrócił tak, że Jeff został przyciśnięty do sofy. Marsalis nachylił się i przycisnął bok głowy Jeffa do tkaniny, dociskając kłykciami skroń mężczyzny. Jeff zakaszłał i zacharczał, z wysiłkiem próbując chwytać powietrze, z oczami pełnymi łez.

- Co z Onbekendem? - zapytał Norton.

Oszłamiające poczucie szaleństwa nie odeszło. Otoczyło go niczym uliczny gang. Pośród całego horroru przez chwilę zastanawiał się, czy to właśnie znaczyło być trzynastką, czy to właśnie należało opanować, by żyć jak Merrin i Marsalis. Zaciekawilo go, jak łatwo byłoby sobie odpuścić i czy później możliwe byłoby ponowne odzyskanie kontroli.

Z Jeffa wydobyło się charczenie.

- Co z Onbekendem?

- Dobrze, dobrze, powiem wam, do cholery, powiem. - Głos Jeffa się załamał. - Zaprzestał prób uwolnienia się. Leżał na sofie, dysząc z wysiłkiem, mocząc tkaninę łzami. - Tylko mnie puść. Proszę.

Marsalis znów spojrzał na Nortona. Mężczyzna kiwnął głową. *Mój brat nie jest żołnierzem ani bandytą*, powiedział trzynastce poprzedniej nocy. *Nie jest twardy fizycznie, nie wytrzyma. Po prostu pozwól mi zdecydować. Wyciągniemy z niego wszystko, czego potrzebujemy.*

Marsalis podciągnął Jeffa do pozycji siedzącej. Odsunął się i stanął przy biurku, składając ramiona.

- W takim razie posłuchajmy.

Jeff przeniósł spojrzenie z murzyna na swojego brata. Norton odpowiedział twardym wzrokiem.

- Tom...

- Słyszałeś, Jeff. Posłuchajmy.

Jeff Norton jakby zapadł się w sobie. Zadygotał. Marsalis i Norton wymienili spojrzenia. Norton przeniósł rękę na podolek. Jeff potarł dłońmi po twarzy, przeciągnął je przez włosy. Mocno pociągnął nosem, wytarł oczy. *Tak, płacz, Jeff*, pomyślał Norton z brutalnością, która nim wstrząsnęła. *Płacz tak jak my. Jak Sevgi, ja, Marsalis, Megan i pewnie Nuying, i kto wie, ile jeszcze. Chcesz się pobawić w samca alfa, starszy bracie? Witaj w klubie.*

Jeff opuścił ręce. Zmajstrował lekki uśmiech, przykleił go do ust. Znów nabral pozorów opanowania.

- Słuchaj, Tom, nie masz pojęcia, jak głęboko to sięga. Onbekend nie jest

jakaś zwykłą przypadkową trzynastką...

- Tak, to bliźniak Merrina - bezbarwnie skomentował Marsalis. - To już wiemy. Kazałeś Carmen Ren przechować bezpiecznie Merrina, podczas gdy Onbekend zostawiał materiał genetyczny na miejscach zbrodni w całym Jezusowie i na Wybrzeżu. We właściwej chwili Merrin elegancko ginie i bierze na siebie winę za to wszystko. Pytanie brzmi: czemu? Kim byli ci wszyscy ludzie?

Jeff zamknął oczy. Westchnął.

- Mogę się napić? Proszę?

- Nie, nie możesz się napić - warknął Marsalis. - Właśnie pozwoliliśmy ci żyć. Skorzystaj z łaski i mów.

Jeff spojrział na brata, przybrał zmęczony wyraz twarzy. Norton skojarzył - Jeff musiał dostać wspomaganie. Wołanie o pomoc.

- Jasne. Należę ci drinka, Jeff - powiedział łagodnie. Wytrzymał niedowierzające spojrzenie murzyna, nieznacznie machnął dłonią. - Gdzie je trzymasz?

- Szafka ścienna. Jest tam butelka Martella i kilka kieliszków. Poczęstujcie się. - Jeff Norton przeniósł spojrzenie na Marsalisa. - Całkiem nieźle tobą rządzi jak na trzynastkę, nie?

Marsalis popatrzył na niego z góry. Na jego czole pojawiła się wąska kreska.

- Lepiej się tym zajmij.

- Czym się zająć?

Norton obejrzał się od otwartych drzwiczek szafki akurat na czas, by zobaczyć, jak pięść murzyna uderza z wysokości pasa. Krótki, twardy cios z pełną siłą w nos Jeffa. Usłyszał trzask pękającej chrząstki. Jeff szarpnął się i wrzasnął. Znów poderwał ręce do twarzy. Spomiędzy jego palców popłynęła krew.

- Tym się zajmij.

Norton zauważył na biurku pudełko chusteczek. Wziął je i zaniósł do sofy razem z butelką koniaku i jednym kieliszkiem. Postawił wszystko na stoliku do kawy, wyciągnął z pudełka chusteczkę i podał ją bratu.

- Nie próbuj podskakiwać, Jeff - powiedział cicho. - On bardzo chce cię zabić, a ja też wcale nie jestem daleki od tego. Masz, wytrzyj to.

Jeff wziął chusteczkę, potem wyciągnął jeszcze kilka z pudełka. Gdy tamował upływ krwi z nosa, Norton nalał koniaku do kieliszka. Podsunął go po blacie stołu.

- Masz swojego drinka - powiedział do brata. - A teraz słuchamy.

\* \* \*

- Odzew Skorpiona.

Carl kiwnął głową.

- Kontrola Pazura. Jasne. Wciąż używacie wywołań kodowych, żałosny pierdzielu. Kim byłeś, Jeff, wsparciem logistycznym? Bo jasne jak cholera, że nie na czele czegoś tak paskudnego jak Skorpion.

- Słyszałeś o nich? - zainteresował się Norton.

- Tak, z poczty pantoflowej. Grupa operująca w rejonach Wybrzeży Pacyfiku, podobno jedna z ostatnich tajnych operacji przed Secesją. - Carl popatrzył badawczo na Jeffa Nortona. - No to posłuchajmy, Jeff. Czym się zajmowałeś?

- Logistyką - przyznał ponuro dyrektor Kosztu Ludzkiego. - Byłem koordynatorem operacji.

- Jasne.

- Kiedy to u diabła było? - Norton przeszył brata wzrokiem. - Nie przeniosłeś się tu przed '94. Mieszkałeś w Nowym Jorku.

Jeff Norton ciężko pokiwał głową.

- Byłem tu przez cały czas, Tom. Tam i z powrotem, z Unii na Wybrzeże, z Wybrzeża do południowoschodniej Azji. Wszędzie mieliśmy biura. Przez połowę czasu nie byłem w domu częściej niż co piąty weekend. - Zabrał spod nosa zakrwawione chusteczki, rzucił je na stolik i się skrzywił. - W każdym razie skąd miałeś wiedzieć? Widywaliśmy cię ile, raz na miesiąc?

- Byłem zajęty - mruknął Norton.

- Z tego, co słyszałem - wtrącił Carl - Secesja powinna skończyć Odzew Skorpiona. Podobnie jak wszystkie paskudne operacje, o których amerykańska opinia publiczna nie musiała wiedzieć. Przynajmniej taka jest oficjalna wersja. Ale to lata siedemdziesiąte, dobre kilka lat wcześniej, niż mogli cię zatrudnić, Jeff. To co się stało? Przeszli w prywatne ręce?

Jeff posłał mu zdumione spojrzenie?

- Słyszałeś o tym?

- Nie. Ale nie byłby to pierwszy przypadek, gdy banda zbirów z tajnych operacji nie mogła znieść wcześniejszego przejścia na emeryturę i zamiast tego weszła na rynek. Tak było?

- Odzew Skorpiona został zatrzymany. - Jeff wciąż się dąsał. Wyciągnął z pudełka kolejne chusteczki. Carl przyglądał mu się beznamiętnie.

- Zatrzymany przez kogo?



Norton sam już doszedł do odpowiedzi.

- Stany Wybrzeża. Musiało tak być. Właśnie się oderwali, rejon Pacyfiku to ich przyszłość. Cokolwiek mogło im dać przewagę, musiało być warte zatrzymania, nie?

- Zgadza się, braciszku. - Jeff odsunął od nosa chusteczki na dość długo, by przełknąć sporą porcję koniaku. - Zaczynasz dostrzegać szerszy obraz?

- Toni Montes - odezwał się Carl. - Jasper Whitlock, Ulysses Ward, Eddie Tanaka. Pozostali. Wszystko personel Skorpiona?

- Tak. Nie te nazwiska, ale owszem.

- I Onbekend.

- Zgadza się. - Głos Jeffa Nortona coś przygasiło. Carl pomyślał, że mógł to być strach. - On też. Przez część czasu. Wicie, przychodził i odchodził. Na delegacjach.

- Ale nie Merrin?

Dyrektor Kosztu Ludzkiego prychnął.

- Dla nas Onbekend był Merrinem. Nie wiedzieliśmy o tym drugim, nikt nie wiedział, że było ich dwóch. - Zajrzał w głąb kieliszka. - Aż do teraz.

Carl podszedł przez biuro do barku. Popatrzył na kolekcję butelek i szkła. Przed jego oczami pojawił się obraz knajpy w Bayview, picie z Sevgi Ertekin skradzionej whiskey z baru i wciąż wiszący w powietrzu smród prochu. Poczł w sobie falę furii, miał ochotę stłuc wszystko w szafce, chwycić jedną z butelek za szyjkę, odwrócić się z nią do Jeffa Nortona i...

- Poszukiwania n-dżina puszczone na ofiarach nie wykazały żadnych powiązań między nimi - odezwał się Carl bezbarwnie. - Co znaczy, że musieliście użyć dość potężnych n-dżinnów Wybrzeża, żeby ukryć tych ludzi w nowych tożsamościach. Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód, dla którego ktoś miałby to robić.

- Zwijaliście się. - W głosie Toma Nortona echo jego zrozumienia. - Zamknęliście całą operację i rozeszliście się.

Carl z pustymi dłońmi obrócił się z powrotem do sofj.

- Kiedy, Jeff? Kiedy i czemu?

Jeff Norton zerknął w stronę brata.

- Myślałem, Tom, że sam możesz do tego dojść.

Dyrektor INKOL kiwnął głową.

- Przyjechałeś tu i zacząłeś pracować w Koszcie Ludzkim w dziewięćdziesiątym czwartym. Ciebie też odstawili. To musiało być mniej więcej wtedy.

Jeff odłożył bieżącą porcję zakrwawionych chusteczek, sięgnął po następne. Na jego ustach błąkał się lekki uśmieszek. Zanim zdołał ją zebrać, na usta spłynęło mu trochę krwi.

- Właściwie to trochę wcześniej - wyjaśnił. - Takie rzeczy, gdy już zaczęły się toczyć, nabierają sporej bezwładności. Powiedzmy dziewięćdziesiąty drugi na decyzję, wczesny 2093 na przerwanie operacji. I po roku wszyscy zniknęliśmy.

Carl podszedł bliżej.

- Spytałem o powód.

Dyrektor Kosztu Ludzkiego popatrzył na niego z ręką przy nosie. Wydawał się wciąż uśmiechać.

- Nie domyślasz się?

- Jacobsen.

Nazwisko opuściło jego usta, zabrzmiało w gabinecie niczym inwokacja. Przed jego oczami w telewizyjnym skrócie przemknęła era od '89 do '94. Zamieszki, szalejące tłumy i szeregi opancerzonej policji, płonące samochody. Przemawiający święci i politycy, komunikaty i przemowy ONZALG, a za tym wszystkim cicha, łysiejąca postać szwedzkiego komisarza, odczytującego swój raport spokojnym tonem doświadczonego dyplomaty niczym człowiek próbujący rozłożyć parasol w huraganie. Słowa porwane, źle podsumowywane, cytowane, zniekształcane, wyjmowane z kontekstu, używane i nadużywane dla korzyści politycznych. Okropne, wszechogarniające wrażenie, że jednak miało to wszystko coś wspólnego z nim, Carlem Marsalisem, elitą Ospreya, że choć z początku wydawało się to niemożliwe, jakaś idiotyczna fala opinii pasących się cieląt naprawdę miała teraz znaczenie i jednak wpłynie na jego życie.

*Jacobsen.*

O tak, jednak wpłynęła.

W niecałe pięć lat z potajemnych bohaterów stali się znienawidzonymi potworami. Ponure orzeczenia, jeszcze gorsze wybory: obozy internowanych lub długi sen i wygnanie do nieustannego obozu Marsa, zmuszeni do wyboru przez głupi tłum niczym skazaniec zmuszony do wyboru stryczka.

I kriokapsuła, lodowata i unieruchamiająca, wypełniająca się powoli żelazem, gdy środki uspokajające zabrały mu już impuls paniki, tak samo jak przy demobilizacji odebrano mu sprzęt bojowy. Długi sen padający na niego niczym cień budynku o tysiącu pięter, przesłaniający słońce.

Jacobsen.

Jeff Norton znów nachylił się do kieliszka.

- Zgadza się, Jacobsen. W 2092 nie byliśmy jeszcze pewni, jak faktycznie będą wyglądać Porozumienia, wszystko było jeszcze na etapie uzgodnień. Ale przekaz był już cholernie oczywisty. Nie trzeba było geniusza, żeby przewidzieć, jak się to wszystko potoczy.

- Ale - spytał Tom Norton, potrząsając głową - jaki to ma związek z czymkolwiek? Dobra, miałeś Onbekenda. Ale ci wszyscy pozostali ludzie - Montes, Tanaka, reszta. Oni nie byli wariantami, tylko zwykłymi ludźmi. Ty byłeś zwykłym człowiekiem. Czemu Jacobsen miał jakieś znaczenie?

Carl stanął nad dyrektorem Kosztu Ludzkiego i zrozumiał w zarysach, czego się spodziewać.

- Miał znaczenie - powiedział bezbarwnie - ponieważ tym właśnie się zajmowali. Prawda, Jeff? Nie chodziło o personel, prawda? Chodziło o to, czym zajmował się Odzew Skorpiona. Jaki mieliście zakres działalności, Jeff? I nie prosz mnie o zgadywanie, bo zrobię ci krzywdę.

Jeff Norton wrzucił ramionami i napił się koniaku.

- Rozmnażanie.

Jego brat zamrugał.

- Rozmnażanie? Czego?

- Och, do jasnej cholery, Tom, a jak myślisz? - Jeff z irytacją machnął ręką, prawie przewracając butelkę. Wyglądało, jakby koniak uderzył mu do głowy. - Rozmnażanie pieprzonych wariantów. Jak twojego kumpla tutaj, jak Nuying. Wszystko, na czym zdołaliśmy tam położyć łapy.

- Tam? - zapytał Carl z głębi niemożliwego spokoju. - Mówisz o głębi Chin?

- Tak. - Jeff wciąż przyciskał luźno do nosa chusteczki. Jedną ręką ściągnął korek z butelki, nalał sobie kolejny kieliszek. - Odzew Skorpiona prowadził tajne operacje w południowowschodniej Azji i Chinach od połowy zeszłego wieku. To było ich podwórko, wchodzili tam i wychodzili jak nasmarowany fiut. Nowy mandat oznaczał po prostu wejście i zebranie wszystkiego, co wyglądało na obiecujący materiał. Przed Jacobsenem warianty wciąż wydawały się właściwą drogą. Chińczycy robili je pełną parą, bez żadnych praw człowieka utrudniających pracę, wysuwali się przed peleton. Zamierzaliśmy wyrównywać szanse.

Carl zauważył sposób, w jaki Tom Norton rozglądał się po biurze, oszołomiony i pełen niedowierzania.

- Koszt Ludzki. Obiecujący materiał. Mówisz o ludziach? Jezu Chryste,

Jeff, mówisz o cholernych ludziach?

Jego brat wzruszył ramionami i pociągnął z kieliszka.

- Jasne. Ludzie, żywe hodowle tkankowe, zamrożone embriony, notatki laboratoryjne, wszystko. Na małą skalę, ale praktycznie wszystko. Byliśmy dużą jednostką, Tom. Mnóstwo wsparcia, mnóstwo zasobów.

- To niemożliwe. - Norton wykonał rękami gest, jakby coś od siebie odpychał. - Mówisz mi, że Koszt Ludzki był... ty prowadziłeś Koszt Ludzki jako coś w rodzaju pirackiego programu testów genetycznych?

- Niezupełnie. Koszt Ludzki był frontem, przykrywką do ukrycia operacji tu, na Wybrzeżu. Wtedy był znacznie mniejszy, zanim dostaliśmy oficjalne fundusze stanowe, a ja przyszedłem tu oficjalnie kierować fundacją. Wtedy była to działalność partyzancka. Kilka domów przejściowych tu i tam, jakies portowe hangary w San Diego. Odzew Skorpiona był jednostką operacyjną, zbierał dane wywiadowcze i ściągwał towar. - Jeff popatrzył przez brata na coś innego. - Urządzał faktyczne laboratoria i obozy.

- Obozy - z obrzydzeniem powtórzył Norton. - Czarne laboratoria, tu na Wybrzeżu? Nie wierzę. Gdzie?

- A jak myślisz, braciszku? Gdzie Wybrzeże lokuje wszystko, czego zapach nam się tu nie podoba?

- Jezusowe - Carl pokiwał głową. - Jasne, czemu nie? W końcu to tylko uprzedzenie Cimarron i Tanany. Gdzie to urządziliście? Nevada? Tam jest miło i blisko do płotu. Czy Utah?

Jeff potrząsnął głową.

- Wyoming. Mnóstwo miejsca, prawie zero mieszkańców. Nikt nie miał szans zobaczyć, co się tam dzieje, nikt się nie przejmował, a władze stanowe w tej części świata z pocałowaniem ręki wezmą wszystko, jeśli tylko zaproponujesz im dobre pieniądze za prawo do ziemi. Powiedzieliśmy im po prostu, że to kolejny projekt modyfikowanej genetycznie żywności. - Wciąż szklane spojrzenie. - Może nawet nie było to tak odległe od prawdy, co? W każdym razie wzięliśmy kilkaset kilometrów kwadratowych, postawiliśmy płoty pod napięciem. Pola minowe i skanery, duże korporacyjne tablice zakazu wstępu. - Jego głos przycichł do szeptu. - Raz tam byłem. Widziałem, jak to wszystko działa idealnie i nikt w okolicy nie wiedział ani się nie przejmował.

- Co stało się z tym wszystkim, kiedy się zwinęliście? - cicho zapytał Carl.

- Nie domyślasz się?

Murzyn kopnął, trafiając w piszczel Jeffa Nortona tuż poniżej kolana. Dyrektor Kosztu Ludzkiego jęknął i zgiął się wpół. Carl chwycił go za włosy i trzasnął głową w blat stolika. Odciągnął, uderzył ponownie...

W drogę wszedł mu Tom Norton. Zatrzymując go, odciągając.

- Już wystarczy - rzucił dyrektor INKOL.

Carl wbił w niego spojrzenie.

- Zabieraj ze mnie łapy.

- Powiedziałem, że wystarczy. Potrzebny jest nam przytomny.

Pod ich nogami Jeff skulił się na podłodze między stolikiem a sofą. Carl jeszcze chwilę wpatrywał się w Nortona, potem niechętnie kiwnął głową. Podciągnął jego brata z powrotem na sofę i zwałił go na nią. Zgiął się, ustawiając głowę na jego poziomie.

- Mówiłem ci, żebyś nie kazał mi więcej zgadywać - warknął. - Co się stało z obozem w Wyoming po zwinięciu Skorpiona?

- Dobra. - Słowa wypłynęły z Jeffa Nortona jak woda z przerwanej tamy. Nos znów zaczął mu krwawić, brudząc krwią złożone dłonie. - Spaliliśmy to, do cholery, spaliliśmy tam wszystko, rozumiesz? Skorpion wszedł, wszystkich zabili, badanych i wynajęty personel. Potem to zaminowali, wysadzili i spalili wszystko do samej ziemi. Nie zostało tam nic oprócz popiołów.

Oczyrna duszy Carl zobaczył przebieg operacji, sporadyczny klekot broni maszynowej, wszechpotężną panikę i stłumione krzyki ginące w trzasku płomieni. Stłumiona seria grzmotów wybuchających budynków i instalacji. A później, gdy odchodzili, ogień pod ciemniejącym niebem, w oddali, gdy się odwrócić. Jak Alwas, jak Taszkient, jak hotele w Dubaju. Odwieczny sygnał. Bestia na wolności.

- I nikt nic nie powiedział? - z niedowierzaniem zapytał Norton.

- Och, Jezu, Tom, słuchałeś w ogóle tego, co mówiłem? - Jeff roześmiał się chrapliwie. - To było w Republice. Słyszałeś o syndromie Guantanamo? Zrób to dość daleko od domu, a nikogo to nie będzie obchodzić.

Carl wrócił do biurka i oparł się o jego brzeg. To nie była procedura przesłuchania, powinien zachować bliskość, by utrzymać parcie. Ale nie potrafił sobie zaufać, że wytrzyma, mając Jeffa Nortona na wyciągnięcie ręki.

- Dobra - rzucił ponuro. - Wszystkich tych ludzi łączy Odzew Skorpiona, daje im sekret do utrzymania i Odzew Skorpiona ukrywa przeszłość tak, że nie widać powiązań w przepływie danych. Nic z tego nie tłumaczy, dlaczego nagle po piętnastu latach giną. Ktoś znów sprząta dom. Tylko czemu teraz?

Dyrektor Kosztu Ludzkiego uniósł zakrwawioną twarz i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wydawał się trząść od czegoś, co prawie było śmiechem.  
- Cholerny rozwój kariery - rzucił gorzko. - Ortiz.

## ROZDZIAŁ 50

Następnego ranka złapali startujący bladym świtem prom Cathay Pacific do Nowego Jorku. Carl wolałby nie czekać, ale musiał wykonać parę telefonów i zaplanować działania. Chciał też, żeby Tom Norton miał czas przespać się ze swoją decyzją - jeśli w ogóle zdoła usnąć - i spojrzął na wszystko jeszcze raz w zimnym świetle poranka. Ogólnie rzecz biorąc, grał lepszymi kartami, niż się spodziewał, ale Norton wciąż stanowił niepewny czynnik, jeszcze bardziej ze względu na to, jak potoczyły się zdarzenia w Fundacji Koszt Ludzki.

Dokumenty INKOL Nortona umożliwiły im szybkie przejście przez odprawę na lotnisku i wsiedli na pokład jako pierwsi. Carl usiadł w fotelu przy oknie i czekając na zapełnienie się promu, wyglądał na wiecznobetonową płytę zalewaną deszczem szarpanym przez wiatr. Za obrysem budynków terminalu spod ołowianych chmur przedzierało się blade światło dnia. Chmury przysły w nocy i wyglądały, jakby planowały zostać na dłużej.

Prognozy dla Nowego Jorku mówiły o suchym, czystym i zimnym dniu. Jak myśli w jego głowie.

Prom suborbitalny drgnął na podwoziu, potem zaczął się cofać. Carl wyprostował prawą dłoń, potem zgiął ją w miseczkę. Przypomniawszy sobie gładki szklany ciężar ozdoby na biurku dyrektora Kosztu Ludzkiego. Zerknął na siedzącego obok Toma Nortona. Pracownik INKOL zauważył jego spojrzenie - twarz miał poszarpaną przez demony, które nie dały mu spać.

- Co?

Carl potrząsnął głową.

- Nic. Po prostu cieszę się, że jedziesz ze mną.

- Daj mi do cholery spokój, Marsalis. Złożyłem obietnicę. Dotrzymam jej. Nie potrzeba mi twoich rytuałów plemiennych.

- Tu nie chodzi o rytuały. - Carl wyjrzał przez okno. - Cieszę się, że się zdecydowałeś, bo bez ciebie to wszystko byłoby gdzieś tak ze sto razy trudniejsze.

Chwila ciszy. Za oknem budynek terminalu zniknął z pola widzenia, gdy prom skręcił w stronę pasa. Wyczuł wahanie Toma Nortona.

- Ale to by cię nie powstrzymało - stwierdził w końcu mężczyzna. -

Prawda?

Carl obrócił głowę do przodu, przycisnął tył do oparcia fotela. On też nie spał za długo. Przez całą noc ciemne kąty jego pokoju hotelowego odwiedzała Elena Aguirre, udając, że jest Sevgi Ertekin, nie do końca skutecznie.

- W sumie nie.

- Tak właśnie to robisz? - zapytał go Norton.

- Co robię?

- Stajesz się trzynastką. O to w tym właśnie chodzi? Po prostu nie pozwolić się powstrzymać?

Carl posłał mu zaskoczone spojrzenie.

- Nie. Tu chodzi o budowę genetyczną. Czemu, czujesz się porzucony?

- Nie. - Norton też głębiej zaparł się w fotel. - Po prostu próbuję zrozumieć.

Prom zaczął przyspieszać na pasie startowym. Deszcz zalał okno, rozmazany pod kątem przez wiatr. Cichy sygnał dźwiękowy - na panelach LCLS w górze zabłysł znak zaciągnięcia pasów ochronnych, łącznie z animowanymi instrukcjami. Zajęli się grubymi, wyściełanymi pasami tkanin. Podobnie jak w przypadku syreniego śpiewu przygotowań do zanurzenia w wirtualny format, Carl i tu miał problem z zaakceptowaniem unieruchomienia przez pasy - wyzwalaly w całym jego ciele impulsy ucieczki, które musiał tłumić świadomym wysiłkiem wyuczonego w Ospreyu spokoju. Jednak tym razem, gdy skończył poprawiać pasy, głęboko wciągnął powietrze i ze wstrząsem przekonał się, że niczego nie czuje. Tylko wrażenie namierzonego celu, przenikające go zimno jak obudzona siatka.

- Przykro mi - odezwał się do mężczyzny obok. - Z powodu twojego brata. Żałuję, że to musiało się tak skończyć.

Norton nie odpowiedział.

Pełen nacisku sygnał dźwiękowy z tyłu, po drugiej stronie przejścia, sygnalizował, że jakiś dureń nie zdołał się właściwie przypiąć. Pojawiła się stewardesa, pospiesznie idąc na pomoc. Silniki promu zaczęły pracować głośniej, nabierając mocy. Na panelu LCLS pojawił się fioletowy napis, najpierw po chińsku, potem angielsku, hiszpańsku i arabsku, gasnąc w końcu. Na stanowisku.

Carl zerknął na milczącego dyrektora INKOL.

- To jeden z powodów, dla których tu jesteś, prawda?

- Jestem tu z powodu Sevgi. - Napięty głos.



Dźwięk silników na zewnątrz przeszedł w miarowy ryk, prom zwolnił hamulce i pognał wzdłuż pasa. Carl poczuł siłę ponownie wciskającą go w fotel, tym razem zewnętrzną i potężniejszą od niego.

Zamknął oczy i poddał jej się.

Wystrzelili w niebo z łykiem turbin. Zapaliło się suborbitalne paliwo, kopniakiem wyrzucając ich w górę, nad krzywiznę świata. Pasy nie pozwalały im oderwać się od fotela.

- Pieprzony Ortiz - zaklął głośno Norton obok.

We wstrząsach i ryku lotu nie było jasne, czy mówi o człowieku, czy zwraca się do niego. A tym razem jego głos brzmiał inaczej, w sposób trudny do zdefiniowania, ale gdzieś na jego dnie Carl usłyszał coś podobnego do rozpacz.

\* \* \*

Norton tak naprawdę nie był zaskoczony, gdy Jeff wypłuł to nazwisko, ale nie dlatego, że było szokiem. Po prostu zdziwienie nie było już dostępną opcją: dostarczające go gruczoły pracowały przeciążone od chwili, gdy wczorajszego wieczora Marsalis odtworzył mu telefoniczną rozmowę Jeffa i powiedział o Ren. I zdecydowanie nie powinno to mieć dla niego większego znaczenia niż zdrada brata.

A jednak miało.

Wciąż pamiętał zmiany, gdy Ortiz wszedł w pełni na pokład w Jefferson Park, gdy szczupły, dynamiczny polityk z Wybrzeża przekształcił się z konsultanta i członka rady politycznej w faktycznego dyrektora politycznego Ameryk. Pamiętał nagłe wrażenie obcinania, gdy pokłady biurokracji zmuszono nagle do efektywnej pracy albo po prostu zredukowano do niezbędnego minimum. Pamiętał, jak dotychczasowi satrapowie w rodzaju Nicholsona i Zikomo zaczęli walczyć o życie. Nowi ludzie i awanse, Andrea Roth, Lena Oyeyemi, Samson Chang. On sam. Fala zmian i towarzyszący jej napływ świeżego powietrza, jakby ktoś nagle otworzył wszystkie okna od strony East River.

Innego dnia, przy innej okazji, kogoś mówiącego coś takiego nazwałby kłamcą, nie przyjąłby tego do wiadomości.

Tu i teraz było zbyt wiele innych rzeczy. Stary krajobraz wokół niego spłonął: Sevgi, Jeff, pozostałości sprawy Merrina, wszystko płonęło, zbyt gorące, by dotknąć gdziekolwiek bez oparzenia się.

- To od samego początku był pomysł Tanaki. - Jeff, tłumaczący wszystko. Znów suszący chusteczkami krwawiący nos, tym razem za pomocą

wtykanych w dziurki oderwanych zwitków papieru, nowy kieliszek z koniakiem i lekko niewyraźne słowa. - Przyszedł do mnie dwa, może dwa i pół roku temu z cholernie głupim pomysłem. Możemy wydoić Ortiza na poważną kasę, jeśli po prostu zagrozimy mu, że ujawnimy sprawę Odzewu Skorpiona.

- Czemu ty? - zapytał Marsalis.

Jeff wzruszył ramionami.

- Tylko mnie miał. Kiedy się rozproszyliśmy w 94, nie było żadnych powiązań, żadnego oglądania się za siebie. Byłem oprócz Ortiza jedyną osobą, która zachowała własną tożsamość, jedyną z publicznym profilem. Tanaka - wtedy nazywał się Asano, Max Asano - zobaczył mnie w wiadomościach, z tej konferencji w Bangkoku o problemach uciekinierów Wybrzeży Pacyfiku. Przeskoczył przez płot, wyszedł mnie w domu w Marin i wszystko mi wyłożył. Miał już cały plan, włącznie z kontami na Hawajach, sposobem na wyprowadzenie kasy, wszystko. Trzeba było tylko się zdecydować.

- Ortiz? - Norton wciąż nie mógł sobie tego ułożyć. - Alvaro Ortiz kierował Odzewem Skorpiona? Czemu u diabła miałby angażować się w coś takiego?

Jeff posłał mu zmęczone spojrzenie.

- Och, doróżnij, Tom. Ponieważ jest pieprzonym politykiem, człowiekiem spragnionym władzy, z żyłką do ryzyka. Zawsze taki był. W tamtych czasach, zaraz po Secesji, był po prostu młodym urzędnikiem szukającym okazji. Dostał Odzew Skorpiona do ręki i pojechał na nim, jak daleko tylko się dało, czyli prawie do poziomu politycznego. Gdy przyszedł Jacobsen i protokoły nadzoru zrobiły się zbyt sztywne, by dalej ryzykować, przewidując sam zwinął Skorpiona i zajął się wyborami do senatu. Tak się to robi, Tom. Trzeba wyprzedzać peleton i mieć oczy otwarte na następną okazję.

- Następną okazją był INKOL.

- Właśnie, zgadza się, braciszku. - Na twarzy Jeffa pojawiła się uraza. - Pieprzony Ortiz odpracowuje siedem lat na wybieralnym urzędzie tu na Wybrzeżu, co zamienia potem na stanowisko konsultanta w Inicjatywie Kolonijnej. Tam kolejne sześć lat, wspina się na szczyt i teraz mówią o ONZ.

- Nic, tylko skubać - rzucił Marsalis.

- Dokładnie, tak właśnie pomyślał Tanaka. - Jeff przełknął alkohol, zadrzał. - Widzicie, wykombinował sobie, że w Ameryce Północnej siedzi ze

dwadzieścia lub trzydzieści osób z byłego Skorpiona, wszystkie z nowymi tożsamościami, więc Ortiz nie ma szans się domyślić, kto go szantażuje, a przecież nie może pozabijać wszystkich. Poza tym ma obecnie dostęp do funduszy na poziomie INKOL, może urwać parę milionów, wypłata nie będzie go wiele kosztować. To linia najmniejszego oporu.

- Ale nie z Ortizem - automatycznie skomentował Norton.

- Nie. I tego właśnie Tanaka nie rozumiał.

- Podobnie jak ty - zauważył Marsalis. - Do czego w ogóle Tanaka cię potrzebował? Czemu nie wysłał swoich żądań wprost do Ortiza?

Kolejne wzruszenie ramion.

- Powiedział, że chce bufora. Nie wiem, może po prostu chciał kumpla, kogoś, z kim mógłby pracować. To musi być trudne, nie? Przejście przez resztę życia z fałszywą tożsamością. I to z powodu przeszłości, o której nikomu nie możesz opowiedzieć.

Marsalis popatrzył na Jeffa jak na coś, co miał ochotę rozbić.

- Och, cholernie łamiesz mi serce. Jakim cudem ten cały Asano-Tanaka-jak-mu-tam potrzebował ponad dekady, żeby zabrać się do szantażu?

- Nie wiem - zmęczonym głosem odpowiedział Jeff. - Personel Skorpiona dostał pieniądze na dobry początek, wszystko w ramach umowy. Ale nie wszyscy potrafią sobie z czymś takim poradzić. Może akurat tyle czasu Tanaka potrzebował na przehulanie swojego udziału. A może po prostu miał pecha parę lat wcześniej i stracił wszystko, co miał. Jak pośliźniesz się finansowo w Republice, to nie możesz tam zbytnio liczyć na pomoc w stanięciu na nogi.

- Jasne. Czyli ten splukany były komandos przychodzi do ciebie z jakimś szalonym planem szantażowania najpotężniejszego człowieka w amerykańskim świecie korporacji i polityki. A ty po prostu wchodzisz z nim w spółkę?

Jeff ponownie osuszył swój kieliszek, oklapł nad nim.

- Jasne. Czemu nie? To mogło zadziałać.

- Cholera, muszę to usłyszeć. Jak zadziałać?

Jeff sięgnął po butelkę.

- Pomysł Tanaki polegał na tym, że wysłał żądanie okupu do mnie, a ja zabieram je do Ortiza, jakbym się bał. Namawiam Ortiza do zapłacenia, podkreślam, że to lepsze rozwiązanie i oferuję pomoc jako pośrednik, żeby został czysty.

Norton potrząsnął głową.

- Ale nie z Ortizem. On nie zgodziłby się... Chryste, powinieneś był o tym wiedzieć, Jeff. Czemu tego nie wiedziałeś?

Jeff posłał mu ponure spojrzenie. Wyciągnął korek z butelki.

- A jak myślisz, braciszku? Chciałem tych cholernych pieniędzy.

- Tak, ale musiałeś...

- Do diabła, przestań, Tom. Dobra? - Przechylił butelkę, bładny płyn chlusnął przez szyjkę. Głos Jeffa przybrał na sile, napędzany gorzką furją. - Co ty w ogóle wiesz o moim życiu? Dla ciebie to proste, z twoją pieprzoną odznaką INKOL, załatwionym przeze mnie awansem, pieprzonym apartamentem w lofcie na Canal Street i cholernym życiem bez żadnych zobowiązań. Wiesz, ile zarabiam tu w Koszcie Ludzkim? Za czternastogodzinne dni robocze, sześć, a czasem siedem dni w tygodniu, wiesz, ile mi płacą? Mam dwójkę dzieci, Tom, żonę z kosztownym gustem i żadnych planów emerytalnych. Co ty o tym wszystkim wiesz, Tom? Ty się unosisz, po prostu dryfujesz przez życie. Więc nie mów mi, do cholery, co powinienem albo czego nie powinienem wiedzieć. Chciałem pieniędzy, to wszystko. Wszedłem w to.

Norton patrzył na niego zbyt otępiały, by zebrać kawałki i je do siebie dopasować. Tego było zbyt wiele, jego świat zawalił się w gruzy.

- Nie mieszkam na Canal Street, Jeff - odezwał się głupio. - Nigdy nie mieszkalem. To Lispenard. Powinieneś wiedzieć.

- Nie mów mi, do cholery, co powinienem wiedzieć!

- Może powiesz nam, co nie wyszło - zasugerował Marsalis. - Ortiz nie chciał ustąpić, tak?

- Tak. - Jeff znów sięgnął do butelki. - Z początku owszem. Przesłał trochę kasy, powiedział mi, żebym dokonał pierwszej wpłaty i ugrał trochę czasu. Potem, gdy przyszło następne żądanie Tanaki, posadził mnie i powiedział, co zrobimy.

Marsalis pokiwał głową.

- Usuniecie wszystkich, którzy mogliby to robić.

- On. - Bezradny gest. - On miał pełną listę. Nie miałem o tym pojęcia, ale on wiedział, kim jest każdy z nas. A przynajmniej od czego zaczynali. Powiedział, że niektórzy się przeprowadzili, więc trzeba będzie trochę czasu na wyśledzenie ich. Ale tak czy inaczej wszyscy muszą zginąć. Siedziałem tam, Tom, i za cholere nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę. To znaczy... - Jego głos zrobił się prawie zawodzący. - Przecież nie zażądaliśmy aż tak dużo.

- Nie chodziło o pieniądze - nieobecny głosem rzucił Norton.

Marsalis nachylił się i wyciągnął butelkę z trzęsących się rąk Jeffa. Nalał do kieliszka.

- Był o krok od nominacji do ONZ. Zaczęliście podskakiwać niewłaściwemu patriarsze w chwili, gdy najmniej mógł sobie na to pozwolić.

- Właśnie. - Jeff popatrzył na drinka nalanego mu przez trzynastkę. - To właśnie powiedział. *Jeff, stawka jest zbyt wysoka. Nie możemy się teraz ujawnić. Musimy być twardzi.* Próbowałem go przekonać, mówiłem mu, że tych pieniędzy nie jest tak dużo. Ale dla niego to nie miało znaczenia. Powiedziałem mu, że zostanie złapany, że nikomu nie ujdzie na sucho zabicie tylu ludzi, tak wielu gości z operacji specjalnych. Trzeba by całej ekipy, żeby to urządzić, a wtedy oni mieliby równie silne haki jak początkowy szantażysta.

- Albo - zasugerował Marsalis - bierzesz do tego jednego członka starej ekipy, któremu możesz zaufać. Osobę, która nie może sobie pozwolić na puszczenie farby i której nostalgia i poczucie koleżeństwa nie przeszkodzi w wykonaniu roboty. Osobę, która ma do tego predyspozycje genetyczne - trzynastkę.

Jeff tylko pokiwał głową, pozwalając mówić murzynowi. Był już całkiem pusty.

- Wszyscy myślą, że Merrin poleciał na Marsa - kontynuował Marsalis, jakby z aprobatą kiwając głową. - Trzynastka o nazwisku Merrin rzeczywiście poleciała na Marsa. A to czyni drugiego Merrina, Onbekenda, praktycznie niewidzialnym tu, na Ziemi. Urządził sobie zniknięcie, znalazł przyrodniego brata na Altiplano i bezpieczną przystań. Od czasu do czasu dorabia sobie, odgrywając dla brata *pistaco*, gdy trzeba wystraszyć lokalną konkurencję, ale większość czasu ma dla siebie. Do czasu, aż nagle do jego drzwi puka były szef, mówiąc, że wszystko może się skończyć. Jakiś niewdzięczny sukinsyn ze starego zespołu grozi ujawnieniem wszystkiego i jedynym sposobem na dopilnowanie, by do tego nie doszło, jest usunięcie wszystkich pozostałych przy życiu członków starej ekipy. Czy Onbekend weźmie robotę? - Marsalis rozłożył ręce. - Pewnie nie chciał, ale jaki miał wybór? Jeśli Ortiz nie zapłaci, szantażyści się wkurzą i świat dowie się o Odzwie Skorpiona. A nie wiadomo, jak się to może dalej rozwinąć. Cokolwiek Onbekend zdołał sobie urządzić w ogródku Manco Bambarena, może się to posypać. Jest spora szansa, że trafi do obozu, bo jeśli go znajdą, ma do wyboru to albo kulkę. Możesz mnie poprawić, Jeff, jeśli się gdzieś

pomyliłem.

- Nie, masz rację. - Jeff napił się z kieliszka, potrzymał go w dłoniach przed sobą, zapatrzył się w przestrzeń. - Kiedy Ortiz poszedł z tym do Onbekenda, od razu zobaczył, co musi się stać.

Marsalis odsłonił zęby w uśmiechu. Nie był to przyjemny widok.

- Skasowanie do czysta, co? Znow jak w Wyoming.

- To był jedyny sposób.

- Dobra, ale Onbekend nie jest głupi. Wie, że nie uda mu się zamordowanie ponad trzydziestu byłych żołnierzy sił specjalnych tak, by nie zostawić po sobie jakichś śladów przynajmniej w kilku miejscach zbrodni. A gdy ślady genetyczne trafią do systemu, jest tak samo spalony, jakby pozwolił mówić szantażystom Ortiza. Bo rzekomo jedyna żyjąca trzynastka o takim materiale genetycznym przebywa na Marsie. Jeśli więc jego ślady pojawią się przy ofiarach zbrodni na Wybrzeżu i w Republice, rozpęta się piekło. Przedstawia sprawę Ortizowi, to główna trudność.

- A Ortiz siedzi w INKOL - z namysłem wtrącił się Norton.

- Właśnie. Przygotowuje więc dla Onbekenda doskonałe alibi. Nie tylko ściągną Merrina z Marsa, co wyjaśni wszelkie ślady genetyczne, jakie mogą się pojawić, ale dodatkowo zrzuca na niego winę za wszystkie zabójstwa. Zatrzymają go w rezerwie, gdy Onbekend będzie zabijał, a potem urządzi mu śmierć w jakiś wiarygodny sposób i podsuną policji Wybrzeża. Przy odrobinie finezji mogliby nawet ustawić to tak, że policja sama by go znalazła i załatwiła. Wszyscy dostają medale i nikt nie przygląda się zbyt dokładnie pozostałościom, bo wszystko tak dobrze do siebie pasuje. W końcu nie można się spierać ze śladami genetycznymi, a proszę, oto wasz potwór, leży na piachu.

Norton popatrzył na brata i nie potrafił nazwać uczucia, które zaczęło go ogarniać. Miał nadzieję, że to litość.

- Nic dziwnego, że Ortiz zapłacił pierwszą porcję, Jeff - powiedział. - Potrzebował czasu na uruchomienie tego wszystkiego. Zanim Onbekend mógł zabrać się do pracy, musiał tu ściągnąć Merrina.

- A Onbekend przeszedł przez granicę Teksasu i zaczął od Tanaki. - Marsalis pokiwał głową. - Mógł równie dobrze na nim skończyć, gdyby tylko wiedział. Ale tak nie było, nie miał okazji wyciągnąć tego z Tanaki, może nie mógłby nawet pozwolić sobie na zaufanie mu nawet w takim wypadku, więc działa dalej. Zabija ludzi w całej Republice, bo tam najłatwiej - niedofinansowana policja, niskiej jakości technika komputerowa, najwyższy

na planecie wskaźnik zabójstw i olbrzymi margines społeczny, w którym można się schować. Na Wybrzeże kieruje się dopiero po skończeniu łatwej roboty, poruszając się wolniej, bo musi uwzględnić bezpieczeństwo Wybrzeża. Mimo wszystko załatwia Jaspera Whitlocka, Toni Montes i pewnie została mu już tylko garstka, gdy...

Obaj obrócili się w stronę Jeffa Nortona.

- Co się stało? - cicho zapytał Marsalis. - Straciłeś nerwy, grając przeciw obu stronom? Pomyślałeś, że może Ortiz cię rozpracował, dowiedział się, że jednak też brałeś w tym udział? Zacząłeś myśleć, że ostatnia kulka Onbekenda będzie dla ciebie?

- Nie!

- Nie próbuj mi tu kłamać.

- To co się stało w Nowym Jorku? - Norton przyjrzał się twarzy brata. - Ktoś kazał zastrzelić Ortiza. Zdecydowanie nie był to Tanaka, gryzł już piach. Zostajesz ty, Jeff.

Jeff odwrócił wzrok.

- Oni byli od Tanaki - mruknął pod nosem. - Ubezpieczenie na wypadek śmierci. Dał mi numer w Houston, pod który miałem zadzwonić, gdyby coś poszło nie tak, gdyby nie miał czasu na uruchomienie tego przed ucieczką. Albo gdyby... nie przeżył. Kontakt był już opłacony, miałem tylko zadzwonić i puścić wszystko w ruch.

- Nie spieszyłeś się, co? - Marsalis parsknął śmiechem. - Tyle czasu potrzebowała ta ekipa geniuszy, żeby dostać się z Teksasu do Unii?

Norton strzelił palcami.

- Whitlock.

Zobaczył, jak brat wzdrygnął się, słysząc to nazwisko. O *Chryste, Jeff*. Wypowiedział słowa, żeby musiał je usłyszeć, żeby uwierzyć.

- Onbekend przeszedł przez płot do Stanów Wybrzeża i zabił Whitlocka, drugiego października. Musiałeś to usłyszeć w wiadomościach, poznałeś jego twarz.

- Właśnie, pod samym nosem, w rejonie L. A. - Marsalis zagwizdał z udawaną troską. - Trochę za blisko, żeby dobrze się z tym czuć, co, Jeff?

- I wtedy zadzwoniłeś - bezbarwnie odezwał się Norton.

- Dobra, tak, zadzwoniłem pod pieprzony numer!

Marsalis prychnął.

- I wszystko nagle się zatrzymuje. Onbekend dał sobie na wstrzymanie, przynajmniej do czasu, aż dowie się, czy Ortiz przeżyje, czy umrze.

- Zadzwońeś do mnie zaraz po Whitlocku - uświadomił sobie nagle Norton. - Zasugerowałeś, żebym wyciągnął Marsalisa z Jezusowa i go zatrudnił. O co chodziło, o zmuszenie Onbekenda do większej czujności?

Zdumienie na twarzy murzyna.

- Ty wyciągnąłeś mnie z Południowej Florydy, Jeff? Tobie to zawdzięczam? - Roześmiał się. - Rety, chyba żartujecie.

- Miałem już dość czekania - warknął Jeff głosem pełnym nagłej furii. - Upłynął tydzień od telefonu do Houston i nic się nie działo. Nic o nich nie wiedziałem, jak będą dobrzy...

- Nie byli specjalni - ponuro wtrącił Marsalis.

- No cóż. Pomyślałem, że może zostali złapani na granicy podczas próby przejścia do Unii. Albo po prostu wzięli forszę i zwiali. Nie miałem jak się dowiedzieć, Tom. Bałem się. Wiedziałem, że nie będziesz chciał wciągać w to ONZALG, próbowałem cię przekonać, myślałem, że może to przekona Ortiza, żeby odpuścił. Ale nie chciałeś się zgodzić. - Jeff popatrzył na Marsalisa. - Pomyślałem, że może on wystraszy Ortiza.

Norton zobaczył, jak czarnoskóry podchodzi do biurka i bierze do ręki szklany przycisk do papieru kupiony przez Jeffa w Anglii podczas podróży poślubnej. Zważył przycisk w dłoniach.

- Jest jeszcze kilka rzeczy, których chciałbym się dowiedzieć, Jeff - powiedział nieobecny głosem. - Potem będzie koniec.

- Tak? - Jeff przechylił kieliszek. Skrzywił się, przełykając. - Co takiego?

- Ren. Nie wiedziała nic o Onbekendzie. Jakie jest jej miejsce w tym wszystkim?

- Ona jest wolnym strzelcem, w przeszłości korzystaliśmy z jej usług. Wciągnąłem ją, bo potrzebowałem kogoś znającego systemy Wybrzeża. Ortiz chciał, żeby wątek z Merrinem nie miał styku z resztą.

- A Daskeen Azul? To twoi ludzie?

Wzruszenie ramion.

- Znajomi. Wiesz, jak to działa, Koszt Ludzki wyświadczył im w przeszłości parę przysług, byli nam coś winni.

- To kto ich wysłał, żeby znaleźli tego trupa w sieciach? Ty?

Jeff potrząsnął głową.

- Onbekend. Dotarło do niego z południa, że razem z tą policjantką z INKOL wtykacie tam nos w nieswoje sprawy. Kazał mi przyspieszyć rozwiązanie.

Marsalis wrócił do sofy wciąż z przyciskiem w dłoni. Marszczył brwi.



- Wbrew rozkazom Ortiza?

- Ortiz siedział w szpitalu. - Jeff machnął ręką. - Nikt nie wiedział, co robić. Spotkałeś kiedyś Onbekenda?

- Przez chwilę.

- No cóż, kiedy mówi ci, że masz coś zrobić, raczej się z nim nie spierasz. Marsalis nie zmienił wyrazu twarzy.

- A żołnierze?

- Jacy żołnierze?

- Ktoś nasłał na mnie i Ertekin drużynę śmierci w mundurach. Zaatakowali nas na drodze między Cuzco i Arequipą.

- Nic o tym nie wiem. Może ktoś tam spanikował.

- Bambaren - cicho mruknęła trzynastka. Przykucnął, ustawiając oczy na równi z Jeffem. - Myślisz, że Manco Bambaren wie o istnieniu Merrina? Tego drugiego?

- Nie odróżniłbym Manco Bambarena od cholernej dziury w ziemi. - Jeff popatrzył ze złością na Marsalisa. Wydawał się być całkiem pijany. - Skąd u diabła miałbym wiedzieć, co wie, a czego nie?

- To pech - łagodnie skomentował murzyn. - Powiedz mi, Jeff, to ty wysłałeś za mną Onbekenda, gdy wróciłem z „Kota Bułhakowa”?

- Nie! To nie byłem ja, przysięgam. Onbekend chciał cię usunąć z równania, myślę, że chyba rozmawiał z Ortizem, ale i tak był wściekły z jakiegoś innego powodu. Powiedziałem mu, że lepiej zostawić sprawę, żeby przyszła, ale nie chciał mnie słuchać. Nie rozumiesz, jaki on jest. Jak się na coś zdecyduje, nie słucha nikogo ani niczego, co wejdzie mu w drogę.

- Jasne. I pewnie nie wiesz, gdzie mógłbym go teraz znaleźć, co?

Jeff przełknął resztę drinka. Wzruszył ramionami.

- Słusznie się domyślasz. Kiedy ostatnio o nim słyszałem, był w drodze z powrotem na Altiplano w towarzystwie kilku dziur z pistoletu marstechowego.

- Leczyłeś go tutaj?

- W ambulatorium Ludzkiego Kosztu, tak. W Carmel.

Marsalis wstał płynnym ruchem. Norton zauważył, jak palce trzynastki zaciskają się na przycisku do papieru, dostrzegł napięcie mięśni. Szybko się zerwał i zablokował Marsalisa własnym ciałem. Spojrzał w oczy murzyna.

- Nie - powiedział bardzo cicho. - Proszę.

Marsalis stał gotów do ruchu. Odezwał się, również ledwie słyszalnie.

- Nie wchodź mi w drogę, Norton.

- On nie zabił Sevgi. - Norton obejrzał się na zapadniętego w róg sofy Jeffa, patrzącego tępo w pusty kieliszek. Wydawał się nieświadomy obecności mężczyzn. - Słuchaj, jeśli chcesz ruszyć za Onbekendem, jestem z tobą. Ortiz też, jeśli tego chcesz. Ale to, Marsalis, jest mój brat.

- Norton, on i tak przegrał. Wylądaje za to w więzieniu na minimum trzydzieści lat. Zrobię mu przysługę.

Jednak z postawy trzynastki znikła część napięcia. Norton uniósł rękę otwartą dłońią na zewnątrz. Gest wyrażający „dość”.

- Marsalis, proszę. Proszę cię o to. To mój cholerny brat.

Marsalis stał jeszcze chwilę. Przypominało to walkę na spojrzenia ze ścianą.

- Ortiz i Onbekend - rzucił, jakby sprawdzając listę.

- Czego tylko będziesz potrzebował.

Chwila minęła. Marsalis odpuścił, Norton zobaczył, jak decyzja opuszcza go niczym woda spływająca do ścieku. Wzruszył ramionami i rzucił przycisk na kolana Jeffa. Mężczyzna podskoczył wstrząśnięty, puścił pusty kieliszek, próbował złapać owalną ozdobę, zanim sturla się na podłogę.

- Po cholere to zrobiłeś? - wymamrotał.

- Nigdy się nie dowiesz - odpowiedział Marsalis. Potem odwrócił się do drzwi. - Zatrzymaj go tutaj, Norton. Nie dotykaj telefonu, nie używaj też swojego. Będziemy musieli unieruchomić i zrzucić ich całą sieć. Zadzwoń do Rovayo z ulicy, ściągnę tu ekipę śledczą. Będzie uszczęśliwiona - to powinno wystarczyć, żeby nawet ponownie otworzyć sprawę nalotu na „Kota”.

- Jasne.

Zatrzymał się w drzwiach, obejrzał.

- I nie zapomnij. Mamy teraz umowę.

Norton słuchał, jak oddala się korytarzem. Potem obrócił się z powrotem do brata. Jeff popatrzył na niego bez zainteresowania.

- Co teraz?

Nagła eksplozja furii, rosnąca od pięt do miejsca za oczami. Stłumił ją najlepiej jak potrafił.

- Wiesz - odezwał się prawie spokojnie - powiedziałem Megan o tobie i Nuying.

Jeff zagapił się na niego z oczami przyćmionymi koniakiem i niezrozumieniem.

- Może to upraszcza sprawę. Pewnie można by powiedzieć, że to ze mnie

wyciągnęła. A może i nie, może oboje chcieliśmy, żeby to zostało powiedziane, i pomogliśmy w tym sobie. Jeśli mam być szczery, to chyba sama już się domyślała, co się dzieje.

Jego brat niezdarnie zaczął się zbierać do wstania.

- Ty pieprzony zdrajco - powiedział ochryple.

- Zostań na miejscu, Jeff. - Nagle furia wróciła, nie chciała dać się powstrzymać. - Bo jeśli nie, sam cię do cholery zabiję.

I proszę, powiedział to. Ta chwila dojrzewała w nim od dwóch lat. Brat zamrugał jak jeleni patrzący w światła nadjeżdżającego samochodu.

Norton wciągnął powietrze. Naprawdę zamierzał to zrobić.

- Chcesz wiedzieć, co Megan zrobiła, kiedy się o tym dowiedziała? - Kolejny szybki oddech. - Pieprzyła się ze mną, Jeff. Pojechaliśmy do jakiegoś motelu koło Novato i pieprzyła mnie na ostro. Całe popołudnie i noc. Najlepszy seks, jaki miałem w całym życiu.

Teraz Jeff zerwał się z sofy z rykiem i machając pięściami. Norton zablokował go, wykręcił się i walnął brata w bok twarzy. Pierwsza od ponad roku okazja wykorzystania szkolenia bojowego. Ruchy sprawiały wrażenie niepewnych i sztucznych, ale równocześnie zdumiewająco przyjemnych. Cios wylądował pewnie, powalił Jeffa częściowo na sofę, częściowo na podłogę. Norton złapał go za tył kołnierza, znów uniósł pięść do ciosu.

I znieruchomiał.

*Nie. Nie jesteś Carlem Marsalisem.*

Powoli rozluźnił zaciśniętą pięść, opuścił rękę. Puścił kołnierz. Ogarnęło go usilne pragnienie otrząśnięcia się, jak mokry pies. Zamiast tego zrobił krok wstecz i oparł się o brzeg biurka brata.

- To będzie dla niej trudne - powiedział, wciąż ciężko dysząc. - Dla Megan i dzieci. Ale nie martw się. Kiedy wyślą cię do Cjentin Dwa za to, co zrobiłeś, dopilnuję, żeby nic jej nie było. Zaopiekuję się nią.

Gdy jego brat opierał się na sofie, z jego gardła wydobył się cichy, chrapliwy skowyt, jakby przetykał szkło. Norton poczuł, jak ogarnia go dziwny spokój. Jego oddech się wyrównał.

- Razem jesteśmy dobrzy, Jeff. Ona się przy mnie śmieje. Coś sobie wypracujemy.

- Pieprz się! - Wyplute jak krew.

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Zaskoczony Norton podniósł głowę.

- Tak?

Drzwi otworzyły się i do środka zajrzała korpulentna Azjatka.

- Panie Norton, czy...

Zaniemówiła z szeroko otwartymi oczami.

- Wszystko w porządku - pospiesznie zapewnił Norton. - Jestem bratem Jeffa, na imię mam Tom. Jeff był ostatnio mocno obciążony. Z pewnością pani zauważyła. Zrobiło się, dość nieprzyjemnie.

- Ja, uch...

- On naprawdę potrzebuje teraz spokoju, wie pani, tylko rodzina. Już zadzwoniłem, gdzie trzeba. Gdyby mogła pani...

- Tak, oczywiście, ja... - Popatrzyła na Jeffa, siedzącego teraz na podłodze plecami do sofy. Zakrwawione chusteczki w nosie, twarz rozmazana łzami i furią, na stole przed nim otwarta butelka. - Panie Norton, przepraszam, ale jeśli mogłabym w czymś pomóc...

Jeff popatrzył na nią.

- Wszystko w porządku, Lisa - powiedział tępo. - Wszystko będzie w porządku. Mogłabyś pokazać mojemu bratu, gdzie trzymamy rejestry medyczne z kliniki Carmel?

- Tak, oczywiście. - Mając jakiś zdefiniowany cel, Lisa wyraźnie odzyskała siły. - Jest pan pewien, że...

Jeff wysilił się na coś w rodzaju uśmiechu.

- Całkiem pewien, Lisa.

Obrócił się, by spojrzeć na brata, i nagle w jego głosie zabrzmiała dziwna nuta triumfu.

- No idź, braciszku. Chcesz zobaczyć coś, co ukryłem przez twoim przyjacielem trzynastką?

Lisa zawahała się w drzwiach. Norton popatrzył na Jeffa.

- Chodzi o Onbekenda?

- Po prostu idź i zobacz, Tom. - Zauważył wahanie brata i zachichotał. - Boisz się, że ucieknę na lotnisko, gdy cię tu nie będzie? Poważnie, idź i zobacz. To coś, co zachowałem dla ciebie. Spodoba ci się.

- To, uch... - Lisa wskazała w głąb korytarza. - Tędy.

- Jeff, jeśli wiesz coś jeszcze na temat Onbekenda, powinienesz być...

- Po prostu idź w cholerę i zobacz!

Poszedł więc, zostawiając otwarte drzwi, i udał się za Lisa. W drzwiach zatrzymał się i odwrócił, posłał bratu ciężkie spojrzenie i wystawił palec.

- Zostań tu.

Jeff prychnął, przetoczył oczami i sięgnął po butelkę Martella.

W głąb korytarza, w ślad za Lisa, z unoszącymi się za oczami obrazami wszystkiego, co wciąż próbował przyswoić. Luźno zastanowił się, czy Marsalis nie wyszedł na ulicę, żeby odetchnąć, a nie tylko zadzwonić na policję spoza budynku.

Doszli prawie do drzwi opisanych tabliczką „Ambulatorium Carmel”, gdy z tyłu huknął strzał, tak płaski i bezbarwny, że w pierwszej chwili wziął go za trzaśnięcie drzwiami do biura Jeffa, tymi, których za sobą nie zamknął.

## ROZDZIAŁ 51

Alvaro Ortiz trzymany był w monitorowanym apartamencie rekonwalescencyjnym na nowo zbudowanych przez nanity poziomach centrum medycznego Weill Cornell. Pod skórę miał wszczepione mikroskopijne sondy, które wysłałyby sygnał alarmowy do systemu szpitalnego, gdyby jego objawy funkcji życiowych w jakikolwiek sposób odbiegły od normy, wyjaśniła im z entuzjazmem recepcjonistka, a przyciski alarmowe miał w łazience, obok łóżka i na wózku. Przez cały czas trzymano w gotowości pełny zespół medyczny i wydzieloną salę ratunkową specjalnie dla pacjentów z tych poziomów. Norton podziękował jej i wjechali na górę. Przed drzwiami apartamentu dyżurowali ludzie z Ochrony INKOL, dwóch mężczyzn o twardych rysach i kobieta, czekająca na nich przy windzie z zawodowym napięciem, które wyparowało po rozpoznaniu Nortona. Carl i tak pozwolił im się obmacać, niepewny, czy chodziło o jego status trzynastki, czy po prostu takie były wymogi procedury. Im bardziej się odprężyli, tym lepiej. Norton powiedział szefowej grupy, żeby nie zawracała sobie głowy wprowadzaniem ich, poradzą sobie. Pan Ortiz wie o ich przybyciu.

Drzwi apartamentu rozsunęły się z cichym szumem i weszli do środka. Ortiz siedział na wózku w salonie, zaparkowany przy sięgającym od podłogi do sufitu oknie. Miał na sobie luźną, szarą piżamę z jedwabiu, w rękę trzymał zapomnianą książkę. Kontemplował widok na zewnątrz, kubistyczny gąszcz miasta i parku. Wyglądał na wózku szczupło i krucho, opalona twarz wymizerowana do szarości, srebrnoczarne włosy miejscami osiwiące. Wyglądał, jakby nie usłyszał otwieranych drzwi, i nie obrócił się, gdy weszli w jego pole widzenia. Carl zastanawiał się, czy faktycznie wiedział, że przyjdą.

- Ortiz - chrapliwie odezwał się Norton, robiąc krok do przodu.

Ortiz poruszył dźwignią sterowania fotela, który obrócił się cicho w miejscu, ustawiając go twarzą do nich. Uśmiechnął się w nieco wymuszony sposób.

- Tom Norton - odezwał się, jakby stanowiło to dręczący go problem filozoficzny. - Bardzo mi przykro z powodu twojego brata, Tom. Zamierzałem do ciebie zadzwonić. I oczywiście Carl Marsalis. Wciąż nie miałem okazji podziękować panu za uratowanie mi życia.

- Jeszcze mi nie dziękuj.

- Ach. - Coś zmieniło się w płaszczyznach wychudzonej twarzy. - Cóż, nie spodziewałem się, żeby miała to być wizyta towarzyska.

- Jeff wszystko powiedział. - Norton dygotał z siłą tego, co niósł w sobie przez cały kontynent. - Odzew Skorpiona. Wyoming. Wszystko. Nie mów mi, że jest ci przykro, ty gnido. Ty to zrobiłeś, to wszystko. Ty jesteś powodem śmierci Jeffa.

- Jestem? - Ortiz nie wydawał się w to wątpić. Złożył dłonie na kolanach, ścisnął je razem, może żeby ukryć strach. - Tak więc wzięłeś ze sobą anioła zemsty. Cóż, pewnie to odpowiednie, ale muszę cię ostrzec, że to krzesło wyposażono w...

- Wiemy - ponuro stwierdził Carl. - I nie jestem tu z powodu Nortona. Przyszedłem dla Sevgi Ertekin.

- Ertekin? - Ortiz zmarszczył czoło, potem je rozprostował. - Ach tak, oficer, u której nocował pan w Harlemie, kiedy pana wyciągnęliśmy. Tak, ona też umarła, prawda? Kilka dni temu. Obawiam się, że nie śledziłem zbyt uważnie...

- Ona nie umarła. - Carl z wyćwiczoną wprawą stłumił furję. Jego głos był cichy i lodowaty, jak delikatny posmak zimy w nowojorskim powietrzu na zewnątrz. - Sevgi Ertekin została zabita. Przez twojego anioła śmierci, Ortiz. Przez Onbekenda. Merrina. Jakkolwiek go nazywałeś. Zginęła, ratując mi życie.

- Ja... z tego powodu także mi przykro.

- To nie wystarczy.

- Dla ciebie? Nie, zapewne nie. Zakładam, że istniało jakieś... - Ortiz zmarszczył brwi. - Jakieś powiązanie między panem a tą Ertekin.

Carl nie odpowiedział. Słowa nigdzie by go nie zaprowadziły.

- Tak, musiało być. W gruncie rzeczy dbacie o tak niewiele, tak mało potrzebujecie z materialnego świata i innych ludzi. Ale gdy już postanowicie posiąść kogoś lub coś, gdy kogoś lub coś uznacie za swoją własność...

- Tak. Wtedy - uzupełnił Carl - nic innego się nie liczy.

Spojrzał w oczy dyrektora INKOL, zobaczył sposób, w jaki tamten umknął wzrokiem.

- Obawiam się - drżąc odezwał się Ortiz - że pod moją... nieobecność na mostku wydarzenia wymknęły się spod kontroli. Pańskie zaangażowanie, Onbekend, inne zmienne czynniki. Gdybym nie został tak nieoczekiwanie odsunięty od kierowania operacją, może sytuacja nie zrobiłaby się tak

skomplikowana. Musicie mi wierzyć, głęboko tego żałuję.

- I tak zamordowałbyś ponad dwadzieścia kobiet i mężczyzn - gwałtownie warknął Norton. - Tylko po to, żeby ocalić swój polityczny tyłek.

Ortiz potrząsnął głową.

- Nie, Tom, to nie...

- Nie mów do mnie po imieniu, jakbyśmy byli kumplami, ty pieprzona gnido!

Carl położył dłoń na ramieniu Nortona.

- Trochę ciszej, Tom. Nie chcemy, żeby nam tu wyważyła drzwi twoja ekipa ochrony.

Norton wyszarpnął się, popatrzył na niego, jakby zarażał dotykiem. Siedzący przed nimi Ortiz znów zaczął mówić.

- ... nie chodziło o mnie. Musicie to zrozumieć. Jestem bogaty i mam dostęp do jeszcze większych zasobów przez inne kanały, gdybym tego potrzebował. Mogłem sobie pozwolić na spłacenie twojego brata i jego współnika...

Nortona zamurowało.

- Wiedziałeś? Wiedziałeś, że brał w tym udział?

- Podejrzywałem. - Ortiz zakaszłał, skulił się trochę w wózku. Odchrząknął. - Jego historyjka wydawała się wiarygodna, uznałem, że prawdopodobnie też macza w tym palce, ale... kiedyś byliśmy bliskimi współpracownikami, Tom. Nawet przyjaciółmi. Musisz wiedzieć, że awansowałem cię na jego prośbę, tak samo jak jego awansowałem do Odzewu Skorpiona dwadzieścia lat temu.

- I ja mam może być za to wdzięczny? - zapytał przez zęby Norton.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie to chcę powiedzieć. Proszę, posłuchaj mnie. Podejrzywałem Jeffa, nie byłem pewien. Ale wiedziałem, że jeśli wypuszczę Onbekenda na pozostałych, kimkolwiek byli, Jeff się złamie. Jeśli brał w tym udział, wiedziałem, że więcej nie będzie mi sprawiał kłopotów. Nawet w dawnych czasach, w Odzewie Skorpiona, był tylko szefem logistyki, pomocnikiem. Nie pracownikiem operacyjnym, zabójcą. Jeff nigdy nie miał do tego nerwów.

Norton wyszczerzył się do niego dziko.

- Tak ci się wydaje. To mój brat wysłał tych rolników, żeby cię zabili. Mój brat namówił mnie do zatrudnienia Marsalisa po wyciągnięciu go z Południowej Florydy, żeby zwiększyć nacisk na ciebie i Onbekenda. Rozgrywał cię tak samo, jak ty jego.



- Doprawdy? - Na twarzy dyrektora INKOL przez chwilę pojawiło się coś na kształt uśmiechu. - W takim razie ironią losu pozostaje, że zaaranżował zarówno moją śmierć, jak i sposób uniknięcia jej. Równie ironiczny jest fakt, że pan, panie Marsalis, uratował mi życie, a potem zniszczył wszystko wokół mnie. Z drugiej strony pański rodzaj zawsze był obosieczną bronią, od samego początku. Wariant trzynasty, awatary czystej przemocy, nasi zbawcy i nasza nemezis.

Carl wsłuchiwał się w natchnione porównania Ortiza i nagle pomyślał o zmanierowanych przemowach Manco Bambarena dotyczących *pistacos* i historii ludzkości. Zaciekawilo go lužno, czy obaj mężczyźni nie dzielą jakichś genów.

- Gdzie jest Onbekend? - wtrącił znienacka.

- Obawiam się, że nie wiem. - Może Carl drgnął, bo w głosie Ortiza zabrzmiała nuta niepokoju. - Naprawdę, nie wiem. Proszę mi uwierzyć, gdybym wiedział...

- Jeff Norton powiedział, że wrócił na Altiplano. Z powrotem do Bambarena. Tam właśnie skontaktowałeś się z nim, żeby to wszystko przygotować, tak?

- Tak, ale przez organizację Bambarena. W końcu mogłem mu tylko zostawiać wiadomości. To on przyszedł do mnie, tu w Nowym Jorku, którejś nocy, niczym duch omijając zabezpieczenia domu. - Ortiz zapatrzył się za okno i zadrżał. - Jak coś, co wywołałem. Powinienem wtedy wiedzieć, wszystkie te lekcje, którymi częstują nas legendy i mity, wciąż i wciąż na nowo. Nigdy nie przywołuj czegoś, czego nie potrafisz kontrolować.

- Później musiałeś mieć z nim bezpośredni kontakt - pragmatycznie zauważył Carl. - Wysłałeś go za mną w San Francisco, po aresztowaniach na „Kocie Bułhakowa”.

Ortiz znów spróbował się uśmiechnąć. Nie wyszło mu to.

- Proszę mi wierzyć, panie Marsalis, próbowałem temu zapobiec ciężiej niż mógłby pan przypuszczać. Nie jestem niewdzięcznym człowiekiem, a pan uratował mi życie. Ale gdy raz już podejmie decyzję, Onbekend jest jak żywioł. Pan już zagroził w Arequipie obiektowi jego uczuć, nie chciał zadowolić się niczym oprócz pańskiej śmierci. Próbowałem zabrać mu pana z zasięgu, sprawiłem, że ONZALG próbował pana odwołać, ale wygląda na to, że jest pan równie uparty jak on. Nie chciał pan drgnąć. A Onbekend zbliżał się do pana zbyt szybko, bym mógł zrobić coś więcej.

Doznał wstrząsu.

- To ty kazałeś di Palmie mnie wezwać?

- Tak, panie Marsalis. - Ortiz westchnął. - I nie tylko wtedy. Od samego początku Gianfranco di Palma dostał polecenie usunięcia pana z drogi najszybciej, jak to możliwe. Po prostu nie spodziewaliśmy się, że będzie pan tak nieustępliwy w sprawie, która pana nie dotyczy.

Carl przypomniał sobie szpital ONZALG w Stambule. Mehmet Tuzcu i jego dyplomatyczne próby wyciągnięcia go. Jego odmowa, brak poważnych argumentów na jej poparcie, jak piasek we własnych oczach. Ale wiedział, że cały czas chodziło o Sevgi Ertekin, nawet wtedy.

- Greta Jurgens należy do Onbekenda? - zapytał nieprzytomnie.

- Na to wygląda. Dziwna para, nieprawdaż? Ale przynajmniej łączy ich to, że oboje stanowią obiekt hormonalnej nienawiści, dla której reszta ludzkości wydaje się nieustannie szukać celu.

Patrzący na Ortiza Norton wydawał się być poruszony czymś innym.

- Już możesz wyciągać takie przysługi z ONZALG? Tak daleko sięgają twój e macki?

- Tom, mam zabezpieczoną nominację na sekretarza generalnego. Nie będzie żadnej dyskusji, decyzja została już podjęta na wszystkich istotnych poziomach. Za rok o tej porze będę już na stanowisku, jeśli dacie mi życie. - Uniósł ściśnięte dłonie, prawie jak w modlitwie. - Nie rozumiecie, że to właśnie próbowałem zabezpieczyć? Myślicie, że chodzi tylko o mnie? Proszę, uwierzcie mi, że nie. Spędziłem ostatnie sześć lat życia, próbując zmusić Inicjatywę Kolonizacyjną do zbliżenia z ONZ. Do osiągnięcia porozumienia w zakresie marsjańskiego prawa i wspólnego zarządzania. Ograniczyć korporacyjną chciwość i okiełznać ją europejskim modelem socjalnym. Zerwać bariery dzielące nas od Chińczyków, zamiast budowania murów i płotów. Wszystko to zrobiłem w nadziei, że nie będziemy musieli zabierać ze sobą naszych zaściankowych wrogości państw-miast do pierwszego nowego świata, którego sięgnęliśmy, i budować tam od początku tej samej struktury nienawiści.

Twarz Ortiza zarumieniła się i ożywiła, żar emocji na chwilę zastąpił objawy szwankującego zdrowia. Carl patrzył na szefa INKOL jakby był czymś za szkłem, owadem w wiwarium. *Zobacz ludzi. Obejrzyj, jak patriarchalny samiec usprawiedliwia swoje działania wobec innych i siebie samego.*

- Jeszcze jeden rok - z naciskiem przekonywał Ortiz. - Tylko tego potrzebuję, a będę mógł kontynuować tę pracę z drugiej strony płotu. Mogę

powstrzymać głupie pozerstwo Zgromadzenia Ogólnego, wymusić reformy, złożyć obietnice, wszystko na bazie pracy, którą wykonałem już tu, w INKOL. To właśnie było zagrożone tym głupim szantażem naszą przeszłością - nie jakąś forsa, którą mógłbym przefiltrować przez konto INKOL kosztem mniejszym niż pojedyncza winda nanokratownicowa. Nie dlatego się na to zdecydowałem. Zrobiłem to dla przyszłości, nadziei na przyszłość. Czy to nie jest warte poświęceń? Czym jest garść zużytych, sfalszowanych życiorysów, zmęczonych, emerytowanych mężczyzn i kobiet parających się przemocą i ukrywających się przed własną przeszłością, rzuconych na szalę wobec nadziei na lepszą przyszłość dla nas wszystkich?

Przez głowę Carla przemknął obraz Toni Montes, wyobrażonej w walce z Onbekendem z użyciem resztek umiejętności bojowych, potem odpuszczającej i umierającej, by trzynastka nie dobrała się do jej męża i dzieci. Zaciekawilo go, czy stojąc i czekając na pocisk, myślała o dymiących ruinach w Wyoming, czy tylko o dzieciach, których nigdy więcej nie zobaczy.

Zaciekawilo go, co on zobaczy, gdy przyjdzie czas na niego.

*Elena Aguirre, szepcząc mu za plecami.*

*Wypełniająca go cisza...*

- Jesteś kupą łajna, Ortiz. - Wyciągnął go z tego chrapliwy głos Nortona.  
- Nie miałeś problemu z użyciem tych kobiet i mężczyzn parających się przemocą, gdy kierowałeś Odzewem Skorpiona.

- Tak, to prawda, Tom. Ale to były inne czasy. - Ortiz podniósł ton głosu, wciąż jeszcze w granicach rozsądku. Z przekonaniem bronił swojego stanowiska. - Musisz o tym pamiętać. A w tamtych czasach ci ludzie z ochotą sami poświęciliby swoje życie za sprawę, o których mówię, ponieważ oni również wierzyli w lepszą przyszłość.

Norton skoczył do przodu, z twarzą pełną furii. Chwycił oparcie wózka Ortiza, pchnął go pół metra do tyłu, zanim zaskoczyły hamulce. Carl dostrzegł drobne kropelki śliny trafiające w twarz Ortiza, gdy dyrektor INKOL wrzeszczał na swojego szefa.

- Pieprzona lepsza przyszłość? Jaki dokładnie miał być ten twój nowy, wspaniały świat, skurwysynu? Tajne operacje w cudzych krajach? Korupcyjne praktyki korporacyjne? Genetyczny obóz koncentracyjny w Wyoming?

Carl go odciągnął.

- Opanuj się, Tom. Nie po to tu przyszliśmy.

Ale Ortiza opuściło już przekonanie, jak płomień świecy zdmuchnięty przez furię Nortona. Nagle na wózku siedział tylko chory starzec, potrząsający głową w zmęczonym wyznaniu.

- Ja... byłem... młody. Głupi. Nie mam nic na swoją obronę. Ale wtedy wierzyłem, że to, co robimy, jest słuszne. Musicie zrozumieć, jak to wyglądało. Na zachodzie traciliśmy przewagę, przerażeni badaniami genetycznymi, które trzeba było przeprowadzić, powstrzymywani przez moralną panikę oraz ignorancję. Chiny robiły to, czym powinny się zajmować nasze uniwersytety i instytuty badawcze. Wciąż to robią. - Ortiz przeniósł spojrzenie na Carla, znów się ożywił. - Na Marsie jest przyszłość, panie Marsalis, ale to nie przyszłość człowieka w rozumieniu Jacobsena i ONZALG. Był pan tam, wie pan, jak tam jest. Będziemy potrzebować wariantów, będziemy musieli stać się wariantami jakiegoś rodzaju, jeśli zamierzamy tam zostać. Chińczycy to rozumieli, dlatego nie przerwali swoich programów. Ja chciałem tylko wyrównać ciśnienie, tak żeby kiedy dojdzie w końcu do wybuchu, do zrozumienia, nie spowodowało to rozerwania społeczeństwa.

Carl pokiwał głową.

- Jasne. Wróćmy do Onbekenda.

- Nie wierzy mi pan?

- A jakie to ma znaczenie, w co wierzę? To nie zmieni tego, co zrobiłeś. Jak Onbekend dowiedział się, że jest bratem przyrodnim Manco Bambarena?

Ortiz westchnął.

- Naprawdę nie pamiętam takich szczegółów. To było dawno temu. Tak, możliwe, że użył czasu i zasobów Odzewu Skorpiona do odszukania swojej biologicznej matki, odkrył jej tożsamość i dostrzegł możliwe korzyści. Może jego zainteresowania pobudziły prace, które prowadziliśmy w Wyoming. To przez kanały Skorpiona dowiedział się, że ma brata bliźniaka, tyle wiem, więc możliwe, że Izabelę Gayoso odszukał w ten sam sposób. I wiem, że gdy nie przydzielano go do nas, projekt Stróż Prawa wysłał go na tajne misje do Boliwii, przynajmniej raz, więc pewnie miał tam też okazję skorzystać z tej wiedzy. Mogę tylko panu powiedzieć, że kiedy przyszło do zakończenia operacji Skorpion, miał już przygotowaną kryjówkę. Wiedział, że jego bliźniak zgodził się na przesiedlenie na Marsa i że Odzew Skorpiona zostanie skasowany z baz danych przez n-dżina. A Bambaren przygotował mu miejsce w swojej organizacji. Idealne zniknięcie.

*Tak, do czasu, aż pojawił się tam Stéphane Névant, próbując sprzedać*

*Bambarenowi groźbę pistaco, do którego miał już dostęp dzięki więzom krwi, i ściągając na niego uwagę, na którą naprawdę nie mogli sobie pozwolić. Biedny Stéphane, prosto na celowniku. Miałeś lepszą intuicję, niż przypuszczasz. Nic dziwnego, że Bambaren tak cholernie szybko odrzucił twoją ofertę. Ty mogłeś tylko ściągnąć oddział ONZALG prosto pod drzwi jego przyrodniego brata.*

*I nic dziwnego, że Bambarenowi puściły nerwy, gdy się pojawiliśmy, znów puszczając wszystko w ruch. Myślałem, że uraziłem go, mówiąc o przykładowych egzekucjach na jakimś wioskowym placu. Musiałem trafić w coś, co zrobił dla niego Onbekend, zbyt blisko prawdy, żeby czuł się z tym dobrze.*

*Myślał, że się z nim bawię. Myślał, że przyszedłem po jego brata.*

Przypomniawszy sobie Sevgi Ertekin opartą o bok jepra INKOL, z rękami w kieszeniach i odciągniętą kurtką. Niedbałe odsłonięcie kabury z pistoletem marstechowym, emanujące z niej ostrzeżenie do ochroniarzy Bambarena, by nie podskakiwali.

*Sevgi, naprawdę powinnaś to wszystko usłyszeć. Naprawdę byliśmy tak cholernie blisko.*

*Ale powiedziałaabyś mi, żebym się nie przechwalał, to niezbyt atrakcyjne.*

Skupił się na mężczyźnie na wózku.

- Czy Isabela Gayoso wciąż żyje?

- Nie, umarła kilka lat temu. Onbekend wspomniawszy coś o tym, gdy spotkaliśmy się w Nowym Jorku. Wygląda na to, że dorastała w olbrzymiej biedzie, a takie rzeczy oczywiście odbijają się na późniejszym życiu. Z tego, co słyszałem, sam Bambaren miał szczęście, że przeżył dzieciństwo. Nie udało się to nikomu z jego rodzeństwa.

- Czy Bambaren wie, że ma drugiego brata przyrodniego?

- Nie. Nie angażowaliśmy go. Onbekend ma teraz dość wpływów w *familias*, żeby nawiązać potrzebne nam kontakty w Bradbury i Wells, co więcej, żeby zrobić to przekonująco. Potrzeba było trochę czasu, ale udało mu się przekonać kapitułę marsjańską, że dochodzi do rozejścia się klanów z Limy i Altiplano. - Obwisłe ramiona Ortiza uniosły się pod szarym jedwabiem pizamy. - Z tego, co słyszałem, nie jest to dalekie od prawdy.

- A Merrin też nigdy się nie dowiedział, kto go zatrudnia?

- Merrin w ogóle nie wiedział, że ma bliźniaka. Jak mówiłem, Onbekend dowiedział się o tym tylko dzięki źródłom Skorpiona. Merrin nie miał dostępu do tego rodzaju danych. Zresztą widziałeś Onbekenda - zmienił

twarz, gdy zszedł pod ziemię w '94. Już nie wyglądają tak samo.

Carl pomyślał o odbiciu w rysach, które dostrzegł tej nocy, gdy postrzelono Sevgi.

- Nie, wciąż jest podobieństwo. Jeśli się go szuka.

- Cóż, z tego, co wiem, sam kontrakt i tak został przefiltrowany przez maszynę marsjańskiej *familias*. Wątpię, by Merrin i Onbekend choć raz spojrzeli na siebie z ekranu. *familias* wiedziały tylko, że chodzi o coś osobistego, że ludzie po tej stronie wybrali tego konkretnego gościa, Merrina, i jeśli nie zdołają go rekrutować, interesu nie będzie.

- A Merrin? - zainteresował się Norton. - Co jemu powiedziano?

Kolejne wzruszenie drobnymi ramionami.

- Że na Ziemi ma przyjaciół, którzy chcieli jego powrotu, że zapewnią mu nową tożsamość i zasoby, żeby spokojnie zniknąć. Zrobiliśmy z tego bardzo atrakcyjny pakiet.

Dyrektor INKOL tępo potrząsnął głową.

- Czyli Onbekend po prostu sprzedał swojego brata? Własnego bliźniaka?

- Poświęcił go, owszem. I co z tego? - Ortiz machnął ręką. - Nigdy się nie znali, nawet się nie spotkali. Co mogło ich łączyć?

- Nie o to chodzi! - Jednak teraz Norton patrzył na Carla. - Na miłość boską, to był jego brat!

- Nie w tym rzecz, Tom - cicho odpowiedział Carl. - Trzynastki nie wywodzą abstrakcyjnych powiązań. Nie mamy tego w genach.

- Ale... Bambaren. - Norton rozłożył ręce. - To abstrakcyjne więzy krwi.

Ortiz zaśmiał się sucho.

- Tak, i Onbekend bardzo dobrze je wykorzystał.

- Bambaren został wykorzystany - wyjaśnił Carl, patrząc na Ortiza. - Tak samo jak wszyscy inni. Tak samo jak Odzew Skorpiona, jak Koszt Ludzki. Tak samo jak Onbekend i Merrin. Wszystkimi sterowałeś.

- Panie Marsalis, proszę zrozumieć...

*Dość.*

Carl chwycił Ortiza pod pachy i zerwał go z wózka jednym gwałtownym ruchem. Mężczyzna zdawał się prawie nic nie ważyć, ale to mógł być skutek aktywującej się siatki lub furii. Ortiz szarpał się i kopał, ale słabo. Carl przytrzymał go przez chwilę niby w uścisku, cofnął się, odchodząc od wózka z przyciskiem alarmowym, i ostrożnie położył szefa INKOL na podłodze z wypolerowanego drewna.

- Czekaaj, nie możesz...

Ale głos Ortiza był równie słaby jak jego opór. Carl klęknął i przycisnął dłoń do piersi dyrektora, unieruchamiając go. Nachylił się nad nim z beznamiętną twarzą.

- Znam cię, Ortiz. Widziałem twój rodzaj wygłaszający przemowy z każdej mównicy i podium na dwóch planetach i nigdy się nie zmieniacie. Kłamiecie cielakom i kłamiecie sobie samym, żeby bardziej wam wierzyli, a gdy zaczynają ginąć, twierdzicie, że żałujecie, i wygłaszacie usprawiedliwienia. Ale w sumie robicie to wszystko, bo sądzą, że macie do tego prawo, i się nie przejmujecie. Gdybyś naprawdę podejrzewał Jeffa Nortona, skoro wiedziałeś, jakim był typem człowieka, mogłeś wydusić z niego nazwiska, poradzić sobie z tą osobą...

- To był Tanaka - wtrącił się Norton, stając nad Ortizem. - Tylko Tanaka. Carl przytaknął.

- Mogłeś to zatrzymać już na samym początku. Ale to, co mogli zrobić Tanaka i Jeff Norton, prędzej czy później mógł powtórzyć ktoś inny. Każdy, kto wiedział o Wyoming, ktokolwiek z pozostałych mógł to zrobić w każdej chwili. Niezależnie od pozycji, którą byś osiągnął, Odzew Skorpiona wisiałby nad tobą aż do grobu. Nigdy nie byłbyś bezpieczny. Dostrzegłeś więc okazję posprzątania i skorzystałeś z niej, niezależnie od kosztów.

Carl odkrył nagle w sobie narastającą prawdę, zrozumienie.

- Wiesz, Ortiz, byłbyś naprawdę niezłą trzynastką. Jedyne, czego ci brakowało, to siła, moc, a to, cóż, pewnie zawsze możesz znaleźć tłum cielaków, którzy ci ją zapewnią.

- Dobrze. - Ortiz przestał się rzucać. W jego głosie znów zabrzmiała siła. Mówił wyraźnie i z naciskiem. - Posłuchajcie mnie, proszę. Jeśli mnie teraz zabijecie, mam system alarmowy połączony z ciałem. Czujniki są pod skórą, wewnątrz mnie, nigdy ich nie znajdziecie. W parę minut zjawi się tu grupa uderzeniowa.

- Nie potrzebujemy aż tyle czasu - zauważył Carl.

Ortiz się złamał. Jego twarz jakby popękała, zamknął oczy, otworzył je ze łzami.

- Ale ja chcę żyć - wyszeptał. - Chcę iść dalej, mam pracę do zrobienia.

Zimny, lodowaty impuls furii. Carl poczuł, jak odbija się na jego twarzy.

- Tak samo jak Sevgi Ertekin.

- Proszę mi uwierzyć, panie Marsalis, naprawdę żałuję...

Carl nachylił się bliżej.

- Nie chcę twojego żalu.

Ortiz przełknął ślinę, jakoś zdołał się opanować.

- W takim razie mam prośbę - wyszeptał. - Proszę, czy mogę przynajmniej dostać telefon i porozmawiać najpierw z rodziną. Pożegnać się.

- Nie. - Carl podciągnął szefa INKOL na kolano, objął ramieniem jego szyję, ustawił wolną rękę z boku czaszki. - Nie przyszedłem tu ułatwić ci odejście, Ortiz. Przyszedłem odebrać, co jesteś winien.

- Proszę...

Carl szarpnął, wykręcając. Kark Ortiza trzasnął jak zbutwiałe drewno.

W całym apartamencie obudziły się brzęczące alarmy, zawodzenie zaniepokojonego społeczeństwa cielaków. *Zginął ktoś ważny. Zbierzcie się, stwórzcie tłum.*

Bestia na wolności.



## ROZDZIAŁ 52

Grupa ratunkowa była szybka - nie minęły nawet dwie minuty od chwili, gdy sondy pod skórą Ortiza uruchomiły alarm. Jednak na długo wcześniej ochrona INKOL usłyszała alarm i wpadła przez drzwi do środka. Zastali Ortiza na wózku, przechylonego na bok, i Nortona z Marsalisem stojących o kilka kroków dalej i patrzących na niego.

- Sir? - Dowodząca ochroną kobieta spojrzała na Nortona.

- Zablokuj całe to piętro - nieobecny głosem polecił Norton. - Wezwij do tego jakieś wsparcie. Nie chcę, żeby ktokolwiek, nawet policja, wszedł tu bez mojej zgody.

- Ale...

- Zrób to. - Obrócił się do Carla. - Lepiej się zbieraj.

Carl kiwnął głową, spojrzał jeszcze raz na Ortiza, po czym wyszedł poza podświadomie zacieśniający się pierścień utworzony przez ochroniarzy wokół ciała. Wyszedł z pokoju, nie oglądając się, opuścił apartament i trafił wprost na grupę ratunkową ze sprzętem reanimacyjnym, wózkiem, w białych fartuchach i całą resztą.

Odsunął się na bok, pozwalając im przebiec.

\* \* \*

Po wyjściu ze szpitala odszedł szybkim krokiem dwie przecznice na zachód i cztery na południe, zgubił się w pełnym słońca zgiełku miasta. Ściągnął swoją kurtkę S(t)ygma(t)u, wyciągnął z niej paczkę telefonów, po czym zwinął ją podszewką na zewnątrz i wepchnął do pierwszego napotkanego kosza na śmieci. Przez koszulę zaatakowało zimno, ale miał w kieszeniach kredyty INKOL i sporo czasu.

Zatrzymał się na rogu ulicy, spojrzał na zegarek i wyliczył czas potrzebny na dotarcie do terminalu suborbitalnego JFK. Miał nadzieję, że Norton dotrzyma swojej strony umowy.

Potem wyciągnął z paczki nowy telefon, włączył go i poczekał, aż złapie zasięg unijnej sieci. Drugą ręką sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął fotografię i listę numerów, którą zeszłej nocy przygotował dla niego Matthew.

- Dobra, Sev - mruknął do siebie. - Zróbmy to.

\* \* \*

Trochę niepewnie weszła w mrok baru. W końcu byli na jej podwórku, na dolnym Manhattanie, ledwie kilka przecznic na północ od Wall Street i siedziby wydziału przestępczości komputerowej nowojorskiej policji. Nie musiała iść daleko.

Dwa krótkie kroki, by zamknęły się za nią drzwi i przeskanowała salę. Uniósł rękę, gdy jej wzrok przesunął się wzdłuż rzędu boksów przy ścianie naprzeciw baru. Nie odpowiedziała na jego gest, ale ruszyła w jego stronę. Samotny gość w garniaku, tkwiący na stołku przy końcu baru z kolejnym martini i bez przyjaciół obejrzał ją od stóp do głów, gdy przechodziła. Carl przyznał, że warta była spojrzenia. Długonoga i kształtna, w nieformalnym stroju, z wyzwaniem kryjącym się w sposobie chodzenia i poruszania się. Pojedyncza, staromodna lampa żarówkowa pod sufitem nadała jej włosom złotego blasku, na krótko rozpromieniła wygląd czirliderki. Nie zmieniła się zbyt wiele wobec tego, co miał na fotografii.

- Amy Westhoff?

Podniósł się z miejsca, gdy doszła do jego boksów, wyciągnął rękę. Uścisnęła ją, przyjrzała mu się badawczo.

- Tak. Agent... di Palma, tak?

- Zgadza się. - Machnął jej przed oczami legitymacją ONZALG, trzymając ją tak, by zobaczyła zdjęcie, ale nie nazwisko. Udał zmarszczkę niepokoju, by ją rozproszyć, gdy chował legitymację. - Ale widzę, że przyszła pani sama?

Niedbale machnęła ręką i usiadła po drugiej stronie stołu. Pospiesznie podsunęła kłamstwo.

- No cóż, mój partner jest chwilowo zajęty, czymś innym. Nie zdołał się wyrwać. No dobrze, mówił pan, że chodzi o nalot na Ethana Conrada cztery lata temu. Nie bardzo rozumiem, jaki to ma związek ze mną albo przestępczością komputerową.

- Cóż, to tylko luźny trop. Z drugiej strony... może mogę postawić pani drinka?

- Nie, dziękuję. Muszę wrócić na służbę. Możemy się uwinąć?

- Oczywiście. - Carl pociągnął stojącego przed nim Red Stripe'a. - Prawdę mówiąc, moja jurysdykcja w tej sprawie jest, powiedzmy, dość luźna. W oczywisty sposób nie jesteśmy tu na terenie ONZ.

- Chociaż nie jest to daleko.

- Nie, to prawda. - Carl odstawił swojego drinka, pozwolił ręce opaść na kolano. - No cóż, przypuszczam, że zna pani sprawę. Rozumiem, że była pani

w jakimś związku z Ethanem Conradem, zanim odkryto, kim naprawdę był.

- To prawda, miałam. - Odpowiedziała z napięciem w głosie. - Na długo zanim ktokolwiek zorientował się, kim był.

- Ach, tak, oczywiście. No cóż, chodzi o to, że dostałem pewne informacje od oficer nowojorskiej policji, właściwie byłej oficer, Sevgi Ertekin. Słyszała pani o niej?

Podeszła kelnerka, unosząc brwi, notatnik jeszcze w kieszonce fartucha. Wciąż było wcześnie. Poza samotnym brokerem mieli to miejsce tylko dla siebie.

- Życzycie sobie państwo czego...

- Nie, dziękuję - szorstko ucięła Amy Westhoff.

Kelnerka wzruszyła ramionami i się wycofała. Carl posłał jej przepaszające spojrzenie. Zanim znów się odezwała, Westhoff odczekała, aż kobieta wróci za bar.

- Owszem, znałam luźno Ertekin. To co takiego mówiła?

- No cóż, powiedziała, że to pani poinformowała ONZALG o statusie trzynastki Conrada, ponieważ była pani zazdrosna, że ją zostawił, a następnie próbowała pani zadzwonić i ostrzec go w ostatniej chwili. Ale oczywiście się pani spóźniła. Czy...

- Co za pieprzona dziwka! - Jednak nawet w słabym świetle zauważył, że twarz Amy Westhoff zrobiła się szara.

- Przypuszczam, że pani temu zaprzecza?

Westhoff uniosła drżący palec.

- Niech pan wraca do tej wściekłej suki i powie jej ode mnie...

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Sevgi Ertekin nie żyje. Ale przekazała mi wiadomość dla pani, coś, co chciała zrobić, ale nie zdołała.

Blondynka zmrużyła oczy.

- Jaką wiadomość?

Potem szarpnęła się, krzyknęła i odsunęła się od stołu, patrząc na nogawkę. Obie dłonie przycisnęła do uda.

- Co to było, do cholery?

- Strzałka z genetycznie zmodyfikowaną kurarą - zimno wyjaśnił Carl. - Sparaliżuje pani system mięśni szkieletowych tak, że nie będzie pani mogła oddychać ani wezwać pomocy.

Westhoff zagapiła się na niego. Spróbowała wstać od stołu, wydobyła z siebie tylko stłumiony dźwięk i opadła z powrotem na miejsce, wciąż ze wzrokiem utkwionym w Carlu.

- To bardzo udoskonalona odmiana naturalnej kurary - mówił dalej. - Może go pani nazwać trzynastką wśród trucizn. Myślę, że przeżyje pani jakieś siedem albo osiem minut. Tyle pani.

Przesunął butelkę Red Stripe'a tak, że stanęła przed nią. Usta Westhoff drgnęły, opadła plecami na ścianę. Carl wstał do wyjścia. Nachylił się do niej.

- Sevgi Ertekin chciała twojej śmierci - powiedział cicho. - Teraz jesteś trupem.

Potem wyszedł z boksu i ruszył w stronę drzwi. Po drodze zerknął w stronę baru, przy którym barmanka zajmowała się swoim telefonem. Gdy spojrzała na niego, Carl wskazał oczami na swój stolik, z ekspresją przetoczył oczami i przybrał wyraz twarzy z cyklu *porzucona, zraniona i małość życia*. Dziewczyna uśmiechnęła się współczująco i wróciła do telefonu. Dotarł do drzwi, otworzył je i wyszedł w późnopołudniowy chłód.

\* \* \*

Wrzucił pistolet na strzałki do kratki ściekowej na Wall Street, trochę żałując go z powodu wysiłków, na które Matthew musiał się zdobyć, by wysledzić dla niego odpowiedniego sprzedawcę, i ceny, jakiej ten zażądał od Carla, gdy stało się jasne, że klientowi się spieszy.

Z drugiej strony spełnił swój cel.

*Mam nadzieję, że tego właśnie chciałaś, Sevgi.*

Zadzwoił do Nortona z taksówki w drodze na JFK.

- Możesz rozmawiać?

- Tak, wróciłem do Parku Jeffersona. Gdzie jesteś?

- Most Brooklyński. W drodze na lotnisko.

- Wciąż jesteś tutaj, w mieście? - Głos Nortona wybił się ze słuchawki. - W co ty się u diabła bawisz, Marsalis?

- Miałem parę spraw do załatwienia. Mogę jeszcze bezpiecznie polecieć? Norton sapnął ciężko.

- Tak, powinienes. Policja dobija mi się do drzwi, a Weill Cornell wydziera się o procesach, ale jak dotąd mandat INKOL wytrzymuje. Zawsze wiedziałem, że był jakiś powód zatrudnienia się tutaj.

- Nie ma to jak korporacyjna władza, co? - Carl spoważniał. - Myślisz, że spróbują cię uwalić?

- Cóż, na razie to moje zabawki, więc nic mi nie jest. Zresztą pamiętasz, byłem w łazience. Nie widziałem, co się dzieje, dopóki mnie nie zawołałaś i nie zobaczyłem martwego Ortiza na wózku.

- Brzmi dość słabo.

- Bo jest słabe. Ale mówimy tu o najpotężniejszej pozarządowej organizacji na planecie i na razie mam ich wsparcie. Przestań się martwić o mnie, Marsalis. Chcesz mi pomóc, to jak najszybciej zabieraj tyłek z jurysdykcji Unii.

- Już się robi.

Rozłączył się i wyrzwał przez okno taksówki. Przez stalową kratownicę mostu przedzierało się prążkowane światło, błyskając mu po oczach i zmieniając powietrze w taksówce na zmianę w zakurzone i ciemne. Z tyłu, za East River, Manhattan odcinał się kanciastym zarysem od chłodnego błękitu nieba. Słońce błyszczało i ściekało jak rozbite żółtko z górnej części jednej z nowo wybudowanych nanowież. W powietrzu niczym zapach wisiało pożegnanie.

W serce znów dźgnęło go to samo dziwaczne pragnienie, które poczuł, patrząc na przylądek Marin dwie noce temu. Nie potrafił sprecyzować jego znaczenia, potrafił tylko nadać mu imię.

*Sevgi.*

# **CODA PISTACO**

## ROZDZIAŁ 53

Ścieżka wiodąca w dół, do Colca, była wydeptana stopami do białego pyłu, miejscami niewiele pewniejsza niż luźne rumowisko i zarośla, które przecinała. Początkowo wlokła się i wiła wzdłuż brzegu kanionu jak świeżo rozwinięta lina, z wciąż nierozprostowanymi zgięciami. Z wioski wychodziła w stosunkowo prostej linii, mniej więcej trzymała się brzegu kanionu, miejscami dochodząc do niego i oferując przyprawiający o zawrót głowy widok w dół, potem odsuwała się od niego, jakby przestraszona spadkiem. Po kilku kilometrach ścieżka omijała porzucony, pusty plac z metalowymi, obdartymi z farby i rdzewiejącymi bramkami na końcach. Jeszcze kilka razy skręcała, potem wpadała w szerokie zapadlisko w ścianie kanionu, zjeżdżając jego krzywizną w dół niczym ślad kuli ruletki spadającej do koła z cyframi. Później odrywała się gwałtownie od brzegu kanionu, spływała po zboczu doliny w serii gwałtownych skrętów stanowiących ustępstwo przed stromizną zejścia i w końcu, w pyle i żwirze, docierała do antycznego wiszącego mostu nad bładozieloną rzeką.

Most nie był przyjaźniejszy dla podróżnika od prowadzącej do niego ścieżki. Materiały użyte do jego budowy wyglądały na niewymieniane od dziesięcioleci, a w miejscach, gdzie deski popękały i dorobiły się dziur, miejscowi poupychali kamienie, żeby widok wody w dole nie przeraził mułów - które wciąż stanowiły jedyny dostępny sposób transportu z miasteczka na skraju kanionu. Zaniedbania infrastrukturalne stanowiły ogólną cechę regionu - znacząca odległość od najbliższych obozów przygotowawczych oznaczała brak możliwości zwrotu zainwestowanych tu korporacyjnych funduszy, jedynym bodźcem była turystyka, a turyści lubili oglądać nędzę - jednak tutaj procesowi pozwolono zajść dalej niż w innych okolicach. Nie zachęcano do przychodzenia tutaj nikogo poza mieszkańcami okolic, a firmy turystyczne zostały przekonane, by układać plany wycieczek z dala od tych części kanionu. Cały ruch na ścieżce obserwowany był przez ludzi z bronią, której czarne i metalowe elementy lśniły groźną nowością w ostrym słońcu Altiplano. Chodziły pogłoski, że żyła tam czarownica, która nie posiadając ludzkiej zdolności do przeżycia całej pory suchej, przed końcem każdego roku zapada w magiczny sen i budzi się dopiero, gdy nadchodzą deszcze, a i wtedy jedynie dzięki wezwaniu i staraniom swojego

kochanka *pistaco*.

\* \* \*

- Nie możesz poważnie planować zejścia tam teraz. - Norton potrząsał głową, ale w jego głosie brzmiała raczej rezygnacja niż niedowierzenie. W ciągu ostatnich kilku dni zdawał się utracić zdolność do dziwienia się.

- Lepiej teraz niż później - spokojnie odpowiedział Carl. - Im bardziej sytuacja się uspokoi, tym większa szansa, że Bambaren i Onbekend będą musieli zwinąć interes, a dla nich jestem cholernie wielkim znaczkiem w kolumnie strat. Nie wiedzą o Sevgi, ale wiedzą, że pracuję dla ONZALG i że wiem o Onbekendzie. A obaj są ostrożni. Jeśli zostawi się ich na dość długo w spokoju, zaczną się zastanawiać, gdzie jestem i co robię. Jednak w tej chwili przypuszczają, że szukam ukrycia, jak wszyscy inni.

- Owszem, powinieneś.

- Co, robi się ciężko?

- Nie, nie to miałem na myśli. Chodzi mi po prostu o to, że musisz pomyśleć, co zrobisz, gdy już będzie po wszystkim.

Carl zapatrzył się na powolny, nocny ruch przez granicę na pasach kontroli.

- Będę się tym przejmował, gdy już będzie po wszystkim. A na razie - obiecałeś mi coś.

- I przyleciałem, prawda? - Norton machnął ręką wokół na surowe, funkcjonalne pomieszczenie, które mieli dla siebie. - Siedzę tu, prawda? Bo to nie tak, żebym nie miał nic innego do roboty, i to w znacznie ciekawszych miejscach.

Miał rację. Wydział Imigracyjny Policji Wybrzeża był powszechnie uznawany za najgorszy element tej potężnej organizacji i nieciekawe wnętrze stanowiska obserwacyjnego stanowiło ciche świadectwo tego faktu. Pod tylną ścianą stał szereg szarych szafek z tłoczonych włókien węglowych, połowę ograniczonej przestrzeni zajmowały tanie stoliki i krzesła, a resztę pochłoniął stół bilardowy z jaskrawo-pomarańczowym sukniem. Plastikowy stojak pilnował spracowanych kijów ustawionych pod ścianą niczym podejrzani, obok kilku automatów sprzedających coś, co wyglądało raczej na materiały wybuchowe, a nie jedzenie i napoje. Smętne panele LCLS w suficie, długie okno z widokiem na przejście z wysokości trzech metrów. Niepozorne drzwi z tyłu prowadziły do cel.

Siedzieli tu już ładnych parę godzin.

Carl wstał i po raz piętnasty zaczął chodzić po pokoju. Zaczął mieć



wrażenie, że czuje oddech tego miejsca, i nie poprawiało mu to nastroju. Pomalowane na żółto ściany były instytucjonalnie zaniedbane, podrapane w setce miejsc, a stół do bilardu pełen był śladów irytacji graczy i gniewnych strzałów. Gdzieniegdzie monotonię próbowały przerwać zapomniane plakaty w pełnym zakresie - od ulotek informacyjnych i haseł propagandowych policji do miękkiego porno i zaproszeń na imprezy w lokalnych klubach. Nic z tego nie wyglądało pociągająco, zwłaszcza przy studiowaniu po raz piętnasty.

Nie było to najprzyjemniejsze miejsce na pożegnanie się z Nortonem.

- Nowojorska policja wciąż próbuje ci się dobrać do tyłka? - zapytał.

Norton machnął ręką.

- Jasne, naciskają. Zdecydowanie chcieliby wiedzieć, gdzie się u diabła podziewasz. Czemu tak po prostu wyszedłeś. Powiedziałem im, że oficjalnie pomagasz INKOL w wewnętrznym śledztwie, częścią umowy jest ochrona świadka. Nie kupują tego, ale cóż, to tylko gliny. Nie mogą się z nami spierać o takie rzeczy.

- Pytali o coś jeszcze?

Dyrektor INKOL odwrócił wzrok. Nigdy nie zapytał Carla, co robił na Manhattanie przez resztę dnia.

- Nie, nie pytali. Czemu, powinienem jeszcze o czymś wiedzieć?

Carl przez chwilę szczerze zastanawiał się nad odpowiedzią.

- O czym powinieneś wiedzieć? Nie. Nic więcej.

Śmierć sierżant Amy Westhoff trafiła na część głównych stron wiadomości w całej Unii, sprawdził to, ale wątpił, by Norton miał wolny czas lub energię, by doszukać się powiązań z Sevgi Ertekin. Cztery lata to mnóstwo czasu, a był pewien, że ukrył swoje ślady, dzwoniąc do Westhoff. Większość załatwiło za niego poczucie winy kobiety.

- Jeśli mam być szczery - zmęczonym głosem powiedział Norton - od policji bardziej martwią mnie ludzie z Weill Cornell. W tym miejscu siedzi całkiem sporo pieniędzy, niektórzy ludzie mają dostęp do bardzo wysoko postawionych uszu, do tego część bardzo zaangażowanych w pracę lekarzy, którzy nie lubią tracić pacjentów w podejrzanych okolicznościach. Nie wspominając o fakcie, że osobisty lekarz rodziny Ortiza jest tam stałym konsultantem.

- Musiałeś opłacić ekipę ratunkową?

- Nie, oni nie są problemem. To sami młodzi lekarze startujący do kariery i doskonale wiedzą, co może zrobić z życiorysem oskarżenie o błąd w sztuce,

nawet przez powiązanie. Kazałem im stwierdzić śmierć Ortiza na miejscu, a potem przegoniłem, powiedziałem, że za nic już nie są odpowiedzialni. Powinieneś być zobaczyć ich twarze - wszyscy bardzo się ucieszyli, mogąc opuścić apartament.

Carl zatrzymał się przy liście przedstawień. „Grubych trudniej porwać” - Blythe, Sala Marjańska, dwudziesty piąty listopada. Prawie za trzy tygodnie. Przez chwilę zastanowił się, gdzie będzie, gdy na scenę wyjdą Grubi. Odsunął tę myśl od siebie, prawie jej nie oglądając.

- Masz już strategię wyjścia ze sprawy Ortiza?

Norton zajął do resztek kawy, która wystygła dwie godziny temu.

- Wariacje na temat. Nieoczekiwane, późnoetapowe zakażenie wirusowe z pocisków przenoszących broń biologiczną, którymi został postrzelony. Albo niezgodność interfejsów, jego ciało odrzuciło zestaw nanonaprawczy, który mu implantowano, a był zbyt słaby, by przeżyć wstrząs. Tak czy tak możesz być cholernie pewny, że nie będzie żadnej poważnej sekcji. Alvaro Ortiz dostanie państwowy pogrzeb, mnóstwo peanów na jego cześć i żalów z powodu przedwczesnej, tragicznej śmierci, a jego nazwisko wyląduje na jakiejś cholernie wielkiej tablicy. Nic z tego nigdy nie wypłynie. Tak kupujemy milczenie rodziny.

Carl posłał mu zaciekawione spojrzenie z drugiego końca sali. Coś się stało z Nortonom, od kiedy ostatnio go widział, coś zdecydowanie wykraczającego poza zmęczony brak zdolności do dziwienia się. Trudno to było zdefiniować, ale dyrektor INKOL wydawał się wejść w swoją rolę magika Inicjatywy z gorzką, masochistyczną przyjemnością. W jakiś dziwny sposób, jak atleta biegnący pomimo bólu, sprawiał wrażenie, jakby uczył się cieszyć z posiadanej władzy. W próżni powstałej po śmierci Ortiza i jego brata Tom Norton stał się gwiazdą chwili i jechał na tym niczym bokser do gongu, jak niechętny bohater wezwany w końcu do broni. Tak jakby wraz z patrycjuszowską postawą i wystudiowanym spokojem konferencji prasowych było to częścią i elementem tego, do czego został stworzony.

- A dziennikarze? - zapytał Carl. - Prasa?

Norton prychnął.

- Och, prasa. Nie rozśmieszaj mnie.

Carl wrócił do stołu i stanął przed oknem obserwacyjnym. Rzędy pojazdów w obie strony, chmurki pary marznących oddechów umundurowanych strażników granicznych poruszających się energicznie w zimnej, pustynnej nocy, schylających się i zaglądających do przypadkowo

wybranych pojazdów z długimi, walcowatymi latarkami uniesionymi do ramion niczym jakaś bazooka. Kolejka ciągnęła się aż do mostu, którym autostrada międzystanowa 10 przekraczała rzekę Kolorado z Arizony w jaskrawym świetle paneli LCLS i wędrujących szperaczach. Kolczaste fortyfikacje wokół mostu piętrzyły się groźnie w mroku.

- No, Suerte - mruknął. - Gdzie ty do cholery jesteś?

\* \* \*

Z drugiej strony wiszącego mostu siedziało dwóch znudzonych do niemożliwości uzbrojonych strażników, ziewających i zmarzniętych, z bronią przewieszoną na ramionach. Jeden z nich, młodszy chłopak tuż po dwudziestce, Lucho Acosta, siedział na kamieniu w miejscu, gdzie zaczynała się kamienista ścieżka, rzucając kamienie do rzeki. Jego trochę starszy towarzysz stał, ale oparty niedbale o olinowanie mostu, paląc skręta i czasami oglądając się, by spojrzeć w górę kanionu na niebo. Miguel Cafferata miał już dość tej pracy, dość siedzenia tutaj, o dzień trudnej jazdy od świateł Arequipy i jego rodziny, dość ocierającej go masywnej weblarowej kamizelki, rzekomo lekkiej, i dość Lucho, który wydawał się nie interesować w życiu niczym oprócz piłki nożnej i porno. Gdy Miguel spędzał czas z chłopakiem, ogarniało go przygnębiające wrażenie, że patrzy na obraz swojego syna za dziesięć lat, a to go denerwowało. Gdy Lucho wstał i wskazał w górę ścieżki, z dużym wysiłkiem zdobył się na zerknięcie w tamtą stronę.

- Ścieżką idą muły.

- Tak, widzę.

Temat rozmowy został wyczerpany. Obaj pełnili tę służbę od ostatnich dwóch czy trzech tygodni, ta sama zmiana od wschodu do popołudnia. Szef był niespokojny, chciał, żeby miejsce zostało zablokowane na sztywno, bez żadnych zbędnych zmian straży. W ciszy obserwowali, jak samotna postać i dwa muły schodziły w porannych promieniach słońca po serpentynowych zakrętach ścieżki. Widok był typowy, zresztą w dzień nie można było się tu dać zaskoczyć, chyba że przez snajperów albo pieprzone bombardowanie.

Nawet gdy przewodnik mułów i jego zwierzęta dotarli do ostatnich kilku zakrętów przed mostem, Miguel się nie spał. Jednak na jego spieczonej słońcem twarzy obudziła się iskierka zainteresowania. Usłyszał, jak Lucho za jego plecami wstaje ze swojego kamienia.

- Czy tam na przedzie to nie jest muł Sumarivy?

Miguel osłonił oczy.

- Na to wygląda. Ale to nie Sumariva. Zdecydowanie za duży. I zobacz, jak idzie.

Komentarz był usprawiedliwiony. Wysoka postać wyraźnie nie opanowała schodzenia po górskiej ścieżce. Co kilka kroków potykał się, podnosząc chmurki białego pyłu. Wydawał się też kuleć i nie bardzo orientował się, jak prowadzić muły. Duże, nowoczesne buty i długi płaszcz zakurzony po niezgrabnym zejściu, zniszczony skórzany stetson. Spod ronda kapelusza błyskała blada twarz. Miguel prychnął.

- To pieprzony gringo - rzucił z zainteresowaniem.

- Myślisz...

- Nie wiem. Mamy wypatrywać jakiegoś murzyna, a nie gringo z parą mułów. Może to ktoś z uniwersytetu. Sporo tu tych gości z północy, robią jakieś badania dla Marsa. Testują jakiś sprzęt.

Faktycznie, gdy się przyjrzał, muły wydawały się być obładowane małymi, płytkimi skrzynkami, pobłyskującymi metalicznie w promieniach nisko wiszącego słońca.

- No, tutaj sobie na pewno niczego nie protestuje - stwierdził Lucho, z młodzieńczym warknięciem ściągając z ramienia strzelbę. Wprowadził pocisk do komory i wszedł na deski mostu. Miguel skrzywił się, słysząc ten dźwięk.

- Pozwól mu najpierw przejść do nas, dobra? Nie ma sensu pędzić do niego, a po tamtej stronie i tak nie ma miejsca, żeby go przeszukać. Niech przejdzie tutaj, zobaczymy, kto to, zawrócimy go i wyślemy w drogę.

Ale gdy gringo dotarł do mostu, nie wszedł od razu na deski. Zamiast tego stanął i wysłał jednego muła przodem. Zwierzę ruszyło przez przeszkodę ze zwykłą potulnością, podczas gdy gringo po drugiej stronie zdawał się szukać czegoś w kieszeniach i robić coś z taśmami na grzbiecie drugiego muła.

- To muł Sumarivy - oświadczył Lucho, gdy zwierzę doczłapało do nich spokojnie, po czym minęło ich i weszło na pewny grunt po drugiej stronie rzeki, gdzie stanęło i czekało na właściciela. - Myślisz, że wynająłby go tak po prostu?

- Za dość pieniędzy, jasne. A ty nie? - Miguel przeszedł na hiszpański, podniósł głos. - Hej tam, nie możesz tu przyjść. To teren prywatny.

Postać po drugiej stronie mostu zamachała ręką. Odkrzyknęła w quechua.

- Jedną minutkę, zaraz.

Potem zaczął prowadzić przez most drugiego muła. Kapelusz zsunął niżej

na oczy.

- Dobra, zostań tu - Miguel polecił chłopakowi. Poruszył go język, nigdy jeszcze nie spotkał mówiącego nim gringo. - Pójdę zobaczyć, o co tu chodzi.

- Mam zawołać pozostałych?

Miguel spojrzał na muła, stojącego obok jak najzwyczajniejsze stworzenie świata. Mrugnęło na niego wielkimi, wilgotnymi oczami. Prychnął niecierpliwie.

- Nie warto. I tak usłyszą, jeśli będziemy musieli go zastrzelić.

Jednak zdjął z ramienia swoją strzelbę i wyszedł na spotkanie przybysza, ogarnięty niejasnym niepokojem. I zwolnił, gdy przebył ostatnie kilka metrów raptownie kurczącego się dystansu między nim a obcym. Zatrzymał się blisko połowy mostu, zastawił go sobą i wprowadził pocisk do komory broni.

Obcy zatrzymał się, słysząc suchy, metaliczny trzask przeładowywania.

- Dość tego - rzucił Miguel w quechua. - Nie słyszałeś mnie? To cholerny teren prywatny.

- Tak, wiem o tym.

- To co ty tu o diabła robisz, gringo?

- Przyszedłem zobaczyć wiedźmę.

Wtedy właśnie obcy przechylił głowę tak, że Miguel mógł wyraźnie zobaczyć jego twarz. Wtedy też zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Biel, którą widzieli błyskającą spod runda kapelusza podczas drogi w dół, była ciasto wata i nierzeczywista, rozmazana na twarzy jak kiepsko nałożona maska klauna albo częściowo stopiony cukierek w kształcie czaszki z Dnia Zmarłych. Jego oczy były ciemne i beznamietne, patrzyły z rozpadającej się białej twarzy, nie bardziej ludzkie niż para luf.

*Pistaco.*

Miguel miał czas na tę jedną, przerażającą myśl, a potem coś wybuchło za nim w serii ognistej furii. Zablokował się, ciągnięty równocześnie w dwie strony, a długi, zakurzony płaszcz obcego pękł nagle i dostrzegł błysk jakiejś przysadzistej, brzydkiej broni trzymanej tam przez *pistaco*.

Głębokie kaszlnięcie, mściwy, szatkujący jęk.

Potem było tylko uderzenie, wrażenie bycia pchanym gwałtownie do tyłu, błysk nieba i wirujących, stromych boków kanionu, a potem wszystko zniknęło.

Carl Marsalis przebiegł obok resztek pierwszego żołnierza *familii*, pokonał odległość dzielącą go od drugiego, gdy tamten unosił strzelbę i

puścił bezsensowny strzał z biodra. Ten był już spanikowany poza granice jakiegokolwiek szkolenia bojowego, które mógł zaliczyć, przerażony zdalnie wyzwolonymi fajerwerkami w sakwach pierwszego muła i gwałtowną śmiercią swojego towarzysza. Carl strzelił w biegu, wciąż zbyt daleko, by strzelba na rekiny miała szansę narobić poważnych szkód, ale chłopak przed nim szarpnął się i zachwiał od kilku odłamków, które w niego trafiły.

Nie była to idealna broń na te okoliczności i poza wodą była cholernie ciężka. Musiał zawiesić sobie na szyi długą elastyczną taśmę, w którą była wyposażona, i przyczepić samoprzylepną łatę na prawym biodrze, by utrzymać cholerstwo nieruchomo pod płaszczem. Noga bolała go od wysiłku marszu z dodatkowym obciążeniem. Jednak patentowana strzelba na rekiny Cressi miała tę kluczową przewagę, że zaklasyfikowano ją jako sprzęt sportowy do nurkowania, dzięki czemu bez najmniejszych problemów przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku w sytuacji, gdy problemy były mu zdecydowanie nie na rękę. A broń, która wystrzeliwała ostre jak brzytwa kawałki wirującego metalu przez wodę z siłą dostateczną, by wypatroszyć wielkiego rekina, miała solidny zasięg w powietrzu, nawet jeśli rozproszenie dawało żałośnie niską celność. Po twarzy młodego wartownika płynęła krew, gdy zmagał się z zamkiem swojej strzelby, prawdopodobnie oszołomiły go wybuchy i był wyraźnie przerażony.

Carl zmniejszył dystans, znów pociągnął za spust. Chłopak walnął plecami o boczne liny mostu. Spore kawałki jego ciała spadły w dół, do rzeki, reszta opadła bezwładnie na zalane krwią deski.

Koniec.

Muł niosący fajerwerki całkiem przewidywalnie spanikował w równym stopniu co pozostali. Pędził teraz ścieżką wzdłuż brzegu rzeki, kopiąc i prychając. Nie ma czasu na odpoczynek. Carl pobiegł za zwierzęciem z uszami nastawionymi na głosy innych ludzi.

Trzeciego wartownika napotkał kilkaset metrów dalej wzdłuż rzeki, biegnącego w dół ścieżki w kierunku odgłosów strzałów z matowoszarym karabinem szturmowym Steyr trzymany nieporęcznie przy ciele. Mężczyzna zobaczył muła, próbował uskoczyć mu z drogi, a Carl skoczył przy boku zwierzęcia, wyrzucił przed siebie strzelbę na rekiny i strzelił prawie na ślepo. Mężczyzna padł, jakby rozerwany przez niewidoczne ręce. Carl przeskanował ścieżkę przed sobą, niczego nie zobaczył ani nie usłyszał i przekroczył pozostałości zabitego właśnie człowieka. Kucnął i lewą ręką wyciągnął z resztek steyra, odrzucając go natychmiast ze złością. Facet wciąż

trzymał go przy ciele w chwili, gdy Carl go zastrzelił, i ładunek na rekiny nieodwracalnie zniszczył zamek.

- Szlag!

Zaczął obmacywać resztki postrzępionego trupa, ze strzelbą na rekiny cały czas wycelowaną czujnie nad kolanem w stronę ścieżki z przodu. W końcu znalazł zalaną krwią kaburę z lśniącym nowością pistoletem. Wyciągnął go i obejrzał - glock 100, niezła broń. Kosztowna, trochę droga jak na takiego goryla z zadupia, ale Carl przypuszczał, że nawet tutaj dobra marka miała swoje znaczenie.

Dziki, napompowany adrenaliną uśmiech. Na chwilę odłożył strzelbę, żeby przeładować pistolet. Wydawał się nieuszkodzony, będzie celny do pewnej odległości, ale...

Wciąż brak przyzwoitej broni dalekiego zasięgu. Strzelby, których używali strażnicy przy moście, miały większy zasięg niż ta na rekiny i wciąż nie miał pojęcia, ilu ochroniarzy Bambarena dzieliło go od zimowego leża Greta Jurgens. Poza informacją o samym miejscu Suerte Ferrer był beznadziejnie ogólnikowy.

Wzruszył ramionami i wstał. Wsadził glocka za pas, znów zważył w dłoniach broń na rekiny i przekroczył zmasakrowanego trupa. Ścieżka z przodu wydawała się wynurzać powoli z kamienistego zagłębienia, którym biegła wzdłuż brzegu rzeki. Muł pognał tam i chyba w końcu znalazł otwarty teren po prawej.

Carl osadził starannie skórzany kapelusz na głowie i poszedł śladem zwierzęcia. Pulsowały w nim hormony walki. Siatka chwyciła rytm i podbijała moc. Upiorny uśmiech na twarzy sprawiał wrażenie, jakby miał pozostać na niej na zawsze.

\* \* \*

- Musisz podejść do tego z wyczuciem geografii, Suerte.

Suerte Ferrer popatrzył złym wzrokiem z krzesła w celi na obchodzącego go Carla. Przykuła go tam straż graniczna.

- Nie potrzeba mi twoich lekcji geografii, czarnuchu.

Obelga wzbudziła w nim echo, obciążona wspomnieniami z więzienia stanowego Południowej Florydy. Usłyszał ją pierwszy raz od starcia z Dudeckiem.

Oczywiście w międzyczasie kilka razy usłyszał słowo „świr”.

- Widzę, że całkiem nieźle wrosłeś w kulturę Jezusowa. - Carl dokończył krąg i nachylił się nad stołem na poziomie Ferrera. Ich więzień wciąż był

brudny i zmęczony po przerzuceniu przez granicę w podwójnym dniu skrzyni zawierającej rzekomo eksperymentalny olej ze zmodyfikowanego genetycznie rzepaku. Szarpnął się do tyłu, gdy Carl zbliżył do niego twarz. - Może chcesz tam wrócić, Suerte? Tego właśnie chcesz?

- Quiros powiedział...

Carl trzasnął w stół.

- Nie znam tego Quirosa. I nawet nie chcę go znać. Myślisz, że przypadkiem wyciągnąłem z kolejki właśnie tę ciężarówkę? Zostałeś sprzedany mnie przez kogoś stojącego o wiele wyżej od twojego kumpla Quirosa. Jeśli więc myślisz, że wyciągnie cię stąd jakiś gładki prawnik z Seattle, to grubo się mylisz.

Obszedł stół i znowu usiadł obok Nortona, który przez cały czas nic nie robił, siedział tylko z nogami wysuniętymi przed siebie i patrzył ponuro. Carl wskazał kciukiem w stronę drzwi celi, które zostawili obiecująco otwarte po wejściu do środka.

- Tam, Suerte, jest autostrada prowadząca w dwie strony. Idzie na zachód, do Freeport, albo na wschód, z powrotem do Jezusowa i odsiadki za nielegalne przekroczenie granicy. Sam wybierzesz, w którą stronę pojedziesz.

- Kim wy do cholery jesteście? - zapytał Ferrer.

Norton wymienił spojrzenia z Carlem. Nachylił się do przodu i odchrząknął.

- Jesteśmy dobrymi wrózkami, Ferrer. Dziwne, że nas nie poznałeś.

- Właśnie, chcemy spełnić wszystkie twoje życzenia.

- Widzisz, te dokumenty są już spalone. - Norton wskazał na stół, gdzie rozłożono papiery znalezione przy Ferrerze. - Carlton Garcia. Policja Wybrzeża ma nakaz aresztowania na to nazwisko od San Diego do Vancouver i z powrotem. Nawet gdybyśmy cię tu nie wyłowili, miałbyś najwyżej trzy dni na Wybrzeżu, zanim wpadłbyś albo w łapy policji, albo jakiegoś szefa gangu, który zmusiłby cię do pracy piętnaście godzin na dobę i jeszcze kazał robić sobie loda w podzięce za ten przywilej.

Carl uśmiechnął się upiornie.

- O takim Wybrzeżu właśnie marzyłeś, Suerte?

- Na zachód, młodzieńcze, na zachód - nabożnie zacytował Norton. - Ale lepiej z pieniędzmi i przyzwoitą fałszywą tożsamością.

- A obie te rzeczy możemy ci zapewnić - dodał Carl. - Wraz z biletem autobusowym prosto do Freeport. Musisz tylko odpowiedzieć na kilka pytań o twojego kuzyna Manco Bambarena.



- Hej! - Suerte Ferrer cofnął się na krzesło. Machnął rękami płasko w powietrzu przed sobą. - Nic nie wiem o operacjach Manco, nie mówili mi nic na ten temat. Zresztą i tak nie mieszkam tam już od kilku lat.

Carl i Norton wymienili kolejne spojrzenia. Carl westchnął.

- Szkoda - powiedział.

- Właśnie. - Norton zaczął się podnosić. - Powiemy chłopakom z *migra*, żeby nie obili cię za mocno przed przerwaniem z powrotem.

- Mam nadzieję, że podobał ci się krótki pobyt w krainie nowych możliwości.

- Czekać!

\* \* \*

Kryjówka hibernacyjna Greta Jurgens była wtopioną w otoczenie dwupiętrową budowlą wpuszczoną w ścianę pionowego urwiska oddalonego o kilkadziesiąt metrów od brzegu rzeki. Pięćdziesiąt lub więcej metrów słabo zarośniętego, otwartego terenu od miejsca, gdzie ścieżka prowadząca od mostu wyłaniała się z zagłębienia i nikła w trawie kilka kroków od drzwi. Okna na górnym piętrze zasłonięto okiennicami z włókien węglowych, ale na dole widać było aktywność. Ruch widoczny przez szerokie okno i mężczyźni biegający w obie strony przez otwarte drzwi, z bronią w rękach. Zanim opadł z powrotem za osłonę, Carl naliczył pięciu, z których żaden nie miał jeszcze na sobie kamizelek weblarowych noszonych przez trzech zabitych dotąd. Jeden z nich, starszy i najwyraźniej dowódca, dzwonił już po rozkazy. Carl przyklęknął w miejscu, gdzie skały na prawo od ścieżki wciąż wznosiły się na wysokość metra, i wsłuchał się w składany przez niego raport.

- ... brzmi jak cały cholerny oddział. - Głos pełen paniki i cichy z tej odległości, dodatkowo osłabiony przez szum rzeki w tle. - Nie mogę wywołać Lucho i Miguela przy moście. Jest tu pieprzony muł z sakwami, które wyglądają, jakby wybuchły czy coś. Nie wiem, czy...

Przerwa.

- No dobrze, ale lepiej się pospieszcie. - Krzyk w bok. - Cholerni idioci, załóżcie kamizelki.

*Cholera.*

*Cóż, raczej się tego spodziewałeś.*

Wyskoczył zza rogu płytkiej skały w naprężonym, przygiętym biegu, ze strzelbą na rekiny znów przyklejoną do uda i glockiem trzymanym w obu rękach na wysokości głowy niczym jakaś święta ikona.

Potrzebowali pierwszych trzech metrów, żeby go zauważyć, kolejnych

dwóch na uświadomienie sobie, że nie był jednym z nich. Odczekał z otwarciem ognia na tę chwilę, nie chciał tracić pocisków. Jednak gdy wybuchły krzyki i zaczęli podnosić broń, nacisnął spust, a pistolet zaszczeakał w jego dłoniach jak mały piesek o paskudnym charakterze. Biegł dalej, prosto na nich. *Niech strzały coś znaczą.*

Starszy facet z telefonem, uskakujący przed karabinami własnych ludzi, wyciągający skądś pistolet. Wyeliminowały go trzeci i czwarty strzał Carla, zatoczył się na ścianę i ościeżnicę za plecami, szukając podparcia, osuwając się. *Jeden załatwiony.* Więcej wrzasków, zamieszanie. Ktoś odpowiedział ogniem - *cholera, najwyższy czas, skąd ty ich wzięłeś, Manco* - ale nigdzie blisko, a siatka zmusiła go do zignorowania serii. Nie ma czasu, nie ma czasu, wciąż strzelał, równomierny trzask pocisków z glocka, szyba w oknie pobrużdżona pęknięciami i kraterami, musi być kuloodporna. Kolejny facet ze steyrem strzela na ślepo z biodra, poprawka w prawo z glocka i poleciał, jakby nogi podciął mu jakiś drut. *Dwóch mniej.* Do gry weszli pozostali, kakofonia strzałów, stukot automatów i tępe grzmoty strzelb. Bładoszara ziemia wybucha na prawo, na lewo i przed nim, uskakuje w lewo, traci skupienie, chyba trafił trzeci cel, facet poleciał do środka budynku, nie był pewien. Dwaj pozostali na zewnątrz ruszyli w stronę drzwi, podnosząc wyżej broń. Znajdą się w zasięgu. Huk strzelby, dostał zewnętrznym skrajem chmury śrutu, poczuł kilka ukłuć w nogi. Przebiegł sprintem resztę drogi, opróżniając przy tym magazynek glocka. Pocisk trafił go w końcu gdzieś w żebra, uderzając z siłą młota, i Carl zachwiał się, zatrzymał, prawie przewrócił. Spadł jego kapelusz, odsłaniając twarz przed słońcem i dwoma pozostałymi przeciwnikami. Zobaczył wstrząs w ich oczach. Warknął i z powrotem wycelował z glocka, dalej pociągał za spust. Jeden z mężczyzn szarpnął się, zatoczył do tyłu, strzelając serią na ślepo, z jednej ręki, trafiony, ale nie wyeliminowany. Glock zablokował się po ostatnim pocisku, Carl go odrzucił. Został już niecały tuzin metrów, oderwał strzelbę na reki, podniósł, wycelował w stronę mężczyzn i pociągnął za spust.

Szerokie okno ustąpiło na środku, zmieniło się nagle w szczerbate usta. Obaj mężczyźni zostali rzućeni z dużą siłą o szkło, którego pozostałości zabarwiły się raptownie czerwienią i strzępami tkanki. Ciała upadły w beładnych stertach. Carl podbiegł na dwa metry do drzwi, na wszelki wypadek strzelił do środka i się zatrzymał.

*Słuchaj.*

Cichy odgłos skrobania ze środka, gdzieś na prawo. Rzucił się do

wnętrza, padając i wykręcając się w powietrzu, dostrzegł jakiś ruch nad blatem kuchennym i strzelił w niego. Równocześnie wystrzeliła inna broń i poczuł drugie uderzenie w żebra. Jednak brzegi blatu rozpadły się w chmurze drzazg i postać za nim poleciała do tyłu. Wrzask i mokre plaśnięcie surowego mięsa. Wylądował na ziemi, przejechał boleśnie po oparciu przewróconego drewnianego krzesła.

I wszystko znów znieruchomiało.

Tym razem na dobre.

\* \* \*

- Sprawa jest prosta - powiedział Nortonowi po zakończeniu przesłuchania. Grali nieudolnie w bilarda na obrzydliwym, pomarańczowym stole. - Nie muszę teraz szukać Onbekenda. On sam do mnie przyjdzie.

- Jeśli nie wybierze cię po prostu z lotniska, na którym zamierzasz wylądować.

- No cóż, jak mówiłem, chwilowo są trochę zajęci. A ja polecę tam z nową tożsamością. Żadnej legitymacji INKOL, akredytacji ONZALG, bez broni, nic, co wywołałoby alarmy.

Norton znieruchomiał nad bilardowym kijem.

- Bez broni?

- Owszem, sensu stricte. Zamierzam wyglądać jak turysta.

- A ta nowa tożsamość? - Dyrektor INKOL posłał bilę do celu. - Pewnie ja mam ci ją załatwić.

- Nie, mam w Londynie przyjaciela, który się tym zajmie, kurier przywiezie mi papiery w ciągu dnia. Od ciebie potrzebuję gotówki. Czystych wafli, bez związku z INKOL. Wystarczy mi na to kredytu?

- Wiesz, że tak.

- Dobrze. I możesz przekonać policję, żeby zatrzymali Ferrera w zamknięciu do końca przyszłego tygodnia? Dopilnowali, żeby nie zmienić zdania i nie zaczął śpiewać wszystkiego przez kable Bambarenowi?

- Pewnie tak. - Norton przyjrzał się stołowi w poszukiwaniu dobrej pozycji, spróbował wbić dwie bile, uderzył za mocno i spudłował. - Ale słuchaj. Nie wiesz, czy ta Jurgens tam będzie. Co zrobisz, jeśli ona jeszcze nie śpi?

- Norton, jest listopad. - Carl potarł kij kredą. - Jurgens prawie usypiała, kiedy rozmawiałem z nią trzy tygodnie temu. Teraz musi już leżeć.

- Wydawało mi się, że są leki, które blokują hibernację.

- Owszem. - Carl ustawił się do strzału, cofnął kij, biorąc poprawkę na

pobrużdżoną żółtą ścianę za plecami. Ostre trzaśnięcie i docelowa bila znikła w narożnej łuzie, jakby wessana przez odkurzacz. Biała bila stała niczym przyklejona. - Znałem na Marsie hibernoida, razem ćwiczyliśmy tanindo. Był prywatnym detektywem, czasem dorabiał wymuszaniem. Bardzo twardy gość, zawsze wdawał się w bójki. Chyba nigdy nie widziałem go bez jakiejś rany. I powiedział mi, że żadne lanie, którego kiedykolwiek zaznał, nie bolało tak bardzo jak wtedy, gdy naćpał się tego syfu na budzenie.

- Tak, ale jeśli martwią się...

- Norton, nie znają żadnego powodu, dla którego miałbym iść za nimi w ten sposób. Nie wiedzą, że Ertekin coś dla mnie znaczyła. A jeśli ma dojść do jakichś skutków ubocznych z INKOL, najlepsze, co Onbekend może zrobić teraz ze swoją dziewczyną, to położyć ją w jakimś bezpiecznym i spokojnym miejscu na następne kilka miesięcy. Wierz mi, jest tam. Pozostaje tylko problem dostania się do niej, wkopania się i poczekania na pędzącego Onbekenda. A potem zabicia skurwysyna.

Uderzył następną bilę, spudłował o milimetry. Nie wpadła do luzu.

\* \* \*

Ściągnął płaszcz, zdjął z szyi strzelbę na rekiny i rzucił ją na blat kuchenny. Sprawdził własne obrażenia. Marstechowa kamizelka kinetyczna, przeprowadzona przez kontrolę lotniskową jako element wyposażenia do nurkowania, przyjęła na siebie pociski i ograniczyła uszkodzenia do siniaków, może pękniętych żeber. Nacisnął jedno z bolących miejsc, skrzywił się i wzruszył ramionami. Poszło gładko.

*Jak dotąd.*

Pozbierał broń zabitych, rzucając ją na uszkodzony blat. Odciągnął pozostałości mężczyzny zastrzelonego za barem przed drzwi i zostawił go z resztą towarzyszy. Jeśli będzie miał czas, sprzątnie krew, używając mopa i wiadra z wodą.

W galeryjce na piętrze budynku znalazł pokój wchodzący w głąb urwiska, przy którym wzniesiono domek. Drzwi wyposażono w solidny zamek, ale przestrzelił go, używając jednego z nowo zdobytych pistoletów. Drzwi ciężko otworzyły się do wnętrza zakrzywionego pomieszczenia oświetlonego stonowanym światłem pomarańczowych paneli LCLS, umieszczonych na wysokości kolan wzdłuż ścian. Znalazł koło drzwi panel przełączników, przełączał wszystkie, aż zapalił ostrzejsze, białe światło. Przepuszczenia potwierdzone - znalazł Gretę Jurgens.

Leżała niczym martwa szlachcianka Wikingów na szerokiej, rzeźbionej

platformie z drewna o kształtach luźno kojarzących się z łodzią. Owinięta była grubymi splotami szarzielonej pianki termoizolacyjnej. Podchodząc bliżej, Carl wyczuł zapach, charakterystyczny, lekki smród wysokozmodyfikowanego węglowego plastiku. Sam często korzystał z takich siatek na Marsie podczas noclegów na wyprawach w wyżyny Wells.

Przed oczy wyskoczyło mu wspomnienie ciepłego blasku elementu grzejnego, gdy w swej chwale nadchodziła marsjańska noc, niezliczone chmary gwiazd i drobne błyski spalających się po zejściu z trajektorii pozostałości z elementów nasion, wciąż spadających po dekadach modyfikacji atmosferycznych. Sutherland, patrzący w górę na to wszystko, przyjemny uśmiech na pobruźdzonej, hebanowej twarzy, jakby wszystko to, niebo i to, co pod nim, zostało tu umieszczone specjalnie dla niego. W zadumie przytakuje wszystkiemu, na co narzeka młody Carl Marsalis. Wchłaniając to wszystko, potem wykręcając tak, że Carl musiał spojrzeć na to w sposób, który wcześniej nie przyszedł mu do głowy. *Wchłaniaj. Zastanawiałeś się kiedyś, czy nie znaczy to...*

Jurgens poruszyła się nieznacznie po zapaleniu światła, ale tak blisko końca cyklu była pogrążona w zbyt głębokim śnie żeby silniej zareagować. Pod pianką była naga, ze skórą napiętą i lśniąca od zebranego pod nią tłuszczu, oczy zaklejone gumową wydzieliną snu hibernoida. Carl stał i przyglądał jej się przez długą chwilę, trzymając pistolet niczym młot. Przed oczami przemykały mu obrazy ostatniego miesiąca, jak płomień, jak coś płonącego.

Więzienie stanowe Południowej Florydy. Nanokratownica Perez. Sevgi Ertekin obok niego na plaży. Nowy Jork i kanapa, którą mu pościeliła. Strzelanina na ulicy przed domem, pierwszy ciepły nacisk jej ciała, gdy rozpląszczyła się pod nim.

Stambuł, marsz po Modzie. Błyszczące uśmiechy w ciemności, wrażenie ucieczki we wszystkim, co robili.

Jego usta drgnęły w górę.

Wiatr pośród kamieni na Sacsayhuaman. Sevgi oparta o jeepa za plecami, poczucie osłony, bezpieczeństwa.

Droga do Arequipy, jej twarz w świetle tablicy rozdzielczej.

San Francisco i „Kot Bułhakowa”, widok z lądowiska na sterburcie przed świtem.

*Nie chwał się, Marsalis. To niezbyt atrakcyjne.*

Śmierć Sevgi.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Wpatrywał się w śpiącą kobietę.

*Greta Jurgens należy do Onbekenda?*

*Na to wygląda. Dziwna para, nieprawdaż? Ale przynajmniej łączy ich to, że oboje stanowią obiekt hormonalnej nienawiści, dla której reszta ludzkości wydaje się nieustannie szukać celu.*

W jego trzewiach poruszyła się siatka, może pozostałości po strzelaninie, może coś innego. Pomyślał o oczach Sevgi Ertekin zamykających się w szpitalu. Patrzył na Gretę Jurgens, jakby była problemem do rozwiązania.

*Żyjesz po prostu z tym, co zrobiłeś, i w przyszłości próbujesz robić tylko to, z czym jest ci dobrze. Na tym to wszystko polega. Wchłaniaj, to wszystko.*

Sięgnął lewą ręką. Poprawił piankową siatkę w miejscu, gdzie odsłoniła blade ramię hibernoidki.

Potem szybko wrócił do drzwi i zgasił jasne panele LCLS, bo z jego wzrokiem działo się coś dziwnego, jakby ślepl. Stał przez chwilę w ciepłym pomarańczowym mroku, rozejrzał się nerwowo wokół, jakby ktoś stał obok, po czym cicho wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Przeszedł wzdłuż korytarza, sprawdzając drzwi, aż znalazł zaciemnione, pozbawione okien pomieszczenie pachnące kobiecą łazienką. Wszedł do środka i dotknął przełącznika, w pastelowej przestrzeni rozbłysło jaskrawe światło. Z okrągłego lustra na ścianie spojrzała na niego własna twarz - biała farba spłynęła miejscami zmyta potem, odsłaniając czarną skórę, oczy otoczone farbą jak ciemna woda na dnie psychodelicznych studni.

*Cholera, nic dziwnego, że faceci na moście spanikowali.*

Pewnie powinien być wdzięczny Carmen Ren za inspirację.

Gdziekolwiek teraz była.

Przez chwilę zastanawiał się, czy Ren się uda, czy zdoła uniknąć cielaków i Agencji tak jak wcześniej. Czy rosnące w niej dziecko zdoła bezpiecznie przyjść na świat i co będzie dalej. Co Ren będzie musiała zrobić, żeby je chronić.

Pamiętał to twarde spojrzenie, sposób, w jaki zmusiła go do cofnięcia się samym spojrzeniem i postawą, emanującą z niej chęcią przeżycia. Niezły zestaw kart do rozgrywki. Pomyślał, że może mieć większe szanse niż większość jej męskich odpowiedników.

Głównie jednak cieszył się, że to nie on zostanie wysłany, by ją złapać.

W szafce nad umywalką znalazł kapsułki, które rozpoznał - kodeina ze zmodyfikowaną kofeiną dla szybszego działania. Wystarczy na żebra. Przesunął ręką przed czujnikiem, puszczając wodę z kranu, namydlił się i

zaczął zmywać z twarzy białe paskudztwo. Kiedy pozbył się większości, wsadził głowę pod kran i puścił wodę na szyję i tył czaszki. Wziął jeden z pastelowych ręczników Grety Jurgens wiszących przy umywalce i wytarł się nim do sucha, znów popatrzył do lustra i tym razem już się tak nie wystraszył.

*Teraz zobaczymy, czy zdołasz wystraszyć Onbekenda.*

Rozgryzł kodeinę, przełknął ją na sucho, zebrał językiem pozostałości z zębów i popił łykiem wody z kranu. Jeszcze raz spojrzął na siebie w lustrze, jakby odbicie mogło mu zaoferować jakąś przydatną radę, potem wzruszył ramionami i zgasił światło.

Zszedł po schodach, by czekać.

\* \* \*

- Nie musisz tego robić - powiedział Norton.

Carl minął go, obchodząc stół i przyglądając się bilom.

- Owszem, muszę.

- To jej nie ożywi.

Zdecydował się na długi strzał pod kątem, z odbiciem od bandy.

- Tę kłótnię chyba już zaliczyliśmy.

- Na miłość boską, nie kłóć się z tobą, Marsalis. Próbuję wbić w ciebie trochę rozsądku, może nawet powstrzymać cię przed utratą tam życia. Słuchaj, w sobotę jest pogrzeb Sevgi. Mogę cię przeprowadzić przez służby imigracyjne Unii i nie dopuścić do ciebie policji przez potrzebny na to czas. Czemu nie przyjedziesz?

- Bo, o ile o mnie chodzi, to też jej nie ożywi.

Norton westchnął.

- Marsalis, ona nie tego by chciała.

- Norton, nie masz najmniejszego cholernego pojęcia o tym, czego Sevgi by chciała. - Wyprowadził uderzenie, przesadził z kątem i bila poleciała za daleko, z dala od celu. - Zresztą ja też.

- W takim razie czemu tam lecisz?

- Bo ktoś kiedyś mi powiedział, że kluczem do życia z tym, co się zrobiło, jest robienie wyłącznie rzeczy, z którymi ci dobrze. A nie potrafię żyć z Sevgi martwą i Onbekendem wciąż kręcącym się po okolicy.

Carl oparł się na szeroko rozstawionych rękach o brzeg stołu i kiwnął głową w stronę bezładnie porozrzucanych bil.

- Twoja kolej - rzucił. - Zobaczymy, co zdołasz z tym zrobić.

## ROZDZIAŁ 54

Środki przeciwbólowe zadziałały szybko, obdzielając go lekkimi mdłościami, a później ogólnym poczuciem samozadowolenia, bez którego pewnie by się obszedł. Przemierzył dolne pomieszczenia budynku, sprawdzając kąty ostrzału i rozważając możliwe strategie obrony. Obejrzał broń zebraną na blacie, nią też nie potrafił się głębiej zainteresować. Coś się szykowało.

Znalazł miejsce, w którym mógł siedzieć i wpatrywać się wzdłuż kanionu na wznoszące się za nim góry. Słońce świeciło na graniach, rozświetlając powietrze i odrealniając okolicę. Jakby na to właśnie cały czas czekała, w jego myślach odezwała się Sevgi.

To było to samo uczucie, tak samo jak wtedy, gdy przyglądał się światłu gasnącemu za wzgórzami hrabstwa Marin, potem znów, gdy opuszczał kaniony Manhattanu, przejeżdżając mostem na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Siedział i pozwolił uczuciu narastać, przelać się przez siebie, a wraz z nim ogarnęło go wrażenie pojmowania, świadomości doganiającej niezdefiniowane tak samo, jak załapał Graya. Może to kodeina przestawiła gdzieś synaptyczny przełącznik, wpuszczając zrozumienie. Sevgi odeszła, jego mózg zdołał to wreszcie przetworzyć. Ale nie fakt, że zginęła. Dla antycznych genów afrykańskich przodków to nie miało sensu. Ludzie nie przestawali istnieć, nie nikteli tak po prostu w powietrzu. Jakaś głęboko zaprogramowana część jego świadomości upierała się:

*Kiedy ludzie odchodzą, to znaczy, że są gdzieś indziej, prawda? A Sevgi odeszła. Dobrze. Czyli dokąd odeszła, dowiedzmy się tego, bo wtedy będziemy mogli, do cholery pójść tam, znaleźć ją, być z nią i w końcu pozbyć się tego cholernego bólu.*

No dobrze.

*Te wzgórza ginące w mroku po drugiej stronie zatoki - myślisz, że może być tam? Albo pośród tego całego szkła i stoi po drugiej stronie mostu? Albo dobra, może gdzieś w górze tego cholernego kanionu i po drugiej stronie tamtych gór. Może jest ta? Za świetlistym, nierzeczywistym światłem czeka tam na ciebie?*

Po raz pierwszy w życiu rozumie, czemu cielakom może być tak trudno nie wierzyć w życie po śmierci, w jakieś inne miejsce, do którego idziesz,



gdy znikasz stąd.

A potem, gdy walczy z własnymi genami, gdy ogarnia go coraz głębsze zrozumienie, uczucie, które miało wyjaśnić, roztopia się i nie zostawia po sobie niczego oprócz czystego bólu w piersiach i piekącego balsamu nienawiści.

A z rzadkiego powietrza, jakby w odpowiedzi, nadlatują helikoptery.

\* \* \*

Były dwie, niewyróżniające się niczym komercyjne maszyny, sunące przez świetliste powietrze kanionu z niezgrabną ostrożnością komarnic. Przez chwilę podlatywały bliżej i się cofały, opuściły się niżej, błyskając w słońcu wirnikami, potem zawisły nad rzeką naprzeciw domku. Carl przyglądał im się ponuro z głębi strzaskanego okna. W dwóch śmigłowcach mogło się zmieścić przynajmniej tuzin ludzi. Trzymał się w cieniu, pozwalając, by ciała porzucane przed domem odmalowały obraz, jakiego pragnął. Helikoptery wahały się i powoli opadały. W końcu podniósł z blatu jeden z karabinów szturmowych Steyr i puścił w ich stronę serię. Reakcja była natychmiastowa - obie maszyny wycofały się i uciekły w górę rzeki, prawdopodobnie w poszukiwaniu miejsca do bezpiecznego lądowania.

Wiedział, że po drugiej stronie rzeki jest odpowiednie miejsce, tuż nad wodą. Będą mogli wrócić tu ścieżką, osłonięci skalnym zboczem aż do samego skraju wolnej przestrzeni przed budynkiem, powtarzając jego podejście sprzed kilku godzin. Zmarszczył się lekko, przytulił składaną kolbę steyra do ramienia, popatrzył wzdłuż przyrządów celowniczych i eksperymentalnie przejechał wzdłuż otwartego terenu. Był pewien, że zdoła powalić każdego, kto ruszyłby w stronę domu, zanim pokonałby więcej niż kilka metrów odsłoniętego terenu. Mogą spróbować masowego szturmu, ale nie było to prawdopodobne - nie wiedzieli, ilu ludzi siedzi w domu albo co mogli zrobić z Gretą Jurgens, czy jeszcze żyła, czy też zginęła, bezpieczna w swojej kryjówce czy ściągnięta na dół, gotowa by posłużyć za żywą tarczę.

A budynek był twardym orzechem do zgryzienia. Ferrer miał co do tego rację. *Suka ma tam prawdziwą twierdzę. Wkopana prosto w skałę, nie ma mowy, żeby zejść z góry, gładkie ściany, więc się nie podkradniesz. To znaczy...* Wyprostował się na krześle, z rękami w kieszeniach czystych, nowiutkich chinos, uśmiechając się pogardliwie, skoro już dobił targu. *Kogo ona się do cholery spodziewa, pieprzonej armii? I wszystko po to, żeby mogła sobie po prostu spać? Człowieku, nie wiem, jak ta suka trzyma Manco bil za jaja, ale to musi być coś cholernie dużego, żeby robił dla niej to wszystko.*

*Musi mu robić najwspanialszego loda na świecie, czy coś.*

Jak Stéphane Névant przed nim. Suerte widział wyniki i dochodził do oczywistych, błędnych wniosków. Onbekend pozostawał w cieniu. Jeśli nie wiedziało się o jego obecności, szukało się innych, bardziej widocznych wytłumaczeń.

Podobnie jak ludzkie potwory wracające z Marsa.

Była to dynamika, na której Ortiz zbudował cały swój plan zmyłki. *Atakuje nas potwór! Wszyscy na palisady i chwytac pochodnie!* Nie pytaj, nawet nie próbuj pytać, kto naprawdę za tym wszystkim stoi.

Zza skał wyłoniła się głowa. Carl pozwolił mu się rozejrzeć, potem puścił kolejną serię. W powietrze poleciał pył i odłamki kamieni, głowa się schowała.

*Po prostu żeby sobie wyjaśnić sytuację.*

- Marsalis?

Głos Manco Bambarena. Carl stanął plecami do ściany obok okna, został w cieniu, wyjrzał. Kanion zalewały promienie wczesnopołudniowego słońca. Gdyby przykucnąć i spojrzeć w górę, można byłoby zobaczyć, jak jego blask przenika nad grzbietami gór i spokojny, błękitny mrok zapada w miejscu, gdzie na wyższe części ścian doliny padał już cień. Po odlocie helikopterów zrobiło się bardzo cicho - jedynymi dźwiękami były odgłosy świerszczy i brzęczenie much na trupach.

- Murzynie, to ty?

- Zgadłeś - odkrzyknął, rezygnując z hiszpańskiego używanego przez Bambarena na rzecz quechua. - Czego chcesz?

Chwila wahania. Carla zaciekawilo, czy Onbekend potrafi zrozumieć rozmowę w quechua - nie było gwarancji, że nauczył się go podczas życia w ukryciu na Altiplano. Spokojnie mógł sobie poradzić z angielskim i hiszpańskim. Jako oswojony *pistaco* Bambarena nie musiał się integrować z tubylcami. Standardowa izolacja trzynastek powinna się idealnie sprawdzić.

Faktycznie, Bambaren został przy hiszpańskim.

- Naprawdę chodzi raczej o to, czego ty chcesz. Możemy pogadać?

- Jasne. Chodź.

- Zagwarantujesz mi, że mnie nie zastrzelisz, zanim nie wysłuchasz, co mam do powiedzenia?

Carl się uśmiechnął.

- Nie wiem, uwierzysz w słowo świra?

- Owszem. Uwierzę.

- W takim razie chodź. Bez broni, bez pancerza, ręce na widoku. - Carl zrobił przerwę. - Ach, i zabierz ze sobą brata.

Długa, bardzo długa cisza. Świerszcze w gorącym rozgrzanym powietrzu na zewnątrz.

- Co jest, Manco? Nie oglądałeś wiadomości? Wszystko już spalone, nie wiedziałeś? Ortiz zginął, INKOL wymiata śmieci. Wiemy wszystko o Onbekendzie. Zobaczmy was obu.

Potrwało to jeszcze kilka minut, ale potem zza zasłony w głębi ścieżki wyłoniły się dwie postacie i pomaszerowały spokojnie w stronę budynku, z rękami uniesionymi nad głowami. Carl przyglądał im się znad muszki steyra. Onbekend trzymał jedną rękę trochę krzywo, jakby unoszenie jej było bolesne. Przypomniawszy sobie słowa Sevgi w barze Bayview: *Trafiłam go kilka razy, ale nie wystarczyło. Trzynastki, co?*

*Tak, jesteśmy twardymi sukinsynami.*

Wycelował w twarz Onbekenda, kilka razy wyprostował palec, rozluźnił go. Potem odpuścił, niecierpliwie odłożył broń. Ze sterty na podłodze podniósł pistolet, kolejnego glocka, sprawdził magazynek i przeładował. Gdy Bambaren i Onbekend dotarli do drzwi, cofnął się, pamiętając o kątach ostrzału przez okno, i pomachał do nich pistoletem.

- Wejdźcie.

Onbekend popatrzył na niego wściekle i wypluł po angielsku:

- Gdzie ona jest, Marsalis?

- Nie tak szybko. Tam, do stołu we wnęce, obaj. Ręce przez cały czas na głowach. Nie zamierzam was obmacywać, więc jeśli któryś z was zbliży rękę do ciała bez mojej zgody, po prostu uznam to za groźbę i zastrzelę. Zrozumiano?

Bambaren poruszył głową w dół i w górę, przepatrując przy tym otwartą przestrzeń w budynku. Zrozumiał i szerzej otworzył oczy.

- Przeszedłeś tu sam?

- Podejdźcie do stołu. Siadźcie na krzesłach, które dla was odsunąłem. Trzymajcie ręce na głowach, dopóki nie usiądziecie, potem połóżcie je na stole przed sobą. Żadnych gwałtownych ruchów. Gwałtowny ruch przyczyną śmierci.

Zamknął drzwi, dopchnął je, aż zaskoczył zatrzaszk zamka.

- Marsalis, mam tam piętnastu ludzi. - Podchodząc do stołu, Bambaren poinformował go konwersacyjnym tonem. On też przeszedł na angielski. - Jesteś uziemiony. Porozmawiajmy o tym.

- Porozmawiamy. Ale będziesz wtedy siedział. Ręce na widoku, a potem płasko przed sobą.

Usiedli, niezgrabnie z powodu konieczności trzymania rąk w górze. Bambaren siadł u góry stołu, Onbekend obok. Tak daleko w głąb otwartego pomieszczenia budynek wrzynał się już w skalną ścianę i wewnątrz było chłodne i ciemne, więc mężczyźni wyglądali jak uczestnicy jakiegoś tajemnego zebrania spirytystycznego, z wyprostowanymi plecami, dłońmi płasko na blacie, sztywnymi twarzami. Carl wyciągnął krzesło naprzeciw Onbekenda i usiadł na nim, z dala od brzegu stołu. Oparł glocka na kolanie.

- I co teraz? - bezbarwnym głosem zapytała druga trzynastka.

- Teraz porozmawiamy o tym, czemu nie powinienem was zabijać. Jakies pomysły?

- Tak bardzo spieszy ci się na śmierć, murzynie? - zapytał Bambaren.

Carl posłał mu lekki uśmiech.

- Cóż, piętnaście do jednego to kiepskie proporcje, to prawda. Z drugiej strony osiem do jednego też nie wyglądało najlepiej, a teraz wszyscy leżą tam i jedzą ich muchy.

- Niczego się nie nauczyłeś? - Onbekend patrzył na niego z tą samą pogardą, którą emanował w barze. - Wciąż jesteś tylko żołnierzem dla cielaków?

Bambaren zeszywniał. Carl znów się uśmiechnął.

- Lepiej uważaj, bracie, przy kim używasz tego słowa. To nie wina Manco, że nie dostał usprawnionego systemu kończyn i podrasowanej trzynastki z materiałów źródłowych Isabeli.

Onbekend posłał tylko przelotne spojrzenie w kierunku Bambarena.

- Nie mówię o Manco, on o tym wie. Mówię o ludziach w ONZ, którym sprzedałeś swoją duszę.

- Nie jestem tu dla nich.

Onbekend zmrużył oczy.

- To po co przyszedłeś?

- Bo zabiłeś mojego przyjaciela.

- Jeśli masz przyjaciół, najemniku, to ja ich nie znam. Kogo zabiłem?

- Zastrześliłeś kobietę, Sevgi Ertekin, oficera policji, gdy gonila cię na ulicy w Bayview. Trafiłeś ją z pistoletu Haag i umarła.

- Pieprzyłeś ją?

- Tak, pieprzyliśmy się. Coś jak ty i Jurgens.

Twarz Onbekenda zbielała, gdy dostrzegł sugestię. Odchrząknął.

- To było w strzelaninie - powiedział cicho. - Nic osobistego. Na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

Carl pomyślał o obozie Garrod Horkan i o Gaby. O powalającym ją pocisku Haag.

- To nie ma nic do rzeczy.

- A co ma?

Carl popatrzył na drugą trzynastkę.

- Zapłata.

- Posłuchaj mnie, Marsalis - odezwał się Manco Bambaren, źle interpretując usłyszane słowa. - Cokolwiek twoim zdaniem jesteśmy ci winni, możemy dojść do porozumienia.

- Manco, zamknij się. - *Tayta* popatrzył na Onbekenda, jakby trzynastka trzasnęła go w twarz. Onbekend go zignorował, może nawet nie zauważył. Ani na chwilę nie spuścił wzroku z twarzy Carla. - Chcesz, żebym odkupił życie Greta swoim własnym?

- Czemu nie? To samo zaoferowałaś Toni Montes we Freeport, nieprawdaż? Jej życie za dzieci.

Onbekend popatrzył na swoje dłonie.

- Gdybyś wiedział, co Toni Montes robiła ze swoim życiem, zanim dostała to nazwisko, co robiła z innymi dziećmi, zanim urodziła własne, być może nie osądzałbyś mnie tak surowo.

- W ogóle cię nie osądzam. Po prostu chcę twojej śmierci.

- Jeśli go zabijesz, murzynie, będziesz musiał zabić i mnie. - W głosie Bambarena brzmiała cicha determinacja. - A potem moi ludzie posiekają cię jak wściekłego psa.

Carl posłał mu spojrzenie. Uśmiechnął się i lekko potrząsnął głową.

- Naprawdę cieszysz się z tego, że znów masz brata, co, Manco? Cóż, pewnie trudno ci się dziwić. Ale chcesz dowiedzieć się czegoś o tym swoim bracie? - Kiwnął głową w stronę Onbekenda. - Ten twój brat to bliźniak. Tak naprawdę dzięki desperackim próbom podejmowanym przez twoją matkę, żeby utrzymać się na fali korporacyjnego snu Peru, zyskałeś dwóch braci. Ten drugi nazywa się Allen Merrin. Niestety, nie żyje. Chcesz wiedzieć, czemu?

Bambaren przenosił wzrok między trzynastkami.

- Nie żyje, bo ty go zabiłeś, Marsalis - swobodnie wtrącił Onbekend. - Tak słyszałem.

- Nie żyje, bo jego brat bliźniak, siedzący tu Onbekend, sprowadził go z

Marsa w charakterze genetycznego kozła ofiarnego. Sprzedał go ludziom, dla których pracował. Chciał go użyć do wyjaśnienia, czemu...

- Ale ty go zabiłeś, prawda?

*Tayta* zagapił się na Onbekenda.

- Co to ma być? O czym on mówi?

- Nic takiego.

- Nie mów mi, że to nic, Onbee. - W głosie Bambarena pojawiło się napięcie. Podobne do tego, które Carl zauważył na jego twarzy, gdy Onbekend użył słowa „cielak”. - O czym on mówi?

- Mówię o drugim modyfikowanym synu Isabeli. - Carl trzymał pistolet wycelowany w Onbekenda. - Jajeczko, które twoja matka sprzedała gringos, podzieliło się po paru dniach, Manco, i projekt Stróż Prawa dostał dwie identyczne trzynastki za cenę jednej. To bardzo przydatne, gdy ma się do czynienia ze śladami genetycznymi na miejscu przestępstwa. Podczas gdy twój brat tutaj zajmował się mordowaniem niewygodnych kolegów z przeszłości, zaaranżował także obarczenie winą swój ego bliźniaka.

- Nie słuchaj go, Manco. To...

- Czy on kłamie? - Spojrzenie *tayta* nadało pytaniu wydźwięk retoryczny. Jego głos opadł prawie do szeptu. - Zrobiłeś to? Użyłeś własnej krwi, żeby się osłonić?

- Manco, naprawdę nie było innej możliwości. Mówiłem ci, w jakiej sytuacji postawiła mnie ta cała sprawa z Ortizem, o niebezpieczeństwie...

- Tego mi nie powiedziałeś!

Bambaren zaczął się trząść, wciąż wpatrując się w trzynastkę, z którą dzielił geny. Jego twarz kurczyła się od hamowanej furii.

- Brat? - zapytał chrapliwie. - Bliźniak? Sprzedałeś swojego brata bliźniaka? Po tym, jak przyszedłeś do mnie i dałem ci...

- To nie jest ważne, Manco. Nie znałem go, nigdy się nawet nie spotkaliśmy...

- On był z twojej krwi! - Bambaren zaczął się podnosić. Carl wycelował w niego glocka, a tamten usiadł jak zwinięty do ataku wąż. - Był z krwi twojej matki! Kiedy do mnie przyszedłeś, powiedziałem ci: krew jest wszystkim. Korporacje ukradły nam dusze, strzaskały więzi, które czyniły nas silnymi, zmieniły w odzianych w pasiaki obcych żyjących samotnie w polimerowych klatkach. Rodzina to wszystko, co mamy.

- Nie, jeśli jesteś trzynastką - poważnie wtrącił się Carl.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Manco, posłuchaj mnie - odezwał się Onbekend. - Zrobiłem to, żeby ochronić...

- Powiedziałeś w ogóle naszej matce? - Twarz Bambarena zrobiła się twarda i zimna jak kamienie w Sacsayhuaman, a jego głos przycichł do szeptu wiatru. - Czy w ogóle powiedziałeś Isabeli, że ma gdzieś jeszcze jednego syna?

Onbekend nie zdołał zachować spokoju.

- Do jasnej cholery, Manco, nie było żadnego sensu!

- Nie?

- Nie. On był na Marsie!

Po tych słowach pomieszczenie falą wypełniła cisza, jak dmuchnięcie gaszące świece. Siedzieli w milczeniu w słabym świetle.

- Nie przypuszczam, żebyś chciał wiedzieć, jak twój drugi brat został namówiony na powrót do domu z Marsa, co, Manco?

Onbekend się spiął. Głos miał zgrzytliwy.

- Marsalis, ostrzegam cię.

- Nawet o tym nie myśl. Załatwię cię, zanim oderwiesz zadek od krzesła.

Przesunął się nieznacznie w stronę Bambarena. Glock mierzył w trzynastkę. *Tayta* popatrzył na niego pytająco.

- Widzisz, Manco, twój braciszek tutaj ubił mały interes z Marsem. Zgaduję, że o tym też nie wiedziałeś?

- To nie był interes - warknął Onbekend. - To była strategia, podstęp.

- No dobra, zorganizował w twoim imieniu podstęp. Twój brat miał wrócić na Ziemię jako zabójca dla marsjańskich kapituł. Jakaś historyjka o usunięciu w drodze zemsty *familii* z Limy, przekazując całą *afrenta marciana* reszcie, żebyście znów mogli prowadzić interesy z Marsem. Zgadza się, Onbekend?

- Zrobiłeś to? - wyszeptał Manco Bambaren. - Nawet to?

- Daj spokój, Manco, często o tym rozmawialiśmy. - Onbekend niecierpliwie wzruszył ramionami. - To i tak nie było naprawdę, ale...

- Użyłeś mojego nazwiska?

- Tak, przez domniemanie. Marsalis, ty gnido, posłuchaj...

Bambaren rzucił się przez stół na Onbekenda. Trzynastka zerwała się z miejsca, zasłoniła, odtrąciła go. Carl podniósł glocka.

- Panowie - rzucił ostrzegawczo.

Bambaren wydawał się nie słyszeć. Oparł się rękami o stół, wciąż wpatrując się w twarz człowieka, którego uczynił swoim bratem. Wściekłość

wydobyła jego akcent, zniekształciła używany angielski.

- Użyłeś mojego cholernego nazwiska?

- Siadaj, Manco - polecił Carl. - Więcej tego nie powtórzę.

Ale szef *familii* nie usiadł. Zamiast tego obrócił się w stronę Carla i glocka. Głęboko wciągnął powietrze.

- Chcę wyjść - oświadczył sztywno. - Nie jestem już zainteresowany tą sprawą. Wycofuję swoją ochronę dla Greta Jurgens.

- Och, Manco, nie możesz...

- Nie mów mi, co mogę, świrze. - Manco odepchnął się rękami od stołu. Popatrzył na Carla. - No? Nasza sprawa załatwiona, murzynie?

- Jasne. - Carl nie spodziewał się, że wszystko pójdzie aż tak dobrze, ale nie zamierzał tracić nieoczekiwanej premii. - Podejdź do drzwi, z rękami na głowie. Wyjdź i zatrzaśnij drzwi za sobą. I lepiej, żebyś usłyszał, jak te śmigłowce odlatują w ciągu dziesięciu minut.

Bambaren wstał i złożył ręce na głowie. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie z Onbekendem.

- Nie rób tego - odezwał się napiętym głosem Onbekend. - Jestem twoim bratem, Manco. Czternaście lat, jestem cholernym bratem.

- Nie. - Głos Bambarena był tak zimny jak chłód emanujący ze skały. - Nie jesteś moim bratem, jesteś pomyłką. Moją pomyłką, mojej mamy i gringo bez duszy. Jesteś świrniętą, pieprzoną rzeczą, czymś, co wkradło się do mojej rodziny i mnie wykorzystało, czymś, co wycięło żywe mięso z moich kości, żeby się nakarmić. Powinienem być słuchać innych, gdy się zjawieś.

- Ty też mnie wykorzystałeś, gnido!

- Tak. Użyłem cię do tego, czym jesteś. - Bambaren splunął na stół przed trzynastką. Świr! *Pistaco!* Jesteś dla mnie niczym.

Onbekend popatrzył na ślinę. Potem gwałtownie zerwał się na nogi.

- Dość tego, Onbekend. - Carl postukał w stół, machnął glockiem. - Siadaj!

Na ustach Onbekenda pojawił się ponury uśmiech.

- Nie sądzę.

Carl błyskawicznie zerwał się na nogi. Krzesło za nim poleciało na ziemię, glock wymierzył w twarz Onbekenda.

- Powiedziałem...

A wtedy Bambaren skoczył na niego jak pies bojowy.

Później nie potrafił dojść, czemu *tayta* skoczył. Może to furia, wściekłość



na Onbekenda, ale rozlewająca się na wszystkie trzynastki, może na wszystkie warianty, może na kogokolwiek w zasięgu. Może furia na niezwykłą bezradność siedzenia przy stole z wycelowaną w siebie bronią. A może - nienawidził tej myśli - wcale nie wściekłość, może Bambaren i Onbekend, niezwykli bracia, może w sumie po prostu odegrali to wszystko przed Carlem, improwizując, i wykorzystali okazję.

Bambaren uderzył ręką w glocka, odsunął go w bok i z wrzaskiem wypadł zza stołu. Pistolet wystrzelił raz, w ścianę. Carl wykręcił się, przechwycił pęd mężczyzny i rzucił go przez biodro. Większość uwagi poświęcił na próbę odkrycia, gdzie zniknął Onbekend. Bambaren uczeplił się go z brutalnością ulicznego wojownika, próbując palcami sięgnąć oczu, kolaniem krocza. Carl puścił pistolet. Obaj polecieeli na ziemię, zmagając się o lepszą pozycję.

Tanindo i siatka wygrały. Bambaren mógł się odwołać do odwiecznej dzikości ulicznych walk, ale była osłabiona wiekiem i latami wysokiej rangi. Carl wyrwał się z jego chwytu, przyjął uderzenia przez osłonę weblarowej kamizelki, zaciskając zęby z bólu wybuchającego na pękniętych żebrach przez osłonę kodeiny. Warknął, zbił cios kolaniem wymierzonym w krocze, potem wbił łokieć w twarz *tayta*. Mężczyzna odsunął się od niego. Carl wbił wyprostowane palce w szyję. Bambaren zakrzuszył się i...

W zamkniętej przestrzeni zagrzemiał znajomy terkot karabinu szturmowego Steyr. Krótka, kontrolowana seria.

Oderwał się od Bambarena, potoczył się za osłonę stołu i krzesel. *Tayta* krzyknął coś, a kolejna krótka seria automatycznego ognia przeczesła ich obu i krzyk umilkł, zdławiony. Z blatu stołu poleciały drzazgi, pociski z automatu przebiły się przezeń, jakby był z kartonu. Usłyszał uderzenia w kamienie za sobą. Coś walnęło go w bok, wiedział, że to rykoszet. *Glock, pieprzony glock...*

... zniknął. Ze swojego miejsca na podłodze zobaczył nogi Onbekenda, ostrożnie poruszające się do przodu, w czujnej pozycji ze zgiętymi nogami, obchodzącego stół do czystego strzału. Zrobił jedyną rzecz, jaka mu została, zerwał się na nogi z szybkością wspomaganą siatką i całą dostępną siłą, rzucił rozerwany kawał stołu z dwoma nogami niczym tarczę. Onbekend puścił kolejną serię, blat stołu wywrócił się jak karta do gry, niemożliwie powoli, uskoczył na bok. Steyr klekotał, trafiły go pociski, kamizelka kinetyczna rozgrzała się, pracując, strzały wykręciły go i rzuciły plecami na ścianę...

I ogień ustał.

Sytuacja była prawie śmieszna. Onbekend stał, trzymając w dłoniach broń, która nagle umilkła. Cichy ping alarmu magazynka, brzmiały w ciszy jak kapiący kran. Opuścił wzrok z twarzy Carla na karabin, zobaczył migające, czerwone światełko. Nie miał czasu sprawdzić magazynka, musiał chwycić pierwszą z brzegu broń z kupki na blacie i trafił na prawie całkiem rozładowaną.

Carl z wrzaskiem oderwał się od ściany.

Onbekend rzucił w niego opróżnionym steyrem. Odbił go w bok. Druga trzynastka spróbowała chwytu, uderzył i rozbił próbę, zmusił Onbekenda do cofnięcia się w burzy technik tanindo. Trzynastka blokowała i zasłaniała, wyprowadzała kontrataki, ale przez cały czas Carl widział w jego ruchach skutki ran zadanych mu przez Sevgi. Poczł, jak jego usta rozchylają się w warknięciu dzikiej satysfakcji, sięgającej głębi serca satysfakcji i chęci zadawania bólu. Poszedł na zbliżenie, przełamał obronę, wyprowadził wysoki cios i trafił Onbekenda w szczękę. Trzynastka zachwiała się, plecami prawie przy roztrzaskanym oknie. Za nim krew i prześwitujące światło - Carl zauważył to kątem oka, mętne czerwone smugi na poszarpanej dolnej krawędzi pozostałości szyby, błysk promieni słońca na ostrych krawędziach. Znow wszedł w zwanie z Onbekendem...

Za szybą czaiła się jakaś postać.

Carl miał czas, żeby zarejestrować zszokowaną, przestraszoną twarz i podniesioną strzelbę. Nie mógł już powstrzymać energii ataku, mógł tylko jej pozwolić ponieść się przez pokój, próbując zejść z drogi strzału. Broń wypaliła, od zrujnowanego okna oderwały się nowe kawałki szkła, a Onbekend ryknął. Carl sięgnął do kuchennego blatu, zgarnął w dół grzechoczącą broń i wylądował na podłodze. Chwycił coś przypadkowego, stwierdził, że to jeden z karabinów szturmowych, obrócił go - bezpiecznik wyłączony - i nacisnął spust w chwili, gdy drzwi poleciały do środka.

Za nimi stało dwóch ludzi Bambarena. Przestrzelili zamek i wpadli do wnętrza, jeden celował wysoko, drugi nisko. Carl siedział na podłodze, oparty plecami o blat kuchenny, nie w miejscu, gdzie się spodziewali. Nacisnął spust steyra i przesunął lufą. Seria rzuciła obu mężczyzn do tyłu, machających rękami, jakby próbowali odgonić lecące kule. Jeden z nich poleciał z powrotem przez drzwi i wylądował w chmurze pyłu na zewnątrz, drugi zaczepił kostką o futrynę i wylądował na miejscu. Carl podniósł się na nogi, ukrył przy brzegu okna, wyjrzał i powalił serią tego ze strzelbą.

Pojedyncze strzały z większej odległości. Żadnych więcej ciał. W nagłej ciszy steyr zapiszczał o nową amunicję. Poprzedni właściciel broni zdublował magazynek, przykleił drugi do używanego w przeciwnym kierunku. Carl odblokował mechanizm, obrócił strony i wsunął nowy magazynek na miejsce.

Gdzieś na podłodze jęknął Onbekend.

Carl wyjrzał i zobaczył pospiesznie wycofujące się, skurczone postacie, wracające do osłony przy ścieżce. Pogonił je krótką serią ze steyra, odetchnął głęboko, wrócił do drzwi i wypchnął leżące w nich ciało, żeby móc zablokować wejście. W połowie czynności zdał sobie sprawę, że mężczyzna wciąż żyje, oddycha płytko i szybko, z zamkniętymi oczami. Carl strzelił mu w głowę ze steyra, wykopał do końca i zatrzasnął drzwi. Potem przeciągnął przez podłogę fotel i zablokował nim klamkę. W trakcie pracy dotarła do niego świadomość bólu - stanął i spojrzał na kamizelkę kinetyczną, zobaczył lśniące wypukłości w miejscach, gdzie zmodyfikowany genetycznie weblar zatrzymał pociski i stopił się wokół nich. Spod dolnego brzegu stroju ściekała strużka krwi. Pociągnął kamizelkę do góry i zobaczył paskudne wyżłobienie w ciele tuż nad biodrem. Trafienie pod kątem, gdy skakał, wykręcał się albo padał gdzieś w ciągu ostatniej półtorej minuty. To mógł być Onbekend albo goście przy drzwiach, może nawet zbłąkany strzał zza okna.

Na widok rany zaskoczył ból. Carl opadł na poręcz fotela blokującego drzwi.

- Cholernie ironiczne - słaby głos Onbekenda z podłogi, przerywany kaszlem. - Byłem tak blisko załatwienia cię, a jeden z pieprzonych goryli Manco zamiast tego załatwił mnie.

Carl posłał mu zmęczone spojrzenie.

- Wcale nie byłeś blisko.

- Tak? Pieprz się. - Onbekend podniósł się na łokciu. - Manco?

Brak odpowiedzi.

- Manco?

Carl z zaciekawieniem przyglądał się twarzy trzynastki w drugim końcu pomieszczenia. Onbekend skrzywił się z wysiłku, gdy próbował podnieść się do pozycji siedzącej. Całą klatkę piersiową miał zalaną krwią po strzale ze strzelby. Jęknął przez zaciśnięte zęby, odepchnął się obiema rękami, ale nie zdołał usiąść. Padł z powrotem.

- Sprawdź - rzucił Carl.

Manco Bambaren leżał płasko na plecach w kałuży własnej krwi,

wpatrując się szklanym wzrokiem w sufit. Wyglądało na to, że zginął błyskawicznie - strzały Onbekenda musiały trafić go w klatkę piersiową, gdy próbował wstać. Carl przyglądał się chwilę szefowi *familii*, potem ruszył z powrotem.

- Zginął - rzucił Onbekend. Krew w gardle nadała jego głosowi charkotliwe brzmienie. - Prawda?

- Tak, zginął. Niezły strzał.

Chrapliwy śmiech.

- Celowałem w ciebie.

- Tak? Następnym razem bardziej się postaraj. - Carl poczuł rozlewające się ciepło, spojrzawszy w dół i zobaczył krew przesączającą się przez materiał spodni na wysokości pasa i biodra. Nawet przez środki przeciwbólowe klatka piersiowa bolała go, jakby przejechał po niej walec. Zaczął się zastanawiać, czy weblar zawiódł, wpuścił coś do środka - mogło się to zdarzyć przy wielu uderzeniach w tę samą okolicę kamizelki, widywał już takie rzeczy. A może ktoś tam, jakiś pieprzony fetyszysta broni, miał pociski przeciwpancerne, którymi chciał się pochwalić. Dość potężne, by powalić naćpanego murzyna, jak w książkach historycznych Rovayo. Dość kopa, by powalić trzynastkę. Moc zatrzymania szarżującej bestii.

- Ach. Czyli nie do końca spudłowałem.

Onbekend też zobaczył krew.

Carl osunął się na podłogę, oparł plecami o fotel, którym zablokował drzwi, i podciągnął stopy tak, by kolana znalazły się wyżej. Oparł stopy o nogi i sprawdził magazynek. Wpadająca zza pleców smuga światła słonecznego padała jakies pół metra od niego, sprawiła, że bezsensownie zadygotał w cieniu.

- Ilu ich tam naprawdę jest? - zapytał Onbekenda.

Druga trzynastka obróciła głowę i wyszczerzyła się przez oddzielającą ich kamienną podłogę. Miał zakrwawione zęby.

- Powiedziałbym, że więcej, niż jesteś w stanie pokonać. - Przełknął. - Powiedz mi coś, Marsalis. Powiedz mi prawdę. Nie skrzywdziłeś Grety, prawda?

Carl patrzył na niego przez chwilę.

- Nie - przyznał w końcu. - Nic jej nie jest, śpi. Nie przyszedłem tu po nią.

- To dobrze. - Przez twarz Onbekenda przetoczył się skurcz bólu. - Przyszedłeś po mnie, co? Szkoda, że sam przy tym oberwałeś, bracie.

- Nie jestem twoim pieprzonym bratem.

Cisza, poza chrapliwymi dźwiękami oddechu Onbekenda. Coś się stało z kątem światła padającego z zewnątrz. Carl i Onbekend znajdowali się w plamach cienia, ale między nimi na ciemne kamienie podłogi padały jasne promienie, zdawały się spalać w chmurach kurzu i ciepła. Carl z wysiłkiem sięgnął i wystawił dłoń na słońce, przesunął opuszkami palców po ciepłym kamieniu.

Zdecydowanie gdzieś wewnątrz weblarowej kamizelki ciekła krew. Przechylił głowę do tyłu i westchnął.

Jednak.

Nagle zaciekawiło go, jak zabrzmiał zespół „Grubych trudniej porwać”, gdy w przyszłym tygodniu wystąpią na Scenie Marsjańskiej w Blythe. Czy będą coś warci.

- Piętnastu.

Spojrzał na Onbekenda.

- Co?

- Piętnastu ludzi. Manco mówił prawdę. Plus dwóch pilotów, ale ich bym nie liczył.

- Piętnastu, co?

- Tak. Ale paru już załatwiłeś w drzwiach, nie?

- Trzech. - Carl uniósł brwi, spoglądając w stronę schodów. Przez chwilę zdawało mu się, że zobaczył tam przyglądającą mu się Elenę Aguirre. - Włącznie z gościem, który cię trafił. Zostaje równy tuzin. Jak byś ich ocenił?

Onbekend wykaszlał kolejną porcję śmiechu, razem z krwią.

- Cholernie słabi. No wiesz, są całkiem niezli jak na standardy gangsterskie. Ale przeciw szkoleniu Ospreya? Przeciw trzynastce? Tuzin cholernie wystraszonych cielaków? Żadne wyzwanie.

Carl się skrzywił.

- Po prostu chcesz, żebym sobie poszedł i zostawił cię sam na sam z Gretą, co?

- Ależ zostań. Będziemy mieli czas pogadać.

Carl posłał drugiej trzynastce zdziwione spojrzenie.

- Mamy o czym?

- Jasne, że tak. - Onbekend przez chwilę patrzył mu w oczy, potem obrócił głowę z powrotem do sufitu. Westchnął, słychać było bulgoczącą przy tym krew. - Ty wciąż tego nie rozumiesz, co? Nawet teraz, gdy my siedzimy tu, a oni na zewnątrz. Wciąż tego nie łapiesz.

- Czego nie łapię.

- Czym jesteście. - Ranny mężczyzna przełknął z wysiłkiem, a jego głos stracił część bulgotliwego charczenia. - Słuchaj, pieprzone cielaki tyle mówią o równości, demokracji, wolności mowy. Ale do czego się to w sumie sprowadza? Ortiza. Norton. Roth. Przekonujący, zbierający władzę mężczyźni i kobiety z uśmiechem dla wyborców, uściskami rąk i wciąż tymi samymi celami, które się nie zmieniły, od kiedy nas skasowali za pierwszym razem. I każdy pieprzony cielak ustawia się do nich w kolejce.

Słowa skończyły się gardłowym dyszeniem. Carl pokiwał głową i zapatrzył się na matową powierzchnię trzymanej w dłoniach broni.

- Ale nie my, co?

- Cholerna racja, nie my. - Onbekend przeszedł napad kaszlu. Carl zobaczył krople krwi w plamie słońca obok Onbekenda. Odczekał, aż minie atak kaszlu i Onbekend odzyska oddech. - Cholerna racja, nie my. Wiesz, jak wyhodować z trzynastki współczesnych ludzi? Trzeba ich udomowić. To samo, co zrobili z wilkami, żeby zamienić je w psy. To samo, co na początku dwudziestego wieku zrobili na Syberii z hodowlami lisów. Selekcjonujesz te najbardziej oswojalne, Marsalis. Te bez agresji i potulne. A wiesz, jak do tego dojść?

Carl nie odpowiedział. Czytał już o tym, dawno temu. Na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy Osprey został rozwiązany i wszyscy siedzieli i czekali, by przekonać się, czym będzie dla nich Jacobsen. Czytał, ale pozwolił, by z czasem wiedza odpłynęła, teraz wiele nie pamiętał. Kiedyś jednak rozmawiał z Sutherlandem o mitach dotyczących pochodzenia, pamiętał, jak lekceważąco odniósł się do tego jego mentor. *Musisz żyć tu i teraz, wchłaniać*, burknął. *Teraz jesteś na Marsie*.

Ale niech Onbekend wygada się przed śmiercią.

- Powiem ci, jak się to robi - wydyszał umierający. - Jak dostać współczesnego człowieka. Robisz go przez wybieranie niedojrzałych osobników, jednostek o cechach pieprzonych szczeniaków. Obszar trzynasty, stary. Ta część mózgu rozwija się na końcu, ostatni etap ludzkiej dojrzałości. Część, którą wyeliminowali z rozmnażania dwadzieścia tysięcy lat temu, bo była zbyt niebezpieczna dla ich pieprzonych planów rolniczych. Nie jesteśmy wariantem, Marsalis - jesteście ostatnimi prawdziwymi ludźmi. To cielaki są pieprzonymi świrami. - Znów kaszel, teraz jego głos znów robił się pusty i bulgotliwy. - Współcześni ludzie to pieprzone zinfantylizowane, niedojrzałe odpady. Dziwi cię, że robią to, co im się każe?

- Tak, podobnie jak my - ponuro wtrącił Carl. - Pamiętasz?

- Próbowali nad nami panować. - Onbekend obrócił się na bok, popatrzył z desperacją na Carla. Wypluł w mrok kolejną porcję krwi, przez całą wieczność próbował oczyścić gardło. - Ale pokonamy to. Zrobimy tak, mamy to w cholernych genach. Jesteśmy ich ostatnią nadzieją, Marsalis. To my uratujemy ich przed Ortizami, Nortonami i babami takimi jak Roth. Jesteśmy jedynym, czego tacy ludzie się boją, bo my nie będziemy posłuszni, nie zostaniemy dziecinni i nie będziemy się grzecznie bawić w ich pieprzonym plastikowym świecie.

- Skoro tak mówisz. - Carl przyglądał się promieniom słońca wędrującym powoli po kamieniach. Wydawało się, że przemieszczają się w stronę Onbekenda, jak sunący brzeg płomienia na spalanej kartce papieru.

- Tak, właśnie tak mówię. - Druga trzynastka wyszczerzyła się do niego słabo, opuszczając głowę. Wysunął rękę, przycisnął dłoń płasko do oświetlonych słońcem kamieni i próbował się podeprzeć, ale dłoń odjechała. Ręka nie miała dość siły. - Daleko odeszliśmy od egalitaryzmu zbieracko-łowieckiego, Marsalis. Pokażemy tym skurwielom, co naprawdę znaczy wolność.

- Ty nie - zauważył Carl.

Skrzywione usta, krew na zębach.

- Nie, ale ty możesz.

- Jestem ranny, Onbekend. A ich tam jest dwunastu.

- Hej, ty jesteś tym gościem z loterii. - Onbekend dyszał gwałtownie. - Twierdzisz, że nie masz szczęścia?

- Oszukiwałem na loterii. Ustawiłem ją.

Śmiech, jak drobne dłonie uderzające w wolnym rytmie mały bębenek gdzieś bardzo, bardzo daleko.

- No proszę. To czysta trzynastka, bracie. Nie baw się w ich cholerne gry, znajdź sposób na wyruchanie ich. Marsalis, to jest to. Dobrze się tam spisałeś.

Znów przetoczył się na plecy. Wbił wzrok w sufit. Brzeg plamy słońca dotarł do jego dłoni.

- Ty im pokażesz - wycharczał.

Słońce pełzło dalej. Zaczęło pokrywać przykurzonym, metalicznym blaskiem całe jego ciało. Nie odzywał się już.

Carl usłyszał dobiegające z zewnątrz głosy ludzi Bambarena. Dodawali sobie odwagi.

*Pewnie zobaczymy się w ogrodzie.*

Miał wrażenie, jakby prawie tu była, mówiła mu do ucha. A może to znów była Elena Aguirre. Pamiętał, jak ścisnął jej dłoń w szpitalu, jak była sucha i lekka. Powiedział: *promienie słońca padające przez gałęzie.*

Wyciągnął pełny magazynek ze steyra i spojrzał na miękki blask pierwszego naboju. Wsunął go z powrotem do broni.

*Zgłoszę się, Sevgi. Dogonię cię.*

*Wszyscy dogonimy.*

Onbekend przestał oddychać. Pokryło go światło słońca. Carl zadrżał w mroku po swojej stronie okna. Pomyślał, że słyszy na zewnątrz ciche skradanie się.

Westchnął i wstał. Było to trudniejsze, niż się spodziewał. Obszedł pokój podchodząc do broni, która zleciała z blatu, wziął glocka i wepchnął go za pas na później. Podniósł kolejnego steyra, sprawdził magazynki i przewiesił go sobie przez szyję, starannie dopasowując taśmę. Chwyci go po odrzuceniu trzymanego w dłoniach, gdy opróżni magazynek. Minusem było dodatkowe obciążenie, ale nie mogło być gorsze od przytaszczenia całą drogę na dół strzelby na rekiny.

*Tuzin cholernie wystraszonych cielaków. Niezłe szanse jak na faceta z loterii.*

*Pokażesz im.*

- Jasne - mruknął.

Odsunął fotel na bok, uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Nikogo nie zobaczył, ale też nikogo się nie spodziewał. Jednak prędzej czy później przyjdą, żeby sprawdzić, co się stało z człowiekiem, który wydawał im rozkazy, mówił im, co robić, zapewniał jedzenie.

*Zobaczymy się w ogrodzie.*

W uszach znów zabrzmiał szept, gdzieś z głębi, z mroku. Tym razem był pewien, że go usłyszał. Zjeżyły mu się włosy na karku. Carl kiwnął głową i sięgnął do tyłu lewą ręką i przyłożył dłoń do miejsca dotkniętego przez głos. Jeszcze raz obejrzał się na ciało Onbekenda, jeszcze raz sprawdził broń, kolejny raz kiwnął do siebie głową.

Głęboki oddech.

Potem wypadł na słońce.



# Spis treści

## CZEŚĆ I GŁOŚNY UPADEK

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

## CZEŚĆ II ZWOLNIENIE

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

## CZEŚĆ III Z DAŁA OD WSZYSTKIEGO

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

## CZEŚĆ IV W MORZE

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[ROZDZIAŁ 38](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[ROZDZIAŁ 40](#)

[ROZDZIAŁ 41](#)

[ROZDZIAŁ 42](#)

[CZEŚĆ V TEN ZBIERA BURZE](#)

[ROZDZIAŁ 43](#)

[ROZDZIAŁ 44](#)

[ROZDZIAŁ 45](#)

[ROZDZIAŁ 46](#)

[ROZDZIAŁ 47](#)

[ROZDZIAŁ 48](#)

[ROZDZIAŁ 49](#)

[ROZDZIAŁ 50](#)

[ROZDZIAŁ 51](#)

[ROZDZIAŁ 52](#)

[CODA PISTACO](#)

[ROZDZIAŁ 53](#)

[ROZDZIAŁ 54](#)